

Becnel REXANNE

WROGOWIE

Prolog

"Jeszcze jeden pocałunek i rozstania nadszedł czas!"

Robert Bums

Londyn, październik roku pańskiego 1133

Randulf Fitz Hugh leżał nagi na łożu, a koło niego spoczywała - również naga - Marianne, żona podstarzałego hrabiego Carland. Podczas jednak gdy ona w poszukiwaniu ciepła wtuliła się w fałdy futer pokrywających pościelenie, on rozkoszował się chłodnym dotknięciem powietrza na śliskiej od potu skórze. Ona spała spokojnie i głęboko jak niemowlę, on wpatrywał się posępnym wzrokiem w ciemne belki powały.

Użył jej ciała szorstko i brutalnie, choć to nie ona była powodem podłego nastroju, jaki go ogarnął. To król wzbudził w nim gniew i wściekłość; Rand posłużył się kochanką, by dać ujście pasji mimo iż nie powinien tego robić.

Zważyć trzeba jednak, że Marianne wcale nie miała mu tego za złe. Była niezaspokojoną kochanką; w tym względzie doskonale do siebie pasowali. Tego wieczoru Randulf nie potrafił się wszak rozkoszować urokami jej ciała. Miał pilniejsze sprawy na głowie.

Na trójnożnym zydlu obok drzwi zaskwierczał dopalający

się ogarek, słabym blaskiem rozpraszając półmrok sypialnej komnaty.

Na potępienie wieczne! Czyż nie wygrał wszystkich bitew, nie pognąbił wszystkich wrogów stojących przeciw królowi Henrykowi i jego władzy absolutnej? Czyż nie uczynił dość, by zasłużyć na sprawiedliwą nagrodę? Ale król Henryk rządził z wyrachowaniem i sprytem lisa. Oto dziś na dworze starszy brat Randa, pijak John, odnowił hołd lenny składany królowi i - jako spadkobierca ojca - przejął jego oficjalny tytuł hrabiego Asdin. Nie było to po myśli Randa, lecz niczego innego nie mógł się spodziewać. A potem król zwrócił przenikliwy wzrok w jego stronę i ogłosił, jaką nagrodę otrzyma młodszy brat. Przed obliczem całego dworu nadał Randowi ziemie - w najgłębszej dziczy północnej Walii.

Rand zaniemówił z osłupienia. Północna Walia! Nie można było w granicach Brytanii znaleźć krainy bardziej oddalonej od ośrodka władzy, jakim był Londyn. Tymczasem Henryk mówił dalej: Rand miał za zadanie wznieść u ujścia rzeki Gyffin zamek, twierdzę nie do zdobycia. Potężny gród położony w połowie drogi z Chester do Anglesey, który miał służyć w tłumieniu oporu przeciw władzy Anglików w Walii. Król Henryk podkreślił, iż misja ta jest w istocie honorem zarezerwowanym dla najbardziej zaufanego i silnego wasala.

Być może naprawdę tak myślał. Ale Rand wiedział coś więcej: wysyłając swoich najwierniejszych popleczników do walijskich marchii, król kontrolował tych, których potęga zaczęła zagrażać jego poczuciu bezpieczeństwa. Nadanie było hojne - Rand miał panować na ziemiach tak rozległych,

że stawał się prawdziwym władcą na włościach.

A przecież to nie w Walii pragnął rządzić! W gruncie rzeczy król skazał go na wygnanie z Londynu, siedziby rzeczywistej władzy.

Rand prychnął z obrzydzeniem. Może powinien szukać ukojenia w świadomości, że król lęka się rosnącej potęgi i bogactwa swego sługi, ale żadna to była pociecha. Budowa zamku potrwa całe lata. Powróci do Londynu, jako stary człowiek.

- Na święte relikwie! - Podniósł się z wygniecionego posłania, niezdolny w rozdrażnieniu spokojnie leżeć, i zapalił nową świecę.

Mąż Marianny wyjechał, Rand wiedział więc, iż może spędzić całą noc u boku kochanki, jeżeli taka będzie jego wola. Nie miał jednak na to chęci.

Lejąc do płytkiej misy wodę do obmycia ciała, usłyszał podszept swoich myśli: Być może wiele upłynie dni, nim znajdziesz kochankę równie biegłą w sztuce miłości. Używaj tej, póki możesz.

Zignorował wewnętrzny głos. W Walii też są kobiety, a słyszał, iż swobodniej dysponują swymi ciałami niż Angielki. Znowu parsknął z pogardą. Jeżeli to prawda, to chyba leżą na ulicach z zadartymi sukniami i rozrzuconymi nogami. Zgodnie z jego doświadczeniami kobiety na dworze Henryka zgodziłyby się, bowiem przespać z każdym, od kogo mogły się spodziewać pieniędzy czy klejnotów w zamian za swe trudy.

Nie miał zresztą nic przeciw temu. Zaspokoił żądze wielu szlachcianek, wynagrodził je świecidełkami i użył do osiągnięcia własnych celów politycznych. Zdobywał dzięki

nim informacje i sekrety. Teraz, odrzucony w najdalsze zakątki Walii, utraci dostęp do tych źródeł wiedzy i potęgi. Od Londynu będzie go, bowiem oddzielało siedem dni drogi. Równie dobrze mógłby wyjechać na kraj świata.

Z rozmachem cisnął na podłogę ręcznik. Kobieta na łożu poruszyła się wśród futer pośłania. Nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że już nie śpi.

- Jeszcze z tobą nie skończyłam. - Usłyszał gorący pomruk, którym skutecznie rozpałała męskie zmysły. - Chodź tu. Teraz twoja kolej na wierzchu.

Spojrzał na nią beznamiętnie. Piękna Marianne była jego kochanką już prawie rok, romans ten trwał, więc dłużej niż wszystkie poprzednie. Z drugiej strony miała większe wpływy i powiązania sięgające dalej niż którakolwiek z jego dawnych miłostek. Co prawda te jej stosunki wcale mu w końcu nie pomogły?

A może wprost przeciwnie - zaszkodziły mu w oczach króla? Ta myśl nie dawała Randowi spokoju, choć próbował ją od siebie odpędzić. Czyżby mąż Marianne użył swych wpływów na dworze, by posłać kochankę żony do Walii?

Czemu jednak miałyby się trudzić? Carland sam miał romans z lady Ferriday, godną matroną, która ponoć, jako jedyna na dworze, gotowa była tulić starca jak dziecko do swego obfitego biustu i kołysać go, gdy ssał jej pierś. Rand wykrzywił usta w grymasie niesmaku na ten odrażający obraz.

A jednak coś tu się nie zgadzało. Może to nie Carland, lecz ktoś z pewnością mu bruździł u króla. Przysiągł sobie odkryć prawdę.

- Mam inne sprawy, którymi muszę się zająć - odpowiedział,

ubierając się.

Marianne przez chwilę spoglądała na niego w milczeniu.

- Z pewnością mogą poczekać. Do Walii nie musisz wyruszać przed początkiem wiosny.

- Wiele pozostało do zrobienia, zanim nadejdzie ten dzień - odparł. - Werbunek. Zakup materiałów. Król chce mieć zamek. Chcę się szybko z tym uporać.

Materac zatrzeszczał, gdy uklękała na pościeli. Narzuta z futra kuny utworzyła lśniącą falę wokół jej nóg. Sięgające do pasa włosy na wpół zakrywały, na wpół odsłaniały jej ponętne ciało. Miała pełne piersi o dużych sutkach. Rand poczuł dreszcz obrzydzenia na myśl o jej małżonku mamlącym je - jak niemowlę - w bezzębnych ustach. Odwrócił spojrzenie.

- Będę za tobą tęskniła, Rand. A ty?

Wzruszył ramionami, narzucając na nie koszulę. W gruncie rzeczy chciał się od niej uwolnić - ale jeszcze bardziej pragnął odkryć prawdę. Starannie dobierał myśli.

- Będę za tobą tęsknić równie mocno, jak ty za mną, a oboje dobrze wiemy, że w przeciągu tygodnia znajdziesz sobie nowego kochanka.

Jak oczekiwał, Marianne zwęziła oczy w łyskającą furia szparki. - A to, co znowu? Czy masz już jakąś inną, i tylko czekasz, by zajęła moje miejsce? Zabierasz ją do Walii?

- Marianne, spokojnie. W końcu to ty jesteś zamężna. Czemu miałabyś się zajmować...

- Kim ona jest?

- Nie ma nikogo.

- Tak samo mówiłeś wtedy, gdy uganiałeś się za tą suką DeLisle ... - Urwała, lecz było już za późno.

Rand zmarszczył czoło.

- Suka DeLisle? Tam chodziło wyłącznie o kontrakt małżeński. - Nagle wszystko zrozumiał. Początkowo Stephen DeLisle przyjął z zadowoleniem oświadczenia Randa, pragnącego poślubić jego jedyne dziecko, ładniutką dziewczeczkę, która wkrótce miała osiągnąć odpowiedni wiek. Marianne zaczęła się wówczas dąsać, lecz zapewnienie Randa, iż jej wdzięki nieskończenie bardziej go pociągają niż uroki tamtej dzierlatki, najwyraźniej ją usatysfakcjonowało. Przyznała nawet, że planowany związek jest rozsądny z punktu widzenia kariery Randa, że stanowi strategiczne ukoronowanie jego polityki. Nie omieszkała także wytknąć kochankowi wszelkich fizycznych braków nieszczęsnej dziewczyny.

Wtedy przypisywał jej cierpkie słowa zwykłej kobieciej zazdrości. A może Marianne posunęła się dalej?

Dwóch doradców królewskich, Robert Hartley i Emery Ives, bez wątpienia podjęło dalsze kroki w intrydze przeciw Randowi. Bardziej niż ktokolwiek inny obawiali się rywala, którego potęga mogłaby zagrozić ich pozycji; zdawali sobie sprawę z siły ewentualnego związku DeLisle'a i Randa, który dzięki tej unii przejąłby kontrolę nad wielkim majątkiem. A kto, jak kto, ale Emery Ives wiedział, jak kierować królem Henrykiem. Tu niewinna uwaga, tam słówko przestrogi - i oto Rand stał się kolejną ofiarą królewskich intryg i swojego pędu do władzy. Tak, nie było wątpliwości: Ives brał udział w spisku - a Marianne była jego kuzynką...

Boże, jak mógł być tak głupi? Marianne stanowiła trop prowadzący prosto do Ivesa. Czy naprawdę tylko z

zazdrości przyczyniła się do utracenia małżeńskich planów Randa? Poczł nagłą pewnořć, iż tak włařnie było.

- Ta "suka, DeLisle", jak ją nazywasz, raczej nie zasługuje na to miano. W gruncie rzeczy to słodka, niewinna istotka, a włařciwie niewinna była tylko do pewnej chwili - dodał. Nigdy nie dotknął dziewczyny, ale chciał by Marianne myřłała, że jest inaczej.

Nie spodziewał się wszakże takiego wybuchu furii.

_ Podły zdrajco! - Ruszyła do niego z zakrzywionymi w szpony palcami, niemal przewracając go impetem natarcia. Błyskawicznie unieruchomił ją pod sobą i, wierzgając bezsilnie, przytrzymał w silnym objęciu. Płonęła wřciekłořcią. - Ty, ty wychędożyłeś tę szczapowatą zdzirę...

- Nie, nie miałem jej. Ale teraz widzę, jak daleko gotowa byłaś się posunąć, by mnie powstrzymać... Ba, jak daleko się posunęłaś. To ty zniweczyłaś moje porozumienie z DeLisle. Marianne zwiotczała w jego ramionach, co ponad wszelką wątpliwořć świadczyło o jej winie. Próbowwała jednak zaprzeczać. - Nie, to nie byłam ja. To król wywarł nacisk, na DeLisle...

- A Emery wywarł przedtem nacisk na króla, tak jak ty wywarłaś nacisk na Emery'ego.

Wykręciła się w jego objęciach, ale zamiast próbować się uwolnić, chwyciła go za fałdy koszuli na piersiach.

- Rand, nie wywierałam żadnego nacisku. Poskarżyłam się tylko, że będę nieszczęśliwa, widząc cię w łozu innej kobiety. Czy to była taka wielka zbrodnia? Jestem zazdrosna i pragnę mieć cię wyłącznie dla siebie. Ale to nie mnie powinienes przypisać winę. To mój kuzyn wpadł ha pomysł

pokrzyżowania twoich planów małżeńskich, nie ja.

Być może mówiła prawdę. Może kłamała. W każdym razie rezultat był ten sam - wygnano go do Walii. Podczas gdy inni będą pomnażać swą potęgę i znaczenie w polityce kraju, on będzie wznosił kamienne mury i odpierał ataki walijskich szaleńców.

Z przekleństwem na ustach zepchnął Marianne ze swych kolan.

Kiedy jednak wstał, otoczyła jego nogi ramionami.

- Nie odchodź jeszcze. Nie w ten sposób - błagała, klęcząc przed nim.

- Między nami wszystko skończone - powiedział, usiłując oderwać jej dłonie od swoich nóg.

Trzymała go kurczowo.

- Jeszcze ten jeden jedyny raz. Tylko raz, dla miłej pamięci. Pocierała bujną piersią jego uda, a jej dłonie ugniatały jego pośladki.

Nadal gniewny, Rand nie pozostał wszakże nieczuły na te wyzywające manewry. Widząc, jak jego męskość sztywnieje i unosi się, Marianne uśmiechnęła się uwodzicielsko i z wolna przesunęła językiem po wargach.

- Tylko jeden raz - zamruczała.

Rand próbował oponować. Już i tak zbyt długo z nią się zadawał; to był jego największy błąd. Którego nie powtórzy. Ale Marianne zaczęła go rozbierać i Rand z ociąganiem zanurzył dłonie w sploty jej włosów.

Tylko raz, obiecał sobie w duchu. Tylko ten raz. Po dzisiejszej nocy nigdy już nie pozwoli, by kobieta wpłynęła na jego los.

Część pierwsza

"Ustysz wołanie barda!

On widzi czas obecny, przeszłość i przyszłość

Jego uszy chłonęły Święte Słowo -

On przechadzał się wśród drzew prastarych..."

William Blake

Rozdział pierwszy

Carreg Du, Walia, marzec roku pańskiego 1134

"Zima jest już u... U schyłku!" - Josselyn zerknęła na Newlina, a ponieważ nie odpowiadał, powtórzyła tłumaczone zdanie. - "Zima jest już u schyłku". Tak to powinno brzmieć, prawda?

Ułomny starzec podniósł na nią oczy. Jego myśli najwyraźniej zawędrowały gdzieś daleko, całe mile od rzeczywistości. Zmartwiona Josselyn ściągnęła brwi. Podczas długich tygodni tej niebywale srogiej zimy już nieraz zdarzało mu się tak zadumać. Czy to jakaś choroba? A może stary bard przeczuwał jakąś zmianę w otaczającym ich powietrzu?

- Zima prawdziwie jest u schyłku - powtórzył jej słowa, tym razem w dialekcie Walińczyków. - Wraz z tą chwilą zaś nadchodzi koniec naszych lekcji - dodał, spoglądając na nią

wzrokiem, który w dziwny sposób zdawał się wybiegać poza jej twarz.

Josselyn wzruszyła ramionami.

- Być może na jakiś czas trzeba będzie je przerwać. Gdy nadchodzi wiosna, zawsze mam mnóstwo pracy. Ale latem będę miała więcej czasu.

- Latem być może będziesz już zamężna, zajęta doglądaniem swego ślubnego.

- A któż by mógł nim być? - Zapytała w języku francuskim, który przynieśli do tej krainy Normanowie. - Ktoś mi znany?

- Spytała w szorstko brzmiącej mowie Anglików.

Newlin uśmiechnął się do dziewczyny, choć tylko lewy kącik ust podniósł się w przyjaznym grymasie. Prawa strona twarzy pozostała nieruchoma, jej wykrzywione rysy były ściągnięte do dołu. Nie tylko twarz, lecz również cała prawa połowa ciała była zniekształcona, ramię uschnięte, noga wykręcona. Newlin kulał w widoczny sposób, a sprawnie mógł się posługiwać tylko lewą ręką.

Lecz choć Bóg nie pobłogosławił jego ciała, wynagrodził kalece darem zadziwiającego umysłu. Newlina uznawano powszechnie za najmądrzejszego i najbystrzejszego człeka w krainie Rhoniofog. Od granicy z Anglią na wschodzie aż po wybrzeże morskie na dalekim zachodzie w leśnych ostępach otaczających wioskę Carreg Du nie było mu równego. Wysławiał się płynnie w czterech językach: w Cymraeg, czyli rodzimym walijskim narzeczu, po francusku i angielsku - których uczył Josselyn - oraz po łacinie, którą władał mało kto z wyjątkiem księży.

Znał się na gwiazdach, umiał liczyć i przepowiadać pogodę, rozumiał też doskonale świat zwierząt. Co raz usłyszał, tego

nigdy nie zapominał, więc w dłużące się zimowe wieczory mógł zabawiać mieszkańców, Carreg Du opowieściami z dawnych czasów i przepowiedniami o dniach mających dopiero nadejść?

Nie starzał się z upływem lat i nikt nie wiedział, skąd pochodzi.

Od niepamiętnych czasów mieszkał w dolmenie, prastarym kamiennym grobowcu położonym nieopodal wioskowych łąk, a choć nikt inny nie ośmieliłby się szukać schronienia pod sklepieniem grobowych głazów, przycupniętych u stóp górskiego zbocza ukwieconego pnącymi różami, nie było człowieka, który nie uznałby prawa Newlina do tej siedziby. Josselyn siedziała właśnie u jego boku na krawędzi skalnego nawisu w połowie tego zbocza. Patrzyła w dół, na usianą głazami łąkę, na której nic jeszcze nie wskazywało bliskości wiosny. Nic prócz gąbczastej gleby nasiąkniętej wodą z roztopów. Wzrok Newlina wybiegł wszakże wyżej, ponad grań, ku nadbrzeżnym skałom. Starzec wstał i zaczął się niezdarnie wspinać pod górę.

- Zaczekaj! Dokąd idziesz?

- Ku morzu.

- Ku morzu? A co z moją lekcją?! - Zawołała, Josselyn, lecz Newlin wciąż zmierzał chwiejnym krokiem, sunąc jak zawsze trochę bokiem w stronę szczytu.

- Zima jest już u schyłku! - Odkrzyknął jej w mowie Anglików. - A wiosna da początek przyszłości, której nikt nie ucieknie - dodał, tym razem w rodzinnym dialekcie.

Josselyn oszczędziła sobie daremnych nalegań, by bard wyjaśnił tajemniczo brzmiące słowa. Newlin wyjawiał tylko to, co chciał, i tylko w wybranej przez siebie chwili.

Wszystkie jego przepowiednie były wszakże przerażająco trafne. Josselyn trudno było wyobrazić sobie, od jakiej to przyszłości nie mogli uciec. Zamiast próbować zgadnąć, zaczęła wdrapywać się w ślad za bardem, w nadziei na dalsze objawienia.

Ramię w ramię wspięli się na głązy wyniosłego szczytu. Skłębione fale morza siekł przenikający wicher, do szpiku kości przejmujący chłodem i wilgocią. Josselyn stała prosto, nie zwracając uwagi na lodowate podmuchy, które targały jej wełnianą spódnicą i rozwiewały czarne jak węgiel włosy wokół twarzy. Stali na szczycie, z którego rozciągał się widok na całą krainę jej rodu. Nie był to najwyższy szczyt Walii, a przecież tkwiło w nim poczucie mocy, dzikiej swobody ludu zamieszkującego północne ziemie tej krainy.

Wyniosłą skałę na szczycie góry zwano Caneg Du, Czarny Głaz. Nazwa ta stała się częścią imienia Josselyn i wielu jej pobratymców. Dziewczyna nazywała się Josselyn ap Carreg Du, a jej ojciec - zwał się Howell ap Carreg Du.

Jej ród zamieszkiwał te ziemie od niepamiętnych czasów, jeszcze przed narodzinami najstarszych klechd o pierwszych królach i o trudach przetrwania u zarania dziejów. Kochała wszystko, co ją otaczało w zielonych ostępach puszczy ciągnącej się między morzem a łańcuchem gór. Właśnie ta miłość wywiodła ją z domu stryja w dzisiejszą niedzielę, trzecią w porze wielkiego postu. Spoglądała w dół klifu tonącego w morskich falach i nie pierwszy już raz podziwiała cud, za sprawą którego w tak niegościnnym miejscu zakwitły róże.

Josselyn wciągnęła głęboko w piersi słony oddech wiatru, aż zadrzała z zimna. Ale i to było przyjemne. Potrafiłaby

wytrzymać jeszcze dłużej w chłodzie zimy, która i tak była już u schyłku. Obejrzała się na Newlina i zobaczyła, że stoi zwrócony ku wschodowi, kołysząc się na piętach, jak zwykły czynić, kiedy był pogrążony w głębokim zamyśleniu. W przód i w tył. W przód i w tył.

Jej wzrok powędrował w ślad za spojrzeniem barda ku morzu, gdzie promienie słońca przebijały pokrywę chmur i sypały diamentowe iskry blasku na spienione fale. Nie tylko wszakże słońce odbijało się w wodzie oślepiającymi błyskami bieli. Było tam coś jeszcze. Żagiel. Statek. Josselyn zmrużyła oczy, próbując dojrzeć dalekie zarysy.

- Przyszłość, której nikt nie ucieknie - wyrzekł Newlin. Każde słowo wyrywało się z jego ust jak mroźny obłok pary, którą w okamgnieniu rozwiewał północny wiatr.

- Dobra czy zła? - Zapytała Josselyn; zniemacka zaczął jej doskwierać chłód.

Niezwykły starzec wzruszył zdrowym ramieniem.

- Jak wszystkie przyszłości: dla jednych dobra, dla innych nie tak sprzyjająca. Ale - dodał z dobrze jej znanym uśmiechem na powykręcanej twarzy - zgodzisz się chyba, że lepiej mieć jakąkolwiek przyszłość niż nie móc oczekiwać żadnej.

Prawda. Lecz gdy się zegnali - ona, by wrócić do domu, on, by chronić się w nędznej siedzibie pod sklepieniem dolmenu - Josselyn przeszył dreszcz przeczucia, którego nie potrafiła nazwać. Od dziewięciu lat mieszkała u stryja i ciotki, którzy sami byli bezdzietni, więc z radością przyjęli ją pod swój dach po śmierci rodziców. Była u nich bezpieczna i nie musiała wybiegać myślą w przyszłość.

Ale coś w otaczającym ją powietrzu zapowiadało zmiany.

Czuła to, tak jak i bard. I wcale jej się to nie podobało.

Rozbili namioty na Rosecliffe. A ze statku wyładowują bez przerwy towary, zapasy, materiały...

Josselyn słuchała raportu Deweya wraz z resztą mieszkańców wioski, zgromadzonych w głównej komnacie stryjowskiego domu. Stryj Clyde siedział bez ruchu, w charakterystyczny dla siebie sposób w milczeniu rozważając niepokojące nowiny przyniesione przez zwiadowcę. Milczenie jednak przedłużało się tak, że Josselyn miała ochotę sprowokować stryja do jakiejś reakcji. Kochała go głęboko, acz nie był to mężczyzna skory do impulsywnego działania.

- Wystawcie warty - rozkazał wreszcie. - Musimy poznać siłę oddziały i ilość zapasów i sprzętu. - Znów przerwał. - Poślijcie po skrybę. Madoc ap Lloyd też musi się o tym dowiedzieć.

Zignorował pomruki, które wywołały ostatnie słowa. Ziemie rodu Lloyda przylegały od zachodu do ziem Carreg Du, lecz to bliskie sąsiedztwo nie oznaczało bynajmniej przyjaźni. Lloydowie dorównywali chciwością angielskiemu królowi, oczywiście na mniejszą skalę. Tu owca zniknęła z pastwiska. Tam wół przepadł bez śladu. Polowali na obszarze Carreg Du i płądrowali pola, gdy tylko byli pewni bezkarności. Wiadomo było, że nie są to ludzie godni zaufania. Mimo wszystko przecież Anglicy byli wrogiem każdego Walijszyka, a w chwili, gdy ktokolwiek z tej nacji zakładał obóz na Rosecliffe, stryj Clyde słusznie odkładał na bok nieporozumienia między nim a rodziną Lloydów.

Josselyn, niestety, nie miała wątpliwości co do określenia "obóz". - A co będzie, jeśli zechcą tu zostać na dobre?

Wszyscy bez wyjątku zebrani odwrócili się w jej stronę. Jej policzki zarumieniły się lekko, lecz wytrzymała spojrzenia i poważnym wzrokiem popatrzyła na stryja.

_ Grupka, która przebywała tu zeszłej zimy, była mniejsza i to prawda, że biwakowali tylko kilka dni, ale ten oddział jest większy. No i co najmniej dwóch mężczyzn było tu już w poprzedniej wyprawie.

Stryj Clyde zmarszczył czoło. Przez chwilę Josselyn obawiała się reprimendy w obliczu zgromadzonych wieśniaków - przede wszystkim za wypowiedź na temat, który, ściśle mówiąc, był zarezerwowany dla mężczyzn, ale również za wyprawę w pobliże angielskiego obozu. Po minucie napiętego milczenia stryj spytał:

- Rozpoznałaś dwóch z nich?

Josselyn potaknęła. Niewielu było mężczyzn tak wysokich i barczystych jak młodszy z tej dwójki. Każdy jego ruch, każdy rys jego twarzy wskazywał na naturę wojownika. Jeśli nawet to nie on dowodził przybyszami, z pewnością był centralną postacią angielskiego oddziału.

Ten drugi odznaczał się płomiennie rudą brodą i wyglądał raczej na uczonego. To on wzbudził szczególne zainteresowanie Josselyn. Przynajmniej tak sobie wmawiała. Wysoki mąż był przystojny na surowy sposób żołnierza, pociągał absolutną pewnością siebie w obejściu. Lecz ludzie obdarzeni taką pewnością siebie nierzadko mają inną, mniej pociągającą cechę - arogancję. Josselyn odwróciła więc wzrok od wojownika i skupiła uwagę na jego niższym i niepozornym towarzyszu.

Zadawała sobie pytanie, czy jest bardem, jak Newlin. Zeszłej zimy przewędrował wzdłuż i wszerz płaskowyż Rosecliffe,

czyniąc notatki na zwoju pergaminu. A teraz wrócił - przywożąc ze sobą więcej zapisanych zwojów.

Musiała podzielić się z innymi swoim podejrzeniem, choć nie miała żadnej pewności.

- Wiecie, jacy są Anglicy, jaki chciwy jest ich król. Chce przyłączyć nasze ziemie do swoich. Czy to nie on wybudował fortecę dwa dni drogi na południe stąd, tam, gdzie ongiś były włości rodu Daffyda? Myślę, że ma zamiar zrobić tu to samo. Będzie budował zamek na Rosecliffe.

- Zamek? Nie tutaj... - Rzucił ktoś z tłumu.

- Niech Bóg skarże tych przeklętych Anglików! - Przerwał mu inny mężczyzna.

- Nie odważyliby się...

- Owszem, odważyliby się - odparła Josselyn z pasją równą siłą gorączce emocji rozpalających zebranych w zadymionej komnacie wieśniaków. - Ten ich król, Henryk z Normandii, wierzy, że Bóg nadał mu prawo panowania nad naszą krainą...

Przerwała, widząc groźny grymas na twarzy stryja. Inni również zamilkli. Gdy zapadło całkowite milczenie, przemówił Clyde:

- Tym bardziej należy zawiadomić Madoca ap Lloyda. - Wstał; zebrani poszli w jego ślady. - Dewey, wyznacz posłańca. Teraz zostawcie mnie, muszę się zastanowić. - Zwrócił się do żony Nesty: - Przyślij mi skrybę, gdy tylko nadejdzie.

Josselyn wyszła z izby wraz z innymi. Lecz jej krew burzyła się na myśl o nadciągającej wojnie i podniecenie nie pozwoliło jej wrócić do kuchni. Pobiegnęła po pergamin, atrament, gęsie pióro i piasek, po czym powróciła i

wślizgnęła się do głównej izby.

Clude stał przed portretem brata - jej ojca; Josselyn wiedziała, o czym stryj myśli. Howell ap Carreg Du zginął w walkach z Anglikami blisko dziesięć lat temu. Pograżona w smutku żona zmarła przy porodzie niespełna miesiąc później, wydając na świat martwe dziecko płci męskiej. Winę za to przypisano również zniechęconemu królowi Anglii. W późniejszych latach Anglicy zaprzestali prób podboju północnej Walii, ale sukcesy, jakie odnieśli na południu, najwidoczniej stanowiły skuteczną zachętę do ponowienia kampanii, gdyż najwyraźniej wrócili na dłużej.

Ilu Walijszyków tym razem odda życie, by ich zatrzymać? Josselyn stłumiła dreszcz niepokoju.

- Mam pergamin, stryju. Podyktuj, proszę, treść listu, spiszę go wiernie.

Clyde powoli odwrócił się do niej twarzą.

- Masz inne obowiązki. Mogę poczekać, póki nie nadejdzie skryba.

Uniosła lekko brodę.

- Wolałabym sama spisać twoje posłanie do Medoca ap Lloyda, jeśli pozwolisz. Mam równie czytelny charakter pisma jak skryba.

Clyde przyjrzał się bratanicy, spadkobierczyni swego jedynego brata, która dziedziczyła również po nim. Dzielną była z niej dziewczeczka, nikt nie mógł zaprzeczyć, on sam byłby ostatni. I mądra, wykształcona lepiej niż on. Newlinowi należały się za to podziękowania - czy może raczej potępienie? Clyde często martwił się, że pragnienie wiedzy, jakie rozbudził w niej bard, mogło ją unieszczęśliwić. Wiedza czyni marzycieli nawet z

najbardziej praktycznych ludzi. Cóż, nawet marzyciele musieli odłożyć na bok mrzonki w czasach, jakie ich czekały. Josselyn musi się nauczyć cnoty praktyczności.

Skinieniem głowy wyraził zgodę na jej prośbę. Odwzajemniła się mu wdzięcznym uśmiechem, lecz dobrze wiedział, że niebawem uśmiech spełźnie z jej twarzy.

- Madocowi ap Lloyd pozdrowienia. - Dyktował, czyniąc pauzy, w czasie których słyszał skrzypienie pióra uwieczniającego jego słowa na kosztownym zwoju.

Josselyn nie przechwalała się darmo; jej pismo było równe i czytelne, żaden kleks nie zamazał czystej stronicy.

-... czas na przymierze do walki ze wspólnym wrogiem. Dla zapewnienia trwałego pokoju między naszymi rodami gotów jestem przedyskutować sprawę, którą w przeszłości odłożyliśmy na bok.

Josselyn podniosła głowę, gdyż stryj zamilkł na dobre. Światło jedynej w komnacie olejnej lampki pozłociło jej twarz miękkim blaskiem. Clyde nie po raz pierwszy pomyślał, że dziewczyna dorównuje urodą swej matce. Gęste krucze sploty. Cera promieniejąca blaskiem bujnej młodości. Dziedzicząc po matce czar kobiety, otrzymała w spadku po ojcu jego duszę, odwagę i skłonność do impulsywnego działania. Jeśli jakakolwiek kobieta potrafiła okiełznać porywczego syna Madoca - czy chociażby skierować jego energię na pożyteczne tory - była nią właśnie Josselyn.

Co nie znaczyło, iż z przyjemnością robił to, co musiał uczynić.

- Cóż to za sprawa, którą w przeszłości odłożyliście na bok?

- Spytała dziewczyna, wpatrując się w stryja błękitnymi

oczami.

- To kwestia pokoju między nami i rodem Lloydów.

- Rozumiem, ale jak zamierzasz zapewnić mu trwałość? Wiesz, co się stanie. Gdy już wypędzimy Anglików, Lloydowie wrócą do swoich złodziejskich sztuczek i zaczną się z nami wadzić. Nie można im zaufać.

- Planuję związek małżeński między naszymi rodami - powiedział prosto z mostu.

W twarzy Josselyn wyraźnie zaszła niedostrzegalna zmiana w chwili, w której w pełni pojęła znaczenie słów stryja. Zaczęła nieco szybciej oddychać, lecz w żaden inny sposób nie okazała swych uczuć.

- Wydasz mnie za Owaina? - Spytała po długim milczeniu.

- Jeśli się zgodzisz. Minał już czas żałoby. Niedługo Madoc zacznie się rozglądać za nową żoną dla syna, zechce mieć więcej wnuków.

Wzięła głęboki oddech i zanurzyła pióro w atramencie, patrząc spod uniesionych brwi na zapisany pergamin.

- Czy pragniesz dodać coś jeszcze?

- Nie.

Josselyn przyglądała się, jak Clyde podpisuje list. Potem opatrzyła go datą i stopiła wosk, by stryj mógł sygnetem rodowym wycisnąć na pergaminie pieczęć. Zabroniła sobie jakiegokolwiek reakcji na wstrząsającą nowinę, którą się z nią właśnie podzielił. Nie miała zamiaru poddać się przerażeniu, gdyż wiedziała, jak mało znaczy jej lęk w obliczu ważniejszych, dalekosiężnych planów. Niestety, nie opuszczał jej.

Owain ap Madoc był okrutnikiem i rozbójnikiem. Od kiedy sięgnęła pamięcią, prześladował mieszkańców Carreg Du.

Niedawno owdowiał, więc plany stryja nie powinny jej tak bardzo zaskoczyć. Oczywiście, nikt nie mógł - ani nie zamierzał - zmusić jej do tego małżeństwa, lecz fakt ten nie grał żadnej roli. Josselyn mogła go odrzucić, gdyż żadna Walijska nie podlegała przymusowi zamążpójścia za nienawistnego jej mężczyznę.

Owain zaś był jej nienawistny. Co prawda znała go głównie ze złej sławy, jaka otaczała jego imię, a sama widziała go na oczy zaledwie cztery razy. Po raz pierwszy w dzień święta plonów w Caneg Du, kiedy ona była jeszcze dzieckiem, a on niezgrabnym wyrostkiem, chuliganiącym z innymi chłopakami. Tyranizował słabszych od siebie i płatał im złośliwe psikusy.

Za drugim razem miała już lat dwanaście i zbierała jagody w Dolinie Świętego Cedryka, gdy ją zaskoczył. Nie rozumiała większości słów, jakimi ją obrzucił, nie pojęła obraźliwych insynuacji, ale i tak wzbudził w niej bezbrzeżny strach.

Ścigał ją wtedy, jak wilcze szczenię zagania królika: nie po to, by schwytać, lecz by patrzeć, jak ucieka.

Nigdy nikomu nie opowiadała o tym zdarzeniu. Być może źle uczyniła, milcząc. Teraz rozumiała jego słowa - że pewnie bardzo chce "tego". Tego... Josselyn poczuła dreszcz obrzydzenia na samo wspomnienie. Był wstrętny jako młodziwiec i wyrósł na jeszcze bardziej odrażającego mężczyznę.

Kolejny raz widziała go na dorocznym jarmarku końskim w Holywell. Był już żonaty, Josselyn bardzo było żal nieszczęsnej dziewczyny. Ale najgorsza była pamięć ostatniego spotkania. Sześć miesięcy temu on i banda jego zbójów przywiozła ze sobą ciało Tomasa, mówiąc, że

znaleźli je na wąskim skrawku wybrzeża u podnóża Rosecliffe. Podobno zrzucili go Anglicy, których widziano w tej okolicy. Owain i jego ludzie zachowywali się jak dobroczyńcy, zwracając z maltretowane i zakrwawione zwłoki.

Dewey udawał wtedy, że naprawdę zasługują na wdzięczność, gdyż owego dnia w Carreg Du było niewiele mężczyzn i nie chciał prowokować potyczki z uzbrojoną po zęby bandą Owaina. Ale sam miał inne podejrzenia, a Josselyn o tym wiedziała, bo podsłuchiwała jego rozmowę ze stryjem. Owain i jego zbiry najprawdopodobniej zaskoczyli Tomasa na polowaniu w granicach ich włości, a chociaż, według prawa, nie wolno mu było łapać zwierzyny na ich terytorium, nie musieli go przecież zabijać. Mordować.

Josselyn nie musiała poznawać go bliżej, by wiedzieć, jaki jest odrażający.

Miała wszakże zobowiązanie wobec swego rodu. Była jedynym spadkobiercą Clyde'a. Jeśli nie wyjdzie za mąż jeszcze za życia stryja, po jego śmierci zapanuje chaos, z czego nie omieszkają skorzystać Lloydowie. Poza tym doszła groźba angielskiej inwazji. Jej ród może nie oprzeć się tym razem sile ich oddziały.

W nadchodzących bitwach stryj może zginąć. Choć niechętnie o tym myślała, wiedziała, że Clyde zawczasu rozpatruje kwestię swego następcy.

Ale Owain ap Madoc!

Równie rada byłaby małżeństwu z Anglikiem, co z tym zbójem!

Obserwowano ich. Rand wiedział o tym, lecz było to po

jego myśli. Niech sobie go szpiegują mieszkańcy tego nędznego zakątka Walii, niech przekażą nowiny o jego nadejściu swoim pobratymcom. Już dawno temu król Henryk ogłosił ziemie walijskie swym lennem. Teraz zaś zadaniem Randa było zamienić deklaracje w rzeczywistość i w chwale powrócić do Londynu.

Stał na długiej grani stanowiącej szczyt góry zwanej przez Walińczyków Carreg Du, Czarny Głaz. Spoglądał w dół, na stromiznę znaną jako Rosecliffe, których czeluść zdobyły uparte róże. Potem bystrym wzrokiem przeczesał cały horyzont. Na północ i wschód rozciągało się chłodne morze. Od zachodu i południa wznosiły się skute lodem wzgórza. A gdzieś wśród ich ciemnych zalesionych zboczy krył się ośrodek oporu. Obserwowali go, podpatrywali i czekali. Zrobią wszystko, by go stąd wypędzić; w ostateczności skłócone rody zjednoczą się. Ale on nie da się wypędzić, a oni będą musieli to zrozumieć - choćby przyszło czekać na to całe lata.

Leżący poniżej obóz zaczynał powoli nabierać kształtu. Już teraz miejsce namiotów zajmowały mocno zbudowane chaty z bali. Robotnicy zabrali się do pracy w dniu lądowania. Sir Lovell, mistrz budowniczy, nadzorował ich wysiłki, gdy za pomocą palików i chorągiewek znaczyli obwód murów przyszłego zamku - najpierw masywnych ścian wewnętrznych, potem wysuniętych daleko na przedpole zewnętrznych fortyfikacji. Nawet miasto będzie otoczone

murem obronnym. Zamiarem Randa było stworzyć dobrze chronione siedlisko. Każdy obywatel mieszkający w obrębie jego włości będzie mógł liczyć na bezpieczeństwo wszędzie tam, gdzie będzie powiewać jego sztandar - każdy, Anglik, Walijszyk czy mieszaniec.

Ostatnia myśl wywołała grymas na jego twarzy. Jeszcze przed wyjazdem król Henryk zdążył go przestrzec, iż pokolenie dzieci zrodzonych z walijskich matek może się zwrócić przeciw swym angielskim ojcom, zamiast wspierać ich w walce. Ale nie przyszłe pokolenia stanowiły zmartwienie. Randa: Wiedział, że jego ludzie potrzebują żon. Gdy nadejdzie kolejna zima, będą tęsknić do ciepła kobiecego ciała w łożu. Jego obowiązkiem jest dbać o ich wygodę i zadowolenie, a najłatwiej to osiągnąć, dając im kobiety. Mężczyzna łączy się z ziemią, na której bierze ślub, równie mocno, jak już teraz związany był z nią Rand.

On jednak nie zamierzał zacieśniać swych związków z tą krainą ożenkiem. Jego wiązała ambicja - i to nie na zawsze. Poza ostatnimi dziesięciu laty, gdy bił się w wojnach króla Henryka, całe życie spędził, walcząc o prawo do ziem, które miały się stać jego lennem. Teraz, gdy już je miał, czekała go innego rodzaju bitwa.

Długie zimowe miesiące spędził, rozważając swą sytuację, gromadząc ludzi i zapasy oraz układając plany. Nie takiego lenna pragnął, nie w Walii chciał otrzymać majątki. Ale właśnie tu dostał nadanie. Wobec tego zamierzał uczynić je prawdziwie swoim, aczkolwiek nie chciał marnować ani czasu, ani wysiłków ponad potrzebę. W razie czego gotów był użyć siły, lecz wiedział, że szybciej osiągnie cel, utrzymując pokój. Zamierzał jednak robić to silną i

zdecydowaną dłoń. Tak czy inaczej, musi zwyciężyć.
Gdy już utrwali panowanie Anglii na ziemiach północnej Walii, Henryk i królewscy doradcy będą zmuszeni uznać jego rosnące wpływy. Utoruje sobie drogę z powrotem do Londynu jako baron stokroć potężniejszy niż ongiś. Wciąż co prawda pozostawała kwestia znalezienia odpowiedniej żony i gdy tylko znajdzie czas, będzie musiał się nią zająć.
Rand usłyszał nagle swoje imię. To przysadzisty kapitan oddziału, Osborne de Vere, wspinał się po ciemnym, ściętym mrozem zboczu.

- Zakończyliśmy rozładunek. Statek pożegluje do Anglii z najbliższym przypływem.

- Rozumiem, że Alan odebrał już rozkazy.

- Tak jest. Ma wrócić ze stolarzami i kamieniarzami oraz z resztą zapasów żywności.

Żołnierz zamilkł, lecz Rand dobrze wiedział, jakie będą jego następne słowa. Od pięciu lat Osborne stanowił jego straż przyboczną i często się zdarzało, że nawzajem ratowali sobie życie. Nierzadko myśleli o tym samym jednocześnie, chociaż nie zawsze się ze sobą zgadzali. Rand przemówił, zanim Osborne zdołał otworzyć usta.

- Jasper zostanie w Anglii.

Osborne zmrużył oczy i wysunął szczękę.

- Wśród walijskich wzgórz twój młodszy brat szybciej stanie się mężczyzną niż gnąc się w ukłonach na królewskim dworze. Sam Jasper to przyznaje.

- On szuka przygód bez ciężaru odpowiedzialności - rzekł Raud. - Znasz moje przekonania w tym względzie, zna je również Jasper. Dopóki nie nauczy się lawirować w krętych meandrach dworskich intryg i nie opanuje sztuki

przetrwania w tym gnieździe żmij, póty będzie z niego zaledwie nieopierzony młokos, z którego nie miałbym żadnego pożytku. Gdy osiągnie biegłość w życiu na dworze Henryka, może przyjechać tu, do Walii, a ja wtedy powrócę do Anglii. Będzie tak, jak postanowiłem. - Rand zmienił temat. - Jakie wieści od sir Lovella?

Osborne przezornie porzucił temat młodszego brata Randa. Odchrząknął.

- Na wszystkich świętych! Nigdy bym nie dał wiary, że mężczyzna tak łagodnej natury może być tak surowym nadzorcą robót. Jego załoga zdążyła już wyznaczyć obrys murów. Kopacze zaczęli wiercić obie studnie, jedną dla zamku, drugą na użytek przyszłego miasta, tuż za murami zamku. Plan budowy jest zgodny ze wstępnymi szkicami: fosa na pół długości murów, spadzisty klif. Kamieniołom. - Osborne rozejrzał się. - Trudno sobie wyobrazić, że będzie się tutaj wznosił zamek.

Rand nie miał takich trudności z wyobraźnią. Wierzył w wyznaczanie celów - niełatwych, nawet niemożliwych. Dotychczas zawsze udawało mu się je realizować. Wszystkie - prócz jednego. Ani razu nie usłyszał od ojca słów uznania dla swych sukcesów. I nie usłyszy ich już nigdy. Ojciec zmarł w przekonaniu, że najstarszy syn jest najlepszym z jego potomstwa. Randulf został wcześniej wysłany na wychowanie do okrutnego mężczyzny, którego metody wychowawcze miały wykorzenić ze średniego syna porywczosć i temperament. Jasper został przeznaczony do kariery w Kościele. Tylko John, w pojęciu ojca, zasługiwał na Jego uwagę.

Wysiłki opiekuna, który próbował uczynić z Randa

posłusznego żołnierza, spełzły na niczym, a i Jasper zrzucił pęta klasztorного życia. A John okazał się pijakiem i głupcem, który po śmierci ojca całkowicie się załamał.

Rand zaczerpnął głęboki łyk lodowatego powietrza, lecz mroźny powiew go nie oszukał: wiosna była już blisko, a wraz z nią nadchodziło wyzwanie: trzeba zbudować twierdzę i pojednać się z gniewną i podejrzliwą okoliczną ludnością.

- Mury będą rosły powoli, ale niepowstrzymanie - obiecał Osborne'owi. - Tymczasem musimy przecież jeść. Nie zapomnij ani na chwilę: klucz do naszego triumfu będą stanowić pomyślne zbiory.

- Wyznaczyliśmy już obszar pod tereny uprawne, najlepsze ziemie, które zaorzemy, gdy tylko będziemy pewni, że odwilż się ustaliła. Zdaje się jednak, że mamy pewien problem.

- Jaki?

Osborne wykrzywił twarz.

- Jest tu pewien mężczyzna, jeśli tak można go nazwać. Dziwaczny człek, cały pokręcony i zniekształcony. Kopacze pracowali właśnie dokoła pogańskiego ołtarza... Nie wiem, czym właściwie jest ta kupa kamieni... Gdy wyrósł jak widmo spomiędzy głazów. Stracili rozum ze strachu, nie chcą się tam zbliżyć.

- A kaleka?

Osborne westchnął potężnie z rozpaczy.

- Siedzi na tym przeklętym ołtarzu. Nie chce się ruszyć.

- Usuń go stamtąd - rozkazał Rand, starając się zachować powagę. Jego kapitan nie lękał się żadnego mężczyzny i żadnej broni, lecz był przesądny. Rand wiedział, że obecność

zdeformowanego człowieka wzbudziła w piersi Osborne' a pierwotny lęk.

- Jak go usunąć? Kto ma to zrobić?

- Rozumiem, że nie zgłaszasz się na ochotnika.

Osborne przeżegnał się chyłkiem.

- Za żadne skarby świata.

- Czy ten nieszczęśnik jest od ciebie większy?

- Nie.

- Ma broń potężniejszą od twojej?

- Ma w sobie diabła, ot co! Sam szatan jest jego bronią.

Najpierw mamrocze coś w tym swoim pogańskim narzeczu, potem zaczyna przemawiać świętą mową kapłanów!

Rand podniósł głowę, zaskoczony.

- Zna łacinę?

- Tak, panie. Przeklinał nas też po francusku i angielsku-
odrzekł Osborne. - Zaręczam, iż ma po swojej stronie szatana.

Rand spojrział w stronę stosu kamieni, który wzięli za pogański ołtarz. Kaleka władający czterema językami? Jego kapitan albo za głęboko zanurzył nos w beczce wina, albo postradał rozum.

Albo ta ziemia opętana jest przez wróżki i demony, poddana władzy magów i czarowników, jak głosiły plotki.

Niech się więc mają na baczności wróżki i magowie! Niech odejdą czym prędzej, gdyż Randulf Fitz Hugh przybył, by panować nad tą krainą w imieniu swoim i Henryka, króla Anglii.

Kącikiem prawego oka widział proporzec z sylwetką czerwonego wilka, powiewający nad obozem sztandar Randulfa Fitz Hugh. Już niedługo ten sztandar będzie zdobił

blanki murów potężnej twierdzy. I żadne czary ani przesady nie zawrócą Randa z raz obranej drogi.

Rozdział drugi

Osborne nie wspomniał Randowi o jednym: że niepokojący kaleka jest karłem, nie wyższym od drobnej kobiety. Poza tym jego opis był uderzająco wierny.

Człek ten siedział na płaskim głazie opartym na pięciu kamieniach tkwiących do połowy w ściętej mrozem ziemi. W gruncie pod skalną półką wyżłobiono zagłębienie, tworząc coś w rodzaju niewielkiej ciemnej jaskini, o sklepieniu zbyt niskim, by dojrzały mąż mógł się w niej zmieścić, nie schylając czoła, lecz jakby stworzonej dla karła kaleki.

Rand stanął przed kamienną konstrukcją i spojrzał wprost w spokojną twarz dziwaczного człeka. Stwierdził, że nie widzi w niej lęku, co już zaskarbiło kalece odrobinę szacunku w jego oczach. Ale tylko odrobinę dalej się nie ugnie. Skinął głową.

- Jestem Randulf Fitz Hugh.

Lewa strona twarzy kaleki uniosła się w uśmiechu. Zdrowe oko skupiło wzrok na Angliku.

- Jestem Newlin - odrzekł płynnie po francusku.

- Czy łaciną, walijskim i angielskim władasz równie swobodnie jak francuską mową? .

- Łaciną posługuję się lepiej niż byle ciura - odpowiedział Newlin. Tak przynajmniej Rand zrozumiał jego słowa, wypowiedziane w świętym języku. - I po angielsku wysłowię się bez trudu - kontynuował mężczyzna. - Ale mój

walijski... - Zakończył zdaniem brzmiącym jak potrząśnięcie grzechotką, w którym Rand zrozumiał jedynie słowo "Cymru".

Tak brzmiało walijskie określenie tej krainy. Podczas wielomiesięcznych przygotowań do wyprawy Rand usiłował nauczyć się podstaw miejscowego dialektu. Nie tylko ze względu na posłuszeństwo królowi, który wydał rozkaz, by oficjalnym językiem dworu była mowa, jaką posługiwano się na podległych mu ziemiach. Umiejętność porozumienia się w tubylczym dialekcie była po prostu praktyczna, jeśli miał sprawnie rządzić zamieszkałym tu ludem. Te kilka lekcji, które wziął, najwyraźniej nie wypełniły głębokich luk w jego lingwistycznej wiedzy.

Przemówił więc po francusku.

- Czy jesteś zrodzony na tej ziemi?
- Jestem bardem Carreg Du. Zawsze tu mieszkałem.
- Gdzie właściwie jest twoje domostwo?

Newlin zrobił ruch zdrową ręką.

- Ten dolmen służy mi czasem za schron. Kiedy indziej mieszkam wśród drzew.
- A wioska Carreg Du? Leży mniej niż dwie mile na południe stąd. Czy nigdy nie mieszkałeś między swym ludem?

Na powykręcanej twarzy znowu zagościł osobliwy uśmiech.

- Mieszkam między swym ludem, ludem drzew. Czemu ty opuściłeś swój lud?

Rand uważnie przyglądał się bardowi. Niewątpliwie w zniekształconym, kalekim ciele zamieszkiwał zdrowy, sprawnie działający umysł.

- I ja, podobnie jak ty, mieszkam wśród swoich. Przybyłem

tu, gdyż tu jest mój dom. Mam zbudować zamek, który ochroni wszystkich mieszkańców tych ziem, pragnących żyć w pokoju. W pokoju - powtórzył.

- W pokoju. - Bezbarwne oczy barda rozbiegły się w różne strony, lecz Rand był świadom, że kaleka przez cały czas przygląda mu się pilnie. - Wy, Anglicy, nie zwykliście przybywać do Walii w pokojowych zamiarach.

Rand skrzyżował ramiona na piersiach.

- Na ten właśnie temat chętnie porozmawiam z Clyde'em ap Llewelynem. Czy możesz przekazać mu wiadomość ode mnie?

Bard począł kołysać się w przód i w tył. Ruch był prawie niedostrzegalny, lecz Rand go zauważył.

- Tak, panie - powiedział Newijn. - Kiedy chciałbyś się z nim spotkać, i gdzie?

- Tu. - Rand położył dłoń na płaskiej powierzchni głazu, na którym siedział bard. - Rozumiem, że to miejsce jest uświęcone.

- Dolmen. Miejsce pochówku.

- Pochówku? I ty tu mieszkasz?

- Czasami.

Rand skinął głową, choć nie pojmował mężczyzny, który potrafił spocząć we śnie na ziemi kryjącej kości zmarłych.

- Będziemy więc rozmawiać, jeżeli zgodzą się przyjść.

- O pokoju? - Zapytał bard.

- O pokoju.

Rand nie oczekiwał, że tubylcy zgodzą się na ten rodzaj pokoju, jaki chciał im zaproponować. Wiedział jednak, że stoi na silnej pozycji. Clyde ap Llewelyn nie miał żyjących synów, którzy mogliby przejąć jego dziedzictwo. Ten strzęp

informacji przekazał mu król Henryk. Gdyby starzejący się Clyde nie zdołał przed śmiercią wyznaczyć na następcę człowieka dostatecznie silnego, by zapewnić sobie posłuch, wioskę czeka okres zmagania pozostałych w niej mężczyzn o dominującą pozycję - albo przejęcie przez inny, silniejszy, ród. Taki był odwieczny zwyczaj wśród wojowniczych plemion Walii.

Lecz jeśli Rand potrafiłby powstrzymać lud Carreg Du od zawarcia unii z innymi wioskami, nie byłoby w stanie przysporzyć mu poważniejszych zmartwień. Nawet jeśli by nim pogardzali, to jego potęga wymusiłaby ich pokojowe zachowanie. Więcej od nich nie oczekiwał.

- Przekażę twoje słowa - zgodził się Newlin.

Rand już chciał odejść, lecz zatrzymał się w pół kroku.

- Jeszcze jedno. Chciałbym nauczyć się miejscowej mowy. Walijskiego. Cymraeg - dodał. - Czy mógłbyś się tego podjąć?

Newlin odwrócił wzrok ku wierzchołkowi Rosecliffe. Wpatrywał się w skały na szczycie, a jego ciało znów zaczęło się lekko kołysać.

- Ja nie. Ale jest ktoś... - Urwał. - Być może jest ktoś inny.

- Ale ja muszę iść z wami - Josselyn uniesieniem brwi odparła krytyczne spojrzenie stryja. - Mam do tego takie samo prawo jak wszyscy.

- Nie zabiorę kobiety do obozu wroga. Dziewczyno, pomyśl tylko! Setka uzbrojonych mężczyzn, których aż świerzbi, by zająć za skórę przeciwnikowi. Nie, nie pozwolę na to szaleństwo.

Josselyn westchnęła, nie mając wszakże zamiaru się poddać.

Spróbowała innego wybiegu.

- Czy miałeś już odpowiedź od Madoca ap Lloyda?

Clyde spojrział wprost w szeroko otwarte oczy dziewczyny; wytrzymała jego wzrok bez mrugnięcia.

- Nie. - Odparł. - Powiem ci, kiedy powróci posłaniec.

- Czemu?

Zmarszczki na jego czole pogłębiły się.

- Ponieważ od jego odpowiedzi zależy twoja przyszłość... -

Urwał, widząc wyraz triumfu wypełzający na twarz dziewczyny. - Nie, to nie to samo!

- Ależ tak! Moje ziemie. Moja przyszłość. Poza tym - dodała - władam francuskim daleko płynniej niż Dewey, a...

- Nie! Nie pójdziesz! - Uderzył pięścią w stół, aż Josselyn podskoczyła, podobnie jak półmiski i kubki.

- Jossy, proszę cię - szepnęła ciotka siedząca w rogu komnaty. - Błagam cię, bądź rozsądna.

Tylko wzgląd na ciotkę Nessie powstrzymał Josselyn przed dalszą sprzeczką ze stryjem. Miała wielką ochotę choćby przekonać się jeszcze raz, że potrafi zburzyć jego opanowanie. Jak śmiał traktować jak dziecko kogoś, z kogo uczynił przedmiot przetargu w rokowaniach z Owainem! Jeśli w tej części planu była centralną postacią, czemu nie dał jej przynajmniej prawa obserwatora pozostałych wydarzeń? Nie było jednak czasu na dalszą dyskusję. Zmusiła się do uległości.

- Doskonale - mruknęła. Wyszła z komnaty, lecz jej umysł nie przestał gorączkowo pracować. Pójdzie na rozmowy do obozu Anglików. Ujrzy wrogów z bliska i oceni ich siłę i ich słabości. Musi bowiem upewnić się ponad wszelką wątpliwość, iż małżeństwo z Owainem stanowi jedyny

sposób, by ich wypędzić.

Boże, miej ją w swej opiece, gdyby miała poślubić Owaina, a mimo to utracić ojczyste ziemie!

Do spotkania doszło w godzinach popołudniowych, choć przez ołowianą barwę zimowego nieba wydawało się, że zmierzcha. Czy Newlin wiedział z góry, że tak będzie? Prawdopodobnie, stwierdziła w duchu Josselyn. Bard nie ujawniał swej obecności, lecz dolmen był oświetlony kręgiem pochodni rzucających chybotliwe cienie na kamienne ściany.

Czy druidzi z dawnych czasów właśnie taki czynili pożytek z dolmenu? Czy ich duchy wciąż nawiedzały to miejsce?

Josselyn poczuła dreszcz niepokoju. Miała na sobie skórzaną tunikę dobrze chroniącą od zimna, lecz zdawało jej się, iż przenika ją dziwny chłód. Przypisała to niesamowitej atmosferze stworzonej przez Newlina. Z pewnością próbował w ten sposób onieśmielić Anglików wizją świętego miejsca nawiedzanego przez duchy przodków. Niestety, podobny efekt wywarło ono na mieszkańcach tych ziem. Nawet Josselyn, choć znała prawdę, nie pozostała obojętna.

Podążała w pewnym oddaleniu za resztą. Przebrała się w wieśniaczy strój, lecz mogła wzbudzić podejrzenia jako ktoś obcy. Liczyła raczej na to, że myśli obecnych zwrócone będą w inną stronę. Stryj zatrzymał się na skraju świetlnego kręgu. Na jego znak na czoło grupy wysunął się Dewey. Josselyn podkradła się odrobinę bliżej i ostrożnie stanęła w cieniu barczystego, wysokiego wieśniaka.

- Przychodzimy w pokoju, chcemy jedynie rozmowy -

odezwał się Dewey, powtarzając słowa, które stryj wypowiedział przed wyruszeniem na Rosecliffe. - Bądźcie czujni i gotowi, lecz broń trzymajcie w pochwie, póki nie padnie inny rozkaz.

- A jeśli oni pierwsi wyciągną miecze? - Zapytał Dulas, garbarz. Stryj Josselyn zwrócił się twarzą do współziomków.

- Brońcie się, owszem, ale nie bądźcie zbyt skorzy do ataku.

Ta decyzja należy do mnie.

- Powinniśmy zetrzeć ich z powierzchni ziemi, powinniśmy każdego z tych drani podziurawić jak sito - wyszeptał młokos stojący obok Josselyn. - Co ty na to? - Dźgnął ją łokciem.

Dziewczyna jęknęła cicho; ostatkiem woli powstrzymała się, by nie zgiąć się wpół z bólu.

- Podziurawić jak sito - powtórzyła zadziorne słowa sąsiada.

Obdarzyła niezdarnego wyrostka spojrzeniem spode łba.

Chłopak przyglądał się jej podejrzliwie.

- Hej, ty, coś ty za jeden? - Spytał, unosząc brwi.

Na szczęście dla Josselyn jego uwagę odwróciły poczynania Deweya, Clyde'a i Bowera. Trójka przywódców walijskich wkroczyła w obręb jasno oświetlonego dolmenu. Korzystając z okazji, Josselyn odsunęła się od młodzieńca i okrążyła zebranych, szukając lepszego punktu obserwacyjnego. W krąg światła wkroczyło jednocześnie trzech Anglików. Josselyn natychmiast zapomniała o podejrzliwym wieśniaku, rozkazach stryja, nawet o ciężącym jej skórzanym okryciu walijskiego wojownika, w które się przebrała. Wysoki Anglik o szerokich ramionach stał przed wejściem do dolmenu naprzeciw stryja, mając u boku dwóch mężczyzn o wyglądzie srogich żołnierzy. Nie

dostrzegła nigdzie w pobliżu niskiego rudobrodego; może krył się w ciasno zbitej grupce Anglików, którzy, podobnie jak Walijczycy, zgromadzili się w pewnym oddaleniu, po drugiej stronie grobowca.

Josselyn bacznie przyglądała się wrogom. W ciżbie wojów, rycerzy odzianych w zbroje i pieszych w skórzanych kurtach, dostrzegła też mężczyzn, którzy mieli inną misję do spełnienia - rzemieślników, jak ów niski rudobrody człowiek. Serce zaczęło jej walić ze strachu. Będą budować zamek, to pewne.

Przed dziesięciu laty Anglicy przybyli uzbrojeni do walki z mieszkańcami Walii. Josselyn straciła wtedy rodziców, a wielu innych ziomków padło ofiarą najeźdźców. Udało im się jednak odeprzeć wroga i wygnać go ze swej krainy.

Dziewczyna nie umiała znaleźć pociechy w tym chwalebnyim wspomnieniu. Powróciła spojrzeniem do wysokiego przywódcy. Ten angielski lord był sprytniejszy niż jego poprzednicy. Przybył spokojnie, bez zgiełku oręża. Zamiast zaatakować wioskę, zamierzał się okopać w silnie chronionej bazie. Zamiast kraść żywność Walijczykom, przywiózł własne zapasy i swoich robotników.

Zamierzał wznieść tu potężną twierdzę, zamek, którego walijscy wojownicy nie będą w stanie zdobyć.

Josselyn zacisnęła dłonie w pięści. Trzeba im przeszkodzić! Uważnie badała spojrzeniem wodza. Nie należał do ludzi, których łatwo pokonać. Pozornie przybywał w pokoju, lecz był żołnierzem, choć w odróżnieniu od wielu swych towarzyszy nie miał na sobie hełmu ani zbroi. Coś w jego postawie zdradzało człowieka walki, który nie zna litości. Przemawiał za tym opanowany wzrok i pewna siebie

postawa.

Josselyn próbowała zrozumieć, na czym polega jego przemożny wpływ. Nie straszył groźbami, a przecież czuła się zagrożona. W dogasającym świetle popołudnia mrużyła oczy, badając jego rysy, próbując odpowiedzieć sobie na pytanie, czemu serce zaczęło tak nagle tłuc się w piersiach, skoro ten mężczyzna nic nie czynił, stał tylko naprzeciw jej stryja i patrzył mu w oczy.

Wtem Anglik przemówił. Poczowała, jak jej dłonie stają się śliskie od potu.

_ Clyde'owi ap Llewelyn powitanie. Witajcie i wy, mieszkańcy

Carreg Du. Jestem Randulf Fitz Hugh i zamierzam się osiedlić między wami.

Dewey przetłumaczył głośno, by wszyscy zebrani usłyszeli jego słowa, ale w jego tłumaczeniu zabrakło dudniącego głębią tonu głosu Anglika, pewnego siebie doboru słów, niezaprzeczalnej aury władzy, którą przybysz roztaczał.

Dewey nie skomentował też kształtu ust Anglika...

Josselyn przywołała się do rozsądku. Kształt jego ust? Wysiłkiem woli oderwała wzrok od angielskiego lorda i rozejrzała się ostrożnie. Jej ziomkowie skrzywili się, słysząc aroganckie słowa Anglika. Witać ich - na ich własnej ziemi! Tymczasem jej to umknęło, gdy rozmyślała nad kształtem jego warg.

Wściekła, że ten impertynent bez wychowania zdołał rozproszyć jej uwagę, Josselyn skoncentrowała się na szukaniu w nim wad. Był zbyt wysoki, wydawał się niemal olbrzymem. Miał twarz zrytą bliznami.- Jedna przecinała policzek, druga widniała na czole - wystający nos, oznakę

dumy, i zbyt ciemne oczy.

Lecz gdy lekko odwrócił głowę, blask pochodni oświetlił kruczoczarne włosy o gładkości jedwabiu. Na chwilę Josselyn opanowała absurdalna chęć, by sprawdzić, czy rzeczywiście są tak miękkie i aksamitne.

Na szczęście ostra odpowiedź stryja położyła kres jej nieprzystojnym rozważaniom.

_ To do nas należy przywilej powitania, nie do was. Angielski lord, Randulf Fitz Hugh, jak się przedstawił, odparował posępne spojrzenie stryja łagodnym wzrokiem.

_ A więc przyjmuję wasze powitanie. Te ziemie wziął pod swe panowanie Henryk, król całej Brytanii, do której należy kraina Walii. Przybywam jako jego namiestnik, by chronić zarówno ziemie, jak i lud, który je zamieszkuje.

_ Niepotrzebna nam ochrona, a już z pewnością nie wasza - odparł Clyde głosem, w którym pobrzmiwała stal.

Walijczycy otaczający Josselyn poruszyli się niespokojnie, nerwowo sięgając ku rękojeściom sztyletów i krótkich mieczy, jakby dotyk broni miał przywrócić im spokój i pewność siebie. Na szczęście jednak nie pokwapili się obnażyć ostrza.

Nagle przyszło jej na myśl, że gdyby doszło do bitwy, była w sytuacji nie do pozazdroszczenia, gdyż nie mogła się równać ani wzrostem, ani siłą czy zręcznością w boju mężczyznom, którym przyszłoby stawić czoło. Mimo to nie miała zamiaru się oddalić. Musiała ocenić stopień zagrożenia ze strony Anglików. Musiała podjąć decyzję, czy sytuacja rzeczywiście wymaga małżeństwa z Owainem ap Madokiem.

- Widzę, że umiecie się bronić, i jestem rad - odpowiedział

Fitz Hugh na wyzywające słowa jej stryja. Ton jego głosu pozostał łagodny, choć nieustępliwy. - Mam nadzieję, iż przywitacie w nas sojuszników przeciw wrogom, którzy mogliby chcieć wyrządzić wam krzywdę. W naszej obecności nic takiego wam nie grozi.

Jeszcze nie przebrzmiało tłumaczenie Deweya, gdy ktoś w kręgu zakrzyknął po walijsku:

- To nasze ziemie!

Dewey nerwowo obejrzał się na Clyde'a; ten potrząsnął przecząco głową. Josselyn nie zniosła przezornej powściągliwości stryja i przetłumaczyła okrzyk na francuską mowę Normanów, zanim zdążyła zastanowić się nad tym, co czyni.

Atmosfera raptownie się oziębła. Clyde obrócił się, szukając wśród zgromadzonych bratanicy; wiedziała, że rozpoznał jej głos. Czyjaś dłoń spoczęła ciężko na jej ramieniu, jednak większość zebranych Walijszyków powitała jej czyn z uznaniem. To były walijskie ziemie. Nie życzyli sobie angielskich panów, a już na pewno nie w postaci tego aroganckiego i wyniosłego lorda.

Josselyn przeszła spojrzeniem mężczyznę, który ją chwycił. Był nim Dulas, kiedy ją rozpoznał, natychmiast uwolnił jej ramię. Uśmiechnęła się szyderczo. Skoro stryj dowiedział się już o jej nieposłuszeństwie, mogła przestać się ukrywać. Wyprostowała się i przycisnęła do przodu między wieśniakami, by rezolutnie wkroczyć w krąg światła pochodni.

Gdy rozmyślała później o tej chwili, uznała, że właśnie ów śmiały czyn był jej największym błędem. Nie ze względu na gniew stryja, gdyż ten i tak już wzbudziła. Nie dlatego, że

angielski lord mógł przejrzeć jej przebranie.

Nie - błędem było zbliżyć się do Randulfa Fitz Hugh, wkroczyć w krąg władzy, jaka emanowała z jego twarzy i postaci, jakby świecił własnym światłem. Błędem było spojrzeć w jego ciemne przenikliwe oczy. Odparował niedbałym uśmiechem wyzwanie jakie rzuciła mu wzrokiem. Potem jego uwaga ponownie zwróciła się ku Clyde'owi i bieżącym rozmowom, Josselyn nie pozostało więc nic innego, jak stać koło nich, kipiąc z rozdrażnienia i wściekłości. Przepęniała ją rozpacz.

- Możemy zaoferować twoim ludziom pracę - oświadczył Anglik. - I zapłatę w monecie.

- Angielski pieniądz nie jest nam potrzebny.

- Między wami są tacy, którzy myślą inaczej.

- Ale ja nimi rządę! - Rzucił Clyde.

Angielski lord milczał przez chwilę.

- A kto będzie nimi rządził po tobie? Nie masz synów. Ale powiadam ci, że ja potrafię utrzymać pokój. Nie pozwolę twoim walijskim pobratymcom walczyć między sobą w poszukiwaniu nowego przywódcy, jak to macie w zwyczaju.

- Mamy również w zwyczaju jednoczyć się przeciw wspólnym wrogom.

- A potem znowu zaczynacie wyrzynać się między sobą. Powtarzam: utrzymam pokój w Carreg Du, dla dobra Anglii i Walii.

Patrzyli na siebie, a żaden nawet nie mrugnął okiem. Lord z Anglii nie miał zamiaru ustąpić. Stryj - jak sobie nagle uświadomiła Josselyn - też nie. Jedyne dziecko Clyde'a zginęło dawno temu w wyprawie przeciw Anglikom, walcząc u boku jej ojca. Wiedziała, że stryj raczej przeleje walijską

kręgu, każąc ziomkom walczyć, niż pozwoli Anglikom panować nad Carreg Du.

Josselyn czuła, jak w kręgu stojących za nią mężczyzn narasta napięcie. Angielski lord też musiał je wyczuć, gdyż jego rycerze wysunęli się do przodu z zaciętymi wyrazami twarzy i dłońmi na rękojeściach mieczy.

Nagle spod gładów dolmenu wyłoniła się pokraczna postać. Walijscy i angielscy wojowie wstrzymali oddech i, jakby byli złączeni wspólną myślą, cofnęli się. Zjawą? Duch druidów z zamierzchłej przeszłości Cymru?

Nie - to był Newlin, choć dla niejednego ze zgromadzonych tu ludzi był rzeczywiście czymś w rodzaju zjawy.

Josselyn nie należała do tych przesądnych. Angielski lord najwyraźniej również się do nich nie zaliczał. Nie drgnął nawet, gdy Newlin, przybrany w rzucającą długie cienie szatę nazywaną wstążkami, wdrapał się swym pokracznym krokiem na płaski kamień stanowiący sklepienie dolmenu.

- Na dziś koniec waszych rozmów. Teraz odejdźcie i poświęćcie czas na medytacje i rozważania. Lecz wiedźcie, zarówno wy, Anglicy, jak i wy, Walijszczy - zaintonował we francuskiej mowie, którą Dewey tłumaczył, stojąc w bezpiecznej odległości - jest taka legenda, której słuchamy przy wieczornym ognisku. Kołysanka. A może przepowiednia. Prawda, od której nie ma ucieczki. - Przerzucił się na walijski, recytując dziecinny wierszyk, znany każdemu synowi i każdej córce tej ziemi.

Tym razem do Josselyn należał przywilej tłumaczenia dla angielskiego lorda i jego oddziału. Niech usłyszają i rozważą.

Gdy głązy zaczną rosnać, a drzewa przestaną,

Gdy w południe zmrok czarny spowije niebios,
Gdy zimny chłód w spiekotę lata się zamieni,
Zobaczą dzieci Walii upadek swej ziemi.

Gdy ostatnie słowa przebrzmiały echem wśród otaczających zboczy, bard skulił się w kłębek na skalistej płycie dolmenu i znieruchomiał - jak prastara chybotliwa figurka, ściągająca ku sobie całe światło pochodni. Wczesny zmierzch pograżył okolicę w ciemności. Lecz w samym centrum świetlistego kręgu stryj Josselyn nadal dzielnie patrzył w oczy lordowi z Anglii. Dopóki Josselyn tłumaczyła wiersz, stał nieruchomo w milczeniu.

- Nigdy nie będziecie władać Cymru - odezwał się wreszcie.
- Henryk nigdy nie będzie tu królem. Prędzej te głązy zaczną rosnać. Dzień zmieni się w noc, a zima w upalną letnią porę, nim jakikolwiek Anglik zacznie sprawować tu rządy.

Z tymi słowami na ustach odwrócił się i dołączył do swych towarzyszy, a Dewey i Bower podążyli za nim. Josselyn nie była tak szybka. Nie wiedziała czemu, lecz prastara rymowanka nie natchnęła jej taką samą pewnością. Ze zmarszczonym czołem patrzyła na Randulfa Fitz Hugh.

On też ściągnął brwi, przez co wyraźniej widać było bliznę przecinającą czoło. Nie podobały mu się słowa Newlina. Josselyn poczuła, że jej wątpliwości ustępują, lecz gdy spoczęło na niej spojrzenie ciemnych oczu, jak gdyby szacując jej siłę, ogarnęło ją uczucie bardzo podobne do paniki.

- Potrzebuję kogoś, kto zechce nauczyć mnie waszej mowy.
Może mógłbyś...?

Nie oczekiwała czegoś podobnego, więc przez chwilę nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Ani francuskich, ani angielskich, ani nawet walijskich. Jakiś czar tkwił w tym mężczyźnie - a może to w niej było coś na tyle perwersyjnego, że zaschło jej w ustach, a w głowie czuła zamęt.

Potrząsnęła głową na znak odmowy - na więcej nie mogła się zdobyć - po czym odwróciła się i odbiegła w stronę swoich, bojąc się pozostać choćby sekundę dłużej w obecności człowieka, który burzył jej wewnętrzny spokój.

W czasie długiego powrotnego marszu karciała się w myślach ostrymi słowy za tchórzostwo. Gdy milcząc, podążali w stronę wioski, szydziła ze swoich nadziei, że Anglicy dadzą się łatwo przepędzić, a ona będzie wolna od przymusu małżeństwa z Owainem.

Nienawidziła Owaina. Nienawidziła Randulfa Fitz Hugh, a w tej chwili nienawidziła nawet Newlina. Jaką grał rolę w całej tej sprawie? Wobec kogo był lojalny?

Gdy zbliżył się do niej Dewey, jeszcze bardziej upadła na duchu.

_ Twój stryj życzy sobie mówić z tobą po powrocie do wioski. A ja będę ci wdzięczny, gdy na przyszłość powściągniesz zapędy i nie będziesz próbowała przejąć roli tłumacza. Wścibska dziewczucha - dodał pod nosem.

Josselyn nie zniżyła się do odpowiedzi. W tej chwili i jego nienawidziła, jak i każdego mężczyzny, z którym kiedykolwiek miała do czynienia. Wścibska dziewczucha, myślałby kto! Gdyby to kobiety decydowały, Walia byłaby o wiele lepszą krainą. Każdy kraj byłby w lepszej sytuacji pod rządami kobiet. Bez wojen. Bez oręża, zbroi, bez zmuszania

do walki zwierząt. Pokój, pomyślność i obfitość - dla każdego.

Mężczyźni! Komu są potrzebni?

Rozdział trzeci

Następnego ranka zły humor Josselyn rozwiął się bez śladu.

Znowu nadeszła fala mrozu i spóźnione opady śniegu. Pomimo surowych słów nagany, jakich poprzedniego wieczoru nie szczędził jej Clyde, czuła się oczyszczona i odrodzona. A może zawdzięczała to właśnie reprimendzie stryja? Świat wydawał jej się dziewiczo świeży, spowity w biel nieskalaną stopą człowieka ani zwierzęcia. Jej przewinienia też odeszły w przeszłość i mogła zacząć od nowa.

Pochłoneła naprędce śniadanie złożone z gorącej kaszy i chleba namoczonego w mleku, po czym ofiarowała się na ochotnika do roznoszenia potrzebującym resztek jedzenia pozostałych z wczorajszego dnia. Ciotka Nessie cierpiała na 'chorobę stawów, które sprawiały jej w czasie chłódów taki ból, że w wietrzny i mroźny dzień starsza kobieta nie miała zazwyczaj nic przeciwko powierzeniu bratanicy tych obowiązków, które zmuszały do wycieczek poza przytulne ściany domostwa. Dziś wszakże Nessie pilnie przyjrzała się Josselyn.

- Będiesz grzeczna, prawda? Słuchaj swego stryja, był dla ciebie jak ojciec przez wszystkie te lata.

Dziewczyna uśmiechnęła się z pokorą.

- Pamiętam o tym, co do mnie należy, ciociu Ness. Ale dziś muszę na trochę wyjść. Wrócę w południe.

Pozostała jej już tylko jedna chata, więc, idąc w jej stronę, oddała się marzeniom. Pod ciężkimi butami skrzypiał świeży śnieg. Ostre powietrze mroźną falą wdzierało się do płuc, lecz słońce odgoniło już chmury, śnieg zniknie więc prawdopodobnie, zanim upłynie tydzień. Josselyn zmrużyła oczy w jaskrawym blasku, spoglądając w wąską dolinę, której dnem wiała się rzeka Gyffin. Jej brzegi wyraźnie wyznaczały oszronione białe krzaki i świerki o gałęziach zwisających pod ciężarem lodowych kryształków.

Jakże piękna była ta dolina! O każdej porze roku: otulona w płaszczy bieli, bujna zielenią, zdobna przepychem czerwieni i złota... Prawdziwie magiczne było to miejsce. Ich własne. Nigdy nie odda go Anglikom.

Cóż jednak mogła zrobić - poza zgodą na małżeństwo z Owainem ap Madokiem? Stała w cieniu prastarego cisu, całą duszą chłonąc otaczającą ją ciszę. Nagle zamrugnęła. Anglik szukał ludzi do pracy, mężczyzn do budowy zamku. Potrzebował też tłumacza, kogoś, kto by go nauczył posługiwać się tutejszą mową. Być może i dla kobiety znalazłoby się jakieś zajęcie, gotowanie czy pranie, naprawa odzieży i uprząży. Podniecenie sprawiło, że zaczęła szybciej oddychać. Czy był lepszy sposób na podkopywanie sił nieprzyjaciela niż osłabiać go od wewnątrz?

Nasunęła na głowę wełniany kaptur i wciągnęła głęboko powietrze, po czym przyjrzała się ścieżce prowadzącej na Rosecliffe. Miała na sobie kobiecy strój, więc Anglik nie powinien jej skojarzyć z młodzieńcem z poprzedniego dnia. Poza tym nie zamierzała wdawać się od razu w konkretne rozmowy, a już na pewno nie z nim. Ograniczy się do przespiegów, a być może pogada z Newlinem, jeśli uda jej

się zwrócić na siebie uwagę barda.

Podjąwszy decyzję, Josselyn pospieszyła do ostatniego domostwa wśród luźno rozrzuconych chat stanowiących wioskę Carreg Du. Mieszkała w nim wdowa Gladys z trójką dzieci, lecz z komina nie unosiła się smużka dymu. Chata nie była niczym więcej niż nędzną norą z kamieni zwieńczonych pochylonym dachem. Co prawda niewielka powierzchnia miała jedną zaletę: łatwo było ją ogrzać. Czemu więc nie widać było śladu buzującego wewnątrz ognia?

Josselyn odpowiedziała sobie na pytanie, widząc postać nieruchomo rozciągniętą w poprzek jedynej w chałupie wyra. Gladys, wdowa po Tomasie, pochrapywała w pijackim śnie; z jej ust ulatywały obłoczki mroźnej pary, a trójka dzieci kuliła się pod osłoną dwóch wytartych koców. Słyszając rumor, jaki zrobiła Josselyn wchodząc, najstarsza dziewczynka wytknęła nos spod szmat.

_ Mamusia jest chora - wyjaśniła. - Chora, nic więcej.

- Chora - mruknęła Josselyn, kładąc chleb na nierównym blacie stołu, który stanowił jedyne umeblowanie niegościnnego wnętrza. Podeszła do paleniska; jakimś szczęśliwym trafem tliło się jeszcze kilka kawałków żaru. - Czy to ty podsyciłaś ogień, Rhonwen?

- Tak - odpowiedziało dziecko. - Ale nie mamy szczap, żeby go podtrzymać.

Nie ma drewna. Nie ma jada. Oczywiście, znalazł się trunek w ilościach dostatecznych, by dorosła kobieta upiła się do nieprzytomności, zaniedbując biedne, osierocone przez ojca dzieci. Wściekła na Gladys, pamiętała wszakże, iż niewiasta wciąż tonie w żałobie po mężu. Lepiej było zamienić energię

złości w działanie.

- Zbierajcie się, wezmę was do mojego domu. Zostawcie chleb dla matki - dodała, widząc, jak Rhonwen wpatruje się w bochenek głodnymi oczami. - Ciocia Ness da wam ciepłej kaszy i sera.

Rhonwen odgarnęła z czoła potargane włosięta. Wystarczyła obietnica gorącego posiłku, by ją przekonać. Ze zręcznością, jakiej trudno było się spodziewać po dziewięcioletniej dziewczusce, podniosła trzyletnią siostrę jednym ramieniem, podtrzymując jednocześnie drugim niemowlę w powijakach. Gdy dziecko zaczęło płakać, podniosła wzrok na Josselyn i wzruszyła ramionami.

- Mokro ma. I jest głodny. Czy będzie u was mleko?

Josselyn zacisnęła wargi w bezsilnej złości.

- Znajdziemy coś i dla niego. Pospiesz się.

Widząc, jak dziecko śle zmartwione spojrzenie w stronę chrapiącej matki, Josselyn czuła, że złość ją opuszcza. Biedna sierotka. Zaniedbywana przez rodzicielkę, Rhonwen wahała się przecieź, czy ją opuścić. Josselyn okryła Gladys kocami, szybko, by nie pożałować tego przychylnego gestu, po czym wyprowadziła dzieci z chaty, z rozmachem zatrzaskując drzwi.

Ciotka Ness z pewnością przyjmie sieroty pod swój dach, przynajmniej póki nie zrobi się cieplej. Potem trzeba będzie rozdzielić rodzeństwo pośród ich krewnych. Ktoś musi się nimi zaopiekować do czasu, gdy ich matka nie ochłonie dostatecznie, by wrócić do swoich rodzicielskich obowiązków.

Prawie do południa Josselyn nie znalazła okazji, by się ponownie wymknąć. Ciotka Ness zagarnęła wymarznęte i

zagubione maleństwa w swoje ramiona jak kwoka, zbyt długo pozbawiona własnych kurcząt. Pod dotknięciem jej czułych rąk niemowlę uciszyło się, a młodsza dziewczynka człapała za nią jak drobniutki cień z paluszkami wetkniętymi w buzię. Tylko Rhonwen wołała trzymać się Josselyn. Podążyła w ślad za dziewczyną na ogrodzone płotem podwórze.

_ Gdzie idziesz? Czy mogę iść z tobą? - Spytała.

_ Nie dziś - odmówiła Josselyn. Widząc smutne spojrzenie wychudłej twarzyczki, nieomal uległa. Przypomniała sobie jednak, dokąd zmierza; angielski obóz z pewnością był nieodpowiednim miejscem na wycieczki z małym dzieckiem. - Nie dzisiaj - powtórzyła, zmarszczeniem czoła podkreślając wagę zakazu. - Opiekuj się małą Kordulą i Davitem. Niedługo wrócę, a po wieczery opowiem ci bajkę - obiecała, widząc, że dziewczynka nie ma ochoty się ruszyć. To wywołało reakcję. Oczy małej Rhonwen zabłyśły; cofnęła się potulnie w stronę domu.

_ Bajka! Lubię bajki. Czy będą w niej smoki? I wróżki? I przystojny rycerz, który zabije złego smoka?

- Oczywiście.

Usatysfakcjonowana Rhonwen wbiegła do domu, nie próbując się dalej spierać. Josselyn z uśmiechem odwróciła się w stronę ścieżki wiodącej, na Rosecliffe. Smoki, wróżki i przystojny rycerz! Jakże to dziecinne... Teraz będzie musiała coś wymyślić, by dotrzymać obietnicy.

Gdy wyszła za opłotki wioski i skierowała się na szlak prowadzący na Rosecliffe, uderzyła ją mniej radosna myśl. Oto sama szła szpiegować smoka, angielskiego najeźdźcę wznoszącego twierdzę. Bard Newlin w roli wróżki być może

przyjdzie jej z pomocą, a może nie.

A kto miałby zagrać rolę przystojnego rycerza?

Przed oczami pojawił się obraz twarzy Randulfa Fitz Hugh, o surowych rysach, poprzecinanej bliznami, obrysowanej światłem pochodni. Może innym wydałby się urodziwy. Sama mogłaby go uznać za przystojnego, gdyby nie był znienawidzonym Anglikiem. Ale był Anglikiem z krwi i kości, angielskim smokiem napadającym na jej lud. Nie, nie nazwie go przystojnym. Któż, więc jej pozostał? Owain?

Szła naprzód ze strapioną miną, wspinając się na wzgórze, pokonując zasadzki oblodzonych stoków. Owain ap Madoc nie był szpetnym mężczyzną, lecz to była jedyna dobra rzecz, którą można by o nim powiedzieć. Wcześniej się ożenił i spłodził syna, lecz już od prawie roku był wdowcem. Tyle tylko wiedziała; no i to, że przejmował ją śmiertelnym lękiem. Czy to on zabił biednego Tomasa? Nigdy nie dałoby się tego dowieść, ale w głębi serca wierzyła, że to on był sprawcą mordu. Przeszedł ją dreszcz przerażenia, aż musiała się zatrzymać dla złapania tchu i oprzeć o pień wyniosłego sykomoru. Przed oczami stanął jej obraz biednej pijanej Gladys i nieszczęsnej gromadki jej potomstwa. Nie, Owain nie był przystojnym rycerzem spieszącym z odsieczą Josselyn czy komukolwiek innemu. Był nawet może gorszy od samego smoka. Cóż, więc mogła uczynić? Tkwiła w potrzasku między wrogiem o angielskiej krwi i nieprzyjacielem z walijskiego rodu.

Po prostu będzie musiała sama o siebie walczyć. Znaleźć sposób, by podkopać angielską dominację w zamieszkiwanej przez jej ród części Walii. Stryj Clyde nie spojrzalby na jej plany przychylnie, lecz nie mógł wpłynąć na zmianę

postanowienia bratanicy. W końcu zresztą może jej podziękuje; najważniejsze, że nie będzie musiała płacić za bezpieczeństwo Carreg Du i mieszkańców wioski małżeństwem z Owainem.

Naciągnęła szal na głowę i zatrzęsała się z zimna. A może to lęk sprawił, że po krzyżu spłynął lodowaty strumyczek? Zatupała nogami, aby rozproszyć zarówno chłód, jak i lęk. Była już prawie u celu. Za późno, by zawrócić. Wyszpieguje Anglików i wymyśli jakąś metodę, by się dostać do ich obozu. A potem znajdzie sposób, by wygnać ich z jej krainy. I ocalić siebie.

Gdy znalazła się na skraju lasu rosnącego u podnóży Rosecliffe, zobaczyła, że Anglicy - pomimo śniegu - nie przerywają robót. Nie kopali, co prawda - na to ziemia była prawdopodobnie za twarda - lecz ścinali drzewa, oczyszczali je z gałęzi i wciągali na wzgórze.

Josselyn usadowiła się za drzewem o rozdwojonym pniu i uważnie przyglądała rozgrywającej się przed nią scenie. Pięć tyczek z czerwonymi proporcami powiewającymi na wierzchołkach wyznaczało prawdopodobnie rogi olbrzymiej budowli. No tak, ten Randulf Fitz Hugh nie zamierzał się ograniczyć do zwykłego kamiennego stołu!

Josselyn widziała już w życiu dwa zamczyska - potężnie ufortyfikowane, masywne wieże wysokie na trzy piętra. Ale nawet one nie były ani w dziesiątej części tak rozległe jak zarys wyznaczony na płaskowyżu Rosecliffe.

Czemu miał służyć drugi rów, kopany w tak wielkim oddaleniu od zamku? Słyszała o twierdzach otoczonych fosą, ale nie wyobrażała sobie budowli o tak przytłaczających rozmiarach. Ponownie spojrzała na grupkę

mężczyzn pracujących najbliżej miejsca, gdzie się ukryła. Właśnie zakończyli oczyszczanie pnia leżącego na skraju lasu. Teraz jeden z nich zaprzęgał do bala parę koni pociągowych, a drugi przyklął na jednym kolanie i mocował coś w uprzęży.

Kiedy wstał, Josselyn zaparło dech w piersiach, gdyż człowiekiem tym był sam Randulf Fitz Hugh. Pracował jak zwykły robotnik razem z najemnikami! Josselyn rozpoznała go tylko po nieprzeciętnym wzroście, gdyż jak wszyscy miał na sobie spodnie z szorstkiej tkaniny i zgrzebną koszulę, na którą narzucił tunikę bez rękawów.

Wychyliła się do przodu, ciekawa, czym Anglik się zajmuje, nateżając słuch, by pochwycić jego słowa. Ale śnieg oślepił blaskiem, a odległość tłumiła głosy. Poklepał konia, potem, słysząc czyjś okrzyk, spojrział przez ramię w stronę, z której dochodził.

Rudobrody szedł ku niemu spiesznym krokiem, zawinięty po uszy w fałdy obszernego płaszcza, zaciskając dłoń na pergaminowym zwoju. Uwaga Josselyn skupiła się na dokumencie. Gdyby tylko mogła go zobaczyć z bliska. Gdyby tak mogła go przeczytać!

Dwójka mężczyzn odsunęła się nieco od robotników, którzy poganiali obciążone konie w górę stoku. Tymczasem Fitz Hugh i rudobrody pochylili się nad pergaminem. Tak głęboko pochłoneła ich rozmowa, że Josselyn odważyła się na ryzyko. Kilka kroków od miejsca swego ukrycia spostrzegła ciernistą kępę ostrokrzewu. Być może stamtąd będzie mogła coś podsłuchać.

Poczołgała się do przodu, nie spuszczając oczu z pograżonych w dyskusji mężczyzn.

Rudobrody wskazywał w dół stoku, podczas gdy Randulf Fitz Hugh wyciągnął ramię w kierunku Josselyn. Opadła na kolana i wstrzymała oddech, a serce biło jej w piersiach ogłuszającym rytmem. Obaj mężczyźni spojrzeli we wskazaną stronę. Czyżby ją zobaczyli? Wtem rudobrody zatoczył ręką szeroki łuk, wskazując przestrzeń przed nimi, i odzianym w rękawicę palcem stuknął w szkic.

Przerażenie niemal odebrało Josselyn zdolność ruchu. Ale nie do końca. Powoli zebrała się na odwagę i centymetr po centymetrze popęzła do przodu.

-... ciężiej kopać. Ale tu jest lepsza skała... - Wiatr przywiał fragment wypowiedzi rudobrodego.

- Jakie czynimy postępy przy drugiej studni?

Tym razem uchwyciła wyraźnie całe zdanie, wypowiedziane głosem, który rozpoznała, choć słyszała go przedtem tylko raz. Dwie studnie? Ludzie w jej wiosce nosili wodę z rzeki, ale dla Anglików nie było to wystarczająco dobre. Musieli mieć aż dwie studnie do czerpania wody. Gdyby tylko był jakiś sposób, by pokrzyżować ich plany!

Nagle w mroźnym powietrzu rozległ się przeraźliwy wrzask, ostry płacz dziecka, mrozący krew w żyłach Josselyn. Rozejrzała się raptownie, próbując dojrzeć jego źródło. Nie zauważyła dotychczas żadnych dzieci w angielskim obozie.

Zanim zdążyła sobie to uświadomić, zdała sobie sprawę, jak głupio postępuje i w jak niebezpiecznej sytuacji niespodziewanie się znalazła.

- Nie! Puśćcie mnie! Pomocy! Ratunku! - Rozległ się pełen przerażenia dziecięcy wrzask.

Złapali walijskie dziecko!

Fitz Hugh i rudobrody odwrócili się błyskawicznie. Niski mężczyzna uniósł brwi na widok sceny, której Josselyn nie mogła dojrzeć z miejsca, gdzie klęczała. Fitz Hugh tymczasem zdecydowanym krokiem podążył w tamtą stronę.

Josselyn cofnęła się głębiej w gałęzie ostrokrzewu, stanowiącego dość wątpliwą osłonę. Co się tam mogło stać? Za plecami usłyszała męski śmiech i okrzyk zaskoczenia pomieszanego z bólem.

- To przekłete szczenię mnie ugryzło!

- Trzymaj łapy z dala od jego ust - poradził Randulf Fitz Hugh, mijając o niecałe dziesięć kroków kryjówkę Josselyn.

- To dziewczynka - usłyszała poirytowaną odpowiedź niewidocznego Anglika. - Szkoda, że smarkata - dodał. - Gdyby była ciut starsza, mogłaby mi się przydać.

Josselyn pojęła sens tych słów i przeraziła się jeszcze bardziej. Jeśli chodzi o walijskie kobiety, angielscy rycerze znali tylko jeden pożytek, jaki z nich płynął. Każdy o tym wiedział. Usłyszała ponowny krzyk dziewczynki i walijskie przekleństwa stanowczo zbyt plugawe.

Josselyn rozpoznała głos złapanej. Rhonwen! Dziewuszka się za nią skradała!

- Dajcie mi tu to bezczelne stworzenie - polecił Fitz Hugh. Bez chwili zastanowienia Josselyn wyskoczyła spoza kępy ostrokrzewu. Nie pozwoli im skrzywdzić małej!

- Panie, obejrzyj się! - Krzyknął ktoś.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Fitz Hugh pochylił się i okręcił wokół własnej osi. Za jego plecami Josselyn ujrzała Rhonwen, próbującą się wyrwać przysadzistemu żołdakowi. Zanim mogła doskoczyć do dziewczynki, sama

została zaatakowana i rzucona na zmarzniętą ziemię. Dyszała pod nieustępliwym ciężarem ciała angielskiego lorda. Przez długą chwilę nie mogła złapać tchu. Przed oczami ujrzała tysiące gwiazd i poczuła, jak tonie powoli w ciemnej, falującej otchłani. Potem nawet ten obraz zaczął się zacierać. Była bliska omdlenia.

Lecz jakaś część jej świadomości przez cały czas powstrzymywała słabość i przywróciła ją światłu.

Ciężar przytłaczający jej ciało zelżał, lecz wciąż nie mogła oddychać. Nagle została brutalnie postawiona na nogi; mężczyzna przechylił ją sobie przez muskularne ramię i mocno uderzył w plecy.

Zachłysnęła się i z ulgą poczuła strumień powietrza w płucach.

Wraz z oddechem powróciła jej zdolność myślenia i świadomość, że oto wisi przechylona przez ramię przywódcy Anglików. Wróg, którego przyszła szpiegować, trzymał ją bezsilną, jak naręcz prania, które się rozwiesza, by wyschło na słońcu. Postanowiła, że zabije Rhonwen za tę wpadkę. Jeśli, oczywiście, wyjdą z niej cało.

- O, ta będzie z pewnością bardziej użyteczna - zauważył z sarkastycznym chrząknięciem mężczyzna trzymający Rhonwen. - Co powiesz, milordzie? Może zgodzisz się na zamianę łupów?

Josselyn szarpnęła się, chcąc odzyskać równowagę, bezskutecznie próbowała się uwolnić z objęć Anglika.

- Zamiana nie wyszłaby ci na dobre, Harry. Ta starsza jest dla ciebie o wiele za dzika. - Jedną ręką Randulf Fitz Hugh przycisnął do swego boku szarpiącą się wciąż Josselyn, drugą odgarnął z jej czoła potargane włosy.

Nagle znalazła się twarzą w twarz z nieprzyjacielem, uwięziona w ciasnym uścisku, czując, jak jego nogi i lędźwie dotykają jej w intymnym zbliżeniu. Szok wywołany bliskością tego mężczyzny, badawczym spojrzeniem jego ciemnych źrenic sprawił, że ucichła. Szarość tęczy Anglika była tak intensywna, iż wydawały się niemal czarne. Jak najgłębsza pora nocy. Jak futro górskiego wilka. Dłoń, która podtrzymywała jej głowę, przesunął niżej, na plecy, zanurzając palce w gęstych splotach. Obnażył zęby w wilczym uśmiechu.

- Poza tym jest za ładna dla takich jak ty - dodał głosem na tyle cichym, że nikt poza nią go nie usłyszał.

Josselyn zadrżała nie tylko z lęku, lecz również pod wpływem dziwnego objawienia. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna tak jej nie trzymał, przynajmniej nie wbrew jej woli. Ten Anglik nie miał do tego prawa! Dziewczyna starała się powściągnąć strach.

- Dla takich jak ty też jestem zbyt ładna - oznajmiła w jego ojczyściej mowie. - Jeżeli jesteś człowiekiem honoru, puścisz mnie bez zwłoki. Zwrócisz też wolność dziecku.

Kiedy brwi Anglika uniosły się w wyrazie zaskoczenia, Josselyn poczuła bladą satysfakcję. Musi jak najszybciej wykorzystać tę niewielką przewagę.

- Czy będziesz tak uprzejmy i puścisz mnie, panie? - Spytała, wiedząc, że nie wolno jej okazać lęku.

- Władasz angielską mową jak szlachcianka z najwyższych sfer - odpowiedział, nie zwalniając wszakże uścisku.

Podniosła wyzywająco brodę.

- My, Walijszczy, jesteśmy utalentowanym ludem.

- Nic bardziej niż każdy inny, jak sądzę. Zapytam więc

jeszcze raz odrzekł, a jego dłoń zsunęła się niżej po włosach dziewczyny i wreszcie spoczęła w wygięciu krzyża nad pośladkami. - Jak to się stało, że władasz swobodnie moją ojczystą mową?

Josselyn zadrżała. Ujawnienie prawdy nie mogło jej zaszkodzić, a dalsze jej ukrywanie mogło przemawiać przeciw niej i Rhonwen.

- Newlin mnie nauczył - wyrzuciła z siebie. - Oto prawda. Czy teraz uwolnisz mnie i dziecko?

Ku jej zaskoczeniu, Randulf Fitz Hugh wypuścił ją z objęć.

Cofnęła się i wskazała na Rhonwen.

- Rozkaż swemu żołnierzowi, by ją też uwolnił.

Wystarczyło skinienie głowy Randa. Rhonwen jak strzała odskoczyła od swego ciemieżyciela, lecz zatrzymała się za ogołoconym z konarów pniem wiązu.

- Josselyn, biegnij! Uciekaj! - Zawołała.

Josselyn wiedziała jednak, że ucieczka nie byłaby w tej sytuacji najmądrzejszym posunięciem. Chciała przecież szpiegować Anglików. Czyż mogła mieć lepszą sposobność? Wystarczyło wkraść się w łaski ich przywódcy, wojowniczego Randulfa Fitz Hugh. Spojrzała mu w oczy, czując, jak onieśmiela ją surowa moc, którą promieniował nawet teraz, odziany jak zwykły robotnik. Z wysiłkiem przywołała wspomnienie poprzedniego wieczoru, gdy zaproponował jej stryjowi pokój. Z pewnością nie będzie chciał go teraz burzyć.

- Dzięki, panie - powiedziała, aczkolwiek bez wielkiego przekonania. - Dziecko nie chciało nic złego. Było po prostu ciekawe.

- A ty? Czy i ciebie przyciągnęła ciekawość?

To były nasze ziemie, zanim przybyliście, by rozbić na nich swój obóz - przemknęło przez głowę Josselyn, ale głośno powiedziała co innego:

- Przypuszczam, że masz rację. Jestem ciekawa. Ale przyszedłam tu z innego powodu.

Ich spojrzenia spotkały się. Josselyn czuła, że Anglik widzi w niej kobietę. Nie odebrała tego jako komplement, gdy jego wzrok powoli i badawczo przesunął się po jej sylwetce od stóp do głowy. Ci mężczyźni nie mieli niewiast i każda istota o kobiecych kształtach mogła pobudzić ich zmysły. Gdy w przyływie zażenowania skrzyżowała ramiona, zasłaniając piersi, na twarz Anglika znowu wypłynął uśmiech.

- Cóż to za inny powód cię tu sprowadził? Podniosła brodę odrobinę wyżej.

- Powiedziałeś, że można znaleźć u ciebie pracę. A ja szukam zatrudnienia.

- Sam ją zatrudnię - wtrącił się mężczyzna, na którego wołali Harry, podchodząc buńczuczny krok po zaśnieżonym stoku. - Potrafię znaleźć jej zajęcie i dać zadowolenie.

Josselyn zmrużyła oczy w szparki.

- Asyn - wypluła z siebie mocne przekleństwo.

- Asyn - przedrzeźniał ją Randulf Fitz Hugh. - Ciekaw jestem, cóż oznacza to słowo.

Josselyn przeniosła na niego spojrzenie.

- Oznacza, że walijskie kobiety to nie pokorne i bezwolne stworzenia, jakie rodzą się z lędźwi mieszkańców dolin. Oznacza, że mężczyzna, który spróbuje... - Urwała, uświadamiając sobie trochę zbyt późno, że gniew może zaszkodzić jej planom.

- Oznacza więc, że chodzicie uzbrojone w sztylety. - Fitz Hugh ogarnął rozbawionym wzrokiem pochwę wiszącą u jej boku, w której trzymała nóż o krótkim ostrzu.

Josselyn chciała sięgnąć po jego rękę i zachłysnęła się, gdyż nie mogła jej namacać. Rzuciła groźne spojrzenie na Anglika, a jego bezczelny grymas rozpałił w niej wściekłość. Rand wyciągnął do niej dłoń z niewielkim sztyletem. - Masz, weź go sobie.

Jej serce znowu zaczęło bić, choć nie znała powodu tego podniecenia. Patrzyła na wyciągniętą nieruchomo dłoń ze sztyletem. Anglik wabił ją, by się zbliżyła i odebrała broń. Przeszyła go gniewnym wzrokiem. Przedtem czuła do niego antypatię i nieufność, teraz go nienawidziła. Tyran, prześladowca słabych, prawdziwie pokrewna dusza z Owainem i mężczyznami jego pokroju. Sądzi, że należy im się wszystko, po co zechcą wyciągnąć rękę, nie dbając o koszt, jakie muszą płacić inni.

Odnosili zwycięstwo tylko wtedy, gdy ich ofiary wpadały w panikę, gdy cel ich zabiegów tracił opanowanie i zaczynał postępować impulsywnie i niemądrze. Anglik nie będzie mógł jej tyranizować, jeśli potrafi mu się przeciwstawić.

- Czy masz dla mnie jakieś zatrudnienie, czy to były jałowe przechwałki? - Spytała hardo.

- Przechwałki - powtórzył zamyślony Rand. - W jakich słowach ci je powtórzono? Przecież nie było cię tu wczorajszego wieczoru... - Urwał i przyjrzał się dziewczynie jeszcze baczniej, po czym uśmiechnął się figlarnie. - Ależ byłaś tu. Ten drugi tłumacz. To dlatego twój głos wydał mi się znajomy. Wczoraj byłaś przebrana za chłopca.

Josselyn odwzajemniła mu się łobuzerskim uśmiechem.

- To był mój brat - skłamałaby zrobić Anglikowi na złość.

- Twój brat... a to jest sztylet brata?

Josselyn podeszła do Randa, zbierając całą odwagę, by opanować zdenerwowanie.

- Nie. Ta broń należy do mnie.

Odebrała z jego ręki nóż i zmusiła się, by natychmiast nie odskoczyć. Schowała sztylet do pochwy i podniosła wzrok.

Znowu stała zbyt blisko. Mógł ją pochwycić, chociaż miała osobiwą pewność, iż tego nie uczyni. Mimo to czuła, że stoi za blisko.

- Jakie oferujesz zatrudnienie? - spytała głosem, który nie brzmiał tak nonszalancko, jak by sobie tego życzyła. - Oczywiście, uczciwe, godne poszanowania zatrudnienie - dodała, widząc, jak pozostali Anglicy tłoczą się wokół nich.

- Będę cię traktował z poszanowaniem - zapewnił ją Harry z pożądanym grymasem. - Szanuję każdą dziewczynę, którą biorę, więc miałabyś...

- Dość! - przerwał mu ostro Randulf Fitz Hugh. Harry miał szczęście, Josselyn czuła bowiem, że jeszcze jedna obraźliwa zaczepka, a poderżnie łotrowi gardło.

- Wracać do pracy - rozkazał Fitz Hugh swojej załodze. - Powiedzcie sir Lovellowi, że zaraz do niego przyjdę.

Znowu odwrócił się do Josselyn, która tymczasem zanotowała sobie w pamięci usłyszane imię. Sir Lovell - czy miał ma myśli rudobrodego?

- Pragniesz więc znaleźć zatrudnienie w zamian za angielski pieniądź. Jak brzmi twoje imię?

Myśli zawirowały w głowie dziewczyny. Ujawnienie tej prawdy nie mogło chyba nikomu zaszkodzić.

- Jestem Josselyn. Josselyn ap Carreg Du.

- Josselyn ... Jaką masz dla mnie propozycję, Josselyn?

Wciąż stał zbyt blisko, lecz teraz już uznała, że bez utraty honoru może się odsunąć. Pokazała temu Anglikowi, że się go nie boi.

- Potrafię gotować. Przyrządzam wyśmienite polewki i pieczenie. Szyję, naprawiam odzież, pioreę.

- A czy mogłabyś nauczyć mnie walijskiej mowy? Cymraeg? Zawahała się, lecz po chwili odparła krótko:

- Mogę. - Aczkolwiek niekoniecznie musi to znaczyć, że jesteś dostatecznie inteligentny, by ją opanować - dodała w myśli.

Anglik wyciągnął dłoń. Ku swemu zawstydzeniu, Josselyn gwałtownie cofnęła się o krok. Za sobą słyszała płaczliwe wołanie Rhonwen:

- Odejdź od niego, Josselyn, to zły człek. Jeszcze wyrządzi ci krzywdę!

A przecież on jedynie wyciągnął do niej dłoń.

- Zapłacę ci denara za każdy tydzień - ciągnął Rand. - Gdy zdobędę płynność w waszej mowie, dostaniesz premię, trzy denary. Zgoda?

Josselyn popatrzyła na wyciągniętą dłoń, potem powoli podniosła wzrok wyżej, aż spoczął na ściągniętej, surowej twarzy. Mimo blizn było to oblicze silne i męskie. Na swój sposób urodziwe.

Mógł sobie być nie wiadomo jak przystojny, Josselyn i tak nie chciała go dotykać. Wzdragała się przed przypieczętowaniem ich umowy uściskiem dłoni. Wiedziała, że niechęć ta jest całkowicie pozbawiona logiki, lecz w niczym nie zmieniało to jej uczuć. Niestety, nie miała

wyjścia.

Wyciągnęła dłoń i próbowała odwzajemnić uścisk z tą samą bezosobową siłą, z jaką palce Anglika ujęły jej rękę. Stało się wszak inaczej. Drobną dziewczęcą piąstką utonęła w szerokiej dłoni, której ciepło rozgrzało zgrabiące z zimna palce. Jak to możliwe, żeby miał tak ciepłą dłoń?

- Umowa została zawarta - wyszeptała i wyszarpnęła rękę z uścisku.

- Dobrze. Teraz wyjaśnij, proszę, co znaczy "Carreg du"?

- Czarny głaz. Nie mogę już w tej chwili zacząć dla ciebie pracować - oświadczyła Josselyn zirytowanym głosem.

- A to czemu?

Wskazała na Rhonwen, która nerwowo dreptała na skraju lasu. - Muszę zaprowadzić dziewczynkę z powrotem do wioski.

Rand wzruszył ramionami.

- Może tu zostać.

- Jej matka będzie się martwić. Wrócę jutro.

Anglik skrzywił się i potarł podbródek, patrząc na nią pełnym zamyślenia wzrokiem.

- Niech i tak będzie. Jutro.

Josselyn spojrzała na niego w milczeniu, po czym bez słowa odwróciła się do Rhonwen. Na dzień jutrzejszy nie trzeba będzie długo czekać, a zanim nadejdzie, musi powiedzieć Clyde'owi o swych zamiarach, znieść w pokorze ducha wybuch, jaki z pewnością nastąpi, potem uspokoić stryja na tyle, by omówić z nim rodzaj informacji, które ma zdobywać.

Dzień był udany, powiedziała sobie, podchodząc do Rhonwen.

Może niezupełnie w sposób, jaki sobie zaplanowała, ale czy kiedykolwiek życie toczy się po naszej myśli?

- Odejdźmy stąd jak najszybciej - powiedziała, biorąc dziecko za rączkę.

- Przeklęte angielskie kundle! - Dziewczynka plunęła w stronę obozu.

- Rhonwen! To nie jest język, jaki przystoi dziecku ani też dobrze wychowanej pannie.

- Tak mówi moja mama. Nienawidzę Anglików. Zabili mi ojca, więc im wszystkim życzę śmierci. - Rhonwen wyszarpnęła rękę z dłoni Josselyn i popatrzyła na nią podejrzliwie. - O czym tak długo rozmawialiście?

Josselyn przyjrzała jej się uważnie; dziewczynka była jeszcze taka młoda, a wydawała się tak dojrzała.

- Będę dla niego pracować. Będę go szpiegować – dodała by uciszyć protesty Rhonwen. Złapała małą za ramiona i pochyliła się do niej, by spojrzeć jej prosto w oczy. - Wiem, że to nasz wróg, Rhonwen. Ale wiem również, że jest silniejszy. Jeżeli chcemy go pokonać, zwyciężyć i jego, i tych, których Henryk przyśle na jego miejsce, musimy posłużyć się sprytem i podstępem. Jestem kobietą, jaką i ty wkrótce się staniesz, więc jesteśmy słabsze od każdego mężczyzny. Lecz jeśli kobieta jest sprytniejsza, może pokonać każdego rycerza. Tak, jak ja zamierzam pokonać tego.

Obejrzała się przez ramię na ślady ich stóp odbite w śniegu, które prostą linią prowadziły do obozu Randulfa Fitz Hugh.

- Zapamiętaj moje słowa. Zamierzam go pokonać.

Rozdział czwarty

- Jakie masz właściwie domysły co do treści tego przeklętego

pergaminowego zwoju?

Josselyn odetchnęła z ulgą. Już od godziny stryj ciskał na nią gromy, grożąc, iż zamknie bratanicę w jej izbie, by pokrzyżować jej zamiar powrotu jeszcze tego dnia do angielskiego obozu. Ciotka Ness rozpaczała, załamywała ręce, potem zaś zarzuciła fartuch na głowę i uciekła z komnaty, gdyż nie była w stanie znieść burzliwej sceny.

Josselyn nie ugięła się wszakże przed gniewem stryja. Clyde uspokoił się w samą porę, gdyż szarpana wściekłością na nieodpowiedzialną Gladys i aroganckiego angielskiego panicza oraz wzburzeniem zazwyczaj tak opanowanego stryja dziewczyna czuła się u krańca wytrzymałości nerwowej.

Marzyła tylko o tym, by schronić się w swojej izbie, wtulić w owcze skóry na pościeli i pograć we śnie. Niestety, niedane jej to było, gdyż teraz, gdy Clyde skapitulował, musieli ułożyć plan.

Josselyn potarła napięte boleśnie mięśnie na karku.

- Kto wie, czy na tym pergaminie nie znajdę szkiców zamku, który chcą zbudować. Jestem pewna, że ten rudobrody to sir Lovell, który jest głównym budowniczym.

- Budowa zamku to przedsięwzięcie na całe lata. Nieważne, jaki ma być jego ostateczny wygląd. Musimy pozbyć się ich na długo przedtem.

- A to w jaki sposób?

Clyde przez chwilę uważnie przyglądał się bratanicy; wreszcie odwrócił wzrok.

- Wiesz, w jaki sposób - mruknął.

- Owain ap Madoc to bydlę. - Josselyn splunęła, gdyż takt

okazał się ponad jej siły. - Może to i Walińczyk, ale i tak bydlę. - Pochyliła się do przodu i położyła dłoń na ramieniu stryja, błagając go w ten sposób o zrozumienie i poparcie dla jej planu. - Rozumiem pułapkę, w jakiej tkwimy. Bez jego pomocy nie potrafimy się nawet bronić przed Anglikami, a już na pewno nie mamy co marzyć o wypędzeniu ich stąd. Są na to zbyt liczni. Ale jeśli mam się poświęcić i wyjść za kogoś takiego jak Owain, zasługuję na szansę. Spróbuję znaleźć inny sposób pokonania Anglików. Dobrze?

Clyde strząsnął jej dłoń i przetarł zmęczoną twarz.

- Dość już. Wyrażam zgodę na twe zamiary. Czegóż jeszcze chcesz ode mnie? - Rzucił jej mordercze spojrzenie, podnosząc napełniony do połowy kielich wina i wypijając go do dna.

- Powiedz, czego powinnam szukać, co obserwować. Powiedz, jakiego rodzaju informacje mogą nam być pomocne. Nic nie wiem o zamkach i sztuce wojennej.

Westchnął i odstawił kielich, po czym pochylił się nad stołem.

- No dobrze. Niech się zastanowię. - Zmarszczył czoło w zamyśleniu. - Staraj się poznać rozmiar magazynów i spiżarni oraz stajni, i oczywiście koszar. Będziemy w stanie określić siłę garnizonu, jaki planują tu założyć. Musimy znać również system straży, rotację wart: trzeba poznać ich słabe punkty i wiedzieć, kiedy najmniej mają się na ostrożności. - Spojrzał bratanicy prosto w oczy. - Dobrze byłoby też wiedzieć, gdzie mieści się komnata sypialna ich przywódcy i jak jest strzeżona.

Josselyn nie zachnęła się na ostatnie słowa stryja, który wyraźnie dopuszczał możliwość spisku, którego celem

byłoby zabicie Anglika. Gdyby dziewczyna okazała obiekcje, stryj z pewnością ponowiłby opór przeciw jej planom, pod pretekstem, że na wojnie nie ma miejsca na litość. Znajdowali się zaś w stanie wojny - nagle to sobie uświadomiła. Jeśli ma uniknąć straszliwego związku z Owainem ap Madokiem, musi pomóc pokonać Randulfa Fitz Hugh. Wielu ludzi zginie - taka była okrutna prawda. Nie mrugnęła więc, lecz jej serce drgnęło na myśl o śmierci Randulfa Fitz Hugh.

Stryj rozmawiał z nią do późnej nocy. Ness wróciła, ostrożnie zerkając w głąb jadalnej izby, a gdy się upewniła, że między jej bliskimi panuje pokój, nie ukrywając ulgi, zaczęła się krzątać dokoła. Wraz z Rhonwen przygotowała do snu młodszą dziatwę, potem obie powiedziały "dobranoc" i udały się do swoich izb.

Lecz gdy Clyde i Josselyn zajęci byli dyskusją o spichlerzach, koniach wojskowych i bydle hodowlanym, Rhonwen słuchała przycupnięta w cieniu u szczytu czysto zamiecionych schodów. Słuchała i przysięgała sobie, że będzie równie dzielna jak Josselyn. Równie śmiała.

Jakże się wystraszyła, gdy ten okropny mężczyzna złapał ją znienacka! Lecz Josselyn pospieszyła jej z pomocą, przewycięzając lęk, nie tracąc odwagi. Przez nieznośnie długie, okropne minuty pobytu w angielskim obozie Rhonwen trzęsa się w przekonaniu, że za chwilę zginą obie. Lub że spotka je jeszcze gorszy los.

Nie sądziła, że istnieje coś straszniejszego od śmierci, lecz matka przysięgała kiedyś, iż kobietom grozi coś takiego.

Josselyn mimo wszystko zdołała wyrwać je ze szpon Anglików; wypowiedziała wtedy słowa, które na zawsze

zapadły w pamięć Rhonwen. Nieważne, że mężczyzna jest silniejszy i większy niż kobieta. Jeżeli kobieta będzie sprytniejsza, może go pokonać.

Siedząc tak w ciemności korytarza, nasłuchując cichego pomruku głosu Josselyn planującej pomstę na Anglikach, dziecko przysięgło, że zrobi wszystko, by wyrosnąć na sprytniejszą i mądrzejszą od każdego mężczyzny, jakiego spotka na swej drodze. Nigdy nie dopuści do tego, by od mężczyzny zależało jej bezpieczeństwo i dobrobyt. Nigdy nie upodobni się do matki. Wyrośnie na mądrą i dzielną kobietę, na prawdziwego rycerza.

Pójdzie w ślady Josselyn.

Rand poczynił pewne przygotowania na okazję pobytu w obozie Josselyn. Już poprzedniego wieczoru surowo zakazał prześladowania miejscowych kobiet w jakiegokolwiek formie. Zapowiedział srogie kary dla każdego, kto nie będzie posłuszny temu rozkazowi. W szczególności potępił próby gwałtu i zmuszania Walijski siłą do seksualnych ustępstw. Oczywiście, jeśli żołnierzowi udałoby się przekupić kobietę świecidełkami, jadłem czy pieniędzmi, nie miał zamiaru zabraniać swoim ludziom uciechy. Lecz warunkiem było uzyskanie zgody kobiety. Ich życzenia muszą być respektowane.

Pół nocy spędził bezsennie, zastanawiając się, czy Josselyn o włosach czarnych jak noc i oczach błyskających błękitem byłaby chętna prehandlować mu swoje wdzięki w zamian za kilka srebrnych monet.

Osborne sprzeciwiał się wpuszczaniu kogokolwiek z walijskich przeciwników w obręb obozu. Rand odmówił mu

posłuchu. Chodziło wszak jedynie o kobietę, która co prawda z ciekawości szpiegowała ich i wykazała się odwagą w obronie dziecka, ale była tylko słabą dziewczyną, której nie trzeba się lękać.

I to jaką dziewczyną! Te miękkie, bujne piersi, ta giętka, wysmukła talia! Mógłby ją objąć w pasie dłońmi. Pod suknią poruszały się długie nogi, z pewnością kształtne i silne. Wizja tych nóg obejmujących jego kołyszące się w akcie miłosnym biodra przez całą noc pojawiała się w jego snach. Dodatkowym darem był talent językowy dziewczyny, który dostarczył pretekstu dla spędzania z nią czasu. Oczywiście, Rand naprawdę uważał naukę walijskiego za ważny element strategii, lecz w tej konkretnej chwili nie obchodziło go nic, co miało związek z polityką, budową umocnień, a nawet przetrwaniem na tej ziemi. Pragnął westchnień pożądania, jęków namiętności i okrzyków spełnienia.

Potań mocno kark, niespokojny i niezadowolony. W tym przeklętym kraju było diabelnie zimno, ale myśl o kruczowłosej dziewczynie sprawiała, że krew zagotowała mu się z podniecenia.

Rozejrzał się po swojej kwaterze, próbując znaleźć coś, co odpędziłoby od niego wizję Josselyn. Jego namiot stał dokładnie w miejscu gdzie w przyszłości będzie główna sala zamczyska. Grunt był tu stosunkowo płaski. Mur wewnętrzny trzeba będzie zbudować na pochylonym stoku, a linię zewnętrznych fortyfikacji przynajmniej częściowo wyznaczały naturalne skalne wypiętrzenia. Poza obrębem murów wyrośnie kiedyś miasto zamieszkane przez lud o pochodzeniu zarówno angielskim, jak i walijskim. A nad całym obszarem będzie powiewać jego proporzec z sylwetą

czerwonego wilka.

Rand bynajmniej nie zamierzał pozostawać tu wiecznie. Zbuduje Henrykowi zamek. Da królowi potężną fortecę zdolną chronić królewskie interesy w tej zimnej, śnieżnej krainie. Sam jednak nie wyobrażał sobie tu życia, przynajmniej nie wtedy, gdy ośrodek władzy leży w Londynie - a to się nigdy nie zmieni.

- Władza to zwodnicza potęga - usłyszał głos przemawiający jak gdyby z głębi swego własnego umysłu.

Zobaczył kąciem lewego oka jakieś poruszenie, odwrócił się błyskawicznie twarzą do gościa, który bezszelestnie podkraść się do obozu. Gotów do walki, w tej samej chwili Rond zorientował się, że gwałtowna reakcja byłaby niepotrzebna i nieuzasadniona.

Nieopodal stał Newlin z utkwionymi w niego oczami, których wzrok, choć skupiony na twarzy rozmówcy, zdawał się wybiegać w niezgłębioną dal. Rand poczuł chłodny dreszcz spływający po krzyżu, a jego prawa dłoń drgnęła, gdy odruchowo chciał chwycić za miecz. Bard był osobliwym człowiekiem, ale nie wolno było ulec złudzeniu, że potrafi czytać w myślach. Tego tylko brakowałoby na dobre wystraszyć przesądnych żołnierzy!

- Nie ma na ziemi takiego człowieka, który by nie pożądał większej władzy nad tę, która mu się dostała - powiedział Rand w odpowiedzi na milczące spojrzenie barda.

Newlin wzruszył zdrowym ramieniem.

- Człowiek godny tego miana potrafi powściągać żądze. Nie pozwala, by to one nim kierowały.

Oczy Randa zwęziły się w szparki. Gdyby nie mocne postanowienie utrzymania pokoju z Walijczykami, którzy

darzyli tego dziwnego człeka szczególną czcią, pokazałby nieproszonemu gościowi, gdzie raki zimują. Poza tym pamiętał o lęku, jakim karzeł napełniał jego żołnierzy, i wiedział, jak ważne jest samemu nie okazać, że i on czuje się nieswojo w obecności barda. Innymi słowy, musiał spokojnie ścierpieć jego odwiedzin.

Rand mimo wszystko nie zamierzał dać się zbić z tropu.

- Opowiedz mi o tej kobiecie... o tej Josselyn - zażądał, zmieniając temat. - Zgodziła się uczyć mnie waszej mowy. Czemu dzień wcześniej przebrała się za chłopaka?

Newlin zareagował uśmiechem.

- Josselyn... tak, to już kobieta. Lecz niedawno była osieroconym dzieckiem, które znalazłem płaczące na płycie dolmenu.

- Przyhołubiłeś ją?

- Wszyscy ją przyhołubiliśmy. Ode mnie nauczyła się języków, od Deweya sztuki władania sztyletem. Od Ness brała lekcje gotowania, stara Mina pokazywała jej, jak szyć.

Rand zastanawiał się nad kolejnym pytaniem:

- Nie, nie jest zamężna... - usłyszał odpowiedź kaleki, zanim zdołał dobrać słowa.

Zacisnął szczęki i stłumił irracjonalny lęk, że Newlin rzeczywiście czyta w myślach. Kobieta była niebrzydka. Każdy przy zdrowych zmysłach zastanawiałby się, czy znalazła już męża. Nie było potrzeba wielkiej intuicji, by odgadnąć takie myśli.

- Czemu przebrała się za chłopca? - nalegał. Newlin długo milczał.

- Mężczyźni z krainy Cymru dają swym kobietom wiele swobody, lecz w kwestii udziału kobiet w wojnie nie różnią

się od Anglików. Walka jest męską sprawą, nie kobiecą. Powiedziano jej, że nie może iść z innymi, więc przebrała się za młodego wojownika.

- Ujawniła się, gdy przemówiła. Czy ukarano ją za ten wybieg? Newlin uśmiechnął się, a jego starcze spojrzenie powędrowało w bok od twarzy Anglika i skupiło się gdzieś na zboczu góry. Tym razem to Rand domyślił się myśli barda.

- Oto nadchodzi - rzekł Newlin w tej samej chwili, gdy Rand dostrzegł jej sylwetkę.

Pewnym krokiem wspinała się po zboczu. Gdy przechodziła koło robotników zajętych budową, ci przerwali pracę i śledzili ją wzrokiem, jakim patrzy za kobietami mężczyzna przez dłuższy czas pozbawiony ich towarzystwa. Szybko się ku nim zbliżała, a choć spowijał ją ciężki płaszcz, a głowę okrywała zawiązana na supeł chusta, Rand poczuł dreszcz nagiej żądz.

W niczym nie jesteś lepszy od swych ludzi - skarcił się w myślach. A czemuż to miałby się od nich różnić? Od trzech tygodni nie zaznał rozkoszy damskiej pieśczoćy. Musiał użyć całej swej woli, by okiełznać bestię rodzącą się do życia w zakamarkach nogawic.

Josselyn zatrzymała się przed nim, lecz rzuciwszy mu króćkie spojrzenie, zwróćiła się do Newlina:

- Dydd da - rzekła z uśmiechem. Potem spojrziała na Randa i uśmiech zniknął z jej twarzy. - To znaczy "życze ci dobrego dnia".

- Dydd da - powtórzył Rand.

- Chwithau - odpowiedziała, nie dając po sobie poznać, czy wypowiedział obce słowa z właściwym akcentem. - „I tobie

tego samego".

- Kiedy ja cię uczyłem - przypomniał jej Newlin - zaczęliśmy od tego, co nas otacza. Od kamieni i drzew, od nieba i morza.

- Tak czyniłeś - potwierdziła, patrząc na barda uważnie, jakby próbowała rozszyfrować głębsze znaczenie jego słów. W tym czasie Rand snuł własne domysły. Josselyn nie chciała w gruncie rzeczy uczyć go walijskiej mowy, wolałaby gotować lub sprzątać, żeby zarobić upragnione pieniądze. Lecz skoro już zgodziła się podjąć tego zadania, Newlin dawał jej znak, by wykonała je zgodnie ze swymi najlepszymi umiejętnościami, choćby nie było jej to w smak. Dobry człek, ten Newlin, choć osobliwy. Rand postanowił przejąć kontrolę nad sytuacją, zanim Josselyn to uczyni.

- Możesz chodzić za mną, ucząc mnie tak, jak poradził ci Newlin. Gdy już opanuję najważniejsze słowa, możesz mi wyjaśnić, jak składać je w zdania.

- Jak sobie życzysz - odpowiedziała obojętnym głosem.

Lecz choć jej ton nie zdradzał żadnych emocji, wewnątrz aż kipiała. Chodzić za nim! Nie była kundlem, żeby pętać się u jego pięt! Ale czemu nie, pozwoli mu się łudzić, iż tak właśnie jest, jeżeli dzięki temu będzie mogła uśpić jego czujność. Będzie tak posłuszną i pilną w pracy instruktorką, jakiej jeszcze nie miał; jeśli, oczywiście, uczył się czegokolwiek poza mordowaniem i łajdaczeniem.

Odwróciła się do Newlina.

- Nessie śle ci wiadomość, że dziś piecze bułeczki z kruszonką.

Zdaje się, że to twoje ulubione. Zaprasza cię na wieczorny posiłek.

Bard skinął głową jej, potem Anglikowi i bez dalszych uwag odszedł powolnym krokiem. Josselyn patrzyła w ślad za nim, pokrzepiona krótkim spotkaniem, czując otuchę na sam widok dobrze jej znanego nierównego kroku, choć starzec zostawiał ją samą z angielskim paniczem. No cóż, to ona podjęła wczoraj decyzję, by tu przyjść, ona też zgodziła się szukać zatrudnienia w obozie. Gdyby nie chciała, mogła zostać w wiosce.

Wzięła oddech, by się trochę uspokoić, i odwróciła się twarzą do nowego pracodawcy. Do odwiecznego wroga.

- Może zaczniemy?

Przyjrzał jej się badawczo, zbyt badawczo, jak na jej gust.

- Czy jadłaś już śniadanie?

- Brekwast. Tak, jadłam.

- A więc dobrze. - Wciąż się na nią gapił wyzywającym wzrokiem. Josselyn z trudnością opanowała gniew.

- Budujesz rów, fosę - ciągnęła, wskazując na grupę mężczyzn wymachujących szpadlami i kilofami w długim okopie.

- To mają być fundamenty murów.

- Gwał- podrzuciła walijskie słowo. - Aby trzymać mój lud poza ich obrębem czy też twoich ludzi wewnątrz?

- Dla bezpieczeństwa moich sojuszników, kimkolwiek by byli. I by zatrzymać przed murami wrogów. Kimkolwiek by byli - dodał.

- Więc nie wiesz, kim są twoi wrogowie?

Lekki uśmiech wygiął Randowi wargi. Wyzywający uśmiech, powiedziała sobie Josselyn.

- Mam nadzieję, że ze wszystkich dokoła uczynię sojuszników. Szczególnie z ciebie.

Nie powinna zbić jej z tropu ta śmiała uwaga, mimo to poczuła zmieszanie. Ona miałaby być jego sojuszniczką? Nigdy! Lecz tego nie wolno jej ujawniać. Spojrzała na rozmówcę z rozbawieniem.

- Być może to ty, panie, zmienisz się w naszego sojusznika.

- Czyż to nie to samo?

- Nie. - Patrzyła na niego nieruchomo. - To bynajmniej nie to samo.

Między nimi narastało napięcie, zrodzone z jej walijskiej zadziorności i jego angielskiej napastliwości. Za żadną cenę nie odwróci pierwsza wzroku, przysięgła sobie w duchu Josselyn. To byłby akt tchórzostwa. Lecz nawet gdyby chciała, nie potrafiłaby oderwać od Anglika oczu, tak wielką miał siłę przyciągania.

Nieoczekiwanie pojawił się ratunek w postaci rudobrodego, który właśnie zbliżał się ku nim zasapany. Fitz Hugh oderwał wzrok od Josselyn. Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Nie zdawała sobie sprawy, że już od jakiegoś czasu wstrzymuje oddech.

Na krew świętego Dawida! Cóż to zaszło przed chwilą? Czuła, że drobne włoski na: przedramieniu jeżą się; cofnęła się o krok, pocierając swędzące ramiona. Poczowała się lepiej, stojąc w pewnej odległości. Szczęśliwie w tej chwili uwagę Randa zajmowały wywody sir Lovella.

- ... miękka warstwa. Trzeba będzie głębiej osadzić fundamenty.

- A to zajmie więcej czasu? - Fitz Hugh zmarszczył czoło.

- Owszem. Lecz gdybyśmy zmienili bieg murów, by ominąć żyłę piachu w podłożu, powstanie ślepa strefa w łańcuchu umocnień. Musielibyśmy wtedy nadbudować dodatkowe

piętro wieży. Sprawdź sam, panie. - Budowniczy rozłożył na ziemi pergamin i obaj nad nim przykucnęli.

Josselyn stała bez ruchu, pragnąc, by zapomnieli o jej obecności. Chciała jedynie słuchać - i zdobywać wiadomości. Najbardziej wszakże chciała ujrzeć szkice wyrysowane na pergaminie. Zmrużyła oczy, próbując przebić się wzrokiem przez blask porannego słońca odbijającego się od białej powierzchni zwoju. Prawdopodobnie niechcący przysunęła się bliżej lub wyciągnęła do przodu głowę, gdyż sir Lovell zerknął raptownie w górę, urwał w pół zdania i szturchnął swego rozmówcę.

- Czy to twoja nowa tłumaczka?

Randulf Fitz Hugh odwrócił się i rzucił spojrzenie na dziewczynę.

- Owszem, to ta.

- Dobrego poranka ci życzę, sir Lovell - odezwała się Josselyn, chcąc za wszelką cenę zdobyć sobie względy budowniczego. - Czy i wy zechcecie brać u mnie lekcje Cymraeg? - Uśmiechnęła się z wdziękiem, widząc, że jej uprzejmość ściera z twarzy rudobrodego wyraz podejrzliwości.

- Zaiste, skoro mam spędzić następne dziesięć lat życia w tym miejscu, mądrze bym uczynił. Panie ci błogosław, dziewczeczko, za tę ofertę.

- Dzieweczka to llances - odparła natychmiast.

- Llances - powtórzył, już z uśmiechem. - Jesteś ładniutka, llances. Sam mam dwie córki, choć obie młodsze od ciebie.

- Czy przyjadą tu do ciebie, panie?

- Oczywiście, w stosownej chwili. - Fitz Hugh uprzedził odpowiedź sir Lovella. - Gdy przyjdzie czas, wszyscy

sprawadzimy nasze rodziny. Ale przedtem czeka nas mnóstwo pracy. Ruszmy się, Lovell, chcę zobaczyć miejsce, o którym mówisz.

Odeszli, Josselyn nie pozostało więc nic innego, jak podążyć za nimi. Przez chwilę stała jednak nieruchomo, patrząc za dwoma Anglikami. Nie przypominali mężczyzn, jakich poznała do tej pory. Wysoki dumny lord jednocześnie przerażał ją i pociągał. Ten drugi, przysadzisty i dobronuduszy, w jakiś nieuchwytny sposób przywodził jej na myśl ojca. Oczywiście, w niczym nie był do niego podobny. Choć jej wspomnienia o dawno nieżyjącym rodzicu były raczej mgliste, pamiętała, że był ciemnowłosym wysokim mężczyzną przemawiającym głębokim basem. Wyglądem bardziej przypominał Randulfa Fitz Hugh niż sir Lovella. A jednak coś w wyrazie twarzy budowniczego, jakaś nuta w głosie, gdy mówił o córkach...

Z wysiłkiem otrząsnęła się z sentymentalnych urojeń. No cóż, czule wspominał swe dzieci - to wszystko. Podobieństwo tu się kończyło. Lecz jeżeliby pragnął zaprzyjaźnić się z nią i traktować tak, jakby była jedną z jego własnych córek, nie omieszka z tego skorzystać. Byłaby głupia, gdyby tego nie uczyniła - wszak tylko po to tu przyszła.

Jeszcze raz napomniała się w myślach: jedyne, co ją obchodzi, to zbieranie informacji o angielskim wrogu. Przyspieszyła kroku, by nie pozostać w tyle.

- A jak jest po walijsku "błoto"? - spytała, bawiąc się kawałkiem czerstwego ciemnego chleba.

Rand z trudem utrzymywał spojrzenie na poziomie jej oczu.

Oby tylko nie spuścić wzroku na te świeże wargi czy, co gorsza, na bujne piersi!

- Błoto? Llacs - odpowiedział

- A "chleb"?

- Carreg.

- Nie, carreg znaczy "kamień".

Rand uśmiechnął się i pokazał jej kawałek twardego jak skała chleba.

- Bara. Carreg. W tej chwili nie widzę żadnej różnicy. - Rzucił chleb na jej podolek wraz z garścią kamyków.

Mogła potraktować ten gest jako zaproszenie do zabawy, nawet flirtu; postanowiła jednak pokazać Anglikowi, że nie podoba jej się ta poufałość, strząsnęła więc zarówno chleb, jak kamyki z fałd spódnicy na ziemię.

Po długich porannych wędrówkach, w czasie których Rand oprowadził Josselyn po terenie budowy, pokazując wszystko - konie, narzędzia, drzewa, wozy - i pytając o ich walijskie nazwy, posłał ją po chleb i ser, które złożyły się na południowy posiłek. Siedzieli oddaleni od reszty załogi w miejscu, gdzie z nagrzaną słońcem ziemi zaczęły już przebijać zielone pędy wiosennych traw. Josselyn wstałaby przenieść się na sterczący nieopodal głaz. Promienie słoneczne igrały w kruczoczarnych, sięgających pasa splotach włosów, zaróżowiły jej pełne policzki.

A może rumieniec wywołany był jego niewinną próbą flirtu? Rand postanowił to sprawdzić.

- Jak powiedzieć po walijsku "twoje włosy lśnią jak skrzydła kruka"?

Rzuciła mu poirytowane spojrzenie, lecz rumieniec na policzkach pogłębił się.

- Nijak - syknęła.

Przetoczył się na bok, podpierając głowę ramieniem.

- Czemu? Któregoś dnia mogę chcieć zalecać się do kruczowłosej dziewczynie, więc potrzebuję i takich słów.

- Użyj więc angielskiej mowy, gdyż wątpię, czy którakolwiek Walijska zniżyłaby się do tego, by słuchać podobnych bzdur.

- Bzdur? - Rand zaśmiał się otwarcie i zdał sobie sprawę, że czyni to po raz pierwszy od miesiąca. - Sądysz, że Anglik nie odniósłby sukcesu w umizgach do Walijski?

Josselyn rzuciła mu mroźne spojrzenie.

- Owszem, tak sędzę. Jeśli przybyłeś tu w poszukiwaniu kobiet, jesteś skazany na klęskę. Żadna szanująca się niewiasta nie zdradzi swego kraju, zadając się z tobą.

Jej pełen wyższości ton zgasił dobry humor Randa.

- Dziwna wydaje mi się twoja postawa po tym, jak szybko zgodziłaś się dla mnie pracować - rzekł, siadając.

- Tu chodzi o pieniądze, o nic więcej.

- Pieniądze. Dziwkom też o to tylko chodzi.

- Tak, ale ja nie jestem dziwką! - Z rozmachem wstała z głazu i chwyciła płaszcz. - Koniec lekcji.

Rand złapał ją za nadgarstek i przyciągnął twarzą do siebie.

Pogardliwe słowa dziewczyny rozwścieczyły go, ale gdy tylko jej dotknął, oburzenie minęło. Patrzył na jej obojętną twarz i przeklinał się za głupotę.

Owszem, potrzebował kobiety - ale dziwki, nie dziewczyny takiej jak ta, nie w ten sposób. Była chętna dawać mu lekcje walijskiej mowy, bez której trudno by mu było w przyszłości władać tą krainą bez rozlewu krwi. Potrzebował Josselyn ap Carreg Du. Nieważne, jakie były prawdziwe powody, które

skłoniły ją do zgody na te lekcje, nie mógł ryzykować jej utraty. Oznaczało to, że musi zobojętnieć na jej wdzięki. Na jej niezrównany urok.

Puls Josselyn tętnił coraz szybciej pod jego palcami. Czuł dotyk gładkiej i ciepłej skóry. Wiedział, że całe ciało ma gładkie...

Niech to piekło pochłonie! Nie mógł dopuszczać do siebie takich myśli!

- Nie miałem zamiaru cię obrazić, Josselyn. Nie musisz uciekać, nie skrzywdzę cię. - Puścił jej rękę, lecz wciąż wpatrywał się w jej twarz.

Odstąpiła od niego, oddychając ciężko. Rand zauważył, że jej pierś podnosi się i opada pod fałdami szala zamotanego wokół sukni i związanego w pasie. Pierś nie za obfita, lecz nie płaska...

Jeszcze raz przeklął się w duchu. Musi natychmiast przestać patrzeć na nią w ten sposób. Musi znaleźć inną kobietę, by ugasić gorączkę żądz.

- Nie uciekam - rzuciła. - Mam po prostu jeszcze inne obowiązki. Jak na jeden dzień nauczyłeś się dziś wystarczająco dużo. - Przygryzła dolną wargę, po czym powiedziała: - Do widzenia.

- Poczekaj. - Chwycił fałdę jej płaszcza. - Kiedy wrócisz? Josselyn wyszarpnęła materiał z palców Anglika.

- Być może jutro. Albo pojutrze.

Odwróciła się, by odejść, ale zatrzymał ją kolejnym pytaniem. - Czy możesz znaleźć mi jakąś przyzwoitą kucharkę? Kogoś, kto umie wypiekać chleb? Da bara?

- Bara da - poprawiła i spojrzała na niego z powagą. - Być może znajdę kobietę, która się zgodzi. Ale tylko na

obowiązki kucharki. Nie będę ci szukała nierządnic. Te musisz sobie znaleźć sam.

Rand wykrzywił twarz w szerokim uśmiechu i skinął głową.

- Zgoda. Do jutra więc. Ach, Josselyn - dodał. - Jestem ci wdzięczny.

Jestem ci wdzięczny.

Josselyn biegła przez całą drogę do domu, gotując się ze złości wywołanej tymi niewinnymi słowami. Jestem ci wdzięczny.

Zdawała sobie sprawę, że właściwie zirytowały ją nie słowa Anglika, lecz jej reakcja na nie. Uśmiechnęła się do niego - a nie była to gra skalkulowana na uśpienie czujności wroga, lecz spontaniczny gest. Głupi gest zasługujący na naganę.

Zatrzymała się u brodu rzeki i spojrzała za siebie, na leśny szlak wiodący na Rosecliffe, lecz nie mogła dojrzeć płaskowyzu ani Anglika, który chciał na nim panować. Co się z nią działo, na litość boską? Przez cały dzień walczyła z nieoczekiwanymi reakcjami na słowa i gesty tego mężczyzny. Zachowywała się tak, jak gdyby nigdy nie przebywała w bliskości przystojnego mężczyzny.

Niestety! Nigdy dotąd nie spotkała nikogo, kto by ją pociągał równie silnie jak ten Anglik.

Rozdział piąty

Następnego dnia Josselyn nie wybrała się na Rosecliffe. Stryj Clyde wypytywał ją o wczorajszy pobyt w obozie Anglików, o wszystko, co widziała i słyszała, o samego Randulfa Fitz Hugh i o pergamin, z którym nie rozstawał się sir Lovell. Jej

opowieści przysłuchiwał się Dewey i inni mężczyźni z wioski, lecz gdy skończyła, odprawili ją, podczas gdy sami zajęli się debatowaniem nad krokami, jakie wypadałoby podjąć wobec kolejnej fali najeźdźców.

I ona zastanawiała się nad swoimi dalszymi krokami, choć nie układała wojennych strategii. Miała pewien pomysł, lecz nie będąc pewna, jak najlepiej zabrać się do jego realizacji, poszła poszukać Rhonwen.

Znalazła dziewczynkę w kuchni.

- Czy twoja matka umie dobrze gotować?

Chuda dziewczuszka bawiła się z na wpół wyrosniętym szczeniakiem, potomkiem ulubionej charcicy stryja Clyde'a.

- Chyba tak - odpowiedziała po chwili wahania. - Ale nie chcę do niej wracać. Była tu wczoraj, ale powiedziałam, żeby sobie poszła. - Raptownie wysunęła bródkę w geście wyzwania. - Nie wrócę, nie możecie mnie zmusić.

W sercu Josselyn wezbrała litość na widok dziecka, które było tak wrogo nastawione do jedyne go rodzica, jaki jej pozostał. - Nie odeślemy cię wbrew twojej woli.

- Cóż więc mnie może obchodzić, czy dobrze gotuje?

- Anglicy potrzebują kucharki.

Rhonwen aż zmarszczyła twarz ze zadziwienia.

- Czemu jesteś taka chętna do pomocy tym angielskim diabłom wcielonym? Niech się na śmierć zagłodzą. Może wtedy wrócą do siebie - zakończyła z zapalem.

- To nie im chcę pomóc, Rhonwen, lecz twojej matce. Chodź do mnie, uczeszę ci ładnie włosy.

Dziecko zawahało się, lecz ostatecznie podeszło do niej, jak zresztą się tego spodziewała. Dziewuszka była niezwykle dzielna, ale w końcu to tylko małe przerażone dziecko.

Trzymała się na uboczu, lecz widać było, że lubi, gdy jej szciotkują włoski. Usadowiła się przy Josselyn i poddała długim pociągnięciom grzebienia.

- Twoja mama zagubiła się po śmierci taty. Przyda jej się jakieś zajęcie, które oderwie jej myśli od jego pamięci.

- Ma przecież nas... miała nas. Mogła się do woli zajmować mną, Kordulą i małym Davitem. Ale nie dbała o nas. O własne dzieci.

Josselyn z bólem słuchała drżącego głosiku Rhonwen. Impulsywnie objęła dziewczynkę i przycisnęła do piersi.

- Wiem, że jesteś na nią zła. Ja też jestem na nią zła, Rhonwen, ale chcę jej pomóc, żeby znów stała się dobrą matką i...

- Więc wyślij ją do angielskich żołnierzy! Wyślij ją do nich, może ją zabiją! - Krzyknęła dziewczynka, wrywając się z objęć Josselyn. Podbiegła do kuchennych drzwi. - A jak ją zabiją, ja wcale nie będę smutna. Ani trochę! Będę się cieszyć, gdy umrze! Właśnie że tak!

Całym ciałem oparła się o odrzwia, aż otworzyły się szeroko, i wypadła na dwór.

- Rhonwen, zaczekaj! - Było już za późno. Josselyn patrzyła, jak mała skręca za komórkę na opał i znika w lesie.

Na pewno niedługo wróci, pocieszyła się w myślach. Wróci jeszcze przed zmrokiem, przed końcem wieczery, zanim kobiety zanoszą jadło do spiżarni. Tymczasem ona wybierze się do Gladys i sprawdzi, czy jej plan ma szanse powodzenia.

- Gotować dla Anglików? Czyś tu oszalała? - Wykrzyknęła wdowa, gdy Josselyn ją znalazła. - Zabili mojego Tomasa.

Kto wie, może któryś z tych, którzy tu teraz budują, przyłożył do tego rękę. I ja miałabym dla nich gotować? Nigdy! Nienawidzę Anglików - zakończyła z pasją.

Przynajmniej nie była pijana. Josselyn była jednak pewna, że Gladys pozostała trzeźwa jedynie dlatego, iż zabrakło jej silnych trunków. Nędzna chata nadal znajdowała się w opłakanym stanie, a jej właścicielka śmierdziała brudem.

Josselyn podparła się pod boki.

- Nienawidzisz Anglików? No więc dowiedz się, że ciebie nienawidzi twoja własna córka. Co zamierzasz z tym zrobić? Nie do uwierzenia, jak błyskawicznie kobietę opuściła wojowniczość. Całe jej ciało zapadło się w sobie, jakby Josselyn wymierzyła jej śmiertelny cios. Dziewczyna nie traciła jednak czasu na wyrzuty sumienia, lecz postarała się wykorzystać przewagę.

- Czas już przyszedłbyś się otrząsnęła z nieszczęścia, Gladys. Dzieci potrzebują matki, która by się nimi zajęła.

- Rhonwen mnie nienawidzi... - Z przekrwionych oczu popłynęły łzy. - Na co się przyda...

- Owszem, Rhonwen mówi, że cię nienawidzi, ale tylko dlatego, że zawiodłaś ją w potrzebie. Czego możesz się spodziewać? Postaraj się ponownie zdobyć jej miłość i szacunek. Pomóż mi walczyć z Anglikami.

- Walczyć? Ależ... - Gladys otarła oczy grzbietem dłoni. - Czyżbyś zamierzała ich wytruć?

Josselyn zaświtał przebłysk nadziei.

- Być może to nie najgorszy pomysł; jeszcze zobaczymy. Na razie jednak chodzi o to, by zdobyć ich zaufanie. Nie od razu uda nam się ich pozbyć. Są zbyt liczni. Ale jeśli będą nadal budować zamek, a kilkoro z nas zdobędzie ich zaufanie, być

może któregoś dnia zaatakujemy ich od wewnątrz, a kiedy już uda nam się wyprzeć ich z fortecy, nie zdołają nam jej odebrać.

Josselyn pochyliła się naprzód, z zapalem nakreślając swój plan.

- Na razie potrzebują kucharki, kogoś, kto potrafi piec lepszy chleb niż to. - Wyjęła z kieszeni kawałek ohydnej stawy i rzuciła na kolana Gladys.

Wdowa powąchała okruch.

- To żytni bochenek, i do tego stęchły.

- Nie lepiej pachniał w dzień wypieku.

- Mają piece chlebowe?

- Zbudowali jeden piec i właśnie zabierają się do budowy pomieszczeń kuchennych. Zrobią wszystko w zamian za obietnicę smakowitej stawy. Płacą żywą monetą.

Gladys zerknęła na nią spode łba.

- A ty skąd to wszystko wiesz?

Josselyn wyprostowała plecy.

- Uczę przywódcę Anglików walijskiej mowy. Płaci mi srebrnego denara za każdy tydzień.

Skrzyżowały spojrzenia. Josselyn niemal słyszała myśli, które kotłują się w głowie jej rozmówczynie.

- Więc to nie byłoby pomaganie Anglikom - powiedziała Gladys. - Szpiegowałabym ich, a w dodatku oni by mi za to płacili.

- Otóż to.

- A gdyby tak któryś z nich próbował... Wiesz, co mam na myśli... Robić mi nieprzystojne propozycje?

- Już omówiłam to z ich przywódcą, lordem Fitz Hugh. Solennie obiecał, że jego ludzie będą się zachowywać

pryzwoicie.

- Wierzysz mu?

- Jak dotąd dotrzymywał słowa - odparła Josselyn. Sama jednak nie wiedziała, czy bicie serca, jakie wywołał jego dotyk na jej skórze, nie było czymś nieprzyzwoitym. - A więc zgadzasz się?

Gladys długo na nią patrzyła; wreszcie skinęła głową.

- Tak, zgadzam się. Ale czy wyjaśnisz wszystko Rhonwen? Nie chcę, żeby mnie nienawidziła.

Josselyn pochyliła się, uspokajająco kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Obiecuję. Może mi to zająć trochę czasu, ale zapewniam cię, Gladys, że przyjdzie dzień, w którym ty i twoje dzieci znowu będziecie razem.

Oczy Gladys ponownie wypełniły się łzami, a gdy się odezwała, głos drżał jej z przejęcia.

- Przez ubiegłe miesiące byłam nikczemną matką. Miałaś rację, zabierając mi dzieci. Ale teraz wiem, że pragnę je odzyskać. Jeśli muszę utuczyć wszystkich tych przeklętych Anglików, by dowieść, że jestem warta swych dzieci, uczynię to. Kiedy mam zacząć?

- Pójdziemy tam jutro razem - odrzekła Josselyn z wielką ulgą. - Bądź gotowa o świcie. I ogarnij się trochę. Nikt nie zechce kucharki z brudnymi rękami. - A szczególnie Fitz Hugh, którego wygląd wskazywał na to, że zwraca uwagę na czystość bardziej niż pozostali Anglicy.

Teraz będzie jej miał jeszcze więcej do zawdzięczenia - pomyślała Josselyn z bezbrzeżną satysfakcją, wracając do domostwa stryja i ciotki. Poza tym będzie miała w obozie sojusznika, nie tylko ziomka, lecz w dodatku kobietę. Nie

mogła bowiem zaprzeczyć, że do końca nie ufa Randulfowi Fitz Hugh. Ani sobie.

Następny ranek przyniósł zapowiedź deszczu, choć znacznie się ociepliło, a w powietrzu czuć było wiosnę. Gdy Josselyn z Gladys u boku dotarła do obozu, Anglicy, mimo wczesnej pory, pracowali już przy budowie. Dziewczyna zdumiała się, widząc, jak wielkie poczynili postępy. Wykończono ściany dwóch drewnianych budynków, a cały rój mężczyzn przystępował właśnie do prac przy dachu.

Podobnie sprawy się miały z warstwą piachu, o której wspominał przedwczoraj sir Lovell: została wykopana. Cztery wozy zaprzężone w podwójny rząd wołów utwardzały drogę wiodącą od miejsca budowy do kamieniołomów.

- O słodki Jezu! Nie tracą czasu, prawda? - Wyszeptała Gladys.

- Zdaje się, że ich przywódca to bardzo ambitny człek - odpowiedziała Josselyn.

- Oj, tak. Ale musimy go przechytrzyć.

- I zrobimy to. Nie mów jednak w ten sposób, gdy tu jesteśmy, nawet do mnie - ostrzegła Josselyn. Szukając lorda Fitz Hugh przesunęła wzrokiem po placu budowy, jeszcze tak niedawno nagim płaskowyzu porośniętym krzakami ciernistych róż, od których wziął nazwę. Ku swemu zaskoczeniu, ujrzała Anglika koło dolmenu, gdzie rozmawiał z Newlinem. Poprzedniego dnia widziała barda zaledwie przez chwilę, nadal więc nie była pewna, czy starzec zdecyduje się opuścić swój osobliwy dom, by przenieść się w bardziej odludne miejsce. Lecz najwyraźniej

mieszkał tu nadal i jak gdyby nigdy nic wdawał się w rozmówki z nieprzyjacielem.

Czując, jak ogarnia ją nieoczekiwana fala zazdrości, pospieszyła ku tej niedobrej parze.

-... wielkie bestie polowały niegdyś wśród tych wzgórz. Na własne oczy widziałem ich szkielety i czułem energię, jaką musiały mieć - opowiadał Newlin. - A, Josselyn! - Skierował zdrowe oko na obie przybyłe kobiety. - Czyżbym. czuł zapach świeżego chleba?

Josselyn nie zdziwiła domyślność, barda, aczkolwiek Gladys otworzyła szeroko oczy. Zatrzymała się raptownie i patrzyła to na dziwaczną postać starca, to na imponującą sylwetkę Anglika. Josselyn chwyciła ją za ramię, odcinając jej drogę powrotu.

- Jak zwykle, wybiegasz myślą naprzód, Newlinie. Lordzie Randulfie, oto Gladys, która zgodziła się gotować i piec dla was, panie, i dla twoich ludzi. Obiecałam jej płacę w brzęczącej monecie, tak jak wynagradzasz mnie. Dałam jej też gwarancję bezpieczeństwa zgodnie z twą obietnicą, tak w obozie, jak na szlaku do Carreg Du.

Ciemne oczy Randa prześlizgnęły się po twarzy Josselyn, po czym spojrzał uważnie na jej towarzyszkę. Widząc jej zdenerwowanie, uśmiechnął się łagodnie.

- Witaj na zamku Rosecliffe. Dostaniesz wszystko, czego będziesz potrzebować dla zorganizowania kuchni.

Josselyn przetłumaczyła jego francuską mowę i czuła, jak pięść Gladys spoczywająca w jej dłoni nieznacznie się rozluźnia. Kobieta wyszeptała jej coś do ucha. Josselyn zwróciła się do Anglika.

- Ona chce wiedzieć, jak zareaguje na jej obecność

dotychczasowy kucharz.

Rand wykrzywił twarz w komicznym grymasie.

- Nie mamy kucharza z prawdziwego zdarzenia. Człowiek, którego zatrudniliśmy, by nam gotował, złamał rękę w czasie żeglugi. W dała się infekcja i musieliśmy go odesłać razem ze statkiem. - Wzruszył ramionami. - Cokolwiek ugotujesz, będzie z pewnością lepsze od tego, co pichci Odo. Nie musisz się martwić, że poczuje się obrażony twoim przybyciem. Nawet on dławi się strawą, którą gotuje.,
Gladys skinęła głową, gdy Josselyn przetłumaczyła słowa Anglika, lecz jej twarz pozostała ponura, co trochę zaniepokoiło dziewczynę. Gladys powinna się postarać ukryć przed Anglikami swoją niechęć.

Josselyn odchrząknęła i zwróciła się do lorda Fitz Hugh:

- Będę jej dziś pomagać, jeśli się zgodzisz, panie, aby zorientowała się w sytuacji.

- A moja lekcja walijskiego?

- Możemy odbyć ją po południu - zaproponowała. - Gdzie są wasze kuchnie? Dy cegin?

Kuchnia z przylegającą do niej spiżarnią mieściła się w dwóch budynkach, które robotnicy właśnie wykańczali. Piec został wzniesiony na samym początku, więc Josselyn i Gladys zdecydowały się na warzenie strawy, choć zamiast strzechy widziały nad sobą gołe niebo. Jak przewidywał Rand, dotychczasowy kucharz był z tego wyraźnie zadowolony. Zgodził się jednak na prośbę Josselyn zostać w kuchni, by im pomóc.

- Jako żywo, wolę targać wiktuały i piwo niżeli taplać się po błocie, wożąc kamienie - zauważył z dobrodusznym skinieniem głowy.

- Anglik nie będzie mi się kręcił po kuchni. - Gladys skrzywiła się, gdy Josselyn wyjaśniła jej obecność Oda.

- Będzie tu pracować, a ty bądź zadowolona, że ktoś ci pomaga □syknęła Josselyn po walijsku. - Jeżeli nie uda ci się nawet przed nim ukryć prawdziwego powodu naszego pobytu w obozie, jak zamierzasz zwieść innych?

Gladys przez chwilę przeżuwała to w myślach.

- No, więc dobrze. Ale jak mam mu tłumaczyć, co ma robić?

- Naucz się ich mowy. To nam może pomóc. Wskazuj dłonią, o, tak: bławd. - Zwróciła się do Oda, spoglądając na niego wyczekująco i wskazując palcem. - Bławd - powtórzyła, poklepując ciężki wór.

- Co takiego? Aa, mąka. To mąka -powtórzył, rozpromieniony.

- Widzisz? - Josselyn zerknęła na swą towarzyszkę. - W ich mowie bławd to "mąka". Powtórz i zapamiętaj.

Opory Gladys osłabły nieco, gdy obie zajęły się robotą. Posadziła Oda nad stertą warzyw, dała mu kosz makreli do wyczyszczenia, a sama wraz z Josselyn zabrała się do żmudnego procesu wypieku chleba.

W południe na nowiutkim palenisku stał już wielki gar smakowicie pachnącej rybnej polewki, a tuzin świeżutkich bochnów stygł na stole. Drugi tuzin dochodził właśnie w piecu. Dwa kolejne rosły w dzieżach pod paleniskiem.

Josselyn, Gladys i Odo pocili się obficie, gdyż dzień był ciepły, a powietrze w kuchni rozgrzane od płomieni. Gdy Odo uderzył w dzwon wzywający na posiłki, a robotnicy odłożyli narzędzia i pospieszyli w stronę kuchni, kobiety wymieniły pełne dumy spojrzenia. Posiłek dla blisko setki mężczyzn - cóż, może to i nie było takie wiekopomne

osiągnięcie. Trzy posiłki dzień po dniu: tak, tym można będzie się pochwalić. Josselyn była już pewna, że Gladys da sobie radę.

- Wyrazy uznania dla kucharki - rzekł sir Lovell z uśmiechem, kłaniając się przed Gladys.

Josselyn nie musiała tego tłumaczyć, widząc, że jej towarzyszka odpowiada uśmiechem. Nagle, zdając sobie sprawę, iż uśmiechnęła się do Anglika, chyląc głowę, wykręciła się na pięcie i odeszła. - Wielce mi się założyłaś, sprowadzając ją tutaj - zabrzmiał w uchu Josselyn znajomy głos.

- Ona też potrzebuje pieniędzy - odrzekła niedbale. Nieznacznie odsunęła się od Anglika, zażenowana jego bliskością i gardłowym tonem, jakim przemawiał.

- Ty również, jak mniemam. Dzisiaj mam zamiar poznać nazwy drzew i leśnego zwierza.

- Jak sobie życzysz, panie. - Rozwiązała ścierkę, którą chroniła suknie przy gotowaniu, i odłożyła ją na bok. - Zostawię cię z Odonem, teraz już poradzicie sobie - zwróciła się do Gladys po walijsku. - Nie wyruszaj w drogę powrotną do wioski beze mnie.

Gladys spojrzała na nią znacząco.

- Strzeż się go - odrzekła, nieznacznie wskazując Randa Fitz Hugh. - Pragnie uzyskać od ciebie więcej niż lekcje naszej mowy.

Teraz na Josselyn przyszła kolej schylić głowę i wykręcić się na pięcie. Mógł sobie i chcieć czegoś więcej, lecz nic więcej z pewnością nie dostanie! Usłyszawszy jednak swoje własne lęki wypowiedziane głośno przez kogoś innego, poczuła się tak, jakby zagrożenie wzrosło. Wciąż zarumieniona od

stania przy kuchni, złapała płaszcz i zarzuciła go na ramiona.

- Derwen - odezwała się, wskazując na samotny dąb stojący tuż za obrębem wznoszonych przez Anglików murów. - Hebog. - Wyciągnęła dłoń w stronę sokoła, który zerwał się z gałęzi, gdy podeszli bliżej.

- Zaraz, zwolnij kroku - nakazał Fitz Hugh, gdy skierowała się w dół stoku, - Nie ma powodu do pośpiechu. Tak ciężko dziś pracowałaś; zasługujesz na odpoczynek. Poza tym pochłonałem więcej tej przepysznej polewki, niż nakazywał rozsądek. - Poklepał się po brzuchu. - Przejdź się ze mną kawałek, Josselyn.

Przejdź się ze mną kawałek.

Na dźwięk tych słów w jej głowie rozdzwoniły się dzwony jak te, które alarmowały wioskę w obliczu niebezpieczeństwa. Przejdź się ze mną? Przechadzki są zwyczajem kochanków, nie wrogów.

- Nie zwykłam się przechadzać; mynd araffi naf - przetłumaczyła. Wahala się przez chwilę, lecz ciągnęła nieustępliwie: - Nie będę udawała przyjaźni, której nie czuję, lordzie Fitz Hugh. Najlepiej będzie dla nas obojga, jeśli to sobie wyjaśnimy.

Patrzył na nią badawczo z rękami opartymi na biodrach.

- Zbyt daleko idące wnioski wyciągasz z mych słów, Josselyn. Być może źle zrozumiałaś, co miałem na myśli, używając wyrażenia "przechadzać się". Oznacza ono "iść wolnym krokiem".

- Wiem, co oznacza.

- Wobec tego może zwolnisz kroku?

Josselyn popatrzyła na niego zbita z tropu. Potem ruszyła

naprzód, aczkolwiek odrobinę wolniej. Serce łomotało jej w piersiach jeszcze gwałtowniej niż przed chwilą.

- Czemu nie pokazujesz mi rzeczy, których walijskie nazwy chcesz poznać? - odezwała się, gdy się zbliżyli do pasma zarośli skrywających nurt rzeki.

- Których walijskie nazwy chcę poznać - powtórzył jak echo. Znow poczuła na sobie jego spojrzenie, lecz nie oderwała oczu od ścieżki.

- To, co najbardziej chcę poznać - zaczął, a ona spięła się wewnątrz, gotowa odeprzeć kolejną dwuznaczną propozycję □ to sposób na utrzymanie pokoju między mną i moimi walijskimi sąsiadami.

Tego nie oczekiwała. Przez chwilę nie wiedziała, jak zareagować. Utrzymać pokój?

- Odejdźcie, skądście przyszli - wyrzuciła z siebie bez zastanowienia.

Zachichotał ponuro.

- Mam nadzieję, że masz jeszcze inne pomysły.

- Jeśli pragniesz mojego poparcia, tracisz czas swój i mój. Nauczę cię języka Cymraeg, lecz nie zdradzę mojego ludu.

- Nie proszę cię o to. Pragnę jedynie żyć tu w pokoju z Walijszymi. Czy to takie trudne?

- Lud Walii i Anglicy nigdy nie nawiązali ze sobą przyjaznych stosunków.

- Ja i ty jakoś sobie radzimy.

- Tylko dlatego, że ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą... - Ucichła, zmieszana dwuznacnością swoich słów. Chciała tylko powiedzieć, że mężczyznom nie udałoby się porozumiewać bez zwady.

- Zaiste - przytaknął, zatrzymując się w pół kroku. - Ja jestem

mężczyzną, tak jak ty - kobietą.

Zwróceniu ku sobie twarzami, stali w mozaice cieni rzucanych przez ogołoczone z liści konary starego sykomor. W lesie królowała jeszcze zimowa cisza, mimo to Josselyn wydawało się, że głuchnie od szumu pulsującej w uszach krwi. Do tego nie powinno było dojść! Nie spodziewała się, że tak będzie reagować na obecność Anglika.

- Ja... ja... - Zaciśnęła wargi, próbując się opanować. Trudno było jednak o spokój, gdy jego oczy wędrowały po całej jej postaci jak gorąca pieszczota, jak żarliwe ręce biorące ją w swe władanie. - Ja jestem twoją tłumaczką, twoim nauczycielem. Dlatego jakoś się ze sobą godzimy. Gdybym była mężczyzną, wojownikiem Cymru, nie moglibyśmy rozmawiać tak pokojowo.

- Więc może powinienem przedstawić swą misję kobietom z Carreg Du?

- Wszystkim? - Była zaskoczona, zgorszona i zaniepokojona wizją Randulfa Fitz Hugh mierzącego każdą niewiastę w wiosce tym zaborczym spojrzeniem, czarującego każdą znaną jej dziewczynę uwodzicielskimi słowami wypowiedzianymi tym lekko zachrypniętym głosem.

- Moi ludzie będą szukali żon - odrzekł. - Będą chcieli założyć rodziny. Pod tym względem Anglicy nie różnią się od mieszkańców Walii.

Żony? Rodziny? Josselyn zdała sobie nagle sprawę, jakie jest prawdziwe znaczenie jego słów. Miał na myśli kobiety dla swoich żołnierzy, nie dla siebie!

- Zgodziłbyś się, by twoi ludzie brali sobie za żony Walijski?

- Oczywiście. A co by powiedzieli walijscy ojcowie oblubienic?

Josselyn potrząsnęła głową. Chyba nie mówił poważnie?

- To nie ojców musiałbyś nakłaniać, lecz same dziewczęta. W Walii nie można zmusić kobiety do zamążpójścia wbrew jej woli.

- Tak też słyszałem. Lecz z pewnością ojcowie nakłaniają córki do decyzji zgodnej z życzeniem rodziców, mając na względzie najstosowniejsze, ich zdaniem, związki między rodami.

Josselyn pomyślała o nacisku, jaki wywierano na nią w kwestii małżeństwa z Owainem ap Madokiem. Nagle zapragnęła zmienić temat. Tego nie życzyła sobie omawiać z Anglikiem, zwłaszcza z tym Anglikiem.

Podążyła dalej ścieżką, czując jego spojrzenie na karku. Postępował tuż za nią.

- Walijski są równie lojalne jak mężczyźni. Nie będą się zadawać z angielskimi murarzami.

- Ale biorą moje angielskie pieniądze. Jak Gladys, jak ty. Doszli do brzegu rzeki. Josselyn zwróciła się wprost do niego, już opanowana, utwierdzona w oporze.

- Przyjmujemy twoje pieniądze - przyznała. - Ale nic więcej. Nie ułożysz sobie życia między nami, przybyszu z Anglii. Jeśli myślisz inaczej, oszukujesz siebie i swoich ludzi.

Spodziewała się gniewnej reakcji, lecz, ku jej zdziwieniu, wywołała jedynie lekki uśmiech na twarzy swego rozmówcy.

- Nie mam zamiaru układać tu sobie życia, moja gorącokrwista walijska dziewczeczko. Llances Cymry - powtórzył po walijsku. □ Ale zanim wyjadę, wzniosę tu potężną fortecę, zostawię po sobie kipiące życiem miasto, kołyski zaś wypełnią się dziećmi zrodzonymi z walijskich

kobiet, spłodzonymi z angielskich lędźwi.

Josselyn zerknęła na niego ze złością.

- Angielskie bękarty, he?

Potrząsnął głową.

- Następnym statkiem przy pływa ksiądz. Wolałbym widzieć moich ludzi wstępujących w uświęcone związki. To ich przywiąże do tej ziemi. Do jej pól.

Josselyn odwróciła się, czując, że ogarnia ją przerażenie. Przywiązanie do ziemi? Do pól? Ten człowiek nie odejdzie stąd łatwo. Nie obchodzi go, że ona czy inni Walijszczy dowiedzą się o jego planach budowlanych. Ani innych. Właściwie zachowuje się tak, jak gdyby chciał, żeby je poznali. Żeby zrozumieli, jak bardzo on i jego ludzie zdecydowani są tu zostać. Proponował pokój, lecz masywna forteca, którą wznosił, stanowiła zapowiedź wojny w razie oporu.

Wybór należał więc do nich; a raczej wyłącznie do niej. Jeśli zdecyduje się poślubić Owaina, będą dostatecznie silni, by wypędzić angielską załogę. Jeśli odmówi... Co się wtedy stanie? Musiała mieć czas do namysłu, powinna porozmawiać ze stryjem, a jeszcze lepiej - z Newlinem.

Ledwie to pomyślała, usłyszała krzyk i plusk wody.

- Ty przeklęty rybi spryciarzu! - Przez nurt rzeki brnęła przysadzista postać. Był to Newlin uzbrojony w wędkę i haczyki.

Josselyn westchnęła z mieszaniną ulgi i zdumienia. Niech będzie błogosławiony, skoro zjawił się jak odpowiedź na jej modły.

Rand nie podzielał uczuć Josselyn. Co prawda powinien być zadowolony, że nadejście barda rozładuje narastające

napięciu, które znowu zagrażało pokojowym stosunkom z płochliwą Walijką. Nie powinien ryzykować utraty tłumaczki tylko dlatego, że marzył o tym, by ją mieć w łóżku. Powinien się lepiej kontrolować.

Musi poszukać innej kobiety.

Lecz prawda była taka, że nie chciał szukać innej ani się kontrolować. Gdy rzuciła mu w twarz, że jest kobietą, a on mężczyzną, był bliski pokazania jej, jak bardzo ma rację.

Jak zareagowałyby na jego śmiałe pieszczoty? Czy wygięłyby się w jego objęciach jak podatny łuk? Czy zległyby i owinęła nogi wokół jego bioder?

Z cichym przekleństwem oderwał myśli od niepokojących obrazów i stłumił nieprzystojne podniecenie. Nieważne, jak by się zachowała. Tamta chwila minęła, a teraz był tu Newlin.

- Czy udały ci się połowy? - zapytała barda Josselyn. Rand wyraźnie dojrzał ulgę w jej oczach.

- Prowadzimy grę, ja i on. Dzisiaj wygrana jest po jego stronie. □ Jedno z zezujących oczu barda rzuciło spojrzenie na twarz Randa.

Czy starzec mówił o rybie, czy robił przytyk do niego - zastanawiał się rycerz.

- Mamy w obozie polewkę. Rybną. Jeśli zajdziesz do kuchni, Gladys poczęstuje cię obfitą porcją.

Newlin podziękował skinieniem głowy.

- Jeszcze raz spróbuję się z tym tutaj przyjacielem z wodnej krainy, a potem, być może, będę zmuszony przyznać mu ostateczny triumf zwycięstwa. Ale nie poddam się bez walki. Tak jest! Czy jadło przygotowane przez Gladys zadowoliło wasze podniebienia?

Rand potaknął.

- Owszem. I za to należą się Josselyn podziękowania. Moi ludzie będą pracować z większym zapalem teraz, gdy ich apetyt został zaspokojony.

Bard skrzywił twarz w przelotnym uśmiechu.

- Apetyt męczyzny może być jego prześladowcą, jeśli wymknie się spod kontroli.

Rand zastanawiał się, jak to zrozumieć. Czy Josselyn i Gladys zamierzały go otruć? A może bard czynił aluzję do pożądania, jakie Rand odczuwał wobec Josselyn, lub chodziło mu o żądzę zdobycia tej krainy i władzy, jaką mu da ten podbój?

- Czy mówisz zagadkami? Czy to ma być przestroga? - Postanowił nie owijać swych wątpliwości w bawełnę.

Josselyn przysunęła się do barda, a Randowi nie umknęło obronne znaczenie tego ruchu. Newlin podniósł na nią wzrok.

- Zamoczysz sobie suknię - ostrzegł, po czym zwrócił się do Anglika. - Nie zwykłem dawać przestróg. Cokolwiek się stanie z tobą, ze mną, z kimkolwiek, nie będzie ani złe, ani dobre. Nie ma potrzeby nikogo ostrzegać. Człowiek podejmuje własne decyzje, działa pod wpływem impulsu albo idzie za podszeptem instynktu, a każdy postępek zmienia jego przyszłość. Kto potrafi powiedzieć, czy nowa przyszłość będzie lepsza, czy gorsza od poprzedniej? Z pewnością nie ja.

Przerwał i zaczął się kołysać w przód i w tył.

- Z drugiej strony doradzam ostrożność. Wierzę, że dogłębne przemyślenia i sztuka podejmowania mądrych decyzji mogą wygładzić nam szlak ku przyszłości, która nas czeka. A

działania zrodzone z impulsu czy złości, lub z obu tych przyczyn razem zmieszanych, sprowadzają na wszystkich nieszczęścia.

Za zagadkowymi wywodami barda kryje się coś więcej, pomyślał Rand, lecz co - tego Newlin nie zamierzał wyjawić. Irytacja Randa spowodowana była głównie tym, iż choć nie był przesądny i nie przywiązywał zazwyczaj wagi do przestroóg wróży, mistyków czy jasnowidzów w rodzaju Newlina, walijski bard miał w sobie coś takiego ...

Jego wzrok padł na Josselyn, wpatrzoną w starca ze ściągniętymi brwiami, co powodowało, że między jej oczami zarysowała się pionowa zmarszczka. I ta dziewczyna najwyraźniej wyteżęła umysł w wysiłku odgadnięcia znaczenia dziwnych słów. Jasne było, że przywiązuje do nich wielką wagę.

Rand nie był pewien, jaka będzie rola barda w nadchodzących wydarzeniach. Jeszcze bardziej mgliście widział udział Josselyn, choć nie łudził się, że czarnowłosa Walijska sprzyja jego obecności w tej krainie. Być może w przyszłości zmieni zdanie. Na razie był pewien jedynie tego, iż w jej bliskości nie jest w stanie opanować żądz. Nadejdzie dzień, w którym ją posiadzie, chyba że dziewczyna umknie bezpowrotnie przed jego zabiegami.

Na razie jednak pozostawi rzeczy ich własnemu biegowi, nauczy się jej mowy i wzniesie mury zamku tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Rozdział szósty

Przez cały następny tydzień Anglicy dostawali wyśmienitą

strawę. Pieczona dziczyzna. Gulasz z sarny. Smażone ryby. Do tego bochny świeżutkiego, pachnącego chleba. Do Gladys dołączyły dwie pomocnice, a Josselyn z wielką satysfakcją patrzyła, jak wdowa energicznie wydaje im polecenia. Miała wszelkie podstawy sądzić, iż od czasu ich rozmowy wdowa ani razu nie uległa pokusie mocnego trunku.

W miarę jak poprawiała się strawa, mężczyźni pracowali coraz wydajniej. W niecały dzień zadasyli kuchnie i magazyny. Z jednej ze studni dało się już czerpać klarownie czystą wodę. Wyłoniły się zręby wewnętrznych fortyfikacji. Mieszkańców Carreg Du najbardziej zainteresował ten ostatni postęp robót. Anglicy trzymali się, co prawda Rosecliffe i z wyjątkiem łowieckich wypraw do lasu oraz łowienia ryb u ujścia rzeki nie wędrowali po okolicy, lecz Walijszczy nie mogli zignorować ich obecności. Każde ostrze wiszące u walijskiego pasa - od krótkich sztyletów po masywne miecze - zostało przeszlifowane do śmiercionośnej ostrości. Załatano każdą dziurę w zbrojach ze skóry wzmocnionej stalową kolczugą i przygotowano plecaki z suszoną żywnością. W każdej chwili wszem i wobec mógł zabrzmieć zew: "pod broń". Wszyscy chcieli być przygotowani na ten moment.

Następny tydzień upłynął wszak spokojnie, co stanowiło najlepszy dowód przezorności stryja Josselyn i mocy słowa, jakie dał bratanicy. Gdy wychodzili na mszę w kaplicy świętego Aidana, Josselyn przysunęła się do jego boku.

- Oto zapłata, jaką dostałam za swoje usługi. - Podała

stryjowi małą srebrną monetę z wybitym na niej charakterystycznym długonosym profilem brytyjskiego króla.

Clyde zerknął na pieniążek, po czym skierował wzrok przed siebie.

- Cóż ja miałbym z tym uczynić?

- Użyj jej na cel, jaki uznasz za stosowny. Niech te pieniądze wspomogą nas wszystkich.

Przez długą chwilę nie odpowiadał; Josselyn z trudem powstrzymała się, by go nie uszczypnąć.

- Lepiej będzie, jeśli zachowasz je dla swego męża.

A więc tak. Przyszła ta chwila. Josselyn wiedziała, że musi powziąć ostateczne postanowienie. Wiedziała też, jakie są pragnienia stryja.

- Co by się stało, gdybym odmówiła tego małżeństwa?

- Nie będziemy dostatecznie silni, by przeciwstawić się Anglikom.

- Być może wystarczyłoby przypomnieć Owainowi i jego ojcu, że gdy my zostaniemy pokonani, to ich z kolei czeka znienawidzone sąsiedztwo Anglików. Jeśli nam teraz pomogą, będzie to tak, jakby pomagali sobie.

Clyde zatrzymał się i przyciągnął bratanicę ku sobie, nakazując jednocześnie ciotce Ness i innym iść dalej. Odezwał się dopiero wtedy, gdy zostali sami.

- Owain chce ciebie za żonę. Ciebie. Ja też sądzę, że w końcu Lloydownie pomogliby nam nawet i bez tego małżeństwa. Madoc by się zgodził, choć nie bez ociągania. Ale Owain będzie obserwował i czekał. I będzie pamiętał o tym, że jego propozycja została odrzucona. Chociaż Madoc ma przed sobą jeszcze wiele lat życia, przyjdzie dzień, w którym syn

odbierze mu władzę. A wtenczas, w odpowiednio wybranej chwili, Owain zada nam cios w plecy. Jeżeli nie zdoła legalnie osiąść naszych ziem, zabierze je innym sposobem.

- Oczy Clyde'a palącym spojrzeniem wpiły się w źrenice Josselyn. - Gorzki będzie owoc takiej wojny. Wielu zginie, jak zginął Tomas. A ci, co ocaleją, będą odtąd wieść życie pełne niedoli.

Josselyn spuściła oczy, jakby w nadziei, że straszna prawda odejdzie, jeśli nie spojrzy jej prosto w twarz. Czy chce, czy nie, Carreg Du padnie ofiarą ambicji tego chciwca. Tyle że w przypadku wojny ucierpi wielu, a w małżeństwie - ona jedna.

Wciągnęła ze świstem powietrze i strąciła z powiek piekące łzy.

- Ile mam jeszcze czasu? - Spojrzała prosto na stryja, choć wiedziała, że będzie mógł wyczytać strach w jej oczach.

Clyde westchnął.

- Trudno powiedzieć. Masz czas, dopóki ja żyję. Lecz gdyby Anglicy doprowadzili do konfliktu... - Wzruszył ramionami.

- No i zawsze istnieje możliwość, że Owain poślubi inną.

Ostatnia uwaga stryja nie opuszczała jej przez całą mszę. Owain mógł poślubić inną, i choć gorąco sobie tego życzyła, wiedziała, że to przypieczętowałoby los jej ziomków. Owain, okrutny tyran, błyskawicznie najechałby Carreg Du, gdyby tylko sądził, że nie ma w wiosce nikogo dostatecznie silnego, by mu się przeciwstawić. Stary Lloyd powściągał zapędy syna, lecz nie będzie to trwało w nieskończoność. A stryj Clyde nie był człowiekiem stworzonym do wojny. To dlatego dotychczas tak ugodowo traktował przybycie Anglików. Z tym większym ociąganiem zareagowałby na

najście Walińczyków.

Josselyn modliła się żarliwie, z pobożnością, jakiej nie czuła od długich miesięcy. Błagała Boga, by nie poskapił stryjowi zdrowia, by uzbroił Owaina w cierpliwość, a jej zesłał pomysł, co ma robić.

Jedyne, co przyszło jej wszak do głowy, to poszukać Newlina.

Pospieszyła do niego zaraz po mszy.

Nie udało jej się go znaleźć. Nie łowił ryb nad rzeką, nie było go w dolmenie. Nie chciała się zbliżyć zbyt do angielskiego obozu, tym bardziej że wyczuwała obecność Rhonwen podążającej za nią skrycie. Gdy jednak znalazła się na skraju lasu, natknęła się na sir Lovella, który, ku jej niezadowoleniu, zawołałby na niego zaczekała.

Miał policzki zarumienione od ciepłego powietrza; dzień był z pewnością najgorętszy, odkąd Anglicy tu przybyli.

- Co cię tu sprowadza w świąteczny dzień, Josselyn?

- Szukam Newlina. Czyś nie widział go, panie?

- Wraz z Randem siedzieli wczoraj do późna w noc, zagłębieni w rozmowie. Lecz dziś nie widziałem go nigdzie.

- Milczał chwilę, po czym rzekł: - Cieszę się, że cię spotkałem, gdyż chciałbym porozmawiać o pewnej sprawie... ważnej dla mnie.

- Cóż to za sprawa? - spytała Josselyn z rosnącą ciekawością. Widywała głównego budowniczego codziennie, lecz rzadko się do niej zbliżał, wyjąwszy uprzejme powitanie, którego nie skąpił żadnej walijskiej kobiecie pracującej w obozie. Rumieniec na jego twarzy pogłębił się jeszcze.

- Chodzi o... o... Gladys.

Gladys? Josselyn nie od razu pojęła w pełni znaczenie jego

słów. Gladys! Nie byłaby tak zaskoczona, gdyby uderzył w nią piorun z jasnego nieba. Sir Lovell interesował się Gladys, wdową po Tomasie.

Odwróciwszy się, udawała, że układa fałdy spódnicy, próbując tymczasem zebrać myśli. Przyszło jej to z trudem. O to właśnie chodziło lordowi Fitz Hugh, do tego dążył. Żeby angielscy przybysze zbliżyli się do walijskich kobiet. A ona, Josselyn, niechcący mu w tym dopomogła.

Lecz teraz musi się to skończyć. Romans między tą parą mógłby zaszkodzić jej planom. Musiała go zakończyć, zanim miał szansę rozkwitnąć.

Odchrząknęła, bo zaschło jej w gardle.

- Gladys wiele wycierpiała od czasu śmierci męża, więc proszę nie utrudniać jej życia jeszcze bardziej.

Rudobrody mężczyzna cofnął się o krok z wyrazem zranionej niewinności na twarzy.

- Ależ ja chcę jej tylko pomóc, a nie utrudniać życie. Moja żona odeszła do Pana, tak jak mąż Gladys. Poza tym powinna opiekować się dziećmi, zamiast stać przy obozowej kuchni.

- Jej dzieci mają dobrą opiekę, podczas gdy Gladys pracuje w obozie. Ciężko przeżyła śmierć Tomasza - mówiła Josselyn, zmuszając się, by nie ulec słabości. - W okresie żałoby nie była dobrą opiekunką swego potomstwa, więc odebrano jej dzieci. Pragnie je odzyskać, a każdy dzień przybliża ją do tego celu. Jak myślisz, co powiedzieliby o niej ludzie, gdyby zadała się z Anglikiem? Czy zechcieliby wtedy zwrócić jej prawo opieki nad dziećmi? A nawet gdyby tak się stało, najstarsza córka nigdy by jej nie przebaczyła. Spójrz w las, tam za moimi plecami. Rozejrzyj się za sylwetką małej

dzieweczki. To właśnie najstarsze dziecko Gladys, które z nienawiścią patrzy, jak jej matka pracuje w waszym obozie. Martwi się bardzo. I czyż można jej się dziwić? Mówią, że jej ojciec, mąż Gladys, został zabity właśnie przez Anglików. Chociaż bardziej jest prawdopodobne, że sprawcą tej śmierci był Owain - powiedziała sobie w duchu.

Prawda nie była jednak najważniejsza w obliczu namiętności, jaką sir Lovell poczuł do Gladys, w obliczu sukcesu planów Randulfa Fitz Hugh. W dodatku nie minęło nawet dwa tygodnie od ich przybycia! Zanim rudobrody Anglik zdobył się na jakąś odpowiedź, Josselyn znów zaczęła mówić:

_ Jeśli naprawdę troszczysz się o Gladys, daj jej spokój. Nie zmuszaj jej do tego, by musiała wybierać między tobą a jej ludem. Między tobą a dziećmi.

Skinął głową i odsunął się jeszcze bardziej, mamrocząc coś pod nosem. Odchodził zgarbiony, z pochyloną głową. Widząc to, Josselyn z trudnością stłumiła wyrzuty sumienia. Widać było jak na dłoni, że rzeczywiście zależy mu na Gladys. Ale czy zależało mu dostatecznie silnie, by dla jej dobra zachować się tak, jak należało, czy też okaże się samolubem myślącym tylko o sobie?

Patrzyła, jak samotnie oddala się po nagim zboczu, zmierzając w stronę Rosecliffe. Odwróciła się w drugą stronę. Wiedziała, że uczyniła słusznie. Jej słowa mogły się wydawać okrutne, lecz były prawdziwe. Ten związek nie miał żadnej przyszłości. Może gdyby Gladys była bezdzietna... Może jakaś Walijka, która nie ma rodziny, znalazłaby ukojenie w związku z Anglikiem. Lecz i to było niepewne: zbyt wiele lat niezgody stało między nimi a jej

ludem.

Podobnie jak między twoim rodem a rodziną Owaina - usłyszała podszept własnych myśli. Oczywiście w Walii, jak w całej Brytanii, często cementowało się pokój małżeństwem. To samo co jej stryj, próbował zrobić Randulf Fitz Hugh.

- Taran - zaklęła pod nosem. Odwróciła się plecami do odległej już sylwetki sir Lovella i skierowała na północ, ku zatoce i morzu. Gdyby tylko żył ojciec. Nie byłaby wplątana w te kłopoty, gdyby Howell ap Carreg Du wciąż rządził wioską. Odpędziłby Anglików i zastraszył Owaina i jego bandę. I pomógłby jej znaleźć dobrego, silnego męża.

- Twój ojciec kochał to miejsce.

Josselyn aż podskoczyła.

_ Newlin! - Przycisnęła dłoń do mocno bijącego serca. - Zaskoczyłeś mnie. Skąd wiesz, że myślałam o ojcu?

Bard uśmiechnął się.

- Często tu z nim przychodziłaś. Nie pamiętasz już? Josselyn rozejrzała się.

- Pamiętam, że siadywałam z nim na drzewie. Na tamtym.- Wskazała pokręcony pień dębu, który wyglądał tak, jak gdyby był starszy niż sam świat. - Pamiętam, że ojciec wspinał się na sam czubek, niosąc mnie na grzbiecie. Nazywał mnie swoją wiewióreczką.

- To najwyższe drzewo w lesie. Z jego czubka można ogarnąć wzrokiem cały horyzont.

- Zawsze można ogarnąć wzrokiem cały horyzont - przypomniała bardowi. - Gdziekolwiek znajduje się człowiek, może dostrzec jakiś horyzont. Sam mnie tego nauczyłeś.

Ściągnięta twarz rozjaśniła się uśmiechem.

- Tak było. Lecz czy widzi taki horyzont, jaki chciałby ujrzeć? To otrzeźwiło Josselyn. Jaki pragnęła ujrzeć horyzont? Jakiej chciała dla siebie przyszłości? Poczwała, że rozterka kładzie się cieniem na jej duszy.

- Nie wiem, co zrobić - zwierzyła się. - Uwięziona między młotem i kowadłem, między dwojgiem wrogów: Anglikiem i Owainem ap Madokiem.

Starzec kiwnął głową, obrócił się i razem podążyli w kierunku, w którym Josselyn zmierzała przed ich spotkaniem.

- Rozważyłaś wszystkie możliwości. - Nie było to pytanie.

- Tak. Jeśli poślubię Owainą, dopomogę w zwalczeniu Anglików. Jeśli go nie poślubię, bitwa odbędzie się nieco później, lecz i tak nie da jej się uniknąć. Czemu zawsze musimy walczyć o nasze ziemie? - Jest jeszcze inny wybór - odrzekł Newlin, nie zwracając uwagi na jej pełne udręki pytanie.

- Inny wybór? Owszem: walczyć z Anglikami bez pomocy sąsiednich rodów, bez sojuszników lub z sojusznikami niechętnymi do walki - dodała, przypominając sobie wywody stryja. - To nie jest dobry wybór, gdyż doprowadzi do tego, że prędzej czy później Owain się na nas zemści.

Bard przyglądał się jej bacznie.

- Moglibyście połączyć siły z Anglikami - rzekł po chwili. Sam pomysł był tak dziwaczny, tak nie do przyjęcia, że Josselyn roześmiała się na cały głos.

- Połączyć siły z Anglikami? Poddać się? To chciałeś

powiedzieć. Oddać im nasze ziemie, zaprzepaścić naszą niepodległość. Nasz sposób życia. Nie, do tego nie można dopuścić.

- Myślisz jak mężczyzna. Spróbuj myśleć jak kobieta, Josselyn.

- Do czego zmierzasz?

Newlin zrobił znajomy gest zdrowym ramieniem.

- Sir Lovell podziwia naszą Gladys.

- Och, nie. I ty też? - wykrzyknęła. - Chcesz, by walijskie kobiety wychodziły za mąż za Anglików? Gdzie się podziela twoja lojalność? Gladys zasługuje na coś lepszego niż ten Anglik. Zasługuje na Walijszyka, dobrego ojca dla swych walijskich dzieci. Zasługuje na to, by się dochować następnym małym W Walijszyków.

_ Przyszłość Gladys należy do Gladys. To ona wyszuka sobie własny horyzont.

Josselyn nigdy jeszcze nie czuła się tak zagubiona.

- Czy mówisz mi, że powinna poślubić sir Lovella? Nie doprowadziłoby to do niczego dobrego.

Doszli do miejsca, gdzie wzgórze opadało stromym zboczem ku morzu, a las ustępował krzakom ciernistego janowca i wrzosom. Widziała stąd zatokę, szare fale między dwoma ramionami lądu, a jeszcze dalej spienione morze. Gdyby poszła brzegiem w prawo, znalazłaby się po jakimś czasie na skalistym wierzchołku porośniętym dzikimi różami, gdzie Anglicy budowali swoją potężną fortecę. Wciągała w płuca wielkie hausty powietrza, starając się myśleć jasno.

- Nawet jeśli zostawię Gladys i sir Lovella samym sobie, pozostaje pytanie, co ja mam zrobić. I nie mów, że mam znaleźć sobie angielskiego męża. Pomóż mi, Newlin! -

Uniosła ramiona i opuściła je bezradnie. - Pomóż mi, jestem taka zagubiona!

Tak długo stary bard wpatrywał się w szarą przestrzeń przed nimi, że sądziła już, iż nie doczeka się odpowiedzi. Zaczął się łagodnie kołysać, jak miał w zwyczaju w chwilach głębokiej medytacji, wtem przestał i obrzucił ją przenikliwym wzrokiem.

- Twój angielski lord zadaje mnóstwo pytań.

Angielski lord? Josselyn nie chciała rozmawiać o Randulfie Fitz Hugh. Chciała zapomnieć o jego istnieniu. Ale to było niemożliwe. W gruncie rzeczy to on stanowił przecież powód jej nieszczęścia. Gdyby nie przybył do Carreg Du, nie musiałyby rozwiązywać trudnego dylematu. Westchnęła.

- Jakież to pytania zadaje Anglik?

- Pyta o bratanicę Clyde'a ap Llewelyna.

Josselyn zachłysnęła się i poczuła dziwną mieszaninę emocji. Strach. Oburzenie. Niepokój. A wraz z nimi przewrotny dreszcz podniecenia. Pytał o nią! Potem zwyciężył strach. Był tylko jeden powód, dla którego go mogła obchodzić bratanica Clyde'a: była łakomą zdobyczą jako jedyna spadkobierczyni ziem, które zamierzał zagarnąć.

- Czy wie, że to ja jestem tą bratanicą?

- Chyba nie - odpowiedział Newlin. - Ale w końcu przecież się dowie. Poznaje naszą mowę coraz lepiej, więc wystarczy, że zapyta którąkolwiek z pracujących w kuchni kobiet.

Przemilczał dwa fakty: po pierwsze, to sama Josselyn uczyła Anglika walijskiej mowy; po drugie, to ona sprowadziła do obozu inne kobiety z wioski.

Josselyn poczuła ciężar odpowiedzialności, jak gdyby na jej barki opadła jedna ze skłębionych burzowych chmur

ciągnących z zachodu. - Gdy się dowie, będzie chciał zapobiec mojemu małżeństwu z innym mężczyzną, bo to mogłoby zaszkodzić jego interesom. - Prawdopodobnie.

- A więc muszę.. muszę porzucić rolę nauczycielki języka i nie zbliżać się do obozu.

- Stryj zechce, byś podjęła decyzję co do Owaina. Josselyn odwróciła wzrok.

- Tak, wiem.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu. Rzadkie, lecz ostre smagnięcia wiatru, chłoszczącego jak bicz furii, przenikały dziewczynę do szpiku kości. Chłód jeszcze bardziej wzmagił jej przygnębienie. Pomimo zimna wiosna zadomowiła się na dobre. Pory roku od niepamiętnych wieków przechodziły niepowstrzymanie jedna w drugą, chociaż nie obywało się bez utarczek i nawrotów. Podobnie życie Josselyn przechodziło w nową fazę. I tak dłużej niż inne mogła pozostać niewinnym dzieckiem. Teraz musi się poddać bolesnej przemianie.

Musi uczynić, co do niej należy.

- Zostawię cię tutaj - powiedział Newlin.

Zniknął błyskawicznie, a ona została sama, zmarznięta jak nigdy dotąd. Siedziała skulona, otaczając ramionami nogi, opierając brodę na kolanach. Wpatrywała się w morze i rozmyślała o Owainie.

Być może z upływem czasu złagodniał. Może po wybrykach młodości wyszumiał się i dojrzał. Możliwe, że jest lepszym mężczyzną, niż był młodzieńcem.

Jej pamięć uporczywie przywoływała śmierć Tomasa. Nikt co prawda nie mógł dowieść Owainowi udziału w zabójstwie, lecz na własne uszy słyszała podejrzenia

Deweya i widziała ponury grymas na twarzy stryja. Jak mogła wyjść za mężczyznę, którego podejrzewała o morderstwo?

- Josselyn?

Po raz drugi tego popołudnia dziewczyna podskoczyła nerwowo.

Tym razem miała powód do zdenerwowania, gdyż intruzem nie był Newlin. Nowo przybyły przemawiał głosem niższym niż bard, a na jej sylwetkę padł cień wysokiego człowieka. Pełna lęku, lecz bez złudzeń, podniosła głowę i spojrzała na Randulfa Fitz Hugh, stojącego zaledwie trzy kroki od niej. Jak udało mu się podejść tak blisko, nie zdradzając swej obecności?

- Czy coś cię trapi? - spytał, pozerając ją oczami.

Zadrzała w nagłym objawieniu. Już niegdyś widziała ten błysk w jego oczach, wyraz głodu na twarzy mężczyzny, pożądającego kobiety. Dotychczas zawsze udawało mu się zgasić ten płomień i kontynuować rozmowę o rzeczownikach, czasownikach, przymiotnikach i budowie zdania. Cymraeg był złożonym językiem, lecz trzeba było przyznać Anglikowi, iż pilnie pracuje nad lekcjami. Udawało mu się stosunkowo dobrze skrywać żądzę, jaką czuł na widok kobiety; na widok jej, Josselyn.

Lecz teraz nie starał się niczego ukrywać.

Wstała, choć kolana się pod nią ugiwały, a serce, bijące szalonym łomotem, groziło, że wyskoczy z piersi.

- Nic mi nie jest. Sądziłam, że jestem tu sama.

- I ja przyszedłem tu w poszukiwaniu samotności - odrzekł, podchodząc bliżej.

Josselyn cofnęła się o krok, potem jeszcze jeden. Powietrze

między nimi było tak naelektryzowane napięciem, że nieomal iskrzyło. Wiedziała, że musi się oddalić, zanim nastąpi wybuch. Co gorsza, nie tylko Anglik był źródłem tego napięcia - i to przerażało ją najbardziej.

Wśród emocji Randa lęk byłby ostatnią. Widział i rozumiał strach w oczach Josselyn, lecz jednocześnie czytał w nich zmysłową odpowiedź na swoją męskość. Gdyby czuła wyłącznie lęk, umiałaby poskromić pożądanie, ale to tłące się w jej oczach uznanie w nim mężczyzny, ta iskra przeskakująca między nimi, aż wydało się, że ich spali swoim żarem - to było zbyt pociągające, zbyt potężne. Zrobił więc krok do przodu, położył dłonie na ramionach dziewczyny i przytrzymał ją przed sobą. Nie pozwoli jej uciec, dopóki nie zgłębią wzajemnego przyciągania aż do samego źródła.

- Co... co czynisz, panie?

Na próżno próbowała się wyślizgnąć z jego objęć. Czuł pod dłońmi smukłe, lecz silne ramiona. Ciepłą skórę. Czuł pulsowanie jej krwi nawet przez swoje rękawice i wełniane suknie okrywające jej ciało.

- Chciałbym się nauczyć nowego rodzaju słownictwa w twoim języku, Josselyn. Naucz mnie słów, jakimi mężczyzna zwraca się do kobiety. - Przyciągnął ją odrobinę bliżej. - Jak powiedzieć, na przykład: "błękit twych oczu zaćmiewa błękit nieba"?

Była w niego wpatrzona nieruchomymi ogromnymi źrenicami, jak gdyby widziała człowieka opętanego. Rzeczywiście zachowywał się jak szaleniec. Skąd przyszedł mu do głowy podobne słowa? Tak mógł mówić młodzian chory z miłości, zachłystujący się poetycznymi bzdurami.

On, Rand, pragnął przecież jedynie pochędożyć z gładką dziewczyną. Chyba nie otrzeźwiał jeszcze po winie, którego cały antałek wysuszył poprzedniego wieczoru.

Lecz jej oczy rzeczywiście były niezwykle błękitne, mogły zawstydzić niebo. A włosy...

- Twoje włosy pachną słońcem. I śniegiem. - Pochylił głowę, ocierając policzki o kruczoczarne sploty. - Naucz mnie tych słów, Josselyn. Jak mam powiedzieć, że cię pragnę?

Usłyszał, jak dziewczyna miękko wciąga powietrze. Dreszcz, który przeniknął jej ciało, sprawił, że po jego członkach rozeszło się podobne drżenie. Wiedział, że Josselyn uważa go za wroga. Zdawał sobie sprawę, że ma własne sekretne powody, by dla niego pracować. Lecz tak czy inaczej, i ona go pożałowała. Co do tego nie mógł się mylić. Przyciągnął ją do siebie, aż jej uda przyłgnęły do jego nóg, piersi oparły o jego szeroki tors, a brzuch dziewczyny ogarnął ciepłem i kobiecością sztywniejącą męskość Randa. Jęknął z ustami pośród pachnących włosów.

- Pragnę ciebie, Josselyn. Jakich mam użyć słów, żebyś zrozumiała, jak wielkie jest moje pożądanie? Chcę, żebyś była moja. Tu i teraz.

Rozdział siódmy

Nie знаła takich słów. To właśnie usiłowała wmówić sobie Josselyn.

Pragnę cię.

Nigdy nikomu tego nie mówiła, przynajmniej nie w takim sensie, jaki Rand miał na myśli. I nikt jeszcze nie mówił tego

do niej. A już na pewno nie we francuskiej mowie Normanów.

Lecz oto Randulf Fitz Hugh zasypał ją słowami wyrażającymi namiętność, a ona, jak niedoświadczona dzierlatka, ulegała ich uwodzicielskiemu czarowi. Jego uwodzicielskiemu czarowi.

W gruncie rzeczy była niedoświadczoną dzierlatką, przypomniał jej wewnętrzny głos, który jej nie opuścił nawet w tak niezwykłej chwili. Ulegała czarowi tego mężczyzny, gdyż nie miała żadnych doświadczeń na tym polu.

Być może, więc czas najwyższy zdobyć ich trochę?

- Przyznaj, że i ty mnie pragniesz - sącył jej do ucha powolnym, żarliwym szeptem, a jego gorący oddech owionął jej kark przejmującą pieśczołą.

Josselyn wbrew sobie wydała cichy jęk.

- Fi dymuno ti - powiedziała po walijsku.

- Fi dymuno ti. - Gineła w jego ramionach, które przyciągnęły ją jeszcze bliżej, nie wywołując - o hańbo! - żadnych protestów z jej strony.

To, co się tu działo, było złe, a przecież nie potrafiła się powstrzymać. Była po prostu ciekawa. Nieważne, że to wróg sprawiał jej tę rozkosz. Niedługo już zostanie żoną Owaina, zmuszoną znosić jego odrażające karesy. Czy nie należy jej się przynajmniej jeden raz z własnego wyboru, zanim podda się wyłączności mężczyzny, którym pogardzała? Czyż nie wolno jej przynajmniej raz objąć mężczyzny, który wzbudzał w niej żądze?

Nie powinna go jednak pożądać. Był Anglikiem, był wrogiem walijskiego ludu. W dodatku między nimi nie było uczucia miłości. Czemu więc tak bardzo ją pociągał? Czemu

go pożądała?

Nie ulegało bowiem wątpliwości, że budził w niej pożądanie.

Wygięła ciało i otoczyła szyję Anglika ramionami. A kiedy jego wargi zniżyły się ku jej ustom, nie protestowała i pozwoliłaby fala pieśczoł starła z jej umysłu pamięć o całym świecie.

Emocje, których doznawała, były niespodziewane i inne od tych, które jako niewinna dziewczyna mogła sobie wyobrazić -lecz skąd właściwie mogła wiedzieć, co ją czeka? Miał silne ciało i twarde mięśnie, ale jego usta, choć zdecydowane, były miękkie i ciepłe. Władczy i zaborczy, był najniebezpieczniejszym mężczyzną, jakiego dotychczas spotkała. Zrozumiała, że właśnie to poczucie zagrożenia ma tak wielką siłę przyciągania. Był zakazanym owocem, więc go pragnęła. Tak jak on pragnął jej.

Jego wargi zakryły usta Josselyn i zmusiły je do odpowiedzi. Język Anglika przesunął się po łuku jej warg, pieścił delikatne spojenia w kącikach, aż wydała z siebie głodne westchnienie. Jedną dłonią ujął twarz dziewczyny i w jakiś niepojęty sposób zmusił jej wargi, by się rozchyliły. Jego język niepostrzeżenie wślizgnął się do wnętrza jej ust, a wtedy wszystko wokół niej zawirowało, ziemia uciekła spod nóg. Każda najmniej szą cząstka ciała Josselyn ożyła i zawibrowała nieznanym dotąd drżeniem. Krew szybciej popłynęła w żyłach, skóra zdawała się płonąć w nieopisanej gorączce. Każdy ruch jego języka pociągał za niewidzialne niteczki w podbrzuszu, w którym coś zaczęło budzić się do życia, coś przerażającego i intrygującego, i całkowicie pozbawionego logiki. Pochłaniał ją, a ona - niebiosą bądźcie

łaskawe! - Ona pragnęła zostać pochłonięta!

Niewiele docierało do jej świadomości poza erotyczną grą jego warg na jej ustach. Poczowała rękę Anglika w swoich włosach, kiedy wyjął szpilki ze świątecznej fryzury, aż warkocze opadły swobodną kaskadą, swawoląc w podmuchach wiatru. Czuła, jak druga dłoń Anglika przesuwana się poniżej jej talii, wędruje po łuku pośladków i przyciska ją nieomal gwałtem do jego zeszywniałej męskości.

Wiedziała coś niecoś o podnieceniu, o parzeniu się zwierząt i o tym, że ten akt między mężczyzną i kobietą wygląda podobnie. Mimo to dotyk długiego narządu ocierającego się o skórę jej podbrzusza wywołał szok. Zachnęła się i odwróciła głowę.

_ Ach, Josselyn, jesteś słodka. Słodsza, niżbym odgadł. - Przechylił jej głowę tak, że musiała spojrzeć mu w oczy. - Fi dymu no ti. Muszę cię mieć.

Tonęła. Tak właśnie musiał się czuć topielec, pogrążający się w zaborczych falach oceanu. Nie była w stanie uczynić nic, by się utrzymać na powierzchni. Wciągały ją na dno te ciemne oczy, tęczęwki koloru nieba o zmierzchu, prawie czarne, lecz rozjaśnione błyskiem szarości. Fascynowała ją poszarpana blizna na policzku ... zuchwały łuk brwi ... dumny profil nosa ... lekko ochryply głos, gdy mówił, że jej pożąda. Rozsądna kobieta położyłaby kres tym zalotom. Mądra kobieta odstąpiłaby teraz gdzieś na bok, by bez emocji przypatrzeć się plątaninie uczuć, jakich doświadczyła; spróbowałaby je zrozumieć i pojąć, czemu właśnie ten, a nie inny mężczyzna potrafi je w niej rozbudzić. Lecz dla Josselyn chwila rozsądku minęła, a

retrospekcja nigdy nie była jej mocną stroną.

_ Twoje usta mają smak miodu, są słodkie i ciepłe - mruknął cicho Rand. Uwięził jej dolną wargę w swych zębach i delikatnie pociągnął.

Gdy Josselyn rozchyliła usta do pocałunku, zaskoczył ją ponownie; jego wargi powędrowały wzdłuż jej kości policzkowej, lekkimi całusami pokrywając twarz aż po płatek ucha, po czym zsunęły się po szyi na kark.

Nigdy się nie spodziewała, że skóra w tym miejscu może być tak wrażliwa na dotyk, lecz teraz nie pozostawało jej nic innego, jak tylko poddać się nieopisanej rozkoszy zrodzonej z niewinnej pieszczoty. Przełknęła z trudem ślinę, a jego wargi wyczuły ten ruch i błyskawicznie spoczęły w zagłębieniu szyi. Ponownie przełknęła ślinę, czując, że usta mężczyzny z każdym nowym oddechem wchłaniają jakąś cząstkę jej istoty. Nie do pojęcia: ledwie muskał jej skórę, a przecież wnikał tak głęboko. Czowała, jakby dopiero w tej chwili zaczęła dowiadywać się najbardziej podstawowych rzeczy o sobie samej.

_ Zaczekaj - wyszeptała, gdy ponownie przechylił ją w ramionach. Cały świat chwiało się w posadach, wirowało, wymykał spod kontroli zmysłów. Wiedziała, że on nie dopuści, by upadła, lecz jednocześnie lękała się, że nigdy już nie odzyska z powrotem równowagi.

- Nie jestem w stanie poczekać.

- Ależ... ależ musisz. - Powróciła jej resztką rozsądku. Oto tuliła się w ramionach wroga, zachowując się tak, jak nigdy przedtem z jakimkolwiek mężczyzną. Jak rozpustnica. Jak nierządnicą. - Nie... ja nie...

Uciszył jej protesty pocałunkiem, a choć się wyrywała,

sparaliżowała ją fala namiętności, którą w niej wzbudził. Wślizgnął się jedną z nóg między jej kolana. Szorstki dotyk jego ciała na wewnętrznej stronie uda był dla Josselyn nowym zmysłowym doznaniem, które przeszło w erotyczne uniesienie, gdy dotarł do sekretnego miejsca ukrytego między jej nogami.

Całował ją coraz żarliwiej, językiem sięgał w coraz głębsze zakamarki ust, aż odpowiedziała mu równą pasją pożądania. Oddawała pocałunki, odkrywając rozkosz, jaką jest posiąść wewnątrz męskich ust: ust tego mężczyzny. Było to jak pojedynek, jak taniec. Pieścili się, drażnili nawzajem zmysły i podsycali namiętność, aż Josselyn płonęła w ogniu żądz.

Nawet w tym stanie nie była jednak przygotowana na dotyk jego dłoni na swojej piersi.

- Och! - Wykręciła się w objęciach Anglika, próbując ująć jego palcom, lecz jednocześnie wzdragając się przed całkowitą ucieczką.

- Nie podoba ci się? - Gorącemu szeptowi towarzyszył delikatny nacisk kciuka na jej niewiarygodnie wrażliwe sutki.

- Ja... sama nie wiem... - Zachłysnęła się.

Jej szczerłość pobudziła go do śmiechu.

- Czy żaden inny nie zadał sobie trudu, by cię tam pieścić?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Żaden mężczyzna jeszcze mnie tam nie dotykał.

Ponownie wybuchnął śmiechem, który wszakże zamarł na jego ustach.

Uspokoiła się również jego dłoń na jej piersi. Gdy Josselyn spojrzała w górę, ujrzała lekki mars na jego czole.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że jesteś dziewicą.

Te słowa otrzeźwiły ją jak kubeł zimnej wody, gasząc płomień żądz, przywodząc ją raptownie ku zdrowym zmysłom. Co takiego zamierzała z nim zrobić?

- Puść mnie.

- Najpierw odpowiedz. Josselyn ap Carreg Du, czy jesteś dziewicą, nieskalaną przez żadnego mężczyznę?

Posłała mu spojrzenie pełne furii, w jaką się zamieniła - na szczęście! - namiętność sprzed chwili.

- Oczywiście, że tak. Przecież nie jestem jeszcze nikomu poślubiona. Czy sądzisz, że wszystkie Walijki to dziwki?

- W Anglii ojcowie pilnie strzegą dziewiczych córek. Nie pozwalają im włóczyć się po polach i lasach bez towarzystwa i ochrony.

- Niestety, mój ojciec nie żyje od lat dziesięciu! - krzyknęła we łzach. - Zginął z ręki twojego ziomka, Anglika. Lecz nawet gdyby jeszcze żył, nie zabraniałby mi swobodnie przechadzać się po wzgórzach. Zanim wyście tu przybyli, żaden człowiek mieszkający w Walii nie musiał się niczego lękać na własnych ziemiach. A teraz puść mnie wreszcie!

- Czemu? Czyżbyś się mnie bała?

Bać się go? Byłaby głupia, nie bojąc się mężczyzny, który nie tylko był jej wrogiem, lecz również potrafił siłą jednego pocałunku uczynić z niej bezmyślną i bezwolną kukłę. Wpatrywała się w niego zdenerwowana, lecz z żelaznym postanowieniem, że nie okaże swych uczuć.

- Nie sądziłam, że jesteś zdolny przymuszać kobietę, która ci odmawia.

Najwyraźniej starannie rozważał jej słowa.

- Cieszę się, że masz o mnie tak dobre zdanie. Masz rację, nie

znajduję przyjemności w gwałcie. Lecz ty, słonko moje, bynajmniej mi nie odmawiałaś.

- Może nie... przed chwilą. Ale teraz odmawiam. Puść mnie!

□zażądała stanowczo.

- A jeśli nie posłucham?

Przyciągnął ją odrobinę bliżej, aż musiała stłumić w sobie narastającą falę paniki.

- Jeżeli zadasz mi gwałt, będę walczyć. Znienawidzę cię.

- Przecież już mnie nienawidzisz - przypomniał jej własne słowa.

- Lecz moja nienawiść wzrośnie jeszcze bardziej... - Urwała, gdyż zdała sobie sprawę, że jej groźby brzmią raczej śmiesznie. Cóż mogły go obchodzić jej uczucia? Zaskoczył ją jednak, gdyż uwolnił ją ze swych objęć i cofnął się o krok. - Nie chciałbym, żebyś mnie nienawidziła, Josselyn. Wszystko, tylko nie to.

Zmieszana dziewczyna również zrobiła krok do tyłu, potykając się niepewnie. Nie wiedziała, jak się zachować.

- To, co przed chwilą zaszło między nami... to był błąd □ odezwała się wreszcie.

- Żałujesz tego, co się stało? - Nie odpowiadała, więc zaśmiał się. - Jeśli popełniłem błąd, to tylko ten, że wziąłem cię za kobietę bardziej doświadczoną.

Czy chciał powiedzieć, że nie pozwoliliby sobie na te zabiegi, gdyby wiedział o jej niewinności? Czy też, że jego pożądanie wygasło, gdyż tak niedoświadczona kobieta nie byłaby w stanie nasycić jego głodu? Poczwała głębokie rozczarowanie. Nie, to było perwersyjne rozczarowanie. Czemu bowiem miałyby dbać o jego myśli?

- Muszę wracać do domu - mruknęła, czując potrzebę

samotności, w której mogłaby przemyśleć to, co się stało.

- Poczekaj. Mówisz, że twój ojciec został zabity. A reszta twojej rodziny?

Zaniepokoiła się. Już i tak zbyt dużo o sobie powiedziała. Nie powinien się dowiedzieć niczego więcej, a szczególnie nie tego, iż jest bratanicą Clyde'a ap Llewelyna.

- Mieszkam z matką... i z rodzeństwem - skłamała.

- Czy ta mała, którą ongiś schwytał Harold, to twoja siostra?

- Tak. Muszę iść.

- Przyjdiesz jutro na lekcję?

Spoglądał na nią ciemnymi źrenicami o ciepłym wyrazie. Nagle zrozumiała, że jej niewinność nie jest mu odpychająca. Lekki dreszcz ożywienia przebiegł ciałem Josselyn, lecz jej zmieszanie wzrosło jeszcze bardziej.

- Nie mogę niczego obiecać - odrzekła. - Nie wiem. - Odwróciła się i umknęła, nie oglądając się za siebie.

Czuła spojrzenie Anglika na swych plecach jeszcze wtedy, gdy była daleko, gdy zniknęła w lesie.

Jak mogła dopuścić, by wypadki do tego stopnia wymknęły jej się spod kontroli? W drodze powrotnej czyniła sobie nieustannie wyrzuty. Teraz jej powrót do angielskiego obozu był niemożliwy. Z pewnością nie mogła nadal uczyć Randulfa Fitz Hugh walijskiej mowy. Musi trzymać się od niego z daleka.

Lękała się bowiem, iż gdyby znowu nieopatrznie się do niego zbliżyła, mogłaby łącznie znaleźć się w jego łóżku.

Rand był rozbawiony i poirytowany zarazem. Cóż za słodka, rozczulająca dziewczka! Był co prawda wielce rozczarowany jej dziewictwem, przynajmniej na początku.

Im więcej jednak o tym myślał, tym większe czuł zadowolenie. Josselyn była dziewicą. Jako pierwszy posmakował więc słodczy jej pieśczęt.

Sama myśl wystarczyłaby dreszcz gorącego pożądania przeniknąć lędźwie, burząc jego spokój.

- Niech to piekło pochłonie! - Zaklął.

Osborne uniósł wzrok znad miecza, który właśnie ostrzył.

- Cóż cię dręczy? - Zaśmiał się. - To ta dziewczyna, prawda?

Wszyscy ostatnio rzucamy się niespokojnie we śnie. Lecz przynajmniej nie musimy spędzać całych dni w towarzystwie tak gładkiej dziewczeczki jak Josselyn. - Zachichotał, widząc, że Rand uparcie milczy. - Czy już próbowałeś przekupić ją srebrem?

- Josselyn nie jest dziwką.

- Zadaje się z wrogiem za pieniądze.

- To zupełnie co innego. Daje mi lekcje walijskiego - oświadczył stanowczo Rand.

- I cierpliwości, jak widać. Lecz czy nigdy nie zastanawiałeś się, czemu cię uczy swej mowy?

Rand rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Bez wątpienia przychodzi tu na przespiegi i przekazuje Clyde'owi ap Llewelyn nasze plany - rzekł.

Osborne chrząknął szyderczo.

- Jeśli tak się rzeczy mają, to ci Walijszczy są największą bandą tchórzy, jaką kiedykolwiek spotkałem. Posyłają kobiety na przespiegi do nieprzyjaciela. Kimże ona jest, ta Josselyn, że tak małą przywiązują wagę do jej bezpieczeństwa. A może tak bardzo jej ufają?

Zaiste, kim jest ta dziewczyna? Rand nie znał odpowiedzi na wątpliwości Osborne'a. To pytanie prześladowało i jego

przez cały ponury dzień. Gdy stało się jasne, że Josselyn nie pojawi się w obozie, czuł większy niż zwykle niepokój. Gladys i jej dwie pomocnice przyszły jak zawsze, lecz Josselyn została w wiosce.

Być może tak jest lepiej, powtarzał sobie. Nie będzie wypytywał o nią Gladys, gdyż wdowa powtórzyłaby Josselyn jego pytania, a to zaniepokoiłoby dziewczynę jeszcze bardziej. Zamierzał wszakże dowiedzieć się czegoś o swej tłumaczce, Josselyn ap Carreg Du. To, co rozpoczęli w zaciszu górskiej doliny, nie zakończy się tak łatwo. O nie!

Josselyn zwinęła ostrożnie swoją najlepszą wełnianą suknię, ułożyła na niej misternie tkany szal i zapasową tunikę i wszystko razem zapakowała w zgrabny tobołek. W jego środek wsunęła grzebień, pończochy, pantofelki, w które obuwiała stopy, wchodząc do domu, i zwój haftowanej tkaniny.

Obrus ozdobiony wizerunkami sokołów i lisów, wiewiórek i wydr był podarkiem od niej dla oblubieńca. Pracę nad tym kunsztownym zwojem rozpoczęła dawno temu, gdy tylko stała się kobietą - z nadejściem pierwszej miesiączki - i było to pierwsze, co przedsięwzięła w przewidywaniu zamążpójścia, które kiedyś stanie się jej udziałem. Potem dziergała jeszcze wiele innych serwet i ubrań. Miały stanowić dla jej przyszłego wybrańca dowód jej pilności i zręcznych palców, które uczynią z niej doskonałą żonę.

Obecnie nie rozmyślała jednak nad tym, jak dobrą będzie żoną, lecz jakim mężem okaże się Owain ap Madoc.

Już wkrótce otrzyma odpowiedź na to pytanie, gdyż jak tylko deszcz trochę zelżeje, wraz ze stryjem i starannie

dobraną eskortą wyruszy do obwarowanego osiedla Lloydów.

Od chwili gdy umknęła z objęć Anglika, długo i głęboko rozmyślała nad tym, co uczynić. Przed tamtym dniem lęk przed Owainem powstrzymywał ją od podjęcia ostatecznej decyzji. Cóż za przekora losu spowodowała, że właśnie pociąg, jaki czuła do Randulfa Fitz Hugh, zmusił ją ostatecznie do zgody na plany stryja! Nie mogła dłużej pozostawać w bliskości Anglika. Musi wyjść za mąż i przenieść się do domostwa oblubieńca. Tylko tak zapewni bezpieczeństwo przed angielską inwazją jej rodowi i ziemiom, na których mieszkali.

Tylko tak zapewni sobie bezpieczeństwo przed tym jednym angielskim przybyszem.

- Teraz macie tylko podpisać kontrakt małżeński, prawda? □
Już trzeci raz ciotka Nessie pytała o to męża. - Nie zamierzasz wydać naszej Josselyn spod dachów Carreg Du w czasie tej wyprawy, gdy mnie nie będzie przy jej boku? -
Załamano ręce, a jej udręczone oczy spoglądały to na męża, to na dziewczynę. □ W dniu ślubu potrzebna jej będzie towarzyszka.

- Odmówię zgody na ceremonię ślubną pod twoją nieobecność □ przysięgła Josselyn, śląc ciotce uśmiech pełen otuchy. Rozejrzała się po nisko sklepionej izbie domostwa, w którym spędziła niemal całe życie. Jak będzie wyglądała jej przyszłość z dala od tych ścian, od rodziny i wszystkich, którzy ją kochali?

Domostwo stryja jak zawsze pełne było życia. Dwóch małych chłopców obracało rożen, na którym piekła się dziczyzna na wieczerzę. Jedna z dziewczyn służebnych

szorowała ściany, dwie inne naprawiały odzież w świetle pochodni. Gladys siedziała przy ogniu, snując jakąś baśń zasłuchanym dzieciom, Davitowi i Korduli. Wszyscy mieli jakieś zajęcie - z wyjątkiem Rhonwen.

Dziewuszka siedziała na uboczu. Jeszcze nie przebaczyła matce i nie zaufała jej na nowo. I chociaż powiedziała Josselyn, że rozumie, czemu jej starsza przyjaciółka musi wyjść za mąż za jednego z Lloydów, jasne było, że czuje się zdradzona. Odsunęła się od wszystkich i wcisnęła samotnie w kąt, spoglądając na Josselyn spode łba w chwilach, gdy sądziła, że ta tego nie widzi. Lecz gdy tylko Josselyn zerknęła w jej kierunku, mała udawała żywe zainteresowaniem czymkolwiek innym.

Josselyn obawiała się, iż biednej Rhonwen pisane jest życie pełne smutku. Być może nie lepsze czekało i ją, lecz czy któraś z nich miała wybór?

Westchnęła i utkwiała niewidzący wzrok w starannie zwiniętym tobołku zawierającym wszystko, co posiadała. Ponownie westchnęła i owiązała paczuszkę fartuchem. Nie mieli powodu zwlekać. Deszcz przeszedł w rzadką mżawkę. Dewey przyprowadził konie i mała grupka jeźdźców wyruszyła w podróż pod napęczniałym ołowianymi chmurami niebem.

- Wrócimy przed dniem świętego Ruperta - obiecał Clyde żonie. - Nie zanedbaj wystawiania straży - poinstruował Deweya. □ Nie ufam Anglikom. Gdyby zwiedzieli się, że wyruszyłem z wioski...

Josselyn też im nie ufała, lecz zachowała milczenie. Nie powiedziała mu nic o swym ostatnim spotkaniu z Randulfem Fitz Hugh; byłoby to dla niej zbyt upokarzające.

On zaś ani jednym słowem nie okazał ciekawości, jaką musiała w nim wzbudzić jej nagła zmiana zdania co do przyszłości u boku Owaina.

W miarę jak oddalali się na południe, podążając zalesioną doliną rzeki Gyffin, w miarę jak konie przemierzały kolejne mile usianej gładzi drogi; na tyle zaledwie szerokiej, by pomieścić wóz, Josselyn coraz bardziej upadała na duchu. Czekano ją pożegnanie ze znajomą doliną i życie wśród krewniaków męża. Będzie pędziła dni oderwana od domu, skazana na towarzystwo ludzi, których nie lubiła, którym nigdy nie ufała.

Raptem zalała ją fala przerażenia. Nie zdobędzie się na taką ofiarę, to zupełnie niemożliwe!

Łagodna klacz, nieprzyzwyczajona do tego, by jej pani tak ostro ścigała wodze, okręciła się nerwowo w miejscu. Josselyn rozejrzała się bezradnie. Zostawiała daleko za sobą dom, rodzinę i przyjaciół, wszystkie ukochane zakamarki dzieciństwa.

Lecz zostawiała też Anglika, który przybył, by budować fortecę i zniewolić ziemie, które należały do jej rodu. Ją też by zniewolił, gdyby wtedy nie zdobyła się na nadludzką ostrożność.

- Josselyn, dziewczyno, co cię trapi? Czy klacz się narowi? To do niej niepodobne!

Głos stryja rozdarł nabrzmiałą wilgocią ciszę gęstego lasu.

Uchwyciła się tego głosu jak kotwicy, jak pasa ratunkowego w odmętach paniki, które groziły, że ją pochłoną.

- Klacz... klacz idzie dobrze. To tylko ... dawno już nie siedziałam na koniu.

Jej spojrzenie zdradzało lęk. Przez chwilę oczy stryja

spoczywały na niej w milczeniu.

- Chodź, będziesz jechała u mego boku - rzekł po jakimś czasie. - Z każdą milą będzie ci coraz łatwiej.

Oczywiście miał na myśli jazdę konną, lecz gdy ruszyli w dalszą drogę, Josselyn przemknęło przed myśl, że może chodziło mu jeszcze o coś innego. Jeśli tak, to modliła się, by miał słuszność.

Rand słuchał raportu przekazanego przez najdalej wystawione czujki, a jego humor pogarszał się z każdym słowem dowódcy straży.

- ... sześciu mężczyzn i jedna kobieta, dwa juczne konie. Wyruszyli, gdy tylko deszcz zelżał. - Osborne zamilkł. - Na południe. - Do siedziska Lloydów.

- Na to wygląda.

Rand zacisnął pięści, po czym wysiłkiem woli rozluźnił je. Do tej chwili miał nadzieję uniknąć otwartej bitwy z Walijszymi. Liczył na to, że dobrze znana niechęć między poszczególnymi walijskimi rodami opóźni konfrontację na tyle, by mógł dowieść im wszystkim, że nie zamierza narzucać im niczego i nie chce zmieniać ich dotychczasowej egzystencji.

Był przygotowany na okazjonalną potyczkę, na małe oznaki oporu: kradzież świni, podpalenie spichlerza. Ale nie chciał się spotykać z oddziałami Walijszyków na polu bitwy, gdyż musiałby je zgnieść przytłaczającą siłą oręża. Między nim a miejscowym ludem utworzyłaby się wówczas przepaść, której całe lata nie zdołałyby wypełnić.

Niestety, było tylko jedno wytłumaczenie dzisiejszych wydarzeń:

Clyde ap Llewelyn zamierzał oddać swą bratanicę za żonę komuś z rodu Madoca ap Lloyda, prawdopodobnie samemu synowi. Zjednoczone więzami krwi, połączone siły obu rodów stanowiły większe zagrożenie. To zresztą było ich celem.

Rand wstał i zaczął przemierzać niespokojnym krokiem swoje nowo wzniesione stanowisko dowodzenia, które służyło jednocześnie za salę zebrań.

- Wybierz pięciu żołnierzy, którzy pojedą z nami. Ty i ja złożymy wizytę w Carreg Du.

- W jakim celu? - chciał wiedzieć Osbome.

- Zadamy kilka pytań, uzyskamy kilka odpowiedzi - usłyszał szorstkie wyjaśnienie.

- A co z tłumaczem? Dziewczyna nie pojawiła się od trzech dni. Rand nie zamierzał odpowiedzieć. Dobrze wiedział, że Josselyn od trzech dni nie przychodziła do obozu, i ta świadomość burzyła jego spokój. Musiał się jakoś dowiedzieć, czy była tylko spłoszona tym, co między nimi zaszło w leśnej dolinie, czy jej nieobecność oznaczała coś więcej.

Jedna kobieta w konnej wyprawie zmierzającej na południe. Jedna kobieta - niewątpliwie bratanica Clyde' a. A jeśli była nią J Josselyn? Jeśli go oszukała, nabrała na wdzięki swego ciała i urokliwej twarzy?

A jeśli ta osierocona przez ojca Josselyn ap Carreg Du była bratanicą Clyde'a Llewelyna, dziedziczką leśnych ostępów otaczających wioskę Carreg Du, do których należał również płaskowyż Rosecliffe?

Jego palce ponownie zwinęły się w pięść. Tym razem nie potrafił rozewrzeć zaciśniętej dłoni. Czy ta śmiała

dziewucha wystrychnęła go na dudka? Nachodziła obóz, pracowała dla niego, rozpaliała jego żądze - oddawała jego pocałunki - wiedząc, że to wyłącznie od niej zależy zjednoczenie wojowniczych rodów walijskich w opozycji przeciw niemu?

- Na święte relikwie! - Kopnął stołek, tak że potoczył się po klepisku, pchnął z rozmachem odrzwia i wybiegł w wilgotne powietrze poranka. Ta suka omotała go na dobre. Czyż był szalony, nie widząc wcześniej, jak sprawy stoją? Czy też jego szaleństwo objawiało się dopiero teraz, gdy sądził, że jakiegokolwiek kobiecie udałoby się tak go zwieść? Nie wiedział już, co myśleć. A może wcale nie była dziewczyną, lecz doświadczoną uwodzicielką, przebiegle realizującą ukryte podłe zamiary?

Teraz zaś podążała na południe, by w ten sam sposób uwieść Owaina ap Madoca. Omotać go błyskiem czarodziejskich oczu. Przywiązać do siebie smakiem ponętnych warg. Oślepić na wszystko z wyjątkiem słodkich zaokrągleń jej ciała. Kupi lojalność tego mężczyzny kobiecymi sztuczkami, a potem pošle jego i jego pobratymców do walki z nim, z Randem.

Osborne odchrząknął za jego plecami.

- Czy sądzisz, że ona, ta Josselyn, jest bratanicą Clyde' a i przynętą dla rodu Lloydów?

Rand zacisnął szczęki w zamyśleniu.

- Tylko w jeden sposób można się tego dowiedzieć.

Rozdział ósmy

Typowa walijska wioska w niczym nie przypominała

angielskiego sioła, gdyż pozbawiona była ośrodka w postaci zamku czy kościoła. Szeroki wyboisty szlak wił się między nielicznymi budynkami z kamienia; niektóre wieńczyła dachówka, inne kryły się pod słomianą strzechą. Większość zabudowań schowana była za drzewami i wielkimi głazami. Poszczególne gospodarstwa leżały rozrzucone daleko od siebie; nie były, na podobieństwo angielskiego osiedla, stłoczone. Tu i ówdzie kamienne murki wyznaczały granice ogrodów warzywnych. W niektórych zaczęto już pierwsze przygotowania do wiosennego zasiewu.

Rand zatrzymał się na skraju wioski; towarzysząca mu świta poszła w jego ślady. Jak dotychczas, nie udało im się napotkać nawet jednego mieszkańca, mężczyzny, kobiety ani dziecka. W oknie jednej, z chat przeciągał się kot, lecz i on na widok konnych bezszelestnie zniknął. Pies, który obwąchiwał zamknięte odrzwia innej chaty, widząc nadjeżdżających, podniósł ogon i zaczął szczekać. Cofnął się jednak przed koniem Randa i z brzuchem przy ziemi wpełzł do komórki nieopodal. Nie przestawał jednak szczekać, Rand nie miał, więc wątpliwości, że każdy Walińczyk mieszkający w wiosce został powiadomiony o wizycie Anglików.

Wciąż jechał przed siebie, kierując się ku najokazalszej budowli osiedla, dwupiętrowemu domostwu o zgrabnej architekturze, otynkowanemu na parterze; a wyżej pyszniącemu się wybielonymi murami. Gzymsy nad oknami zdobione były wyrafinowaną plątaniną kamiennych płaskorzeźb o roślinnych i zwierzęcych motywach, a po obu

stronach rzeźbionych drzwi wejściowych wiły się pnące róże z gatunku *Helleborus orientalis*.

W jednym z okien na piętrze poruszyła się zasłona, lecz Rand nie cofnął się. Przybywał w pokoju, przynajmniej tym razem. Zsiadł z konia i kiwnął ręką na swoich ludzi, by uczynili to samo. Rzucił jednemu z nich lejce i zbliżył się do drzwi.

Zanim zdążył zastukać, otworzyły się i mężczyzna, którego zwali Dewey, wyszedł przed próg. Walińczyk rozstawił nogi i skrzyżował ramiona na piersi. Był o całą głowę niższy od Randa, lecz robił wrażenie człowieka, który nie ustąpi nawet przed szarżującym bykiem.

Rand wytrzymał jego podejrzliwe spojrzenie. Przynajmniej nie będzie trudności w porozumieniu się.

- Życzę ci dobrego dnia.

- Dobrego dnia - padła zwięzła odpowiedź.

Rand wciąż patrzył Walińczykowi w oczy.

- Jak słyszałem, Clyde ap Llewelyn odjechał na południe. □ Jedyną reakcją było lekkie zaskoczenie we wzroku Deweya.

□ Chciałbym pomówić z Josselyn.

- Jej tu nie ma.

- Czy to ona jest kobietą, która odjechała z twoim panem?

- Nie mamy tu w Walii panów - odparował Dewey tonem pełnym wyższości.

- Czy to jego bratanica?

Tym razem mężczyzna pozwolił sobie na powściągliwy uśmiezek.

- Tak jest.

Przebiegła suka! Rand poczuł się zdradzony. Z wysiłkiem opanował wściekłość.

- Czy to znaczy, że już nie będzie uczyć mnie walijskiego?
- O tym nic mi nie wiadomo.
- Być może, więc ty przejmiesz to zadanie - powiedział Rand, żeby dokuczyć swemu rozmówcy.

Jak się spodziewał, Dewey zjeżył się gniewnie.

- Mam ważniejsze obowiązki niż marnować czas na taką bzdurę, jaką jest próbowanie nauczenia Anglika mowy Walijszczyków.

Oczy Randa zwęziły się w szparki.

- Ważne obowiązki czy głupie pomysły? Bo jeśli ty, Clyde i mężczyźni z rodu Lloydów planują zorganizować armię, która wystąpi przeciw mnie, to będzie to głupi pomysł. I śmiertelnie ryzykowny.

Dewey zeszywniał, a w jego oczach pojawił się wyraz stanowczego uporu. Poza tą reakcją nie drgnął nawet, więc po długim milczeniu Rand skinął sztywno głową i odszedł. Tym razem Anglicy, jadąc przez wioskę, widzieli twarze pojawiające się w oknach chat. Ciekawe oczy zerkały przez uchylone drzwi.

Widząc odjeżdżających Anglików, mieszkańcy osady zrozumieli, że niczego nie muszą się obawiać. Przynajmniej tak podejrzewał Rand. Lecz tubylcy mylili się - Anglicy bynajmniej nie odjeżdżali. Małżeństwo Josselyn i Owaina ap Madoca nic nie zmieni poza tym, że Rand będzie musiał poszukać jakiejś innej, w miarę gładkiej, dziewczuchy dla ulżenia żądzom, które obudziła Josselyn. Będzie szeptał walijskie zaloty w inne ucho, i tyle.

Spiął konia i pochylił się nad potężnym karkiem zwierzęcia, które pogalopowało naprzód. Nie potrafił wszakże uciec przed własnymi myślami! Wiedział, że kiedy on będzie

używał sobie z ową zastępczynią, Owain będzie chędożył Josselyn. Josselyn, która zachowała dziewictwo... A może nie?

Nieważne: Rand zamierzał uczynić z niej swoją kobietę.

- Niech ją piekło pochłonie! - Zaklął, popędzając szlachetnego rumaka do jeszcze szybszego cwału. Spod kopyt konia tryskały na ścieżkę kamienie. Ledwie słyszał za plecami daremne nawoływanie Osborne'a. Ta suka wystrychnęła go na dudka!

Będzie ostatnią ze swego ludu, której się to udało.

Josselyn kuliła się w fałdach przemoczonego płaszcza. Ostatnie dwie godziny spędzili, jadąc w rześistym deszczu w mroku wczesnego zmierzchu. W zupełnej ciemności dotarli do Afon Bryn. Była przemarznięta, przemoczona i głodna, a jej towarzysze nie mieli się lepiej. Oni wszakże przynajmniej nie musieli się bać. Próbowwała nie okazywać strachu, lecz nigdy jeszcze nie przepełniało jej takie przerażenie.

W strugach deszczu ledwie tliły się pochodnie oświetlające drogę przez ponurą wieś. Nieliczne domy stały kręgiem wokół rześście oświetlonego domostwa, ku któremu zmierzali. Za nimi gromadził się stopniowo tłum ciekawskich, przeważnie kobiet i dzieci, gdyż mężczyźni czekali przed portalem siedziby Lloydów.

Podczas gdy Josselyn i jej towarzysze zsiadali z koni, drzwi otworzyły się szeroko i na ich spotkanie wyszedł wysoki, muskularny mężczyzna o szpakowatej czuprynie. Josselyn domyśliła się, że widzi ap Madoca, gdyż był uderzająco podobny do postępującego tuż za nim Owaina.

Przypatrzyła się uważnie młodszemu, Nic nie stracił ze swej urody, nadal miał gładką skórę i harmonijne rysy. Lecz w tej urodziwej twarzy odbijało się okrucieństwo duszy, unicestwiając jej cały urok. Josselyn zauważyła, że bez osłonek mierzy wzrokiem jej postać, i czuła, jakby rozbierał ją oczami z płaszcza i sukni, do samej poblądłej, drżącej z chłodu skóry. Zadrzała, a nie był to dreszcz spowodowany chłodem wieczoru.

- Witaj, Clydzie ap Llewelyn. Wejdz - powiedział starszy mężczyzna. - Ogrzej się przy ogniu. Podzielimy się z tobą jadłem i winem. Wiele mamy do omówienia.

Clyde odpowiedział równie uprzejmie na kordialne powitanie i dwóch przywódców rodów weszło ramię w ramię do sali kominkowej. Josselyn ruszyła za nimi.

- Wyrosłaś - powiedział do niej Owain. - I zaokrągliłaś się □ mruknął, prześlizgując się wzrokiem konesera po jej sylwetce.

Josselyn podniosła nieznacznie brodę.

- Nie jestem już tą przestraszoną dziewczuszką, której dokuczałeś przed laty na łące.

Uśmiechnął się szeroko, nie okazując bynajmniej skruchy.

Zawisł oczami na jej piersiach.

- Właśnie widzę, że się zmieniłaś. - Spojrzał jej w oczy i wyciągnął ramię. - Czy mogę ci towarzyszyć?

- Nie będzie to konieczne - odparła krótko. Gdy próbowała przecisnąć się koło niego, złapał ją za ramię i trzymał tak mocno, iż wiedziała, że będzie miała sińce.

- Nalegam.

Za plecami słyszała gniewne pomruki Bowera, który podszedł bliżej. Jeden z ludzi Owaina natychmiast poszedł

w jego ślady. - Wszystko w porządku - rzuciła Josselyn w napiętą ciszę.

Napotkała wzrokiem zadowolony z siebie uśmieszek Owaina.

□ Sprawiasz mi ból - oświadczyła powoli i wyraźnie.

Odczekał długą chwilę, zanim wypuścił jej ramię.

- Wybacz, moja Josselyn. Czasami zapominam, jaki jestem silny.

Nie odpowiedziała. Żadne słowa nie miały tu sensu. Lecz mijając go poczuła lodowaty skurcz strachu, doznanie, jakiego nie doświadczyła nigdy dotąd. Przez mgnienie oka majaczył jej w duszy obraz, Randulfa Fitz Hugh. Tamten był jej wrogiem, a Owain sojusznikiem. Lecz gdyby miała swobodę wyboru między jednym' a drugim, pobiegłaby w objęcia wroga, gdyż mniej się go lękała.

Na nic zdadzą się jej życzenia, przypomniała sobie, wkraczając do sali oświetlonej smolnymi pochodniami, których płomień wypełniał obszerne pomieszczenie dymem. Jej przyszłość znaczyła tyle, co nic w porównaniu z przyszłością ludu Walii i walijskich ziem. Jeżeli chce uratować swój kraj przed Anglikami, Owain przeznaczony jest na jej małżonka i jemu musi oddać swe ciało. Owain będzie ojcem jej synów. Słodka Maryjo, jak wiele potrzeba mi będzie modlitw, jak wiele siły, by wypełnić obowiązki żony, gdy nadejdzie pora!

Źle spała w pokoiku mieszczącym się naprzeciw izby oddanej na nocleg stryjowi. Bower spędził noc na podłodze przed jej drzwiami; był to symboliczny gest, jak oświadczył stryj. Josselyn miała jednak pewne wątpliwości. Stryj przez

cały wieczór obserwował Owaina, a choć niewiele mówił, bratanica dobrze go znała i wiedziała, co kryje jego oblicze bez wyrazu. Nie był zadowolony z tego, co ujrzał. Nie był zadowolony z tego, co musi zrobić.

Wstała, gdy mężczyźni jeszcze spali. W wielkiej sali ujrzała trzy służące trudzące się przygotowaniem porannej stawy. Nadzorowała je starsza kobieta, owdowiała kuzynka Madoca imieniem Meriel, która zarządzała gospodarstwem Lloydów. Wieczorem, w obecności mężczyzn, Meriel milczała zawzięcie, lecz teraz przywitała Josselyn niemrawym uśmiechem.

- Usiądź sobie koło ognia. Przyniosę ci coś na rozgrzewkę.

- Dziękuję, ale nie musisz mi usługiwać.

Kobieta przechyliła głowę i zmierzyła dziewczynę byстрыm spojrzeniem.

- Byłabym bardzo głupia, nie starając się zaskarbić sobie twojej uprzejmości. Ja i ten dom, siedziba wdów i wdowców, bardzo potrzebujemy obecności kobiety - ciągnęła, jakby nareszcie mogła dać upust słowom, które wzdragając się wypowiedzieć wieczorem. □ Zbyt długo żyliśmy tu tylko we troje. Jedno z nas musi wejść ponownie w związek małżeński, a Owainowi najbardziej to przystoi. Czy już widziałaś jego chłopca?

- Jego chłopca? Nie, ale...

- Nie musisz się nim przejmować. Przejdzie mu w końcu.

- Przejdzie mu? Czy chcesz powiedzieć, że...

- Nie chce widzieć ojca z nową żoną - wpadła jej w słowo Meriel. Zniżyła głos do poufnego szeptu. - Co prawda Owaina nie obchodzi ani trochę, co mały myśli i czuje. Rhys większość czasu spędza na wędrówkach po górach. To

prawdziwy odludek, nie ma co mówić. Ale mimo że jest taki mały, władza już całkiem niezłe łukiem, a w rybołówstwie nie ma mu równych.

- Ile ma lat? - wtrąciła Josselyn, gdy kobieta umilkła dla nabrania oddechu.

- Ile? Zaraz, niech pomyślę. To była bardzo ostra zima, kiedy ta okropna zawieja ogołociła wszystkie drzewa z gałęzi... - Policzyła na palcach. - Pamiętasz burzę śnieżną? To tamtego roku zmarła Meghan, pierwsza żona Owaina. Wtenczas zachorował też Toff, bo to był rok śmiertelnej gorączki. Gaenor poroniła, a następnej wiosny sama zmarła ... To była córka Madoca - wyjaśniła Meriel, przerywając wspomnienia.

- Mały ma z siedem lat czy coś koło tego.

- Siedem? I samotnie błąka się po górach? Gdzie sypia? Meriel wzruszyła ramionami.

- Czasem tutaj, przy ogniu w izbie jadalnej. Innym razem w stajni przy koniach. - Potrząsnęła głową. - Nie zawracaj sobie głowy chłopcem. Lepiej zajmij się jego ojcem.

Nieproszony dreszcz przebiegł Josselyn po krzyżu.

- Tak - przyznała cichym głosem. - To z powodu Owaina tu przybyłam.

Przyjrzała się badawczo swej rozmówczyni. Czy mogła jej zaufać? Ostrożnie dobierała słowa.

- Czy masz dla mnie jakąś radę, która ułatwi mi ... wejście w obowiązki jego żony?

Kobieta odsunęła się i niezwykle długo milczała, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Nie będę cię oszukiwać. Małżeństwo z Owainem nigdy nie będzie łatwe. Nie, byłoby kłamstwem obiecywać ci to. Nie jest do końca zły, ale ma naturę tyrańca i w stosunku do

słabych może być okrutny. Jego pierwsza żona była za miękka, rozumiesz mnie. On przypomina charakterem ojca i dziada, to mężczyzna, który potrzebuje mocnej kobiety, potrafiącej stawić czoło jego temperamentowi. Kobiety równie bujnej natury, równie pożądlivej jak on - zakończyła, rzucając Josselyn przebiegłe spojrzenie.

Dreszcz, który tym razem wstrząsnął ciałem Josselyn, był dreszczem obrzydzenia. Z niezachwianą pewnością zrozumiała, że nigdy nie poczuje żądy do Owaina. Nigdy.

Meriel musiała wyczytać to z jej oczu, gdyż porysowana zmarszczkami twarz przybrała surowy wygląd.

_ Los żony staje się o wiele łatwiejszy, jeśli podda się bez oporów obowiązkom małżeńskiego łoża. Po jakimś czasie polubisz je, przynajmniej częściowo. Są przecież nawet kobiety, które z własnej woli pożąday mężczyzn - dodała z wiele mówiącym wejrzeniem. - Każda oblubienica czuje się na początku tak, jak ty w tej chwili. Ale czas leczy rany ...

Meriel urwała, usłyszawszy miarowy stukot ciężkich butów na wąskich schodach. Gdy Madoc ap Lloyd wszedł do izby, pospieszyła wyciągnąć z za stołu krzesło, a kiedy na nim zasiadł, przyniosła mu kufel pełen parującego grzanego piwa.

Podziękował jej skinieniem i chrząknięciem i utkwiał spojrzenie w Josselyn.

_ Dobrze jest, gdy niewiasta wcześniej podnosi się z łoża.

Josselyn zdecydowała się na szczerość.

_ Nie dlatego twój syn chce mnie w swym łożu, żebym wcześniej się z niego zrywała.

Zachichotał z rozbawieniem.

_ Masz rację, dziewczyno. Owain pragnie w nim

towarzystwa gładkiej białki, która da mu wielu synów.

_ W zamian za moje towarzystwo zobowiąże się pomóc w walce z Anglikami, którzy zagrażają naszym ziemiom.

_ Wszyscy pomożemy wam z nimi walczyć - poprawił ją Madoc. - To ja jestem głową rodu Lloydów 'i ja podejmuję zobowiązania, nie mój syn. Zrozum mnie dobrze, Josselyn: stawimy razem opór Anglikom, czy dojdzie do mariażu między rodami, czy nie. Dla każdego Walijczyka nadchodzi dzień, w którym musi podjąć walkę z najeźdźcą, gdyż jeśli tego zaniedba, wróg rozpełźnie się wszędy jak mordercza plaga. Poślubiając Owaina, pieczętujesz pokój między naszymi rodzinami, a to pomoże nam stawać ramię w ramię z ufnością większą niż niegdyś, z poczuciem wspólnoty, na którym zbudujemy wspólną przyszłość, spokojną i pomyślną.

Brwi Josselyn ściągnęły się w zamyśleniu. Sama tyle wiedziała, lecz tym cięższa stała się decyzja, by poślubić Owaina.

- Nie czekam z wielką radością na ślub z twym synem - przyznała.

Madoc przeszył ją ostrym spojrzeniem.

- Czy masz innego kochanka?

- Nie. - Mówiąc to, wiedziała, że w gruncie rzeczy ukrywa prawdę. Ale Anglik się nie liczył, zwłaszcza że mogła z nim przeżyć jedynie krótką przygodę żądz. No, i w końcu przecież nie został jej kochankiem.

Madoc badał ją wzrokiem.

- Potrafię utrzymać syna w ryzach. Jest porywczy, lecz nigdy nie skrzywdził Meghan. I ciebie nie skrzywdzi.

Skape to było pocieszenie, lecz Josselyn nie wątpiła, że na

więcej nie może liczyć. Niebawem pojawił się w izbie Clyde i Madoc zwrócił się do niego z pozdrowieniem. Powoli komnata zapełniała się ludźmi; mężczyźni pochłaniali śniadanie, kobiety i służki podawały im strawę.

Owain natychmiast po wejściu skierował się ku Josselyn.

- Zasiądź przy mnie i pożyw się - rzekł, chwytając jej ramię. Tym razem dotykał jej łagodnie, a jego uśmiech był niewymuszony i szczery. W jego słowach była prośba, nie rozkaz. Josselyn nie pragnęła co prawda jego towarzystwa, lecz dla spokoju postanowiła się do niej zastosować. Pod baczny spojrzeniem wszystkich obecnych w zadymionej izbie towarzyszył jej do pierwszego stołu i dał znak, by podano im jadło i napitek.

Josselyn zajęła miejsce na ławie, on usiadł obok. Natychmiast pojawiły się przed nimi kopyte talerze stawy i wypełnione po brzegi kubki. Potem Owain podał jej nóż i Josselyn zdała sobie sprawę, że musi go przyjąć.

- Dziękuję - mruknęła.

- Gdy zostaniemy sobie poślubieni, wszystko, co moje, stanie się twoje. Od tego noża po tę salę. - Jedną ręką zakreślił w powietrzu łuk, podczas gdy drugą ujął kufel i pociągnął obfity łyk napoju.

Jeszcze nie jesteś głową rodu - pomyślała Josselyn, słysząc w duszy echo słów, które wcześniej wypowiedział ojciec Owaip Cóż za pyszałek, pełen próżnych ambicji! Mimo to nie powinna upatrywać wady w typowej ponoć dla prawdziwego mężczyzny cesze, którą posiadał przecież również angielski lord, i to w nie mniejszym stopniu. U tamtego ten rys charakteru nie przeszkadzał Josselyn, czemu więc poczuła odrazę do dumnego Owaina? Co, innego musi

ją odpychać w tym człowieku.

Być może jej nastawienie spowodowała jedynie świadomość wymuszonego małżeństwa - rozumowała, zmuszając się do jedzenia. Być może gdyby nie czuła się schwytana w sidła zamążpójścia, znalazłaby w Owainie coś, co mogłaby podziwiać. Odłożyła nóż. Winna była sobie i jemu próbę odnalezienia tego czegoś, zadzierzgnięcia więzi.

- Może zechcesz towarzyszyć mi na stronę? Chciałabym porozmawiać z tobą na osobności - powiedziała, zerkając na niego z rezerwą. Osobliwy uśmiezek zagościł na jego ustach.

- Jak sobie życzysz, pani. - Podniósł się i ujął ją pod ramię. - Pragnę jedynie rozmowy - oświadczyła, czując, że musi postawić sprawy jasno. - Chcę spróbować oczyścić trochę atmosferę między nami, nic więcej. Tylko to. Przez chwilę rozważał jej słowa. Gdy wstali, w izbie zapadła cisza, wszyscy wpatrywali się w nich wyczekująco.

- Bardzo dobrze - zgodził się. - Porozmawiamy, spacerując. To wszystko. Na razie.

Na dworze było rześko, lecz chłodno. Powiódł ją wąską ścieżką biegnącą z dala od zabudowań wioski. Gdy doszli do kępy buków, Josselyn zatrzymała się. Jej towarzysz odwrócił się i sięgnął po jej dłoń, lecz odsunęła się w przyпіlywie onieśmienia. Przez jego twarz przemknął wyraz rozdrażnienia, lecz szybko zdołał go stłumić. Uśmiechnął się do niej blado.

- O czym życzyłaś sobie ze mną mówić? Josselyn odchrząknęła. Sytuacja była niezręczna.

- Nasi krewni zaaranżowali ten związek. Czy nie czujesz się przymuszony do ożenku ze mną?

Wzruszył ramionami.

- Żona jest mi potrzebna.

_ I jakakolwiek kobieta będzie dobra do tej roli?

Być może usłyszał w jej głosie sarkazm, gdyż kpiąco wyszczerzył zęby.

- Żona to nie jakakolwiek kobieta. Musi mieć gładkie lico i gibkie ciało, żebym nie nudził się w łóżu noc po nocy i nie poszedł szukać rozrywki gdzie indziej.

- Rozumiem. - Zapłonęła szkarłatem, słysząc to szczere wyznanie. - To znaczy, że jeśli żona nie podnieci cię dostatecznie, zaczniesz odwiedzać łóżo innej kobiety?

- Ty chyba nie musisz się tego obawiać, moja Josselyn. Bardzo skutecznie mnie podniecasz. Czy mam ci pokazać, jak bardzo? _ dodał, gładząc się pod wierzchnią szatą w okolicy podbrzusza.

Josselyn rozdęła nozdrza w przypiływie niesmaku. Zrobiła ruch, jakby chciała odejść, lecz Owain ze śmiechem chwycił jej ramię.

- Wstydlivość przystoi dziewczicy, jaką się mienisz, moja droga. Nie lękaj się, Josselyn. Wprowadzę cię łagodnie w sztukę małżeńskich igraszek. Nie upłynie wiele wody w strumieniu, a znajdziesz zadowolenie w związku ze mną.

Meriel mówiła to samo, lecz Josselyn wciąż nie mogła uwierzyć.

Czuła potrzebę rozmowy z kimś innym, z doświadczoną i bliską sobie mężatką, na przykład z Nestą czy Gladys.

- Zapewne masz rację - powiedziała cicho, chcąc w tej chwili tylko jednego: uwolnić się od obecności tego mężczyzny, który budził w niej wstręt.

Owain nie był wszak gotów pozwolić jej odejść. Zmusił ją,

by zwróciła ku niemu twarz.

- Pocałunek dla przypieczętowania zaręczyn to moje prawo i nasz przywilej.

- Nie wyraziłam jeszcze zgody...

- Och, ale się zgodzisz. Nie masz wyboru. Inaczej Anglicy zagarną wasze ziemie.

- Wciąż mi się o tym przypomina. Lecz twój ojciec uważa, że wszystkie walijskie rody powinny się zjednoczyć do walki z Anglikami. Twoja rodzina przyjdzie nam z pomocą, czy zechcę cię poślubić, czy też nie.

- Być może w końcu staniemy u waszego boku. Ale do tego czasu nic nie zostanie z Carreg Du. Wszyscy wasi mężczyźni będą gryźli ziemię, kobiety zostaną zgwałcone, a dzieci zdechną z głodu. A całe to nieszczęście z powodu wstydlivosti jednej dziewczicy...

Przed oczami Josselyn ujrzała straszliwy obraz przyszłości, który nakreślił Owain. A przecież to nie musiało się stać rzeczywistością.

- Mógłbyś się zdecydować stanąć po naszej stronie już teraz. Zanim do tego dojdzie.

- Po co? Nic nie zyskiwałbym, ryzykując życiem dla Carreg Du. Gdybym jednak wiedział, że czekasz na mnie w mym łożu.. że urodzisz mi silnych synów, którzy przypieczętują więź między naszymi rodami i pogrzebią tradycyjną wrogość, owszem, to był wystarczający powód do walki.

Przyciągnął ją bliżej do piersi. Czuła gorąco jego torsu, który prawie przylegał do jej ciała. Pomimo tego ciepła nigdy jeszcze nie przeszywał jej taki chłód.

- Pocałuj mnie, Josselyn. Zapomnij o małej dziewczusce, król.! nigdyś byłaś, powitaj kobiecość w moich ramionach. Jeden

pocałunek - ponagłał. -Na razie nie oczekuję od ciebie nic więcej.

Gdyby tylko fizyczna siła Owaina trzymała ją w jego objęciach, potrafiłaby się wyrwać. Mogła wołać o pomoc i za wszelką cenę próbować się uwolnić. Stała jak sparaliżowana nie tylko za sprawą jego ramion. Czuła się odpowiedzialna za los swego ludu, mężczyzn, kobiet i dzieci, których czekają cierpienia pod rządami Anglików. Ucichła więc, a gdy na jego twarzy rozkwitł triumfalny uśmiech drapieżcy, który dopadł ofiary, zamknęła oczy.

Nic się nie działo przez całą wieczność, więc ponownie je otworzyła. Dopiero wtedy Owain poruszył się, przycisnął ją do siebie z wielką siłą i wysunął biodra, aż ich twarde kości zaczęły ją ranić. Czuła, jak w ciepłe jej podbrzusza podnosi się i sztywnieje jego męskość, wypełniła ją fala obrzydzenia i lęku przyprawiającego o mdłości. Dopiero widząc popłoch w jej oczach, zniżył głowę. Kiedy zadrżała z niepojętego lęku, zakrył jej wargi w groteskowej parodii pocałunku?

Rand też ją niegdyś całował, lecz choć wypełniał ją wtedy strach, czuła jednocześnie, jak cała mięknie i topnieje pod jego dotykiem. Pieszczota Owaina sprawiła, że jej ciało zamarło w paroksyzmie lęku i zlodowaciało w poczuciu hańby. Była chora z przerażenia.

Nie czynił niczego brutalnie, ale to było jedyne, co by przemawiało na jego korzyść. Nie zadał jej bólu fizycznego, lecz jego żarłoczność i nieustępliwość odstręczały, a gdy wraził język pomiędzy jej wargi, jeszcze raz lubieżnie otarł się lędźwiami o jej kobiecość.

Zamachnęła się i odepchnęła jego głowę. Z jego ust wydarł się odgłos zaskoczenia.

- Masz przynajmniej temperament - powiedział, puszczając ją. - Wiem już, że kiedy cię wezmę w małżeńskiej łóżnicy, będziesz dawała oznaki życia.

Josselyn, wpatrzona w niego, otarła wargi rękawem. Chciała się pozbyć smaku jego pocałunku na ustach, lecz obawiała się, że już nigdy się od niego nie uwolni.

- Jesteś jak wieprz - zasyczała z wściekłością. - Nawet ja, dziewica, wiem, że to, co wiesz o sprawianiu przyjemności kobietom, zmieściłoby się w ziarenku gorczycy!

Zadufany uśmiech spęzł z jego twarzy.

- Jeszcze będziesz błagać mnie o pieśczętę... w swoim czasie. Nagle przypomniała sobie słowa dziecinnej wyliczanki:

Gdy głązy zaczną rosnać, a drzewa przestaną...

Odstąpiła, nie spuszczać z Owaina czujnych oczu.

- Jesteś jak wieprz - powtórzyła. Obróciła się na pięcie i pobiegła ku schronieniu - nie wioski, gdyż była to siedziba Owaina, lecz bliskości stryja. Nie potrafi znieść ohydy tego małżeństwa. Nie zdobędzie się na tę ofiarę!

W końcu jednak nie miała wyboru. Clyde i Madoc już postanowili połączyć swe rody poprzez małżeństwo między ich przedstawicielami i uzgodnili szczegóły kontraktu. Josselyn musiałaby publicznie odrzucić Owaina, co naraziłoby jej pobratymców na jeszcze większą wrogość Lloydów. Od tego związku nie było ucieczki.

Lecz jeszcze nie teraz. Jeszcze nie.

- Kiedy więc? - Owain popatrzył gniewnie na Clyde'a, rzucając nieme wyzwanie starszemu mężczyźnie. - Mnie

żona potrzebna jest od zaraz.

- W dzień świętego Jerzego. To da Josselyn i jej ciotce czas na przygotowania - odparował Clyde, w najmniejszej mierze nie okazując ustępliwości wobec groźnej postawy tamtego.

- Propozycja ta jest rozsądna. Oblubienica prosi o zaledwie dwa tygodnie zwłoki - wtrącił Madoc.

- Na czas ceremonii przyjedziesz do Carreg Du; tam też pozostaniesz przynajmniej do jesieni - zwrócił się Clyde do Owaina.

- Tego z pewnością nie zrobię!

- Zrobisz, jeśli naprawdę pragniesz pokoju między naszymi rodami - oświadczył Clyde głosem nieznającym sprzeciwu.

- Uzgodniliśmy ten szczegół - potwierdził Madoc. - Poza tym stamtąd mamy lepszy punkt wypadowy do walk z Anglikami □ przypomniał nieposiadającemu się ze złości synowi.

Owain rzucił Clyde'owi przeciągłe spojrzenie, a Josselyn zafascynowana patrzyła na grę emocji na jego twarzy. W bladych oczach odbijał się wysiłek, jaki czyniłby zapanować nad furją. Wreszcie uśmiechnął się, lecz był to groźny, na wpół senny uśmiech, który wzbudził w niej niepokój.

- Niech więc i tak będzie - zgodził się. - Mój dom będzie w Carreg Du, dopóki nie wypędzimy Anglików. Potem jednak żaden z was nie będzie się wtrącał do mojego małżeństwa.

Echo ostatniej groźby rozbrzmiewało w uszach Josselyn przez cały czas, gdy odbywały się ceremonie pożegnalne. Raz zaślubiona, będzie na jego łasce.

Oczywiście, zwyczaj uznawał pewne granice zależności i do pewnego stopnia zabezpieczał zamężną kobietę: małżonek nie mógł jej bić, nie mógł też zaniedbać obowiązków

żywiciela i opiekuna. Lecz i tak mógł uczynić życie niefortunnej niewiasty pasmem nieszczęść. Lękała się, iż są sposoby na to, by zmienić dzień powszedni w torturę ponad ludzką wytrzymałość.

Zmierzali w stronę domu w smętnym półmroku pochmurnego ranka. Jechali w ciszy, jedno za drugim, z Josselyn w samym środku kawalkady. Ponure rozstanie z ponurym siedliskiem, w którym oczekiwała dziewczynę ponura przyszłość, przepętniło ją melancholia. Trzęsa się w fałdach płaszcza, lecz źródło zimna mieściło się w jej duszy. Żadna szata, choćby najcieplejsza, nie mogła rozproszyć gorzkiego chłodu, który ścisnął jej serce.

Stryj wyczuł najwyraźniej jej posepny nastrój i gdy tylko znaleźli się w lesie, powstrzymał konia, by znaleźć się u boku bratanicy.

- Czy coś cię trapi, dziewczeczko? - spytał zatroskanym głosem. Josselyn potrząsnęła głową.

- Nic mi nie jest - skłamała. W duszy zaś krzyczała: Jestem nieszczęśliwa. Jak mogłeś się spodziewać, że będzie inaczej?

□ Wszystko jakoś się ułoży.

W ciszę, która zapanowała po tym słowach, wdarły się odgłosy leśnego ostępu. Ptaki i wiewiórki rozpoczęły już wiosenne gody, zbliżał się okres wyteżonej pracy przy budowie gniazd i czułej opieki nad potomstwem. Josselyn rozglądała się w gęstwinie drzew, podziwiała olchy o bezlistnych jeszcze gałęziach, obsianych nabrzmiewającymi pąkami, zadzierała głowę ku koronom dębów, którym mimo ostrych mrozów udało się zachować część listowia. Wiewiórka zacwierkała z rozdrażnieniem na przeciągający pod jej dziuplą sznur konnych. Siedzący na pobliskim

konarze kruk, zajęty muskaniem czarnych piór, dumnie machnął skrzydłami, wzbił się w niebo i odleciał.

W gałęziach leszczyny tuż przy ziemi coś się poruszyło.

Josselyn skierowała uważny wzrok w tamtą stronę. Tchórz? Nie kryłby się wśród drzew. Niedźwiedziątko? Za wczesna na nie pora roku.

Stworzonko wychyliło głowę, śledząc pochód jeźdźców. Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem widząc, że to dziecko, mały chłopczyk o umorusanej twarzyczce i w podartym przyodziewku. Jedno oko ginęło w opuchniętym sińcu mieniącym się wszystkimi kolorami tęczy. Ściągnęła lejce, ruchem głowy wskazując stryjowi tę osobliwą leśną zjawę.

- Czy coś się stało? - spytał Clyde, wpatrując się w gęstwiny.

- Tam, spójrz, dziecko. Za tymi drzewami. - Wskazała dłonią. - Jest ranne, twarz mu krwawi.

Bower zbliżył się od tyłu.

- To smyk Owaina. Rhys, tak go, zdaje się, wołają. Widziałem go onegdaj w podwórcu kuchennym. To ojczulek tak go zaprawił. Nie wiem, czemu. Ale to nic groźnego. Taki jeszcze malec, ale nawet nie jęknął.

Chłopak wykrzywił się, usłyszawszy, że mówią o nim, i wspiał się wyżej na gałąź leszczyny. Josselyn zachłysnęła się, gdy w pewnej chwili poślizgnął się i o mało nie spadł na ziemię. Kiedy już rozsiadł się bezpiecznie na grubym konarze, zwrócił w ich stronę brudną twarzyczkę?

- Wynocha stąd, wy złodziejskie skunksy! - krzyknął.

Pogrzebał za pazuchą złachmanionej tuniki i cisnął w nich kamieniem. □Wynoś się, ty wylekła suko!

- Hej, ty! - Bower pogroził mu pięścią. - Pilnuj języka albo

wyrwę ci go z gardła, ty nieznośny mały łachudro!

- Tylko spróbuj, a mój ojciec odetnie ci jaja. I da mi na wieczerzę!

- Już ja urządzę to diabelskie nasienie. - Bower zaczął zsiadać z konia, lecz Clyde uspokoił go skinieniem ręki.

- Zostaw go. Przed nami jeszcze długa droga.

- Bezczelny smarkacz zasługuje na baty za brak szacunku dla starszych. Szczególnie za obrazę kobiety, która będzie mu matkować.

- Czego możesz oczekiwać po synu Owaina ap Madoca? □ mruknął z pogardą jeden z konnych.

Czego, w istocie? - pomyślała smętnie Josselyn.

Ruszyli naprzód. Dziecko rzucało za nimi kamieniami, lecz skalne okruczności padały daleko za końmi, nie czyniąc nikomu szkody. Josselyn odwróciła się jeszcze i rzuciła ostatnie spojrzenie na dziecko, któremu miała wkrótce zapewnić opiekę. Mały, jakby czytając jej myśli, zamachnął się i cisnął w jej stronę ostatnim kamieniem. Kamień nie zranił jej wprawdzie, lecz uczyniły to słowa chłopca.

- Nienawidzę cię! - wrzasnął Rhys cienkim dziecięcym głosem. - Nienawidzę! Nigdy nie będziesz moją matką!

Rozdział dziewiąty

Rand rozstawił strażę i czekał. Sieć czujek przesłała mu wiadomość: Josselyn wraz z eskortą wraca do Carreg Du. Nic nie wskazywało na to, by została poślubiona Owainowi ap Madocowi. Przynajmniej na razie.

Nigdy, przysiągł sobie Rand.

Zacisnął dłonie na cuglach; wierzchowiec potrząsnął wyczekująco łbem. Cóż mógłby uczynić, gdyby się okazało, że ceremonia ślubna już się jednak odbyła, a Josselyn została oddana za żonę Walińczykowi dla przypieczętowania unii skierowanej przeciwko Anglikom?

Podwoiłby strażę dookoła obozu i naglił robotników, by dwa razy pilniej pracowali przy wznoszeniu fortyfikacji. Już i tak z powodzeniem stosował taktykę przekupstw i rozmaitych nagród. Obiecał, że za skończenie pierwszego poziomu murów zamkowych przed zimą jego ludzi czeka dwuletnie zwolnienie z podatków i skrócenie o połowę obowiązkowego odrobku dla króla i namiestnika. Widział rezultat tej obietnicy - mężczyźni wydłużyli dzień pracy bez najmniejszego szmeru niezadowolenia, zjednoczeni wspólnym celem: wznieść mur do wysokości ośmiu stóp przed nadejściem zimowych mrozów.

Mur był niezbędny, gdyby przyszło do odpierania walijskich najazdów, lecz jeśli Josselyn poślubiła Owaina, ludzie Randa nie zdążą - w najlepszym razie zostało im jeszcze kilka miesięcy pracy. Jeżeli jednak ceremonia zaślubin została odłożona, miał wciąż szansę trzymać Walińczyków na odległość, podczas gdy fortyfikacje zamku króla Henryka rosły w górę.

Z dogodnego stanowiska ukrytego na zboczu wśród gęstwiny krzaków wypatrywał, co dzieje się na wąskim szlaku. Josselyn jechała na czwartym od końca wierzchowcu. Na ten widok skinął głową z aprobatą, gdyż było to najbezpieczniejsze miejsce w kawalkadzie. W miarę zbliżania się do rodzinnych ziem czujność Walińczyków nieco zelżała. Oto jeździec z tylnej straży minął klacz

Josselyn w miejscu, gdzie ścieżka poszerzała się na dwa konie, i pogalopował ku czołu grupy. Jednocześnie drugi z konnych osłaniających plecy dziewczyny zsiadł z konia, prawdopodobnie zmuszony naturalną potrzebą.

Dłonie Randa ponownie zacisnęły się na lejcach. Skinął głową jednemu z towarzyszących mu ludzi, co dało sygnał do ujęcia marudera. Za chwilę między nim i Josselyn znajdował się już jeden tylko jeździec. Gdy pochwyci dziewczynę, unicestwi wszelkie zamiary unii między walijskimi rodami. Dopóki będzie ją trzymał jako zakładniczkę, jej stryj nie odważy się zaatakować obozu, z pomocą innych wiosek czy też bez niej.

Gdy zaś Josselyn zostanie jego więźniem, kiedy ta fałszywa dziewczka będzie już w jego mocy, Rand przekona się o szczerości jej pożądanja.

Posłyszał okrzyk ptaka, umówione hasło sygnalizujące, że jego ludzie osiągnęli cel. Poniżej ujrzał, jak wierzchowiec nieostrożnego Walińczyka znika w gęstwinie lasu. Josselyn i ostatni jeździec znajdowali się poza zasięgiem jego wzroku, ale zarówno Rand, jak i Osborne wiedzieli, co mają robić. Szlak przed nimi zakręcał dwukrotnie, i w tym miejscu należało uderzyć. Osborne rozbroi Walińczyka, a Rand pochwyci Josselyn ap Carreg Du.

Ponaglił wierzchowca zstępującego po łagodnym zboczu, przedarł się przez niskie zarośla, zsiadł i ostrożnie posuwał się przed siebie. Rzucił na Osborne'a spojrzenie - sygnał do jednoczesnego ataku. Za chwilę dziewczyna się z nim zrówna; widział jej szczupłą, wyprostowaną sylwetkę spowitą w zielony płaszcz i poczuł, że pomimo chłodnego dnia ten widok wlewa ciepło w jego żyły. Jeszcze sekunda i

będzie jego! Drgnął w podnieceniu oczekiwania i poczuł dreszcz w łądźwiach.

Srogo zbeształ się w duchu - to nie pożądanie było przecieź powodem, dla którego musiał ją schwytać! Chodzi wyłącznie o cele strategiczne, o sprawy polityczne. Tym sposobem zabezpieczy pokój i uniknie zagrożenia ze strony buntowniczych Walińczyków.

Fakt ten niczego wszakże nie zmieniał. Pragnął jej i nie cofnie się przed niczym z wyjątkiem brutalnego gwałtu, by zwabić niepokorną dzierlatkę do swego łoża. Najpierw jednak musi ją schwytać.

Kącikiem prawego oka ujrział, jak Osborne prostuje się i spręza do skoku. Nadszedł czas!

Cicho jak kot i pewnym skokiem opuścił kryjówkę. Przewoltyżował szerokim łukiem nad grzbietem wierzchowca i wylądował za plecami dziewczyny. Jedną ręką złapał lejce, drugą stłumił rodzący się na jej wargach okrzyk. Wbił pięty w boki zaskoczonych klaczy i zmusił ją, by zboczyła w leśną gęstwinę.

Josselyn próbowała krzyczeć, lecz twarda dłoń na ustach zdławiła wszystkie dźwięki, aż dziewczyna bała się, że się zadławi na śmierć. Silne, sprężyste ciało owinęło się wokół niej. Klacz stanęła dęba i zachwiała się pod niespodziewanym ciężarem dodatkowego jeźdźca. Napastnik zręcznym manewrem zapobiegł niefortunnemu wypadkowi, błyskawicznym ściągnięciem cugli kierując zwierzę w las, w dół zbocza i wokół wielkiego głazu, za którym ponownie skrećiliby wreszcie rozpocząć wspinaczkę w górę stromego stoku po przeciwległej stronie doliny. Przez cały czas druga dłoń Randa spoczywała

zapobiegawczo na ustach uprowadzonej.

Próbowała z nim walczyć. Choć była niemal sparaliżowana lękiem, szarpała się w jego objęciach, ciągnęła za rękę trzymającą lejce, desperacko usiłując się uwolnić z brutalnego uścisku. Serce waliło jej w opętańczym rytmie, lecz obróciła głowę usiłując go ugryźć.

W odpowiedzi przycisnął ją mocniej.

- Nie próbuj, Josselyn. Albo przysięgam, że pożałujesz!

Randulf Fitz Hugh! Pierwszą jej reakcją była ulga.

Zaraz za nią napłynęło uczucie dotkliwego wstydu: Sądziła, że pochwycił ją Owain, chcąc wziąć ją za żonę przed umówionym terminem. Podejrzewała, że byłby do tego zdolny. Skoro napastnikiem był Rand, nie będzie narażona na zakusy Owaina.

Ale przecież wcale nie była bezpieczna - tak mogła sądzić tylko kobieta bezdennie głupia. Głupia i zepsuta!

Rand, milcząc, kierował klacz w sam środek puszczańskich ostępów. Josselyn poczuła na udzie dotyk twardych mięśni i wiedziała, że jej wierzchowiec będzie posłuszny temu naciskowi. Rzeczywiście, dobrze ujeżdżona klacz uspokoiła się i zaczęła kroczyć wolniej, pewnie wybierając drogę między gęstwiną poszycia, uwożąc Josselyn coraz dalej od bezpieczeństwa, coraz bliżej ku legowisku nowego drapieżcy buszującego w tych lasach.

Rand rozluźnił trochę uścisk wokół ramion dziewczyny dopiero wtedy, gdy poczuł jej wyczerpanie i rezygnację z walki. Lecz dłoni z jej ust nie zabrał dopóty, dopóki nie spotkali się z drugim rycerzem, prowadzącym za uzdę potężnego wierzchowca - konia Randa. Nawet teraz nie uwolnił jej całkowicie.

- Krzyknij tylko, a moi ludzie poderzną gardło twemu ziomkowi. - Wykręcił jej głowę w bok, aż ujrzała Bowera, którego Os borne więził przed sobą na koniu. Usta Walijczyka spowijał naprędcie zwinięty z gałgana knebel; ramiona miał spętane na plecach. W oczach widać było wściekłość zmieszaną z lękiem.

Czy rzeczywiście podciąłby gardło bezbronnemu jeńcowi?

Josselyn wołała nie sprawdzać, czy blefuje. Rand najwyraźniej czytał w jej myślach, gdyż usłyszała szept:

- Będziesz cicho, zgoda?

Niechętnie potaknęła. Czyż miała inny wybór?

- Dobrze. - Odsunął dłoń; mogła nareszcie oddychać, wciągając powietrze wielkimi haustami.

- Co właściwie zamierzasz osiągnąć ... ? - Poczowała na twarzy dotyk płóciennej szmaty dławiący jej słowa w gardle. Gdy usiłowała pozbyć się knebla, chwycił jej dłonie i zręcznie, z praktyką zrodzoną z doświadczenia, związał je za plecami drugim pasem. Zsunął się z grzbietu klaczy, ściągnął dziewczynę za sobą; mimo że kopiała i rzucała się, Rand nie zwracając uwagi na jej wysiłki, wskoczył na swojego wierzchowca, trzymając Josselyn pod silnym ramieniem.

- Dość tego - wysyczał w ucho dziewczynie, sadzając ją przed sobą. - Nic nie osiągniesz, szarpiąc się ze mną. Nie pokonasz mnie.

Cóż za arogancja! Nie mogła krzyczeć - usta miała omotane szmatą, ale mogła i czuła wściekłość. Zdecydowana zadać mu ból, kopiała do tyłu, próbując dosięgnąć Anglika najpierw bezładnie, potem bardziej planowo i z zimną krwią. Poczowała, że jej obuta w skórę pięta uderza go tuż pod kolanem, a siła kopniaka przeszła jej łydkę ostrym

skurczem bólu. Wiedziała przecież, że jego musiało zboleć jeszcze bardziej.

- Przeklęta dziewczucha! Siedź spokojnie, bo przerzucę cię przez grzbiet konia jak wór mąki.

Spróbowała znowu kopnąć, lecz tym razem Anglik uniknął ciosu. Uwięził jej nogę między swoją łydką i bokiem konia.

- Nie pokonasz mnie - powtórzył, lecz tym razem chwycił dziewczynę oburącz i mocno przycisnął do siebie. Szeroka dłoń uciskała jej żołądek, aż wydało jej się, że twarde palce nabierają własnego życia, a każdy z nich staje się osobnym ciemnięzycielem. Nie mogła nic zrobić, całkowicie unieruchomiona, z rękami spętanymi na plecach i rozrzuconymi nogami przyciśniętymi do boków konia. Była zdana na łaskę Anglika.

Objął jej szyję wolną ręką. Długie palce przesunęły się po splątanych włosach, a kciuk pieszczotliwym dotykiem spoczął w zagłębieniu szyi. Josselyn przełknęła ślinę, wiedząc, że Rand czuje jej przerażenie. Wiedziała też, iż jest świadom czego innego: iż znowu narasta w niej odruchowa reakcja na jego męskość.

Na Błogosławioną Dziewicę! Nie powinna tak czuć ani myśleć!

- Tak już lepiej - mruknął, gdy uspokoiła się w jego ramionach.

Urwał w pół zdania, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. Dłoń na jej brzuchu przesunęła się odrobinę; ten niewielki ruch sprawił, że przeszedł ją dreszcz, który porywacz z pewnością wyczuł. Na długą chwilę zastygli oboje. W końcu Rand stłumił jakieś słowa na ustach i spiął konia; wierzchowiec popędził galopem. Za nimi ruszyła reszta

Anglików i związany Bower.

Jechali przez blisko godzinę, wielki koń mógł więc być już zmęczony. Szlachetny wierzchowiec nie okazał jednak ani śladu znużenia i nie potknął się ani razu.

Rand nie przemówił ani słowa w trakcie tej ciągnącej się w nieskończoność jazdy, a Josselyn było to właściwie na rękę. Przestraszona, gniewna i obolała, próbowała uspokoić wzburzone emocje. Wolała nie wdawać się w rozmowy z człowiekiem, który ją uprowadził, dopóki nie odzyska zimnej krwi.

Narastał zmrok, lecz popędzane przez jeźdźców konie nie zwolniły kroku. Josselyn czuła, jak potężne boki zwierzęcia poruszają się pod jej nogami spazmatycznym oddechem. Rand trzymał ją kurczowo udami wciąż przyciskając nogi dziewczyny, ramionami krępując jej ręce. Aż do bólu czuła jego męskie ciało. Co gorsza, skrępowane dłonie tkwiły między jej plecami a podbrzuszem Randa.

Wyjechali wreszcie na płaski odcinek terenu. Konie ruszyły równym galopem w stronę angielskiego obozu. Josselyn poruszyła nadgarstkami, próbując rozprostować zdrętwiałe palce. Zamarła, czując, że dłoń ociera się o coś twardego - i wydłużającego się powoli.

Zacisnęła pięści, jęknęła i pochyliła się do przodu. On był podniecony! Nie dość na tym: świadomość, że jej bliskość obudziła w nim podniecenie, sprawiła, że i w niej zrodziły się podejrzane Uczucia.

- Niefortunna sytuacja, nieprawdaż? - Mruknął Rand, przerywając milczenie. Josselyn czuła, jak manipuluje przy kneblu na jej ustach. Po chwili mogła już przemówić.

- Rzeczywiście niefortunna - syknęła z furją, z trudem

poruszając zeszywniałą szczęką. - Właśnie sprowadziłeś na swój kark i na głowy twoich ludzi gniew Walii.

- Widzę, że nie jesteś obeznana ze sztuką prowadzenia wojen. Dopóki jesteś moim cennym zakładnikiem, dopóty ani mnie, ani moim ludziom nie grożą otwarte napaści. Nie to wszak miałem na myśli. - Przysunął się do niej i Josselyn znowu poczuła pod palcami zeszywniałą męskość. Przy każdym ruchu konia członek Randa wciskał się w jej stulone w bezsilnym oporze palce. - Jaka szkoda, że stoimy po przeciwnych stronach barykady, gdyż byłaby z nas niezrównana para kochanków! Być może zresztą jeszcze do tego dojdzie.

- Nigdy! - Przysięgła. - Prędzej wybiorę śmierć, niż zgodzę się na to!

- Wątpię, czy będziesz zmuszona stanąć przed tak trudną decyzją, moja Josselyn - przemówił Rand z bezbrzeżną satysfakcją w głosie.

Gdyby Josselyn miała wolną dłoń, nie byłaby w stanie powstrzymać się przed wymierzeniem mu siarczystego policzka. Niestety, musiała ograniczyć się do stłumienia wściekłości i próby zmiany tematu.

- Jak długo planujesz trzymać mnie w niewoli?

Usłyszała chichot i poczuła, jak pierś Randa unosi się i opada w niepohamowanej radości. Głową wskazał Bowera.

- Wieczorem puszczę go z wiadomością dla twego stryja i narzeczonego. Ty zaś ... zostaniesz ze mną trochę dłużej.

Josselyn modliła się, żeby nie usłyszała szalonego bicia serca ani nie wyczuł dreszczu podniecenia, który znowu przebiegł jej po krzyżu. Poczuła na całym ciele dziwne mrowienie. Zamierzał ją zatrzymać. Na jak długo - i w jakim celu?

Zanim dotarli do wąskiej ścieżki prowadzącej skrajem urwiska do obozu na Rosecliffe, zapadła ciemność. Josselyn była śmiertelnie zmęczona. Podróż do Afon Bryn, lęk przed nadchodzącym małżeństwem z Owainem - same te przeżycia wystarczyłyby nadszarpnąć jej siły. Porwanie, na które ośmielił się Randulf Fitz Hugh, poruszyło ją w inny sposób. Nie mogła wiecznie siedzieć sztywno w jego objęciach. Trudno było zaprzeczyć, iż ją pociąga, musiała to przyznać przynajmniej przed sobą. Doskonale też zdawała sobie sprawę z ulgi, jaką odczuła na myśl o uwolnieniu ze szponów Owaina.

Co prawda było to przejściowe oddalenie wyroku. Nie mogło być inaczej, skoro porywacz był wrogiem, którego zaprzysięgła wygnać na zawsze z walijskiej ziemi. Z jej ziemi.

Kiedy jednak wreszcie dotarli do wewnętrznej linii wart, kiedy Rand zsuwał się z siodła i, złapawszy ją w pasie, zdejmował z grzbietu wierzchowca, kiedy ją prowadził do solidnie zbudowanego domostwa, mieszczącego stanowisko dowodzenia i jego prywatną kwaterę - jednego była pewna. Ten mężczyzna jej nie skrzywdzi, przynajmniej nie w sposób, w jaki mógł to zrobić Owain. Może trzymać ją w obozie, może stoczyć z mężczyznami z jej rodu walkę na śmierć i życie - ich lub jego. Ale z pewnością rozmyślnie nie uczyni jej krzywdy.

Może ją jednak uwieść.

Przełknęła z trudem ślinę. Być może nie będzie jej musiał brać gwałtem, bo ona nie będzie mu się opierać. W jakiś niepojęty sposób Josselyn zdawała sobie sprawę, że oddając mu się dobrowolnie, ryzykuje, iż dozna cierpienia o wiele

boleśniejszego niż ból, jaki przyniósłby gwałt.

- Zostaniesz tutaj. - Otworzył drzwi umocowane na skórzanych zawiasach i wskazał jej pomieszczenie.

Zatrzymała się na samym progu i zerknęła do środka. Izba była oświetlona ogniem tłącym się na kominku i rzędem pochodni zatkniętych w uchwyty wokół ścian. Ryło tu ciepło i przytulnie, zbyt miło dla wyczerpanej podróżą i chłodem dziewczyny.

- Mam tu zostać ... z tobą? Mamy tu zostać razem, we dwoje? Na twarzy Randa zagościł szeroki uśmiech. Pchnął ją do środka i z rozmachem zamknął za sobą drzwi. Jeszcze zanim zdążyły uderzyć z głuchym łoskotem w futrynę, Josselyn znalazła się po drugiej stronie izby. Zdawała sobie sprawę z daremności wszelkich wysiłków, lecz z całą determinacją przyczaiła się po przeciwnej stronie masywnego stołu i stojącego przy nim zdobionego ornamentami krzesła. Nic prócz sprytu nie mogło jej obronić przed Randulfem Fitz Hugh. Tak się składało, że właśnie on miał osobliwą zdolność mącenia jej zimnej krwi i odbierania rozsądku, szczególnie gdy uśmiechał się w taki sposób, jak to właśnie czynił.

_ Odpręż się, Josselyn, niczego nie musisz się obawiać.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

_ Jak śmiesz mówić coś takiego po tym, jak mnie porwałś, zakneblowałeś, związałeś jak owcę prowadzoną na rzeź! A teraz chciałbyś ...

_ Chciałbym rozwiązać ci pęta - wpadł jej w słowo. - Jeśli, oczywiście, podejdziesz dostatecznie blisko, bym mógł to zrobić.

Josselyn stała nieruchomo, gapiąc się na niego podejrzliwie,

z rezygnacją stracił więc z ramion podszytą skórą kolczugę i odpiął od pasa pochwę krótkiego miecza. Przyciągnął do siebie krzesło, opadł na nie i dał ręką znak, żeby dziewczyna podeszła.

_ Chodź tu, Josselyn. Jeśli chcesz się uwolnić od więzów, musisz okazać choć tyle odwagi, by do mnie podejść.

_ Nie brakuje mi odwagi. Mam jej w nadmiarze, jak wszyscy mieszkańcy Cyruru. Ale mam jeszcze wystarczająco dużo nieufności wobec twoich słów i czynów.

Rand pochylił się i ściągnął ze stopy jeden but, potem drugi.

_ Jak wolisz - skwitował i wyciągnął się wygodnie na obszernym krześle zarzuconym futrami. Josselyn patrzyła czujnie, jak odwiązuje od boku nóż i kładzie go na stole. Sięgnął po ozdobny dzban i nalał sobie kufel piwa. Pociągnął łyk, odstawił naczynie, westchnął z wielkim ukontentowaniem i zaczął jej się przypatrywać z półuśmieszkiem igrającym na wygiętych wargach.

_ Grzanego piwa? A może wolisz wino? - Uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Może jesteś głodna, jak ja.

Josselyn odwróciła wzrok. Nie chciała patrzeć na jego wyrazistą twarz. Nie chciała się domyślać, jaki głód ma na myśli. Niestety, w tej samej chwili zaburczało jej w brzuchu i uznała, że bezcelowe byłoby zaprzeczać. Musiała uwolnić ramiona, a Randulf Fitz Hugh był jedyną osobą, która mogła ją rozwiązać.

Zgrzytnęła zębami i rzuciła mu spojrzenie pełne furii. Potem bez słowa podeszła do niego, odwróciła się plecami i czekała.

Trwało to dla niej wieczność, choć w rzeczywistości upłynęło ledwie kilka sekund. Rand uchwycił jej spętane

nadgarstki jedną dłonią i pociągnął ku sobie tak niespodziewanie, że Josselyn straciła równowagę i przysunęła się zbyt blisko do niego. Z trudem odzyskany spokój ducha prysnął bezpowrotnie.

Silne i zręczne palce Randa nieporadnie manipulowały więzami które zdążyły się zacisnąć w wilgotny supeł.

- Muszę to rozciąć. - Odchylił się, by sięgnąć po nóż. Kolanem musnął jej nogę. Oparł dłoń na jej talii tuż nad wygięciem bioder. Wstrzymała oddech. Odciągnął skrecone płótno czubkiem ostrego jak brzytwa noża i oto była wolna.

Niezupełnie ...

Zanim Josselyn zdążyła umknąć, chwycił ją za rękę. Okręciła się na pięcie, ale Rand okazał się szybszy i silniejszy. Rzucił sztylet na stół i złapał ją za drugą rękę.

- Chcę sprawdzić, czy nie poraniłaś sobie przegubów - wyjaśnił.

- Nic mi nie jest. Puść mnie.

Zignorował jej słowa i podniósł jej rękę przed oczy, by je dokładnie obejrzeć.

- Masz popękana skórę.

- A czego się spodziewałaś? - syknęła.

Spojrzał na nią bez uśmiechu.

- Nie miałem zamiaru zadawać ci bólu, Josselyn, i nadal tego nie chcę. Ale nie mogę cię uwolnić. Musisz to zrozumieć.

W oczach dziewczyny zamigotał gniewny bunt. Sam przyznawał, że ją więzi; powinna więc go nienawidzić. Ale on tak delikatnie masował jej obolałe przeguby opuszkami palców ...

Zmusiła się, by przemówić surowym głosem:

- A ty musisz zrozumieć, że nie mogę dobrowolnie pozostać

twoim więźniem.

- Będiesz więc więźniem wbrew swej woli.

Silne kciuki poruszały się łagodnie po zaczerwienionej skórze, pobudzając krew, by zaczęła znowu krążyć w żyłach. Josselyn stała między nie dbale rozstawionymi nogami swojego wroga, spoglądając się w dół, w ciemne, nieprzeniknione oczy, wpatrujące się w nią roziskrzonym wzrokiem. Gdy ponownie otworzył usta, przeszył ją dreszcz na dźwięk jego niskiego głosu:

- Zastanawiam się tylko, jak bardzo opornym więźniem się w końcu okażesz.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i choć nie padły żadne słowa i nic sobie nie wyjaśnili, coś się pomiędzy nimi zawiązało, Josselyn nadal nie rozumiała, skąd bierze się ich wzajemne przyciąganie. A przecież zrodziła się między nimi więź, która umacniała się z każdym dotknięciem. Z każdym spojrzeniem.

Z każdym spotkaniem.

Serce zaczęło tłuc się w jej piersi jak fala przypiływu uderzająca o skały, jak grzmot rozrywający nieboskłon. Serce waliło, całe ciało dygotało ... wiedziała, że grozi jej niebezpieczeństwo kapitulacji przed wrogiem, którym pragnęła pogardzać.

Josselyn powoli usunęła ręce spod jego palców, a on się nie sprzeciwił. Cofnęła się, nie patrząc za siebie i wpadła na stół, okrążyła go i dopiero znalazłszy się po jego drugiej stronie zdołała oderwać wzrok od magnetycznego spojrzenia Randa.

- Jestem głodna ... - powiedziała. - Chcę jeść - dodała szybko, żeby nie zrozumiał opacznie jej słów.

Rand wstał i podszedł do kredensu; wyjął z niego drugi kufel i bochen chleba owinięty w czystą lnianą szmatkę oraz mały krąg sera w woskowej polewie. Postawił jadło na stole, po czym wbił sztylet w ser.

- Jedz do woli. Potem możesz się przespać. Tu. - Wskazał na łożę stojące w alkowie oddzielonej od reszty pomieszczenia zasłoną.

Odważyła się rzucić mu jeszcze jedno spojrzenie.

- A gdzie ty spędzisz noc?

Jego wzrok przyciągał z nieopisaną mocą.

- Zechciałabyś dzielić ze mną łożę?

Zbita z tropu dziewczyna pokręciła głową i skuliła ramiona.

- Nie.

_ Więc najedz się dobrze. Jedz, by przynajmniej jedno z nas nie cierpiało tej nocy głodu.

Josselyn sięgnęła po nóż. Gdy zacisnęła palce na rękojeści, poczuła przyływ mocy. Trzymała w ręku oręż. Randulf Fitz Hugh był bezbronny, lecz zerkając na niego z ukosa, zdała sobie sprawę, że nie daje jej to przewagi. Nawet gdyby miała w ręku miecz, Rand byłby górą. Wiedziała, że nawet gdyby go obezwładniła, nie zdobyłaby się na to, by zagłębić ostrze w jego piersi. Gdyby walczyła o życie swoje lub ziomków, to co innego. Lecz nie mogłaby zranić człowieka, który oferuje jej jadło i oddaje własne łożę, by mogła się wygodnie wyspać. Będzie niestrudzona w próbach ucieczki i z pewnością w końcu jej się to powiedzie. Lecz nie zrobi tego, podcinając mu gardło jego własnym nożem.

Zatrwożona przekorą własnego rozumowania - ostatecznie ten człowiek był jej wrogiem! - odkroiła pokaźny kawałek sera i grubą pajdę chleba. Spoglądając na Randa znacząco

zwięzonymi źrenicami, wystudiowanym gestem zatknęła nóż ponownie w kręgu sera, nalała sobie piwa i odeszła ze swą wieczerzą w odległy kąt izby.

Wygłodniała, jadła szybko, I lecz mimo to zapamiętała ten posiłek jako najgorszy w życiu. Po chwili zmieniła zdanie. Równie źle będzie wspominała śniadanie u boku Owaina. Jeśliby wszakże miała wybierać, wolała pożywiać się przy jednym stole z Randulfem Fitz Hugh niż z Owainem ap Madokiem. Powinno być inaczej, ale nie potrafiła się oszukiwać.

Nie oznaczało to bynajmniej, że chciałyby pozostawać w tej godnej pożałowania sytuacji. W jednej sekundzie wybrałyby ucieczkę. W jej położeniu angielski lord przedstawiał jednak mniejsze zło.

Wysuszyła kubek do dna. Kiedy jadła, Rand nie odzywał się ani słowem; sam nie sięgnął po pożywienie. Teraz dopiero nalał sobie do kufla drugą porcję napitku i rozsiadł się wygodnie, nie spuszczać oczu z dziewczyny. Uparte spojrzenie potęgowało jej rozdrażnienie. W końcu nie wytrzymała.

- Cóż teraz? Nie wyjaśnisz mi, czemu zdecydowałeś się mnie porwać? Jeśli nie zamierzasz mi nic powiedzieć, oświadczam ci, że jestem znużona dzisiejszymi wydarzeniami i wolę udać się na spoczynek niż sterczeć jak kołek, na który gapisz się bez słowa.

- Powiedz, czemu zataiłaś przede mną, kim naprawdę jesteś.

- Niczego nie tajałam. Nazywam się Josselyn ap Carreg Du.

- Jesteś bratanicą Clyde'a. Jego jedyną spadkobierczynią. Tego mi nie powiedziałaś.

- Nie tajałam tej informacji. Zdecydowałam się po prostu nie

ujawniać ci jej, a miałam ku temu ważne powody. Lękałam się tego, co właśnie uczyniłeś. Najwidoczniej słusznie byłam więc przezorna. Niestety, nie dość przezorna - dodała z goryczą.

Jakby na dany znak, ktoś wybrał akurat ten moment, by zapukać w drzwi, odwracając uwagę jej rozmówcy.

- Musimy załatwić pewną sprawę - oznajmił Rand.

Na jego przyzwalający okrzyk drzwi otworzyły się i do izby wkroczył wciąż spętany Bower. Za jego plecami stało dwóch Anglików, Osborne i Alan. Josselyn bez zastanowienia poderwała się i podbiegła do swego krajana. Alan chciał jej zagrozić drogę, lecz Rand dał ręką znak, żeby go powstrzymać.

- Przepuść ją.

- Czy nic ci nie jest? - szepnęła po walijsku.

- Nie, dziewczyno. Lecz co z tobą? - zapytał Bower, mierząc ją niespokojnym spojrzeniem. - On nie ... - Nie dokończył zdania, lecz Josselyn wiedziała, co ma na myśli.

- Nie, nie zrobił tego - odrzekła cichutko. Zapłonila się, spuściła oczy na więzy na jego nadgarstkach i cierpliwie starała się je rozplątać. Wreszcie spojrzała na sztylet zatknięty w osełce sera i przerzuciła wzrok na Randa.

Po namyśle skinął głową, odpowiadając na niemą prośbę w jej oczach.

Po chwili Bower stał wolny. Gdy chciał chwycić ostrze, Josselyn odsunęła nóż.

- Nic by to nie dało - wyjaśniła, wbijając sztylet w stół. □ A więc, czy teraz wyjaśnisz, jaki szalony plan uknułeś i jaką mam zagrać w nim rolę? - zwróciła się do Randa.

Rozdział dziesiąty

Rand patrzył za Walińczykiem, dopóki ten nie zniknął w ciemnościach nocy. Teraz już za późno, by odwrócić bieg wydarzeń spalił za sobą oto wszystkie mosty. Zastanawiał się, czy nie popełnił kolosalnego błędu, czy jego ocena ludzi, z którymi miał do czynienia, nie jest całkowicie fałszywa. Czy śmiały uczynek powstrzyma Walińczyków przed zaatakowaniem Rosecliffe? Czy też wprost przeciwnie - zjednoczy ich siły przeciw angielskim oddziałom?

Przetarł twarz dłonią, próbując zmusić się do racjonalnego myślenia. Clyde ap Llewelyn nie narazi bratanicy na niebezpieczeństwo. Tego Rand był pewien. Ale gdzie się podziewał stary Walińczyk? Czemu nie przybył tu do tej pory ani jego posłaniec, ani on sam we własnej osobie, by oburzonym tonem żądać zwrotu zakładniczki? Czemu to on, Rand, wysyłał człowieka z wiadomością do walijskiej wioski, a nie odwrotnie? Czyżby ten człek nie dbał ani trochę o życie krewniaczki?

Być może nie była w ogóle jego krewną!

- Niech to piekło pochłonie - zaklął Rand wpatrując się w pociemniałe niebo. A może Josselyn była po prostu przynętą, nie prawdziwą bratanicą, lecz szpiegiem, 1J.łoże to wybieg zaplanowany, by go zwieść?

Czemuż by Walińczycy mieli uciec się do takich wyszukanych sztuczek?

- Wieczne potępienie! - Nie był człowiekiem nawykłym do powątpiewania we własne czyny. Ciężko znosił podobne

rozterki. Cóż za diabelski układ: ta przeklęta dziewczyna, która teraz śpi zwinięta w kłębek w jego łożu, doprowadza go do szału.

Pragnął jej, choć dobrze wiedział, że nie wolno mu jej tknąć. Był właściwie pewien, że Josselyn jest bratanicą Clyde'a, lecz obawiał się - wbrew rozsądkowi - że znowu zdołała go zwieść.

Zdusił jęk rozdrażnienia i rozpacz i z marsmem na czole spojrzął w kierunku masywnej budowli, w której czekała. Przy drzwiach stał strażnik. Z nowiutkiego komina snuła się smużka dymu. W szczelinach zasłon okiennych widział blady blask ognia. Wewnątrz było zapewne ciepło i przytulnie.

A więc jej było ciepło...

Odwrócił się, tłumiąc na ustach przekleństwo, i popatrzył w dół stoku. W mroźnym powietrzu unosiły się i rozplływały obłoczki pary jego oddechu. W słabym blasku księżyca dostrzegał zarysy wewnętrznych murów i zewnętrznych fortyfikacji, których fundamenty położył niedawno sir Lovell. Praca przy wewnętrznych murach posuwała się wyraźnie, lecz nie dość szybko. Wzrost napięcia, jakiego można było się spodziewać między nim a sąsiadami, spowodował konieczność zmiany planów: trzeba porzucić prace przy zewnętrznych obwarowaniach i skoncentrować się na murach samej twierdzy, które powinny osiągnąć poziom ponad wzrost wysokiego mężczyzny. Dopiero wtedy będzie mógł zwrócić Josselyn jej rodzinie.

I Owainowi.

Skrzywił się. Na święte relikwie, sama myśl o tamtym i jego czekającym na Josselyn łożu przyprawiała go o szaleństwo.

- Wola ludzka to dziwne stworzenie. Człowiek sam czasami nie bardzo ją zna

Dłoń Randa spoczęła na rękojeści sztyletu. Zaraz jednak rozpoznał przygarbiony cień sylwetki, która wyłoniła się z ciemności. Niech piekło pochłonie Newlina!

- Czy mówisz o sobie, czy mnie osądzasz? - spytał nieuprzejmie.

- Nie do mnie należy osądzanie innych. Bóg dał nam wolną wolę, byśmy mogli postępować zgodnie z naszym życzeniem. Nie zawsze jest powiedziane, że nasze czyny są zgodne i z Jego życzeniem... - Starzec zamilkł, wzruszając zdrowym ramieniem.

Rand nie był w nastroju na rozwiązywanie zagadek. Nie tej nocy. - Gdzie jest teraz Clyde? Jeśli Josselyn jest rzeczywiście jego bratanicą, czemu nie przybył do mnie żądać jej uwolnienia?

Myślał już, że stary bard nie udzieli mu wyjaśnień. Wreszcie Newlin zachichotał.

- Josselyn. Jest jego bratanicą, ani się obejrzysz, gdy tu przybędzie. Rozważ jednak: kobieta, za przyczyną której może rozpętać się wojna, może stać się przyczyną, dla której zapanuje pokój. Chciałbym z nią pomówić, jeśli się zgodzisz - dodał nieoczekiwane.

Nie czekając na odpowiedź, Newlin ruszył w stronę strzeżonego budynku, Rand podążył więc w jego ślady, potrząsając głową. Przez tę kobietę zaczyna wątpić we własne zdolności rozumowania. A przecież ich nie utracił. Zaprzysiągł w duszy, że już nigdy nie pozwoli, by ta dziewczyna wpływała na niego w ten sposób.

Powziąwszy to postanowienie, ponownie dokonał oceny

sytuacji.

Ufał Newlinowi - do pewnego stopnia. Josselyn nie ufał w ogóle, choć wierzył, że reakcja jej ciała na jego męskość nie jest udawana. Mimo to nie powinien zapominać, że namiętność jest dla niej czymś nowym, a głębokie uczucia do tych ziem i zamieszkującego je ludu stanowią od chwili narodzin nieodłączną część jej natury. Stać ją na wszystko w dążeniu do ucieczki i ślubu z Owainem.

- Newlin! - Josselyn zachłysnęła się na widok barda. W pełni ubrana, leżała na łożu Randa. Dojrzała sylwetkę Anglika za plecami barda i ulga zniknęła z jej twarzy, a pojawił się na niej wyraz podejrzliwości. Zsunęła się z łoża. - Czy nie mogę liczyć nawet na odrobinę prywatności? Czy już nie wolno mi rozmówić się na osobności z przyjacielem?

- Bądź wdzięczna, że w ogóle pozwalam ci się z nim zobaczyć. - Odparł Rand. - Jesteś tu więźniem, a nie gościem. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, już by nie żył. Gdyby tylko miała teraz pod ręką sztylet, którym przy wieczerzy kroїła ser. Rand nie wątpił, że rzuciłaby się na niego z furją dzikiej kocicy. Musiała wszakże poprzestać na morderczym błysku oczu, w którym można była łatwo wyczytać jej pragnienie: rozedrzeć wroga na strzępy i rozrzucić krwawe szczątki po kamiennej posadzce.

Odpowiedział obojętnym uśmiechem, usadowił się w swoim krześle i skinął dłonią.

- Proszę, masz oto gościa; możesz z nim jednak konwersować wyłącznie po angielsku, w przeciwnym bowiem razie będę zmuszony wyprosić go za drzwi. Nie krępujcie się. Godzina już późna, a ja jestem bardzo znudzony. Miałem męczący dzień - dodał, uśmiechając się

jeszcze szerzej.

Josselyn obróciła się do niego tyłem, lecz z wyprostowanych sztywno pleców wyczytał gniew. Do Newlina przemówiła wszakże opanowanym głosem, starannie wymawiając każde słowo.

- Czy mój stryj wie, gdzie jestem?

Bard kuśtykał tymczasem po całej izbie, przypatrując się architekturze pomieszczenia, przesuwając dłonią po grubo ociosanej powierzchni ścian, wciągając zapach świeżo heblowanego drzewa ościeżyn i framug okiennych.

- Toż to angielski dąb. Przywiozłeś go ze sobą, panie? □
zwrócił się do Randa.

- Jeśli już muszę budować zamek tutaj, w krainie kamienia, zdecydowałem przynajmniej zaopatrzyć się w Anglii w najprzedniejszy gatunek drewna.

- Jeśli musisz budować tutaj, panie? - wtrąciła Josselyn. □
Czyż nie było twoim pragnieniem budować ten zamek? Czyż nie dlatego tu przybyłeś, by objąć we władanie ziemię nadane ci w majestacie angielskiego prawa?

Początkowo nie zamierzał wyjawiać niechęci, z jaką przybył do Walii, lecz, przypatrując się dziewczynie, doszedł do wniosku, że w niczym mu nie zaszkodzi, jeśli będzie znała prawdę. Być może tak będzie najlepiej.

- Przysłał mnie tutaj król Henryk. Kiedy już zabezpieczę jego panowanie na tych ziemiach, to znaczy kiedy wzniosę zamek i doprowadzę do przymierza, by wasi i moi ludzie żyli po sąsiedzku, będę mógł powrócić do Londynu.

- Nie zamierzasz więc pozostać tu na całe życie.

- Nie. - Rand był pewien odpowiedzi, lecz już nie tak pewien swoich uczuć w tej sprawie. Niewątpliwie Josselyn ap

Carreg Du była zachwycona wiadomością, że Rand kiedyś opuści jej krainę. Nie rozumiała wszakże chyba, iż jego wyjazd nie oznacza odejścia Anglików. Przecież gdy przyjdzie czas, pośle po swego młodszego brata, który zajmie jego miejsce. Nawet Jasper potrafi utrzymać pokój w tej górskiej krainie, gdy Randulf zakończy wznoszenie murów zamku Rosecliffe.

Wtem wpadła mu do głowy nieoczekiwana myśl, logiczna, lecz dziwnie mało pociągająca. Mógłby wszak zaaranżować małżeństwo między Jasperem i Josselyn!

Wiele przemawiało za takim mariażem. Dopomógłby w utrzymaniu upragnionego pokoju. Tych dwoje najpewniej spodobałoby się sobie. Jasper nie był przesadnie wybredny w kwestii kobiet... w gruncie rzeczy wtykał ptaszka w każdą znaną dziuplę, zdecydowany powetować sobie lata wymuszonego celibatu, gdy przygotowywał się do zrobienia kariery w Kościele. Josselyn zaś miała naturę dostatecznie namiętą, by znaleźć satysfakcję we współżyciu z Jasperem. Większość kobiet łąsiła się do tego nieopierzonego młokosa, jakby był co najmniej wcieleniem Boga na ziemi.

Tak, byłby to praktyczny związek; czemu wcześniej nie wpadł na ten pomysł? Sama jednak myśl o tym sprawiła, że Randa przeszły ciarki. Spojrzał na Josselyn z nagłą złością - na nią, na Jaspera, na króla, który postawił go w tej nader głupiej sytuacji.

- Dalejże, chcieliście wszak porozmawiać? Wizyta nie może trwać wiecznie! - rozkazał. - Jak widzisz, bardziej, dziewczyna jest cała i zdrowa. Jeżeli będzie posłuszna, nikt jej nie skrzywdzi.

- Posłuszna? Ciekawam, co też możesz próbować mi rozkazać - odparowała Josselyn drwiąco, po czym zwróciła się do Newlina: - Trzyma mnie pod kluczem w swej prywatnej kwaterze. Czy mogę być tu naprawdę bezpieczna? Stryj nigdy się na to nie zgodzi - syknęła jadowitym głosem, zerkając na Anglika.

- Nie będzie miał wyboru - odparował Rand. - Powiedz, Newlinie. Czyż Clyde nie zorientował się już, że jego bratanica zniknęła? Czemu nie przysłał do mnie? A może to ty jesteś jego posłańcem? - Nie mogę mówić w jego imieniu, gdyż jeszcze nie wrócił do wioski.

- Nie wrócił? - Josselyn okręciła się na pięcie, by spojrzeć Randowi prosto w oczy. - Co z nim zrobiłeś?

- Ja? Ależ nic...

- Wykradłeś mnie spod opieki rodziny, a przy tej okazji zlikwidowałeś co najmniej dwóch ludzi z mojej eskorty. Och, Newlinie - ponownie zwróciła się do barda, chwytając go za rękę. - Powiedz, że stryjowi nic się nie stało. Że nikt nie zginął!

Newlin ujął obie jej dłonie.

- Żaden Cymry nie pożegnał się dziś z życiem.

- Więc gdzie jest stryj?

Rand stał pośrodku izby ze zmarszczonym czołem. Nagle wszystko zrozumiał.

- Twój stryj sądzi, że to Owain cię porwał! Powrócił z pewnością do Afon Bryn.

Josselyn otworzyła usta, chcąc zaprzeczyć gorąco temu idiotycznemu przypuszczeniu, lecz natychmiast zacisnęła wargi. Patrzyła na Randa nieprzyjaźnie, lecz widział, że dziewczyna stopniowo uznaje słusność jego słów.

Henryk dał mu wskazówkę dotyczącą natury Walińczyków: to kłótniwy naród, powiedział, zawsze skaczą sobie do gardeł. Rand nie spodziewał się wszakże, iż sojusz między rodziną Lloydów i ludem z Carreg Du będzie tak nietrwały, że strony prędzej rzucą podejrzenie zbrodni na siebie nawzajem, niż dopuszczą możliwość, że to nieprzyjaciel zawinił. Wyszczrzył zęby, napawając się ironią sytuacji.

- Mam rację, czyż nie? Powiedz, Newlinie! Przyznajże, Josselyn! - W jego głosie dźwięczała nuta satysfakcji. Zaśmiał się, gdyż bawiły go kamienne miny i zacięte milczenie dziewczyny i barda. - Zostawię was teraz samych. Możesz mu powiedzieć, co zechcesz, Josselyn. Niczego to nie zmieni. Jesteś zakładniczką. Już wysłałem wiadomość do Clyde'a, lecz Newlin może zanieść mu potwierdzenie. Dopóki nie zagrozi moim ludziom, włos ci z głowy nie spadnie.

Karzeł utkwiał zdrowe oko w Josselyn, po chwili zaś przeniósł wzrok na Anglika.

- Powiem Clyde'owi to, co sam zobaczę i usłyszę. Spyta na pewno, jak się miewa jego bratanica, i to mu powiem. Spyta o twe prawdziwe intencje, panie - starzec zawiesił na chwilę głosi o nich mu opowiem.

Rand odpowiedział mu uważnym spojrzeniem.

- A cóż takiego myślisz o moich prawdziwych intencjach? Za barda odpowiedziała Josselyn.

- Pragniesz władzy nad nami. Chcesz nas przymusić, byśmy żyli wedle waszych nikczemnych angielskich zwyczajów. Nienawidzisz naszej ziemi i tęsknisz do dnia, w którym ją opuścisz. Wyprostowała się; oczy w świetle pochodni rzucały złe błyski. Podniosła głowę w aureoli

rozwichrzonych włosów i wyzywająco oparła ręce na biodrach.

Nie spodobałoby się jej życie w Londynie. Niespodziewana myśl przedarła się z głębin podświadomości na powierzchnię umysłu Randa, boleśnie go raniąc. Kochała swobodę, jak dzikie, nieposkromione zwierzę. Miała namiętą naturę nieznoszącą ograniczeń. Była nieodrodną córką puszczańskiej głuszy, w której wyrosła. Dla pana na Rosecliffe będzie żoną wprost idealną, lecz w dusznym Londynie byłaby jak ptak zamknięty w klatce. Owszem, złapał ją w sidła, lecz nigdy nie zdoła jej posiadać ani zakosztować rozkoszy związku z nią. Ta myśl sprawiła mu ból.

Tłumiąc przekleństwo, próbował odegnąć od siebie absurdalne rojenia. Oczekiwał od niej niegdyś rozkoszy jedynie cielesnej natury; i teraz jeszcze nie pożegnał się całkowicie z nadzieją spełnienia tej zachcianki. Chyba że się zdecyduje wydać ją za Jaspera...

Tym razem nie mógł się powstrzymać od głośnego przekleństwa.

- Rozmówcie się szybko - szorstko zwrócił się do Newlina. □ Pora już późna, a ja nie lubię spać na gołej ziemi. Ostrzegam, dziewczyno. Nie przywódź mnie do ostateczności, bo pożałuję swej dobroci, w której ofiarowałem ci wygodę mojej własnej kwatery.

Zły na Josselyn, Newlina, a najbardziej na siebie, wyszedł z izby i zatrzasnął za sobą drzwi z siłą, która miała zmanifestować władzę, lecz było w niej, niestety, więcej dziecinnej obrazy.

W ciszy, która zapanowała w komnacie po burzliwym

odejściu gospodarza, Josselyn osłabła, zapadła się w sobie jak żagiel pozbawiony zniecka wiatru. Osunęła się na łożo, podnosząc na barda oczy pełne smutku.

- Och, Newlinie. Cóż mam począć?

- Nie wydaje mi się, by miała ci się stać krzywda, dziecko.

- Owszem, nie zakuł mnie w kajdany i nie próbuje zamorzyć mnie na śmierć głodem czy pragnieniem, ale to nie znaczy, że mnie nie skrzywdzi - szepnęła.

Niedeformowaną stronę twarzy Newlina rozświetlił typowy dla niego uśmiech pełen słodyczy.

- Prędzej odciąłby sobie dłoń, niż pozwoliłby zadać ci ból czy wyrządzić krzywdę.

Josselyn wykrzywiła się w grymasie goryczy.

- Mylnie go bierzesz za człowieka honoru.

- Widzę to, co widzę.

- Widzisz więcej niż reszta z nas. - Dziewczyna wstała i podeszła do barda. - Powiedz mi, co mam robić, jak uciec, jak najlepiej pomóc mojemu ludowi.

- Jeżeli uciekniesz, wybuchnie wojna. Czy to pomoże twemu ludowi?

- Mój lud jest również twoim ludem. A mój lud chce wolności.

Przez długi czas Newlin zachowywał milczenie. Wreszcie poruszył się, jakby wrócił z dalekiej podróży do krainy, do której tylko on jeden znał drogę.

- Głazy zaczęły rosnać.

- Co?

- Tutaj. Dokoła nas. - Zatoczył krąg uschniętym ramieniem.

- Mury, które wznosi Anglik? Czy te mury masz na myśli? - zapytała Josselyn, a serce ścisnęło się nagle w jej piersi. - Czy

o to chodzi w przepowiedni?

- Gdy głązy zaczną rosnać, a drzewa przestaną.

Josselyn skoczyła na równe nogi, przejęta strachem, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła.

- Musimy więc zwalić mury, zanim zdążą urosnąć. Muszę uciec, Newlinie! Czy nie możesz mi pomóc? - błagała. - Proszę!

Starzec poklepał dłoń dziewczyny. To był jedyny gest pociechy, jaki jej ofiarował.

- Słuchaj i ucz się, dziecko. Porozmawiam z twym stryjem, gdy wróci do wioski. Zobaczymy, co przyniesie los. Nie kłopotz się sprawami, na które nie masz wpływu.

- A co ze sprawami, na które mam wpływ? Tymi muszę się kłopotać.

- Słuchaj i ucz się - powtórzył. - I nie lękaj się.

Nie lękaj się.

Gdy bard opuścił izbę, Josselyn ciężko usiadła na posadzce, objęła ramionami skulone kolana i wsłuchiwała się w echo ostatnich słów starca. Nie..Lękaj się... Jakże mogła się nie lękać?

Podniosła głowę i rozejrzała się. Przebywała w więzieniu □ solidnie zbudowanym, dobrze umocnionym. I przytulnym. Niedawno zadaszone mury nie były co prawda jeszcze otynkowane ani pokryte farbami, gołe ściany niepokryte miłymi dla oka futrami czy gobelinami straszyły szarością, wewnątrz brakowało zdobnego wykończenia; na pierwszy rzut oka nie było więc tego, co czyni pomieszczenia mieszkalne miłsze oku. A przecież komnata uderzała harmonią proporcji i robiła wrażenie jasnej dzięki wysokiemu sklepieniu i smukłej bryle komina. Miłe dla oka

czy nie, wciąż jednak było to więzienie.

Obiegła je wzrokiem, szukając jakiegoś słabego miejsca, drogi ucieczki. Wicher zastukał okiennicą, usiłując wedrzeć się do

środka, tak jak Josselyn usiłowała wydostać się na zewnątrz.

Podniosła się i podeszła do okna.

Było zamknięte na zewnętrzną zasuwę.

Gorzko rozczarowana, załomotała w twarde drewno, nie czując bólu ranionych pięści.

Mochyn ofnadwy! Odrażający wieprz!

- Idź spać - rozległ się za okiennicą przyciszony głos. Josselyn odskoczyła, jakby ukąsił ją wąż. Wściekłym spojrzeniem usiłowała przewiercić deski, wyobrażając sobie za nimi zarozumiałe uśmiechniętą twarz Randulfa Fitz Hugh.

- Cil lwfr. - Plunęła.

- Hmm. Cil znaczy "pies". Zaryzykuję: jestem czymś w rodzaju nędznego kundla. Zgadłem?

- Mochyn! Gardzę tobą, tchórze. Jesteś zgniłym wężem. Sarffy. - Piers Josselyn wznosiła się i opadała z nadmiaru emocji. W tej chwili dziewczyna nie pragnęła nic ponad to, by zabić Randulfa Fitz Hugh własnymi rękami.

Okiennica zaskrzypiała.

- Pragnę cię. Fi dymuno ti.

Josselyn zachłysnęła się i odskoczyła od okna. Gniew, zmieszanie, przerażenie ogarnęły ją, aż serce załomotało bolesnym rytmem, grożąc, iż wyskoczy z piersi.

- Słuchaj! Ja... ja cię nie pragnę. Ja cię nienawidzę. Jesteś dla mnie... odrażający.

- Sprawdźmy może szczerść twoich słów? - Rand

potrzęsnał okiennicą.

Nie było odpowiedzi, więc potrząsnał nią jeszcze raz. Na moce piekieł! Pożądał tej porywczej dziewczyny ponad ludzką wytrzymałość! Czuł napęczniałą męskość nawet teraz, gdy stał pod oknem, za którym tkwiła samotnie, zdana na jego łaskę. W jego własnej kwaterze! Pociągnął kilka potężnych łyków wina z bukłaka.

- Czy coś się stało, moja Josselyn? Cóż, zabrakło ci tym razem gotowej odpowiedzi? - Oparł się ramieniem o ścianę z kamienia i rozpostarł palce na okiennicy. Gdyby chciał wtargnąć do środka, wystarczyłoby oderwać naprędcę przymocowany skobel. Przypomniałby jej o tym, jak łatwo skapitulowała wtedy w górskiej dolince - z pewnością zabrakłoby jej języka w gębie! A skoro wciąż jest dziewicą...

Jęknął, gdy lędźwi a boleśnie zapulsowały krwią. Czemu żadna kobieta na angielskim dworze nie wywołała u niego podobnej reakcji? Nawet mała DeLisle, którą zamierzał poślubić, nie budziła w nim podobnej żądzy. A tu ta walijska dziewczucha...

- Hej, tam! Wygnany z własnej kwatery, biedak! - rozległ się za jego plecami rozbawiony głos.

Rand odskoczył od ściany, złorzecząc sobie pod nosem za głupotę i klnąc Osborne' a, który go podejrzwał. Za plecami dowódcy straży dojrzał cień drugiego mężczyzny. To Alan. Obaj mieli tęgo w czubie; świętowali sukces dzisiejszej akcji.

- Wygląda mi na to, że dziewczwoja chwyciła go za jaja i trzyma mocno, co, mój Alanie? - Odezwał się Osborne.

Jego towarzysz uśmiechnął się szeroko. Na co dzień nie odważał się na zbytnią poufałość w stosunku do swego suzerena, lecz rozbawienie Osbome' a wzmocniło efekt

dobrego wina i rezerwa wasala zniknęła.

- Rączki ma małe i delikatne. A przecież mocne...

- Dość mocne, by utrzymać Randulfa Fitz Hugh przy nodze?

- naciskał Osbome.

- Powiadam: weź ją i ulżyj sobie - oznajmił Alan i głośno beknął.

- Dostyc tego! - przerwał mu rozjuszony Rand. Rubaszne żarty ze swego pana to już wystarczająca hańba; ale wygłaszać je tak, że Josselyn mogła podsłuchać - nic gorszego nie mogłoby się zdarzyć.

Nie udało mu się wszakże zastraszyć Osborne'a, choć dowódca straży pilnował się, by nie znaleźć się w zasięgu ciosu Randa.

- Czy propozycja naszego młodzieniaszka nie przypada ci do gustu, panie? - spytał. - Mnie się natomiast wydaje, że dokładnie weń trafia. Czemu nie miałbyś sobie pofolgować? Chyba że lękasz się odmowy...

- Nie odmówiłaby mi. - Rand odwrócił się twarzą do swych prześladowców. - Nie odmówi, jeśli do niej pójde. Ale mam dla niej inne plany.

- Inne? A jakież to? - Osborne zaśmiał się.

- Jasper.

Nie powinien był im zdradzać świeżo powziętego postanowienia.

Trudno, stało się, nie może odwołać raz wypowiedzianych słów. Imię brata rozbrzmiało w ciemności nocy i zapadło w ich umysły jak hasło, którego nie da się odwołać.

- Jasper? - Alan zachwiał się na nogach i ponownie beknął. Dajesz tę dziką kocicę w prezencie swemu bratu? Czemu to on miałby... - Urwał, gdyż Osbome wymierzył mu sójkę w

bok.

- Cóż ma z tym wspólnego Jasper? - spytał dowódca straży. Już nie kpił, głos miał poważny i zatroskany.

- Chcesz powiedzieć, że oddałbyś tę Walijkę Jasperowi za żonę?

Rand zacisnął pięści. Plan był pozornie doskonały, lecz jakaś część Randa wzdragała się przed jego realizacją.

Zaniepokojony brakiem odpowiedzi Osborne podszedł bliżej i zajrzał z zatroskaną ciekawością swemu panu w oczy.

- Plan jest mądry. Zaiste, lepszego być nie może.

- W tej chwili nie dostrzegam jego mądrości - mruknął Rand. Pragną jej, o tym wiedzieli wszyscy. Lecz gdyby miała rzeczywiście zostać pewnego dnia żoną Jaspera... - Czeluści piekielne! Usiłował za wszelką cenę stłumić nierozsądną żądzę. Małżeństwo Josselyn i Jaspera rozwiązałyby niejedyn problem. Rand nie miał zamiaru zaprzepaścić politycznej sposobności dla kobiety. Raz już popełnił ten błąd, związując się z Marianne. Nie powtórzy go. Chuć mógł zaspokoić z inną kobietą. Z pierwszą lepszą.

Starając się przywołać na twarz wyraz determinacji, spojrzął w oczy staremu przyjacielowi.

- Jasper niewiele potrafi poza chędożeniem. Nie powiodło mu się jako słudze Kościoła. Dwór Henryka nie jest dla niego sposobnością do zrobienia kariery politycznej, lecz tylko królewskim burdelem. Jedyne talenty tego chłopaka to obłapki. Powinien więc z łatwością ujarzmić tę... kocicę.

Osborne długo milczał, rozważając słowa Randa.

- Czy Jasper się zgodzi?

Młodszy brat lorda Randulfa Fitz Hugh prosił bardzo

wylewnie o pozwolenie na udział w wyprawie i tłumieniu oporu buntowniczych Walińczyków. Rand odmówił ongiś tej prośbie. Mógł teraz ponowić ofertę, okraszoną dodatkowym przysmakiem - kobietą.

- Zgodzi się - mruknął.

- Chcesz więc po niego posłać?

Rand przechylił bukłak i pociągnął potężny łyk.

- Zaraz rankiem przygotuję list.

Niechętny do dalszych zwierzeń, odwrócił się i odszedł. Osborne patrzył za nim, niespecjalnie zadowolony, choć planom przyjaciela pozornie nic nie można było zarzucić.

- Oddaje bratu kobietę, której pragnie.

Alan wziął uwagę dowódcy straży za zaproszenie do dalszej dyskusji.

- Jak wiesz, nie planuje zostać tu na zawsze. Po co na dworze w Londynie walijska żona?

Osborne nie odpowiedział ani słowem.

Tymczasem Josselyn odsunęła się od okiennic swojego więzienia i ciężko oparła o chłodny kamienny mur. Osborne nie odpowiedział swojemu rozmówcy, bo nie było potrzeby roztrząsać tej tak prostej sprawy ani chwili dłużej. Randulf Fitz Hugh nie miałby powodu poślubiać Walijski, ale może ją rzucić w objęcia brata, człowieka imieniem Jasper, który niewiele potrafi poza lataniem za kobietami.

Bezlitośnie zdusiła szloch, który rozsadzał jej gardło. Oto popychają ją od jednego wstrętnego jej małżeństwa do następnego. Okrutny Walińczyk. Rozwiążły Anglik. Tymczasem ten jedyny mężczyzna, którego mogłaby przyjąć z radością, nie zniżyłby się do tego, by rozważyć...

Nie! - skarciła się w myślach. Nigdy nie powinna myśleć o

małżeństwie z kimś takim, jak Randulf Fitz Hugh. Nawet gdyby ją błagał na klęczkach. Był jej wrogiem. I zawsze nim pozostanie.

Musi uciec, powtórzyła po raz tysięczny, rozglądając się bezradnie. Nie podda się żalosnemu losowi, jaki gotuje jej Rand. Być może uda jej się zaproszyć ogień, jeśli sięgnie świecą pod dach. Gdy wbiegną, by ją wyprowadzić, może uda jej się zbiec w zamieszaniu?

Westchnęła i zamiast dalej rozważać podpalenie, spojrzała na łożo w alkowie. Znużona ponad ludzką wytrzymałość, wyczerpana huśtawką uczuć, odłożyła ucieczkę na następny dzień. Jutro na pewno obmyśli lepszy sposób.

Jutro pomiesza szyki obmierzłemu Randowi, pokrzyżuje jego diabelskie plany. Dzisiaj będzie spać.

Rozdział jedenasty

Noc nie przyniosła Josselyn spodziewanego wypoczynku, gdyż dręczyły ją sny o kamiennych pędach wyłaniających się z ziemi, o głazach rosnących dokoła przez cały dzień, czy spoczywała, czy posilała się, czy spała. Śniło jej się, że skały otaczają ją kręgiem, z którego nie potrafi się uwolnić. Z nocnych koszmarów wyrwał ją wreszcie okrzyk wartownika strzegącego izby, któremu towarzyszyło brutalne walenie w drzwi.

- Wstań, panno Josselyn. Przybył z wizytą twój stryj. Zeskoczyła z łoża i potykając się w ciemnościach komnaty, podbiegła do drzwi.

- Przyjdzie tu więc?

- Ano tak. - Rozpoznała głos Alana. - Zadbaj o swą urodę, panienko. Masz tam dzbanek wody na poranną toaletę i kubeł dla innych potrzeb.

Innych potrzeb - co za ohyda! Mężczyźni to prawdziwe wieprze!

Szarpnęła zasuniętym skoblem.

- Otwórz mi!

Usłyszała śmiech.

- Co takiego? Mam ryzykować, .. że mi urwą głowę? Nic z tego, panienko. Lord zarezerwował przywilej odryglowania tych drzwi dla siebie. Dalejże, panno. Przygotuj się, umyj i ogarnij, gdyż twoi goście wkrótce tu będą.

Josselyn przemyśla twarz i ramiona, wypłukała usta - zajęła się toaletą właściwie tylko dlatego, że nie mogła usiedzieć spokojnie. Znalazła kościany grzebień, lecz nie zdecydowała się go użyć. Wystarczało hańby noclegu w łóżu Anglika; nie będzie pogarszała swej niedoli, używając jego osobistych przyborów toaletowych, jakby łączyła ich intymna bliskość, do której nigdy między nimi nie dojdzie. Nigdy - zaprzysięgła uroczyście.

Przeczesała więc potargane włosy ręką, po czym drżącymi z niecierpliwości palcami zaplatała warkocze i rozplatała je ponownie, nie mogąc znieść udręki oczekiwania. Przez cały czas natężyła uszy, pragnąc wychwycić odgłos zbliżających się kroków.

Doszedł ją daleki pomruk rozmowy prowadzonej gniewnymi męskimi głosami, debaty przeplatanej groźbami, które wygłaszano od czasu do czasu podniesionym tonem.

Dzięki Bogu, były to tylko głosy, a nie szczęk oręża.

Izba nadal tonęła w ciemności, której mroki słabo

rozpraszało światełko ogarka pozostałego z poprzedniego wieczoru. Jeszcze daleko było do świtu. Po jakimś czasie Josselyn zaalarmowały nowe odgłosy; wartownik strzegący drzwi podniósł się z ławy, a jednocześnie posłyszała znajomy odgłos ciężkich butów. Nadchodził Rand!

Rozległ się szczeł podnoszonego rygla i drzwi otworzyły się szeroko. Ze zdziwieniem ujrzała w nich sylwetkę Osborne'a. Jego oświetlone płomykiem latarni oczy rzuciły Josselyn spojrzenie, w którym wyczytała szczere zdziwienie.

- Twój stryj chce cię ujrzeć, by się upewnić, że nie stała ci się krzywda.

- Czy wolno mi będzie z nim porozmawiać? - zapytała chłodnym tonem.

- Nie sądzę. Rzecz jasna możesz spróbować poprosić lorda Fitz Hugh, on chyba chętnie spełnia twoje zachcianki.

Osborne chwycił dziewczynę za ramię i prowadził przez obóz, cały czas patrząc sztywno przed siebie, tak że Josselyn nie mogła rozszyfrować wyrazu jego twarzy, który - być może - pozwoliłby jej zrozumieć znaczenie zagadkowych słów. Czy dowódca straży radził jej w ten sposób, by była miłsza dla Randa? By go uwiodła?

Nie, to przypuszczenie było bez sensu. Czemu Osborne miałby ją do tego zachęcać?

Nie miała czasu, by zastanowić się głębiej nad brakiem konsekwencji w zachowaniu tego mężczyzny, gdyż ujrzała dwie grupy odzianych i uzbrojonych jak do potyczki mężczyzn, stojące naprzeciw siebie po dwóch stronach zagłębienia stanowiącego załazek fundamentów fortyfikacji. Reszta żołnierzy z angielskiego oddziału stała w luźnym szyku wzdłuż wygiętej linii przyszlých murów obronnych,

tworząc tyralierę najeżoną obnażonymi mieczami, toporami i pikami. Zarówno żołnierze, jak i kamieniarze mieli zacięte twarze, gotowi do walki na śmierć o ten maleńki kawałek Walii, do którego rościli sobie prawo.

W porównaniu z nimi oddział wuja nie wyglądał zbyt groźnie □ kilkunastu mężczyzn, mniej nawet niż tego pierwszego dnia, gdy Walijszczyki pojawili się na rozmowę w angielskim obozie.

Josselyn nie pojmowała, czemu stryj nie demonstruje wyraźniej pełni swoich sił. Powinna się tu zjawić cała armia mężczyzn z wioski, by przeciwstawić się żołnierzom wystawionym przez Randulfa Fitz Hugh. Nie chodziło jej o to, by wdali się w potyczkę ... właściwie byłaby to ostatnia rzecz na ziemi, której by pragnęła.

- Twój stryj musi być niezwykle mądrym człowiekiem - skomentował Osborne, gdy zatrzymali się o dobre dwadzieścia kroków od murów. Podniosła wzrok i ujrzała, że się uśmiecha. - Jasno daje do zrozumienia, że przyszedł porozmawiać, a nie walczyć. Widocznie jesteś dla niego bardzo ważna.

Josselyn wpatrywała się w ciemności w stryja. Wyglądał na zmęczony. W ciągu jednej nocy postarzał się o kilka lat. Wystarczająco trudne były dla niego rokowania z Owainem i jego ojcem, a teraz musiał stawić czoło jeszcze gorszemu wyzwaniu. Nigdy nie planował, że zostanie głową rodu, lecz po śmierci brata musiał przejąć jego obowiązki i odpowiedzialność. Był zawsze zwolennikiem polityki pokojowych kroków, czasami wywołując tym rozdrażnienie i budząc sprzeciw bardziej porywczych ziomków. Musiał jednocześnie pełnić rolę ojca wobec gniewnej i zagubionej

dziewczynki, jaką była Josselyn po utracie rodziców.

Objęła starzejącego się stryja spojrzeniem pełnym serdeczności, do której nieczęsto się przyznawała. Oto widzi dobrego i mądrego człowieka schwytanego w pułapkę straszliwego dylematu: cokolwiek postanowi, nie będzie dobre. Każda decyzja niosła obietnicę powodzenia i groźbę nieszczęścia. Josselyn rozumiała rozterkę stryja i postanowiła zrobić wszystko, by mu ułatwić każde działanie, jakie zechce podjąć.

Podniosła rękę w geście pozdrowienia; odpowiedział skinieniem głowy. Ruszył w jej stronę, lecz Rand stanął mu na drodze. Na widok swego ciemieźcy Josselyn wciągnęła raptownie oddech, na wpół z lęku o stryja, na wpół poruszona innymi - mroczniejszymi - emocjami. Angielski lord był taki wysoki, szeroki w ramionach! Mógłby poważnie zranić stryja czy innego wojownika, który stawiałby mu czoło. Ją też mógł skrzywdzić, gdyby miał taki kaprys. Mimo to Josselyn czuła, że gdy obiecywał nie zrobić jej nic złego, mówił to z głębi szczerego serca.

W myślach postłyszala echo rozbawionej uwagi Osborne'a: " ... on chyba chętnie spełnia twoje zachcianki". Czyżby tak było rzeczywiście?

Spojrzała z ukosa na twarz dowódcy straży.

- Nie chcę, by ktokolwiek wdawał się z mojego powodu w walkę.

- Na pokój może być za późno, moja droga - rzucił Osborne, nie odrywając oczu od dwóch mężczyzn stojących w kręgu światła pochodni.

Josselyn złapała go za ramię.

- Nie, źle mnie zrozumiałeś. Zgadzam się pozostać wśród

was jako zakładniczka pokoju. Musisz przekazać moje słowa stryjowi albo pozwól mi, bym mu to sama powiedziała.

Osborne odwrócił głowę i badawczo przyjrzał się dziewczynie.

- Jakież może być powód tej nagłej uległości? Z tego, co opowiada o tobie Rand, można raczej wnioskować, iż jesteś prawdziwą jędzą, dziką Walijką. A oto przemawiasz łagodnie jak owieczka.

- Owieczka, jędza, czyż to nie wszystko jedno! Musisz przekazać mojemu stryjowi, że zgadzam się na sytuację, w jakiej się znalazłam ... choćby była mi nieprzyjemna - dodała Josselyn, jeżąc się cała na widok rozbawienia w oczach Anglika.

Osborne roześmiał się, lecz dał znak Alanowi.

- Pilnuj tej tu dziewczeczki uważnie, bo jest sprytna jak lis. Ja tymczasem zaniosę jej przesłanie.

W zimnym świetle chwiejnego płomienia pochodni Rand zmierzył się oczami z kamiennym spojrzeniem Clyde'a.

- Dopóty, dopóki utrzymacie pokój ze mną, nie stanie jej się żadna krzywda.

- Mam uwierzyć w twoje słowo - odparował Clyde tonem szyderstwa. - Słowo złodziejskiego Anglika?

Rand zeszywniał, słysząc obelgę, lecz nie dał się sprowokować.

Jego przeciwnik miał pełne prawo do gniewu. Skoro Rand oczekiwał od niego, iż powstrzyma się od zbrojnej odpowiedzi na porwanie krewnej, powinien sam również zdobyć się na opanowanie w obliczu zniewagi.

- Będzie traktowana, jak przysługuje damie.

- Jeśli masz nadzieję utrzymać w ten sposób trwały pokój, to

jesteś zaiste głupcem. Ona jest zaręczona z Owainem ap Madokiem, który nie ścierpi tej hańby. A za nim pójdzie reszta mężczyzn jego rodu. Przyłączą się do mnie w oporze przeciw tobie.

- Narazając ją na niebezpieczeństwo? - Rand potrząsnął głową - Jest tu bezpieczna dopóty, dopóki panuje pokój. Jeśli jednak zbierzesz siły, by wystąpić przeciw mnie, stracisz ją, a zapewniam cię, iż w bitwie też poniesiesz klęskę. - Urwał i zwrócił się do podchodzącego Osborne'a. - Co się dzieje? - zapytał zniżonym głosem.

- Panią Josselyn prosi o przekazanie wiadomości stryjowi. Rand zmarszczył czoło. Osborne powinien wiedzieć, że w takiej chwili nie należy przerywać układów. Lecz oczy dowódcy straży spoglądały na niego niewzruszone, więc napięcie Randa uspokoiło się.

- Cóż takiego, człowieku? Co masz nam do przekazania? - spytał Clyde. Walijski tłumacz zdążył już przekazać mu słowa Osborne'a.

Dowódca straży z szacunkiem obrócił się ku Clyde'owi.

- Panna Josselyn prosiła mnie, bym powiedział ci, panie, iż zgadza się dobrowolnie pozostać tu jako zakładnik pokoju. Nie życzy sobie, by ktokolwiek utracił życie - dodał.

Rand poczuł głęboką satysfakcję. Mądra dziewczyna, lojalna w stosunku do swych ludzi! Obserwował twarz Clyde'a, wsłuchanego w słowa tłumacza. Czoło starszego mężczyzny przecięły zmarszczki, posłał spojrzenie w kierunku Josselyn. Rand powściągnął odruch, który nakazywał mu odwrócić się i pobiec oczami za wzrokiem Walijszyka, ku Josselyn. Skoncentrował uwagę na zachowaniu Clyde'a. Gdy ten ponownie przeniósł na niego wzrok, Rand wiedział, że w tej

potyczce odniósł zwycięstwo.

Walijczyk patrzył na niego milcząco przez długą chwilę, po czym przemówił:

- Będą mi potrzebne dodatkowe poręczenia. Josselyn musi dostać kobietę do towarzystwa. Nie przystoi, by młoda dziewczyna przebywała samotnie w obozie pełnym mężczyzn.

Teraz z kolei Rand zmarszczył czoło. Kobieta do towarzystwa? Przyzwoitka? Tego nie przewidział. Z drugiej strony miało to sens, zwłaszcza jeśli naprawdę zamierzał wydać Josselyn za Jaspera. Bezlitośnie stłumił samolubne pragnienie, by samemu posiąść dziewczynę. Na pierwszym miejscu stawiał polityczne wymogi sytuacji. Jeśli w tym punkcie nie zgodzi się na ustępstwo wobec żądań Clyde'a, Walijczyk nie będzie miał powodu, by mu zaufać, że dotrzyma reszty układu. Tymczasem Rand pośle po Jaspera i zastanowi się, czy jego plan ma szanse powodzenia.

- Kobieta do towarzystwa to pomysł godny uwagi, choć wątpię, czy którakolwiek z Walijek zechce zamieszkać między nami, a nie zamierzam pozwolić twoim ludziom na wędrówki po moim obozie. Proponuję kompromis: zezwolę na okazjonalne wizyty Newlina.

Clyde nachmurzył się.

~ To nie to samo co mieć przy boku stałą towarzyszkę.

- Musi jednak starczyć. Bardowi jestem w stanie zaufać, a tuszę, iż ten człek cieszy się również zaufaniem twoim i Josselyn. Albo on, albo nikt inny.

Clyde wpatrywał się w Anglika, zastanawiając się intensywnie. - Dobrze więc. Ale to tymczasowe rozwiązanie - zastrzegł.

- Niczego nie pragnę z wyjątkiem pokoju - zapewnił go Rand.

- W końcu będziesz musiał nam ją oddać.

- Gdy mury będą miały wystarczającą wysokość, by zapewnić mojej załodze ochronę, odeślę ją do wioski nietkniętą.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Clyde ap Llewelyn, choć już w podeszłym wieku, był mężem bez lęku. Pomimo wrodzonej waleczności miał pokojową naturę, która wzdragała się na myśl o wojnie. Rand nie miał jednak pewności, jak nowy rozwój wydarzeń przyjmie Owain ap Madoc.

- Powiedz mi coś o tym człowieku, z którym zaręczyłeś Josselyn.

Clyde wzruszył ramionami.

- Jest mniej ode mnie skłonny do zgody.

- Czyżby nie obchodziło go bezpieczeństwo narzeczonej? Ach, rozumiem, to związek o charakterze politycznej ugody

- Rand nie czekał na odpowiedź; udzielił jej sobie sam. - Jeśli nie dostanie jej za żonę, być może nie zechce użyczyć ci swoich oddziałów do walki ze mną.

Oczy Clyde'a zabłyśły.

- Masz w rękach kobietę, do której Owain rości sobie słuszne prawo - rzekł. - Nie puści tego płazem, bądź pewien.

- Będziesz więc miał trudne zadanie, by go okiełznać.

Jeśli potrafisz - dodał Rand w myśli. Jakaś część jego natury pragnęła ujrzeć na własne oczy mężczyznę, za którego miała wyjść Josselyn, zmierzyć się z nim i na jej oczach powalić go na ziemię. Pragnął zwyciężyć tego, któremu obiecała małżeńską wierność, pragnął ujrzeć, jak błyszczą jej oczy na

widok jego, Randa, zwycięstwa. Jak wyciąga ku niemu ramiona ...

Nie! Zgrzytnął zębami, by odgonić sprzed oczu natrętny obraz przewrotnej wyobraźni. Nie miał zamiaru walczyć z Owainem ani Madokiem o kobietę. Mógł bić się o ziemię, ale nigdy o dziewczynę.

Rzucił Clyde'owi groźne spojrzenie.

- Cóż więc, starcze? Proponuję ci pokój, lecz jestem w zupełności gotów wywalczyć go siłą i wymusić swoją wolę orężem, jeśli nie będę miał innego wyjścia.

Tłumacz, muskularny, acz niewysoki Walińczyk, najwyraźniej zawrzał nienawiścią na buńczuczne słowa Randa, lecz Clyde był bardziej powściągliwy.

- Przyślę Newlina, by ją odwiedzał. Nasze rozmowy nie są jednak skończone, Angliku. Twój współplemieńcy nachodzili już niegdyś te ziemie, lecz nie udało im się zapuścić korzeni. I tym razem będzie tak samo.

Z pewnością nie tym razem - przysiągł Rand w myślach, patrząc w ślad za odchodzącym Walińczykiem. Wyprostował plecy i wysoko podniósł głowę. Przybył, aby wznieść warownię, która stanie się ogniwem w łańcuchu twierdz strzegących angielskiej władzy w tej buntowniczej części królestwa. On sam nie planuje pozostać tu do śmierci, lecz Jasper i jego spadkobiercy uczynią z tej krainy swoją ojczyznę.

Obejrzał się na Josselyn, która spoglądała za odchodzącym stryjem. Dziewczyna, jak gdyby czując spojrzenie Randa, zwróciła się do niego twarzą. Znowu poczuł napływ żądy szukającej natychmiastowego zaspokojenia. Josselyn wyglądała jak nieposkromiona istota zrodzona z łona

walijskiej nocy, zjawa o zaróżowionej od chłodu twarzą i wijących się wokół skroni włosach. Alan trzymał ją krzepko za ramię, lecz dziewczyna najwyraźniej nie zwracała na to uwagi.

Patrzyła na Randa, który nie po raz pierwszy zastanawiał się, co myśli jego piękna przeciwniczka. Głos zdrowego rozsądku podpowiadał, by się trzymał od niej z daleka, lecz zlekceważył jego podszepty.

- Możesz odejść - zwrócił się do Alana, a ten natychmiast puścił ramię Josselyn. Lecz zamiast odwrócić się i odejść, uśmiechnięty bezczelnie młokos cofnął się o kilka kroków i nie spuszczał wzroku ze swego pana i Walijski. Osborne, który stał nieopodal, zachowywał się podobnie.

Rand rzucił im mordercze spojrzenie.

- Dobrej nocy, panowie.

Jego kompani mrugnęli porozumiewawczo i wtopili się w ciemność, którą na wschodzie rozpraszały już pierwsze oznaki świtu. Rand zaczekał, aż znikną w oddali, i dopiero wtedy zwrócił się do Josselyn.

Dziewczyna wciąż patrzyła w kierunku, w którym odszedł jej stryj, w stronę rodzinnej wioski. Wyglądała jak waleczna, lecz krucha istota, jak trzcina na brzegu rzeki, która gnie się pod uderzeniem wichury, a mimo to z nadejściem kolejnego dnia prostuje się na nowo.

Powściągnął pragnienie, by ją wziąć w objęcia.

- Miałaś dobre wyczucie czasu ze swoim przesłaniem. Przyszło w najtrudniejszym momencie i rozładowało napięcie.

- Nie zrobiłam tego dla ciebie.

- Nie miałem tej nadziei ... Popatrz no na mnie, ty uparta

dziewczyno!

Josselyn powoli odwróciła się do niego twarzą.

- Jak długo potrwa budowa murów?

- Chcesz wiedzieć, jak długo będziesz musiała cierpieć nasze towarzystwo? Przypominam ci, Josselyn, że to ty pierwsza narzuciłaś mi swoją obecność. Szukałaś zatrudnienia w obozie i je znalazłaś. Jeśli wtedy nie dułaś się urażona moją obecnością, nie widzę powodu, dla którego teraz miałyby być inaczej.

Jej oczy zabłyśły pasją.

- Wtedy miałam nadzieję dowiedzieć się czegoś o wrogu, który pod pozorem pokojowej wyprawy najechał moje ziemie, i dlatego do ciebie przyszłam. Nie próbuj nadać temu pozorów czegoś więcej.

- Ach, Josselyn, ale było w tym coś więcej - odpowiedział, urażony łatwością, z jaką zbyła początki ich znajomości. - Razem się śmialiśmy, zapomniałaś już? Pocałowałaś mnie. - Zniżył głos do gardłowego szeptu. - Nie pamiętasz, jak drżałaś w moich ramionach?

W odpowiedzi ruszyła sztywno w stronę swojej nowej kwatery, lecz Rand uwięził jej rękę w mocnym uścisku.

- Czyżbyś chciała zaprzeczyć? Drżałaś z namiętności, gdy cię obejmowałem. Mogę spróbować jeszcze raz i zobaczysz, że znowu zadrżysz z pożądania!

- Jesteś więc bardziej nikczemny, niż sądziłam. Wzięłybyś siłą? Najpierw wzięłybyś mnie gwałtem, by za chwilę rzucić mnie w objęcia brata, za którego chcesz mnie wydać?

Puścił ją tak gwałtownie, że niemal upadła. A więc słyszała. Jakże chętnie zaprzeczyłby, wyparł się tych zamiarów - ale nie mógł tego uczynić.

- To tylko jedna z wielu możliwości - odezwał się po chwili. Nie powziąłem jeszcze ostatecznej decyzji.

- Ty nie powziąłeś ostatecznej decyzji? Ty! A co z moim prawem do decydowania o własnym losie? Szansa, że zgodzę się poślubić twego brata, jest dokładnie taka sama, jak to, że mnie namówisz, bym wzięła za męża psa! Poza tym przysięgam ci: nie będzie zachwycony perspektywą ożenku z jędzą, a przekonasz się wkrótce, że nią jestem.

Rand poczuł przyływ niezrozumiałej wesołości. Jakżeby się ucieszył, widząc, jak rozjuszona Josselyn odrzuca zaloty braciszka! Temu zarozumialcowi bardzo by się przydało kilka kopniaków. Ale nawet gdyby odrzucała awanse chłopaka, w przypadku gdyby on, Rand, uznał taki związek za korzystny z punktu widzenia polityki, wyjdzie za Jaspera. W tym zaś nie widział już nic wesołego.

- Nie omieszkałam go ostrzec - mruknął pod nosem.

- Nie wyjdę za niego - przysięgła. - Nie, i już - dodała, po czym odwróciła się i umknęła.

Rand nie zatrzymywał dziewczyny, lecz za nią podążył. Była szybka, ale wiedział, że potrafi ją dogonić, gdyby naprawdę próbowała uciec. Josselyn nie zamierzała wszakże opuścić obozu; dobiegła do izby, w której spędziła noc, ale zanim zdążyła się odwrócić, by zatrzaskać za sobą drzwi, Rand oparł się o nie i wtargnął do środka.

Zadyszana stała w chybotliwym świetle świecy i wyglądała piękniej niż kiedykolwiek dotychczas. Cokolwiek robiła - czy się uśmiechała, czy była zagniewana, czy ignorowała jego obecność - potrafiła wzburzyć krew w żyłach Randa jak żadna inna.

Czy zdobędzie się na to, by oddać ją bratu, gdy przyjdzie

odpowiednia chwila?

Patrząc na nią w tej chwili, nie sądził, iż będzie go na to stać.

- Wyjdź - zażądała.

- To moja kwatera.

- Więc z rozkoszą zostawię cię w niej i pójdę sobie.

- Chciałbym, żebyś tu została.

Mężczyzna rzeczywiście panujący nad sytuacją sformułowałby to inaczej. Nie prosiłby, lecz rozkazał jej zostać. Lękał się, że prośba była przyznaniem się do słabości, ale ujrzawszy zmieszanie w jej pięknych oczach zorientował się, że w jakiś niepojęty sposób udało mu się skruszyć mur obcości, który wzniosła między nimi po przybyciu do obozu.

Zamknął drzwi. Głuchy dźwięk zapadki rygła zdawał się odgradzać ich od świata poza ścianami izby, jakby znaleźli się na wyspie, na której poza nimi nie ma nikogo. Pozostawili za sobą jej stryja. Jego brata. Nawet króla Anglii i wszystkie powody, dla których Rand przybył do tej dzikiej krainy.

- Co czynisz? - przemówiła tonem zdecydowanie miększym, niż do tej pory.

_ Jutro przyjdzie z wizytą Newlin, ale dziś jesteśmy tu sami.

- Ja ... my ... nie powinniśmy przebywać razem sami. Stryj będzie wściekły.

_ Tak, bez wątpienia. Lecz mnie obchodzi jedynie, czy ty będziesz wściekła?

_ To nie ma sensu! - Wycofała się za stół. - Zachowujesz się dziwnie. Najpierw się do mnie zalecasz, potem mnie odrzucasz, bo się okazało, że jestem nietknięta. Po czym mnie porywasz, robisz ze mnie zakładniczkę i w końcu

oświadczasz, że muszę poślubić twego brata ... A przy tym przychodzisz tu i próbujesz ...

Jej głos ucichł, lecz Rand dokończył za nią. - Próbuję znowu się do ciebie zalecać.

_ Wciąż jeszcze jestem dziewicą. Kiedyś to cię zniechęciło. Tuszę, iż stanie się tak i tym razem.

_ Nie. - Odpiął pas z mieczem i odłożył oręż na bok.

- Nie chcę tego. Będziesz musiał wziąć mnie siłą.

_ Nie, nie będę. - Strząsnął z siebie kolczugę i rzucił ją na stojący w kącie kufer.

_ To będzie gwałt, bo nigdy nie wyrażę zgody. Nie będę ci powolna. Zgwałcisz mnie więc po tym, jak obiecałeś memu stryjowi, że będę tu bezpieczna? Zgwałcisz kobietę, którą chcesz oddać bratu' za żonę?

Słyszał w jej głosie nutę przerażenia, widział lęk w rozbieganych na wszystkie strony oczach. Lęk. .. i nienawiść. Ufał wprawdzie, że zdoła rozwiać strach dziewczyny, lecz wiedział, że z nienawiścią nie ma żadnych szans.

Rand z ociąganiem i najwyższą niechęcią postanowił zmienić taktykę. Poirytowany, rzucił się na krzesło, podniósł obutą stopę i położył ją z rozmachem na stole.

- Nie będę się z tobą spierał. W tej chwili przynajmniej. Mimo to nadal wyrażam ochotę pozostania w tej tak wygodnej kwaterze, którą dopiero niedawno oddano mi do użytku.

- Wobec tego ja ją opuszczę.

- Niestety, to jest najsolidniejsza budowla w całym obozie, a zatem najlepiej przystosowana do tego, by pełnić funkcję więzienia dla zakładnika. Zdaje się, iż będziemy zmuszeni zamieszkać tu razem.

- Nie.

- Nie musimy dzielić łoża, chyba że byłoby to po twojej myśli. - Jak jest po mojej, dodał w duszy.

Odmówiła zdecydowanym potrząśnięciem głowy.

- Nie ufam ci.

- Ja ci też nie ufam. Lecz myślę, że jakoś damy sobie radę. Podejdz i pomóż mi zzuć buty, bym mógł wykorzystać tę resztę nocy, jaka mi pozostała. Na sen - dodał, widząc, jak zwężają się źrenice Josselyn.

- Chyba żartujesz sobie, panie! Nie mam najmniejszego zamiaru oferować ci moich usług. Jesteś wrogiem, odmawiam ci jakiegokolwiek uprzejmości. Sam więc zadbaj o swoją wygodę, gdyż ja nie ...

Aż podskoczyła, gdy rąbnął pięścią w stół, niemal przewracając świecę w lichtarzu i cynowy dzban.

- Bądź wdzięczna, że daję ci jakiś wybór! - krzyknął, rozjuszony jej oporem. - Jesteś tutaj więźniem, nie gościem, więc musisz pracować na swoje utrzymanie. Usługiwać mi w łożu ... albo wszędzie poza łożem. Wybieraj, ale się pospiesz, bo inaczej zrobię to za ciebie. Oboje zaś, zdaje się, wiemy, jaki byłby mój wybór.

Nie miała wyboru, wiedział o tym równie dobrze jak i ona.

Obserwował jej uroczą twarz z mozaiką przesuwających się po niej uczuć. Emocje walczyły ze zdrowym rozsądkiem i opanowaniem. Nie wątpił, że w tej chwili dziewczyna go nienawidzi z całą siłą swego jestestwa, lecz z wielkim zainteresowaniem przyglądał się, jak narzuca emocji kontrolę umysłu. Ileż to razy sam toczył taką samą wewnętrzną bitwę z porywami temperamentu w swych poczynaniach z królem i najpotężniejszymi z jego baronów?

Wiele zyskiwał dzięki umiejętności opanowania uczuć i poddania ich wyrachowaniu logiki. Nie spotkał jednak do tej pory kobiety, która miałaby tę samą praktyczną cechę przezorności.

Cóż za szkoda, że nie jest Angielką. Odwaga i spryt czyniły z niej wymarzoną żonę dla ambitnego lorda.

Lecz nie była Angielką.

Zacisnął zęby i zdusił własne emocje w żelaznej pięści logicznego wyrachowania.

- Decyduj się. Zaczyna mnie nużyć ta zabawa w kotka i myszkę. W oczach Josselyn mignęła wściekłość. Opanowanie gniewu kosztowało ją sporo siły; rzucała spojrzenie to na twarz swego wroga, to na jego skórzane buty i znowu na twarz.

- Jakiego rodzaju usługi masz na myśli? Dogłądanie twojej kwatery i twoich rzeczy?

- I mojej osoby - dodał przewrotnie, rozkoszując się widokiem jej nagle pociemniałych oczu.

- Może potrafisz wyrazić się ściślej - syknęła jadowitym głosem.

- Ależ naturalnie. Będziesz mi pomagać ubierać się przy porannej toalecie. I rozdziewać wieczorem. - Ponownie kiwnął obutą stopą. - Możesz zacząć od razu, zzuwając te buty.

Ach, jakże słodki smak ma zwycięstwo - pomyślał, widząc, jak po trwającej w nieskończoność zwłóce Josselyn rusza wreszcie ku niemu. Właściwie powinien być rozczarowany. Bardziej pragnąłby jej w łóżu niż przy szorowaniu podłogi i porządkach. Ale w poczet jej obowiązków wchodziła też osobista posługa, będzie go rozdziewać i ubierać, a to był

krok we właściwym kierunku.

Josselyn zmeła w ustach walijskie przekleństwo, którego nie rozumiał, choć był przekonany, że nie jest dla niego pochlebne. - Zamierzam też kontynuować lekcje Cymraeg - oświadczył, gdy sięgnęła po zabłocony but.

- Czy możesz ufać, że nauczę cię prawidłowego znaczenia słów? Skąd będziesz wiedział, że nie oszukam cię w tym względzie?

- Być może tego spróbujesz. Lecz z biegiem czasu twój gniew zelżeje, moja Josselyn, a wraz z nim opór i bunt. A teraz dosyć tego pojedynku na siłę woli. Pomóż mi zdjąć ubranie i prześpijmy się trochę. Niedługo już świt, a wraz z nowym dniem nadejdą nowe obowiązki.

Josselyn w duszy przyznawała mu rację. Wiedziała, że nic nie skorzysta na dalszym stawianiu oporu. Dał jej wybór w sprawie łoża i musiała się tym zadowolić - na razie. Niedawno przecież zmusiła się do zgody na małżeństwo z Owainem, a służba przy osobie Randulfa Fitz Hugh nie była ani w połowie tak odpychającą perspektywą, jak wejście do łożnicy małżeńskiej okrutnego Owaina.

Przez chwilę pozwoliła sobie na przekorne zaciekawienie. Jak by to było kochać się z Randem ?

Na pewno nie byłoby to odpychające, przyznała w duchu, lecz zaraz skarciła się za tę nieprzystojną, zdradziecką myśl. Będzie mu usługiwać tak, jak tego zażądał, lecz w żadnym razie nie ulegnie jego męskim powabom. Jeżeli zaś. miał nadzieję uwieść ją dzięki ciągłej, wymuszonej bliskości, jeszcze niewiele wiedział o walijskiej dumie. Josselyn będzie słuchać i się uczyć, a gdy znajdzie sposób, ucieknie. Nie wyląduje naga w łóżu Anglika, gnąc się pod ciężarem jego

twardych żołnierskich mięśni ...

- Gwrtaiath - zakląła ponownie. Potem chwyciła cholewkę buta i zaczęła ciągnąć.

Ściągnięcie butów okazało się niezbyt trudnym zadaniem, trudniej przyszło jej zdjąć pończochy, ciepłe jeszcze od jego ciała. W dodatku teraz jej oczom ukazały się te części jego ciała, których jeszcze nie widziała: białe szerokie stopy, mocno związane kostki, muskularne łydki porośnięte ciemnymi włoskami.

Był czystszy niż większość mężczyzn. Zmarszczyła nos, z wahaniem wciągając powietrze. Nie wyczuła żadnego odoru. To były intymne szczegóły, których nie miała chęci poznawać bliżej.

- A teraz koszula - powiedział, pochylając się z wyciągniętymi do przodu ramionami.

Josselyn zachnęła się i skoczyła na równe nogi. On jednak nie miał zamiaru jej chwycić, wysuwał tylko w jej stronę koronkowe mankiety zasnurowane u nadgarstków.

Zaśmiał się na widok jej konfuzji.

- Wiem, że angielska bielizna nie przypomina odzienia twojego ludu, lecz z pewnością poradysz sobie z tymi prostymi sznurowaniami.

Josselyn powiedziała sobie stanowczo, że wytrzyma i to. Udało jej się. Bez słowa rozwiązała sznurowania, potem szorstko ściągnęła luźną szatę przez barki i głowę mężczyzny.

- Rano to upiorę - mruknęła, odwracając wzrok od obnażonego torsu. Niestety płócienna koszula była jeszcze cieplejsza niż pończochy i zmieszanie dziewczyny dorównało prawie temu, w jakie z pewnością wprowadziłby ją

widok piersi Anglika.

- A moje spodnie? Związane na supeł...

_ Doskonale umiesz sobie z nim poradzić. - Cofnęła się, rzucając koszulę w kąt.

- Doskonale mogę sobie poradzić z wszystkimi częściami garderoby, to nie podlega wątpliwości. Lecz skoro wzdragasz się przed zaspokojeniem moich potrzeb innej natury, musisz zadowolić mnie w tym przynajmniej względnie. Pomóż mi zdjąć spodnie.

Rand czekał, patrząc, podniecony jej bliskością, rozdrażniony udręką, w jaką wprawiała go samym swoim istnieniem. Pragnął jej, lecz brać ją, gdy mogła mu się lepiej przysłużyć poślubiona Jasperowi, byłoby niemądrym posunięciem. Całe to rozumowanie nie osłabiło wszakże siły jego żądz. Wyrafinowana rozgrywka, jaką prowadził wobec dziewczyny, wprawiała go w rozdrażnienie, lecz nie potrafił się z niej wycofać.

Josselyn też czuła rosnącą irytację. Był mężczyzną jak tylu innych, a przecież nie przypominał jej żadnego z tych, których znała. Bower dorównywał mu wzrostem, Owain muskulaturą. Oczy Dulasa jaśniały czystszy błękitem, a Dryw miał bardziej czarujące maniery. Tamci byli w dodatku Walijszykami, podczas gdy tu miała do czynienia z Anglikiem. Lecz tylko ten umiał rozbudzić jej zmysły. Przy żadnym z nich nie czuła dreszczyków podniecenia przebiegających po skórze i nie traciła oddechu. Żaden nie miał na nią takiego wpływu. Tego nienawidziła, a mimo to umiał ją wzruszyć w sposób, którego nie pojmowała.

Nie znaczyło to wszakże, iż pozwoli mu się zwyciężyć. Uniosła wyzywająco podbródek.

_ Doskonale. - Zaciskając zęby, podeszła blisko Anglika, odwracając wzrok od nagiego torsu i barków. Wstał, gdy zaczęła manipulować przy zasupłanych tuż pod kolanami węzłach. Cała rozgorzała gorączką, jaką promieniowało jego ciało.

Udało jej się nareszcie rozwiązać jeden supeł, skupiła uwagę na drugim. Już go rozluźniła, lecz zanim zdążyła się cofnąć, poczuła dłoń Randa we włosach.

- Josselyn.

Spojrzała do góry, i to był jej błąd. Ujrzała w całej okazałości imponującą wzrostem sylwetkę, lędźwie i biodra, szeroką muskularną pierś, wreszcie jej oczy napotkały gorejące źrenice Anglika. Poglaskał jej policzek. Przez chwilę, która zdawała się trwać wiecznie, dziewczyna tkwiła w pułapce jego dotyku, spętana czarem męskich wdzięków, których siłę wzmagala świadomość, że stanowią zakazany owoc. Wiedziała, że Rand jest podniecony. Zdradliwa wypukłość w kroczu z pewnością nie była fałdą materiału!

Niestety, Josselyn sama czuła silne podniecenie - chyba tak można było określić nieznane jej dotąd emocje. Serce biło jak szalone, ledwie mogła oddychać, a każdy cal jej ciała zdawał się płonąć nieugaszonym ogniem.

- Josselyn - powtórzył i gdyby nie angielski zaśpiew w sposobie, jakim wypowiadał jej imię, byłaby zgubiona. Lecz angielska wymowa stanowiła sygnał, który przywołał ją z powrotem do rzeczywistości.

Z okrzykiem zgrozy cofnęła się.

- Skończyłam. Czy to ci wystarczy? Teraz daj mi spokój. Zostaw mnie!

Nie śmiała na niego spojrzeć, obawiała się własnej słabości i

modliła żarliwie, by miał już dosyć tortur, jakim ją poddał. Dopiero gdy zabarykadowała się w swoim kąciku, otulona kocem i okryta swoją wierzchnią szatą, pozwoliła sobie na przelotne zerknięcie w jego stronę.

Stał odwrócony, lecz widok sprężystych pleców był nie mniej podniecający niż obnażony tors. Na szczęście była nadzieja, że przynajmniej tej nocy nie będzie już jej niepokoił. Słyszała jego chrapliwy oddech, patrzyła, jak ściąga spodnie.

Powinna była odwrócić wzrok, lecz nie mogła się zmusić.

Wymowna wypukłość pod opaską na biodra wydawała się ogromna.

- Widzisz, co mi robisz.

Spojrzał dziewczynie prosto w oczy, lecz tym razem na jego twarzy zabrakło rozbawienia. Josselyn widziała w niej tylko szczerość, a to działało na nią bardziej niż cokolwiek innego. Dotknął podbrzusza i jęknął tak zmysłowo, że poczuła prawdziwy pożar zmysłów.

Potem zdmuchnął świecę. U słyszała skrzypienie sznurów materaca, gdy kładł się do swojego łóżka.

. .. co mi robisz. Echo jego ostatnich słów wciąż rozbrzmiewało w ciemnościach izby. Ona mu to robiła? Czy to znaczyło, że wiedział, co on jej robi? Stłumiła jęk i niespokojnie poruszyła się w swoim kąciku.

_ Jeśli zmienisz zdanie, wystarczy tu i dla ciebie miejsca.- Słowa Anglika rozległy się w nabrzmiałej znaczeniem ciszy.

_ Nie zmienię zdania - przysięgła Josselyn chrapliwym głosem.

- Mogłabyś.

Nie będzie pojedynkować się z nim na słówka - postanowiła

w duszy. Poza tym obawiała się kusić los kłamstwem, gdyż wiedziała, jaka jest prawda - przewrotna, zepsuta strona jej natury pragnęła skorzystać z zaproszenia do jego łoża. Jej lęk pogłębiała świadomość, że w miarę upływu czasu i przy dostatecznie silnej prowokacji może ulec pokusie.

Słodka Panienko Maryjo! Musiała stąd uciec, zanim do tego dojdzie!

Rozdział dwunasty

Owain ap Madoc wjechał do wioski jak zbrojny rabuś przybywający, by łupić i mordować. Psy rozbiegały się na boki z podkulonymi ogonami. Kobiety chwyciły dzieci i kryły się w domach. Zaskoczeni mężowie w popłochu chwyтали za broń.

Gdyby Owain rzeczywiście miał zbrodnicze zamiary, mógłby do woli zabijać i grabić, a zanim obrońcy zdążyliby zorganizować jakikolwiek opór, wioska stałaby już w płomieniach - uświadomił sobie wstrząśnięty Clyde.

Zacisnął palce na masywnej dębowej lasce, czekając na nadejście niesfornego syna Madoca. Dzień zaświtał w strugach marznącego deszczu, który stłumił odgłosy końskich kopyt. Gdyby nie to, warty rozstawione na obrzeżach wioski być może wcześniej zorientowałyby się, że oto zbliża się tuzin jeźdźców. Poza tym Clyde pocieszał się, że opieszałość obrońców była spowodowana zaskoczeniem. Jego ludzie nie mieli powodu bać się ataku z żadnej strony. Angielscy najeźdźcy trzymali Josselyn jako zakładnika

właśnie dla uniknięcia zbrojnych starć, a wioska nie spodziewała się uderzenia własnych ziomków z innych rodów właśnie teraz, gdy wszyscy znaleźli się w obliczu o wiele poważniejszego wroga.

Czemu więc serce starszego mężczyzny biło niespokojnie, jak gdyby w oczekiwaniu bitwy?

Pewnie dlatego, że Owain ap Madoc był nieprzewidywalnym i okrutnym człowiekiem. Co jakiś czas ogarniała go nierozumna żądza rozlewu krwi, a jeśli nie znajdował wówczas prawdziwych przeciwników, miał zwyczaj atakować kogokolwiek pod pozorem pomsty za wymagowane obrazy i zniewagi. Nie po raz pierwszy Clyde zastanawiał się, czy małżeństwo jego bratanicy z tym człowiekiem rzeczywiście przyniesie jakieś realne korzyści. Podbiegł zaczerwieniony od biegu Dewey, z trudem łapiąc oddech.

- Szykuje się do ataku. Chce siłą odebrać Josselyn Anglikom. Clyde' owi przebiegło przez głowę, że właściwie można się było tego spodziewać. W ogniu bitwy śmierć groziła każdemu, również i Clyde'owi, a trudno by było później dochodzić, czy cios zadała ręka angielska czy walijska. Owain nie miałby w tym względzie zbyt wielu skrępowań. Jeszcze kilka innych celnych strzałów z ukrycia i ziemie Carreg Du stałyby się łatwym łupem dla zachłannego władcy i ziemi Owaina. Nie wystarczyło posiadać tytuł własności poprzez małżeństwo z Josselyn - Owain pragnął wycisnąć swe piętno na ludziach Clyde' a, uczynić z nich bezbronnych poddanych, by nikt nie miał wątpliwości, kto jest najpotężniejszym panem w północnej części Walii.

Clyde skrzywił się w zatroskaniu. Nie powinien był

namawiać Josselyn do małżeństwa z tym brutalem!

- Straciłeś moją narzeczoną! - oskarżył Owain Clyde'a, ostro ściągając cugle rozpędzonego, łypiącego spłoszonymi oczami konia, który o mało co nie stratował stojącego przed nim mężczyzny. W ostatniej chwili rumak zarył kopytami w ziemię. Clyde odpowiedział na grymas wściekłości na twarzy przybysza zaszepionym spojrzeniem.

- Nie straciłem, porwano ją podstępnie, jak poinformowałem twego ojca.

Oczy Owaina błysnęły ogniem furii.

- Co zamierzasz zrobić, by ją odzyskać?

Clyde wytrzymał spojrzenie' młodszego mężczyzny.

- Nie zamierzam atakować angielskiego obozu, jeśli porywacz dotrzyma obietnicy, iż Josselyn nie stanie się krzywdą.

- Innymi słowy, planujesz siedzieć beczynn timer, załamując rękę.

Jak baba - dodał Owain z szyderstwem w głosie, po czym splunął na ziemię u stóp Clyde'a.

Dłoń Deweya spoczęła na rękojeści miecza, lecz wódz ostrzegawczo chwycił go za przegub, patrząc bez zmrużenia powiek w twarz Owaina.

- Przebiegłość zaprowadzi nas dalej niż siła, którą Anglicy znacznie nad nami górują.

1- To twoje zdanie. Ja wolę ufać własnej ocenie sytuacji ...

- Na mojej ziemi liczy się moja ocena sytuacji!

Jak na umówiony sygnał zapadła złowieszcza cisza. Dwaj oponenti mierzyli się spojrzeniem spod lekko opuszczonych powiek: jeden młody i zapalczywy, drugi starszy, bardziej opanowany, lecz równie uparty. W przedłużającym się

milczeniu mężczyźni z wioski Carreg Du skupili się wokół swego wodza. Niektórzy zdążyli tymczasem dosiąść rumaków i napierali na przybyszów, z którymi onegdaj łączył ich nietrwały sojusz.

Nie sposób było przewidzieć, co zrobi Owain, i Clyde dobrze o tym wiedział. Nie mógł wszak pozwolić, by porywczy okrutnik narzucał mu groźbą i siłą swoje poglądy, narażając przy tym bezpieczeństwo Josselyn. Powodowany nagłym impulsem, wystąpił naprzód i złapał uzdę wierzchowca Owaina.

- Zsiądź, proszę, i odśwież się po długiej jeździe. Będziemy zaraz spożywać śniadanie. Przyłącz się do nas. Opowiem ci szczegółowo o przebiegu negocjacji z Randulfem Fitz Hugh.

- Mamy gadać, tracąc czas, podczas gdy ten łajdak bezcześci moją narzeczoną!

- Angielski wódz wydaje się człowiekiem honoru i tuszę, iż dotrzyma danego słowa. Gwałt nie stanowi części jego planu. - Clyde chwycił mocniej końską uprząż, zmuszając rumaka do pochylenia głowy. - Zsiądź, Owainie. Przyjmij naszą gościnność, a wspólnie rozważymy sposoby odzyskania mej bratanicy i uwolnienia naszych ziem spod władzy nowego ciemiężcy.

Owain zastanawiał się przez długą, pełną napięcia chwilę, w końcu jednak ustąpił. Lecz choć przyjął zaproszenie i z wszelkimi pozorami uprzejmości wkroczył w gościnne progi w asyście swego towarzysza, Glyna, Clyde czuł nadal, jak przytłacza go mroczny ciężar rozpacz. Ma uwolnić Josselyn ze szpon jednego prześladowcy, by ją wydać na ofiarę drugiemu?

- Gdzie jest obecnie twój szacowny ojciec? - zapytał, gdy

czekali, aż Nessie poda im kielichy najlepszego wina.

- Czeka na wiadomość ode mnie - odburknął Owain. -

Dołączy do nas, jeśli się okaże, że potrzebujemy posiłków.

Nie będą potrzebować posiłków, przysiągł w duszy Clyde.

Być może w przeszłości nie zawsze właściwie oceniał sytuację, być może zgrzeszył zbytnią ostrożnością. Nie był

jednak do tego stopnia łatwowierny ani lekkomyślny, by wpuszczać w opłotki wioski jeszcze większy oddział wojowników Owaina.

Był głupcem, sądząc, że małżeństwo Josselyn z Owainem będzie sprzyjać rozładowaniu napięcia między ich rodami.

Jego zgoda na ten mariaż rozzuchwiała jedynie porywczego

sąsiada. Teraz Clyde jasno rozumiał, że tylko on sam może z

powodzeniem doprowadzić do uwolnienia bratanicy. Tylko

jak manewrować między Anglikami a Owainem? Sprawa

była trudna, nie przychodziło mu na razie na myśl żadne

satysfakcjonujące rozwiązanie. Być może w ogóle takiego nie

było?

Po długim i wyczerpującym dniu Rand powinien spać jak

zabity. Tymczasem rzucał się niespokojnie w łóżu, oczekując

snu jak ulgi, która nie nadchodziła.

Oczywiście winna była Josselyn. Dziewczyna siedziała co

prawda cichutko jak myszka, zwinięta w nieruchomy kłębek

pod swoim okryciem, lecz Rand i tak nie mógł zapomnieć o

jej obecności. Leżał na wpół przytomny, na wpół odurzony

zmęczeniem, wspominając opowieści z dawnych czasów,

jakich słuchał w młodości, a w jego niespokojnych myślach

Josselyn mieszała się z bohaterkami mitów i legend. Parys i

Menelaus staczali bitwy o Helenę podczas oblężenia Troi.

Czy on będzie zmuszony walczyć o Josselyn, królową

Walii? Mityczny król Artur został zdradzony przez kobietę, która stała się przyczyną upadku jego królestwa. Czy jego czeka podobny los?

Ledwie pierwsze promienie świtu liznęły horyzont, odrzucił koce i podniósł się z łoża, które zamiast wypoczynku przyniosło mu udrękę koszmarów zrodzonych z bujnej wyobraźni.

- Wstawaj, kobieto - rzucił w stronę kupki okryć w kącie izby. - Twoja służba zaczyna się w chwili, gdy ja wstaję, a właśnie wstałem.

- Ci ffiaidd - usłyszał stłumioną kocem zniewagę. Zły humor branki sprawił mu przewrotną rozkosz. Jeśli on cierpi z powodu jej bliskości, niech i ona, żeby ją diabli, nie zazna spokoju, dopóki on jest obok niej.

- Wstań - powtórzył. - Przynieś mi wody i pomóż w porannej toalecie.

Josselyn zmełała w ustach kolejne przekleństwo, odrzuciła nakrycie i rozejrzała się po mrocznej izbie zaspanymi oczami.

- Myji casau ti. To znaczy, że tobą gardzę - przetłumaczyła.

Niestety jej gardłowy, jeszcze nie w pełni rozbudzony głos, przekazywał zupełnie inną wiadomość.

Pomimo mroku panującego w izbie Rand zauważył zaróżowione od snu policzki. Potargane w trakcie drzemki włosy i zmierzwiona odzież tworzyły obraz pełen uroku, choć całość psuła zacięta mina dziewczyny.

- Mam swoje własne potrzeby - mruknęła wrogo. - Muszę je zaspokoić, zanim będę gotowa usługiwać tobie. Muszę się znaleźć na osobności - dodała, gdy nie zareagował.

- Oczywiście - odpowiedział po chwili, gdy dotarło do niego

znaczenie jej słów. Wskazał na nocnik stojący w rogu komnaty, po czym odwrócił się do drzwi. - Tylko się pospiesz. W dzbanie znajdziesz wodę.

Nie podziękowała mu, zresztą tego nie oczekiwał. Rozczarowanie, jakie poczuł, nie było wszakże spowodowane brakiem wdzięczności z jej strony, lecz raczej zawiedzioną chęcią, by znowu usłyszeć jej głos, niski pomruk przepojony kobiecością, gardłowy, podniecający szept - choćby miała się nim posłużyć, by rzucać na Randa nowe przekleństwa. Jej głos podniecał go w niezrozumiały sposób, a chociaż nie powinien pozwalać, by obecność dziewczyny aż tak na niego wpływała, nie potrafił się oprzeć pokusie. Pragnął słyszeć jej gardłowy pomruk, marzył o tym, że będzie mu szeptać do ucha. Pragnął jej całej, rozgrzanej i rozespanej, w łóżu obok siebie. W jego ramionach.

Niemądre mrzonki szaleńca - skarcił się, otwierając drzwi.

Wyszedł z izby i zatrzasnął je za sobą. Wciągnął głęboko w płuca haust mroźnego powietrza, który pomógł mu się nieco otrzeźwić. Kto pozwala, by kobieta zapanowała nad jego myślami, popełnia olbrzymi błąd. A gdy kobieta ta jest w dodatku wrogiem, błąd może się okazać śmiertelny.

Obóz powoli zaczynał budzić się do życia. Pierwsza poranna warta zmieniała już nocnych strażników, budowniczy i kamieniarze gotowali się do rozpoczęcia pracy przy fortyfikacjach. Rand znalazł pewne ukojenie w myśli, iż oto w jego siedlisku wszystko toczy się po staremu - a teraz, dzięki wczorajszej akcji, przynajmniej przez jakiś czas nie grożą żadne niepożądane zmiany.

Porwanie bratanicy Clyde'a zapewniło Anglikom

upragnioną pewność jutra. Mają teraz dość czasu, by skończyć pierwszy bastion. Walińczycy będą zapewne próbować pozorowanych gróźb i wybiegów, lecz dopóki zatrzyma zakładniczkę, dopóty nie odważą się na bezpośredni atak.

Rand ujrzał spieszącego w jego stronę Osborne'a, a grymas na twarzy dowódcy straży sprawił, że uczucie satysfakcji rozplynęło się w oczekiwaniu niepomyślnych wiadomości.

- No i kto nam teraz będzie gotować? - zapytał Osborne bez zbędnych wstępów, zanim jeszcze zbliżył się dostatecznie do swego dowódcy. - Ta kobieta nie przyszła, a ogień w piecu kuchennym wygasł.

Sir Lovell ze zmartwioną twarzą podążał za nijak chmurny cień. - Gladys nie przyszła. Nie sądzisz chyba, że przytrafiło jej się coś złego?

- Nie przyjdzie - rzucił Osborne ze złością. - Żadna z kucharek nie przyjdzie, bo im na to nie pozwoli ten przeklęty Walińczyk.

Mars na czole sir Lovella pogłębił się. - Skąd ta pewność?

- Po prostu wiem. Czy tylko ja w tym obozie pozostałem przy zdrowych zmysłach? Czy walijskie kobiety rzuciły na was urok?

- Nie przyjdą nie tyle z powodu zakazu Clyde'a, co w wyniku mojej decyzji - poinformował ich Rand. - Powiedziałem Clyde'owi, że tylko Newlin może przebywać w obozie przez cały czas, gdy trzymamy Josselyn jako zakładniczkę. Musimy gotować sobie sami. Radziliśmy sobie przedtem, poradzimy i teraz.

Obaj mężczyźni gapili się na niego osłupiali, jak gdyby właśnie skazał ich na nieopisane tortury.

- A ona? - spytał Osborne, wskazując kciukiem kwatere Randa. - Czy ona nie mogłaby gotować?

- Przydzielilem ją do innej służby.

Dowódca straży zaśmiał się kpiąco.

- Ale mogłaby jeszcze trochę pokucharzyć.

Sir Lovell wygiął usta w wyrazie niesmaku.

- Jakież ma obowiązki?

- Nocne - wtrącił Osborne, zanim Rand zdołał odpowiedzieć budowniczemu.

- Nie tknąłem jej nawet palcem - przysięgł Rand. A w myśli dodał: chociaż miałem wielką ochotę.

- Lepiej tego nie rób - ostrzegł sir Lovell z otwartością, jaką rezerwował zwykle dla kwestii związanych ze swoim budowlanym fachem. - Jest naszą zakładniczką i powinna powrócić do swoich bez uszczerbku. Sam to obiecałeś jej stryjowi.

- I zamierzam dotrzymać słowa - oświadczył Rand zgryźliwie.

Spojrzał spode łba na swych towarzyszy. Osborne głodny przypominał uporem zawziętego niedźwiedzia. Chce kobiety w kuchni i będzie wiercił swemu dowódcy dziurę w brzuchu dopóty, dopóki jego własny brzuch nie zostanie napełniony strawą. Sir Lovell zaś był człowiekiem o niewzruszonych zasadach moralnych, które nie pozwolą mu patrzeć beczynnym na krzywdę wyrządzaną kobiecie. Rand co prawda wcale nie chciał krzywdzić Josselyn, aczkolwiek wątpił, czy mistrz budowniczy będzie to w stanie kiedykolwiek zrozumieć.

Być może tak będzie najlepiej - powiedział sobie w duchu, patrząc na ich twarze pełne oczekiwania. Josselyn zajęta

przez cały dzień to Josselyn, która nie ma czasu ani okazji do ucieczki. Ale wtedy on, Rand, nie będzie jej miał wyłącznie dla siebie ...

Przez długą chwilę ważył w myślach ten niezbity, acz niefortunny wniosek. Zanim wszakże zdecydował się odpowiedzieć na propozycję Osborne'a, drzwi wyjściowe otworzyły się z rozmachem i uderzyły go mocno w plecy.

- Aj! Rusz się, niezdaro!

Wyłoniła się z nich Josselyn. Zdążyła już zapleść włosy, choć niesforne kosmyki wymykały się z pospiesznie zakręconego wężła, a jej twarz była jeszcze wilgotna od porannej toalety. Z policzków zniknął rumieniec wywołany snem, głos utracił gardłowe brzmienie lecz nawet blada, zagniewana Josselyn o przenikliwym głosie poruszała zmysły Randa do żywego.

- Nie macie prawa dyskutować o mojej osobie bez mego udziału - oświadczyła, podpierając się pięściami pod boki.

- Czy możesz nam gotować? - zapytał wprost Osborne.

- Jestem całkiem niezłą kucharką, lepiej sobie z tym radzę niż z szyciem i praniem - poinformowała ich, spoglądając chłodno na Randa.

- Chodź ze mną - powiedział dowódca straży, chwytając ją za rękę i ruszając w kierunku kuchni.

- Chwileczkę! - Rand złapał jej drugą dłoń i przez chwilę Josselyn groziło rozdarcie, jak smakowitemu kaskowi pochwyconemu przez dwa drapieżne ptaki. Nie chciał się nią dzielić z nikim, przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Niestety, Josselyn dobrze o tym wiedziała, sądząc po złośliwym błysku w jej oczach. Zakładniczka czy nie, mogła skorzystać z okazji i doprowadzić do waśni między swymi ciemiężycielami. A dla ludzi, którzy służyli pod jego

komendą, kwestia wyżywienia miała pierwszorzędne znaczenie, szczególnie perspektywa smacznych i obfitych posiłków.

Z wściekłości Rand gotów był ją udusić, lecz wiedział, że mu z tego nic nie przyjdzie. Josselyn zamierzała na wszelkie dostępne jej sposoby krzyżować jego plany i psuć mu humor. Cóż, on na jej miejscu nie zachowywałby się inaczej. Wiedział jednak, iż dobry wódz zna granice swej władzy i orientuje się, kiedy atakować, a kiedy się wycofać. Właśnie nadszedł czas na strategiczny odwrót.

- Zezwalam, by udała się do kuchni i przygotowała nam posiłek. Ale najpierw muszę jej wyjaśnić kilka ważnych spraw.

Puścił jej rękę, a ona natychmiast wyszarpnęła drugą dłoń z ręki Osborne'a. Spojrzała na Randa.

- Jakich spraw? Czy mam cię może uczesać? - spytała, przeciągając słowa i przemawiając przesadnie niewinnym tonem.

W błękitnych oczach zabłysło rozbawienie. Kpiła z niego!

Najwyższy czas, by jej przypomnieć, kto tu właściwie jest panem. Rand obrócił się do swych kompanów.

- Josselyn zaraz przyjdzie do kuchni. Osborne, przekaz żołnierzom, że poranny posiłek dostaną dziś trochę później, lecz nie muszą się obawiać, iż zostawię ich z pustymi brzuchami. Sir Lovell niech łaskawie poinformuje o tym murarzy i kamieniarzy. □ Widząc, że tkwią w miejscu, zmarszczył czoło. - Idźcie już!

Josselyn próbowała wymknąć się wraz z nimi, lecz zatrzymał ją, przydeptując butem skraj jej sukni.

- Ty jeszcze zostaniesz.

Osborne wyszczerzył zęby w uśmiechu. Osiągnął swój cel, więc zadowolony oddalił się niespiesznym krokiem w stronę straży kłębiących się wyczekująco wokół kuchni. Sir Lovell, mniej spokojny o zamiary Randa wobec Josselyn, ociągał się, aż mroczne spojrzenie lorda zmusiło go do odejścia.

Rand był wreszcie z nią sam na sam. Oczywiście, w gruncie rzeczy wcale nie byli sami. Na równinie, na której rozciągał się obóz, nie byli w stanie się skryć przed oczami gapiów. Tego zaś ranka wszyscy wydawali się niesłychanie żywo zainteresowani obserwacją wzajemnych stosunków lorda i Walijki. Rand próbował pocieszyć się faktem, że przynajmniej stoją poza zasięgiem ciekawskich uszu.

Udało mu się nie podnieść głosu i przynajmniej pozornie nie stracić opanowania.

- Nie gratuluj sobie od razu sukcesu, moja Josselyn. Wygrałaś zaledwie pierwszy pojedynek. Nieważną potyczkę. Prawdę mówiąc, wystarczyła twoja prośba, bym zezwolił ci na wstęp do kuchni.

Widział, jak z twarzy dziewczyny znika satysfakcja, i odgadł przyczynę zmiany jej nastroju. Nigdy nie chciała uzyskać zezwolenia na wstęp do kuchni ani nie tęskniła do ciężkiej harówki, jaką był obowiązek kucharzenia dla całej załogi obozu. Chciała jedynie mu się sprzeciwić - nie przewidując korzyści, jakie da mu jej pozorna wygrana. Rand smakował rozkosz, z jaką mógł jej to uświadomić.

- Na śniadanie wystarczy nam kasza. Ma być gorąca i w wystarczającej ilości, by każdy najadł się do syta. Południowy posiłek przygotujesz wraz z Odem; przyślę wam kogoś jeszcze do pomocy. Ugotujesz rybę, której mamy

pod dostatkiem.

- Jesteś pewien, że was nie otruję? - Josselyn rzuciła Anglikowi spojrzenie pełne wściekłości.

Gdyby nie niedbale zaplecione włosy i proste odzienie, przypominałaby królową czy wielką panią, gdy tak stała prosto, z dumnie uniesioną głową i wyniosłą miną. Z pewnością nie ustępowała szlachciankom z dworu Henryka. Płaszcz z surowej wełny i luźne kosmyki powiewające wokół policzków nie pozwalały wszakże zapomnieć, że jest Walijką. Nie należała do pospólstwa, lecz z pewnością nie pasowała do królewskich komnat.

Pasowała natomiast do Jaspera, uświadomił sobie z bólem. To jedyne rozsądne rozwiązanie. Czemu więc tak mu ciążyło?

Poważnym tonem odpowiedział na jej słowa:

- Nie otrujesz nas z tego samego powodu, dla którego twój stryj nie zaatakuje. Zbyt wysoką przyszłoby wam zapłacić cenę. - Gdybym zdecydowała się was otruć, nie musielibyśmy płacić żadnej ceny; wy bylibyście jedynymi, którzy ponieśliby bolesne konsekwencje.

- Wszystkich nie otrujesz - odparował. - Ostrzegam cię, Josselyn. Jeśli choć jeden z moich ludzi zachorzeje z twojej winy, zapłacą mi twoi ziomkowie, bo wezmę odwet na twojej wiosce.

Ich gniewne spojrzenia spotkały się i starły w niemym pojedynku.

Czy rzeczywiście stać by ją było na tak niemądre posunięcie? Rand nie miał zamiaru ryzykować.

- W mojej obecności skosztujesz wszystkiego, co przygotowałam, zanim ktokolwiek inny dotknie jadła.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, choć nie udało jej się całkowicie ukryć poirytowania.

- Jak sobie życzysz ... panie. - Wyraz szacunku w jej ustach nabrał posmaku szyderstwa. Odwróciła się, by odejść, lecz Rand ponownie zatrzymał ją w miejscu. Podniosła na niego oczy, gotowa do kolejnej słownej potyczki. Lecz tym razem stali bliżej siebie, niemal dotykając się twarzami. Im dłużej tak trwali, tym bardziej rosło między nimi napięcie.

- Jeszcze jedno, Josselyn. Gdy skończysz z kucharzeniem, powrócisz do mojej izby. Chcę się wykąpać. Obetniesz mi też włosy.

Czuł ciepło smukłego przedramienia pod palcami ściskającej je dłoni. Patrzył w szeroko otwarte, modre oczy. Słyszał lekki oddech, chwytął nosem zapach skóry dziewczyny i mydła, aż wszystkie zmysły zapłonęły ogniem.

- Jeśli próbujesz w ten sposób poprawić swój wygląd, by przyciągnąć wzrok jakiejś kobiety, tracisz czas swój i mój - rzekła Josselyn.

- Serdeczne dzięki - odpowiedział, celowo udając, że opatrzenie zrozumiał jej słowa, nie jako przytyk, lecz jako komplement. □ Osobiście sędzę, iż zawsze da się coś poprawić.

- Twypsyn - mruknęła. - To znaczy "półgłupek" - dodała ze zjadliwą słodyczą. - Czy mogę się oddalić, panie?

Rand puścił ją, chociaż wolałby zrobić coś wprost przeciwnego.

Gdyby byli sami, pocałunkiem zamknąłby te nieznośne usta. Podjąłby rękawicę i rozegrał bitwę na terenie, na którym musiało dojść do decydującego i właściwego rezultatu - w jego łóżu. Gdyby tylko okoliczności były inne!

Nie mógł jednak ignorować wymogów sytuacji. Nie chodziło wyłącznie o jego żądzę, tu stawka była o wiele wyższa. Co prawda przyjazd do Walii nie był jego marzeniem, lecz skoro już się tu znalazł, miał zamiar zwyciężyć w najlepszym stylu. Zostawić po sobie potężną warownię i rozległe włości, zasłużyć na tysiącrotną wdzięczność króla. Josselyn nie była częścią tego planu, mogła jedynie posłużyć za przynętę dla jego młodszego brata. Nie wolno mu o tym zapominać.

Mimo wszystko trudno było wymazać z pamięci te chwile na polance górskiej doliny, kiedy jeszcze nic nie stało mu na przeszkodzie. Jakim był wówczas głupcem! Zaniechał jej tylko ze względu na jej dziewictwo i brak doświadczenia. A przecież chciała tego tak samo jak on. To powinno mu wystarczyć. Teraz ... teraz nie mógł się pozbyć obawy, że do końca życia będzie pożądał kobiety, która miała poślubić jego brata.

Patrzył, jak idzie z godnością w kierunku zabudowań kuchennych. Mężczyźni przed wejściem rozstąpili się, by ją przepuścić. Z niczyich ust nie padł nawet jeden nieprzystojny okrzyk, nie ośmielili się rzucić żadnej lubieżnej propozycji ani obraźliwej insynuacji. Spragnieni towarzystwa kobiet, pamiętali wszak o tym, iż w tej chwili bardziej dokucza im głód.

Dopiero gdy zniknęła za drzwiami kuchni, Rand odzyskał oddech i swobodę ruchu. Nazwała go twypsyn! Rzeczywiście □ wobec Josselyn ap Carreg Du zachowywał się jak półgłupek. Drugą połowę jego rozsądku skradła mu ta niepojęta walijska dziewczyna.

To się już nigdy nie powtórzy, zaklął pod nosem. Wysłanie

jej do kuchni było w końcu najlepszym rozwiązaniem. Gdyby w tej chwili spoczywała beczynn timerze, na jego łozu, nie potrafiłby się zmusić do uczciwej pracy, a tak wiele miał do zrobienia.

Idąc w dół stoku w kierunku najniższego odcinka murów, wciąż widział przed oczyma obraz Josselyn usługującej mu w kąpieli. Josselyn nachyla się nad nim. Josselyn obcina mu włosy, jej palce przesuwają się po jego głowie... .

Twypsyn. Tak - zasługuje na to. Twypsyn.

No i kto tu właściwie wyszedł na półgłówek? Josselyn zadawała sobie to pytanie kilka godzin później. Zdażyła już ugotować owsiankę na śniadanie, zaraz potem wzięła się do pracy przy zawieszistej rybnej polewce. Odo nauczył się u boku Gladys dostatecznie wielu sekretów sztuki kucharskiej, by poradzić sobie z wy piekiem chleba. A teraz, gdy już uporali się z wydawaniem posiłku, mogli zostawić zmywanie naczyń jednemu z robotników murarskich, który skrecił nogę w kostce i nie mógł pracować na budowie. Josselyn była wolna.

Wciąż jednak snuła się po kuchni. Spocona i zmęczona, marzyła o gruntownej kąpieli. Nie chciała jednak wracać do kwatery Randulfa Fitz Hugh. Bo jeśli on tam jest...

Zaczerpnęła czystej wody z wielkiego kotła i wypła łąpczywie.

Następnie zwilżyła wodą czysty ręcznik, wytarła starannie twarz i szyję. Włosy miała w nieładzie, gdyż na chybcika zaplecione rankiem warkocze rozluźniły się, kiedy pochylała się nad kotłami, a wtedy skrećła je naprędcie w byle jaki węzeł, by nie przeszkadzały w pracy. Nie miała chustki na głowę ani nawet fartucha. Spódnice osłoniła kawałkiem

barchanowej szmaty, a rękawy zakasała najwyżej, jak się dało.

Zgrzała się i spracowała do cna, lecz wyszło jej to na dobre. W czasie pracowitych godzin spędzonych w kuchni nie miała czasu martwić się kwestią swoich stosunków z Randem, chociaż nie umknęła jej uwagi jego nieobecność zarówno przy śniadaniu, jak i w czasie południowego posiłku. Pogrożka o próbowaniu strawy przed wszystkimi okazała się gołosłowna.

Czemu jednak trzymał się z daleka?

Skarciła się w duchu za tę troskę. Cóż mogło ją to obchodzić?

Nic jej do tego, nawet jeśli miałby się zagłodzić na śmierć. Jeden z jego ludzi z pewnością zaniósł mu jadło.

Nie dbała o powody, dla których nie przyszedł na posiłek.

Powtarzała to sobie, piorąc ścierkę, którą następnie wykręciła i rozwiesiła na sznurku biegnącym ukośnie nad płytą paleniska. Było to jej na rękę, gdyż musiała się solidnie zastanowić, a w pobliżu Rand~ nie potrafiła nawet policzyć do trzech, nie myląc się dwa razy. Chociaż więc rozgrzana i wilgotna od pary kuchnia nie stanowiła wymarzonego schronienia, Josselyn ociągała się z poinformowaniem nadzorcy, że zakończyła swoje obowiązki gospodarskie. Usadowiła się w kąciku okna i wpatrzyła w niebo. Musiała odnaleźć w sobie spokój, zebrać myśli. Musiała ułożyć jakiś plan.

Musiała uciec.

Podparła brodę ręką. Ucieczka nie będzie łatwa. Nie trzymano jej wprawdzie pod kluczem, ale jako jedyna kobieta w obozie rzucała się w oczy. Każdy z Anglików

dobrze wiedział, kim jest i co tu robi. Nie miała szans gdziekolwiek się ruszyć niepostrzeżenie. Nie oznaczało to bynajmniej, iż powinna zrezygnować z ucieczki, gdyby nadarzyła się okazja. Lecz tak czy inaczej musiała pomyśleć o jakimś sposobie wywalczenia sobie wolności, szczególnie w obliczu najnowszego planu Randa. Chciał wydać ją za swego brata!

Na samą myśl zatrzęsała się z wściekłości. Cóż za arogant! Jak można w jednej chwili grozić kobiecie, że się ją uwiedzie, by w następnej planować jej ślub z własnym bratem? Łajdak! Niewątpliwie braciszek i on sam byli sobie warci. Niezłe ziółka, przekonani o swoich powabach, którym - w ich mniemaniu - nie mogła się oprzeć żadna kobieta.

Wściekłość ustąpiła panicznemu lękowi. Boże jej dopomóż, jeśli ten braciszek ma choćby ułamek uroku lorda Fitz Hugh! Siedziała cichutko, drżąc z przerażenia, gdyż znała swoje uczucia i nie mogła się łudzić - jeśli Rand będzie nalegał, Josselyn ulegnie. Cóż się wtedy z nią stanie? Czy rzeczywiście czeka ją los żony brata swego ciemieżyciela?

Umocniła się w postanowieniu ucieczki. Musiała znaleźć sposób!

Ale jaki? Ile ma czasu do przyjazdu Jaspera na Rosecliffe?

Nagle usiadła prosto. Pomysł, który przed chwilą przyszedł jej do głowy, był tak zaskakujący, iż na chwilę straciła oddech. Jeżeli nie uda jej się uciec, być może będzie w stanie namówić aroganckiego porywacza, by sam zwrócił jej wolność?

To on uczynił z niej zakładniczkę. Czemu stryj nie miałby pójść w jego ślady? Mógłby zasadzić się na Jaspera Fitz Hugh i porwać go do Carreg Du!

Rand na pewno wymieni ją na swego ukochanego młodszego braciszka!

Rozdział trzynasty

Jasper Fitz Hugh uniósł brwi, patrząc na zapisany pergamin.

Poprzedniego wieczoru nieco nadużył wina - nie mówiąc już o kobietach. Głowa pękała mu z bólu, czuł sztywność we wszystkich stawach, a gdy zadał sobie pytanie, czy przyrodzenie nie odpadnie mu któregoś dnia z nadmiernego zużycia, wiedział, że jest to pytanie czysto retoryczne. W dodatku o pierwszym blasku jutrzejki obudził go posłaniec z listem, którego treść była doprawdy zaskakująca.

Podniósł wzrok znad zapisanego zwoju; drobne pismo pływało mu przed zamglonymi oczyma i prawie jęknął, gdyż nieostrożny gest sprawił, że ból ostry jak sztylet ponownie przeszył mu czaszkę. Wlepił wzrok w znużonego długą drogą posłańca.

- Skąd ta nagła zmiana decyzji? Czemu mój brat wzywa mnie do Walii, i to bez ociągania, skoro poprzednio nakazał mi siedzieć w Londynie?

Posłaniec wzruszył ramionami.

- Tego nie potrafię ci powiedzieć, milordzie. Wiem jeno, że miałem rozkaz galopować rozstawnymi końmi, a wyruszyć w drogę musimy jeszcze dziś. - Mężczyzna przestępował z nogi na nogę pod niedowierzającym spojrzeniem Jaspera. - To słowa pana Randulfa Fitz Hugh, nie moje, milordzie. Ja byłbym rad wypocząć dzień lub dwa - dodał pod nosem.

- Mój brat oczekuje więc, iż wyruszę jeszcze dzisiaj? Posłaniec skinął głową i przezornie się cofnął, gdy Jasper

chwiejnie dźwigał się na nogi.

Młody panicz nie był pewien, czy potrafi choćby ustać na niepewnych stopach, a cóż dopiero mówić o konnej jeździe!

- Przyślij mi tu giermka - rozkazał posłańcowi. - I zaczekaj na zewnątrz.

Jasper milczał, dopóki za przybyszem nie zamknęły się drzwi, po czym poinformował stojącego przed nim Lawrence'a:

- Wyjeżdżamy do Walii. Przygotuj mi kąpiel, przyślij jakąś dziewczkę służebną, bo inaczej jestem gotów utonąć w balii. Potem zabierz tego żołnierza do kuchni i nakarm go. Podlej jadło winem, i to obficie. - Potarł twarz, tłumiąc falę mdłości, która ogarnęła go na myśl o konnej jeździe, w tym żalonym stanie, gdy jeszcze odczuwał skutki wczorajszego nadużycia trunku. - Zrób wszystko, co możliwe, by się dowiedzieć prawdy o tym, co się dzieje u mojego brata. Czy coś się zmieniło w krótkim czasie od jego wyjazdu? Aha, i podaj mi nocnik ...

Lawrence przezornie opuścił komnatę, zanim pierwszy kurcz nudności zgiął panicza w pół, a z jego ust wydobyło się osobliwe gulgotanie. Młody Anglik, nachylając się nad nocnikiem, przelotnie zastanowił się, czemu giermek nadal pozostaje u tak uciążliwego pana, jakim niewątpliwie był Jasper.

Ta zagadka nie była wszak obecnie kwestią pierwszej wagi. Prawdziwa tajemnica, którą należało rozwiązać, dotyczyła nagłej zmiany postanowienia Randa. Jasper wiedział wprawdzie, że niezależnie od rodzaju wiadomości, jakie przyniesie mu Lawrence, rano wyruszą do Walii. O ile zaś szczęście będzie mu sprzyjać, zdąży do cna wytrzeźwieć,

zanim przybędzie na miejsce, a głowa przestanie mu pękać z bólu.

W domostwie brata nie będzie miał tyle okazji do pijaństwa. Jasper stwierdził w duszy, że nie żałuje tej straty. Ale nie będzie też kobiet, a ta myśl nie była mu już tak miła.

Wypłukał usta resztką zwietrzałego wina ze stojącego na stole pucharu i wytarł wargi rękawem. W obozie Randulfa nie będzie Angielek, lecz przecież jakieś kobiety się tam znajdą. Co prawda nie będą umiały mówić po angielsku, ale on zdążył się już nauczyć kilku słów w ich narzeczu. Poza tym znał doskonale język, którym na całym świecie porozumiewają się płynnie wszyscy spragnieni pieśczoł...

Walijki. .. - zastanowił się głęboko. Znużyły go już awanse angielskich kobiet, zarówno dziewczek z plebsu, jak i szlachetnie urodzonych panien. Obraz pełnokrwistej Walijki z każdą chwilą wydawał mu się bardziej powabny i obiecujący.

1Rozejrzał się po izbie i ostrożnie się przeciągnął, przechylając głowę na bok. Czuł się już lepiej.

- Lawrence, gdzie moja kąpiel? - ryknął. Tym razem tylko małe igielka bólu przeszły jego mózg. No cóż, waleczny rycerz królestwa nie dba o takie drobiazgi jak odrobina cierpienia. Po południu będzie już jak nowo narodzony. Rand nie rozczaruje się swoim młodszym bratem - przysiągł sobie Jasper. Tym razem dowiedzie swej wartości. Uśmiechnął się pod wąsem i podrapał po brzuchu. Rand przekona się, co potrafi jego brat.

Łatwo było podjąć decyzję o zaplanowaniu spisku przeciw Randowi, ale Josselyn przekonała się, że wdrożenie zamiarów w czyn napotkało nieoczekiwane trudności.

Spędziła całe popołudnie, analizując i jeden po drugim odrzucając kolejne pomysły, a wniosek końcowy nasuwał się jeden, i to nieodparty: chcąc zdobyć jakiegokolwiek informacje, bez których nie można było podejmować żadnych dalszych kroków, musiała dobrowolnie wejść w paszczę lwa. Zamiast unikać Randa, powinna starać się do niego zbliżyć. Zamiast milczeć, musiała z nim rozmawiać i na dokładkę powinna w tych chwilach zachować zimną krew.

To Anglik, a ja nienawidzę wszystkich Anglików - napominała się surowo po raz tysięczny, aż słowa przybrały postać dobrze znanej modlitwy, którą usta powtarzały niemal bezwiednie w chwilach napięcia. To Anglik, nienawidzę go.

Gdy wyszła Randa, jak w towarzystwie sir Lovella przeprowadzał inspekcję w miejscu najbliższym brzegowi puszczy, gdzie postępy w budowie fortyfikacji wciąż jeszcze ograniczały się do wykopania rowu, zdecydowała się zacząć działać.

- Zaczekaj! - zawołał za nią Odo, gdy wymykała się z kuchni Josselyn nie zwróciła uwagi na swojego pomocnika, ale też nie pobiegła prosto w kierunku, gdzie przechadzał się Rand. Postanowiła przeprowadzić pewien eksperyment - przekonać się, jak szybko zostanie zauważona.

Okazało się, że bardzo szybko. Nie zdążyła jeszcze się oddalić poza ściany na w pół wykończonej budowli, która w przyszłości miała służyć za warzelnię piwa, gdy zatrzymał ją okrzykiem przysadzisty żołnierz ciągnący wózek z tyczkami mierniczymi:

- Hej, panienko, masz siedzieć w kuchni albo w kwaterze sir

Randa ...

Zignorowała jego napomnienie, podobnie jak puściła mimo uszu wołanie Oda, i podążyła przez obóz pewnym krokiem posiadaczki tych włości - którą wszak była.

- Zaczekaj! - krzyknął za nią mężczyzna.

Kącikiem oka ujrzała, jak Rand podnosi głowę i się rozgląda. Nie zdążyła zbliżyć się do linii drzew na tyle, by wygrać wyścig z długonogim Anglikiem, poza tym drogę zagradzała jej grupa robotników zajętych wrzucaniem gruzu pomiędzy dwie ściany fortyfikacji. Nie, chwila ucieczki jeszcze nie nadeszła. Nie dziś. Ale o tym Rand nie musi wiedzieć.

Przyspieszyła kroku, cały czas obserwując, jak angielski wódz zmierza w jej stronę. Skręciła w jego kierunku dopiero wtedy, gdy z szybkiego marszu przeszedł w bieg. Zbliżała się do niego z rezolutnym wyrazem twarzy. Rand zwolnił, wreszcie zatrzymał się i czekał na nią.

- A gdzie to się wybierasz? - Zagroził jej drogę, krzyżując ręce na piersiach. W tej pozycji stanowi istne wcielenie męskiej arogancji - pomyślała Josselyn. Odparowała jego kamienne spojrzenie niewinnym wzrokiem.

- Nigdzie ... szukałam cię właśnie. Cóż innego mogłoby mnie oderwać od obowiązków kuchennych?

Uśmiechnął się zjadliwie, słysząc sarkazm w jej głosie.

- Sama wybrałaś pracę kucharki.

- Owszem. A czy miałam inne wyjście? Siedzieć samotnie w więzieniu, przeżuwać myśli i cerować twoje pończochy?

- Nie musisz wcale siedzieć samotnie. Wystarczy, że poprosisz o moje towarzystwo, a z wielką ochotą ci je zapewnię.

- Prosić o twoje towarzystwo? - Ugryzła się w język, z którego już-już miał spłynąć kolejny zgryźliwy przytyk, gdyż wiedziała, jak bardzo go ucieszy widok jej złości. - Skoro mam grać rolę zakładnika na czas budowy tych wstrętnych murów, mógłbyś przynajmniej zapewnić mi jakieś minimum wygód.

- Czyż moja kwatera nie jest wygodna?

- Tak, na potrzeby mężczyzny, lecz nie kobiety.

Znowu na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Jeśli zyczysz sobie spać w moim łóżu, wystarczy, że szepniesz słówko.

Jak bardzo pragnęła zetrzeć z jego twarzy ten wyraz samozadowolenia!

_ Życzę sobie jedynie otrzymać zmianę bielizny i wierzchnich szat, mój własny grzebień i inne drobiazgi, które czynią życie kobiety znośnym.

_ Rozumiem. - Zmierzył ją ciemnymi oczami od stóp do głowy i z powrotem, a jego spojrzenie, wędrując powoli wzdłuż ciała dziewczyny, zdawało się przenikać je badawczo, aż poczuła gęsią skórę na ramionach. - Jesteś już teraz śliczna, moja Josselyn. Gdyby twoja uroda miała nabrać uroku ...

Umilkł znacząco. Przez długą chwilę Josselyn nie mogła złapać tchu. Czemu wciąż mówi jej takie rzeczy? Czemu ona reaguje jak głupia dzierlatka?

Odwróciła się od niego, powtarzając w myślach, że stoi przed wrogiem, że go nienawidzi. Jeśli zaś będzie jej dokuczał, potrafi odplacić pięknym za nadobne!

_ Obawiam się, iż twoja opinia w kwestii mojego wyglądu nie ma tu nic do rzeczy. To wszakże twego brata muszę

oczarować, nie ciebie.

Po długim milczeniu odpowiedział na jej zawzięte spojrzenie:

- Tak ... mojego brata. - Znów zamilkł. - Powiedz, czego ci potrzeba. Poślę po wszystko do twojego stryja.

Poślę - ha! Poślaniec na nic się nie przyda Josselyn. Wpatrzyła się w leśne ostępy, za którymi leżały ziemie Carreg Du; wciągnęła do płuc powietrze. Poczowała oddech nadchodzącej wiosny, zwierzyny i roślin budzących się z uśpienia. Przez całe lata uważała ten zapach za nieodłączną część jej świata. Był tak naturalny, że właściwie go nie zauważała. Teraz dopiero nauczyła się go cenić.

- Czy mogę napisać list?

_ Wiadomości, których nie jestem w stanie zrozumieć? Nie sądzę. Przekaż mi, czego ci potrzeba, a ja dopilnuję, by zaspokojono twe żądania.

Jęknęła w duchu. A cóż by jej z tego przyszło? Wciąż wpatrzona w gęstwiny puszczy, dostrzegła w niej jakiś ruch. Zerknęła na Randa, lecz jego uwaga skupiona była na twarzy pięknej branki. Udała, że wzdycha, ponownie kierując wzrok ku zaroślom. Czyżby ktoś z ludzi stryja? Nadeszli, by ją uwolnić?

Wiedziona impulsem, przysunęła się bliżej do murów, które w tym miejscu sięgały jej do bioder. Fortyfikacje były jeszcze może niskie, ale zapowiadały się imponująco: odległość dzieląca ściany bastionu przekraczała jej wzrost.

- Niech chwilkę pomyślę - mruknęła, próbując zyskać na czasie. Zatrzymała się tuż przy kamiennej ścianie i przeszukała wzrokiem las. - Potrzebna mi będzie czysta koszula. - Gdzież jest ten człowiek, którego dojrzała przed

chwilą? - Zapasowa para pończoch. - A może wyobraźnia spletała jej figła?

Nagle zakołysały się nisko zwieszona gałęzie ostrokrzewu i ku swemu przerażeniu - Josselyn dojrzała sylwetkę małej dziewczuszki. Rhonwen!

- Pończochy - powtórzyła, odwracając w popłochu wzrok.

Zaraz jednak powróciła spojrzeniem do kolczastej kępy. Co tu robiła Rhonwen? Czemu Gladys nie dopilnowała, by dziewczynka nie opuszczała wioski? Być może mała po prostu zlekceważyła nakazy matki, jak to miała w zwyczaju.

- Czy jeszcze coś?

Na głos Randa Josselyn aż podskoczyła, gdyż wypatrując Rhonwen, zapomniała o obecności swego ciemieżyciela. Zerknęła czujnie na Anglika, który przypatrywał jej się z zaciekawionym wyrazem twarzy. A gdyby odkrył, że ktoś czai się za krzakami?

Uświadomiła sobie nagle, że zna już odpowiedź na to pytanie: prostą i zaskakującą jednocześnie. Rand nie skrzywdziłby małej. Josselyn nie miała pojęcia, skąd wzięła się ta jej pewność, ale wiedziała, że ma rację. Poczwała, jak lęk o dziewczynkę ulatnia się, a w głowie rodzi się przebiegły plan. W skazała dłonią w kierunku lasu.

- Zdaje się, że mamy gościa.

Rand błyskawicznie zmienił obiekt zainteresowania i wpatrzył się w krzaki. Mięśnie jego ciała, wiedzione instynktem prawdziwego wojownika, sprężyły się, gotowe do walki. Nie wykonał poza tym najmniejszego ruchu, nawet nie drgnęła mu twarz. Pod pokrywką opanowania Josselyn wyczuła jednak napięcie tak wyraźne, że aż namacalne.

- Wracaj do mojej kwatery. Uśmiechnęła się słodko.

- Czyżby to przyszli moi ziomkowie, by uwolnić mnie siłą? Błyskawicznie uchwycił ją za ramię i zasłonił swoim ciałem. Jednocześnie wyciągnął krótki miecz. Zgrzytliwy dźwięk ostrza ocierającego się o stalową konstrukcję pokrytej skórą pochwy sprawił, że Josselyn przestała uważać sytuację za zabawną. Mocno uczepliła się ręki trzymającej oręż.

- To tylko Rhonwen, ta mała dziewczuszka. Pamiętasz ją? Nagle w powietrzu zawিrował pocisk, skalny okruch, rzucony z leśnej gęstwiny. Ciśnięty niewprawną ręką, odbił się od kamieni muru i upadł im do stóp, nie czyniąc nikomu szkody. Lecz za pierwszym pojawił się następny.

- Puść ją, ty wieprzu! - usłyszeli przenikliwy okrzyk po walijsku. - Ty podlecu, puść ją!

Całe napięcie opadło z Randa równie nagle, jak się pojawiło. Rozluźnił dłoń trzymającą miecz. Dopiero wtedy Josselyn zorientowała się, że wpija palce w jego rękę. Puściła ją jak oparzona.

Rand wsunął miecz z powrotem do pochwy, rzucił jej badawcze spojrzenie, po czym ponownie skupił uwagę na Rhonwen.

- Odejdź stąd, diabelskie nasienie! - wrzasnął w stronę wciąż niewidocznego dziecka. Machnął pięścią. - Wracaj do domu, gdzie jest twoje miejsce!

- Ona nie rozumie ani słowa z tego, co krzyczysz.

- Więc ty jej to powiedz. Powiedz jej, żeby się trzymała z daleka. Inaczej i z niej zrobimy zakładniczkę.

- Nie, nie ośmieliłbyś się tego zrobić. - Josselyn potrząsnęła głową. - To czcza pogroźka, oboje o tym wiemy.

Ujrzawszy lekki uśmiech na twarzy Randa zdała sobie

sprawę, że sama się uśmiecha.

- Tak dobrze mnie znasz?

Odwróciła wzrok od błyszczących oczu Anglika. To mój wróg, nienawidzę go - powtórzyła w myśli wyuczoną na pamięć litanie. Musi wykorzystać sytuację, zachować zimną krew bez względu na to, jak bardzo atrakcyjny wydaje jej się jego uśmiech. Odchrząknęła.

- Rhonwen martwi się o mnie. Kiedy zobaczy, że nic mi nie jest, uspokoi się i wróci do domu. Spróbuję ją przekonać, że nie musi się o mnie bać. - Odwróciła się w stronę lasu.

- Rhonwen, czy to ty?

- Uciekaj, Josselyn! Jeśli będzie cię gonił, rzucę w niego kamieniem!

- O co jej chodzi z tym kamieniem? - zapytał Rand, stojący za jej plecami.

- Mówi, że cię uderzy kamieniem w głowę.

- Hmm. Powiedz jej, żeby wróciła do domu. Że nie dzieje ci się tu nic złego.

- Posłuchaj, Rhonwen. Słuchaj mnie uważnie. Nie dzieje mi się tu krzywda, ale musisz przekazać ważną wiadomość mojemu stryjowi.

- Czemu nie uciekasz?! - odchrząknęło dziecko. Kolczaste gałęzie zakołysały się i zza krzaków wyłoniła się najpierw jedna stopa, potem druga. Dziecko wygięło się w zręcznym skoku i zgrabnie wylądowało na ziemi.

- Spiesz się. Biegasz szybciej niż on.

- A co teraz mówi? - przerwał im Rand.

- Próbuję ze wszystkich sił ją przekonać, że nie stanie mi się tu krzywda. Przed chwilą widziała, jak wyciągasz miecz, a wie doskonale, że nie pozwalasz mi odejść. Czy małe

dziecko w takiej sytuacji może nie wyobrażać sobie najgorszego? Zdaje się, że to chwilę potrwa.

- Nie trać więc czasu .. Mam inną robotę, zamiast pieścić się z dziećmiakami.

Josselyn stłumiła triumfalny uśmiezek.

- Posłuchaj uważnie, Rhonwen. Chcą, żebym poślubiła pewnego Anglika. Brata tego tutaj. Powiedz stryjowi, żeby pilnował szlaku, uwięził przybysza i wymienił go na mnie.

- Miałabyś poślubić Anglika? - Nawet na odległość było widać przerażenie na twarzy dziecka.

- Jeśli stryjowi uda się porwać go z drogi, nie będę musiała wychodzić za niego, prawda? Musisz mu to wyjaśnić. Czy wszystko zrozumiałaś?

W krótkiej chwili milczenia, jakie nastąpiło, Josselyn modliła się, żeby Rhonwen zdała sobie sprawę z wagi swej misji. Z ulgą ujrzała wreszcie, jak dziecko odsuwa z twarzy potargane włosy i z determinacją spluwa pod nogi.

- Nienawidzę tych Anglików. Zabili mi ojca. Ale ciebie nie zabiją, nie pozwolę im na to.

- Przekażesz więc stryjowi, co ci powiedziałam?

- Powiem mu.

- No i cóż? - wtrącił Rand. - Wygląda na spokojniejszą.

- Powiedziałam jej, że nie ma się o co martwić.

- Powiedz jej od razu, czego potrzebujesz. Odzież, drobiazgi toaletowe. Być może poczuje się lepiej, skoro się przekona, że może ci być w czymś pomocna.

Josselyn spojrzała na niego, zaskoczona tą dość niezwykłą uwagą. Rand patrzył na dziewczynkę stojącą po przeciwnej stronie przesieki.

- Dobrze - zgodziła się, wciąż zdziwiona. - Rhonwen, jest coś

jeszcze, co możesz dla mnie zrobić. Powiedz ciotce, żeby przysłała mi kilka rzeczy. Grzebienie, trochę odzieży. Być może będę musiała zostać tu jeszcze przez jakiś czas. A na pewno lepiej, żeby ten Anglik tak myślał.

- Powiem jej - obiecało dziecko. - Nie martw się, Josselyn, uwolnimy cię. A wtedy zakłujemy wszystkich Anglików nożami i odeślemy ich z powrotem do tego ich króla na statku, którego pokłady spłyną krwią. - Rhonwen machnęła ręką, odwróciła się z rozmachem, aż zawirowały jej spódnice, i zniknęła.

- Co powiedziała na samym końcu? Coś o Anglikach i statku.

- Mówi się, że jej ojca zamordowali Anglicy. Chciałaby odwdziżyć się w podobny sposób.

- Cóż za żadna krwi dziewczuszka!

- Ma powody, nie sądzisz? Ale o tym nie będziemy teraz rozmawiać. - Josselyn zdała sobie sprawę, że po odejściu dziecka uwaga Randa ponownie skupiła się na jej osobie. - Rhonwen opowie ciotce o moich potrzebach, nie musisz więc wyprawiać posłańca.

- Jakże to się dobrze składa ... dla mnie. Czy może dla ciebie?

- Uniósł jedną brew w kpiąco-badawczym grymasie, który już kilka razy pojawiał się na jego twarzy. - Powiedz mi, Josselyn, jeśli łaska, gdzież to zdążałaś w takim pośpiechu, gdy zastąpiłem ci drogę?

- Szukałam cię, a cóż by innego? - Wzruszyła ramionami. □
Czemu pytasz? Czyżbyś się lękał, że spróbuję uciec?

- Jestem pewien, że gdybyś uznała, iż może ci się to powieść, dawno już byś spróbowała.

- Tak, już dawno bym to zrobiła.

Stali o kilka kroków od siebie, mając z jednej strony linię murów i brzeg lasu, a z drugiej obozowe zabudowania. Wtem zza zasłony chmur przedarło się słońce, niecąc iskry we włosach Anglika, czarnych jak mrok północy. Josselyn przełknęła ślinę.

- No cóż, chyba czas na mnie. Muszę wracać do kuchni. Złapał ją za rękę.

- Nie powiedziałaś mi, dlaczego mnie szukałaś.

Zadrżała pod lekkim dotykiem, który, choć tak bezosobowy, wydał jej się czymś bardzo intymnym. Przebiegła ją nagle fala zimna ... czy też gorąca? Sama nie wiedziała. Zmusiła się do odpowiedzi.

- Teraz widzę, że to był niemądry pomysł. Chciałam cię nakłonić, byś puścił mnie wolno. Przekonać cię, że trzymanie mnie jako zakładniczki nie ma właściwie sensu.

- Rozumiem. I nie miałaś pojęcia, że ktoś z twoich ziomków kryje się w zasięgu wzroku i uszu?

Josselyn zjeżyła się.

- A skąd niby miałabym o tym wiedzieć? I cóż by mi z tego przyszło, nawet gdybym wiedziała? - Odsunęła się, a Rand puścił jej rękę. - Więc zwrócisz mi wolność?

Potrząsnął głową.

- Nie. - Mierzył ją wzrokiem, jak gdyby szacował jej wartość, lecz nie mogła zgadnąć, czy robi to w swoim, czy w brata imieniu. - Nie, zatrzymam cię tutaj dopóty, dopóki będą istnieć ku temu powody.

- Ci jfiiaidd! - Wściekła, wzburzona, z nie znanych sobie przyczyn zmieszana dziewczyna zakręciła się na pięcie i odeszła. Słyszała, jak Anglik podąża tuż za nią.

- Przynieść mi trochę strawy z kuchni! - krzyknął. - I

powiedz Odowi, żeby zagrzał mi wodę na kąpiel. Potem przyjdź do mojej kwatery. Nie wypełniłaś jeszcze wszystkich swoich obowiązków.

Josselyn kopnęła mały kamyk, ledwie powstrzymując się, by go nie podnieść i nie rzucić w Randa. Niech będzie przeklęta jego dusza za męki, jakie jej zadaje! Dobrze więc. Odegra się na nim! Odkryła już kilka sztuczek, które może użyć przeciw niemu. Miała co najmniej trzy rodzaje broni do dyspozycji i zamierzała posłużyć się nimi w razie potrzeby: znała oto co najmniej trzy słabości Anglika.

Po pierwsze, Rand to człowiek nie pozbawiony poczucia honoru.

Ma w sobie ziarno uczciwości, które nie pozwoli mu na czyn łajdacki wobec niej, choćby uznawał w niej swojego wroga. Przebywała w jego towarzystwie wprawdzie dość krótko, ale pod tym względem zdążyła go już poznać. Druga broń to plan wydania ją za Jaspera, jego własnego brata; Josselyn nie mogła uwierzyć, by Rand był zdolny ją zhańbić, a potem bez skrupułów wydać ją za swego brata. Niektórzy mężczyźni mogliby postąpić tak lekkodusznie, ale nie on. Miała wszakże w rękach jeszcze jeden oręż, lecz ten był obosieczny i wyruszając z nim do pojedynku, równie dobrze sama mogła odnieść rany. Rand jej pożądał. Gdyby potrafiła kontrolować swoje reakcje na jego zaloty, mogłaby go dręczyć, podczas gdy sama kryłaby się za tarczą jego poczucia honoru i planów zaślubin z Jasperem. Mogła zadawać mu niewyobrażalne tortury ... gdyby tylko potrafiła zachować kontrolę nad swoimi odruchami. A on, drażniony i wiedziony na pokuszenie, mógłby utracić czujność, a wtedy jej udałoby się uciec. Gdyby tylko umiała

się mu oprzeć.

Musiła długo łapać oddech, stojąc oparta o ścianę kuchni, sama nie wiedząc, czy to pospieszny krok, czy emocje spowodowały, że się zadyszała. Zerknęła za ramię. Rand zatrzymał się, by porozmawiać z Alanem, lecz w tej samej chwili podniósł głowę i natknął się wzrokiem na jej spojrzenie.

Spuściła oczy czując, że serce bije jej coraz szybciej.

Nie, tak dłużej nie może być, nie powinna wzdrygać się jak spłoszony królik pod byle spojrzeniem Anglika. Zacisnęła zęby i pięści. Dobrze, nakarmi go, pomoże mu się wykapać. I pozostanie obojętna na jego męskie czary. To jedyna szansa, by powrócić do swoich.

Do Owaina?

Nie - w tej chwili, stojąc pod drzwiami kuchni angielskiego obozu, podjęła ostateczną decyzję. Nie wyjdzie za Owaina. Nie może tego uczynić. Będzie musiała razem ze stryjem wymyślić jakiś inny sposób, by zyskać sojusznika i wypędzić angielskich najeźdźców. Nie zrobi tego poprzez zaślubiny z Owainem.

Przez głowę przemknęła jej dziwna myśl: To przez Randulfa Fitz Hugh. Pożądam go, więc nie mogę sobie wyobrazić, że dzielę łożę z Owainem. To była prawda, lecz знаła też inną prawdę: On jest moim wrogiem, nienawidzę go. Powtórzyła te słowa jak litanie ostatniego ratunku, zbierając siły do chwili, w której będzie musiała usługiwać Randowi w kąpieli.

Z rozmachem otworzyła drzwi kuchni, rozwścieczona wewnętrzną rozterką, rozdarta między sprzeczne emocje.

_ Zagrzej wodę! - rzuciła ostrym tonem do zaskoczonego

Oda. □ Dużo wody. Kiedy będzie gorąca, zanieś ją do kwatery swojego pana.

- Znowu chce się kąpać?

- On sam nie wie, czego chce - mruknęła cicho, bardziej do siebie niż do służącego.

Odo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zda mi się, że on bardzo dobrze wie, czego chce, panienko. On chce ciebie.

- Czyń, co ci kazano, i oszczędź swoje żarciki dla bardziej łaskawych uszu! - skarciła chłopaka, widząc jego uśmiech i czując, jak jej twarz płoni się z zażenowania.

Wszyscy wiedzieli, czego chce Rand, i wszyscy najwyraźniej sądzili, że to dostanie! Nie zdziwiłaby jej wiadomość, że zakładają się o ostateczny wynik tej rozgrywki. Lubili się zakładać o byle co.

Lecz wiele się jeszcze muszą nauczyć o dumie Walińczyków.

A pierwszym, który się o tym dowie, będzie ich pan, Randulf Fitz Hugh.

Modliła się o siłę, która pozwoliłaby jej zachować obojętność niezbędną przy udzielaniu mu tego rodzaju lekcji.

Rozdział czternasty

Odo ustawił na posadzce luksusowy sprzęt - kosztowną blaszaną balię - po czym przydźwigał dwa wiadra pełne parującej wody. Josselyn, której lęk rósł w miarę, jak zbliżał się obrządek kąpieli, nie ruszyła się nawet, by pomóc chłopakowi.

Czy Rand zrzuci wszystkie szaty w jej obecności? Czy

zażąda, by natarła mu całe ciało, czy też wystarczy, jeśli namydli części widoczne ponad powierzchnią wody? Nigdy przedtem nie widziała wanny tego rodzaju - owalnej i głębokiej. Znała jedynie kąpiel w lodowatym nurcie rzeki. Wszystkie pozostałe zabiegi toaletowe wykonywała za pomocą nawilżonej szmatki i mydła, które własnoręcznie wyrabiała z ciotką Nessie. Nigdy nie kąpała się w wannie, nie widziała ablucji tego rodzaju i nie miała pojęcia, czego od niej oczekiwano.

Była pewna tylko jednego - że Rand doskonale mógłby poradzić sobie sam, bez jej asysty. Gdyby zechciał. Cały problem polegał wyłącznie na tym, iż nie chciał. Zamierzał zmusić ją do usług a może do czegoś innego?

Pokonała strach i wzięła się w garść. Odo uśmiechnął się do niej i zmrużył porozumiewawczo oko, ale odpowiedziała mu niewdzięcznym grymasem.

- Wracaj do swojej roboty. A jeśli przybędzie ktoś z Carreg Du i przyniesie mi węzełek z rzeczami, nie zwlekaj, lecz od razu mi go tutaj przynieś. Czy zrozumiałeś? - dodała niecierpliwie, widząc, że chłopak nie przestaje się na nią gapić.

- Nie musisz się na mnie złościć, panienko. To przez milorda Randa tak się turbujesz, nie przeze mnie. A szkoda - ciągnął, nie starając się nawet zniżyć głosu do szeptu.

- Zniknij stąd; łachudro!

Lecz gdy wyszedł, zapragnęła z powrotem jego obecności. Lepiej by się czuła w towarzystwie, nawet głupkowatego angielskiego służącego, niż sama ze swoim lękiem. Rozejrzała się po komnacie. Na zewnątrz zmierzchało już, w kątach izby zaległy pierwsze cienie wieczoru.

Jeśli miała z powodzeniem odpierać uwodzicielskie zabiegi Randa, przydałoby się więcej światła. Oczywiście, miała nadzieję, że zada mu cierpienie widokiem swoich wdzięków i będzie się rozkoszować jego niespełnioną żądzą. To było jedyne narzędzie władzy, jakim dysponowała. Na nic się jej wszakże nie przyda, jeśli nie zdoła powściągnąć własnych przekornych pragnień. Doceniała ryzyko planu, ale tylko w ten sposób mogła osiągnąć upragnioną nagrodę - wolność. Wepchnęła więc suchą gałąź w żar na kominku, zapaliła lampę i wszystkie cztery świece, jakie znalazła w komnacie. Stwierdziła, że tak jest o wiele lepiej. Złocisty blask rozproszył niepokojące cienie w kątach izby. Mogła podsycić ogień, ale czemu miałyby się trudzić, by izba była przytulniejsza? Dla niego? Im chłodniej, tym krócej będzie trwała kąpiel. Może ten jego rozgrzany ptaszek zamarznie w przeciągu i odpadnie mu na dobre.

Frywolna myśl przywiodła ją do śmiechu, lecz wesołość nie trwała długo. Świat byłby o wiele lepszy, gdyby niektórzy nadmiernie chutliwi mężczyźni poddawani byli takiej operacji! Magiczna kąpiel, członek odpada, a wraz z nim - cała ich potęga i moc. Nie miała najmniej szych wątpliwości, że utrata męskości przemieniłaby największego okrutnika w potulnego baranka. Gdyby usunąć ptaszka Owainowi, być może dałoby się wykorzenić z niego złośliwość i gwałt.

Josselyn pomyślała w zadumie, że jako żona Owaina być może zostałaby zmuszona do sprawdzenia tej teorii w praktyce.

Lecz to nie on był w tej chwili bezpośrednim zagrożeniem.

Usłyszała za drzwiami kroki, jak gdyby przyciągnęła swego prześladowcę myślami. Ledwie zdążyła usiąść na zdyłu

przed paleniskiem.

- Cóż za domowa scenka, jaki przytulny wieczór. - Rand się zaśmiał. - Parująca balia, zastawiony stół, a piękna dziewczeczka czeka, by mnie obsłużyć. - Ściągnął rękawice i powiesił na haku w ścianie pochwę z orężem. - Najpierw wezmę kąpiel, do wieczery usiądę potem. Podejź i pomóż mi zrzucić szaty, moja Josselyn. Przysuń jadło do ognia, by nie wystygło ... - Urwał. - Czemu nie ma ognia na kominku? - Czyżbyś życzył sobie ognia, panie? Nie pamiętam, abyś wydawał takie polecenie.

Zsunął z głowy kaptur i odrzucił go na bok. Popatrzył jej prosto w oczy.

- Ach, być może nie podsyciłaś ognia w palenisku, gdyż zamierzasz podsycić innego rodzaju ogień, we mnie. Czuję, jak tli się już żar - dodał, błędząc po całym ciele dziewczyny pieśczośliwym wzrokiem, który zdawał się palić jak ogniem.

To mój wróg, nienawidzę go - powtórzyła w myślach Josselyn, rzucając mu jednocześnie spojrzenie pełne wzdąrdy.

- Czy twój brat ma równie ograniczone zainteresowania? Czy widzi w każdej kobiecie jedynie narzędzie do zaspokajania żądz?

Drgnął, jakby połała go kubłem zimnej wody, lecz szybko odzyskał pewność siebie.

- Jeśli zasługuje na reputację, jaką cieszy się w Londynie, to obawiam się, że twoje słowa trafnie go opisują. Lecz wiedz, śliczna Josselyn, że ja dostrzegam w tobie o wiele więcej.

- Ach, tak! Jestem pionkiem w twojej politycznej rozgrywce. Robisz mną odpowiedni ruch i osiągasz swoje zamierzenia.

- Miałem na myśli co innego, to, że jesteś całkiem użyteczną służką, zdatną do tego, by mnie omywać z potu i kurzu po ciężkiej pracy.

- Służką ...

- Zaczekaj, niech skończę. Poza tym widzę w tobie utalentowaną tłumaczkę i zręczną instruktorkę.

Szczerść, która zabrzmiała w ostatnich słowach Randa, nieco ułagodziła Josselyn. Pokój nie trwał jednak długo, gdyż Rand z szerokim uśmiechem usadowił się na krześle i wyciągnął w jej stronę obutą stopę.

- W tej chwili nie potrzebuję usług tłumacza ani nauczyciela, moja Josselyn, lecz panny kąpielowej. Zbliź się, dziewczeczko. Zzuj swemu panu obuwie i pomóż mu się rozdziać, by mógł się zanurzyć w tej tam wannie, zanim woda do reszty ostygnie.

Udało jej się ukryć furję. Stłumiła ochotę, by chwycić wiszący na ścianie miecz i uciąć mu część ciała, w której tkwiło źródło męskiej arogancji. Już raz próbowała bez powodzenia wybronić się od tych posług, wiedziała więc, że próżno byłoby się targować. Szybko pomogła mu się rozebrać, zzuć buty, pończochy, zdjąć tunikę i koszulę i rozluźnić wiązania nogawek spodni.

- Z resztą poradysz sobie sam - wymamrotała i odwróciła głowę, udając, że szuka ręcznika. Nie miała zamiaru ściągać z Anglika opaski na biodrach.

- Owszem, tak sędzę. Mimo to wolałbym, abys ty mi pomogła powiedział gardłowym szeptem.

Josselyn przełknęła nerwowo ślinę. Postaraj się nie zwracać uwagi na jego wybiegi, ignoruj go. Pamiętaj natomiast, że musisz znaleźć sposobność do ucieczki - powtarzała w

myślach. Z przymusem spojrzała na Randa, lecz tym razem utkwiała wzrok w twarzy, nie pozwalając oczom ześlizgnąć się niżej.

- Nie jestem obeznana ze zwyczajami Normanów. Czy żona wyręcza w tym męża? Czy będę w obowiązku wypełniać tę posługę wobec twojego brata?

Na wzmiankę o bracie zmarszczył groźnie czoło, a Josselyn poczuła ponurą satysfakcję.

- A więc powinnam ćwiczyć rytuał kąpieli na tobie - ciągnęła bezlitośnie - aby tym lepiej usłużyć przysłemu małżonkowi, twemu bratu? - Uśmiechnęła się, śledząc nerwowe drganie małego muskułu podbródka.

- Nigdy nie miałem żony, więc nie wiem, jakie drobne posługi spełnia niewiasta wobec męża. Podejrzewam, iż każda para ma inne zwyczaje. - Wciąż odwrócony do niej twarzą zaczął sam ściągać płócienną opaskę.

Jakimś cudem udało jej się utrzymać oczy na jego twarzy.

Wiedziała, że Rand chce ją sprowokować, lecz za wszelką cenę postanowiła wygrać ten pojedynek. Było jej nad wyraz ciężko, gdyż bardzo chciała zobaczyć wszystko. Ujrzeć jego męskość w całej krasie, zbadać uważnie męski urok nie osłonięty nawet strzępkiem odzienia, doszukać się źródła pociągu, jaki w niej budził.

Miała się wszak na ostrożności, gdyż znała już pułapkę, jaka na nią czyhała. Uparcie wlepiła oczy w twarz Anglika i liczyła w myśli od dziesięciu do zera: najpierw po walijsku, potem we francuskiej mowie Normanów, na końcu po angielsku. Nareszcie Rand zrezygnował, zaklął grubiańsko i wszedł do blaszanej wanny.

Dopiero wtedy Josselyn pozwoliła sobie na głębszy oddech.

Poczuła się na tyle bezpiecznie, by zamrunąć i rozkurczyć zeszywniałe palce. Tak mocno zaciskała pięści, że teraz czuła ból w krwawych półksiężycach wyciśniętych paznokciami we wnętrzu dłoni. Nie przejęła się zresztą tą drobną niedogodnością, dumna, że zdołała się oprzeć Anglikowi w chwili, której tak się lękała.

Teraz nadszedł czas, by się przekonać, czy on potrafi oprzeć się jej.

- I co teraz? Jak żona wojownika Normanów kąpie swego małżonka? - spytała, przysuwając się do balii tak, by mógł widzieć ją całą. Głowa wysoko. Piers naprzód. Leniwie zakołysała biodrami.

Z ust Randa wymknęło się kolejne zduszone przekleństwo, wypowiedziane po angielsku, który to język znał wiele wulgarnych słów.

- Najpierw taka żona podsycy przeklęty ogień w przeklętym kominku!

- Doskonale. - Posłała mu słodki, sarkastyczny uśmiech i odeszła wypełnić jego życzenie. Skupiona na podrzucaniu małych szczapek i gałązek, podkładaniu trzech większych kłód, które miały podtrzymać budzące się do życia płomienie, przez cały czas każdym nerwem ciała czuła bliskość Randa.

Nie ruszył się, by sięgnąć po mydło ani myjkę. Nie pluskał się ani nie chlapał wodą dokoła. Siedział zanurzony w balii. Gdyby nie rytmiczny odgłos oddechu, mogłaby sądzić, że jest w izbie sama. Ogień buzował, płomienie sięgały coraz śmielej, nie miała dłużej powodu klęczeć przed kominkiem. Z ociąganiem wstała i odwróciła się. Jak się spodziewała, Anglik nie spuszczał z niej oczu.

- Być może nie powinienem wydawać cię za mego brata. Serce skoczyło jej w piersi, po czym zaczęło trzepotać gwałtownym rytmem. Wołała nie zadawać sobie pytania, czemu miałoby ją w ogóle obchodzić, jakie Randulf Fitz Hugh ma plany w stosunku do jej osoby. Sięgnęła po mydło i wrzuciła je bezceremonialnie do wody między kolana Randa wystające ponad jej powierzchnię.

- Planuj sobie, co chcesz. Pozostaje faktem, że w końcu i ty, i twój brat, a wraz z wami wszyscy budowniczy, kamieniarze i żołnierze, znikniecie stąd, podczas gdy Walińczycy tu zostaną. A wtedy poślubię tego, kogo zechcę.

- Owaina ap Madoca?

Posłała myjkę w ślad za mydłem.

- Owain jest mi niemal tak odrażający jak ty.

- Ach, więc uważasz, że jestem odrażający? Nie dostrzegłem tego.

- Jesteś Anglikiem. To wystarczający powód do odrazy dla każdej prawdziwej córki Cyrmu.

Rozsiadł się nieco wygodniej w wannie, przerzucił ramiona przez jej wygięty brzeg.

- Tak powiadasz? Być może powinienem cię ostrzec, że słyszałem plotki, jakoby Jasperowi udało się zwabić do swego łóżka nie jedną, lecz dwie mniszki naraz.

Josselyn patrzyła na niego bezgranicznie zdumiona. Dwie mniszki? To na pewno bajdy! Zamknęła gwałtownie szeroko rozdziawione usta.

- Kłamiesz.

- Tak głosi plotka. Kiedy przybędzie, możesz sama go spytać, czy to prawdziwa opowieść. Początkowo sam Jasper był przeznaczony do kariery kościelnej, lecz okazało się, iż

ten rodzaj życia mu nie służy. - Rand urwał i obserwował reakcję dziewczyny. - Skoro nawet mniszki nie potrafią mu się oprzeć, ciekawe, jak zachowasz się ty, ze swoją namiętą naturą.

Zanurzył się cały, a kiedy z powrotem wychynał nad powierzchnię, prychając i wycierając wodę z powiek, ujrzał, że Josselyn tkwi bez ruchu nad wanną. Upadły kapłan, uwodziciel mniszek? Rand mógł mówić szczerą prawdę lub okrasić ją szczyptą fantazji, lecz i tak Josselyn wiedziała, że musi ponowić wysiłki znalezienia drogi ucieczki. Rand miał na nią większy wpływ niż jakikolwiek inny mężczyzna. Ten jego brat... Nie miała ochoty spotykać brata, którym tak się przechwalał. Lecz nie wolno jej tego okazać.

Z udawaną nonszalancją zbliżyła się do wanny.

- Skoro jest pociągający, być może nie będę z nim tak nieszczęśliwa, jak to sobie wyobraziłam. Kiedy ma przyjechać?

- Wkrótce.

Wkrótce. Powinna dowiedzieć się czegoś więcej, żeby umożliwić stryjowi zajechanie drogi przybysza i porwanie go. Niestety, nic więcej nie mogła wyczytać z twarzy Randa. Gniew, który dotychczas tlił się słabym ognikiem w jej sercu, zapłonął podsycany poczuciem bezsilności. Zawinęła rękawy i nie odwracając wzroku od oczu Anglika, sięgnęła śmiało pod powierzchnię wody.

Na szczęście jej palce trafiły na myjkę, zanim zdążyły natknąć się na coś zgoła innego.

- Zajmijmy się wreszcie kąpielą - zaproponowała z przekąsem. - Powiedz mi, czego będzie się teraz po mnie spodziewał mój normański małżonek?

- Tego samego co walijski, jak mniemam. Najpierw zechce, byś odszukała mydło.

- Podaj mi je, a zacznę cię myć.

- To ty wrzuciłaś je do wody.

Zamierzał ją zmusić, by je wyłowiła, i sądził, że będzie się wzdragać - Josselyn celnie odszyfrowała błysk w jego oczach. Nie pozwoli, żeby ten angielski panicz zdobył nad nią przewagę! Ze śmiałością, która zaskoczyła przede wszystkim ją samą, ponownie zanurzyła ramię w wodzie. Tym razem nie starała się unikać dotyku jego obnażonych nóg. Przeciwnie: z rozmysłem musnęła knykciami śliską skórę uda.

- Gdzież ono jest? - snuła na głos rozważania, macając jednocześnie dłonią po dnie balii. Ramieniem szturchnęła jedną z podgiętych nóg, potem drugą. Słyszała, jak Rand wciąga ze świstem powietrze; sama oddychała ciężko w tym samym rytmie. Rozgrywała grę niebezpieczną, lecz jakże podniecającą. Zanurzyła ramię po łokieć, pochyliła ramiona ku piersi Anglika. Głową prawie dotykała jego czoła. Gdyby teraz spojrzała mu w oczy ...

Znalazła mydło między jego stopami i poczęła prostować plecy.

Rand bez ostrzeżenia zwarł nogi, więżąc jej ramię między silnymi łydkami, a gdy podniosła wzrok, jej triumf ustąpił miejsca przerażeniu. Złapała się w pułapkę, którą własnoręcznie zastawiła! Sięgnął po jej zanurzoną dłoń, znalazł pięść wciąż zaciśniętą na kawałku mydła i pociągnął ją między swoje rozchylone uda.

- Widzisz, co ze mną wyprawiasz? - wychrypiał głosem przenikniętym żądzą, pocierając jej pięścią wzdłuż

zesztywniałego członka. - Widzisz?

Josselyn nie mogła wydusić ani słowa. Miała zamiar go drażnić, torturować jego zmysły, korzystając z osłony, jaką jej dawało planowane małżeństwo z bratem Randa, by powstrzymać jego rozpaloną żądzę. Nie doceniła wszakże własnej namiętności.

Drugą ręką objął ją za szyję, wplątując palce we włosy. Mydło wyslizgnęło się z bezwolnej ręki dziewczyny.

- Widzisz, do czego doprowadziłaś swoimi sztuczkami-
mruknał, z wolna przyciągając do siebie jej głowę. Poczowała jego wargi na swoich ustach i wszelkie myśli o drażnieniu zmysłów Anglika .. : o ucieczce od niego czy jego brata ... poszły w niepamięć. W zetknięciu warg roztopiły się w nicość plany i knowania, a przed Josselyn otwarła się jedyna możliwa do przyjęcia przyszłość, jedyny kierunek postępowania, jaki mogła sobie w tej chwili wyobrazić: musi go całować i pozwolić mu się całować, musi dać się ponieść spirali zmysłów, dokądkolwiek ją zawiodą.

Zwarli wargi w jeszcze ciaśniejszym pocałunku, jak gdyby chcieli się stopić w jedną istotę. Rand wciągnął dolną wargę dziewczyny między swoje zęby i drażnił ją językiem, aż rozwarła usta, pozwalając mu w nie wnikać.

Jednocześnie Rand wypuścił jej zanurzone ramię i objął ją za ramiona, przyciągając bliżej do siebie. Dłoń Josselyn spoczęła na jego twardym, porośniętym szorstkimi włosami udzie. Przesunęła wyżej palce, instynktownie próbując znaleźć punkt oparcia, aby nie opaść na niego całym ciężarem, i natknęła się na gładką skórę bioder i twarde mięśnie płaskiego brzucha i torsu.

Sięgnął językiem głęboko między jej wargi, mokrą dłonią

obwiodł wypukłość jej piersi.

- Zaczekaj ... - zaczęła Josselyn.

- Czekanie się skończyło. - Szarpnął ją tak, że straciła równowagę i wpadła do wody, przygniatając go swym ciałem.

Nagle poczuła, że jest mokra, rozpalona i zagubiona w odmętach nie znanych jej dotąd emocji. Co ona takiego wyczynia?

Raud najwyraźniej wiedział, co sam wyczynia i co chce, by ona robiła. Pogłębił bowiem pocałunek, wzniecając językiem ogniki przebiegające przez całe ciało dziewczyny. Czy wiedział, że rytmiczne głaskanie wewnętrznej strony jej warg rozpala ogień w jej podbrzuszu? Czy wiedział, że dłoń obejmująca jej piersi krzesze iskierki żądzы przeszywające ją od stóp do głów? Czy spodziewał się tak szybko zamienić jej opór w entuzjastyczne współdziałanie?

Gdyż wbrew logice i wszystkim postanowieniom Josselyn próbowała oddać mu to, czym ją obdarował, podniecić go dotykiem języka i pieszczotą palców podrażnić płaskie męskie sutki. Nie, nie uda mu się pozbawić jej kontroli nad zmysłami. Potrafi nad nimi zapanować - i nad tym mężczyzną.

Lecz wystarczyło, że sięgnął dłonią poniżej pleców i zadarł jej spódnicę, po czym przebiwszy się przez suto namarszczone fałdy tkaniny, dotarł do nagiego ciała ud i bioder, a przekonała się, że nie panuje już nad niczym. To jemu udało się ją osiąść. Była nowicjuską w rękach mistrza, instrumentem, na którym artysta doskonały wygrywał misterne melodie.

- Pozbądźmy się tej wełnianej szaty, dobrze? - Wyprostował

się i wychlapał połowę wody z wanny na podłogę. Teraz i jej spódnice nasiąkły. Klęczała w ciepłej kałuży, która szybko stygła na kamiennej posadzce.

- Gdzie są sznurówki? - spytał, macając u boku skromnej sukni.

- Zaczekaj. Nie możesz ... Co robisz?

Przyciągnął dziewczynę do siebie, uwięził w pocałunku i nie puścił, aż poczuł, że jej ciało mięknie w jego uścisku. Jak to możliwe, że tak łatwo udało mu się ją uwieść?

- Uczę cię, jak lubi być kąpany mężczyzna. Każdy mężczyzna - podkreślił, obciągając zarówno wierzchnią szatę, jak i koszulę Josselyn, aż obnażył białe ramiona. Przyłgął do nagiej skóry wargami, które podążały coraz niżej.

- To ... to nie jest kąpiel. - Josselyn z trudem łapała oddech, lecz gdy się odwrócił do niej twarzą, spontanicznie go pocałowała.

- To wstęp do kąpieli - cierpliwie rozwiązywał sznurowania sukni. Jednym szarpnięciem zsunął tkaninę poniżej ramion i ciągnął dalej, aż wydobył na światło dzienne doskonałe w kształcie półkule piersi. Dopiero wtedy wypuścił dziewczynę z objęć i odsunął się nieco.

Josselyn wciąż, klęczała, nie mogąc ruszać ramionami uwięzionymi w wąskim otworze dekoltu. Rand wyprostował się w balii, sycąc wzrok widokiem jej nagiego ciała. Żaden mężczyzna jeszcze jej takiej nie oglądał. Na pewno nigdy nie zamierzała zdradzać mu sekretów swej nagości. Lecz gdy wzrok Randa prześlizgiwał się po jej postaci, Josselyn drżała w przypiływie podniecenia. Sutki podniosły się i zeszywniały na podobieństwo małych

różnych kamyczków, odcinając się rumieńcem od bieli otaczającej je skóry.

Wyciągnął palec i zatoczył krąg wokół jednej, a następnie drugiej brodawki. Z ust Josselyn wyrwało się ciche westchnienie. Przeciągnął kciukiem przez sterczący pagórek i poczuł, jak całe ciało dziewczyny kurczy się w namiętnej odpowiedzi na pieszczotę. Tym razem nie zdołała stłumić jęku.

- Czy mam cię tu pocałować, Josselyn? - Podniósł oczy ku jej twarzy. - Czy chcesz tego?

- Tak.

Jak to się stało, że dała przyzwalającą odpowiedź na to niesłychane, bezczelne pytanie? Kiedy przyciągał ją do siebie, by łagodnie polizać najpierw jedną, potem drugą sutkę, Josselyn zrozumiała przyczynę swej zgody: czyż inna odpowiedź byłaby w ogóle możliwa?

- Całą cię skąpię w pocałunkach - wymruczał z ustami przyciśniętymi do jej rozpalonej skóry. - Moje wargi dotrą do wszystkich zakątków twego ciała - wyszeptał pomiędzy jednym i drugim ukąszeniem, które choć delikatne, były tak namiętne, że prawie sprawiały jej ból. Prawie. - Zjem cię, pochłonę całą. Uczynię z ciebie moją własność ...

Uczynię z ciebie moją własność.

- A ... a co będzie, gdy przyjedzie twój brat?

Utulił jej piersi - jedną w każdej dłoni - i spojrzał w górę.

Wyczytała w jego płonących oczach zaciętą determinację człowieka, który zdecydował się wziąć coś w posiadanie.

- Zapomnij o moim bracie.

Z nieznośną precyzją muskał kciukami jej sutki. Była bliska omdlenia z niewyobrażalnej rozkoszy. Lecz nadal wiedziała,

że nie wolno jej się poddać. Jeszcze nie teraz.

- Nie będziesz mnie więc zmuszał do tego małżeństwa? Zrobił ruch, jak gdyby znowu chciał ucałować jej sutki, lecz zdążyła uwięzić jego głowę między dłońmi.

- Muszę wiedzieć, jakie są twoje plany względem mojej osoby. Czy zmusisz mnie do poślubienia Jaspera?

Potrząsnął głową.

- Nie.

Odetchnęła z ulgą. Do chwili, gdy usłyszała te słowa, nie wiedziała, jak rozpaczliwie pragnęła, by jej przyrzekł, że nie będzie siłą kojarzył jej ze swoim bratem.

- Co więc zamierzasz ze mną zrobić?

Zamglony pożądaniem wzrok wyostrzył mu się odrobinę.

- Sądzę, że nawet dziewica nie powinna mieć wielu wątpliwości co do zamierzonego kierunku moich działań.

Rzeczywiście nie miała wątpliwości, szczególnie gdy wstał na równe nogi i wyszedł z wanny, ociekając wodą, ze sterczącą męskością. Przyciągnął ją silnie do siebie:

- Mam zamiar kochać się z tobą. Tu i teraz.

Mocno szarpnął jej zmiętoszoną suknię. Usłyszała dźwięk rozdieranej tkaniny. Ponownie szarpnął i suknia opadła do bioder, choć ręce Josselyn miała nadal uwięzione w długich rękawach. Próbowwała je uwolnić, lecz nie pozwolił jej na to. Przyciskając jej piersi do swego wilgotnego torsu, zbliżył usta do jej twarzy. Kiedy jednak sięgnął do warg, odwróciła głowę.

- Czy nadal będę twoją zakładniczką? Uśmiechnął się szeroko.

- Owszem, ale obiecuję ci, że bardzo ci się to spodoba.

- Nie muszę więc wychodzić za twego brata, gdy tu

przybędzie. - Nagle to jedno stało się najważniejsze: żeby w tym względzie okazał się wobec niej uczciwy.

- Nie. - Uparcie sięgał do jej ust, choć nadal mu ich odmawiała.

- Jak długo będziesz mnie trzymał jako zakładniczkę?

Poczuła raczej, niż usłyszała, jak Anglik wzdycha. Mokra kręcone włosy, którymi porośnięta była jego pierś, muskały jej sutki. Ogarnęły ją nawracające fale dreszczy.

- Nasze połączenie niczego nie zmieni, Josselyn. Pozostaniesz moją zakładniczką dopóty, dopóki nie zapewnię pokoju między twoim i moim ludem.

Nie była to zaskakująca odpowiedź, ale nie takiej pragnęła.

- Więc bierzesz mnie do łóżka na nie wiadomo jak długo, a potem zwracasz zhańbioną rodzinie?

W przedłużającej się ciszy słyszała echo nadchodzącej odpowiedzi i serce w niej zamarło. Nie miała właściwie nadziei na uzyskanie czegokolwiek, lecz wydało jej się nagle, że jak naiwna marzycielka na coś jednak liczyła.

Zaczęła się od niego odsuwać, lecz ujął jej podbródek i zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Czy oczekiwałaś, że zaproponuję ci małżeństwo?

- Nigdy nie zgodziłabym się na związek z kimś takim jak ty!

- Splunęła.

- Gdybym mógł przypuszczać, że ... - Urwał. W jego zachowaniu zaszła nagła zmiana, spoglądał teraz na nią nieprzeniknionymi oczyma. - Wygląda na to, że żadne z nas nie życzy sobie małżeńskich więzów. Lecz równie jasno widać, czego nawzajem od siebie chcemy. - Dla lepszego zaakcentowania znaczenia tych słów przycisnął dziewczynę do siebie. - Chcesz poznać najgłębszy sekret kobiecości, a ja

chcę ci go odsłonić. - Płasko rozłożył dłoń spoczywającą na jej pośladkach i zataczał nią powolne koła, aż zwijała się z rozkoszy.

- Nie, nie chcę. - Josselyn odpychała pięściami jego nagi tors, lecz tylko się zaśmiał.

- Kłamiesz. Mam ci tego dowieść? - Mówiąc to, przechylił ją sobie przez ramię i ujął jej pierś.

Próbowała się wyprostować, lecz nic to nie dało. Był dla niej za silny. Zaczął ją pieścić wibrującymi delikatnie opuszkami palców, kciukiem masował wrażliwą brodawkę sutka. Czuła, jak jej opór topnieje.

- Zmuszasz mnie. To ... to jest gwałt - wyszeptała, choć oczy zamykały jej się z rozkoszy. Dyszała z nie znanego dotąd podniecenia.

- Wszystko, ale nie gwałt - odparował, a ona wiedziała, że Anglik ma rację. Była godną pożalowania rozpustnicą!

W niepojęty sposób udało mu się doprowadzić ją do łóża. Nie czuła nawet, kiedy ściągnął jej suknie poniżej bioder. Nagle znalazła się na plecach, a on spoczął na niej wspaniale wyrzeźbionym ciałem wojownika, wciskając ją swym ciężarem w materac. Zaskrzypiały świeżo naciągnięte sznury, na których spoczywało pościelenie.

Teraz jego wargi przejęły zadanie kciuków. Zarostem drapał wrażliwą skórę jej piersi, lecz ból, jaki jej sprawiał, był nieodłączną częścią rozkoszy, tak jak zło uczynku, który właśnie popełniali, mieszało się z jego słuszością. Szatan uwiódł Ewę. Demon zaklęty w postać węża był tak piękny, jego dar - jabłko - nęciło taką słodyczą. Ale jak tamto pożądanie było złe, tak i Josselyn podobnie do swej pramatki Ewy wiedziała, że drogo zapłaci za rozkosz

sięgnięcia po zakazany owoc.

- Nie wolno ci. Rand ...

Usłyszał ją i podniósł głowę. „Ich oczy się spotkały. Leżał połową ciała na łożu, podczas gdy druga połowa zwisała poza jego krawędź. Jego biodra spoczywały między kolanami dziewczyny, tors przyciskał do jej brzucha. Ciało Josselyn spoczywało przed nim w całej swej krasie ... jak wizerunek nagiej żądy. Drobne dłonie dziewczyny wydawały się nieskończenie kruche i słabe, gdy spoczywały na szerokich barach rycerza. Nie mogła mu się oprzeć - ani jego nieokrzesej sile, ani powabowi surowo ciosanej męskości. Lecz Rand był człowiekiem honoru, a przynajmniej chciała w to wierzyć. Próbowwała go powstrzymać, powstrzymać siebie, ale oboje zaszli zbyt daleko na szlaku pożądania.

Zanim zdołała zebrać rozproszone myśli, Rand przemówił cichym głosem:

- Chcesz tego równie silnie jak ja. - Ześlizgnął się niżej, pokrywając jej brzuch palącymi całusami i delikatnymi ukąszeniami aż po pępek. .. i jeszcze dalej. Zatopiła palce w jego czarnych włosach, usiłując zmusić go, by przestał, zanim do reszty zapomni, dlaczego powinna się opierać.

- To, co robimy, jest złe. Ja ... mam życzenie pozostać nietknięta dla mego męża.

Podniósł na nią wzrok. Ujrzała w jego oczach płomień pożądania, głód podnieconego do granic mężczyzny. Nawet teraz jednak potrafił usłyszeć i rozważyć jej słowa.

- Chcesz pozostać dziewicą?

Zawahała się. Ależ oczywiście!

Jasne, że tak!

Zmusiła głowę do potakującego kiwnięcia.

Rand zacisnął szczęki, zaczął oddychać szybko i chrapliwie.

Wreszcie skinął na zgodę.

- Niech więc tak będzie.

Josselyn wdrapała się głębiej na łożo, oślepiona ulgą, lecz jednocześnie chora z rozczarowania. Pomagała sobie łokciami i piętami. Pragnęła wsunąć się pod koce, zasłonić swą nagość, umknąć z czarodziejskiego kręgu, w którym roztaczała się aura seksu i nieodpartego pożądania. Wydało jej się, że cała komnata wibrowała namiętnością. Nagle poczuła dłonie Anglika na swych biodrach, bez żadnego ostrzeżenia przycisnął twarz do jej brzucha i przesuwając ją coraz niżej.

- Jeśli naprawdę chcesz zostać dziewicą, niech tak będzie.

- Naprawdę chcę - skłamała łamiącym się szeptem.

Oddech uwiązał jej w gardle, gdy Rand zaczął całować ciemne kędziory strzegące jądra jej kobiecości. Zaczęła drżeć, gdy językiem przedarł się przez ich gęstwiny i znalazł najbardziej wrażliwe miejsce. A kiedy rozpoczął rytuał rytmicznych muśnięć, gorących, wilgotnych, przeciw którym nie było sposobu walczyć, Josselyn wydało się, że serce stanie w piersi i nigdy nie zacznie bić ponownie.

Odszukał dłońmi sutki, kciuki poruszały się rytmem zgodnym z ruchem języka i warg. Napierał na nią coraz silniej, rozpalał zmysły, a choć wciąż słyszała w głowie głos rozsądku, czujności i przezorności, który nakazywał jej opór i ucieczkę za wszelką cenę, nie starczyło jej woli, by wypełnić jego nakazy.

Wygięła się w łuk pod naporem grzesznej pieśczoły. Rozsunęła nogi, otworzyła ramiona. Oddawała Randowi

całą swoją istotę. A kiedy czuła, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej, wytrysnęła jak wulkan pod dotykiem jego ciała, dłoni i ust, dając mu wszystko, czego mógł żądać - i jeszcze więcej. Oddała mu swoją wolę. Ciało rozbudzonej kobiety.

Oddała mu serce Walijki.

Rozdział piętnasty

Josselyn nie wiedziała, jak długo leżała, odurzona i nasycona.

Do przytomności wrócił ją dopiero widok twarzy Randa, który pochylał się nad nią, spocony i z męskością nadal sztywną od niespełnionych żądz. Niewiele myśląc, zaczęła wodzić palcami po muskularnym przedramieniu, zadziwiona opanowaniem drzemiącym w napiętych mięśniach, przejęta gorącym kipiącym pod gładką skórą.

- To dopiero połowa, mój skarbie. Nie zaznałaś jeszcze całej rozkoszy. A to, co cię czeka, jest jeszcze lepsze i słodsze. Daleko słodsze.

Josselyn podniosła na niego wzrok, zbyt wyczerpana, by odpowiedzieć, zbyt odurzona nowymi wrażeniami, by zdobyć się na myślenie czy protest. Rand uznał jej milczenie za zgodę i oto dziewczyna poczuła dźgnięcie w najczulsze miejsce między nogami. Przestraszona i zafascynowana jednocześnie - o dziwo wiedziała, że powiedział prawdę, że to, co ją czeka, będzie niesłychanym przeżyciem.

Pragnęła, by w nią wszedł.

Zaczął silniej napierać. Josselyn poczuła wilgotny ucisk,

miała wrażenie, że Rand rozciąga coraz szerzej sekretny otwór kobiecości. Towarzyszył temu ból, lecz był lekki i nie sprawiał jej przykrości.

Patrzyła na Randa. W migotliwym blasku świec wyglądał jak posąg powleczonego złotem, jak starożytny bóg zstępujący na Ziemię. Musiał być kimś więcej niż zwykłym człowiekiem, skoro rzucił na nią czar, z którego nie mogła się uwolnić.

W miarę jak zagłębiał się w nią coraz bardziej, minęło uczucie odrętwienia. Wracało podniecenie, podsycane kołyszącymi pchnięciami bioder, w głąb i z powrotem. Przypominało to poprzednią pieszczotę, lecz tylko do pewnego stopnia. Josselyn odczuwała rozkosz trochę niżej i w sposób bardziej pierwotny. Tamto - to był seks, ukoronowanie wszystkich fizycznych rozkoszy. To, co się działo teraz, było czymś więcej. Stopili się w jedną istotę, połączyli w akcie kopulacji.

Na samą myśl poczuła w oczach łzy; nie zdołała ich opanować, wreszcie spłynęły po jej policzkach. Rand uniósł lekko brwi, po czym delikatnie scałował wilgoć z twarzy dziewczyny.

- Zaraz przestanie boleć. Za chwilę stracisz dziewictwo. Uwięził jej usta w łapczywym pocałunku, długim, mocnym, niewymownie słodkim. Kiedy Josselyn się rozluźniła, ostro pchnął biodrami do przodu. 'Zachłysnęła się powietrzem, czując, że coś w niej ustępuje, a Rand wnika w nią całą swą męskością. Jęknął po części z ulgą, po części z rozdrażnieniem; tak jej się przynajmniej wydawało. Wtem usłyszeli łomotanie do drzwi.

- Rand! Śpisz? Obudź się, człowieku, wstawaj! Pali się jedna

z łodzi!

Kochankowie zamarli na tę nieoczekiwaną inwazję zimnej i okrutnej rzeczywistości w świątynię ich miłości. Rand zastygł w bezruchu, nadal przygważdżając dziewczynę do materaca całym ciężarem ciała, przeszywając ją stwardniałą męskością jak wielką rozkoszną szpilą. Pot spływał mu z czoła, oczy gorzały namiętnością. Lecz daremnie udawali, że nic się nie stało, gdyż rzeczywistość nieustępliwym łomotem wdzierała się do ich świata. Drzwi chybotwały pod gwałtownymi uderzeniami pięści.

- Co z tobą, człeku! Wiem, że tam jesteś. To WaliJCzycy! Podpalili jedną z łodzi!

Rand stoczył się z Josselyn, mamrocząc wyjątkowo prostackie angielskie przekleństwa.

- Niech cię wszyscy diabli, Osborne! Niech piekło pochłonie twoją duszę! - Podniósł się z łoża i zaczął wdziewać spodnie. Josselyn nie ruszyła się z miejsca, wciąż odurzona i półprzytomna. Mimo odrętwienia i niemocy, jaka ogarnęła wszystkie części jej ciała, błyskawicznie pojęła, co się właściwie stało. Boże jedyny, jak się ośmieliła? Znalazła się w łóżu z wrogiem, dzieliła jego żądzę. Otworzyła ciało na jego nasienie. Rand nie potrzebował sługi, by go ubierała czy rozbierała, ani asysty w kąpieli. Wszystko było z góry ułożone, każdy krok, każde słowo, każda pieszczota, wszystko zmierzało ku jednemu - by ją uwieść, przełamać jej opór, zamącić zmysły, aby uzyskać nad nią tę największą władzę, jaką może mieć mężczyzna nad kobietą. A ona? Wcale mu się nie opierała! Oto jej ziomkowie spiskują, by ją uwolnić, a ona otwiera ramiona ... i nogi przed nieprzyjacielem. Ale więcej się to nie powtórzy. Nie pozwoli

się uwieść ponownie.

Dzikim wzrokiem rozejrzała się po izbie. Gdyby miała pod ręką sztylet, odcięłaby Anglikowi źródło nieznośnej męskiej arogancji, narzędzie władzy nad jej kobiecą naturą. Ucięłaby nienawistny członek i rzuciła na pożarcie wieprzkom!

- Zostań tu - rozkazał Rand, wzuwając buty. Rzucił jej przelotne spojrzenie pełne żalu, lecz zapewne chodziło mu jedynie o to, że nie zdążył jeszcze sobie ulżyć, wytrysnąć w nią obrzydliwym angielskim nasieniem. Josselyn postanowiła zadbać, by nie miał już więcej okazji. Spiorunowała go wzrokiem.

- Jeśli myślisz ...

Urwała na widok Osborne'a, który wtargnął do izby.

- Na litość boską, Rand ...

- Niech to diabli, człeku!

- Uffern dani - Josselyn naciągnęła na siebie prześcieradło, choć i tak niczego nie można było ukryć. - Cer! Zabieraj się stąd!

Osborne zachował się honorowo: odwrócił z szacunkiem wzrok, lecz nie wyszedł z komnaty.

- Alan jest ranny. I to poważnie.

- Czy coś widział?

Osborne zerknął na Josselyn; nie odpowiadał.

- Niech to piekło pochłonie. - Rand wciągnął drugi but, porwał koszulę i ruszył do drzwi. - Wróć tu jeszcze. - Rzucił jej pożegnalne spojrzenie i dał znak dowódcy straży, żeby szedł przed nim. Dopiero gdy kapitan wyszedł, twarz Randa rozchmurzyła się nieco. - Zostań tu, Josselyn. Zanim noc minie, zdążymy zakończyć, to cośmy zaczęli.

Potrząsnęła powoli głową.

- Nie. Już skończyliśmy.

Oczy Randa zabłyśły w chybotliwym migotaniu ogarka świecy.

Josselyn poczuła na ciele mroźny przeciąg, lecz spojrzenie Anglika nie utraciło żaru.

- Ty i ja mamy jeszcze daleko do końca - rzekł. - Jeśli chcesz się na kogoś wściekać, proponuję, byś skierowała gniew w stronę swoich ziomków, gdyż to za ich przyczyną nam przerwano. Zatrzasnął za sobą dębowe drzwi. Została sama. Mogła najwyżej dać upust złości skierowanej przeciw sobie samej.

Zaklinając się na wszystkie świętości, że winni słono zapłacą za ten napad, Rand szedł naprzód w chłodnej ciemności nocy. Mieli trzy łodzie, dwie nie większe od balii i płaskodenną barcę. Służyły do połowów i transportowały zapasy, które od czasu do czasu przyplływały na większych statkach cumujących niedaleko brzegu w częściowo osłoniętej od fal otwartego morza zatoczce u stóp Rosecliffe. Teraz stracili barcę, która płonąc rzucała bursztynowe światło na ścieżkę wiodącą w dół klifu.

Przekleństwo!

- Kto trzymał straż?

- Geoffrey. Gdyby Alan nie zaskoczył bandziorów, skończyłoby się o wiele gorzej.

Schodzili stromym szlakiem w dół urwiska. Przy brzegu ujrzeli poczerniałe szczątki żebrowania barki, poniewierające się na wąskim skrawku piaszczystej plaży, jak kości wielkiej morskiej bestii, która zległa tu, by wyzionąć ducha. Garstka mężczyzn biegała dokoła, gasząc dogorywające płomienie wiadrami morskiej wody, lecz nie

ulegało wątpliwości, że zniszczenia są poważne. Dotyczyło to również Alana i Geoffreya.

Ostre pomarańczowe światło pożogi spełzło do słabego blasku, który wciąż rozsiewały uparte węgliki żaru; w mroku plaży Rand ujrzał dwa niewyraźne kształty rannych - jeden skulony obejmował głowę, drugi leżał nieruchomo, wyciągnięty jak długi.

Owym cichym i nieruchomym jak śmierć rannym był Alan.

- Ocalił mi życie - jęczał młody Geoffrey, nie wstydząc się łez płynących po umorusanych policzkach. - Wziął na siebie cios, który był wymierzony we mnie. - Siąknął nosem i przetarł oczy grzbietem dłoni. - Ale on nie umrze, prawda? Prawda, milordzie?

Bładość na twarzy Alana i krwawa plama na tunice sprawiły, że Rand zaczął się przygotowywać na najgorsze. Nad leżącym pochylił się jeden z jego ludzi, tamując upływ krwi zwiniętym w kłęb bandażem.

- Jaki jest jego stan? - spytał Rand.

_ Zły, milordzie. Ale wciąż dycha. To krzepki chłopak - dodał mężczyzna z nadzieją w głosie.

Rand poczuł zapach dymu pomieszany z odorem krwi. Rozszerzył nozdrza, wdychając znajomą woń bitwy, czując narastającą wściekłość i bitewną gorączkę. Ktoś musi za to zapłacić. Ktoś zapłaci na pewno.

_ Przyszykujcie nosze - rozkazał wartownikom. - Zabierzcie go do kuchni. - Obrócił się do wciąż cierpiącego od szoku Geoffreya. - Opowiedz mi wszystko po kolei. Co słyszałeś, co kto mówił, wszystkie szczegóły. Na początek przypomnij sobie, ilu ich było.

_ Widziałem ... tylko trzech, ale mogło być ich więcej. Sie ...

siedziałem tam. - Jąkając się, wskazał hamak uwity z trawy, zakryty odrzuconym w pośpiechu barchanowym kocem. - Nie spałem, milordzie. Przysięgam na własną duszę!

- Skąd przybyli, z lądu czy z morza?

- Nie widziałem żadnych łodzi.

_ Przeszukaliśmy okolice - wtrącił Osborne. - Jedyne drógę prowadzi ścieżką w dół urwiska, a tamtędy nie przeszli na pewno.

Rand milczał przez chwilę.

_ Co najmniej trzech mężczyzn nadpłynęło od strony morza, lecz nie mieli łodzi. Czy ociekali wodą?

Geoffrey zamrugał i powoli potaknął.

_ Tak. Ten, który mnie pochwycił, był cały mokry. Myślisz, panie, że przyplłynęli wpław?

Rand odpowiedział kolejnym pytaniem, na które właściwie znał już odpowiedź:

- Co mówili? Wymieniali jakieś imiona? Geoffrey uśmiechnął się krzywo.

_ To byli Walińczycy, nie rozumiałem ani słowa z ich paplaniny.

- Żadnego imienia?

_ Chwileczkę ... Może to było imię? Ten, który ciał Alana, wytarł zakrwawione ostrze o jego tunikę, zaśmiał się i powiedział coś jakby "goły jak Adam" ... Powtórzył to dwa razy.

"Goły jak Adam".

_ Owain ap Madoc - powtórzył powoli Osborne. Oczy dowódcy straży i Randa spotkały się w porozumiewawczym spojrzeniu. Osborne skinął głową, odwrócił się i popędził w górę urwiska. Rand stanął na brzegu morza, niewidzącymi

oczami wpatrzony w czerní nocy zawieszanej nad wodną głąbiną. A więc zaczęło się. Rzadko się modlił, ale stojąc tak w ciemności, słysząc cichutkie gulgotanie drobnych fal uderzających o żwir na brzegu, zwrócił się do Boga. Boże, ocal Alana. To dobry żołnierz i poczciwy człowiek. Jest za młody, by umierać.

Nie modlił się o pomoc w odnalezieniu Owaina ap Madoca. Był pewien, że nie potrzebuje niczyjej asysty w akcie zemsty, tym bardziej zaś nie ma potrzeby zwracać się o wsparcie do Boga.

Dwie godziny później było już niemal pewne, że Alan wydobrzeje. Rana w boku spowodowała duży upływ krwi, lecz uszkodzone były jedynie mięśnie. W rozchylonych pchnięciem oręza płatach bladoróżowego ciała nie widać było trzewi. Alan niebawem odzyskał przytomność i mimo bólu potwierdził relację Geoffreya. Trzech mężczyzn z Owainem na czele. Randowi przeszło przez myśl, że Walińczyk bardzo zdecydowanie podjął próbę odbicia narzeczonej. Ale czy zechce ją teraz, gdy utraciła niewinność?

Zmarszczył czoło i dopił resztkę czerwonego wina z dna kielicha. Mówiono mu, że Walińczycy nie przywiązują do dziewictwa takiej wagi jak Anglicy. Wedle ich praw kobiety z walijskiego rodu nie można zmusić do małżeństwa, choć z drugiej strony nie wolno jej wychodzić za mąż wbrew woli ojca. Niektórzy z angielskich lordów pozwalali swym córkom na podobną swobodę wyboru, lecz czynili to z dobrej woli, nie z przymusu prawa. W kwestii dziewictwa oblubienicy zwyczaję tych dwóch krain różniły się zasadniczo, gdyż niezamężna Walijska - jeśli miała ochotę -

mogła sobie wziąć kochanka, co w żadnym stopniu nie czyniło rogakza z jej przyszłego małżonka.

Zgrzytnął zębami, przeżuwając wściekłość. Josselyn nie uczyniła nic ponad to, na co dozwalał jej zwyczaj. Wzięła sobie kochanka. Owain nie musi się wstydzić przed swymi ziomkami.

Ale Rand pragnął ujrzeć tego człowieka okrytego wstydem i hańbą. Więcej - chciał go widzieć martwego.

I pragnął dokończyć to, co zaczął tej nocy z kobietą Owaina.
Z Josselyn.

Z rozmachem odstawił kielich i odepchnął się od brzegu stołu.

W tej najciemniejszej godzinie nocy nie widać było nawet blasku księżyca ani światła gwiazd w atramentowej otchłani firmamentu.

Podwojono już strażę, Alan zasnął ozdrowiającym snem. Przyszedł czas, by i Rand udał się do branki, czekającej samotnie w jego kwaterze. Ku szczeremu zaskoczeniu, ujrzał dwóch wartowników, jednego u progu budynku, drugiego przy oknie.

_ Próbowwała uciec, milordzie - odezwał się niższy z żołnierzy.

Odstąpił krok do tyłu. - Musieliśmy ją związać.

_ Co takiego? - Rand zapłonął gniewem jak smolna pochodnia ogniem. Nikt - prócz niego - nie miał prawa dotykać Josselyn.

_ Była jak opętana! - krzyknął mężczyzna, cofając się przed złowróbnym wzrokiem Randa. - Mało brakowało, żeby mi wydrapała oczy. Spójrz, panie. - Dotknął palcem poszarpanej rany na policzku.

_ I próbowała podpalić twoje łóżce! - dodał drugi, trzymając się przezornie w pewnej odległości. - Chciała spalić waszą kwaterę do gołej ziemi. Udało nam się ugasić ogień, zanim rozpętała prawdziwy pożar.

Rand wyprostował się. Pożar? Cóż za zdradziecka suka! Pasowała jak ulał do podstępnego Owaina.

_ Idźcie wypocząć. Przez resztę nocy ja się nią zajmę. Mężczyźni wymienili spojrzenia pełne ulgi, lecz wnet w ich oczach pojawił się porozumiewawczy błysk. Rand nie dbał o ich domysły. Wszedł mocnym krokiem do izby, czując, jak serce ściska mu zimna dłoń zemsty. Nie mógł na razie wymierzyć sprawiedliwości Owainowi. Tej nocy Walińczyk był poza jego zasięgiem. Ale niech szczerze, jeśli nie rozprawi się z Josselyn!

Dziewczyna skuliła się na posadzce przy pościeli, z ramionami przywiązany do słupka podtrzymującego baldachim. Potargane włosy zakrywały twarz. Wycięcie w dekolcie sukni rozdarło się w czasie szarpaniny z wartownikami, odsłaniając lewy obojczyk i wypukłość piersi. Mimo całej wściekłości do niej i jej ziomków Rand poczuł, jak żołądek ściska nagły skurcz strachu.

A jeśli jego ludzie ją wykorzystali? Jeżeli obmacywali te mlecznobiałe piersi, sycili wzrok różanym czarem sutków?

Jeśli tak było, niech ich Bóg ma w swojej opiece!

_ Josselyn? - Wiedział, że w jego głosie słyhać zbyt wiele troski. A przecież miał przed sobą wroga, samowolną i podstępną sukę, kłującą, spiskującą, by go wygnać z tej krainy. Napomniał się w duchu, że czas zacząć kierować się rozumem, zamiast pozwolić, by rządziły nim zachcianki męskiego przyrodzenia.

Powoli uniosła głowę i aroganckim gestem odrzuciła włosy z czoła. Patrzyła na niego z jadowitą nienawiścią. Białe policzki miała umorusane plamami sadzy, lecz wydawało się, że poza tym nie poniosła żadnej szkody.

W gorszym stanie było łożo.

Zwęglone prześcieradła, poczerniała od żaru słoma wystawała brudnożółtymi kłakami z dziury wypalanej w ciasno plecionej tkaninie, którą obciągnięto siennik. Izba cuchnęła dymem, lecz tu przynajmniej nie mieszał się z nim odór krwi. Rand odetchnął z ulgą i poczuł obezwładniające znużenie. Czy ta noc miała mu przynieść jeszcze jakieś niespodzianki? Wziął się w garść, by nie okazać słabości, i zmierzył dziewczynę spojrzeniem kipiącym furją.

- Przypieczętowałeś swój los. Choćbym jeszcze przed godziną skłaniał się przyznać ci pewne swobody, obecnie stanowczo odbieram ci wszelką wolność ruchu.

- Phi! Raczej wolność pracy i usług wokół ciebie, inną formę niewolnictwa.

Wyprostowała się tak dumnie, jak było to możliwe dla kogoś przywiązanego za ręce do słupka baldachimu. Włosy opadły w skłębionych splotach i okryły ją aż do pasa, zasłaniając częściowo pierś. Szamocząc się z żołnierzami, zgubiła bucik. Mimo to wyglądała jak królowa. Nie dziwota, że Owain tak jej pragnął.

Nie, nie dostanie jej ...

Ręka Randa odpinająca pas z mieczem zatrzymała się. Owain chciał odzyskać narzeczoną? Z pewnością spróbuje ponownie. Ale tym razem Rand zastawi pułapkę i uwięzi walijskiego buntownika. Wrzuci go do lochu albo pošle do Londynu i odda pod sąd Henryka, a wtedy rebelia tubylców

wygaśnie.

I wtedy on, Randulf Fitz Hugh, będzie mógł w spokoju zdecydować, co zrobić z Josselyn.

Tej decyzji wszakże nie musiał podejmować dzisiejszej nocy. Odłożył oręż.

- Nie powierzyłem ci zbyt ciężkich obowiązków, szczególnie w obsłudze mojej osoby. W gruncie rzeczy mogły się okazać czystą przyjemnością. Sądziłem, że już osiągnęliśmy zgodę w tym punkcie.

- W niczym nie osiągnęliśmy zgody! - Lecz rumieniec, który zalał jej policzki, zadawał kłam śmiałym słowom.

Rand przysunął się do dziewczyny.

- Być może należy ci to po prostu przypomnieć.

- Nie, odsuń się, trzymaj się ode mnie z daleka, ty ... tchórze. Stał przed nią dość blisko, by dotknąć dowolnej części miękkiego, lecz gibkiego ciała. Pachniała dymem i lękiem. I miłością. Usiadł na łożu, a Josselyn wykręciła się, by go mieć na oku. Niechcący zbliżyła przy tym biust do jego twarzy. Rand poczuł pierwsze sygnały żądz.

- Czy spalenie łoża było symbolicznym gestem? A może składałaś w ten sposób hołd? Jeśli mnie pamięć nie myli, roznieciliśmy na nim wspólnie trochę inny, acz całkiem bujny pożar, zanim mnie przedwcześnie nie odwołano.

Podbródek Josselyn zadrżał. A może mu się to przywidziało?

Dawała mu jednak wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie, by jej przypominał o namiętności, która ogarnęła ich w tym łożu przed kilkoma godzinami. Przysiągł sobie, że nie da jej zapomnieć.

- To dziwne, prawda? Z żywiołu wody ... myślę o mojej

kąpieli ... zrodził się inny żywioł, ogień, w którym połączyły się nasze ciała. Wyciągnął dłoń i choć dziewczyna się zachnęła, potarł kłykciami umorusany policzek. - Doskonale mnie wykąpałaś, Josselyn. Zaprawdę, nie pamiętam, iżby ktokolwiek inny tak mnie wspaniale obsłużył. Teraz moja kolej odwdziżyć ci się tym samym.

Josselyn obserwowała Randa z rosnącym wzburzeniem. Do czego zmierzał? W długiej godzinie czekania po nieudanej próbie ucieczki szarpały ją troska i gniew. Dwóch angielskich osiłków, którzy zagrodzili jej drogę i zagasili ogień, zanim rozpałił się na dobre, nie starało się o delikatność, gdy przywiązywali ją do łoża ich dowódcy. Niższego najwyraźniej podniecił widok Josselyn szarpiącej się w skórzanych więzach. Byłby ją z pewnością zgwałcił, gdyby nie jego towarzysz, który go przed tym przestrzegł. Jedynie groźba gniewu Randa powstrzymała żołdaka od wydobycia ze spodni nabrzmiałego przyrodzenia.

Teraz wszakże był tu Rand, a jego nikt nie powstrzyma. Lękała się nie tylko tego, co zamierza zrobić, lecz swojej reakcji na jego awanse.

Gdy zamoczył myjkę w wannie, w której woda dawno już wystygła, gdy natarł ją pieniającym się mydłem, poczuła, jak jej lęk rośnie w trójnasób. Wolałaby umrzeć niż okazać Anglikowi słabość, więc przygryzła wargę i spojrzała mu w oczy wzrokiem płonącym nienawiścią. Bez większej nadziei odwróciła głowę, gdy próbował oczyścić jej twarz z sadzy.

- Nie dotykaj mnie.

- To tylko kąpiel, moja Josselyn. Będzie ci się lepiej spało, gdy będziesz czysta.

- Będzie mi się lepiej spało, gdy się uwolnię od takich

łajdaków jak ty.

Ujął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała.

- To może potrwać.

- Albo zdarzyć się wcześniej, niż się spodziewasz.

Delikatnie wycierał jej policzek. Miał zręczne i pewne palce, ciepłą dłoń, a myjka rozkosznie chłodziła jej skórę. Josselyn zadrżała w przypiływie strachu.

- Owain z pewnością przypuści kolejny atak.

A więc to Owain podpalił łodzie. Tak właśnie przypuszczała

... - Ale nie uda mu się - ciągnął Rand. - Musi cię mocno pragnąć, ale nie jestem pewien, czy będzie gotów wziąć cię za żonę, gdy się dowie, że byliśmy razem w łóżu.

Nie mogła odwrócić głowy, spuściła więc oczy. Inaczej dojrzałby prawdę: nigdy nie pójdzie do Owainowego łóża tak, jak zrobiła to z Randem. Wiedziała, że byłoby to niemożliwe. Zmusiła się, by go okłamać:

- Owainowi nie będzie na tym zależeć. Kiedy wraz z moim stryjem wypędzą angielskie oddziały, zyska chwałę tak wielką, że za nic będzie miał niewielkie straty poniesione w boju.

Rand przesunął myjkę w kierunku ust dziewczyny.

- Angielskie matki myją usta dzieci mydłem, kiedy złapią je na kłamstwie.

Ale kiedy jej dotknął, poczuła, że to nie wilgotna szmatka, lecz jego kciuk gładzi dolną wargę. Oczy Josselyn, jak zniewolone, powędrowały ku jego źrenicom.

Był tak blisko! Zaledwie kilka centymetrów dzieliło nagi tors od jej piersi, stopy rozstawił po obu stronach jej stóp. Otaczał ją zewsząd. Przepęlniał ją swoją bliskością i przytłaczał ją jednocześnie. Błyskawicznie zanurzył dłoń w jej włosach,

przesunął bujne sploty na plecy i owinał je wokół słupek tak, że nie mogła ruszyć głową.

Czy zamierzał wziąć ją w tej chwili, gdy stała przyciśnięta do łoża, jak się bierze kobietę zdobytą na wyprawie wojennej?

Słyszała opowieści mężczyzn z pól bitewnych. Wiedziała, co dzieje się z niewiastami schwytanymi przez nieprzyjacielskie armie. Właściwie wszyscy mężczyźni byli tacy sami. Angielscy, walijscy ... ale tego jednego miała za innego.

Zmusiła się, by przemówić przez gardło ściśnięte strachem:

_ Jeśli zamierzasz mnie zgwałcić, zrób to i skończmy już!

- Nie zamierzam cię zgwałcić.

Znowu poczuła jego oddech na policzku. Widziała odbłask pochodni w jego źrenicach, złote iskierki w bezdennej czerni. Pomimo uspokajających słów, nie mogła się mylić co do jego zamiarów.

_ To będzie gwałt - oświadczyła, choć drżący i chrapliwy z podniecenia głos zadawał kłam jej słowom.

- Nie.

Stał tak blisko, że mógł ją pocałować, lecz nie uczynił tego.

I dzięki Bogu - powiedziała sobie Josselyn. Gdyby to zrobił, poczułby, jak lgnie ku niemu każdą cząsteczką ciała, które wygina się w zdradziecki łuk, a słodycz jej warg dopowiedziałyby mu resztę.

Zamiast całować, zaczął pocierać myjką skórę szyi, z niezwykłą dokładnością usuwając brud. Jego ręka podążyła w dół - w zagłębienie krtani, wzdłuż linii ramion, aż opadła na wypukłość piersi. Josselyn czuła na skórze dreszcz od dotyku chłodnej wody, lecz tuż pod powierzchnią ciała

kipiał żar podniecenia.

Czy zsunie jej suknię? Nie może do tego dopuścić!

_ Przestań - ostrzegła zadyszczanym szeptem. Podniósł głowę i zajął w jej udęczone oczy.

- Nie przestanę, aż mnie ładnie poprosisz.

- Nie licz, że będę cię błagać.

W odpowiedzi uśmiechnął się oślepiająco pięknym uśmiechem mężczyzny obytego w świecie i znającego wszelkie reguły tej osobliwej gry, aż pod Josselyn ugięły się omdlałe kolana. Nie mogła się dłużej łudzić - zamierzał ją uwieść i prawdopodobnie mu się to uda.

_ To ... to nieuczciwie. Mógłbyś mnie przynajmniej rozwiązać.

_ W odpowiedniej chwili na pewno to zrobię. - Ukląkł i zaczął przemywać jej stopy i kostki, po czym powoli jego dłoń powędrowała wyżej. Metodycznie pocierał namydloną myjką uda, zadzierając spódnice, odsłaniając nagą skórę, troskliwie usuwając brud.

Zanim dotarł do wewnętrznej strony ud, dygotała tak gwałtownie, że gdyby nie skórzane więzy, nie zdołałaby się utrzymać na nogach. Pochylał głowę nad jej ciałem i Josselyn poczuła nieprzeparowane pragnienie, by jej dotknął w miejsce, które domagało się go aż do bólu. On tymczasem spojrzał w jej oczy z pożądaniem.

- Czy mam przerwać? - zapytał ochrypłym szeptem. Lewą dłoń przesunął powoli w górę i w dół uda, kciuk prześlizgiwał się tuż koło szczytu kędzierzawego trójkątka jej łona, ani razu go nie dotykając. - Powiedz mi, Josselyn. Powiedz, czego chcesz.

Przestała oddychać. Znał odpowiedź, gdyż wyznawały ją jej

drżące nogi, rumieniec na twarzy, rozgorączkowane oczy. Lecz on chciał usłyszeć słowa.

Tylko nad tym miała jeszcze kontrolę. Tylko tego mogła mu odmówić.

- Pragnę cię, Josselyn. Chcę zakosztować smaku każdego słodkiego zakątka twego ciała, poczynając od tego kącika. □ Pocałował jej brzuch przez fałdy wełny sukni, która jeszcze ją osłaniała. - Podobało ci się przedtem. Tym razem będzie jeszcze lepiej, obiecuję ci.

Przygryzła wargę, żeby za wszelką cenę zdławić wyznanie, na które czekał. Nie zdołała stłumić bezwolnego jęku, w którym brzmiała całkowita zgoda. Rand odpowiedział równie żarliwym jękiem i przycisnął twarz do jej ciała.

- Niech cię diabli! - zaklął, wbijając dłonie w jej pośladki i przyciągając ją do siebie natarczywie. - Niech cię diabli!

Raptem wstał, rozwiązując sznurowania spodni jedną ręką, a drugą ściągając jej suknię w dół aż do pasa. Przycisnął się do dziewczyny, aż poczuła całą siłę żołnierskiego ciała i pełnię jego żądz. Jeszcze nie opadły skórzane rzemienie, które więziły ją przy filarze łoża, a już podniósł jedną z jej nóg i wszedł w nią.

- Rand ... - Zachłysnęła się, lecz zdusił słowa zachłannym pocałunkiem. Opuściły ją resztki rozsądku, ostatnie wysiłki, by myśleć logicznie, zniweczył żar jego objęć. Otoczyła szyję rycerza ramieniem i przysunęła się do Randa niczym statek żeglujący z przypiływem morza. Wbił się głęboko w czeluść jej kobiecości, biorąc ją bez litości i skrupułów na twardej ramie okalającej łożo.

Lecz nie był to gwałt. Miał rację, gdy temu zaprzeczał, i Josselyn o tym wiedziała. Razem wspinali się ku szczytom

spełnienia, dążyli na nie z gwałtownością i nieustępliwością żywiołu.

A kiedy wywiódł ją poza wszelkie granice wytrzymałości, kiedy wytrysnęła dokoła niego i rozplynęła się w nim, czuła, że Anglik reaguje podobnie. Wybuchnął w jej najtajniejszą głębię spazmem tak gorącym, że niemal parzył jej wnętrzności.

Dopiero wtedy puścił jej dłoń i Josselyn osunęła się bezwładnie, chwytając go za ramię, by nie upaść na posadzkę.

Nadal obejmował słupek baldachimu. Jeszcze chwilę stali oboje wyprostowani, oparci o filar. Czuła na plecach twarde ucisk dębowego palika i domyślała się, że będzie miała sińce. Ale gdy powoli wracały jej zmysły i czuła napierające na nią twarde ciało, gdy zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma nogę owiniętą wokół jego bioder, wiedziała, że te stłuczenia się nie liczą. Nie miała pojęcia, co się teraz stanie. Lecz jeśli Rand zrani jej serce, to nie zabliźnione ślady pozostaną w nim o wiele dłużej niż siniaki wyciśnięte w miękkiej tkance ciała.

Mogą ją nawet zabić.

Rozdział szesnasty

Nie pozwolił jej się odezwać, lecz zgasiwszy wszystkie świece, położył ją koło siebie w łóżu. Josselyn nie spodziewała się, że nawet tak znużona jak tej nocy będzie umiała zasnąć koło niego, lecz myliła się. Spała - aż do chwili, gdy obudził ją i znowu się kochali. Kiedy próbowała

zaprotestować, uciszał ją w sposób, jakiego nigdy przedtem nie byłaby sobie zdolna wyobrazić, pocałunkami i dotknięciami w miejsca, których nie uważała dotychczas za źródło rozkoszy erotycznej. Był śmiały i zachłanny, a umiał w niej rozniecić taki ogień namiętności, że nie stawiała oporu.

Nie wiadomo kiedy, całkiem pozbyli się odzieży, a Josselyn wraz z suknią odrzuciła wszelkie zahamowania i dziewiczą płochliwość. Lecz nie zamierzała myśleć o tym teraz, leżąc w zagłębieniu wspaniałego ciała Anglika, owinięta w niego, jak gdyby chciał ją chronić nawet we śnie.

Chronić ją, czy też chronić siebie przed ewentualnością jej ucieczki? Resztką podejrzliwości kazała jej dopuszczać i taką możliwość. Josselyn próbowała posłużyć się logiką, by zdecydować, o którą możliwość chodzi, gdyż doceniała znaczenie właściwej oceny sytuacji. Lecz ogarnięta przemożnym zmęczeniem, nasyciona miłosnymi igraszkami i poczuciem bezbrzeżnego spełnienia, odkryła, że huśtawka zmysłów stępiła ostrze jej tak zazwyczaj sprawnego rozumu. Zanim pogrążyła się ponownie w sen, resztką świadomości zadała sobie pytanie, czy kiedykolwiek odzyska w pełni władze umysłowe.

Do świata rzeczywistości przywróciło ją łomotanie do drzwi.

Czyż nie przeżyła niedawno podobnego przebudzenia?

Wtedy jednak dobijano się natarczywie i w panice, to zaś było normalne pukanie. Dokoła panowała ciemność, nawet smuga brzasku nie rozpraszała nocy. Josselyn zakopała się

głębiej w poślanie, przytulając twarz do ciepłej piersi ...

Ciepła pierś? Odskoczyła, jakby ktoś wylał na nią kubel zimnej wody.

- Witaj w nowym dniu. - Rand uniósł głowę z tej samej poduszki, na której i ona przed chwilą opierała swoją.

Zeskoczyła z łoża, a uświadomiwszy sobie, że jest naga, usiłowała zasłonić się prześcieradłem, lecz Rand złapał ją za przegub i lekko szarpnął. Josselyn upadła w poprzek jego ciała.

- Nie uciekaj - powiedział, sadowiąc ją nad sobą, choć usiłowała się wyrwać. Czuła ciepło jego budzącej się do życia męskości.

Znowu usłyszeli walenie w drzwi.

- Na święte relikwie, Rand! Nie mógłbyś się wynurzyć z łoża na chwilę dość długą, bym mógł ci powiedzieć, że mamy gości?

Filuterna mina na twarzy Anglika zniknęła, jakby ktoś stał z niej rozbawienie gąbką.

- Gości? Któż to taki? Znowu Walińczycy?

- Wydaje się raczej, że to Simon Lamonthé, jeśli trafnie rozpoznałem barwy proporca.

A więc Anglicy. Ta wiadomość otrzeźwiła Josselyn do reszty.

Całe ciało bolało ją od ataków Randa - kilkakrotnie ponawianych, jak sobie przypomniwała z ukłuciem wstydu. Lecz wobec najświeższych nowin nie chciała tracić czasu na wyrzuty sumienia. Więcej Anglików! Czyżby Rand po nich posłał? Czy planował odwet za wypad Owaina?

Czy zamierzał zaatakować Carreg Du?

Usiłowała ześlizgnąć się z niego, lecz trzymał ją dłońmi ze

stali.

- Czy już tu jest? - spytał.

- Prawie - dobiegł głos zza drzwi.

- Poślij po wino i jadło, wszystko, co Odo zdoła wyszukać w kuchni. Powitam przybyszów w mojej kwaterze.

Po chwili milczenia Osborne odchrząknął, jakby chciał oczyścić gardło.

- A twoja ... zakładniczka?

- Przyślij dwóch strażników, ale nie tych, którzy pilnowali jej zeszłej nocy. - Rand nie spuszczał wzroku z Josselyn, choć pozornie zwracał się do dowódcy straży. - Za kilka minut będzie gotowa.

Osborne wydał dziwny dźwięk, lecz odszedł, nie komentując rozkazów. Josselyn nadal leżała obnażona na ciele mężczyzny, który z wroga stał się jej kochankiem. Przedzielało ich co prawda prześcieradło, lecz nędzna to była barykada! Rozpoznawała dotykiem każdy mięsień, każdą kość, każde wgłębienie gibkiego i wytrenowanego ciała, tak jak i on poznał na pamięć wszystkie jej krągłości. A przecież jego myśli pozostawały przed nią zamknięte, a dostępu do nich strzegły spuszczone na oczy powieki.

- Pójdiesz ze strażą i pozostaniesz poza zasięgiem wzroku Lamonthe'a.

- Czemu nie może mnie zobaczyć? - spytała ostro. Wyczerpanie emocjonalne sprawiało, że nie była zdolna do jasnego rozumowania. - To nie pierwszozna dla Anglika, trzymać walijską kobietę jako łup wojenny.

Poznała jego zdenerwowanie po drganiu mięśnia podbródka i zmrużeniu oczu.

- To, co się stało tej nocy, nazwij, jak chcesz, Josselyn. Lecz w

mojej pamięci pozostanie ona nocą rozkoszy, a jeśli zdobędziesz się na szczerą, przyznasz, że i ty zachowasz o niej takie wspomnienie. Co się tyczy Lamonthe'a ... gdy cię ujrzy, zechce cię mieć, należy bowiem do tych Anglików, którzy w Walijskich rzeczywiście widzą wyłącznie trofea z pola bitwy. - Urwał, świdrując ją spojrzeniem równie twardym co jego słowa. - Czy chcesz, by cię posiadał?

Chciała tylko jednego: samotności, w której mogłaby się serdecznie wypłakać. Jak mógł zachowywać takie opanowanie, taką rzeczowość po tym, co się między nimi wydarzyło?

- A ty pozwoliłbyś mu na to?

Promyczek słońca znalazł drogę do wnętrza izby przez szparę w okiennicach. W złocistej smudze wirowały drobinki kurzu. Na zewnątrz rozległy się pierwsze dźwięki budzącego się do życia obozu. Lecz w tej chwili Josselyn nie obchodził ani czas, ani miejsce. Czy naprawdę oddałby ją innemu Anglikowi, gdyby tamten zażądał? Po tym, co było między nimi ...

- Już ci mówiłem. Pod moim panowaniem kobiety walijskie mogą się czuć bezpieczne. Nie popieram gwałtu.

Odsunęła się, nie całkiem uspokojona. Tym razem nie zatrzymywał jej przy sobie. Odwróciła się, gorączkowo macając w poszukiwaniu rozrzuconej po łożu - odzieży. Spódnica, szata wierzchnia, tunika ... znalazła tylko jedną pończochę. Narzuciła fałdę obszernego płaszcza na zmierzwiłone włosy i wsunęła nagie stopy w obuwie. Gdy skierowała się w stronę drzwi, Rand zatrzymał ją dłonią płasko opartą o framugę.

- Zaczekaj na strażę. Zapewnią ci ochronę.

- Nie potrzebuję ochrony, lecz wolności. - Stała twarzą do drzwi. Czy zdążył się przyodziać? Słodka Matko, modliła się, niech tak będzie. Gdyby bowiem musiała się odwrócić, dzieliliby ich zaledwie kilka cali powietrza.

Gdyby się odwróciła ... nie odważyła się jednak tego zrobić. Rand odezwał się głosem niskim i cichym jak pomruk dalekiej burzy.

- Nie mogę cię wypuścić. Jeszcze nie teraz.

- Czemu? - Co chciała usłyszeć w odpowiedzi? Że nie mógłby znieść życia bez niej? Jakże żałosne stworzenie uczyniła z niej jedna zaledwie noc spędzona z tym mężczyzną! Zrodziła w niej potrzebę świadomości, że Rand nie może się bez niej obejść. Ale on doskonale sobie bez niej radził! Nie potrzebował jej - przynajmniej nie w ten najważniejszy sposób.

- Trudno - rzuciła, zanim zdążył coś powiedzieć. - Wiem, kiedy nadejdzie ta chwila. Kiedy mury twierdzy urosną do wysokości głowy mężczyzny. Wtedy mnie uwolnisz. A ile to zabierze czasu? - dodała, niezdolna całkiem ukryć goryczy.

- Kilka miesięcy. Skończymy jeszcze przed nadejściem zimy.

- A ja mam ci przez cały ten czas ogrzewać łóżko? - Nagle do głowy przyszła jej myśl tak straszna, że z trudem przełknęła ślinę. - A może nadal planujesz ożenek twojego brata ze mną?

Zobaczyła, że dłoń rozpostarta na drzwiach kuli się w pięść. A więc nie w smak mu było, gdy przypominała mu o bracie i o proponowanym związku. Ośmielona, zaatakowała ostrzej:

- Czy to twój brat przybywa wraz z Lamonthe'em? Czy już dziś spotkam owo wcielenie wszelkich męskich cnót?

Odwrócił ją twarzą do siebie tak błyskawicznym szarpnięciem, że omal nie upadła. Przycisnął do drzwi, przygwoździł bezlitosnymi dłońmi. Zauważyła, że jest ubrany. I wściekły.

- Uważaj na ten swój języczek żmii, moja Josselyn, gdyż może sprowadzić na ciebie nieszczęście. Wystarczy ci wiedzieć, że to ja podejmę wszelkie decyzje w tej sprawie. Postaraj się raczej mnie kontentować, a możesz na tym lepiej wyjść.

Josselyn nie próbowała się dłużej opierać. Uznała poruszenie Anglika za obiecujący znak. Nie miał zamiaru się nią dzielić ani z nowo przybyłym angielskim lordem, ani z bratem. Natomiast nie uzyskała odpowiedzi na pytanie, czego sam oczekiwał od Josselyn w przyszłości. Musiała się zadowolić terażniejszością: resztą ranka spędzoną w kuchni, pod baczny okiem strażników.

Obmyła ręce i posiniaczone ciało najstaranniej, jak się dało w tych niezbyt intymnych warunkach. Potem, znudzona nieróbstwem, dobrowolnie postanowiła pomóc przy wypieku chleba. Zamiast wspominać i roztrząsać wydarzenia nocy lub wyobrażać sobie tę, która ma nadejść, postanowiła dowiedzieć się powodu przybycia nowej grupy Anglików. Musiała też uzyskać pewność, jakie kroki podejmą najeźdźcy w odwecie za nocny atak jej pobratymców. Powtarzała sobie, że wciąż jest Walijką, a Rand Anglikiem. Musi pamiętać, że są przeciwnikami, wrogami - najpewniej na całe życie.

- Ile dodatkowych bochnów chleba trzeba upiec dla gości? □
spytała, dzieląc ciasto na mniejsze porcje. Zabrała się do roboty: wyrabiała masę, uderzała kilkakrotnie chlebowym

plackiem o stół, ugniatała pod palcami i formowała ciasto w kształt bochna.

Odo nie podniósł oczu znad swojej roboty. Nie widziała, aby cieszył się swoim wczorajszym awansem na głównego kucharza. Bardziej przypadało mu do gustu stanowisko pomocnika kuchennego Gladys niż przywilej zarządzania.

- Dziesięciu mężczyzn, pięć bochnów - mruknął. - No i założę się, że niemal tyle samo galonów piwa.

Josselyn podzieliła wyrobione ciasto na trzy bochny, zręcznie je ukształtowała i zakreśliła nad nimi krzyż trzonkiem łyżki. Odo miał rozkaz nie dopuszczać jej do szafki z nożami.

- Spodziewałabym się raczej, iż Simon Lamonthé zaczeka, aż zbudujecie wygodniejsze kwatery mieszkalne dla gości - zagaiła w nadziei na nowe informacje o przybyszach.

- Dobrze, że zjawiają się teraz, to może nie będą skłonni przedłużać wizyty. - Chłopak rzucił jej przenikliwe spojrzenie. □ Oczywiście, jeśli Walińczycy planują wypędzić nas ogniem, nie powinniśmy narzekać na posiłki w postaci dziesięciu krzepkich Anglików.

Wzrok Josselyn zapłonął gniewem. Rzuciła na stół drugą porcję ciasta.

- Ta kraina należy do Walińczyków, nie do Anglików.

- Król Henryk powiedział, że Walia jest częścią Brytanii i zawsze nią była. Mieszkamy ostatecznie na jednej i tej samej wyspie, prawda? A może nie uczyli was tego?

- Gdybym rozumowała równie nielogicznie jak ty, powiedziałabym, że to daje Walii takie samo prawo do ogłoszenia angielskich ziem za własne. Mieszkamy ostatecznie na jednej i tej samej wyspie, prawda? -

powtórzyła jego argument sarkastycznym głosem.

Chłopak skrzywił się i machnął ręką w stronę nie uformowanych jeszcze bochnów leżących przed Josselyn.

- Zajmij się lepiej robotą. Kto nie pracuje, ten nie je.

- Nie muszę tego robić. - Odpowiedziała na jego spojrzenie uśmiechem pełnym wyższości, po czym skrzyżowała ręce na piersiach.

- Tutaj musisz pracować, jeśli chcesz otrzymać strawę.

- Bynajmniej.

Twarz chłopaka przybrała tak pocieszny wyraz zakłopotania, że Josselyn zaczęła go żałować. Był spocony, nad miarę rozgrzany kuchennym ogniem i z pewnością okrutnie przepracowany. Ale to nie ona stanowiła przyczynę jego żalosnej sytuacji. Winny był Rand. Josselyn postanowiła nie dopuścić, by Odo odgrywał się na niej. Usiadła na zydlu i zaczęła zdrapywać grudki ciasta, które przywarły do palców. Przez cały czas patrzyła spod oka na rosnące rozdrażnienie Oda.

- Niech ci będzie - rzucił w końcu tonem pełnym szyderstwa. □ Siedź tu beczynn timer. Ale założę się, że nie jesteś taka odęta i kwaśna, kiedy lord Raud każe ci zarabiać na utrzymanie, leżąc na plecach.

Uchylił się przed naczyniem, które w niego cisnęła, i uciekł za stół, bo schwyciła drewnianą łopatę chlebową i zdecydowanym krokiem sunęła w jego stronę.

- Straż! Straż! - zawołał, broniąc się przed ciosami zadawanymi trzonkiem łopaty.

Josselyn okręciła się na pięcie i ujrzała, że drzwi otwierają się na całą szerokość.

- Z daleka ode mnie, przebrzydłe świni e! Trzymajcie się z

dala, albo rozwalę wam łby!

- Hola, panienko. Nie wszczynaj awantur - ostrzegł wartownik o ponurej twarzy. - Nie chciałbym wyciągać miecza przeciw niewieście.

Josselyn uświadomiła sobie, jak niewiele może osiągnąć drewnianym trzonkiem przeciw orężu doświadczonego żołnierza, ale emocje wzięły górę nad rozsądkiem i postanowiła, że nie ustąpi. - Odsuńcie się od drzwi, a nie będziecie musieli wyciągać mieczy.

- Panienko, przecież panienka sama dobrze wie, że tego nie wolno mi zrobić. Sam pan skróciłby mnie o głowę.

- Zupełnie oszalała. - Odo zaklął, wycofując się bokiem ku żołnierzom. - Najpierw odmawia pomocy w kuchni, a potem zaczyna mi wymachiwać tym przed nosem.

Wartownik zerknął na twarz Oda.

- Mam nadzieję, że nie zrobiłeś niczego głupiego, mój chłopcze. To kobieta sir Randulfa. Chyba słyszałeś o tym?

- Och! - Tego było jej już stanowczo za wiele. Czy cały świat wiedział, co się stało tej nocy? Czy Rand przechwalał się w obecności wszystkich swoich ludzi świeżym podbojem, omawiał jego szczegóły z równą satysfakcją, co zwycięski wódz opowiada przebieg bitwy, za każdym razem dodając nowe upiększenia i fantazje?

Zamachnęła się na Oda z siłą zrodzoną w bezbrzeżnej irytacji.

Ledwie udało mu się uniknąć ciosu, lecz uciekając, wpadł na strażnika i razem padli na ziemię w plątaniu rąk i nóg.

Josselyn błyskawicznie zdała sobie sprawę, że oto otwiera się przed nią szansa. Wskoczyła z kuchni i pobiegła przez podwórzec, lecz wybrała niefortunną chwilę na ucieczkę.

Naprzeciw zbliżało się trzech umorusanych błotem żołnierzy. Zanim zdążyła zmienić kierunek, jeden z nich chwycił ją za rękę i cisnął w ramiona swoich towarzyszy.

- A to co takiego? - spytał drugi.

- Wygląda mi na termofor do łoża - zakpił trzeci mężczyzna.

- Jak myślicie, może sir Randulf Fitz Hugh przydziela takie podarki wszystkim swoim gościom?

- Tuszę, że to termofor rodem z Walii - wtrącił pierwszy z mężczyzn, chwytając trzonek łopaty, zanim dziewczyna mogła go użyć we własnej obronie. - Słuchaj, ślicznotko, mam tu coś dla ciebie. Co powiesz na kawałek angielskiego mięsiwa przedniej jakości?

Gniew Josselyn na ludzi, którzy pokrzyżowali jej ucieczkę, był tak wielki, że zabrakło w jej uczuciach miejsca na lęk

_ Jeśli szukacie mięsiwa, idźcie do kuchni. - Wskazała budynek ruchem głowy. - A teraz mnie puście! Natychmiast. Chyba że chcecie ujrzeć gniew sir Randulfa Fitz Hugh - dodała tonem groźby.

Niestety pogrożka utonęła w wybuchach prostackiego śmiechu.

- Mięsiwo z kuchni!

- Może udziec barani?

Zataczali się ze śmiechu, a Josselyn nie mogła pojąć ich zachowania. Może to obłąkani? Nie widziała nic śmiesznego w swoich słowach.

Zrozumiała dopiero wtedy, gdy jeden z nich złapał się za krocze.

Zalała ją bezbrzeżna fala obrzydzenia i chęć odwetu tak silna, że zagłuszyła głos rozsądku. Ten, który ją trzymał, rozluźnił nieco uścisk w napadzie wesołości, udało jej się

więc wyrwać mu sztylet z pochwy na biodrze. Szybkim ruchem przecięła pas z orężem i zatrzymała ostrze o centymetry od niczym nie chronionego krocza.

_ Czy chcielibyście ujrzeć, jak Walijka kroi angielskie mięsiwo? - zapytała głosem tak spokojnym, że słuchającym zmroził krew w żyłach.

Oczy zaatakowanego wybiegły z orbit.

- Weźcie ją ode mnie!

_ Spróbujcie mnie tylko dotknąć, a wasz towarzysz straci to, co uważa za bezcenne - przysięgła. - Jeśli myślicie, że nie wiem, jak użyć tego ostrza, jesteście w błędzie. Nie zrobię wam nic złego, jeśli pozwolicie mi przejść tam, do lasu. I to zaraz.

Przez chwilę miała nadzieję, że ulegną, gdyż stali w pełnym rozterki milczeniu. Zanim jednak zdołali cokolwiek uczynić, do akcji wkroczyła nowa postać.

- Ode mnie tak łatwo się nie ucieka, Josselyn.

Rand! Dziewczyna stłumiła odruch, by się do niego odwrócić, obawiając się natychmiastowej klęski w pojedynku na spojrzeń ze swoim ciemniejszym. Na wszystkich świętych, czyż ten koszmar nigdy się nie skończy? Przycisnęła ostrze nieco silniej, aż mężczyzna zaczął bełkotać w nieprzemyślonym strachu.

_ Wypuść mnie, albo zabiję tego tutaj - zagroziła.

_ A więc zabij go - odpowiedział Rand, a jego głos rozlegał się coraz bliżej. - Nie należy do mojego oddziału, nie będę po nim płakał. Poza tym raczej nie przypłaci śmiercią utraty tak mało ważnego członka.

- Ależ, milordzie. To nie ...

- Milczeć! - rozkazała Josselyn przerażonemu żołdakowi.-

Jeśli go zranię, z pewnością umrze z upływu krwi, więc cofnijcie się wszyscy, i to natychmiast. Ty też - rzuciła w stronę swej ofiary, kłując lekko czubkiem ostrza przyrodzenie nieszczęśnika.

Usłuchał bez ociągania, a Josselyn postąpiła za nim. Uczynili trzy kroki w osobliwej harmonii, jak para tancerzy złączona w groteskowych objęciach. Trzy kroki dalej od kuchni, w dół stoku otwierającego się na las i wolność. Trzy kroki. Na jej dłoń kapnęła kropla krwi.

- Och, och! Nie przyciskaj tak mocno!

- To przecież tylko przedniej jakości angielskie mięsiwozakpiła Josselyn. Nagle jej ucieczka zakończyła się równie niespodzianie, jak się zaczęła. Czyjeś ramię odepchnęło ją na bok. Anglik wrzasnął, dziewczyna upadła na twardą ziemię, przygwożdżona do zmarzniętej gliny przez sir Randulfa Fitz Hugh we własnej osobie.

Josselyn trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka godzin przedtem więził ją w uścisku miłosnym. Teraz bowiem nie spoczywała w objęciach delikatnego kochanka, który zadbał o jej rozkosz, zanim dał upust swojej żądzy. To było dotknięcie bezlitosnego ciemiężcy, wroga na polu bitwy, rycerza, który zaprzysiągł zniszczyć ją i jej naród.

- Niech to piekło pochłonie - zaklął Rand tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć. - Zrobiłaś wielkie głupstwo.

Zamachnęła się pięścią, lecz zdołała jedynie musnąć jego twardą angielską czaszkę. Zanim mogła ponowić protest, postawił ją na równe nogi jednym szarpnięciem, wykręciwszy jej ręce na plecy. Poczowała przeszywający ból w barku, lecz gorszy był cios zadany jej dumie. Oto trzymał ją bezsilną przed obliczem nieprzyjaciół! A te angielskie świnię

się z niej śmiały!

- Zdaje się, że mieliście rozkaz opiekować się nią - odezwał się Rand jadowitym tonem, a Josselyn ujrzała tuż za plecami angielskich żołdaków wartownika z kuchni.

Przełknął ślinę i nerwowo skinął głową.

- Tak, milordzie.

- Ty przeklęty głupcze! - zawołał Anglik, którego Josselyn zacięła. - Nie potrafiłeś zatrzymać takiej słabej dziewczki ...

- Z tobą też sobie poradziła.

Na scenę dramatu wkroczyła nowa postać. Ostatnie słowa padły z ust mężczyzny strojnie i bogato odzianego w wyszywany barwnymi nićmi płaszcz, spięty złotą klamrą, z pasem nabijanym klejnotami. To musi być Simon Lamonth - domyśliła się Josselyn. A mężczyzna, któremu groziła, był jednym z jego eskorty. Nowo przybyły nie był wysoki ani mocno zbudowany, wyglądał bardziej niepozornie niż jego ludzie, a przecież obudził w sercu Josselyn większy lęk niż tamci. Jego zachowanie znamionowało władzę, prymitywną moc, którą instynktownie odczuła i doceniła. Miał oczy o bładosiębrnych tęczęwkach, które prześlizgiwały się po jej sylwetce z pożądliwością dalece bardziej przerażającą niż nieokrzesane zabiegi jego ludzi.

Przysunęła się bliżej Randa, sama nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni. Oparł dłoń na jej ramieniu, a choć w zwykłych okolicznościach miałyby mu za złe ten gest posiadacza, tym razem nie opierała się. Nie w obecności mężczyzny, który rozbierał ją oczyma jak ten przybysz.

_ Z tobą rozliczę się później - mruknął Rand do ucha Josselyn. Machnął rozkazująco ręką do niefortunnego wartownika. - Zabieraj ją do kuchni i tym razem lepiej jej

pilnuj.

Lecz zanim zdążyła się oddalić, srebrnooki Lamonthe zatrzymał ich.

_ Myślę, że może nam się lepiej przydać w innej roli aniżeli dziewczki kuchennej. Słyszałem, jak ogniste są te Walijki. Ta z pewnością nie przypomina potulnego kociaka.

Jego oczy ześlizgnęły się ku jej piersiom, aż Josselyn zadrżała z obrazy i wstrętu ... i lęku. Niech Bóg ma w opiece kobietę, która wpadnie w szpony tego człowieka! Rand na pewno ją przed nim obroni.

Poczuła, jak zaciska palce na jej ramieniu, i to dodało jej otuchy. Jego słowa wszakże napełniły ją obawą:

_ Kiedy się nią znudzę, odeślę ci ją, panie. Tymczasem jednak nie mam ochoty się nią dzielić.

Lamonthe uśmiechnął się zimno. Jego ludzie wybuchnęli prostackim śmiechem - właściwie śmiało się tylko dwóch z nich. Mężczyzna, którego zraniła, patrzył na nią złowieszczym wzrokiem, pocierając wymownie krocze. Znowu jej groził, uświadomiła sobie, przysuwając się jeszcze bliżej do Randa.

Lecz ten klepnął ją w pośladki i pchnął w stronę strażnika.

Josselyn była dostatecznie przezorna, by puścić mimochodem upokarzający gest, lecz w duchu wyobraziła sobie z rozkoszą, jak wyrывa Odowi długi trzonek różna i wali nim po głowie Randa. Tymczasem musiała się potulnie oddalić w ślad za kucharzem, bezskutecznie próbując wyszarpnąć tamie z uścisku strażnika.

- Głupia suka! - syknął żołnierz, gdy dotarli do kuchni.

- To ty wyszedłeś na głupka - odparowała, uwalniając się wreszcie.

- Nie, przez ciebie na głupca wyszedł sir Randulf - zasyczał Odo. - Czy myślisz, że ci to kiedykolwiek zapomni?

Josselyn rzuciła mu spojrzenie kipiące wściekłością.

- A cóż może go obchodzić, co ten drugi sobie pomyśli?

- Simon Lamonthé, lord Bailwynn, nie jest człowiekiem, z którym można igrać. Ani razu, jak dotąd, nie okazał się słabeuszem czy głupcem.

- To potężny pan - dodał strażnik. - Król chętnie go słucha i darzy zaufaniem. Mówią, że na południe od tutejszych gór jest władcą absolutnym.

- No i co z tego? - Josselyn odwróciła się do nich plecami, lecz obojętna mina, jaką przybrała, była udawana. Teraz przypomniawszy sobie to nazwisko: Simon Lamonthé, którego okrucieństwo wobec Walińczyków przeszło do legendy. Wzniósł na południu fortecę, która broniła obrzeży puszczy Radnoru i, wedle powszechnej opinii, uchodziła za niezdobytą. A teraz przybył na północ. Dlaczego się tu wybrał?

- Mamy dużo roboty - przypomniał jej Odo.

Josselyn nie zareagowała na jego uwagę. Nie ugotuje już ani kęsa dla ludzi angielskiej krwi. Nie zagniecie ani jednego bochenka chleba. Co mógł jej bowiem zrobić Rand, by ją ukarać za opieszałość?

Mógł ją oddać Simonowi Lamonthé'owi.

Serce zaczęło jej bić tak gwałtownie, jak gdyby chciało wyrwać się z piersi. Mógł to uczynić - ale tego nie zrobi.

A jeśli tamten zażąda, by Rand pozwolił mu uczynić użytek z jej ciała? Jak ośmieli się odmówić lordowi potężnemu jak Lamonthé, jeśli ten wyrazi stanowcze życzenie? Pewnie nawet nie zaprotestuje!

Siedziała w najciemniejszym zakątku kuchni, sztywna i obojętna, podczas gdy Odo i jego przypadkowy pomocnik uwijali się przy palenisku, gotując polewkę rybną o niezbyt apetycznej woni. Bochny, które wyjęli z pieca, były małe, twarde i zakalcowate, chociaż, na szczęście, udało im się ich nie spalić - wprost przeciwnie, okazało się, że są nie dopieczone.

Bóg sprawiedliwy dopilnuje, by się udławili lepkiem pieczywem, pomyślała ze złośliwą nadzieją Josselyn. Uświadomiła sobie, że instruowanie Boga o jego obowiązkach można uznać za poważny grzech, lecz nie wierzyła, by prawdziwie miłosiwny Pan niebios nie wybaczył jej w tych szczególnych okolicznościach odrobiny braku uszanowania.

W miarę jak zbliżała się pora posiłku, Odo coraz częściej spoglądał na Josselyn z gniewem. Lecz tak jak wcześniej, nie dała się zmiękczyć jego proszącym wzrokiem, tak i teraz nie uległa jego irytacji. Miała o wiele poważniejsze zmartwienie niż to, czy ciasto dostatecznie wyrosło lub czy piec ma właściwą temperaturę.

Ten jeden dzień wywrócił całe jej dotychczasowe życie do góry nogami. Co gorsza, nie wiedziała, co robić. Nawet gdyby uciekła, wpadnie w kolejną pułapkę przeznaczenia. Szlak życia wiódł ją w kierunku, którym nie życzyła sobie podążać: ku małżeństwu z Owainem. Kolejną komplikację, której nie wolno jej było ignorować, stanowił fakt, iż Owain najwyraźniej czynił wysiłki, by ją odzyskać.

Czy jej życzenia nie grały żadnej roli? No i jakie były właściwie te życzenia?!

Nieboskłon zadrżał w niskim pomruku grzmotu

zwiastującego burzę i zrosił ziemię nagłym deszczem. Robotnicy przeklinali, moknąc w strugach ulewy, Josselyn tymczasem świętowała z radością w suchej izbie. W takim deszczu nie będą w stanie kontynuować robót! Nie uda im się tak szybko wznieść tych przeklętych murów.

Wstała, przeciągnęła się, by rozprostować zesztywniały kręgosłup, odrzucając od siebie wspomnienie igraszek, za których przyczyną miała obolałe ciało.

- Muszę zostać na chwilę sama - oznajmiła strażnikowi. Żołnierz zmarszczył czoło i spojrzał na nią spode łba.

_ Dostałem już nauczkę. Mnie, Horacego, drugi raz nie uda ci się przechytryć.

- To nie jest żaden podstęp, lecz zwykła potrzeba naturalna.

□ Josselyn podparła się pod boki. - Dziwię się, że sam jej nie odczuwasz. Przecież siedzisz tu cały dzień.

Przestąpił z nogi na nogę i zerknął niepewnie na Oda.

- A co ty sądzisz?

Odo, cały spocony i przyprószony mąką, przewiązany poplamionym tłuszczem fartuchem, popatrzył na Josselyn z rozpaczą. - A może dojdziemy do jakiegoś porozumienia?

W pierwszym odruchu chciała odrzucić ofertę i robić swoje pod okiem Anglików, lecz wrodzony rozsądek ukoił do pewnego stopnia wzburzone emocje, więc skinęła głową.

- Niech i tak będzie.

Jego oczy pojaśniały.

- Czy zastąpisz mnie przy wypieku?

- A co to za nowinki? - spytał zbity z tropu Horacy.

Kiedy Josselyn ponownie skinęła głową, Odo zwrócił się do strażnika:

- Nie mogę pozwolić, by mi tu sikano w garnki. Weź ją

gdzieś w opłotki, lecz nie spuszczał z niej oka i zaraz potem ją tu przyprowadził. I trzymał ją z daleka od ludzi Lamonth'e'a.

Josselyn postarała się wykorzystać do cna kilka darowanych jej minut swobody. Ludzie Simona Lamonth'e'a tłoczyli się wokół kwatery Randa. Niewątpliwie dwaj lordowie siedzieli w środku, tocząc ważne rozmowy. Deszcz przeszedł w mżawkę, która nie hamowała postępu robót przy fortyfikacjach. Ściany budynku, który w przyszłości miał służyć jako koszary, a obecnie stanowił kwatery kamieniarzy i kopaczy, wznosiły się już na wysokość rosnącego mężczyzny. Do wieczoru Anglicy zdążą zakończyć kładzenie głazów i przystąpią do prac przy dachu.

Robota szła naprzód w zaskakującym tempie. Czy Rhonwen przekazała jej słowa stryjowi? Czy stary Walińczyk zdoła zastąpić drogę bratu Randa i pojąć go w niewolę? Czy Owain wymyśli nowy podstęp, by uwolnić narzeczoną?

Wróciwszy do kuchni, zapytała: - A jak się miewa Alan?

- Nie mów, że czujesz się winna nieszczęścia biednego chłopca.

- Zadałam proste pytanie, czy odpowiesz mi na nie?

- Żyje - niechętnie poinformował ją strażnik. Z rozmachem otworzył drzwi kuchni i gestem wskazał, by weszła do izby przed nim. - Nic więcej nie wiem.

Josselyn w milczeniu zbliżyła się do stołu. Alan był taki młody, właściwie chłopiec jeszcze. Czuła ból na myśl, że odniósł poważne rany z ręki Owaina. Lecz przypomniała sobie, że jeszcze wielu Anglików czeka cierpienie - i wielu Walińczyków - zanim ich zmagania dobiegną końca. Nie wolno jej tracić łez w żalu nad angielskimi żołdakami,

którzy najechali jej krainę.

Rozrzuciła żar w palenisku i podsycała ogień dębowymi szczapami. Wojacy walczą i odnoszą rany - często śmiertelne. Taki już jest ten świat i męski los, tak jak losem kobiety jest zamążpójście korzystne dla jej rodu.

Jedyna różnica polega na tym, że ran można było się spodziewać od nieprzyjaciela, nie od sojusznika. Josselyn była natomiast przekonana, że ją Owain skrzywdzi bardziej, niż kiedykolwiek mógł to uczynić Rand - nawet Rand zachowujący się wobec niej tak szorstko jak dzisiaj.

Niestety, nie należał do mężczyzn, którzy mogli stanowić jej przeznaczenie. Tymczasem jego brat, Jasper - owszem.

Ugniatała coraz to nowe bochny i posługując się łopata, która jeszcze niedawno służyła jej za oręż, wyjmowała z pieca gotowe chleby, próbując nie myśleć o Jasperze Fitz Hugh ani o Owainie. Szczególnie zaś odtrącała od siebie wszelkie myśli o Randzie. Rozważała natomiast rozmowę z Newlinem, która wydawała się tak odległa, choć odbyła się nie tak dawno - tuż przed schyłkiem zimy. Przed schyłkiem jej starego życia. Zaraz potem nadeszła nowa epoka dla niej, a może i dla całego jej ludu.

Nieprzerwanie padający deszcz zmył ostatnie ślady zimy, przynosząc na ich miejsce świeżą miękkość wiosny. Na obsianych polach pojawiały się pierwsze kielki, w puszczy odradzały się nowe pędy, W angielskim obozie rosły ku niebu kamienne fortyfikacje.

Czy nadejdzie dzień, kiedy dzikie róże z płaskowyżu Rosecliffe rozkwitną na stromiznie tych murów, pokrywając je barwnym kwieciem? Kto wtedy przyjdzie zrywać pachnące pąki - kobiety angielskie czy Walijki?

Bardzo się obawiała odpowiedzi na to pytanie.

Rozdział siedemnasty

Południowy posiłek okazał się prawie niejadalny. Połowa bochnów była do wyrzucenia - czyste marnotrawstwo mąki, jak stwierdziła Josselyn; szkoda, choć był to pośledni gatunek z grubego jęczmiennego przemiału. Pozostałe pieczywo było tak lichej jakości, że powinno odstręczyć przybyszów od dłuższej gościny.

Tak byłoby najlepiej, uświadomiła sobie Josselyn nieco później, gdy słońce zaczęło zniżać się do horyzontu. Jasno widziała, że Simon Lamonthé i jego eskorta nie są zbyt miłymi gośćmi na Rosecliffe. Dziwne, skoro byli Anglikami, Rand powinien przyjmować ich z otwartymi ramionami. Tymczasem wyczuwała napięcie w ich wzajemnych stosunkach, choć nie dane jej było zobaczyć żadnego z przybyszów od owej niefortunnej porannej próby ucieczki. Ludzie Randa też zachowywali rezerwę wobec żołnierzy Simona, a ci mieli się na baczności, jak gdyby brali udział w wypadzie na nieprzyjacielskie ziemie. Obie strony wymieniały spojrzenia pełne podejrzliwości, a nie wzajemnego zaufania.

Jakże to interesujące! Sądziła, że Anglicy stanowią zgodny zespół lordów zarządzających potężnymi majątkami, zjednoczony w pragnieniu zawojowania ziem Walii. Gdyby nie utrudniająca podbój rzeźba terenu północnej Walii, mieszkające w rozproszeniu i tradycyjnie skłócone między sobą rody dawno już uległyby przeważającym siłom

najeźdźcy. Teraz jednak okazało się, że Anglicy nie są wcale zjednoczonym narodem, wbrew temu, co głosił ich król.

Czemu Rand nie darzył swego gościa zaufaniem? - zastanawiała się Josselyn. Przede wszystkim zaś, czemu Simon Lamonthé pofatygował się z wizytą na Rosecliffe?

Odpowiedź wydawała się jednoznaczna: przybył, by szpiegować.

Tak jak niegdyś ona, Josselyn, wybrał się do obozu Randa, by rozważyć sposoby pokrzyżowania planów młodego Anglika.

Czyżby Lamonthé miał się stać sojusznikiem Walii?

Palce, którymi nerwowo przeczesywała gęste sploty, zamarły, dziewczyna znieruchomiała w głębokiej zadumie. Nie, zdecydowała szybko, Lamonthé nie mógłby nikomu pozostać wierny, stać go było tylko na krótkotrwałe ugody. Podpowiadał jej to instynkt.

Przez okno przypatrywała się pilnie, jak żołnierze rozpalają wielkie ognisko, jak wokół niego gromadzą się grupki mężczyzn, a ich sylwetki odcinają się czernią na tle pomarańczowych płomieni. Piwo lało się obficie, gdyż ciemność położyła kres pracy na budowie. Kamieniarze i stolarze przepijali do kopaczy, wszyscy gadali jeden przez drugiego, kompania coraz bardziej ochoczo hałasowała i wymieniała rubaszne żarty. Josselyn stwierdziła, że żołnierze nie piją, a jeśli nawet któryś umoczył usta w kuflu, to z wielkim umiarem. Zarówno ludzie Randa, jak i Lamonthé'a woleli zachować trzeźwość.

Gnana rosnącą ciekawością, wykradła się z ciemnego kącika. Odo opuścił kuchnię zaraz po wydaniu posiłku. Horacy

wciąż jej pilnował, lecz przez ostatnią godzinę walczył z powiekami, które coraz częściej opadały mu na oczy. Patrzyła, jak głowa strażnika osuwa się na piersi. Wkrótce usłyszała odgłos chrapania.

Czy odważy się wykraść z kuchni? A jeśli zaryzykuje, to czy powinna uciekać, czy podjąć próbę ustalenia, jakie jest źródło napięcia między Randem i Simonem Lamonthem?

Wkrótce okazało się, że decyzja nie leży w jej rękach. Gdy bowiem pchnęła drzwi, drewno zaskrzypiało i Horacy się obudził. Błyskawicznie pochwycił Josselyn i choć nie opierała się, nie ostudziło to jego gniewu.

- Nie chciałam uciekać, potrzebowałam tylko zaczerpnąć świeżego powietrza - protestowała Josselyn, usiłując mu się wyrwać. - Zachowaj te kłamstwa dla sir Randulfa. Ja nie dam się po raz drugi wystrychnąć na dudka!

- Dudkiem się urodziłeś - mruknęła. - Trzymaj łapska z daleka ode mnie!

Nie zważając na obelgi, strażnik wykręcił jej ręce na plecy i związał w przegubach. Potem przewlekł linę przez jeden z haków wbitych w ścianę, na których wieszano garnki. Josselyn wściekała się i klęła po walijsku, angielsku i francusku, lecz musiała ścierpieć haniebną niewolę. Kiedy w kuchni pojawił się Rand, zwróciła całą furję na człowieka, który wydał strażnikowi rozkazy, więc był odpowiedzialny za zniewagę, jakiej doznała.

- Przyjdzie dzień, w którym pożałujesz, że mnie tak potraktowałeś!

- Simon Lamonthem żąda widzenia z tobą.

Gniewne obelgi zamarły jej na ustach. Złość ustąpiła fali lęku. Ze strachu zlodowaciało jej ciało, a serce ruszyło do

szalonego galopu.

Rand zerknął na Horacego i nakazał mu wyjść. Zaczekał, aż żołnierz zamknie za sobą drzwi, i ponownie zwrócił się do Josselyn: - Chce mieć dziś w nocy kobietę, a ty jesteś tu jedyna. Josselyn nie mogła uwierzyć swoim uszom. Chyba nie zamierzał tak po prostu oddać jej temu człowiekowi! Ale gdy Rand do niej podszedł i zaczął rozluźniać krępujące ją więzy, wydało jej się, że właśnie tak postąpi.

- Nie pójdę! - Wykręcała się na wszystkie strony, by utrudnić manipulację przy sznurze, skoro swoboda od więzów oznaczała towarzystwo Simona Lamonthé'a. - Nie zrobię tego. Będę się bronić ...

- Zrobiłabyś mu tym przyjemność, Josselyn. Rozkoszowałby się twoimi wysiłkami, a potem i tak by cię wziął.

Do oczu nabiegły jej łzy. Czy nie dość, że los doświadczał ją tak okrutnie? Jak on mógł oddawać ją bez żadnych oporów temu wstrętnemu mężczyźnie? Potrząsnęła głową, zbyt sparaliżowana lękiem, by coś powiedzieć.

Dopiero wtedy nieprzenikniony wyraz twarzy Randa ustąpił miejsca zatroskaniu. Przewiercał ją wzrokiem, jakby chciał przeniknąć do najtajniejszych zakątków jej umysłu.

- Powiedziałem mu, że jesteś moją kobietą - powiedział wreszcie. - Lecz on uważa, że potrafi cię zwabić do swego łóżka, oferując zapłatę.

Josselyn zadrżała.

- W całej Brytanii nie ma takiego majątku, który by mnie skusił do tej transakcji.

Rand przechylił głowę.

- Nasze łóżkowe igraszki podobały ci się niezmiernie. Czemu miałabyś się wzdragać przed zabawą z innym

mężczyzną?

Nagle Josselyn zaczęła podejrzewać, że Rand zastawił na nią pułapkę. Próbowwała opanować zdenerwowanie, rozważyć swoją odpowiedź i zachować dość przenikliwości, by rozszyfrować jego słowa.

_ Nie jestem płatną dziwką, która skacze z jednego łoża w drugie i sprzedaje ciało za pieniądze.

- A zeszłej nocy?

Josselyn odwróciła się do niego plecami. Nie знаła odpowiedzi, przynajmniej nie takiej, której mogłaby udzielić Randowi.

_ Nie myślę teraz o zeszłej nocy, lecz o tej, która nadchodzi. Czy oddasz mnie temu Anglikowi?

Nie tyle słuchem, co jakimś szóstym zmysłem wyczuła, że Rand się do niej przysuwa. Czekwała na dotyk jego dłoni, nienawidząc siebie za tę słabość. Nienawidząc jego za to, że umiał zbudzić w niej zdradzieckie uczucie tęsknoty do jego pieśczoć.

- Nikomu cię nie oddam.

Zadrżała, słysząc gardłowy ton głosu, którym brał ją w swoje wyłączne posiadanie.

- Nawet swemu bratu?

Zmilczał, a choć Josselyn wiedziała, że jego odpowiedź nie ma znaczenia - skoro Jasper, zamiast przybyć na Rosecliffe, znajdzie się wkrótce w niewoli jej stryja i Owaina - to chciała usłyszeć, co planuje Rand.

- Wydasz mnie za niego?

- Jeśli będę musiał.

Odsunęła się od niego na tyle, na ile pozwalał sznur krępujący nadgarstki, wciąż przymocowany drugim końcem

do haka.

- A któż może cię do tego zmusić?

_ Zamierzam narzucić pokój tej krainie, Josselyn. Chcę, aby zapanował między twoim ludem i moim, a jeśli jedynym sposobem, by to osiągnąć, będzie twój związek z Jasperem, nie będę miał wyjścia.

Oczy Josselyn zapłonęły gniewem.

_ Ach, tak. Wzdragasz się zrobić ze mnie dziwkę, rzucając mnie w objęcia Lamonth'e'a, lecz nie zawahasz się uczynić tego, gdy pojawi się twój brat.

Randowi zadrżała grdyka.

- Dokładnie w ten sam sposób zamierzał postąpić twój stryj. Chodź - dodał - prześpisz się w mojej kwaterze.

- Nie położę się z tobą po raz drugi.

Zmrużył oczy.

- Zobaczymy.

- Raczej pójdę do łóża Lamonth'e'a! - rzuciła.

Ponownie zacisnął gniewnie szczęki.

- Oboje wiemy, że kłamiesz. Nie prowokuj mnie, kobieto, bym nie doszedł do wniosku, że rozkosz, jaką czerpię z twojego towarzystwa, niewarta jest kłopotów, jakie sprawiasz.

Nie zważając na jej opór, obrócił ją, rozwiązał resztę sznurów i popchnął przed sobą w stronę drzwi.

Gdy przechodzili przez podwórzec między zabudowaniami kuchni, kwaterą Randa i nowo wzniesioną szopą na opał, pocierała zdrętwiałe nadgarstki, rozglądając się w zamyśleniu. Co dzień Anglicy robili nowe postępy w gorączkowej pracy przy budowie swego siedliska. Już teraz płaskowyż Rosecliffe, usiany budynkami, bardziej

przypominał wioskę niż zwykłe żołnierskie obozowisko. Gdy zaś dokończą mury twierdzy, wyparcie ich stąd będzie prawie niemożliwe.

Dłoń Randa ześlizgnęła się z jej ramienia w dół pleców, jak gdyby potwierdzając jej najczarniejsze przypuszczenia, przypominając jej, że jest zakładnikiem nieprzyjaciela. Jednocześnie zaś ten niewinny gest dowiódł ponownie, jak wielką ten Anglik ma nad nią władzę. Przyspieszyła kroku, pragnąc umknąć spod krępującej swobodę myśli dłoni.

- Gdzie jest Lamonthé?

- Ma własny namiot. Duży i zdobny.

- A więc nie do niego mnie prowadzisz.

- Powiedziałem mu, że jesteś moja, nieosiągalna bez względu na cenę. .

Dotarli do kwatery Randa i zatrzymali się przed drzwiami.

Josselyn podniosła na niego oskarżycielskie spojrzenie.

- Nie miałeś zamiaru mnie do niego posyłać. Powiedziałeś mi o nim tylko po to, by mnie postraszyć.

Milczał, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią. Na jego twarz padł migotliwy odblask dalekiego ogniska, zabarwiając policzki złocistym światłem, zbyt słabym, by dziewczyna mogła odczytać wyraz jego oczu.

- Przybyłaś tu, by nas szpiegować. Zgodziłaś się uczyć mnie walijskiego tylko po to, aby wkraść się do obozu i dowiedzieć wszystkiego o naszych planach. Oszukałaś mnie co do swej tożsamości i spiskowałaś przeciw mnie. Byłbym głupcem, gdybym się nie zastanawiał, czemu się zgodziłaś wziąć mnie do swego łóża ...

- To dość osobliwe określenie, skoro to ty robiłaś wszystko, by mnie uwieść!

- Być może. W każdym razie zaciekało mnie, czy spróbujesz tego samego wybiegu z Lamonthe'em.

- Wybiegu? To nie był żaden wybieg. Och! - Josselyn zawrzała wściekłością. Jak mógł w ogóle coś takiego pomyśleć! Cofnęła się.

- Nie będę nocować w twojej komnacie. Najpewniej nigdy już nie zechcę dzielić z tobą łoża!

- A jeśli znów cię uwiodę?

Zmysłowa obietnica niskiego, chrapliwego szeptu była jak pieszczota nagrzanego słońcem potoku, którego nurt obmył jej ciało ciepłym strumieniem. Czuła leciutkie dreszcze przebiegające po skórze i bezwiednie osłoniła rękami brzuch.

- Nie jestem idiotką. Drugi raz nie wpadnę w te same sidła.

- Czyżby? Założę się, że będziesz nawet bardziej chętna.

Prostacki śmiech i kroki zbliżających się mężczyzn oszczędziły Josselyn konieczności odpowiedzi na zaczepkę. Widząc, że trzech Anglicy zbliżają się ku jego kwaterze, Rand wysunął się naprzód, chroniąc Josselyn za swoimi szerokimi plecami.

- A więc jak, lordzie Randulfie Fitz Hugh? Czy rozważyłeś ponownie moją ofertę? - zapytał Simon Lamonthe. Josselyn wiedziała, że ten zimny, pełen okrutnego rozbawienia głos rozpozna wszędzie do końca życia. - A może nie przekazałeś dziewczce mojej propozycji. Trzy złote monety - zwrócił się do Josselyn - trzy złote talary i noc, jakiej nigdy nie zapomnisz.

- Jej życzenia w tym względzie są nieważne, Lamonthe. To moja branka. Musisz poczekać, aż ją wypuszczę, zanim zaczniesz ubiegać się o jej względy.

Josselyn zapragnęła pocałować Randa za stanowczość, z jaką

odmówił starszemu rycerzowi. Chciała zarzucić mu ramiona na szyję, ucałować jego mocne bary, podziękować za ochronę przed odrażającą propozycją Lamonthe' a. W gruncie rzeczy powinna być zła, że Rand podkreśla jej pozycję zakładniczki. W tej wszakże chwili nie dbała ani trochę o takie drobiazgi. Chronił ją przed tym okropnym człowiekiem i na razie tylko to się liczyło.

- Niech i tak będzie - powiedział Lamonthe po długim milczeniu. - Zaczekam, aż twój pan cię wypuści - zwrócił się do Josselyn, potrząsając sakiewką. Brzęk uderzających o siebie monet brzmiał w jej uszach jak odrażający akompaniament do jego obietnicy, zgrzytliwy i złowieszczy.

- Ach, panie Fitz Hugh - rzucił, odwracając się na pięcie. - Strzeż się, byś nie wpadł w pułapkę, która doprowadziła do ruiny wielu uczciwych Anglików. Jej ciało niewątpliwie jest miękkie i ciepłe, balsam na przemarznięte członki. Zaspokaja twoje potrzeby, lecz nie pozwól, by zniewoliła twe serce, bo możesz się łatwo przekonać, że wyrwała ci je z piersi i podała na tacy swym krwiożerczym ziomkom. - Śmiejąc się na cały głos, zniknął w ciemnościach, a za nim ponuro podążyła jego eskorta.

Rand bez słowa otworzył drzwi i wepchnął Josselyn do środka.

Opadł ciężki skobel, zgrzytając metalem o drewno. Zostali sami. Teraz bardziej niż przed chwilą Josselyn była wdzięczna, że zdołała wymknąć się odrażającemu Lamonthe'owi. Czuła się zbrukana i zbezczeszczona jego zachowaniem - była dla niego zaledwie rzeczą przydatną do seksualnych igraszek. Wiedziała, że Rand też tak o niej myśli, lecz przynajmniej nie wypowiadał tego głośno.

Nieskrępowane słowa Lamonthe'a ponownie wprowadziły ją w przygnębienie.

- Nie będę dzielić twego łóża - mruknęła, patrząc, jak Rand zrzucił z siebie pas i wierzchnią tunikę.

- Jak sobie życzysz. Zbyt jestem zmęczony, by się z tobą spierać. Zaskoczona, postanowiła mimo wszystko nie pokładać zaufania w jego uступliwości.

- Nie rzucam słów na wiatr. Jeżeli trzymasz mnie jako kobietę dla brata, nie mogę znowu się z tobą chędożyć.

Czekała na jego reakcję. Rand zsuł buty, płynnym ruchem ściągnął przez głowę koszulę i odrzucił ją na bok. Bosy i półnagi, spojrzał na nią bez uśmiechu, a ona przełknęła z wysiłkiem ślinę. W skąpym świetle prezentował się istic imponująco, pełen męskości i życia. Zaschło jej w ustach, a krew pulsowała w żyłach jak szalona.

- Ten dzień był długi i męczący, moja Josselyn, a poprzedniej nocy prawie nie zmrużyłem oka. Mam zamiar zasnąć i spać ... a sądzę, że i tobie przyda się wypoczynek.

Widać było, że mówi poważnie; Josselyn poczuła nieśmiałą ulgę. Lecz zaraz dodał:

- Niestety, będziesz ze mną dzielić moje łóżo.

- Co?

- Albo to, albo muszę przywiązać cię do zydlu. Nie mogę ryzykować, że znowu pokusisz się o próbę ucieczki.

- Wobec tego wolę zydel. Lepiej spać w więzach niż dzielić z tobą łóżo.

- Tak mówisz? Lecz ja nie będę spał spokojnie, wiedząc, że siedzisz skulona w niewygodnej pozycji. Patrz, Josselyn: łóżo jest miękkie i duże, pomieści nas dwoje.

- Nie.

- Tak. - Przysunął się do niej, a ona cofnęła się pod ścianę. - Nie obawiaj się, nic ci nie zrobię prócz tego, że przywiążę cię do siebie. - Pokazał jej dość długi łańcuszek o drobnych ogniach. □ W ten sposób nie możesz się wymknąć, nie budząc mnie.

Josselyn potrząsnęła głową. Mógł mówić, co chciał, a ona i tak wiedziała, do czego to wszystko prowadzi.

- A jeśli solennie obiecuję nie uciekać?

- Miałbym ci uwierzyć? Powiedz mi sama. Ja przecież obiecałem, że powściągnę chuci. Czy ty nie jesteś w stanie uwierzyć mnie?

Jestem w pułapce - stwierdziła z omdlewającym biciem serca. Bezradnie patrzyła, jak Rand przemierza izbę i się do niej zbliża.

Przycisnęła plecy do chropowatej ściany z kamienia. Czuła, jak wilgotnieją jej dłonie. Łańcuszek kołysał się w jego rękach, złowróżbne cacuszko, osobliwe pęta zakończone wąską bransoletką, którą Rand zacisnął na lewym nadgarstku Josselyn. Za pomocą niewielkiej kłódeczki przymocował drugi koniec do swojej ręki. Przekręciła srebrną obrózkę, lecz nie znalazła żadnego zamka ani otworu na klucz. Rzuciła mu poirytowane spojrzenie; odpowiedział na nie krzywym uśmiechem.

- Przywiozłem tę ciekawostkę ze Wschodu. Niebywale użyteczny drobiazg. Ostrzegam cię, znużyła mnie już nieustanna bitwa, jaką ze mną toczysz.

Choć wiedziała, że nie ma wyboru, z trudnością przyszło jej ulec. Z ociąganiem szła za nim w stronę łoża.

- Czy mam ci pomóc w zrzuconiu szat?

Josselyn skrzywiła się szyderczo.

- Nie mam zamiaru zrzucić czegokolwiek.

Wzruszył ramionami, jakby nic go to nie obchodziło. Nie spuszczać z niej oka, rozwiązał sznurowania spodni, rozluźnił skrzyżowane w talii taśmy, a gdy luźna tkanina opadła na posadzkę, uniósł kolejno stopy i uwolnił je z fałdów płótna.

Josselyn odwróciła głowę. Nie potrafiła, niestety, powstrzymać rumieńca, który zabarwił jej policzki. Lękała się, że płomień na jej twarzy można dostrzec nawet w mroku izby.

- Czy twój brat Jasper ma równie nieokrzesane maniery? - mruknęła, gdyż nie znany Anglik był teraz jej jedyną obroną przed zakusami Randa. Nie wiedziała wszakże, czy wymawia to imię, by przywołać do przytomności swego ciemiejącę czy też siebie samą. Bała się analizować motywy swego postępowania.

- Nie znane mi są intymne szczegóły jego życia erotycznego. Skończ z tym wypytywaniem, Josselyn. Mam ochotę położyć się spać.

Pociągnął za swój koniec łańcuszka i zmusił ją, by postąpiła krok naprzód. Wciąż miała wzrok utkwiony w ścianie nad jego głową.

- Ile ... ile on ma lat?

Sznury materaca zaskrzypiały pod jego ciężarem; rumieniec na twarzy dziewczyny pogłębił się. Ten dźwięk już zawsze będzie jej przypominał ... coś, co powinna wymazać z pamięci.

- Jest dziesięć lat młodszy ode mnie. To syn drugiej żony mojego ojca. Połóż się, Josselyn. - Szarpnął za łańcuszek, aż z rozmachem usiadła na sienniku.

- Czy masz żonę? - zapytała nagle.

- Nie. - Po chwili milczenia dodał: - Ani jej nie szukam.

Zawarte w tych słowach żądło obrazy ukłuło ją do żywego.

- Ale dla brata szukasz.

- Pragnę pokoju między Anglikami i Walijczykami. Chcę, by Jasper poślubił Walijkę. Ty zaś doskonale się do tego nadajesz. Dostyc tego przesłuchania. - Złapał ją w talii i przyciągnął do siebie. - Dość już - powtórzył, ziewając. - Czas spać.

Łatwo mu mówić - pomyślała Josselyn, leżąc sztywno na plecach. Bała się poruszyć. Czuła ciężkie ramię obejmujące ją w talii - jednoznaczne ostrzeżenie przed próbą ucieczki. Rytm oddechu Anglika wyrównał się i pogłębił, ciepły podmuch poruszał jej włosy, łaskocząc ją w ucho. Rand przycisnął zgiętą w kolanie nogę do uda dziewczyny.

Być może rzeczywiście przyszła pora na sen, ale ich intymna bliskość czyniła wypoczynek niemożliwym, przynajmniej dla Josselyn.

Jakoś w końcu udało jej się zasnąć. Zastanawiając się z zaciekawieniem, czy udałoby jej się zerwać łańcuszek, i daremnie próbując przecisnąć dłoń przez bransoletkę, zapadła w głęboki sen bez marzeń. Obudziła się dopiero, czując, że ktoś nią potrząsa.

To był Rand.

Zamrugła, on odsunął włosy z jej twarzy i wszystko zaczęło się od nowa. Nieznośne napięcie. Nieodparte poczucie przyciągania.

Pochylił się nad nią, obrysowany bladym światłem padającym z okna, w którym nie zatrzaśnięto okiennic. Milczący i silny, był w tej chwili na wpół ze snu, na wpół

zjawy. Był tylko mężczyzną, nikim więcej, ani Walińczykiem, ani Anglikiem. Kimś, kto nie przybył tu, by wojować i rządzić, lecz tylko po to, by dać jej rozkosz.

Przypatrywała się rycerzowi w szarym świetle brzasku, rozjaśnionym blaskiem jej uczuć, które nie poddawały się dyktatom rozumu ani nie dały stłumić przez poczucie odpowiedzialności.

Rand poruszył się i dotknął nogą jej uda. Nagiego uda, uświadomiła sobie ze zgrozą, gdyż w nocy suknia zadarła się i zawinęła w tali, więc Josselyn była naga od pasa w dół. Tak, jak i Rand ...

Przesunął rękę w dół, patrząc jej w oczy.

_ Dobrze spałaś? - Muskał gładką skórę bioder długimi palcami i wnętrzem dłoni.

- Tak. ...

_ Czujesz się wypoczęta? Jak nowo narodzona? - Głos miał jeszcze zachrypiły od snu ... i żądy.

Intymny ton ponownie potrącił w duszy Josselyn strunę pożądania.

_ Obiecałeś mi, że będziemy tylko spać - szepnęła.

- Czy chcesz jeszcze zasnąć?

Chciała ... Nie, tego nie ośmieliłaby się powiedzieć na głos . w żadnej mowie świata.

- Proszę cię, Rand.

Przyciągnął ją do siebie tak, że wtuliła się w zagłębienie łędźwi.

Poczuła, że jest już gotowy i nagle odebrało jej dech. Znowu zanurzył dłoń w jej włosy, przesypując gęste pasma między palcami.

_ Kiedy wypowiedasz moje imię, Josselyn ... Powtórz je,

proszę.

- Rand - powtórzyła posłusznie, jak zahipnotyzowana.

Jęknął i zacisnął oczy jak w przyływie nagłego bólu. Josselyn uświadomiła sobie, że to jej bliskość tak na niego działa. Budziła w nim pożądanie równie mocne jak to, które on budził w niej. Absolutna władza nad człowiekiem takim jak on mogła łatwo uderzyć do głowy. Jak zresztą miała użyć swej potęgi?

Zaprzagnęła jeszcze przez chwilę rozkoszować się poczuciem władzy - tylko sekundę dłużej, i to wszystko - obiecywała sobie. Uniosła dłoń ku twarzy Randa, chcąc utulić ściągnięte policzki, zakręcić na palcu kędzior ciemnych włosów, ale zaczepiła łokciem o niewolniczy łańcuszek i zatrzymała się w pół gestu. Od srebrzystej bransoletki odbił się promień porannego światła, budząc ją do ponurej rzeczywistości, w której stali na przeciwnych brzegach bezdennej przepaści.

I on poczuł, że wszystko się zmienia, a gdy ich oczy spotkały się ponownie, Josselyn wydało się, że widzi w spojrzeniu Anglika żal. Z pewnością zaś ujrzała w nim rozdrażnienie.

- Niektóre kobiety czerpią zmysłową podniecie z ograniczenia, jakie narzucają więzy - zamruczał uwodzicielsko. - I ty wczoraj nie narzekałaś.

Owszem, tak było, lecz wspomnienie tych chwil w świetle dnia nappełniło Josselyn wstydem. Najgorsze zaś były nie więzy krępujące ciało - czy to ze sznura, czy srebrnego łańcuszka - lecz innego rodzaju pęta, w jakie próbował ją zwabić. Omamiwszy ją bowiem czarem fizycznej miłości, postanowił oddać ją innemu, bratu.

- Nie - odrzekła, zamykając oczy.

- Mówisz "nie", ale ja słyszę "tak". - Tym razem napał na nią, wciskając ją głęboko w siennik, podniecając gorącym własnego ciała i gotową do czynu twardością przyrodzenia. Pocałował jej opuszczone powieki.

- Powiedz "tak", Josselyn. Oboje nas uraduje dźwięk twojej zgody.

Zmusiła się, by spojrzeć mu w twarz, by oprzeć się potężnemu wiru, w który już-już mieli się osunąć.

- Powiedz mi, że nie wydasz mnie za swego brata.

Już otworzył usta, by jej to obiecać - była tego pewna - lecz zmienił zdanie, zanim sformułował pierwsze słowa. Uwięził twarz dziewczyny w żelaznych kleszczach dłoni i ogarnął ją żarliwym spojrzeniem.

- Oboje znamy swoje obowiązki. Ty jesteś winna lojalność swojemu ludowi i uczynisz wszystko co konieczne, by zachować ich w dobrobycie i zdrowiu, tak jak i ja dźwigam podobną odpowiedzialność wobec moich ziomków.

- Chędożenie się najpierw z tobą, potem z twym bratem raczej nie pomoże mojemu ludowi - rzekła cierpkim głosem. Zawahał się, gdyż jej słowa zbiły go z tropu.

- Małżeństwo z Jasperem pomoże utrzymać swego rodzaju pokój, a przynajmniej zapewni obu stronom na jakiś czas bezpieczeństwo, dopóki się nie przekonamy, że Anglicy i Walińczycy potrafią utrzymać dobrosąsiedzkie stosunki, ku obopólnej korzyści.

- To złudna nadzieja, Rand, choć rozumiem, że chciałbyś w nią uwierzyć. Jednak ... to wszystko nie ma nic wspólnego z tym ... z nami. ...

- Z nami - powtórzył. Przysunął twarz tak blisko, że w świetle brzasku Josselyn widziała ciemną szczecinę zarostu

na policzkach, bliznę przecinającą twarz i błysk pożądania w czystych szarych tęczówkach.

- To ... pragnienie, które nas łączy - ciągnął - nie musi niczego zmieniać. Pożądamy się wzajemnie, więc cóż? Nie widzę żadnych przeszkód ...

- Ja zaś widzę same przeszkody! Nawet gdybyś nie wmieszał w tę sprawę brata, pozostaje faktem, że jestem twoją zakładniczką, a ty moim nieprzyjacielem.

Zaklął pod nosem.

- Mógłbym cię zmusić siłą.

- Nie rób tego!

Szare oczy Anglika błyszczwały takim żarem, że miała wrażenie, iż jego spojrzenie parzy.

- Mógłbym cię uwieść.

- Wiem - przyznała szeptem.

Wzdłuż jego szyi biegła żyła, która pulsowała życiodajną krwią.

To właśnie takie drobiazgi sprawiały, że poruszał ją do głębi. W tej chwili wystarczyłby jeden pocałunek, żeby ugięła się i spełniła jego pragnienie, które pokrywało się z jej tęsknotą.

Lecz Rand tego nie zrobił. Josselyn wiedziała, że powinna się cieszyć. Odsunął się, odjął ręce od jej twarzy i stoczył się z jej ciała z mimowolnym jękiem.

Leżeli obok siebie, skuci łańcuszkiem, który omotał wokół jej nadgarstka, lecz oddaleni wymogami polityki i obowiązku. Josselyn była bliska płaczu, choć sądziła, że to dziwna reakcja. Nieprzyjaciel nie zamierzał brać jej siłą - czy nie był to raczej powód do radości, a przynajmniej ulgi? Tymczasem czuła tylko smutek.

Wreszcie zmusiła się, by wrócić myślami do dnia

powszedniego: - Czy zdejmiesz mi ten łańcuszek?

Rand odpiął bransoletkę, bez słowa ubrał się i wyszedł z komnaty.

Josselyn leżała pod futrami posłania aż do chwili, gdy zamknęły się za nim drzwi. Oto zaczął się nowy dzień. Oby Bóg dał im go przeżyć spokojniej niż poprzednie.

Podniosła się ospale z pościeli, jeszcze odurzona głębokim snem. Aby otrzeźwieć, ochlapała twarz zimną wodą, którą znalazła w cynowym dzbanie. Pchnęła drzwi, lecz były zaryglowane, co ponownie wprawiło ją w przygnębienie.

Nigdy nie powinna się była zgadzać na uczenie Randa walijskiej mowy. W ogóle nie powinna była wykradać się do obozu. Nie znalazłaby się w tej godnej pożalowania sytuacji, gdyby od razu wyraziła zgodę na małżeństwo z Owainem.

Poczuła dreszcz przerażenia. Małżeństwo z Owainem? Niemożliwe. Za żadną cenę. Wystarczyło jedno dotknięcie dłoni Randa, jego ust czy jakiegokolwiek innej części jego ciała, by wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że nie zgodzi się nigdy na podobne pieszczoty z Owainem.

- Czemu musiałam napotkać właśnie Anglika? - wypowiedziała na głos tragiczne pytanie. Ale po chwili zorientowała się, że to nie jego narodowość stanowi największą przeszkodę. Oto był zdecydowany wydać ją za własnego brata, lecz nawet nie przeszło mu przez głowę, że mógłby sam wziąć ją za żonę. Jeżeli zaś mężczyzna nie ma ochoty na ożenek, to nikt nie może go do tego zmusić - ani w Walii, ani w Anglii ...

Oznaczało to, że zostanie żoną Jaspera, chyba że stryjowi uda się zrealizować jej desperacki plan. Czy kiedykolwiek przyjdzie ta upragniona chwila?

Dzień upłynął jej na czekaniu. Jeden z pomocników Oda przyniósł jej nieapetyczną strawę, nie dopieczony chleb i przypaloną potrawkę z węgorza. Nowy wartownik pilnujący drzwi wręczył jej mały węzełek - nareszcie odzyskała osobiste drobiazgi! Tobołek został najwyraźniej poddany skrupulatnej rewizji, lecz Josselyn nie była zaskoczona. Ostatecznie cóż znaczyła jeszcze jedna zniewaga, w dodatku tak drobna w porównaniu z tymi, które ją wcześniej spotkały i które z pewnością jeszcze ją czekają?

Tego dnia nie doszły ich żadne wieści o bracie Randa, Jasperze.

I kolejnego dnia oczekiwali na próżno. Długo oczekiwane nowiny przybyły wreszcie z najdziwniejszego źródła.

Rozdział osiemnasty

Strażnik Horacy przepuścił przed sobą Newlina, rzucając kalekiemu bardowi pełne podejrzliwości spojrzenie. Wyraźnie starał się omijać starca szerokim łukiem. Josselyn chętnie ucałowałyby ich obu z radości na widok swego ziomka. W dodatku po dwóch dniach spędzonych w odosobnieniu spragniona była wieści o tym, co dzieje się poza murami jej więzienia. Mogła się, oczywiście, spodziewać, że Rand nie pozwoli żadnemu Walijczykowi wejść do obozu, czyniąc wyjątek jedynie dla Newlina. Bard też wyglądał na zadowolonego z tej wizyty.

- Czy dobrze cię tu traktują? - spytał, obchodząc ją dokoła, i

przyglądając jej się badawczo zdrowym okiem.

- Na tyle, na ile można się spodziewać w tych okolicznościach.

Strawa jest okropna - dodała Josselyn po angielsku, kierując te słowa ku odchodzącemu strażnikowi.

- Sama jesteś temu winna - mruknął żołnierz i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Moja wina. Moja wina! - wykrzyknęła Josselyn do Newlina, wznosząc ręce ku powale. - Cóż to za ludzie, ci Anglicy? Oczekują, że więźniowie będą harować na ich wygody, gotować smakowite potrawy po to, by mogli tym prędzej pracować przy budowie ich obrzydliwej warowni, za pomocą której chcą wypędzić nas z naszych rodzimych ziem! To obłąkańcy, a największym szaleńcem jest ich dowódca. - Zabrakło jej tchu i na chwilę przerwała tyradę. - Mnie też doprowadzi w końcu do obłędu ... - zakończyła łagodniejszym tonem.

- Najbardziej męczy cię rozłąka z rodziną - oświadczył Newlin.

- W rzeczy samej - zgodziła się Josselyn.

- I zamknięcie w izbie. Nie możesz wspinać się na góry, poczuć na policzkach tchnienia wiatru.

- Och, tak. Strasznie mi tego brak.

- Z pewnością dokucza ci również nieobecność Anglika.

- Tak. .. nie, jego mi wcale nie brak - poprawiła się szybko, uświadomiwszy sobie, jak głupio się wygadała. Ale nikt jeszcze nie zdołał okłamać Newlina.

Bard utkwiał w niej przenikliwe spojrzenie. Jego niezwykle oczy, patrzące bez zmrużenia, choć zawsze jak gdyby obok celu, przewiercały na wskroś duszę Josselyn; wreszcie

dziewczyna z westchnieniem porzuciła wszelkie pozory obojętności.

- Nic z tego nie rozumiem ...

- Teraz mówisz nie o polityce, lecz własnych uczuciach, prawda?

Przytaknęła zrezygnowana.

- Nie pojmuję ich ani trochę i nie sądzę, bym kiedykolwiek zdołała się w nich rozeznaczyć. Ale nie po to tu cię prosiłam, byś mi pomagał rozplątywać gmatwaninę moich uczuć - ciągnęła. □ Cel twojej wizyty jest inny. Powiedz mi o wszystkim, co się u was dzieje. Czy Nesta nie zamartwia się zbyt? Czy Rhonwen przekazała moje słowa stryjowi? Czy podoba mu się mój plan?

_ Odpowiedź na wszystkie twoje pytania brzmi "tak" - poinformował ją Newlin, przechadzając się po izbie i bacznie przyglądając rzeczom należącym do Randa. Przesunął palcem pa kałamarzu i trzech gęsich piórach leżących obok, pogładził dłonią zwój pergaminu, musnął wieko kufra, w którym Rand trzymał osobiste drobiazgi. - Zdaje się, że cię unika.

- Kto, stryj Clyde?

Newlin uśmiechnął się.

- Randulf Fitz Hugh.

Josselyn zmarszczyła czoło.

- No i dobrze!

- Jego brat wkrótce tu będzie.

- Czy widziano go na szlaku? - Serce Josselyn zaczęło bić nierównym rytmem. Czy jej plan się uda?

Newlin przechylił głowę i wpatrzył się w przestrzeń, omijając wzrokiem jej twarz.

_ Widzę, jak go chwytają ... właśnie teraz, na południe od Bryn Mound, u brodu pod górą Raven Hill.

- Teraz, w tej właśnie chwili? - Josselyn szeroko otworzyła oczy, czując niesamowite mrowienie na skórze. Nie, to niemożliwe. Skąd miałby wiedzieć? A przecież wierzyła bardowi bez zastrzeżeń. Ani ona, ani nikt inny nie potrafiłby wyjaśnić objawień Newlina, ale bez wątpienia starzec widział rzeczy ukryte przed oczami innych, i to musiało im wystarczyć. A więc przyszedł, by jej to powiedzieć!

- Co się teraz stanie? Co zrobi stryj z jeńcem?

W twarzy Newlina nie widać było zadowolenia. Przyglądał się Josselyn.

- Sądzę, że Owain podda go torturom.

- Owain? A cóż on miałby do powiedzenia?

- Jesteś jego narzeczoną. Kiedy zniknęłaś, twój stryj skierował w jego stronę pierwsze podejrzenie. Między Clyde'em i Owainem panują odtąd napięte stosunki. Mimo to Owain, choć poczuł się obrażony przez twojego stryja, zwołał wielu młodych wojów ze swej wioski, by przyszli ci z pomocą. Tam, gdzie twój stryj wybiera ostrożność, Owain kroczy śmiało i zuchwale.

Josselyn poczuła, że traci resztki nadziei i pogrąża się w rozpacz. - To on podpalił łódź Anglików i zadał Alanowi prawie śmiertelną ranę.

- Owszem.

- I to on porwał Jaspera Fitz Hugh.

Newlin patrzył na nią bez mrugnięcia.

- Na to wygląda.

Josselyn usiadła, czując mdłości na myśl o losie każdego człowieka, który znalazłby się we władzy Owaina.

Współczuła nawet Jasperowi, którego porwanie miało doprowadzić do jej uwolnienia. To była wojna, napominała się w myślach, a na wojnie rany i cierpienie są zwykłą rzeczą. Nawet śmierć.

Lecz nie potrafiła zapomnieć, iż po raz pierwszy sama jest odpowiedzialna za ból drugiego człowieka. Choć to cudza ręka zada mu cierpienie, czuła się równie winna. Przełknęła z trudem ślinę ..

- Czy Rand o tym wie?

Uświadomiła sobie natychmiast, jak głupie jest jej pytanie. Bród pod Raven Hill oddalony był o trzy godziny szybkiej jazdy konno na południe.

- Czy powiesz mu? - poprawiła się.

- Nie widziałem go w obozie.

Josselyn westchnęła. Rand trzymał się z dala od niej i swych ludzi przez ostatnie dwa dni, które wydały jej się wiecznością.

- Jeśli zapytasz, powiedzą ci, dokąd się udał - poradziła bardowi.

- Usłyszawszy złe wieści, może się zemścić na tobie. Josselyn sama wpadła już na tę myśl, lecz kiedy to usłyszała z ust mądrego barda, poczuła dreszcz lęku przebiegający po krzyżu. Długo milczała.

- Stryj nie pozwoli przecież Owainowi torturować Jaspera.

- Na pewno spróbuje temu zapobiec.

- Ale czy mu się uda?

W odpowiedzi Newlin wzruszył ramionami. Wzburzona Josselyn skoczyła na równe nogi.

- Do tego nie powinno się było dopuścić! Moja wiadomość była przeznaczona dla stryja. Czemu pozwolił Owainowi

przejąć inicjatywę? Powinien wiedzieć, że ten brutal wszystko zepsuje! Newlin, czyż nie rozumiesz? Jeśli Owain skrzywdzi Jaspera, jeżeli go zabije, Rand nigdy nie pozwoli mi odejść. I nigdy nie wybaczy nikomu z nas. To człowiek honoru, chociaż nieprzyjaciel. Pomści śmierć brata, jestem tego pewna! Newlin, musimy powstrzymać Owaina, zanim wyrządzi nieodwracalne szkody!

- Nie sprawuję kontroli nad wydarzeniami, moje dziecko. Lepiej pomyśl o swojej własnej sytuacji.

- Czy Owain nawet nie zamierza próbować wymienić mnie na Jaspera?

Newlin długo milczał.

- Przyjdzie taki dzień, i to już niedługo, gdy odzyskasz swobodę, by poprzez małżeństwo związać się z rodem Owaina.

Nozdrza Josselyn rozděły się w pogardliwym grymasie. Dziewczyna potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nigdy nie potrafiłabym wyjść za mąż za tak krwiożerczego człowieka, jakim jest Owain ap Madoc. On jest zdolny torturować jeńców.

- A więc poślub innego.

Choć bard dawno już odszedł, wciąż słyszała echo jego ostatnich słów. Poślubić innego! Ale to oznaczałoby wzgardzenie Lloydami i ugruntowanie wrogości między ich rodami ... chyba żeby poślubiła kogoś z ich ludu. Ta zgoła nowa myśl nie wydała jej się niemożliwa: stary Madoc nie miał co prawda innych synów, ale byli przecież jego siostrzeńcy, bracia i kuzyni. Z pewnością któryś z nich był w stanie bezzennym lub owdowiał jak Owain.

Albo jak sam Madoc.

Josselyn, która rozmyślając krążyła niespokojnie po izbie, zatrzymała się jak wryta. Poślubić Madoca, ojca Owaina! Czy chciałby przyjąć ją za żonę? Czy w ogóle rozważał możliwość ponownego ożenku? A ona? Czy zgodziłaby się pójść do łóżka z mężczyzną, który mógłby być jej ojcem?

Odpowiedź była przeraźliwie prosta - łatwiej przyszłoby jej oddać się w niewolę małżeńską Madocowi niż iść do łóżnicy okrutnego Owaina.

Oparła się o ścianę, gdyż nogi odmówiły jej raptem posłuszeństwa. Zakryła twarz dłońmi i powoli osunęła się na posadzkę. Skuliła się w kłębek, szarpana niepewnością, w rozterce trudnego wyboru. Właściwie stanowiła jedynie pionek w rozgrywkach wojennych prowadzonych przez mężczyzn, którzy ją otaczali. Jej ciało było łupem towarzyszącym wygranej. Stryj, nieprzyjaciele, narzeczony - wszyscy widzieli w niej to samo; gdyż tak pojmowali rolę kobiet na tym świecie. Ciało kobiety jest zdobyczą, a jej uczuć w ogóle nie trzeba brać pod uwagę.

Zbyt była wyczerpana napięciem i lękiem, by płakać, chociaż szloch byłby wybawieniem dla kogoś tak przygniecionej ciężarem rozpaczony jak ona. Niedysiejsze spiski, gdy szła na przespługi do obozu Randa, by znaleźć ocalenie od ślubu z Owainem, wydały jej się knowaniami głupiutkiej dziewczynki. Nigdy nie zdoła pokonać mężczyzn, zatriumfować w ich świecie. Żadnej kobiecie nie mogło się to udać.

Rand znalazł ją skuloną na kamiennej posadzce, gdy jakiś czas później zajrzał do swej kwatery. Wydawszy zezwolenie na wizytę Newlina, ciekaw był, o czym bard rozmawiał z Josselyn. Chociaż dwa dni temu zaprzysiągł solennie, że

będzie unikał pokusy kolejnego sam na sam z walijską branką, nie minęła godzina od wyjścia Newlina, gdy Anglik złamał dane sobie słowo. Widząc ją przygnębiającą i złamaną, poczuł niepokój i troskę.

Josselyn na dźwięk zamykanych drzwi podniosła głowę i bardzo powoli, jakby ją wszystko bolało, dźwignęła się na nogi.

- Czy coś cię trapi? - zapytał Rand. - Josselyn? Odwróciła od niego wzrok.

_ Tęsknię za swobodą - odrzekła, otulając się ramionami.- To chyba cię nie dziwi?

Taka tęsknota była naturalna, lecz Rand czuł, że dziewczyna przemilcza coś o wiele poważniejszego.

_ Jakie wieści przyniósł ci Newlin, że pogrążyłaś się w takiej żałości?

Tym razem spojrzała na niego zrozpaczonymi oczami. Wydarzyło się coś ważnego, to było jasne. Chociaż Rand mógł liczyć na to, że coś, co martwi Josselyn, powinno być dla niego radosną nowiną, o dziwo, i on poddał się złym przeczuciom. Spontanicznie i bez namysłu ujął ją za ramię.

- Powiedz, co się wydarzyło?

Odsunęła się od niego jakby ze wstrętem. Wolałby czuć ją blisko siebie, lecz zmusił się, by jej nie zatrzymywać. Przeszła na drugą stronę izby, ponownie obejmując się ramionami; wyraźnie unikała jego pytającego wzroku. Nowiny musiały być zaiste przygnębiające, skoro wywarły taki efekt. Cóż mogło się stać? Jego ludzie nie wdali się w żadną potyczkę i nikomu nie wyrządzili krzywdy.

A może to między Walijszymi wybuchł konflikt, między jej stryjem i narzeczonym? Obaj mężczyźni najwyraźniej nie

darzyli
się zaufaniem.

Badawczo przyglądał się Josselyn. Zauważył bladość jej policzków, przygarbioną postawę i ruchy zdradzające zdenerwowanie. Nieoczekiwanie dla niego, obudziło się w nim uczucie, o które najmniej by się podejrzewał. Zapragnął pocieszyć Josselyn w jej smutku, jeżeli spowodowany był śmiercią czy nieszczęściem kogoś bliskiego.

Chyba że tym kimś byłby Owain ... Gdyby rozpacziała nad śmiercią narzeczonego, zapraгнаłby raczej, by jakiś życzliwy duszek zatarł w jej pamięci wszelkie wspomnienia o tym człowieku.

Zacisnął pięści i wbrew pierwszemu odruchowi pozostał tam, gdzie stał, by nie przymuszać Josselyn do zwierzeń, zanim nie będzie gotowa.

Dziewczyna przesunęła kilkakrotnie dłońmi po ramionach i wzięła głęboki oddech. Widział, jak zbiera się na odwagę, jak zwraca ku niemu twarz. Jej wyjątkowe piękno, znamionujące siłę woli i ducha oraz urok rozkwitającej teraz w pełni kobiecości porwały go tak bardzo, że w pierwszej chwili nie dotarło do niego znaczenie jej słów.

- Twój brat został porwany.

Spojrzała mu prosto w oczy, widząc, jak mruga niepewny, czy dobrze słyszy.

- Co takiego?

- Twój brat... Jasper. Złapali go.

Rzeczywistość wtargnęła do przytulnej izby jak brutalny najeźdźca do sielankowej krainy marzeń. Rzeczywistość zbyt potworna, by mógł w nią uwierzyć teraz właśnie, gdy wreszcie znaleźli się sami. Ale smukłe ciało Josselyn drżało z

napięcia, a oczy nagliły, by zszedł na ziemię. W mgnieniu oka pojał w pełni znaczenie wiadomości, którą usiłowała mu przekazać.

Nie chciał uwierzyć, lecz instynktownie wiedział, że dziewczyna mówi prawdę. Ogarnął go lodowaty spokój prawdziwej furii. - Kto go porwał? Twój stryj?

Przygryzła wargę.

- Owain.

- Gdzie to się stało?

- U podnóża Raven Hill, trzy godziny drogi stąd.

Nie spuszczał z niej oczu, wsparł pięści na biodrach.

- Rozumiem, że zamierza zażądać wymiany jeńców. Jasper za Josselyn. Czemu Newlin nie przyszedł wprost do mnie, by mi przekazać warunki, jakie stawia Owain?

Uciekła spojrzeniem w bok i Randowi wydało się, że dziewczyna drży. Czemu tak się bała? Nagle serce stanęło mu w piersi.

- On nie żyje, tak?

Odwróciła się do niego, zaskoczona.

- Nie. Przynajmniej tak sędzę ... on żyje.

- Niech cię diabli porwą! Powiedz wszystko, co wiesz!

Przypuszczał, że cofnie się przerażona jego gniewem, lecz Josselyn wyprostowała się i odważnie spojrzała mu w oczy.

- To wszystko wydarzyło się przed chwilą. Nie potrafię wyjaśnić, w jaki sposób Newlin widzi takie rzeczy, ale to prawda.

- Porwanie zdarzyło się w miejscu oddalonym o trzy godziny jazdy, a on już o tym wie? - Rand potrząsnął głową. Nie uwierzy w te bzdury! Skąd Walińczycy mogliby w ogóle wiedzieć, że Jasper jest w drodze?

Odpowiedź stała przed nim. Josselyn.

Przez głowę przetoczyła się z szybkością błyskawicy sekwencja obrazów. To było tamtej nocy, kiedy po pijanemu zdradził swoje plany Osborne'owi i Alanowi, a ona podsłuchiwała. Potem powiedziała Newlinowi ...

Nie. Kiedy rozmawiał ze swoimi towarzyszami, Newlina nie było już w obozie. Nagle domyślił się całej prawdy.

_ To ta smarkata w lesie? Przez nią przesłałaś wiadomość?

Nic nie zyskiwała przez uczciwe wyznanie, lecz Rand musiał oddać Josselyn sprawiedliwość: była honorowa.

_ Nie mogłam czekać bezczynnie w niewoli, przypatrywać się biernie, jak zabierasz nam ziemię i swatasz mnie ze swoim bratem. Powiedziałam Rhonwen, a ona przekazała stryjowi ...

_ A on zawiadomił Owaina, by zapolował na mojego brata.

_ Nie znam szczegółów, mogę ci tylko opowiedzieć, jaką sama odegrałam w tym rolę.

Rand bardzo chciał wyładować gniew na Josselyn. Wprawdzie nie była mu winna lojalności, lecz w jakiś przewrotny sposób oczekiwał tego, więc teraz czuł się zdradzony i oszukany. Za żadną cenę nie przyzna się jednak, nie będzie się przed nią płaszczył. Jakżeby triumfowała, poznavszy ogrom swego zwycięstwa!

Ale jak miał rozumieć dziwne zachowanie dziewczyny i brak błysku satysfakcji w jej oczach?

_ Czemu nie cieszysz się ze zwycięstwa swojego narzeczonego nad moim bratem?

Spuściła oczy.

To wszystko było co najmniej dziwne. Jej reakcja pozwalała mu sądzić, że nie dowiedział się jeszcze wszystkiego.

_ Czy nie chcesz tej wymiany? Nie chcesz stąd odejść i powrócić do ukochanego Owaina?

W strząsnęła się mimowolnie na wzmiankę o powrocie do Owaina, co Rand odebrał jako dobry znak. Chyba już rozumiał... _ Nie musisz wychodzić za niego za mąż, jeśli nie chcesz, Josselyn.

Podniosła głowę i wyprostowała się.

_ Kogo masz na myśli? Owaina czy Jaspera? Nieznacznie się zawahał.

- Owaina.

- A twój brat? - nalegała.

Powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Nie będę cię zmuszał do tego małżeństwa. Najwyraźniej rozważała jego słowa.

- Poprzesz moje postanowienie, jeśli oświadczę, że sama chcę wyszukać sobie męża?

- Chyba rozumiesz, iż nie mogę pozwolić, byś poślubiła kogokolwiek, kto przyłączy się do twojego rodu w walce przeciw Anglikom?

- A więc mam pozostać panną. Zabraniasz mi wyjść za Walińczyka, a Anglika sama odrzucam.

Taki stan rzeczy bardzo mu odpowiadał. Tymczasem jednak pozostawało mu wyjaśnić los Jaspera.

- Co jeszcze powiedział ci Newlin?

- Unikasz odpowiedzi na moje pytanie.

- Najpierw powiedz mi wszystko, co wiesz o moim bracie.

Znowu spuściła wzrok, lecz po chwili spojrzała Randowi w oczy. - Newlin obawia się o bezpieczeństwo Jaspera w niewoli

Owaina.

Rand stłumił wszelkie zewnętrzne oznaki emocji, lecz czuł, jak zaczyna brać w nim górę bezsilna wściekłość.

- Czy Owain nie dba o życie zakładniczki, którą trzymam? Czy nie potrafi rozważyć możliwości odwetu z mojej strony? Ruszył w kierunku Josselyn. Ramiona spuścił wzdłuż boków, pięści miał zaciśnięte tak mocno, że aż drżały mu palce. - Czy naprawdę sądzi, że może bezkarnie torturować mojego brata, gdyż ty jesteś kobietą?

Dzieliło ich już tylko kilka centymetrów. Szczupła i niewysoka dziewczyna nie mogła dorównać mu siłą. Była zdana na każdą karę, którą by jej wymierzył.

Och, jakże chciał ją ukarać! Ukarać za to, że zrobiła z niego głupca, że przez nią zachowywał się jak człowiek pozbawiony rozumu. Najpierw nie przyznała się, kim jest, potem oczarowała go niewinnością dziewiczej namiętności. Pożądał jej tak silnie, że ryzykując życiem wielu ludzi, zdradził przed nią informacje, których nigdy nie powinna poznać.

Pierwszy zaś miał zapłacić jego własny brat!

A przecież nie zrobiła nic ponad to, co uczyniłby każdy lojalny i sprytny żołnierz. Wykryła najsłabszy punkt nieprzyjaciela i uderzyła w to właśnie miejsce. A on do tego dopuścił, gdyż przez nią myślał przyrodzeniem, zamiast głową... Popełnił błąd, który wyrzucał niegdyś Jasperowi!

Ogarnął Josselyn gniewnym spojrzeniem pełnym nienawiści, gdyż zrobiła z niego głupca. Nawet teraz, kiedy życie młodszego brata wisiało być może na włosku, tracił czas na dawanie jej bzdurnych obietnic! Na Boga, powinien zakuć ją w kajdany i rzucić na łaskę najbardziej obmierzłego mężczyzny, jakiego udałoby mu się znaleźć!

Josselyn zdawała sobie sprawę z ogromu wściekłości, nad którą Rand najwidoczniej usiłował zapanować. Widzisz, jak czuje się człowiek, gdy boi się o los swoich bliskich? Stryj i ciotka tak samo zamartwiali się o mnie, i to przez ciebie - przemknęła jej przez głowę mściwa myśl. Powinna się cieszyć z jego cierpienia i lęku o brata, ale jakoś nie czuła satysfakcji.

_ Mam nadzieję, że stryj powstrzyma Owaina.

Rzucił jej spojrzenie pełne pogardy.

_ Mówimy o mężczyźnie, którego imię wprawia cię w pełne lęku drżenie. Sam widziałem - dodał, zanim mogła zaprzeczyć. Josselyn, powiedz mi prawdę. Czy on jest w stanie zabić Jaspera?

_ Zabić ... chyba nie - zająknęła się, lecz uczciwość zmusiła ją do dodania: - Ale tylko dlatego, że byłby potem odpowiedzialny za krzywdy, jakie ty wyrządziłbyś mi w odwecie.

W twarzy Randa zaczął skakać mięsień, co zdradzało napięcie.

- Czy może go torturować?

Josselyn zadrżała.

- Sądzę, że tak.

W zapadłej ciszy poczuła, jak lęk ogarnia ją z tysiąckrotną siłą. Ujrzała bowiem na twarzy Anglika zapowiedź, że za chwilę pozna jego prawdziwą naturę. W głębi oczu zamigotał nieznany dotąd blask. Zniknął gdzieś czarujący uwodziciel, który ją pojmał, zniknął nawet ten irytujący ciemieżca, przeciw któremu się buntowała. Stał przed nią teraz lord o charakterze ze stali, rycerz królestwa Anglii, opanowany pragnieniem odwetu, z sercem przepełnionym

żądzą zabijania. Nigdy nie widziała go na polu bitwy, ale już wiedziała, że jest niezrównanym wojownikiem. Inaczej zresztą król angielski nie przysłałby go tutaj.

Jeszcze raz gorzko pożałowała dnia, w którym tak lekkomyślnie postanowiła iść na przeszpiegi do obozu wroga, gotować, sprzątać i uczyć go walijskiego. Realizując te plany, poznała go bliżej, dużo bliżej, niż zamierzała. Stał jej się tak bliski, że współodczuwa z nim jego cierpienie i ból. I wciąż był najbardziej godny pożądania z wszystkich znanych jej mężczyzn.

Cóż z tego? Jeśli nawet zawiązała się między nimi jakaś nić, to dzisiejszy dzień przeciął ją nieodwołalnie. Owain porwał Jaspera, a ona mu w tym pomogła. Teraz kolej na Randa i jego zemstę.

Patrzyła, jak się odwraca i zaczyna składać w jedno miejsce porzucane w izbie przedmioty: kolczugę podszytą skórą, ciężkie rękawice do jazdy konnej, miecz.

Zatrzymał się u drzwi. Miała nadzieję, że do niej przemówi, ale obrzucił ją spojrzeniem tak ciężkim, chłodnym i oskarżającym, że poczuła ulgę, gdy zmilczał. Głucho trzasnęły drzwi, usłyszała zgrzyt rygla i oddalające się kroki. Owain trzymał Jaspera w niewoli. Rand trzymał ją. Josselyn lękała się, iż niedługo przyjdzie jej zapłacić straszliwą cenę.

Wystarczy palec.

Próżno udawać, że nie pojmuję znaczenia słów wypowiedzianych męskim głosem. Jasper wciąż leżał na boku w tym samym miejscu, gdzie cisnęli go na ziemię. Jak długo był nieprzytomny? W głowie huczały mu tysiące szkockich bębnow wojennych, bolały go ramiona wygięte pod nienaturalnym kątem, dłonie zdrętwiały w ciasnych

wieżach. Nie wiedział, gdzie jest ani kto go napadł, lecz rozumiejąc piąte przez dziesiąte sens zawiłych dźwięków walijskiej mowy, zorientował się, że zamierzają odciąć mu palec.

Nie wiedział, czy ma się cieszyć, że któregoś dnia w Londynie postanowił nauczyć się walijskiego narzecza. Chciał wtedy zaimponować Randowi, który widział w nim utracjusza i nie wierzył, by Jasper mógł cokolwiek osiągnąć. Zamierzał dowieść starszemu bratu, jak bardzo się myli. Tymczasem leżał w błocie w kącie cuchnącej szopy, a nowo nabyta znajomość obcej mowy pomagała mu zrozumieć, jaki go czeka los.

- Dłoń! To mu pokaże, że nie może nas lekceważyć! - odezwał się drugi mężczyzna.

Dłoń? Jedną z jego dłoni?!

Pot wystąpił Jasperowi na czoło i zamiast nadal leżeć bez ruchu, zaczął bezsilnie wykręcać przeguby, usiłując uwolnić się z pęt.

Jęknął, gdy poczuł bolesne pchnięcie końcem kija w żebra, a po chwili usłyszał dziecięcy głos:

_ Obudził się. Anglik jest już przytomny.

_ Wyrzućcie stąd tę smarkulę - zażądał mężczyzna, który chciał odciąć jeńcowi dłoń.

_ Rhonwen, wynoś się precz. Dewey, zabierz ją do domu - przemówił ten, któremu wystarczał palec.

_ A jeśli będziesz potrzebował tłumacza? - spytał ten, na którego wołali Dewey.

_ Będziemy rozmawiać z Randulfem Fitz Hugh, a nie z jego bratem.

Jasper zorientował się, że Rand jest w jakiś sposób

zamieszany w to wszystko, lecz nadal nic nie rozumiał. W jaką intrygę wplątał go starszy brat. Usłyszał odgłosy szarpaniny przy drzwiach i krzyk dziecka:

_ Jeżeli mu coś zrobicie, to tamten skrzywdzi Josselyn!

Ostry głos przeszył igłą bólu udręczoną głowę Jaspera. Kim, u diabła, była Josselyn?

Rhonwen stała tymczasem u drzwi, które brutalnie zatrzaśnięto jej przed nosem, i płakała. Tak bardzo się bała! Od kiedy Josselyn porwano, mała każdą chwilę spędzała w lęku, że ją utraci. A dzisiaj przywleczono do wioski Carreg Du tego Anglika. Zrazu poczuła ogromną ulgę, spodziewając się, że wymienią go za Josselyn. Teraz już wiedziała, że zamiast ocalić jej opiekunkę, mężczyźni kłócili się, którą część ciała mają odciąć jeńcowi, by ją wysłać do angielskiego obozu jako pogroźkę. Czy naprawdę byli do tego stopnia głupi, że nie rozumieli, co stanie się z Josselyn, gdy tak okrutnie okaleczą tego człowieka?

_ Rhonwen, moje dziecko! Gdzieś się podziewała?

Dziewczynka odwróciła się na głos matki. Wciąż jej nie ufała, choć Gladys już od tygodni ani razu nie sięgnęła po trunek. Teraz, pod nieobecność Josselyn, matka mogła w każdej chwili powrócić do dawnych nawyków pijaństwa i niechlujstwa.

Rhonwen skrzywiła się i odsunęła od wyciągniętej ręki matki.

_ Żałuję, że tatusia tu nie ma. Wiedziałby, jak pomóc Josselyn. Na wzmiankę o Tomasie Gladys, jak zawsze, zastygła w bezruchu. Przełknęła ślinę i zaczęła nerwowo miąć w rękach brzeg fartucha.

_ Być może, dziecko, być może. Ale jego już nie ma, a ty

jesteś jeszcze mała i nie wolno ci się mieszać do tego, co postanowią dorośli.

- Ale Josselyn powiedziała mi kiedyś, że my, kobiety, musimy polegać na własnej chytrności. Mówiła, że choć nie przerastamy mężczyzn siłą fizyczną, mamy rozum i spryt...

- Moje dziecko, nie miała na myśli tego rodzaju spraw.

- Ty się po prostu boisz! I jesteś głupia, jak oni!

Dziecko rzuciło matce najokropniejsze z arsenału znanych jej przekleństw, przedarło się koło niej i pobiegło pędem ku leśnej gęstwinie, gdzie czekała ją upragniona samotność, gdzie mogła płakać i wściekać się do woli - i znowu szlochać z tęsknoty za kobietą, którą pokochała nad życie.

Nie znalazła jednak ukojenia wśród drzew, gdyż najwyraźniej ktoś inny odkrył jej ulubioną kryjówkę i rozsiadł się na gałęzi starego cisu, który uważała za swoją wyłączną własność. Poczowała czyjaś obecność, zanim ujrzała intruza, lecz ten wcale nie próbował się ukryć.

Jak śmiał zajmować jej miejsce!

- Złaż z mojego drzewa! - zażądała, skupiając cały ogień swej złości na chłopczyku o umorusanej twarzy. - Złaż i zabieraj się stąd, kurduplu!

Popatrzył w dół bez śladu onieśmienia.

- A kto mnie do tego zmusi?

Bezczelna odpowiedź wzburzyła krew w żyłach Rhonwen.

Dziewczynka zaczęła się wspinać na drzewo z przenikliwym okrzykiem wściekłości. Zepchnie go z gałęzi, zrzuci na ziemię, odpędzi, przestraszy tak, żeby już nigdy nie ośmielił się wtargnąć do jej samotni!

Mały okazał się równie zawzięty. Skakali z konara na konar, chłopcu udawało się zawsze wymknąć w ostatniej chwili

spod wyciągniętej ręki dziewczynki. Był od niej mniejszy i młodszy, ale wcale nie okazywał strachu.

- Co to, taka jesteś powolna, że nie możesz mnie złapać?

- A kto chciałby łapać takiego brudasa, co cuchnie stąd aż do nieba? - odcięła się. - Dam ci takiego kopniaka, że zlecisz na zбитy łeb, zanim zemdleję od smrodu, który roztaczasz!

Wciągnęła się na wyższą gałąź. Chłopczyk ukrył się z drugiej strony pnia.

- Sama śmierdzisz - zadrwił.

Rhonwen ścisnęła palcami nozdrza w wymownym szyderstwie.

- Cuchniesz, mały. Nigdy nie słyszałeś, że ludzie od czasu do czasu się myją? Cóż za matka pozwala dziecku, żeby latało takie brudne?

- Moja mama nie żyje, więc się zamknij!

- No i co z tego? Mój tata też nie żyje. A ty śmierdzisz gorzej niż świnia w chlewie.

Spoglądali na siebie zagniewani, zdyszani od dzikiej wspinaczki. Wreszcie Rhonwen zapytała:

- A w ogóle skąd się tu wziąłeś? Nie jesteś z Carreg Du.

- Nazywam się Rhys ap Owain i przyjechałem z wojownikami z Afon Bryn. A kim ty jesteś?

Rhonwen spojrzała na niego zaskoczona.

- Ap Owain? Owain to twój tata? Jesteś synem człowieka, przez którego Josselyn stanie się krzywda?

Chłopczyk splunął na ziemię i otarł wargi brudnym rękawem.

- A niech zdycha!

Dziewczynka zachłysnęła się z przerażenia. Jak mógł wygadywać takie okropności?

Skoczyła ku niemu z okrzykiem gniewu. Zdołała złapać go za nogę, lecz nie na tyle mocno, by stracił równowagę. Zaczął się śmiać. Wzburzona Rhonwen całym ciężarem uwiesiła się na konarze, którego się trzymał, i pociągnęła go w dół. Mały, który przez chwilę balansował bliski upadku, w ostatniej chwili złapał się innej gałęzi. Ale ta okazała się spróchniała i pękła mu w rękach. Kołysząc się na konarze, z którego go strąciła, Rhonwen patrzyła, jak leci w dół, opijając się o gałęzie. Uderzył o ziemię, aż usłyszała głucho stęknienie poszycia, i znieruchomiał.

Przeraziła się. Co prawda właśnie tego chciała, ale nie zamierzała go zabijać.

Czy chłopiec zginął?

Udało jej się opanować gwałtowne drżenie ciała i ześlizgnąć się po pniu, lecz gdy już znalazła się na dole, bała się zbliżyć do leżącej postaci. Śmierć była zaraźliwa. Nieszczęście przeskakiwało z ciała na ciało jak śmiertelna gorączka, która czasami dziesiątkowała mieszkańców wioski. A ponieważ to ona go zabiła, była narażona na tym większe niebezpieczeństwo.

A jeśli nie zginął?

Mrugnięciem spędziła z powiek łzy lęku i ujrzała, że pierś chłopczyka podnosi się i opada w płytkim oddechu. A więc nie zabiła go!

Poczucie winy zniknęło jak ręką odjął. Żył - ale jego ojciec mógł ściągnąć na Josselyn cierpienie, może nawet śmierć. A jeśli teraz ona weźmie tego małego na zakładnika? Wtedy jego ojciec będzie musiał jej posłuchać!

Mały odkaszlnął i jęknął. Rhonwen błyskawicznie podjęła decyzję. Musi się zdobyć na śmiałość i odwagę. Nie dopuści,

by Owain odciął jeńcowi dłoń, choć tak bardzo nienawidzi Anglików. Tortury nie doprowadzą do uwolnienia Josselyn. Użyje chłopca jako zastawu w negocjacjach z jego ojcem.

Najpierw wszakże musiała związać jeńca.

Pochyliła się nad nim i zaczęła odplątywać lepki od brudu sznur, którym zebrał w pasie zbyt obszerną tunikę. Zmarszczyła nosek, gdyż z bliska cuchnął jeszcze bardziej.

- Jesteś teraz moim więźniem - oświadczyła, gdy wciąż oszołomiony mały ponownie jęknął i zamrugał. Zasuwała sznur wokół jego kostek, a własnym paskiem spętała mu dłonie. - Jesteś moim więźniem. Pierwsza rzecz, którą ci zrobię, to kąpiel!

Rozdział dziewiętnasty

Minęło wiele dłużeń się ponad miarę godzin, zanim Walińczycy nawiązali kontakt z Randem. Trzech mężczyzn zeszło z gór w ciemność doliny, oświetlając szlak smolnymi pochodniami. Zatrzymali się obok dolmenu i tam czekali na Anglika.

Nad ziemią dawno już zapadł zmrok. Gwałtowne, choć nieregularne smagnięcia północnego wiatru zwiastowały nadciągającą burzę. Zazwyczaj o tej porze obóz Anglików pogrążony był już we śnie, lecz tego dnia przywódcę przepełniała zimna furia, a zły nastrój udzielił się ludziom, którzy towarzyszyli swemu panu w ponurym oczekiwaniu. Każdy żołnierz szykował się do bitwy, każde ostrze starannie przeszlifowano i wyczyszczono. Nikt nie wiedział, dlaczego wódz zniecka zarządził te przygotowania, lecz

nikt nie śmiał wypytywać Randa - nikt oprócz Osborne'a. Trzeźwo patrzący na świat dowódca straży - o dziwo - ani przez moment nie próbował kwestionować osobliwego sposobu, w jaki Newlin uzyskał wiadomości o porwaniu Jaspera, i prawdy jego słów. Mimo to nie mogli podejmować żadnych kroków do chwili otrzymania poselstwa od Madoca.

Rand, schodząc ku dolmenowi w towarzystwie dwóch swoich ludzi, usiłował wzbudzić w sobie nadzieję na dobry obrót wydarzeń, choć w głębi duszy oczekiwał najgorszego. W przybyłych rozpoznał Clyde' a i jego przybocznego tłumacza, lecz jego uwagę przyciągnął trzeci Walińczyk. Młody i silny, acz niewysoki i przysadzisty, z twarzą zeszpeconą grymasem okrucieństwa i oczami, które rzucały aroganckie spojrzenia. To musiał być Owain ap Madoc.

- Jesteśmy gotowi zaproponować wam wymianę. - Clyde zabrał głos jako pierwszy, a Dewey przetłumaczył jego słowa.

- Skąd mogę mieć pewność, iż wasz jeniec to rzeczywiście mój brat? - spytał Rand.

Zaskoczony Clyde zmarszczył czoło, a oczy Owaina zapalały gniewem.

- A skąd wy wiecie, że chodzi o twego brata?

- Niech wam wystarczy, że wiemy. Jaką dacie nam gwarancję, że nie wyszykowaliście jakiejś zmyślnej sztuczki? Owain bez słowa ostrzeżenia cisnął w stronę Anglika niewielki tobolek. Rand chwycił go jedną ręką. Dewey tymczasem tłumaczył:

- Jest twego wzrostu, lecz szczuplejszej budowy, a włosy ma cokolwiek jaśniejsze. Otwórz sakwę - dodał.

Owain uśmiechał się szeroko.

Rand trzymał tobołek w sztywno wyciągniętej ręce, przejęty irracjonalnym lękiem. Z trudem się powstrzymał, by nie rzucić węzła na ziemię. Nie mógł się zmusić do rozplątania sznura i obejrzenia zawartości przesyłki.

Nie bał się Owaina. W gruncie rzeczy pragnął gorąco walki z tym człowiekiem. Czuł, że nieuchronnie zbliża się dzień, w którym staną naprzeciw siebie w decydującej bitwie. Będzie musiał go zabić, nie miał innego wyjścia. Milcząc, skrzyżowali spojrzenia, przypieczętowując bez słów pakt śmierci.

Tymczasem Rand wiedział, że musi otworzyć sakwę. Rozplątywał wiązania ręką, która nie zadrżała, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Ale na widok zawartości poczuł, jak do gardła podchodzi mu fala mdłości.

Palec w sakwie mógł należeć do każdego, lecz na odciętych członku tkwił pierścień, który Rand rozpoznał bez trudu. Rodowy sygnet rodu Aslinów. To był palec jego młodszego brata. Jasper utracił go, gdyż Rand pomylił się w swoich obliczeniach. Nie docenił wroga - i to nie tylko Owaina.

Spojrzał na Walińczyka, jego twarz była nadal starannie wyprana z emocji:

- Zapłacisz mi za to życiem.

Owain zaśmiał się tylko. Nagle jego rysy stężały.

- Jeśli zhańbięś moją narzeczoną, rozszarpię cię na strzępy, kawałek po kawałku. Będę ci odcinał palce, dłonie, stopy i patrzył, jak cierpisz.

- Atat! - zwrócił się do niego Clyde podniesionym głosem.

Wszedł między dwóch młodszych od siebie mężczyzn jak posłaniec rozsądku.

- Dość tego. Chcemy jedynie mojej bratanicy. Żądamy, by wróciła do nas cała i zdrowa.
- O niczym nie ma mowy, póki nie zobaczę Jaspera.
- Zgoda.
- Gdzie go trzymacie?
- W bezpiecznym miejscu. Możemy po niego wrócić i za kilka godzin przyjść tu z powrotem.
- Przeprowadźcie go więc o brzasku.
- Czemu dopiero wtedy? - przetłumaczył Dewey pytanie Owaina.
- Chcę go widzieć, jak nadchodzi. Piechotą. Kiedy zobaczę, że zaczyna wspinać się pod górę, wypuszczę Josselyn. Lecz niech Bóg ma was w swojej opiece, jeśli Jasper nie jest zdolny iść o własnych siłach.
- Będzie do tego zdolny - zapewnił Clyde, nakazując Owainowi milczenie. - A więc do świtu.

Josselyn siedziała przed kominkiem, obejmując ramionami podciągnięte do piersi kolana, na których oparła czoło. Była ubrana jak do wyjścia.

Noc nie była wprawdzie zbyt chłodna, na kominku buzował ogień, promieniując ciepłem na całą izbę. Mimo to Josselyn nie mogła opanować drżenia.

Nie widziała Randa od owej chwili, gdy wyszedł bez słowa. Zaryglował drzwi i okiennice, a wkrótce potem usłyszała, jak przed drzwiami obejmuje wartę nie znany jej żołnierz. Dwa razy zwróciła się do niego z pytaniem, lecz nie uzyskała odpowiedzi. Zrezygnowana, usiadła w kącie, czekając i mierząc upływające minuty głębią niepokoju, jaki ją dręczył.

Nie martwiła się wszakże, czy dojdzie do wymiany jeńców.

Wiedziała, że Rand nie będzie ryzykował życiem brata, odmawiając wypuszczenia jej na wolność. Będzie zmuszony wejść w układy z ludźmi, którymi zamierzał rządzić. I choćby było mu to nie w smak, ścierpi wszystko, inaczej Jasper przypłaci jego dumę życiem.

Nie, nie chodziło o wymianę. Josselyn z troską wybiegała spojrzeniem dalej - we własną przyszłość. Jeśli to Owain pojmał Jaspiera, zechce z pewnością nagrody za jej uwolnienie i nie zadowolili się chwałą bohatera, lecz zażąda szybkiego ożenku. Zadrżała ze zgrozy na samą myśl o tym.

A jeśli opowie o chwilach spędzonych w łóżu Randa? Czy Owain nadal nalegałby na ożenek z kobietą, którą chędożył inny mężczyzna?

Nie była pewna jego reakcji.

Jej lud nie podzielał obsesji Anglików i Francuzów na punkcie niewinności oblubienicy. Z drugiej strony Owain nie przypominał większości Walijszyków. Był okrutny i samolubny. Josselyn instynktownie wiedziała, że ukarałby ją za utratę dziewictwa, tym bardziej że pozbawił go ją Anglik. W dodatku Owainowi nie wystarczy raz wymierzona kara; będzie musiała płacić do końca swoich dni.

Stłumiła falę panicznego lęku. Nie poślubi Owaina. Stawi czoło jemu, a być może również stryjowi. Nigdy nie zgodzi się wyjść za tego człowieka.

Ponownie rozważyła nieliczne możliwości wyboru, jakie jej jeszcze pozostały, i powróciła myślą do Madoca ap Lloyd. Ojciec Owaina był jedynym mężczyzną, który potrafił kontrolować syna, a jednocześnie zagwarantować stryjowi pomoc w zmaganiach z Anglikami.

Pomoc w zmaganiach z Anglikami? Pomoc w walce o

wolność Walińczyków. Lecz gdy już wygrają, z pewnością powrócą do dawnych zwyczajów i rodowych waśni.

To wszystko było beznadziejne. Czy nie ma sposobu, by zapewnić pokój tej biednej krainie?

Josselyn uniosła głowę i tęnym wzrokiem wpatrzyła się w ogień.

Po raz pierwszy stanął jej przed oczami scenariusz innej przyszłości. A gdyby pozwolić Anglikom zostać? Gdyby Rand wybudował fortecę i panował nad okolicznymi ziemiami? Przysięgał chronić wszystkich mieszkańców od przemocy, obiecał wznieść warowne miasto, w którym Anglicy i Walińczycy mieszkaliby jak sąsiedzi, pewni swego bezpieczeństwa. Czy naprawdę zamierzał dotrzymać obietnicy? Czy potrafiłby jej dotrzymać?

Czy jego propozycja nie oznaczała perspektywy lepszej przyszłości dla wszystkich, którzy pobudowali domostwa w dolinie rzeki Gyffin?

Dalsze rozważania przerwał jej zgrzyt odsuwanej skobla i stukot otwieranych z rozmachem drzwi. Do izby wpadł zdyszany Rand. Czowała niemal namacalnie aurę wściekłości, jaka się wokół niego roztaczała.

Zatrzasnął drzwi z trzaskiem mrozącym jej krew w żyłach i pokazał kłębek szmat.

- Poznałem człowieka, który twierdzi, że ma do ciebie prawo.

- Masz na myśli Owaina? - Wstała, patrząc na niego czujnie.

- Czy przyprowadził twego brata?

- Nie.

W tym jednym słowie pobrzmiwała złowróżbna nuta. Padło w ciszę izby jak hejnał zbliżającego się zagrożenia. Dla

Josselyn każda nowina była jednak lepsza od niewiedzy.

- Czy oznacza to, że nie pojmał Jaspera?

Rzucił jej zwitek szmat. Gdy go pochwyciła i spojrzała pytająco, zobaczyła, że Rand stoi nieruchomo z wyrazem goryczy na twarzy i chłodem w oczach. Serce zaciążyło jej w piersiach ołowiem złego przeczucia. Czy pakunek zawierał odpowiedź?

Raptem zrozumiała. Spojrzała na niego z bólem i próbowała oddać mu zwitek szmat. Odepchnął jej dłoń, a jego twarz przybrała jeszcze bardziej zacięty wyraz.

- Otwórz to.

Potrząsnęła głową. W tobołku kryła się jakaś część ciała jego brata. Dowód, że młody Anglik jest jeńcem Owaina. Nie poznała Jaspera osobiście, był dla niej dotychczas anonimową postacią. Lecz teraz stał się kolejną ofiarą Owaina i serce Josselyn zapłakało z żalu nad bratem Randa. Za rozpaczą przyszło poczucie winy. Gdyby nie ona ...

Drżącymi palcami rozwinęła szmaty. Zobaczyła plamy krwi i zachłysnęła się myślą o bólu, jaki spowodziła na tego człowieka. Czy w środku znajdzie ucho? A może nos?

Przypomniała sobie swoje gniewne marzenia o odcinaniu mężczyznom pewnej części ciała, by pozbawić ich aroganckiej męskości. O Boże, spraw, by to nie było to!

Aż się zachłysnęła, ujrawszy palec. Z ulgi i z przerażenia jednocześnie. Paznokcie zsiniał, skóra świeciła nienaturalną bledością. U nasady palca wciąż tkwił pierścień. Josselyn wpatrzyła się zafascynowana w klejnot. Jeszcze kilka godzin temu w tym szczątku ludzkiego ciała tętniła krew, skóra była ciepła, palec poruszał się wedle woli jego właściciela. Mógł chwycić za nóż, dotykać kobiety, mógł podrapać

swędzące miejsce. Teraz już nigdy tego nie uczyni.

Przepełniona wyrzutami sumienia Josselyn spojrzała w oczy Randa.

- Tak mi przykro ...

- Zamilcz!

Drgnęła, lecz nie cofnęła się, gdy wyrwał palec z fałdów brudnej tkaniny i położył go na stole. Kiedy jednak odwrócił się do niej plecami, nie mogła powstrzymać dreszczu lęku.

- Jeszcze do świtu mogę cię tu trzymać - oświadczył. - Zapłacisz mi za ból Jaspera.

Nawet nie zadał sobie trudu, by ściągnąć ubranie. Nie odpiął sztyletu wiszącego u pasa. Ani nie przejął się, że jest ubrana; chwycił ją błyskawicznie za ramię i pchnął na łożo, zadzierając spódnicę do pasa.

Josselyn nie walczyła, wciąż przejęta tym, co się stało, zaskoczona i oniemiała z przerażenia. Gdyby zaatakował ją ktokolwiek inny, być może opierałaby się. Kopałaby i broniła się zagiętymi w szpony palcami, wywrzaskując całą nienawiść do napastnika. Lecz do niego jednego nie potrafiła wzbudzić w sobie nienawiści.

On wszakże nienawidził jej z całego serca. Czuła to w geście, jakim wcisnął udo między jej kolana, i w gwałtowności ruchów, kiedy rozwiązywał sznurowania spodni. Nienawidził jej i zamierzał ją zgwałcić, zniweczyć całe piękno i dobro, jakie zdołali wykrzesać z ich pogmatwanego związku.

Nie miała siły ani woli zatrzymać go w tym dziele.

Mimo to nie mogła się temu przypatrywać. Odwróciła głowę, z wysiłkiem łapiąc oddech i tłumiąc szloch.

Choć bardzo się starała, nie udało jej się ukryć płaczu. Gdy

jeszcze wyżej zadarł suknię, mierząc płonącym furją spojrzeniem obnażone nogi, biodra i, brzuch Josselyn, zaczęła drżeć. A gdy nieczułe dłonie ścisnęły ją w talii, przyciągając ją jeszcze bliżej, poczuła, jak zdradliwa łza płynie po policzku.

Słyszała jego chrapliwy oddech, szorstka wełna nogawic drażniła delikatną skórę szeroko rozrzuconych ud.

Nie pierwszy raz wejdzie we mnie. To nie będzie się różniło od tego, co robiłam z nim z własnej woli - powiedziała sobie. Pozorna logika nie przyniosła jej pociechy, gdyż to, co się teraz działo, w niczym nie przypominało poprzednich zbliżeń. Nie była dobrowolną uczestniczką, a Randem kierował gniew, a nie żądza. Chciał ją ukarać - potrafiła to zrozumieć. Ale przez to kara nie była łżejsza do zniesienia.

Nowa łza potoczyła się po twarzy Josselyn, gorąca i zdradliwa, w ślad za nią spod powieki wymknęła się następna i jeszcze jedna, aż dziewczyna przestała próbować je powstrzymać. Szlochała cicho, podczas gdy Rand bez śladu wzruszenia układał się w odpowiedniej pozycji, by w nią wejść. Nie mogła uwierzyć, że to robi. Czyż nie wiedział, co do niego czuje? Czyż nie zdawał sobie sprawy, jak niewiele musiałby zrobić, by go pokochała?

Cichy płacz przeszedł w głośny, urywany szloch, którego nie mogła już przed nim ukryć.

Rand usiłował zamknąć uszy na żalosne dźwięki łkania, lecz okazało się to niemożliwe. Josselyn płakała! Kobieta, która dowiodła odwagi i lojalności wobec swego ludu, teraz leżała przed nim złamana i sponiewierana. I to jemu udało się tego dokonać.

Powinien napawać się rozkoszą. Powinien ją wziąć płaczącą,

dowieść jej ostatecznie, kto jest zwycięzcą w zmaganiach, jakie wiedli. Nie mógł się na to zdobyć. Na samą myśl o takim triumfie poczuł, jak ogarniają go mdłości. Choćby pragnął ponad wszystko dopełnić aktu, który z taką pasją rozpoczął, zdradziło go jego własne ciało, zmysły odmówiły posłuszeństwa. Nie czuł najmniejszej przyjemności. Ani odrobiny radości. Przepęłniała go odraza do tego, co zamierzał uczynić.

Cofnął się, przejęty wstrętem do samego siebie. Boże jedyny w niebiesiech, kiedyż to stał się zdolny do hańby takiego czynu?

Potykając się, szedł w kierunku drzwi. Musiał natychmiast wyjść z tej izby, musiał zniknąć jej z oczu. Przy samych drzwiach zatrzymał się jednak, jakby niewidzialna nić nie pozwalała mu uciec od niej. Wciąż łkała, leżąc skulona na boku. Zerknął na nią ukradkiem spod lekko opuszczonych powiek. Nie zasłoniła nóg ani pośladków. Błada, odsłonięta i bezbronna, ze złamanym sercem - a wszystko przez jego podłość.

A co z Jasperem? Rand ponownie poczuł w duszy drgnienie gniewu. Co z jego młodszym bratem, torturowanym przez człowieka, którego miała poślubić? Czy on się nie liczył? Czy jego ucięty palec niczego nie zmienia?

Czemu więc nie miałby odciąć jednego z palców Josselyn?

Czemu chciał uciec się do gwałtu? Wiedział wszak, że wystawianie jej na męczarnie równe tym, jakie zadano Jasperowi, nie przyniesie nikomu nic dobrego. Czemu więc rzucił się na nią, chcąc ją wziąć siłą? Bogu dzięki za to, że przywrócił mu zdrowe zmysły i ocalił honor!

Nie mógł jej zostawić w takim stanie.

Zerknął na nią nieśmiało, jak dziecko spodziewające się nagany, przejęty lękiem niczym niedoświadczony wojownik przed pierwszą potyczką. Postąpił krok do przodu i znów się zatrzymał.

- Nie bój się - burknął. - Nie skrzywdzę cię.

Jego słowa nie tylko nie ukoiły jej szlochów, lecz wywołały wprost odwrotny skutek; Josselyn rozplakała się na cały głos. Skuliła się w jeszcze ciaśniejszy kłębuszek, obejmując dłońmi głowę. Jej ciało drżało, wstrząsane łkaniem.

- Josselyn, przestań ... - Urwał, gdyż nie miał pojęcia, co jej powiedzieć, jak sprawić, by ucichła. Poczłł gniew na myśl, że oto próbuje pocieszyć wroga. Cóż mogło go obchodzić jej samopoczucie? Ale serce dyktowało mu co innego i był bezradny w obliczu jego podszeptów.

Podszedł do łóża, mamrocząc pod nosem przekleństwa na swoją przewrotną naturę. Obciągnął suknie dziewczyny i znów cofnął się ku drzwiom. Wciąż jednak nie mógł się zmusić, by wyjść.

Po długiej chwili odgłosy szlochania zaczęły cichnąć. Rand odczuł niezmierną ulgę. Ciałem Josselyn wstrząsnęło kilka pojedynczych dreszczy. Wreszcie dziewczyna wytarła twarz w prześcieradło, uniosła się na łokciach i czujnie rozejrzała po izbie. Na widok Randa odwróciła oczy.

Ten lękliwy gest rozdarł mu serce. Nie mógł znieść, iż stał się dla niej człowiekiem budzącym lęk, a mógł się spodziewać, że od tej chwili Josselyn będzie znała tylko strach przed nimi pełną pogardy nienawiść.

Odchrząknął.

- Nie musisz się mnie bać, Josselyn. Minał mi już ten napad szału. Żałuję, że stałaś się jego ofiarą.

Znów rzuciła mu spłoszone spojrzenie czerwonych i zapuchniętych od płaczu oczu. Mokre rzęsy skleiły się na kształt kolców, potargana suknia smętnie zwisała z ramion, ze starannie zaplecionych warkoczy wymykały się rozwiane włosy. Miała żałosny wygląd zbitego, udręczonego dziecka. Pragnienie, by ją pocieszyć, wezbrało w nim z nieopisaną siłą. Teraz na niego przyszła kolej, by odwrócić oczy.

_ Omówiliśmy warunki wymiany. Ty za Jaspera.

Odpowiedziała po długim milczeniu:

- Więc twój brat żyje?

- Tak.

_ Rozumiem. - Zamilkła ponownie. - Kiedy dokonacie wymiany?

Odwrócił się do niej i zajrzał w jej wilgotne oczy.

- O świcie.

Sztywno, jak stara kobieta, Josselyn przysunęła się do krawędzi łoża. Wygładziła spódnice, choć tkanina była zbyt zgnieciona, by jakiegokolwiek starania poprawiły jej wygląd, po czym złożyła dłonie na podolku.

_ Ja ... przykro mi, że Owain skrzywdził Jaspera.

Rand zacisnął pięści. Nie chciał od niej przeprosin. To nie ona odcięła palec jego brata.

_ Nie powinienem był go tu wzywać.

W izbie zaległo milczenie, chociaż jeszcze wiele nie zostało wypowiedziane. Ale Rand, patrząc w oczy dziewczyny, domyślił się, że zrozumiała to, co przemilczał. Nie powinien grozić, że wyda ją za mąż za Jaspera.

Powinien sam pojąć ją za żonę.

Nieproszona myśl wzburzyła go do głębi duszy. To nie byłby dobry plan, skoro nie zamierzał pozostać w Walii

dłużej, niż będzie konieczne, a Josselyn byłaby mu w Anglii zawadą. To silny pociąg fizyczny do dziewczyny sprawił, że do głowy przychodzą mu takie dziwaczne pomysły. Owszem, zawsze jej pożądał.

Teraz też.

_ Do świtu zostało już tylko kilka godzin - powiedział, tłumiąc ze wszystkich sił niestosowną tęsknotę za jej ciałem.

_ Rozumiem. - Zaczerpnęła głęboko powietrza, jak gdyby zbierała siły. Pod opiętą tkaniną stanika ostro zarysowały się czubki piersi.

Nagły przyływ krwi do łądźwi sprawił, że Rand nie mógł powstrzymać przekleństwa. Między nimi już koniec. Była dla niego stracona, i to nie tylko z powodu poczynań Owaina. Sam się do tego przyczynił. Teraz nie pozostaje mu nic innego, jak poszukać innej, by ulżyć męskiej chuci; by uniknąć podobnych komplikacji, musiała to być Angielka.

Gdy Josselyn wstała i ruszyła zwolna ku niemu, zaskoczony Rand nie wiedział, czego ma oczekiwać. Nie mógł niczego wyczytać z jej twarzy, pełnej wahania i dziwnej determinacji zarazem, smutnej, lecz - o dziwo - odprężonej.

- A więc mamy czas do świtu? - zapytała, stając tuż przed nim. Była tak blisko. Za blisko.

- Mamy czas do świtu - powtórzyła ochryłym szeptem, który brzmiał dziwnie głośno w ciszy izby. - Potem będę musiała poślubić mężczyznę, którego nie chcę. Będę musiała wejść do łóżka człowieka, do którego nie czuję pożądania. - Zawahała się, pod jego spojrzeniem zebrała resztę odwagi i ponownie przemówiła:

- Ale ciebie pragnę. Pragnę cię, Randulfie Fitz Hugh.

Nie dowierzał własnym uszom. Potrząsnął głową.

- Nic nie rozumiesz, Josselyn. Nie musisz tego robić. Za kilka godzin odzyskasz wolność.

Jej uśmiech był przejmująco smutny.

- Nie. To ty nie rozumiesz. - Położyła na jego piersi dłoń z rozstawionymi szeroko palcami.

Powinien zapytać, o co jej chodzi. Czegóż to nie rozumiał?

Lecz jej dotyk, choć tak lekki, miał nad nim potężną władzę. Bezgraniczną. Pożądanie, które zamierzał ukryć w najgłębszym zakamarku duszy, powróciło z całą mocą. Rand przykrył dłoń dziewczyny swoją dłonią, wiedząc, że będzie żałował tego, co uczyni, lecz łatwiej byłoby mu przestać oddychać niż uwolnić się spod jej uroku.

Tym razem zdjęli całe odzienie - a raczej zrobiła to Josselyn.

Rozebrała najpierw Randa, potem siebie.

Tym razem niczyja pięść nie zabębniła w drzwi.

Tym razem wspięła się na kochanka, kierowana jego milczącymi wskazówkami, a kiedy było już po wszystkim i leżeli zdyszani i wilgotni od potu, przewrócił ją na plecy i znowu się kochali.

Nie mówili wiele. Nie składali sobie obietnic. Żegnali się.

Z nadejściem świtu mieli ponownie stać się wrogami.

Lecz przez nieliczne godziny nocy blednącej w coraz bliższy brzask byli jeszcze kochankami, a nieuchronność rozstania nadawała ich pieszczotom palącą siłę, jak gdyby chcieli wyssać każdą kroplę rozkoszy, jaka im pozostała.

Wreszcie nadeszło to, co musiało nadejść: schyłek nocy. Josselyn pierwsza przyznała, że ciemność rzednieje. Leżała w ciepłe jego ciała jak w przytulnej norce. Rand wyciągnął ramię i oboje oparli na nim głowy. Drugą ręką obejmował Josselyn w pasie. Leżeli ze splecionymi palcami. Wreszcie

podniosła głowę, muskając go lekko w podbródek.

- Już czas, Rand.

Sądziła zrazu, że zasnął, gdyż nie odpowiedział. Ale kiedy zaczęła wysuwać dłoń z jego palców, zacisnęły się mocno i przez jedną pełną nadziei chwilę myślała, że jej nie puści. Niebawem jednak otworzył pięść i Josselyn zrozumiała, że ma równie mały wybór jak ona. Na szali leżało bowiem życie jego brata.

Podniosła się z gracją, wdzięczna za ciemność, która kryła nie tylko jej nagość, lecz również emocje wypisane na twarzy. Nie chciała go opuszczać. Jej uczucie było nierozsądne, niemniej prawdziwe. Rand był człowiekiem zdolnym do czynienia dobra, uczciwym i honorowym - z pewnością bardziej niż Owain. Ale dzieliło ich pochodzenie i żadne z nich nie mogło od tego uciec.

Narzuciła więc tunikę i suknię, naciągnęła pończochy i znalazła porzucone pod łóżem trzewiki. Zebrała nieliczne drobiazgi, usiadła i zaczęła przeczesywać palcami włosy.

Rand zapalił świecę. Słyszała, jak się ubiera. W komnacie panował chłód, lecz Josselyn czuła jeszcze gorączkę zbliżenia, a zapach jego ciała wciąż przepajał jej zmysły. Tak właśnie powinno być między kobietą i mężczyzną. Czy jeszcze kiedyś przeżyje podobną noc?

Zadrżały jej wargi, zacisnęła więc usta, aż słabość minęła.

Wiedziała, że odpowiedź na to pytanie brzmi "nie", że już nigdy nie zazna podobnej rozkoszy. Powinna być wdzięczna losowi za to, co zostało jej dane, za możliwość pięknych wspomnień. Wiele kobiet wydano za mężczyzn, których nie kochały, zanim mogły poznać urok takiej nocy miłosnej.

Miłosnej? Gardło jej ścisnęło się w nagłym skurczu. Czy

właśnie to czuła do Randa? Miłość? Czy ta pałaca tęsknota, na wpół fizyczna, na wpół utkana z uczuć, była miłością? Josselyn zlekła się, że tak jest. A czy on czuł do niej to samo? Nie wiedziała. Nawet gdyby tak było, miłość w niczym nie zmieni sytuacji, w jakiej się znajdowali.

Podjęła bezowocne wysiłki, by przygładzić nieco zmierzwione sploty włosów. Usłyszała, jak Rand się do niej zbliża, i jej palce znieruchomiały. Po raz pierwszy od chwili, gdy wstali, spojrzała mu prosto w oczy. Miał na sobie ekwipunek rycerza: skózaną kurtkę, krótki miecz i sztylet u pasa. Brakowało tylko kolczugi. W dłoni trzymał grzebień, a w jego twarzy, choć przepojonej powagą, tyle było zawziętości.

- Dziękuję - szepnęła.

Patrzyli sobie w oczy, nie mogąc oderwać od siebie wzroku.

- Nie wychodź za Owaina.

Serce Josselyn zaczęło walić jak oszalone, aż bała się, że wyskoczy jej z piersi.

- Czy mówisz, że powinnam zostać?

Potrząsnął głową.

- Nie możesz zostać. Muszę chronić brata. Nie, ty musisz odejść. Ale ... - Ze świstem wciągnął w płuca powietrze. - Owain będzie cię źle traktował. To leży w jego naturze.

Josselyn oderwała spojrzenie od oczu Randa.

- Znam jego naturę.

- Więc nie zgadzaj się na to małżeństwo.

Raptem ogarnął ją gniew.

- Czemu? Czemu, Rand? Żeby nasze rody nie mogły się zjednoczyć przeciw tobie?

- Nie! - Rzucił jej grzebień na kolana. - Do diabła, myślę o

twoim bezpieczeństwie, nie o swoim! Twoi ludzie nie ostoją się przeciw siłom Anglii. Te ziemie król Henryk proklamował częścią swego królestwa, więc pozostaną jego częścią na tysiąc lat, na zawsze. Nikt, kogo poślubisz, nie zdoła tego zmienić. Jego wzburzenie opadło równie nagle, jak się pojawiło. - Nie chcę widzieć, jak cierpisz, Josselyn. Tylko o to mi chodzi.

Jakże ostatecznie brzmiały jego słowa! "Tylko o to mi chodzi".

Oto miała odpowiedź. Nie mogła oczekiwać od niego żadnej propozycji, nie poprosi jej, by wyszła za niego, by zapewnić pokój między ich krajami. Kiedyś jej już powiedział, że nie zamierza długo pozostawać w Walii. Gdy tylko skończy budowę fortecy na Rosecliffe, odjedzie stąd. Wiedziała o tym, więc czemu pozwoliła sobie na czcą i nierozsądni nadzieję?

Odwróciła oczy oślepte od żalu i mechanicznie zaczęła czesać włosy. Zmierzwione kędziory nie dawały się rozdzielić, więc szarpała mocno, nie zwracając uwagi na ból. Czas już iść. Czas powiedzieć mu "żegnaj".

Część druga

"W rozpaczycy wszyscy się modlimy

Do Litości, żalu, Pokoju i Miłości "

William Blake

Rozdział dwudziesty

Nadszedł świt. Ziemię spowił gęsty welon mgły. Ołowiane chmury wisiały nisko na niebie. Josselyn wydało się, jakby sama przyroda lamentowała nad tym, co miało się wkrótce wydarzyć.

Nie zamienili ani słowa w czasie ponurego spaceru do linii fortyfikacji. Dno doliny spowijała szara opończa cienia. Nawet jeśli jej rodacy ukryli się wśród krzaków, Josselyn nie mogła ich dostrzec.

Rand zatrzymał ją w miejscu, gdzie kamienne mury sięgały dopiero wysokości kolan. Sam przekroczył pierwszą ścianę i stanął na twardo ubitym gruzie wypełniającym przestrzeń między nią i zewnętrznym murem, po czym wyciągnął dłoń do Josselyn. Dziewczyna wołała jednak radzić sobie bez jego pomocy. Przez resztę swych dni będzie musiała nauczyć się jakoś żyć bez Anglika; w porównaniu z tym wyzwaniem wdrapanie się po stosie luźnych odłamków nie przedstawiało większych trudności.

Brnąc przez gruzy, uświadomiła sobie, że to właśnie ten mur i wszystko, co symbolizuje, wznosił się między nimi barierą, która miała ich już zawsze dzielić. Mur między Anglią i Walią, ściana stojąca między jego i jej celami i przysięgami. Mur, który Owain dopomógł wydzwignąć na niebotyczną wysokość w chwili, gdy posłał Randowi odcięty palec Jaspera.

Zerknęła na Anglika. Mogła przynajmniej go zapewnić, że nie poślubi Owaina. Lecz gdy otwierała usta, usłyszała tuż za plecami Randa głos Osborne'a:

- Jest tam, widzicie?

Wyteżyli wzrok, patrząc w kierunku wyciągniętej ręki, i ujrzeli, jak z oparów mgły wyłaniają się niczym leśne zjawy dwie niewyraźne sylwetki.

Widmowe postaci zbliżały się ku nim przez ruchome smugi szarości, jak gdyby płynęły na chmurze spowijającej ich stopy i nogi. Jedna z nich stawiała kroki sztywno i ostrożnie, jak bardzo stary człowiek. W miarę jak wspinali się w górę stoku, gdzie mgła nie była tak gęsta, Josselyn zorientowała się, że mężczyzna jedną ręką podtrzymuje drugą. Przypatrując się uważniej, ujrzała zabandażowaną dłoń. To musiał być Jasper, a tuż za nim triumfalnym krokiem podążał Owain.

Gorycz żółci podchodzącej wysoko do gardła sprawiła, że Josselyn ledwie opanowała odruch wymiotny, który chwycił ją na widok jej krajana i jego mściwego zadowolenia z dokonanego dzieła. Gdyby nie Rand, który chwycił ją za rękę i popychał przed sobą do przodu, nie zdobyłaby się na pokonanie ostatnich metrów, jakie ich dzieliły.

Przeskoczyli mur i pomaszerowali w dół stoku. Trawa kładła się pod ich stopami z miękkim szelestem, czasami pod podeszwą trzewika zachręścił żwir. Poza tymi odgłosami w dolinie panowała śmiertelna cisza. Josselyn pomyślała, że nawet drobna zwierzyna zamieszkująca w okolicznych norkach i dziuplach zamilkła w obecności mordercy, którego zwano Owainem ... a może przestraszyła je milcząca furia Randa?

Rzuciła mu spojrzenie spod rzęs i stwierdziła, że zwężonymi oczami wpatruje się w nadchodzących mężczyzn. Niemal namacalnie odczuwała rosnące napięcie. Wiedziona nagłym impulsem, zatrzymała się. Nie da Owainowi szansy do

pojedyнку, w którym mógłby zranić Randa.

W tej samej chwili zatrzymał się i Owain.

- Przyślij nam Josselyn! - zawołał z odległości pięćdziesięciu kroków.

Dziewczyna przetłumaczyła jego słowa Randowi i ruszyła naprzód, by czym prędzej zakończyć wymianę i zapobiec rozlewowi krwi. Ale on chwycił jej ramię.

- Nie wychodź za niego, Josselyn, chyba że chcesz bardzo szybko owdowieć.

Odezwała się głosem, w którym znalazła ujście cała gorycz zrodzona z lęku o niego, o siebie, o wszystkich mieszkańców tej górzystej krainy, którzy będą cierpieć w nieuniknionych wojnach:

- To by rozwiązało wszystkie twoje problemy, prawda? Ja wychodzę za Owaina, by zadośćuczynić życzeniu jego i mojego stryja. Ty zabijasz Owaina, by zadowolić mnie i siebie. Wszyscy doczekują spełnienia przynajmniej części swoich życzeń. Ale co potem? Nic się nie zmieni, mimo nieszczęścia i bólu. Nic się nigdy nie zmieni.

Nic się nie zmieni, skoro wzdragasz się wybrać najbardziej oczywistą ze wszystkich dróg wiodących ku zawarciu trwałego pokoju - dodała w myślach, lecz tych słów nie wypowiedziała na głos. Nie mogła. Odwróciła się i odeszła, a Rand nie zrobił nic, by ją zatrzymać. Oślepią łzami, nieomylnie podążała we właściwym kierunku - w dół stoku. Oddalała się od Rosecliffe, by już nigdy nań nie powrócić.

Zatrzymała się, gdy brat Randa ruszył w jej stronę. Stali naprzeciw siebie w połowie stoku, mierząc się spojrzeniem - on patrzył na nią jednym tylko okiem, gdyż drugie miał zapuchnięte. Nabrzmiąle wargi Jaspera, w jednym miejscu

były przecięte i sklezione zaschłą krwią. Do piersi tulił zranioną rękę.

_ Przepraszam - wyszeptała, przejęta do głębi jego cierpieniem, przepętniona poczuciem winy.

Zdrowe oko patrzyło na nią podejrzliwie.

_ Wyzdrowieję. Lecz te łzy chyba nie płyną z mojego powodu? Czyżby Rand źle cię potraktował?

Josselyn zadrżał podbródek; potrząsnęła głową:

_ Nie. Ze mną twój brat nie obszedł się tak, jak z tobą ten ... -
Ruchem głowy wskazała Owaina.

_ Josselyn! - zawołał jej narzeczony. - Chodź tu zaraz!

Jasper zacisnął szczęki z nienawiścią, lecz ją obdarzył jedynie nieco bolesnym uśmiechem.

_ Żegnaj, Josselyn ap Carreg Du!

_ Do widzenia, Jasperze Fitz Hugh - odpowiedziała.

Oto człowiek, który o mało co nie został moim mężem □ przemknęło jej przez głowę. Choć spotkali się tak przelotnie, czuła instynktownie, że byłby z niego o wiele lepszy towarzysz życia niż Owain.

A gdyby się odwróciła i umknęła z Jasperem na Rosecliffe?

Gdyby go poślubiła, jak sobie tego życzył Rand? Czy tak nie byłoby lepiej dla nich wszystkich?

Lecz jakżeby mogła tak uczynić? Jak mogłaby żyć w domu Randa jako kobieta jego brata? Nie, to było wykluczone.

Ruszyła w dół stoku. Każde stąpienie wymagało samozaparcia, każde przybliżało ją do Owaina i oddalało od Randa. Podeszła wreszcie do swego gruboskórnego krajana, lecz nie ośmieliła się podnieść na niego oczu, tak wielką

napełniał ją odrazą.

Jeśli nawet zauważył jej powściągliwość, nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Chwycił Josselyn za ramię i wyciągając miecz z pochwy, popchnął dziewczynę za siebie, w schronienie leśnej gęstwiny, ku przyszłości tak ponurej, że w tej przełomowej godzinie wzdragała się poświęcić choć jedną myśl temu, co ją czeka.

W Carreg Du panował ścisk i wrzawa. Tymczasowi goście, mężczyźni z Afon Bryn, kręcąc się po dwóch głównych drogach osady, sprawili, że zrobiło się na nich niezwykle tłoczno. Zwiększony ruch nie wyszedł na dobre ich nawierzchni: przechodnie tonęli w błocie i końskich odchodach. Każda rodzina przyjęła pod swój dach przynajmniej jednego żołnierza z oddziału Owaina. Wszędzie słychać było podniesione głosy, sprzeczki i kłótnie, mężczyźni z obu osad nie rozstawali się z orężem, w każdej chwili gotowi do walki. Kobiety kryły się w pomieszczeniach gospodarczych domostw, zatrzymując przy sobie dzieci. Tylko męska część populacji Carreg Du poruszała się swobodnie po wiosce, lecz i w ich postawie Josselyn zauważyła napięcie wywołane pobytem Owaina i jego oddziału. Nie byłiby chyba bardziej poruszeni najazdem Anglików.

Wszyscy przechodnie bacznie przypatrywali się wkraczającej do osady dziewczynie. U jednego boku miała stryja, u drugiego towarzyszył jej Owain, a za nimi postępowały dwa oddziały straży. Poprzedniej nocy Josselyn właściwie nie zmrużyła oka, a igraszki z Randem nadwreżyły mięśnie, o których istnieniu do tej pory nie

miała pojęcia - skąd więc mogła przypuszczać, że mogą do tego stopnia dawać się we znaki! -lecz przyczyną jej widocznego wyczerpania nie były ani brak snu, ani fizyczne znużenie. To zszarpane nerwy doszły do głosu, napięte do ostatecznej wytrzymałości. Gdy w tłumie spieszącym na jej powitanie ujrzała drżący uśmiech ciotki Nesty, nie potrafiła dłużej udawać opanowania. Schroniła się w ramionach starszej kobiety z głośnym szlochaniem i ukryła twarz w jej sukniach, płacząc jak małe dziecko.

- Zabiję tego drania - burknął Owain.

Josselyn nie usłyszała reakcji stryja, gdyż Nessie pociągnęła ją za sobą do kuchni, zamykając drzwi przed nosem tłoczących się za nimi mężczyzn. Lecz i w kuchni Josselyn nie znalazła tak upragnionej prywatności, gdyż tam krzątała się Gladys, a przy palenisku siedziała Rhonwen, bawiąc młodsze rodzeństwo, Kordulę i Davita. Ale przynajmniej nie było tu mężczyzn, dzięki czemu Josselyn poczuła się swobodniej.

Gladys w milczeniu przyciągnęła do siebie dwójkę maluchów i wlepiła oczy w Josselyn. Prawdopodobnie, tak jak Nessie, wyobrażała sobie, że Anglik traktował dziewczynę jak najgorzej. Ale Rhonwen była jeszcze dzieckiem i widząc, że Josselyn nie odniosła fizycznych obrażeń, uradowała się z całego serca.

- A więc przechytryliśmy ich i wydostałyśmy cię z powrotem! Miałaś rację: my, kobiety, rzeczywiście jesteśmy mądrzejsze. Potrafimy wystrychnąć na dudka wszystkich durnych mężczyzn!

- Rhonwen!. .. - skarciła ją Gladys.

Dziewczynka rzuciła matce niecierpliwe spojrzenie pełne

złości.

Zwróciła przy tym twarz do ognia, a Josselyn aż się zachłysnęła, widząc olbrzymi siniak, nieomal tak nabiegły krwią, jak opuchlizna na policzku Jaspera.

- Co jej się stało?

Kobiety milczały, lecz Rhonwen obdarzyła Josselyn triumfalnym uśmiechem.

- Przechytryłam wszystkich. I Owaina, i tego obrzydliwego Anglika. No i tego obdartusa Rhysa - dorzuciła z przechwałą w głosie.

- Rhysa? Mówisz o chłopaku Owaina? - Josselyn przypomniała sobie zagniewanego malca, który obsypał ją przekleństwami i kamieniami w drodze powrotnej z Afon Bryn. - To on ci to zrobił?

- Nie, to Owain - sprostowała Gladys. - Nie chłopiec zbił moją Rhonwen, lecz jego ojciec.

- Ale dlaczego?

- Bo wzięłam do niewoli jego cuchnącego synalka.

Josselyn przeniosła oczy pełne niedowierzania z płonącej dumą twarzy dziewczynki na przycichłe kobiety. Obie potaknęły bez słowa, więc ponownie zwróciła się do Rhonwen:

- Czemu? - Nie znalazła innego słowa. - Czemu?

Dziewuszka podeszła do Josselyn i spojrzała jej prosto w oczy.

- Chciałam cię ocalić .. Owain mówił, że odetnie Jasperowi nie tylko palec, lecz całą dłoń i pośle ją jego starszemu bratu. Ale ja się bałam, że angielski lord zrobi ci to samo, więc kiedy spotkałam Rhysa, wprowadziłam go jako swojego zakładnika.

- Twój stryj poparł Rhonwen i razem zmusili Owaina do ustępstw - uzupełniła Nesta.

- Owainowi wcale się nie podobało, że małe dziecko wyprowadziło go w pole - zakończyła Gladys.

Josselyn ujęła Rhonwen pod brodę, uważając, by nie urazić napuchniętego policzka, i wpatrzyła się w szczerze oczy dziecka. Dziewięciolatka wzięła za zakładnika synka Owaina, by zapewnić Josselyn bezpieczeństwo? Czy ta nieprawdopodobna opowieść nie była zmyślona? Lecz nie, najwyraźniej wszystkie mówiły prawdę. Nawet bez potwierdzenia Gladys i Nesty, purpurowy siniec na twarzyczce Rhonwen świadczył sam za siebie.

Boże, jakże nienawidziła tego człowieka!

- Czy bardzo cię boli? - spytała ze ściśniętym gardłem. Rhonwen wzruszyła ramionami:

- Nie, nie bardzo - odparła i uśmiechnęła się szeroko. - Warto było to znieść, żebyś odzyskała wolność. No i żeby zobaczyć, jak on się wścieka!

Josselyn mogła sobie tylko wyobrazić posiniałego ze złości Owaina. Ten szczur uderzył Rhonwen! Czy na synu też wyładował gniew?

- A gdzie się teraz podziewa Rhys?

- Ten brudas? - Dziewczynka parsknęła z pogardą. - Pewnie myszkuje gdzieś na śmietniku. Ależ on cuchnie!

Josselyn zmarszczyła lekko czoło. Miała nadzieję, że małemu nie dzieje się krzywda.

- Przyznaję, że to utrapiony smarkacz, ale trzeba ci pamiętać, że nie ma matki, która by się nim opiekowała, a wszystkie wiemy, jakim ojcem jest Owain. Przynajmniej ty masz matkę, która cię kocha, Rhonwen.

Dziecko wytrzymało jej spojrzenie bez zmruczenia oka. Josselyn miała wrażenie, że w oczach dziewczuszki błysnął sprzeciw, lecz uznała, że to chwilowy bunt. Mała spuściła wreszcie wzrok i zerknęła nieśmiało na matkę. Josselyn objęła ją serdecznie.

- Matka bardzo cię kocha - szepnęła, wtulając usta w potargane włoski dziecka. - Dobrze o tym wiesz. I ty zresztą też ją kochasz. My, kobiety, musimy trzymać się razem, jeśli mamy dopiąć swego.

Rhonwen podniosła wzrok.

- A czego mamy dopiąć?

Josselyn zawahała się. O co mogło jej chodzić?

- Oczywiście, chcemy doprowadzić do pokoju. I chcemy mieć dobre zbiory ... No i mężów, którzy będą nas szanować, i zdrowe dzieci.

Pozostałe kobiety zgodnie przytaknęły i niebawem wszystkie powróciły do zajęć kuchennych przy przygotowaniu obiadu. Josselyn pomagała im trochę mechanicznie, gdyż w uszach wciąż dźwięczały jej ostatnie słowa; skierowała je nie tyle do Rhonwen, co do siebie. Cóż za szlachetne cele! W gruncie rzeczy wszakże kobieta nie miała władzy nad własnym losem, cóż dopiero mówić o tak ambitnych zamierzeniach! Pokój zależał od mężczyzn. Dobre zbiory - od pogody. Nikt nie mógł zmusić mężczyzny, by traktował żonę z szacunkiem. A zdrowie dzieci? To leżało w rękach Boga.

Zgarbiła ramiona w geście rezygnacji. Szlachetne, wysokie cele.

Lecz ona, Josselyn, nie doczeka się spełnienia ani jednego z nich. To się nie uda żadnej kobiecie.

Od bladości twarzy Jaspera ostro odcinała się purpurowa plama szeroko rozlanego sińca wokół zamkniętego opuchlizną oka. Zdążył już się wykąpać i przebrać, napełnił żołądek gorącą strawą; dłoń spowijał mu świeży opatrunek. Wyciągnął się na krzesło brata i zamknął oczy.

Rand przypatrywał się młodszemu bratu, którego prawie nie znał. Malec jeszcze raczkował, gdy ojciec wysłał starszego syna z domu na wychowanie na dworze innego wielmoży. Potem bracia widywali się od wielkiego święta aż do chwili, gdy starszy zaciągnął się pod sztandar króla. Jasper został w tym samym czasie oddany do opactwa w Walsingham. Upłynęły trzy lata, zanim ponownie się spotkali.

Jasper bez uprzedzenia opuścił zakon i zaciągnął się jako giermek na służbę do bliskiego przyjaciela ojca. Niebawem został pasowany na rycerza. Rand podejrzewał jednak, że sztuka wojenna niespecjalnie pociąga brata. I oto Jasper przybył na Rosecliffe z podbitym okiem i okaleczoną dłonią, gorzko doświadczony u progu dojrzałego żywota. I czemu zawdzięczał ten ponury chrzest bojowy? Randowi właściwie wcale nie był tu potrzebny, aczkolwiek pomysł ożenku z Josselyn przez krótki czas wydawał się rozsądnym wyjściem z politycznego impasu.

Niestety, Rand pozbawił oblubienicę dziewictwa, podczas gdy jej narzeczony skatował i okaleczył jego brata.

Na święte relikwie! Nigdy nie powinien być posyłać po chłopaka!

Z rozmachem podniósł się z zydła, na którym przysiadł. Krzesło z hukiem przewróciło się na kamienną posadzkę. Jasper usiadł prosto, brutalnie wyrwany z drzemki.

- Zetnę głowę tego łajdaka i nabiję ją na włócznię! - rzucił Rand. Młodszy brat skrzywił się i ułożył wygodniej na fotelu.

Doskonale rozumiał, dla kogo to Rand planuje tak wspaniałą przyszłość.

- A co zrobisz z jej głową? To przecież ona, ta Josselyn ap Carreg Du, dopuściła się zdrady, więc jest bardziej winna niż Owain ap Madoc. - Wykrzywił wargi w wymownym uśmiechu. □ Czy może tak słodko ci się ją chędożyło, że jesteś skłonny jej wybaczyć?

Osborne, siedzący po drugiej stronie stołu, podniósł lekko brwi, lecz nie odpowiedział śmiechem na nieokrzesany żart młodzieńca. Jego powściągliwość świadczyła o tym, jak dobrze zna swego przywódcę i jego nastroje, podczas gdy rubaszne kpiny Jaspera świadczyły dobitnie o tym, że nie zna on starszego. Rand przeszył chłopaka ostrym wzrokiem.

- Małżeństwo tej dziewczki z Owainem przyczyni się do wzmocnienia opozycji walijskich plemion - wyjaśnił. - Nasze zadanie stało się po dziesięciokroć trudniejsze. Czeka nas rozlew krwi większy niż te nędzne kilka kropel, które uroniłeś.

- Czemu więc zgodziłeś się na wymianę? - zdziwił się Jasper. □ Jeśli dobrze pamiętam, uważasz mnie za bezużytecznego darmozjada.

- Owszem, jesteś bezużyteczny, przynajmniej obecnie - odburknął Rand. - Ale jesteś moim bratem.

- Przyrodnim.

Przez głowę Randa przemknęła jak błyskawica myśl, że Jasper, choć przyrodni, jest lepszy od Johna, jego rodzonego brata, ale nie powiedział tego na głos.

_ Przyrodni czy nie, łączą nas więzy krwi - oświadczył opryskliwie. - W żadnym wypadku nie zostawiłbym cię na łasce tego mordercy Owaina.

Nalał sobie kufel piwa, świadom, że brat bacznie mu się przygląda. Na nic by się zdało ukrywać przed nim prawdę, więc zawczasu przygotował odpowiedź na nieuniknione pytanie.

_ Czemu posłałeś po mnie do Londynu, skoro przedtem sam nakazałeś mi zostać na dworze?

_ Zamierzałem wydać Josselyn za ciebie i w ten sposób zapewnić pokój z tutejszymi plemionami.

Jasper w milczeniu przetrawiał zaskakującą nowinę.

_ Plan był logiczny - orzekł wreszcie. - Chociaż nie zyskałby mojego poparcia.

Rand zerknął na niego z rozdrażnieniem.

_ Zgodziłbyś się, bo w zamian obiecałbym oddać ci władzę na Rosecliffe po zakończeniu budowy warowni.

Obserwował, jak brat rozważa to zaskakujące oświadczenie.

Wreszcie Jasper wzruszył ramionami.

_ Być może za tę cenę zgodziłbym się na te zaślubiny. Dziewka wygląda na gładką, a ponoć Walijski to chutliwe niewiasty, chociaż sam nie miałem jeszcze przyjemności tego stwierdzić. Czy mam rację? - Zaśmiał się Randowi prosto w twarz.

Starszy brat z trudnością utrzymał nerwy na wodzy. Jasper próbował go sprowokować, lecz Rand postanowił zepsuć mu zabawę. Poza tym nie czuł się na siłach rozmawiać o przewrotnej naturze Josselyn z tym bezczelnym gołowąsem.

_ Nieważne, gdyż i tak wymknęła się nam z garści i bez wątpienia poślubi jakiegoś walijskiego osiłka.

_ Myślisz, że nie wyjdzie za Owaina? Boże dopomóż jej, jeżeli go poślubi - dodał Jasper z nutą goryczy w głosie. - Chciał mi odciąć całą dłoń, wiesz o tym?

- Clyde zdołał go powstrzymać?

Jasper popatrzył na zabandażowaną kończynę.

_ Nie wiedział, że jestem mańkutem, więc chciał uciąć dłoń władającą mieczem. Clyde sprzeciwiał się z całej siły, powtarzał, że mały palec to dostateczny dowód mojej tożsamości i ich stanowczych zamiarów co do mojej osoby. Lecz Owain upierał się przy swoim i pewnie źle by się dla mnie skończyło, gdyby nie smarkata dziewczuszka, która go skłoniła do ustępstw.

- Jaka smarkata? Córka?

- Nie, dziecko z osady Carreg Du. - Jasper potrząsnął głową na samo wspomnienie. - Cóż to była za zażarta smarkula! Przysięgła na wszystkie świętości, że z rozkoszą pocięłaby mnie osobiście na kawałki i posłała ci w trzciniowych jukach na grzbiecie osła. Ale bardziej zależało jej na bezpieczeństwie Josselyn, a lękała się twojego odwetu, gdyby odcięto mi dłoń. Postawiła więc warunek, że muszą ograniczyć się do małego palca.

Rand pokręcił niedowierzająco głową.

- Owain miałby usłuchać dziecka? Ulec rozkazom dziewczynki, która ledwie odrosła od ziemi? A jak zrozumiałeś, o czym mówią? Przecież to Walijczycy!

Jasper uniósł się dumą.

- Nie siedziałem beczynnie przez długie miesiące spędzone na dworze króla. Kiedy się dowiedziałem, że nadano ci majątki w Walii, zabrałem się do nauki tutejszego narzecza. Kiedyś wbijano mi do głowy łacinę, a po tamtych

męczarniach walijski okazał się dziecinną zabawką. A co się tyczy dziewczynki, to miała zakładnika.

Teraz nie wytrzymał Osborne.

- Dziecko miało zakładnika? - Zachichotał. - W głowie ci się musiało pomieszać od cięgów, jakie ci sprawili!

Jasper nachylił się do przodu w ferworze opowieści.

- Wzięła syna Owaina, którego napotkała gdzieś w lesie. Kiedy im to powiedziała, rozpętało się istne piekło. Owain zdzielił ją na odlew, aż upadła na ziemię, a na to Clyde walnął Owaina. Już myślałem, że się pomordują, a na dodatek zabiją i mnie. Ostatecznie jednak doszli do porozumienia i oszczędzili moją dłoń. Zawdzięczam to tej małej.

Rand wstał, podszedł do kominka i wpatrzył się w bursztynowe migotanie żaru. Przypomniał sobie małą dziewczuszkę, którą przyłapano koło obozu tego dnia, gdy pierwszy raz spotkał Josselyn. Potem ujrzał ją w lesie nieopodal murów, kiedy ciskała w niego kamieniami, próbując na próżno wywalczyć swobodę branki. Czy możliwe, by to o niej mówił Jasper? Pewnie tak. Zawsze zachowywała się dzielnie, lecz opór wobec Owaina dowodził prawdziwej odwagi, ślepej, nieomal szalonej lojalności. Owain nie przebaczy nikomu, kto mu się przeciwstawił i wziął nad nim górę, a już z pewnością nie ścierpi oporu dziecka. Wystawiła go na drwiny ziomków, a tego porywczy Walijszyk nigdy nie zapomni.

Czy to możliwe, że wywrze zemstę również na Josselyn? Rand stłumił dreszcz przerażenia i obawy o nią oraz o nieustraszoną dziewczuszkę. Cóż mogło go to obchodzić? Przecież chodziło o kobiety nieprzyjaciela! Powinien raczej

cieszyć się, że w obozie wroga zasiano ziarno niezgody; Anglikom mogło to tylko wyjść na dobre.

Odwrócił się plecami do ognia, odsuwając od siebie troski o los

dziewcząt. Josselyn sama wybrała, po czyjej będzie stronie. Chciała uciec z angielskiego obozu i postawiła na swoim. Teraz będzie musiała ponieść konsekwencje. Wszyscy będą musieli ponieść konsekwencje tego, co się stało.

Rozdział dwudziesty pierwszy

W dzień powrotu Josselyn mieszkańcy wioski Carreg Du świętowali jej uwolnienie.

Następnego dnia kulili się ze strachu przed furią Owaina. Trzeciego patrzyli w milczeniu, jak ceremonia zaślubin łączy ich osadę z wioską Afon Bryn.

Każdy, nawet najgłupszy, mieszkaniec wioski wiedział, że nie będzie to łatwy sojusz, ich radość zabarwiona była więc niepokojem, a zabawy weselne przebiegały dość niemrawo. Sama zaś Josselyn przyrzekała sobie być dobrą żoną, lojalną wobec oblubieńca.

Madoc ap Lloyd był chyba jedynym uczestnikiem uroczystości, który wydawał się szczerze zadowolony z rozwoju wydarzeń. Owain nie pojawił się nawet na weselu - przybyli za to w pełnym składzie jego żołnierze, którzy dobrze wiedzieli, że ich naczelnym przywódcą jest Madoc. Zresztą nie tylko autorytet wodza, lecz w pewnej mierze i ostatnie wydarzenia - upokorzenie, jakie odniósł Owain za

sprawą dziecka - przyczyniły się do tego, że jego dotychczas ślepo wierni poplecznicy uświadomili sobie, kto właściwie jest głową rodu Lloydów.

Niech sobie Owain szaleje, tracąc na rzecz ojca kobietę, którą zamierzał pojąć za żonę. Madoc świętował powrót dawnych dni i rozkoszy młodości. Śmiał się w głos, jadł suto, wznosił toasty na cześć młodziutkiej oblubienicy.

Wypił nieco za dużo i zasnął w małżeńskiej łóżnicy, nie usiłując nawet przypieczętować fizycznym zbliżeniem zawartego związku.

Josselyn leżała przy nim wsłuchana w odgłos rytmicznego chrapania, z czarną rozpaczą w duszy przygotowując się do pełnienia narzuconych sobie obowiązków małżonki. Z pewnością po przebudzeniu mąż pospieszy nadrobić to, czego nie mógł dokonać w nocy - a jeśli nawet rankiem do niczego nie dojdzie, mogła być pewna intymnych pieszczot wieczorem, gdy przyjadą do Mon Bryn.

Oto stała się żoną Madoca i powinna się cieszyć, gdyż starszy Walińczyk będzie na pewno lepszym mężem niż Owain. Mimo to cierpła jej skóra na myśl o tym, że leży naga tuż obok obcego mężczyzny. Czuła mdłości na myśl o oczekujących ją chwilach: języku wciskającym się między jej zęby, o ustach chłonących jej ciało, męskości wnikałej w jej najgłębsze zakątki.

Ze stłumionym westchnieniem zsunęła się z pościeli i skuliła w najciemniejszym kącie komnaty. Wiedziała, że powinna odpędzać wszelkie wspomnienia o Randzie, lecz tej nocy po prostu musiała o nim myśleć. Gdyby to on został jej mężem, nie czułaby odrazy do aktu, który nieuchronnie ją czeka.

Lecz smętne rozważania nie przyniosły pocieszenia.

Napominała się, że to właśnie Rand powinien budzić w niej wstręt, gdyż był wrogiem. Josselyn powinna wstydić się łatwości, z jaką wyobrażała sobie małżeńskie zbliżenie z tym człowiekiem. Nie mogła jednak ukrywać przed sobą prawdy: marzyła o nim, pragnęła, by zajął miejsce w jej łożu, tak jak je zajął w jej sercu. Nie chodziło jej o podeszły wiek Madoca ap Lloyda. Po prostu była opętana na punkcie Randulfa Fitz Hugh. Nawet jego brat, młody i jurny mężczyzna, nie obudził w niej pożądania. Nie był Randem. Żaden inny mężczyzna nim nie był.

Ale Rand nie chciał się z tobą ożenić - przywołała się do porządku. Mógł rozwiązać wszystkie problemy, jakie stały przed lordem z Anglii obejmującym panowanie na walijskiej ziemi, biorąc ją za żonę, lecz wybrał inną drogę.

Głupia była, rozpamiętując żałośnie utratę kochanka, który najwyraźniej nie poczuł nawet, że zabrakło jej przy jego boku.

Czy wiedział, że nie poślubiła Owaina?

Rand dowiedział się o tym od Newlina, którego ujrzał pewnego mglistego ranka kilka tygodni później, siedzącego na płycie dolmenu. Bard od dawna już nie zbliżał się do obozu, jak zresztą wszyscy Walijszczy, którzy przezornie trzymali się w obrębie wioski i otaczających ją lasów i pól uprawnych, z dala od Rosecliffe.

Rand wiedział o ich powściągliwości, gdyż rozstawił dyskretny pierścień wart dokoła Carreg Du.

Jego ludzie mieli ścisłe rozkazy nikogo nie zatrzymywać ani niepokoić, chyba że w obronie własnego życia. Mieli natomiast donosić mu o każdym ruchu tubylców. Skąpe raporty przynosiły wieści, które przyczyniały się do coraz

większego smutku i rozdrażnienia rycerza.

Z Carreg Du wyruszyła duża grupa mężczyzn, wśród których jechała jedna kobieta. Podróżowali, nie zważając na ulewny deszcz, który utrudnił obserwację. Kobieta jechała na koniu przy boku jednego z mężczyzn. Oba wierzchowce były rumakami szlacheckiej krwi. Rand z miejsca zorientował się, że nowiny potwierdzają to, czego się obawiał. Josselyn wyszła za mąż. Tym jednym czynem po pierwsze, zdołała doprowadzić do zjednoczenia przeciw Anglikom rodów zamieszkujących okoliczne ziemie, a po drugie, dla Randa była stracona na zawsze.

Początkowo wmawiał sobie, że przede wszystkim zależało mu na tym, by nie doszło do sojuszu plemiennego, i że właśnie to niepowodzenie wprawiało go w taki gniew. Nie mógł jednak zaprzeczać prawdzie, którą w głębi duszy znał doskonale. Był pewien, że potrafi stawić czoło dowolnej liczbie walijskich rodów, zjednoczonych czy nie, odnieść ostateczne zwycięstwo i sprawić, by mieszkańcy tutejszych ziem uznali korzyści płynące z władzy jednego potężnego pana, który zapewnia poddanym pokój i dobrobyt. Lecz nie potrafił znaleźć lekarstwa na tęsknotę za Josselyn, która tak nieodwołalnie zniknęła z jego życia.

Nie znalazł pociechy nawet w nowinach, które przyniósł Newlin.

- Ten przynajmniej nie może być chyba tak okrutny, jak jego syn - mruknął, przewiercając Newlina czujnym spojrzeniem.

□ A może się mylę?

Bard siedział na skalnej płycie, wpatrzony w szpaka, który głośnym szczebiotem próbował przegonić jakiegoś skrzydlatego intruza kręcącego się w pobliżu gniazda.

Po chwili zamrugał i zwrócił się do Randa:

- Owain jest synem swego ojca. Madoc sam w młodości nie wyróżniał się łagodnością i poczciwością. Był surowy dla pierwszej żony, która dała mu tylko jednego syna. Nie lepiej obchodził się z drugą, która powiła córkę i zmarła w połogu. Był surowy i łatwo wpadał w gniew wobec każdego, kto ośmielił mu się sprzeciwić.

Lecz teraz jest już stary. Marzy mu się ogień w kominku i wygodne pośłanie. A jeśli nowa żona nie da mu kolejnego potomka ... □Newlin wzruszył uschniętym ramieniem. - Nie sądzę, by bardzo go to obeszło, jeśli będzie zaspokajać inne jego potrzeby.

Potem zmienili temat. Rozmawiali trochę o niebywale wilgotnej tegorocznej wiosnie, o zaletach miejscowego kamienia do celów budowlanych, o pierwszych zielonych pędach, zwiastujących okres kwitnienia. Przez cały czas myśli Randa nie opuszczał obraz Josselyn leżącej w łóżu obok starego człowieka ... starszej kopii Owaina. Poczul, że w gardle ściska go złość tak silna, że zapragnął chwycić kogoś - kogokolwiek - za szyję i dusić tak długo, by nieprzyjaciel wyzionął ducha. Przerwał bardowi w pół zdania:

_ Jeśli ta dziewczka myśli, że mnie przechytrzyła ... jeśli któreś z nich ma nadzieję, że wiedząc o sojuszu plemion, porzucę plany wzniesienia tu królewskiej fortecy, mylą się. Nie są tak silni, by walczyć ze mną i zwyciężyć.

Na zniekształconej twarzy Newlina zagościł dziwny grymas.

- Czy nie ma innego wyjścia?

Rand nie odpowiedział. Być może kiedyś, dawno temu, gdyby sam rozważył ożenek z Josselyn, zamiast przeznaczać

ją dla Jaspera ... Ale wtedy takie rozwiązanie nie przeszło mu nawet przez głowę. Na pierwszym miejscu zawsze stały jego polityczne ambicje związane z nimi plany powrotu do Londynu, a w nich nie było miejsca dla Josselyn. Teraz było za późno rozpaczać nad utraconą szansą.

Nadeszło lato. Na bujnej zieleni łąk pobekiwały nowo narodzone jagnięta. Po błękitnie nieba szybowwały ledwo opierzone pisklęta. Wszędzie krzewiło się nowe życie.

Josselyn też czuła w sobie jego oznaki. Piersi nabrzmiały, ustały comiesięczne krwawienia. Pogrubiła w talii, chociaż utraciła apetyt i dziobała strawę jak ptaszek. Ukrywała prawdę o swoim stanie przed wszystkimi, lecz sama szybko się zorientowała, co się dzieje. Pod sercem nosiła oto dzieciątko, aczkolwiek nie zostało ono poczęte z lędźwi męża - i to stanowiło źródło jej obaw.

Owszem, Madoc próbował spełnić się jako mężczyzna. Pierwszej nocy po przybyciu do Afon Bryn. I drugiej ... Rozbierał ją do naga, głaskał po całym ciele, szczypał sutki, starając się przy tym zresztą nie sprawiać jej bólu. Josselyn leżała nieruchomo, tłumiąc wszelkie oznaki obrzydzenia. To, co się działo, było wszak częścią małżeńskiej umowy, którą zawarła z własnej woli. Nie złamie przysięgi.

Mimo wszelkich starań członek Madoca nie drgnął.

Zmuszał ją, by dotykała obwisłych fałdów skóry, próbując podniecić jego męskość. Josselyn posłusznie robiła swoje, ale bez powodzenia. W końcu Madoc upił się do nieprzytomności. Odtąd ich wspólne noce nieodmiennie przebiegały wedle tego samego wzoru.

Josselyn zaszła jednak w ciążę. Nosiła w łonie dziecko

Randa. Madoc nie był złym mężem, choć traktował ją bardziej jak córkę niż żonę. Nie zarzucił wszakże zwyczaju regularnych, odbywanych dwa razy w tygodniu, wizyt w jej sypialnej komnacie, a Josselyn zgadzała się utrzymywać grę pozorów.

Sama wykazywała niesłychaną bystrość w pojmowaniu potrzeb małżonka. Szybko przeniknęła jego nawyki, dowiedziała się, które potrawy i napoje należą do ulubionych. Kroiła dla niego najbardziej soczyste płaty pieczeni, utrzymywała jego ubrania w porządku i czystości, czyściła oręż na każde żądanie, strzygła mu włosy i raz w tygodniu posługiwała mu w kąpieli. Nigdy nie zaniedbała swoich obowiązków: przygotowywała ułatwiający trawienie wywar z jagód jałowca, piołunu i mięty, robiła mu okłady z hyzopu uśmierzające dokuczliwą wysypkę na stopach. Kiedy był z niej zadowolony, okazywał to rubasznym klepinięciem w pośladek. Poza tym jej nie dostrzegał. Jego czas i myśli zajmowała nadchodząca wojna z Anglikami.

Owego poranka Josselyn wraz z kobietami z wioski zajmowała się praniem. Nigdy specjalnie nie przepadała za tym dniem, lecz jak dobra gospodyni zebrała z pomocą Meriel brudne odzienie i splamioną pościel do wielkiego kosza, zaniosiła do studni na placu, tuż za frontowymi drzwiami. Schodziły się tu kobiety z całej osady, by szorować i plotkować, korzystając z tego, że obowiązki domowe usprawiedliwiały chwilowe opuszczenie mężów i ojców na korzyść towarzystwa innych kobiet. Przyprawdzały ze sobą małe dzieci i przynosiły niemowlęta, w które Josselyn wpatrywała się z gorącym zainteresowaniem.

Meriel rzuciła jej ukradkowe spojrzenie.

- Może i ciebie los obdarzy wkrótce takim wrzeszczącym wniebogłosem bachorkiem, co?

Josselyn skupiła uwagę na sortowaniu brudów.

- Zdaje się, że każda kobieta pragnie rodzić dzieci.

- Owszem - odrzekła Meriel tak dziwnym tonem, że Josselyn uniosła na nią wzrok. Wargi starszej kobiety zacisnęły się w wąską linię, a na jej twarzy pojawił się wyraz złości. Josselyn wnet przypomniała sobie, że Meriel ma za sobą bezpłodne małżeństwo. Choć starsza, podstępna i złośliwa, kobieta nie odznaczała się pogodą ducha, była jedyną towarzyszką Josselyn, która za wszelką cenę pragnęła zachować jej życzliwość.

- Przepraszam, Meriel, mówiłam bezmyślnie. To musi być przykre, pragnąć dzieci i nie móc ich mieć.

Meriel jeszcze bardziej zmarszczyła czoło i szarpnęła prześcieradło tak mocno, że Josselyn usłyszała trzask rozdieranej tkaniny.

- Kiedy kobieta po dziesięciu latach współżycia z jednym małżonkiem nie urodziła potomka, żaden inny nie zechce na nią spojrzeć jako na przyszłą żonę. Wszyscy uważają, że bezpłodność była jej winą. - Podniosła wzrok i spojrzała prosto w oczy Josselyn. - A czasami to przecież mężczyzna nie potrafi wypełnić swej roli ... Wiesz, co mam na myśli?

Josselyn zdobyła się jedynie na nieznaczne kiwnięcie głową. Serce waliło jej w piersiach jak młot. Czy Meriel wiedziała o przypadłości Madoca? Jeśli tak, to zorientuje się natychmiast, że Josselyn jest brzemienna z innym mężczyzną.

Oczywiście niechybnie odgadnie też, kto jest ojcem dziecka.

Czy pobiegnie wówczas do Madoca i wypaple całą prawdę? Nic nie można było poradzić. Josselyn musiała powiedzieć mu pierwsza.

Tego popołudnia czekała na niego przed domem. Wczesnym rankiem wyjechał z małym oddziałem mężczyzn uzbrojonych jak do bitwy. Przez ostatnie dwa miesiące wojownicy nieprzerwanie debatowali nad najlepszą strategią zwalczania Anglików, lecz poza kilkoma wypadami i kradzieżą jednej krowy ograniczali się do gadania.

Josselyn podejrzewała, że brak zdecydowanych kroków zaczepnych wiąże się z odejściem Owaina z wioski. To on podniecał bitewnego ducha pobratymców, to on potrafił porwać ich za sobą do walki. Madoc był na to za stary. Owain wraz z trójką najbliższych przyjaciół odjechał z wioski w dzień, w którym ogłoszono małżeństwo Madoca z Josselyn, i odtąd ani razu nie widziano go w okolicy.

Jego nieobecność sprawiła Josselyn wielką ulgę. Syn Owaina, Rhys, zniknął wraz z ojcem. Madoc nie okazał zatroskania czy to losem syna, czy wnuka, żadnego zdenerwowania nie zdradzała również Meriel. Jednak pewnego wieczoru, gdy starzec nieźle sobie podpił, Josselyn podejrziała, jak pieszczotliwie gładzi mały drewniany mieczyk - starannie wyrzeźbioną miniaturkę rycerskiego oręza. Zdała sobie sprawę, że to zabawka. Być może należała do Rhysa. Kiedy Madoc zorientował się, że Josselyn go przytąpała, wyrzucił niedbale zabawkę na stertę odpadków, ale dziewczyna wyciągnęła ją stamtąd i troskliwie odłożyła do komody.

Czekając na męża w zachodzących promieniach słońca,

pochylała się nad szyciem i rozmyślała, jak zareaguje na niecodzienne nowiny. Czy będzie chciał ją zabić? A może zechce zabić dziecko? Ogarnięta przerażeniem, z trudem łapała oddech. Nie był chyba tak okrutny. To niemożliwe! Przycisnęła dłoń do brzucha, jakby w ochronie tłęcej się w nim iskiereki życia. Jej dziecko ... dziecko Randa.

Gdy koło chaty pojawiły się dwie kobiety, idące wolnym krokiem, Josselyn pochyliła się pilnie nad szyciem.

- Niecierpliwie wyglądasz małżonka? - spytała Meriel, siadając koło niej na ławie. Wytarła mokre ręce w fartuch. Miała palce powykęcane od domowej roboty, pokryte zaczerwienioną i spierzchniętą skórą.

- Mogę przygotować ci olejek do rąk z wyciągiem z perzu zaproponowała Josselyn.

Meriel parsknęła szyderczo.

- W dzisiejszych czasach lepiej nie kręcić się tam, gdzie rosną zioła. Madoc nie ucieszyłby się, wiedząc, że wybierasz się do lasu.

- A jeśli mu zaproponuję, żeby poszedł ze mną? - odpowiedziała Josselyn nieco bardziej uszczypliwie, niż zamierzała. W głosie starszej kobiety uchwyciła dziwną nutę, intrygancki ton, którego nie rozumiała i nie aprobowała.

- Ha! Madoc to nie mężczyzna, który jak ogłupiały miłością szczeniak włóczy się za spódnicą swej kobiety. To nie leży w jego naturze, i znam go dobrze. Urodziliśmy się w tym samym miesiącu. Nie jesteśmy rodzeństwem, tylko kuzynostwem, ale wychowywali nas jak brata i siostrę ... - Urwała i wstała z ławy. - Jesteś jego żoną, ale nie będzie podskakiwał, jak mu zagrasz.

Josselyn potrząsnęła głową.

- Nie chciałam męża, który podskakuje, jak mu zagram. Meriel spojrzała na nią z otwartą wrogością. Była to z jej strony najbardziej szczerą deklaracją uczuć, na jaką dotychczas się zdobyła. Dalszą rozmowę przerwał tętent końskich kopyt i w głębi doliny pojawił się Madoc. Josselyn wstała i ze zgrozą zorientowała się, że mąż prowadzi za sobą oddział bardziej liczebny niż eskorta, z którą o świcie opuścił wioskę.

Przy jego boku jechał Owain.

Nowiny rozeszły się po osadzie z szybkością błyskawicy.

Powrócił Owain! Okrutny, potężny Owain, który pewnego dnia stanie się ich wodzem i o którego względy wszyscy z tego powodu zabiegali. Powrócił Owain z trzema towarzyszami, z wiecznie naburmuszonym dzieckiem i z ładniutką, bardzo wystraszoną oblubienicą.

Madoc przypatrywał się bacznie przywitaniu Owaina z Josselyn. _ Moja pocziwa macocho. - Młody Walińczyk ujął wyciągniętą ku niemu dłoń i ucałował ją z szacunkiem, nie zdradzając ani głosem, ani uściskiem czy wyrazem twarzy irytacji lub gniewu. To niezwykle opanowanie zaniepokoiło ją bardziej niż dowody gwałtownej natury, które dotychczas okazywał. - Teraz jesteś babcią dla mojego syna. Rhys. - Popchnął ku niej odporne dziecko, mocno zaciskając palce na szczupłych ramionkach chłopca.

Malec nie zdołał dorównać ojcu w sztuce ukrywania uczuć.

Spojrzał na Josselyn ze wzburzeniem.

_ Powiedz tej dziewczusze Rhonwen, że jak ją znowu spotkam, potnę ją nożem na kawałki!

Owain dzielił go kułakiem i zaśmiał się, słysząc, jak

chłopiec rzuca niewybredne przekleństwo. Mały odwrócił się i uciekł, goniony szyderstwem ojca.

_ Pobiła go dziewczucha! Moi przyszli synowie nie będą takimi słabeuszami. - Z tymi słowami Owain przyciągnął do siebie milczącą dotąd kobietę. - Przedstawiam wam moją żonę Agathę.

Zgromadzeni wokół mieszkańcy wioski pomrukiem wyrazili zaskoczenie. Madoc był zadowolony z niespodziewanego ożenku syna, gdyż jego twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Znał mściwą naturę swego potomka. Może nawet obawiał się czasami odwetu syna, któremu zabrał oblubienicę?

W gruncie rzeczy trudno było mówić o "zabraniu" kogokolwiek, gdyż Josselyn sama podjęła postanowienie, że za żadną cenę nie poślubi Owaina. Ale ta okoliczność nie zmniejszyłaby gniewu młodego Walińczyka na ojca. Wszyscy doskonale o tym wiedzieli.

Być może nowa małżonka sprawiła, że się rozchmurzył i przebaczył urazę. Może jej czułe objęcia rozbroiły jego złość. Madoc z pewnością na to liczył.

- Witaj, Agatho. Jako żona mego syna jesteś moją córką. Josselyn, podejdź przywitać Agathę, twoją nową siostrę ... córkę - poprawił się szybko. - Wejdźcie wszyscy, urządzimy prawdziwą uroczystość powitalną dla syna i jego nowej żony - zwrócił się do zebranych.

Wieczór okazał się dla Josselyn wyczerpujący, gdyż mężczyźni poświęcili się zabawom, pozostawiając kobietom trud przygotowania jadła i napitków, a gdy ich panowie i władcy się posilali, one starały się utrzymać spokój i porządek - co im się, oczywiście, udawało jedynie do

pewnych granic. Podpici mężczyźni wdawali się w bójki, a ich kompani albo podbechtywali do walki zapalczywymi okrzykami, albo uspokajali celnie wymierzonym strumieniem zimnej wody z wiadra.

Josselyn zniosła wszystko. Pomyślała z nadzieją, że kto wie, być może znajdzie w Agacie, w tym biednym, zalęknionym dziecku, nową sojuszniczkę, gdyż przyłapała Meriel na tym, że łypie na nowo przybyłą ze źle ukrywaną pogardą. Kiedy Owain wezwał żonę, by do niego przyszła, pospieszyła skwapliwie do jego boku.

W miarę jak mijał wieczór Josselyn coraz ufniej patrzyła w przyszłość, spodziewając się, że jednak uniknie odwetu okrutnego Owaina. Ani razu na nią nie spojrzął, skupiając uprzejmą uwagę na ojcu i starszyźnie wioski. Cóż za ujmująca odmiana manier! Kiedy jednak wstał, przygarniając żonę do piersi w lubieżnym geście, który zdradzał jego bezpośrednie intencje, zebrani zauważyli, że wzrok młodego małżonka wędruje ku twarzy Josselyn.

- Należą ci się moje szczerze przeprosiny, słodka moja oblubienico, gdyż dzisiejszego wieczoru zbytnio cię zaniedbywałem. Mój smaczny kąsku. - Nie spuszczać wzroku z Josselyn, oblizwał powoli wargi. Nagle bez ostrzeżenia przerzucił sobie Agathę przez ramię, klepnął ją w pośladek, aż wokół rozszedł się odgłos soczystego uderzenia, i skierował się w górę schodów, ku rozbawieniu pozostałych uczestników biesiady.

- A chędoż ją tam dobrze!

- Spraw jej tęgiego chłopaka!

- Naucz ją, kto jest jej mężem!

Ich grubiaństwo sprawiło, że Josselyn żołądek podszedł do

gardła w nagłym przypiływie mdłości. Z rozmachem odstawiła niesiony właśnie z kuchni dzban i wypadła na dwór. Nikt nie zauważył, jak krztusząc się i stękając, pozbywa się wieczornej stawy w ciemnym kąciku ogrodu warzywnego. Nikt za nią nie pospieszył z troską, kubkiem wody i wilgotnym ręcznikiem, by mogła otrzeć wargi i przepłukać usta.

Nikt więc nie usłyszał tego, co słyszała ona: z okna na piętrze dochodziły chrapliwe męskie postękiwania i ledwie tłumione łkania nieszczęsnej młodziutkiej żony, którą Owain chędożył, zważając jedynie na swoją rozkosz.

Josselyn, odgadując źródło mimowolnie podsłuchanych odgłosów, zakryła dłońmi uszy i odeszła chwiejnym krokiem, potykając łzy. To mogło przydarzyć się jej. Dzięki Bogu, iż okazała się dostatecznie silna, by temu zapobiec.

Ale czy przez to Agatha nie cierpiała jeszcze bardziej. Czy to nie na niej Owain wyładowywał wściekłość do Josselyn?

Umknęła z ogrodu, płosząc pijaków i węszące wśród odpadków psy, potykając się w cieniu warzelnii o splecioną w miłosnym uścisku parę. Uciekała ślepo przed siebie, ale choćby biegła szybkością wiatru, nie mogła umknąć przed poczuciem winy i obawami, jakie ją wypełniły. Zatrzymała się dopiero za opłotkami i zdyszana, z twarzą zalaną łzami osunęła na ziemię pod drzewem.

Błagała Boga, by ją wyzwolił od życia w tej rodzinie. Nie chciała wydawać na świat dziecka w tym okropnym miejscu, wśród odstręczających ludzi.

Wtem jej uszu doszedł niewyraźny szelest, jakby czyjaś stopa potrafiła kamień na drodze. Josselyn przestraszona zerwała się na równe nogi.

- Aaa! Ależ ty się mażesz. Złamane serduszko? - usłyszała kpiący głos chłopięcy. Rhys! Nie wiedziała, czy czuć ulgę, czy lęk. - Słyszałaś, jak ją chędoży, i nie możesz tego znieść, co? - ciągnął chłopiec. - Lepiej się przyzwyczajaj, bo on może tak przez cały dzień. Chce jej zmaistrować bachora, zanim jego tatuńcio dąży z tobą - dodał, zadzierając do góry nos.

Współczucie Josselyn dla Agathy wzrosło jeszcze bardziej, gdy zdała sobie sprawę, że-wprawdzie niechcący i nieświadomie wyrządziła biedaczce krzywdę. Chwilowo wszakże nie mogła rozmyślać nad niedolą tamtej, gdyż musiała poradzić sobie jakoś z niesympatycznym synem Owaina.

- A czemuż to Owainowi miałoby na tym zależeć? I tak jest spadkobiercą Madoca, tak jak ty jego.

Rhys parsknął nieprzyjemnym śmiechem.

- Nie masz pojęcia o mężczyznach, a już na pewno nie o moim papciu.

- I on niewiele wie o kobietach - syknęła Josselyn.

- Bo i nie ma o czym! Gotują, szyją, rozstawiają nogi - zadrwił.

Starał się za wszelką cenę zranić jej uczucia okrutnym szyderstwem i pogardą - i Josselyn nie mogła zaprzeczyć, że mu się to udało. Jednak nie dopuści, by mały nad nią zatriumfował! Bzdury, jakie wygadywał, świadczyły jedynie o jego ograniczonym widzeniu świata. Poznawał go, mając tylko ojca za przewodnika, a ten spośród wszystkich mężczyzn, jakich dotychczas spotkała, najmniej się nadawał na mentora. Lecz teraz w jego rodzinnym domu pojawiła się Josselyn ... i Agatha. Bolejąc nad losem, jaki musiała znosić nieszczęsna żona Owaina, Josselyn postanowiła za wszelką

cenę zdobyć w niej powierniczkę i przyjaciółkę. Postara się też oswoić i udobruchać tego złośliwego brzdąca.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Zdaje mi się, że ojciec chce uczynić z ciebie równego sobie ignoranta. Gdyby żyła jeszcze twoja matka, zapewne dopilnowałaby, byś nie plótł podobnych bzdur. Jaka szkoda, żeby chłopiec wyrastał, nie wiedząc tego, co wiedzą inni ludzie, którymi w przyszłości ma rządzić.

Odwróciła się i odeszła, wcale nie będąc przekonana, czy udało jej się wyrzucić na nim jakieś wrażenie. Jej wędrowce do wsi towarzyszył strumień przekleństw i złorzeczeń, wykrzykiwanych cienkim głosem w ciemność nocy:

- Głupia suka! O niczym nie masz pojęcia! I nie jesteś moją mamą! Żadna baba nie będzie moją mamą!

- Powtórzyłeś to już drugi raz - szepnęła do siebie Josselyn. □ Bardzo chyba potrzebujesz matczynej miłości, skoro tak gwałtownie się przed nią bronisz. - Z tą myślą otworzyła drzwi domostwa Lloydów i weszła do izby jadalnej.

Madoc był zbyt pijany, by miała szansę z nim porozmawiać tego wieczoru. Następnego ranka obudził się w fatalnym humorze i odzywał do niej zgryźliwie, ale Josselyn uznała, że mąż musi się dowiedzieć o jej ciąży. Jeśli ma ją uderzyć, trudno, jakoś to ścierpi. Jeśli zechce odesłać ją do domu stryja ... Słodka Maryjo, jakże gorąco Josselyn modliła się o tę łaskę! Gotowa była przyjąć każdą karę z rąk męża, byle tylko zapewnić bezpieczeństwo nie narodzonemu jeszcze dziecięciu.

Poszła za Madokiem, gdy, jak zawsze o poranku, udał się do latryny. Kiedy się z niej wynurzył, podała mu kubek grzanego piwa i poprosiła, by przeszedł się z nią kawałek.

- Tylko na skraj łąki. - Uśmiechnęła się prosząco.
- Dziecko? - powtórzył, gdy zwierzyła mu się ze swego stanu.

Ściągnął brwi, wpatrzony w jej brzuch, jak gdyby szukał w nim prawdy. Powoli wykrzywił usta w nieprzyjemnym grymasie: □ Czy to bachor Owaina?

Josselyn odsunęła się o krok, przerażona samą myślą o tym.

- Nie! Nie! Jak mogłeś przypuszczać coś podobnego choć przez chwilę?

- Byliście razem wtedy, a ja ...

- Nie! - Przełknęła gwałtownie ślinę, walcząc z podchodzącą do gardła falą mdłości, jaką wywołał obraz Owaina robiącego jej to, co robił żonie. - Twój syn napawa mnie wstrętem - wykrztusiła, nie dbając o takt i uprzejmość. - Zawsze tak było. Dlatego odmówiłam związku z nim i wybrałam małżeństwo z tobą.

Madoc przeżuwał w zamyśleniu nowinę, ruszając miarowo szczęką. Zmrużył oczy, tknięty nową myślą.

- Czy ojciec dziecka wie?

Josselyn potrzaskała głową.

- Nie.

- A ty, czy wiesz, kto ci je zrobił?

Wstrzymała oddech. Co powinna powiedzieć? Nagle starzec uśmiechnął się ze złośliwym triumfem, rozciągając wargi na pożółkłych zębach.

- O tak, ty wiesz, kto to był. I ja też już się domyślam ... □ Uśmiech zniknął z jego twarzy, jak starty gąbką. - Ale prócz nas .nikt nie ma prawa wiedzieć. Rozgłoszę, że to ja je spłodziłem, i zapewnię mu ochronę jako mojemu prawowitemu potomkowi. Pod warunkiem, że nikomu nie

zdradzisz prawdy o jego pochodzeniu. To ja jestem ojcem, zapamiętaj!

Skinęła głową, zbyt zdumiona, by zdobyć się na odpowiedź. Wyobrażała sobie różne warianty tej rozmowy, ale nigdy nie domyśliłaby się, że zechce przyznać się do dziecka. Poczowała ulgę lak wielką, że ugięły się pod nią kolana, aż Madoc musiał złapać ją za rękę, by nie upadła. Przyłożył płasko rozpostartą dłoń do jej brzucha i przycisnął palce dostatecznie mocno, aby poczuła ich siłę. Choć' stary, nie był jeszcze zniedołężniały i miał krzepki chwyt.

- Chodź, żono. Wróćmy i rozgłośmy dobrą nowinę. Zawrócili do wioski. Madoc szedł sprężystym, pewnym siebie krokiem. Ona potykała się, próbując dotrzymać mu kroku. W cieniu wrót zatrzymał ją znienacka, przycisnął ciałem do futryny i zbliżył usta do jej ucha. Przechodzący obok mężczyzna zachichotał z uznaniem. Dwóch wyrostków wybuchnęło obleśnym śmiechem, po czym odbiegło w opłotki, by opowiedzieć innym o tym, co widzieli.

Ale Madoc nie miał zamiaru rozpoczynać miłosnych igraszek.

Cichym, lecz dobitnym szeptem zagroził:

- Ostrzegam cię, żono, byś dbała o to dziecko, które nosisz dla mnie w swoim brzuchu. Wiem, że biegle władasz niejedną obcą mową, ale mój potomek ma przemawiać tylko jednym językiem, tym, jakim mówi jego ojciec. - Podkreślił ostatnie słowa. - Żadnym francuskim narzeczem Normanów ani nieokrzesanym angielskim bełkotem. To dziecko nauczy się wyłącznie narzecza Walii albo pozostanie nieme.

Josselyn przełknęła z wysiłkiem ślinę. Serce tłukło się w

piersi bolesnym kołataniem. Jak gdyby lada chwila miało pęknąć z okropnego żalu ... Lecz wiedziała, jak musi brzmieć jej odpowiedź. - Tak, mój mężu. Zrobię, jak mi każesz.

- I tak będzie zawsze!

- Zawsze - odpowiedziała.

Rozdział dwudziesty drugi

Mieszkańcy Afon Bryn ponownie spędzili noc, świętując, choć tego wieczoru Madoc nie pił na umór, jak w czasie poprzedniej biesiady. Siedział przy stole z kielichem w ręku i pociągał od czasu do czasu drobny łyk; bacznie obserwował syna, ani na krok nie puszczając od siebie żony.

Josselyn nie rozumiała jego zachowania. Czemu gotów był przyznać się do ojcostwa dziecka, które spłodził inny mężczyzna? Żeby ocalić godność? Lecz w miarę upływu godzin zaczęła rozumieć. Madoc nie był jeszcze gotów zrzec się pozycji wodza swych ludzi, głowy rodu Lloydów. Dostrzegał rosnącą potęgę syna i uległość, jaką okazywali mu mieszkańcy osady. To, że Madoc mógł w podeszłym wieku spłodzić potomka, liczyło się jako dowód jego żywotności i wzmacniało jego pozycję jako przywódcy. A że udało mu się wyprzedzić Owaina, zanim ten zdążył zapłodnić swoją żonę, triumf był tym większy.

Madoc sęczył więc z umiarem, odpowiadając na liczne toasty kompanów i czule obejmował Josselyn, jak gdyby naprawdę była największą miłością jego życia. Patrzył na ponurą minę syna i radował się jego porażką.

Josselyn z ulgą przyjęła nieoczekiwaną reakcję męża na jej

zaskakujące wieści, lecz nie łudziła się, iż oto wszystkie jej kłopoty znalazły rozwiązanie. Nadal musiała brać pod uwagę uczucia Owaina. Ten człowiek nienawidził ojca, jej - a teraz

zacznie nienawidzić również i jej dziecka. Zadrzała. Chętnie wymknęłaby się z hałaśliwej sali w zacisze swojej izby, lecz Madoc uwięził jej leżącą na stole dłoń w żelaznym uścisku.

- Zostań - rozkazał.

Skłoniła głowę.

- Jestem straszliwie znużona, mój panie.

- Odtąd nigdy nie będziesz sama - zapowiedział jej szeptem, jednocześnie uśmiechając się szeroko i wznosząc kielich w kolejnym toaście ku jej czci. - Nigdy, rozumiesz? - podkreślił. Josselyn zebrało się na płacz. Czyż ma porzucić nadzieje na choćby chwilę samotności?

- Nie, nie rozumiem twego zarządzenia.

W odpowiedzi wstał i zwrócił się do zebranych:

- Wznieśmy toast na cześć mojego syna Owaina. Niech i jego starania z młodą żoną okażą się równie owocne jak moje!

Wszyscy wypili do dna, lecz Owain, zanim spełnił toast, bladymi oczami, pełnymi zawiści i furii, zdawał się na wylot przewiercać Josselyn. Pojęła, że oto ma przed sobą człowieka oszalałego z gniewu i upokorzenia. Lecz trwało to tylko przez mgnienie oka, po czym młody Walińczyk zaśmiał się, wypił i zaczął opowiadać o swoich miłosnych dokonaniach, jak to napęłnił żonę nasieniem trzy razy w trzech różnych miejscach.

Biesiadnicy ryknęli śmiechem.

- Być może właśnie w tym leży powód zwłoki - zażartował Madoc.

Josselyn nie pojmowała rubasznych dowcipów, lecz w pełni doceniła ostrzeżenie męża. Nigdy nie ośmieli się zostać sama, gdyż ojciec nie ufał własnemu synowi. Czy rzeczywiście można było się po nim spodziewać, że narazi zdrowie i życie żony ojca?

Josselyn zaśmiała się gorzko w myślach, wyrzucając sobie naiwność i głupotę. Owain bez chwili wahania naraziłby życie jej i nie narodzonego dziecka. Przeniknął ją zimny dreszcz lęku. Kto wie, czy zawahałby się przed zabiciem własnego ojca?

- Czy teraz rozumiesz? - powtórzył Madoc, siadając. Skinęła głową.

- Tak.

- Jeżeli pragniesz urodzić zdrowe dziecko, nie lekceważ mojego ostrzeżenia. - Położył pięść na jej dłoni. - Nie pozwolę ci więcej na takie igraszki.

Tym razem śmiało spojrzała mu w oczy.

_ Znam obowiązki żony - oświadczyła. - Nie jestem kobietą, która lekceważy własne słowo honoru. Pamiętam, że przysięgałam ci wierność małżeńską.

_ To dobrze. - Ujął ją pod brodę i wycisnął soczystego całusa na policzku.

Goście ponownie ryknęli śmiechem aprobaty, a Josselyn po raz

kolejny poczuła odrazę do ich nieokrzęsanych manier, lecz wie □ działa, że nie ośmieli się zamanifestować niechęci. Z przymusem, acz umiejętnie grała rolę, jaka została jej przeznaczona. Jak przystało skromnej niewieście, pochyliła głowę na pierś małżonka i w tej pozycji przeczekwała falę śmieszków i drwinek.

Doskonale pojmowała, czego Madoc od niej oczekiwał w zamian za to, że jej nieślubne dziecko będzie miało ojca. Zrozumiała, że nie tylko ona stała się pionkiem w zażartej rozgrywce o władzę, jaką prowadzili między sobą ojciec i syn, lecz wciągnęła do tej walki nie narodzone jeszcze dziecko.

Rozumiała też, iż Madoc ma znikome szanse wygranej. Czas pracował na korzyść Owaina. A gdy wreszcie młody spadkobierca Lloydów dojdzie do władzy ... Josselyn musi się przygotować na tę chwilę. Jeszcze nie wiedziała, co wtedy zrobi, ale powinna zawczasu ułożyć jakiś plan.

Zakryła dłonią brzuch. Musi myśleć o przyszłości - nie miała innego wyboru.

Rand obserwował codzienną lekcję fechtunku Jaspera. Chłopak używał miecza z godną pochwały swobodą. Każdego kolejnego dnia poprawiał styl i zwiększał liczbę trafnych pchnięć, był coraz groźniejszym przeciwnikiem w turniejowych rozgrywkach szermierczych, a i walka wręcz szła mu nie najgorzej, jeśli się wzięło pod uwagę pięć lat nieróbstwa, spędzonych pod opieką księży, w otoczeniu mnichów i nowicjuszy zakonnych.

Jasper i Alan, który już wydobrzał z ran zadanych ręką Owaina, dotrzymywali sobie zawsze towarzystwa: razem ćwiczyli, pili i razem swawolili. Rand zmarszczył czoło i podrapał się w brodę.

– Chłopak zrobił wielkie postępy - rzucił Osborne znad pustego kufla.

Raud niechętnie przytaknął.

- Umie walczyć.

- Nie jesteś zadowolony? Czegóż więcej od niego oczekujesz?

- Owszem, posiadał w zadowalającym stopniu umiejętności, jakie wypada opanować mężczyźnie, ale nie wkłada w nie serca. Nie mów, że tego nie widzisz.

- Ma zaledwie osiemnaście lat.

- Niczego nie bierze poważnie. Na placu ćwiczebnym bawi się tylko, a nie zaprawia do przyszłego boju.

- Sam więc stań przeciw niemu i zmuś go, by zaczął traktować walkę poważnie.

Rand rzucił przyjacielowi gniewne spojrzenie.

- To nie byłoby rozsądne.

- Czemu?

Krew zawrzała w żyłach Randa długo tłumioną wściekłością.

Musiał przez całe to parne, ciągnące się bez końca lato ukrywać uczucia, lecz pod przykrywką doskonałego spokoju na twarzy w jego sercu kłębiły się niezbyt chwalebne emocje.

Nie zawsze był w stanie całkowicie je ukryć. Dwa razy wybuchnął straszliwą furia, dwa razy w przypiływie szału rozlał krew mężczyzny, z którym walczył. Gdyby tym razem stanął przeciw bratu, w którym upatrywał źródło trapiącej go wściekłości, sprawy mogłyby się skończyć tragicznie.

- Obawiam się, że mógłbym go zabić. Os borne potrzęsnał głową.

- Jest lepszy, niż myślisz.

- To by tylko pogorszyło sprawę.

- Nie może być gorzej, niż jest! - wybuchnął dowódca straży.

- Od chwili jego przybycia kipisz z ukrywanej wściekłości. Mówisz, że to z powodu Owaina, ale naprawdę to Jasper budzi w tobie złość. Czemu? Dlatego, że musiałeś oddać Josselyn, by go ocalić? Słodki Jezu! Człowieku, to była tylko kobieta! Znajdź sobie inną!

- Jasper nie powinien był wpaść w pułapkę Owaina. Gdyby miał się na baczności, gdyby poważnie traktował swoje obowiązki, rozbroiłby Owaina i przybył na Rosecliffe bez szwanku!

Obaj mężczyźni stali naprzeciw siebie sprężeni do skoku, z zaciśniętymi pięściami. Po drugiej stronie podwórca Alan i Jasper nadal krzyżowali miecze, niebacznym na to, co się wokół nich dzieje. Dźwięczał metal, kiedy uderzały o siebie ostrza. W powietrzu rozlegały się stęknienia i przyjacielskie przytyki. Po długiej chwili Osborne ciężko sapnął, jakby wypuszczając nagromadzone w nim napięcie.

- Jeśli nie wyładujesz gniewu na placu ćwiczebnym, musisz uczynić to w jakiś inny sposób. - Podparł się pięściami pod boki. □ Potrzeba ci kobiety. Wszyscy potrzebujemy kobiet. Co powiesz na wyprawę do Chester? Możemy kupić tam kilka nierządnic. Mężczyźni chętnie popracują przy budowie domu, w którym mogłyby zamieszkać.

Burdel! Rand zamierzał właśnie postawić kaplicę ... lecz to prawda, jego ludzie potrzebowali kobiet i burdelu bardziej niż domu bożego. Bolesnie odczuł ironię tego dylematu. Na święte relikwie! Odkąd tu przybył, nic nie szło po jego myśli.

Pokój? Mrzonka głupca. Namietność? Przelotna igraszka.

Zaspokojenie? Obawiał się, że nigdy go nie zazna.

Zacisnął zęby, tłumiąc czarną rozpacz. Pokój potrafił

utrzymać choćby orężem. Namietność ugasi w burdelu. Zaspokojenie ... Spojrzał niewidzącymi oczami przez podwórzec. Jasper i Alan skończyli fechtunek i stali oparci o miecze, spoceni i uśmiechnięci, zupełnie jak on i Osborne przed laty, gdy byli młodsi i weselsi. Być może dowódca straży miał rację: może da się wyszkolić Jaspiera na władcę na zamku Rosecliffe, a on, Rand, powróci do Londynu.

Być może jeszcze znajdzie w życiu zaspokojenie i zadowolenie. Skłonił głowę na znak zgody, widząc, że Osborne czeka na odpowiedź:

- Jedź więc do Chester i wyszukaj nam kobiety. Ale uważaj, aby nie było wśród nich białek szukających okazji do zamążpójścia. Nie chcę, żeby moi ludzie zaczęli bić się między sobą o prawo wyłączności. Znajdź kilka doświadczonych w swym fachu nierządnic, które nie ukrywają się pod płaszczkiem cnoty - dodał, mając w pamięci wspomnienie niewinności, która tak okrutnie go zwiodła. - Pamiętaj, żebyś tego przypilnował- zakończył tyradę i odwracając się plecami do przyjaciela, odszedł do roboty, którą musiał zakończyć, zanim odda ster w ręce Jaspiera.

Zamek Rosecliffe - przekleństwo ciążyące nad jego życiem!

Przyczyna wszystkich niepowodzeń. Choćby mury rosły w tempie błyskawicy, dla niego byłoby to i tak zbyt opieszale. Lecz fortyfikacje rzeczywiście wznosiły się coraz wyżej i widok ten był jak balsam na zbolełe serce rycerza.

Na skalistym gruncie odcinały się już wyraźnie zarysy fortecy, jak ją nakreślił na pergaminie sir Lovell, mistrz budowniczy. Gładka ściana wewnętrzna bastionu sięgała już do piersi rosnącego mężczyzny, choć mur zewnętrzny nie

wszędzie jeszcze dorównywał jej wysokością. Między dwa kamienne zręby robotnicy przez całe dni sypali stosy gruzu i odłamków skalnych przywożonych całymi wozami z pobliskich kamieniołomów. W lecie dni były dłuższe, budowniczowie wykonywali więcej pracy, zwiększyły się też odpowiednio nagrody, jakie oferował im Rand. Gdy już wzniosą mury na wysokość głowy i z nadejściem zimy, zmuszeni przerwać prace, przykryją konstrukcję słomą, będą mogli zająć się wznoszeniem własnych domostw na działkach, które przydzielił pod budowę osady miejskiej. Obietnica domów, połączona z zapowiedzią przybycia statku, który z nadejściem wiosny przywiezie ich rodziny, brzmiała jak najśłodsza muzyka w uszach tych z jego ludzi, którzy zostawili w Anglii żony i dzieci. Na Rosecliffe wrzało jak w ulu. Sir Lovell całe dni biegał tu i tam, zrzedząc i pokrzykując, bardzo zadowolony z postępów swego dzieła. Rand też czuł pewne zadowolenie, patrząc na wyniki mrówczej pracy robotników, lecz problemy wodza były większe niż kłopoty jego mistrza budowniczego. Musiał dopilnować zaopatrzenia w materiały i zapasy żywności, zadbać o bezpieczeństwo robotników i zorganizować obronę na wypadek ataku. Walijszczyki nadal stanowili dla przybyszów na Rosechffe zagrożenie. Co prawda, jak dotąd, nie przypuścili zmasowanego ataku na rosnące zręby zamkowych fortyfikacji. Rand zastanawiał się czasami, czy kiedykolwiek zdecydują się wydać im otwartą bitwę. Tymczasem przebiegli przywódcy oddziałów walijskich nękali Anglików wypadami, które, choć nie tak groźne, stanowiły utrapienie. Dwóch kamieniarzy padło od strzał wypuszczonych z ukrycia. Ponownie podłożono ogień, choć

tym razem nieprzyjaciel nie zniszczył żadnej łodzi ani budynku. Wykazał się większym sprytem i w największe upały zaproszył ogień na wysuszonej słońcem łące, z której Rand miał nadzieję zebrać siano na zimową paszę dla koni i bydła. Całe zbiory szezły z dymem.

Polowanie w pobliskich lasach też stało się ryzykownym zajęciem, a myśliwi przynosili coraz mniej zdobyczy. Alan znalazł ślady obcych, którzy tu polowali. Walijszczy najwyraźniej skoncentrowali na tych obszarach swoje myśliwskie wyprawy i udało im się wytrzebić zwierzynę w bezpośredniej okolicy Rosecliffe. Lecz nie byli w stanie zlikwidować innego źródła, z którego Anglicy czerpali zapasy jada. Choć Rand czuł już obrzydzenie na sam widok ryb, przynajmniej ich było pod dostatkiem. Morze ich pożywi, choćby wróg odciął wszelkie inne drogi.

Wolałby wprowadzić urozmaicić monotony jadłospis. Poleciał myśliwym wypuszczać się dalej w większych grupach, biorąc ze sobą przynajmniej jednego śmigłego rumaka, by móc w razie potrzeby posłać po pomoc do obozu.

Westchnął i skierował wzrok ponad mury zamkowe, ogarniając oczami niezmiernie poławie pięknej krainy lasów i wzgórz. Jego spojrzenie padło na dolmen, symbol wszystkiego co walijskie, i poczuł przemożną chęć zniszczenia tego miejsca, rozrzucenia kamieni w stos gruzów, których użyłby następnie do budowy fortyfikacji twierdzy.

_ Niczego w ten sposób nie zmienisz.

Nie był zaskoczony, usłyszawszy słowa wypowiedziane przez Newlina. Jak małemu człowieczkowi udawało się

zawsze zbliżyć niepostrzeżenie, jak odczytał myśli innych ludzi? Rand już dawno przestał się nad tym zastanawiać. Wystarczało mu wiedzieć, iż bard to potrafi. Ponownie westchnął i zwiesił ramiona.

_ Nie masz powodu do obaw. To była tylko przelotna myśl
□ milczał przez chwilę, po czym dodał: - Szalona myśl obłąkanego człowieka.

Stali obok siebie w milczeniu. Wokół nich wrzał zgiełk budowy.

Głośno skrzypiały drewniane koła wozów, głucho dźwięczały skalne bloki, gdy robotnicy przypasowywali nowe do sąsiednich; nie ustawał ani na chwilę zgrzyt narzędzi kamieniarskich szlifujących głazy. Robotnicy pracowali tu dopiero od pół roku, a już poczynili olbrzymie zmiany w otoczeniu.

_ Ziemie, które uznałeś za swoje, kryją w sobie więcej niż ten skalny płaskowyż, który wybrałeś na swoje gniazdo ... choć i on jest piękny w swej dzikości. - Newlin zawiesił spojrzenie zdrowego oka na twarzy Randa. - Są na nich wioski i góry, są miejsca nie tknięte ludzką stopą i gwarne osady, są jarmarki i weseliska.

Jarmarki? Rand podrapał się w zamyśleniu w podbródek. Musi zgolić zarost, w przeciwnym razie zacznie przypominać brodatego Szkota. Nie do końca pojmował ukryty sens słów barda, lecz- o dziwo - mu ufał.

- Czy w pobliżu jest jakiś targ, gdzie mógłbym kupić zapasy za angielskie pieniądze?

Rand i Osborne pod eskortą dziesięciu starannie dobranych żołnierzy pojechali do Llangarn. Byli uzbrojeni po zęby, lecz wyprawili się w pokojowych zamiarach. Doroczny jarmark

był organizowany przez opata zakonu w dzień świętego Ebbego, patrona tutejszego klasztoru. Oczywiście dla wyboru daty jarmarku nie bez znaczenia było to, że przypadał tuż po żniwach, dzięki czemu mnisi mogli zaopatrzyć opactwo w zapasy na zimę na miejscu, zamiast wysyłać wozy do odleglejszych miast. Dla wielu mieszkańców dzikich wzgórz północnej Walii jarmark pod wezwaniem świętego Ebbego był jedyną okazją w roku do zerwania z obowiązującą w pozostałe miesiące monotonią sześciu dni pracy i dnia adoracji Boga, do wybrania się do Llangarn i ucziwej zabawy. Ich codzienne życie nie dopuszczało odstępstw od rutyny: sześć dni harówki, jeden dzień modlitw ... ale dzień świętego Ebbego był wyjątkowy. Na trawiastej równinie rozciągającej się wzdłuż rzeki zebrała się liczna gromada kupujących i sprzedających, jarmarcznych kuglarzy i gapiów. High Road, główny szlak podróży, przecinał teren targów, dzieląc go na dwie części: zgrzebne tkaniny, żywiec i statki gospodarcze trzymano na straganach bliżej rzeki, bardziej wyrafinowane zakupy można było poczynić u kupców, którzy rozkładali towary pod murami opactwa.

Gdy angielski orszak zbliżał się drogą, Rand ogarnął okiem rozciągający się przed nimi widok. Nie umknęły jego uwagi ponure spojrzenia rzucane im spode łba przez mijanych Walińczyków ani grymas strapienia na twarzach kobiet i pełne ciekawości oczy rozbieganej dziatwy. Liczył na to, że skoro w jarmarku brało udział tak wiele niewiast i dzieci, walijscy mężczyźni będą skłonni zachować się pokojowo, chyba że zostaną sprowokowani do walki. A tego nie miał zamiaru czynić.

W tłumie podniosły się głosy niepokoju, z ust do ust podawano słowa ostrzeżenia, ucinając ożywione rozmowy, którymi do tej pory rozbrzmiewał plac targowy. W tłumie zapadła nienaturalna cisza, przerywana jedynie chrząkaniem oswojonego niedźwiedzia i pokrzykiwaniem jego opiekuna i tresera. Rand słyszał poszczekiwanie psów i bolesne porykiwanie zwierzęcia. Przez ludzką ciżbę przedarła się w pośpiechu trójka mnichów zakutanych w brązowe habity, najwyraźniej strapionych niespodziewanym przybyciem Anglików i pragnących za wszelką cenę utrzymać spokój. Rand rozluźnił napięte mięśnie barków. Miał rację, przyjeżdżając tutaj. Wszystko będzie dobrze.

Początkowo mnisi towarzyszyli angielskim przybyszom w wędrownce między straganami, nie oddalając się od nich na krok. Rand zamierzał kupić wyroby walijskie i znalazł to, czego szukał: dwie beczułki soli, beczkę miodu i trzy trzcিনowe kosze do łapania ryb. Nabył też tuzin wołów, cztery tuziny kur, dwa koguty i parkę szczeniąt, które dopiero co odłączono od matki. Dwa wozy szybko wypełniły się towarem, a im więcej kupował, tym przychylniej spoglądała na niego jarmarczna gromada - choć trudno byłoby mówić o przyjaznych uśmiechach!

Targ wnet zakipiał zdwojoną wrzawą, kuglarze od nowa podjęli swe sztuczki, niewielki tłumek skupił się wokół rodziny wędrownych akrobatów. Wśród gapiów było też kilku żołnierzy z angielskiego orszaku. Nieopodal popisywał się połykacz ognia, otoczony zacichłą z przejęcia i zadumienia widownią. Trzech świątobliwych mężów odstąpiło od pilnowania Randa i jego eskorty, nabrawszy pewności co do pokojowych intencji przybyszów i tubylców,

ufni, że żadna burda ,nie zakłóci dnia, który przynosił im największe zyski w roku.

_ Nie jest tu inaczej niż na angielskim jarmarku - zauważył Osborne, łakomym okiem spoglądając na tacę z pasztecikami nadziewanymi mięsem, nad którymi unosiła się w chłodzie jesiennego popołudnia smakowicie pachnąca para. Po chwili wszakże do głosu doszedł ponownie dowódca straży. - Robi się coraz później. Musimy się zbierać do drogi, chyba że rozłożymy obóz pod murami klasztoru. Co powiesz, Rand?

Lecz przyjaciel go nie słuchał, wpatrzony w grupkę dopiero co przybyłych konnych. Siedmiu mężczyzn, dwie kobiety - a jedną z nich była Josselyn.

Rand kurczowo ściągnął lejce wierzchowca; zwierzę posłusznie się cofnęło, nieomal przewracając stojący z tyłu stół zbity z prostych desek, zarzucony belami rozmaitych tkanin.

- Hej! - krzyknął ostrzegawczo bławatnik.

- Przepraszam najmocniej - rzucił Rand. - *Esgusodych fi.* _ Miał nadzieję, że prawidłowo zapamiętał walijskie wyrażenie. Odruchowo pokierował konia do przodu. Jadąc tu, wiedział, że może natknąć się na Madoca ap Lloyda czy Owaina. Dlatego zostawił Jaspera na Rosecliffe. Gdyby sam zginął w walce, brat zakończyłby jego dzieło. Ani przez chwilę jednak nie przeszło mu przez głowę, że może spotkać Josselyn.

W gruncie rzeczy nie miało to jednak żadnego znaczenia. Wysunął do przodu podbródek w geście determinacji. Cóż,

żona towarzyszy mężowi na jarmark. Nagle poczuł niepojęty gniew skierowany do dziewczyny i gwałtownie obrócił konia w miejscu. Jeszcze nie złożył młodej parze gratulacji z okazji ślubu.

- Chodź - rozkazał Osborne'owi. Pojechali wprost przez tłum ku kobiecie, którą nadal widywał w snach, i ku jej mężowi, który z racji podeszłego wieku mógł być jej ojcem.

Josselyn ujrzała Randa na długo przedtem, zanim spostrzegł go jej mąż. W pewnej chwili bowiem, idąc za podszeptem wewnętrznego głosu, podniosła głowę - i poczuła zamęt w sercu. Ogarnęła stęsknionym wzrokiem dawnego kochanka. Piła oczami nieskazitelny męski profil, podziwiała lekkość, z jaką kierował potężnym rumakiem. Gdy podjechał bliżej, ujrzała zmęczoną twarz i nowe zmarszczki wokół ściągniętych ust. Zbrązował od słońca i wysechł od ciężkiej pracy. Dochodziły ją słuchy, że mury warowni rosą nieprzerwanie, że ludzie Randa pracują od świtu do zmierzchu, a często i nocą przy świetle pochodni, a ich wódz daje najlepszy przykład niestrudzonym wysiłkiem.

Słyszała też, że przywiózł dla swoich mężczyzn kobiety lekkich obyczajów; niewątpliwie sam korzystał z ich usług. Oczywiście, nie powinno to mieć dla niej żadnego znaczenia, choć na tę wieść poczuła w piersiach ukłucie oburzenia ... jak przystało uczciwej niewieście. Że też się nie wstydził!

Sądząc po zaciętym wyrazie jego twarzy, myśl o wstydzie ani mu nie powstała w głowie.

Madoc wojowniczym gestem dłoni spiął wierzchowca i wysunął się do przodu, zasłaniając Josselyn przed okiem

nadjeżdżających.

Tuż za nim podążył jej stryj. Rand wstrzymał konia w tej samej chwili, w której i Owain ściągnął cugle rumaka.

Na placu targowym ponownie zapadło milczenie, zataczając coraz szersze kręgi, aż ucichły nawet okrzyki zapaśników na pobliskim ringu, i tylko gdakanie kur przerywało martwą ciszę ludzkiego zbiorowiska.

Nesta przybliżyła swego konia do boku Josselyn i wyciągnęła do dziewczyny opiekuńczą dłoń. Miała poczciwe intencje, ale w tej chwili nikt na świecie nie potrafiłby dopomóc szarpanej emocjami Josselyn. Młoda Walijska spoglądała na Randa głodnym wzrokiem, chłonąc każdy szczegół jego postaci. Jakiś czas temu uznała, że wreszcie udało jej się wymazać go z pamięci, lecz ta chwila dowiodła, jak bardzo się myliła. Widząc Anglika, zapragnęła go od nowa. Cóż z tego, skoro on nigdy nie odwzajemniał siły jej pragnienia!

Już odwracał się od niej, kierując pierwsze słowa do Madoca ap Lloyd:

- Gratulacje z okazji ożenku - wypowiedział starannie w walijskiej mowie.

Madoc popatrzył na niego zimno.

- Czy my się znamy?

Clyde przejął inicjatywę:

- To angielski wódz, Randulf Fitz Hugh. Panie Fitz Hugh, oto Madoc ap Lloyd, mąż mojej bratanicy.

Josselyn zacisnęła wargi, zachowując ponure milczenie. W tej chwili Madoc nie zniósłby, żeby się wtrącała. To spotkanie było sprawą mężczyzn, a nie kobiet - choć ona osobiście uważała w głębi duszy, że w dużym stopniu

dotyczyło jej osobiście. Jej życie służyło za kartę przetargową w rozgrywce trzech mężczyzn, którzy mierzyli się oto wymownym wzrokiem, jej pozostawiając jedynie przywilej milczącej obecności.

Madoc przesunął się kawałek, by zająć bardziej strategiczną pozycję. Wykrzywił usta w niechętnym uśmiechu.

- Przyjmuję wasze gratulacje, panie. Zapewne nie wiesz wszak, iż jest powód, byś mi pogratulował czegoś więcej?

Josselyn na chwilę przestała oddychać. Nie - to niemożliwe!

Chyba nie zamierzał teraz się pochwalić? Nie mógł być aż takim głupcem!

Madoc łypnął ku niej kątem oka, jak gdyby usłyszał nieme błagania. W jego wzroku Josselyn odczytała ostrzeżenie.

Czuła,

jak Nesta ścisła jej dłoń mocniej, bez słów przypominając młodej niewieście o konsekwencjach mężowskiego gniewu.

Josselyn nie mogła nic przedsięwziąć, by zmienić zamysły Madoca. Zachowała więc milczenie, którego od niej oczekiwano, choć serce omal nie wyskoczyło jej z piersi z żalu i bólu. Ze spuszczoną głową bezradnie słuchała, jak mąż chwali się przed Randem:

- Moja żona jest brzemienna.

Nie usłyszawszy odpowiedzi Anglika, Josselyn ośmieliła się podnieść głowę i spojrzeć na niego. Madoc powtórzył chętnie: - Żona urodzi mi dziecko! - Spoglądając pogardliwie na rycerza, rzucił ku swoim: - Głupi Anglik. Nic nie rozumiał!

Mylił się wszakże, gdyż Rand dobrze rozumiał jego słowa.

Josselyn była brzemienna. Nie pojmował tylko, skąd wziął się w jego sercu nieznośny ból, poczucie ogromnej straty,

które go niemal sparaliżowało. Josselyn - brzemienna z tym starcem?

A może dziecko było jego?

Rzucił przenikliwe spojrzenie na wciąż smukłą talię Josselyn siedzącej na grzbiecie jabłkowitej klaczy. Czy to możliwe, że jest ciężarna? Jej figura nie zdradzała tego stanu. A może dopiero niedawno się o tym dowiedziała? Rozstała się z nim przed czterema miesiącami. Gdyby to było jego dziecko, z pewnością ciąża byłaby bardziej zaawansowana.

Przeniósł spojrzenie z talii na nieruchomą twarz dziewczyny i poczucie utraty zamieniło się w gorycz. Zwrócił się do Madoca, ponownie przemawiając w walijskim narzeczu:

- Miejmy nadzieję, że twój i mój potomkowie będą żyć ze sobą w pokoju. - Skinął wszystkim głową i odjechał.

Josselyn patrzyła za nim. Nie wydała ani jednego dźwięku, nie zrobiła żadnego ruchu, nie chcąc zdradzić swoich uczuć. W duszy płakała wszak rzewnymi łzami. Oto Rand dowiedział się, że będzie z nim miała dziecko - i nie okazał ani śladu wzruszenia!

Madoca aż zatkało od uciechy, jaką sprawiło mu ogłoszenie nowiny, o której dotychczas nie wiedzieli ani Clyde, ani Nesta. Wszyscy dokoła uśmiechali się radośnie, ciotka przechyliła się na koniu, by uściskać krewną, a Clyde potrząsnął prawicą starego Lloyd'a.

Josselyn z uśmiechem odpowiadała na zatroskane pytania Nesty i przyjmowała potakiwaniem głowy jej liczne rady. W myślach jednak nie przestawała łkać. Aprobując zakupy, jakie czynił mąż, sama rzuciła kilka słów na temat przypraw, których im brakowało, i tkanin na nowe ubrania dla

domowników oraz wybrała kilka przedmiotów do gospodarstwa. Lecz za wyrazem kamiennego spokoju na twarzy jej dusza spływała łzami.

Dopiero wieczorem, gdy leżała w łóżu, ośmieliła się pofolgować nieco przepelniającym ją uczuciom. Przez długie godziny minionego dnia trzymała je na wodzy, poruszała się, odzywała i zachowywała jak każdego innego dnia, teraz mogła wreszcie otworzyć się i sama przed sobą wyznać udrękę serca.

Cóż z tego przyzwolenia! Łzy, wstrzymywane tak długo, nie chciały popłynąć. Prawie nie mogła odetchnąć przez ściśnięte gardło, aż obawiała się, że zadławi się na śmierć. Leżała w łóżu wstrząsana suchym łkaniem, zastanawiając się, jak zdoła przeżyć choćby najbliższe miesiące, nie mówiąc już o całych latach, które po nich przyjdą ... pustych i pełnych zgryzoty.

Dziecko Josselyn urodziło się w samym środku szalejącej burzy. Ciemnooka dziewczuszka z całkowicie bezwłosą maleńką czaszką była drobnutkim, choć donoszonym noworodkiem. Josselyn, która nabrała doświadczenia, asystując przy licznych porodach, wiedziała, że kruchość niemowlęcia to zły znak. Pocieszała się, że jest prawidłowo ukształtowane. Miało śliczną twarzyczkę i niewinną duszyczkę, a Josselyn pokochała je od pierwszego wejrzenia. Przez długie zimowe miesiące poprzedzające rozwiązanie Josselyn błąkała się po domu Madoca osłabiona i niespokojna. Obecność Owaina nie poprawiała jej samopoczucia. Dobrego humoru nie przyczyniało jej też zachowanie i wygląd Agathy, świadczące o brutalnym

traktowaniu przez nieczułego męża. Czujne spojrzenia Meriel, śledzącej ją ukradkiem, lecz bez chwili wytchnienia, sprawiały, że Josselyn czuła się jak złapana w potrzask zwierzyna, a jej cierpienie powiększały jeszcze nieustanne przechwałki Madoca. Czasami myślała, że stary Walijczyk sam uwierzył w swoje ojcostwo. Poczęła źle znosić wizyty męża w jej sypialni, które składał z regularnością zegara, lecz teraz zdarzało się, że również z wznowionym zapalem. Przeważnie co prawda do niczego nie dochodziło, ale trzykrotnie próbował ją wychędożyć ... za każdym razem bez skutku.

Przy ostatniej próbie, jak zwykle nieudanej, Josselyn źle ukryła uczucie ulgi, gdyż mąż zdzielił ją boleśnie w twarz, aż stoczyła się pod łożo. 'Przez ponad tydzień miała na policzku ślad w postaci olbrzymiego siniaka, lecz wydarzenie miało swoje dobre strony, gdyż Madoc zarzucił wreszcie swoje beznadziejne wysiłki.

Prawie z ulgą przyjął wiadomość, że urodziła dziewczynkę. W przypadku dziecka płci żeńskiej kwestia ojcostwa traciła bowiem na znaczeniu. Od chwili narodzin mąż nie okazywał najmniejszej uwagi ani Josselyn, ani niemowlęciu, któremu dała na imię Izolda.

Agatha zaszła w ciążę jesienią, lecz poroniła, zanim było widać, że jest brzemienna. Nie powiedziała o niczym Owainowi, ale gdzieś się o tym dowiedział i ostro zbeształ żonę.

Oczywiście, donosicielką była Meriel. Starsza kobieta stawiała się z dnia na dzień coraz bardziej zamknięta w sobie i czujna. Kiedy spodziewała się, że Owain poślubi Josselyn, dawała do poznania, że ceni sobie jej towarzystwo, lecz z

chwila, gdy dziewczyna wyszła za Madoca, sprawy przybrały inny obrót. Meriel odtrącała ją za każdym razem, gdy młoda kobieta starała się z nią zaprzyjaźnić. Mimo urazy, Josselyn próbowała ją zrozumieć. To przecież Meriel przez tyle lat prowadziła Madocowi gospodarstwo. Teraz zaś musiała się pogodzić z tym, że straci swoją pozycję na rzecz Josselyn. Potem na domiar złego pojawiła się Agatha. Madoc po pijanemu nazwał kiedyś swoją leciwą klucznicę "starą wiedźmą kuzynichą" - Josselyn aż ścisnęło się serce, gdy ujrzała bolesny skurcz na twarzy Meriel. Lecz gdy podeszła z wyrazami pociechy, kobieta odepchnęła ją szorstko i kazała nie wtykać nosa w nie swoje zmartwienia. Josselyn sama czuła się wówczas zbyt nieszczęśliwa, by ponawiać wysiłki przełamania lodów.

Teraz już nie była zupełnie sama - miała przynajmniej Izoldę.

Modliła się gorąco o przeżycie córeczki. Tak wiele dzieci umierało wkrótce po urodzeniu! Wpatrzona w śpiące maleństwo, otulone w ciepły kocik w kołysce przysuniętej do ognia, sprawdzała, czy oddycha.

- Izolda? - Bojaźliwie dotknęła palcem miękkiego policzka i odetchnęła z ulgą, gdy niemowlę odruchowo ułożyło usteczka jak do ssania. Natychmiast poczuła osobliwe swędzenie w wezbranych mlekiem piersiach. Ale dziecko potrzebowało snu. Gdy zgłodnieje, obudzi się sama, a tymczasem Josselyn musiała przynieść do izby misę ze świeżą wodą.

Właśnie było południe. Pan domu chrapał rozgłośnie na wygodnym krześle w głównej sali jadalnej. Nigdzie nie było śladu Owaina ani Agathy. Przy jedynym oknie w komnacie

siedziała Meriel, zszywając podarte nogawice spodni Madoca, Właściwie to Josselyn powinna zatroszczyć się o odzież małżonka, ale wiedziała, że lepiej nie wtrącać się do poczynąń Meriel. W gruncie rzeczy zresztą wcale tego nie pragnęła - Madoc, nieczuły egoista, myślący tylko o sobie, niewiele był lepszy od Owaina. Jeśli jego kuzynka tak bardzo chciała mu się wysługiwać, Josselyn nie miała nic przeciwko temu.

Kobiety nie zamieniły ani słowa. Josselyn napełniła wodą wiadro i stąpając z wysiłkiem, zaczęła dźwigać je w górę schodów. Mimo wszystko wciąż czuła wyrzuty sumienia. Powinna bardziej się starać zacieśnić przyjaźń z Meriel. Biedaczka starzała się w samotności, nie mając nawet córki, która mogłaby się nią zaopiekować.

Josselyn postawiła wiadro na podłodze przed drzwiami sypialni i potarła obolałe plecy. Jeszcze nie tak dawno temu była silną dziewczyną! Czemu czuje się taka słaba? Nagle usłyszała jakiś hałas w swojej izbie. Znużenie zniknęło bez śladu. Któż to zakradł się do sypialni? Z rozmachem otworzyła drzwi i zaskoczona ujrzała Rhysa pochylającego się nad kołyską małej Izoldy.

- Co tu robisz?

Chłopczyk odskoczył z wyrazem winy na umorusanej twarzy i przybrał obronną postawę, jakby się spodziewał razów. Zerknął na drzwi, lecz Josselyn zagroziła mu drogę.

Czego szukasz w mojej izbie? Co chciałeś zbroić?

Wykrzywił twarz w grymasie, który tyle razy widziała u jego ojca.

- Patrzyłem sobie na nią, nic więcej.

Josselyn zdecydowanym krokiem podeszła do kołyski,

tłumiąc absurdalny lęk, że to Owain wysłał malca, by skrzywdził Izoldę.

- Mała śpi. To nie jest odpowiednia chwila na wizyty. □
Dotknęła policzka dziecka i jak poprzednio usteczka małej złożyły się w dzióbek. Nic jej się nie stało. Czy coś jej w ogóle groziło ze strony Rhysa?

Josselyn spojrzała na chłopca, który tymczasem podkradł się do drzwi, lecz pozostał w komnacie. Ciemnymi, niemal czarnymi oczami rzucał spojrzenia to na nią, to na Izoldę.

- Jest taka malutka - powiedział.

- Urośnie.

- Meriel mówi, że prędezej umrze.

- Meriel się myli. Myli się - powtórzyła Josselyn. Schyliła się, by wziąć dziecko na ręce. Jeśli mała się obudzi, trudno. -
Chciała ją czuć blisko siebie, przytulić miękkie ciało do nabrzmiałej mlekiem piersi, chronić ją od wszelkiego zła, jakie mogło jej grozić w tym okropnym domu.

Chłopiec wpatrywał się bacznie w niemowlę na jej rękach.

- Dziewczyny nic nie dziedziczą.

- Nie zagrozi ani twojemu dziedzictwu, ani prawu spadkobiercy, jakie należy się twemu ojcu. Nie musisz się jej obawiać.

- Obawiać się niemowlaka? Ja? - Chłopak roześmiał się chętnie, ale wciąż ociągał się z wyjściem.

Josselyn przyjrzała mu się uważnie. Jak na swój wiek był wysoki i dobrze zbudowany, lecz zawsze okropnie brudny i ubrany w łachmany. Pod wpływem impulsu zaproponowała:

- Jeżeli się umyjesz, pozwolę ci ją potrzymać.

- Nie chcę niańczyć bachora! - rzucił oburzony.

Josselyn wzruszyła ramionami, zerknęła na uśpioną twarzyczkę Izoldy i uśmiechnęła się.

- Uwielbiam ją tulić w ramionach. Jest taka bezbronna i dobra. Sprawia, że też chcę być lepsza, niż jestem.

Kiedy znowu spojrzała na chłopca, zobaczyła, że na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Uświadomiła sobie ogrom samotności, w jakiej żyje to dziecko. Samotne, nie dostrzegane przez najbliższych mu ludzi. A i ona w ciągu długich miesięcy spędzonych w Afon Bryn ignorowała chłopca. Uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Twoja ciekawość jest naturalna. Przecież Izolda będzie dla ciebie jak mała siostrzyczka.

- Nie jest moją siostrą, a ty nie jesteś moją mamą.

- Nie, nie jestem twoją mamą. Ale gdy ta dziewczuszka nauczy się chodzić, będzie cię traktować jak starszego braciszka. Podejdź bliżej, Rhys. Chodź tu i zobacz, jakie ma małe paluszki. Spójrz na te tycie paznokietki! - Znowu uśmiechnęła się zachęcająco. □ Chodź, poznaj ją. Spodobasz się jej, wiem o tym.

Długo jeszcze Rhys siedział w jej izbie, aż usłyszawszy burkliwy głos Madoca, zdał sobie sprawę, gdzie jest. Przedtem jednak Josselyn zdążyła go przekonać, by umył ręce i twarz i potrzymał śpiącą Izoldę. Potem nakarmiła dziecko i znowu oddała je w objęcia Rhysa. Gdy niemowlę głośno beknęło, twarz chłopca rozjaśniła się uśmiechem.

_ Ty mała szkaradko! - Rhys zaśmiał się łagodnie i po raz pierwszy Josselyn usłyszała w jego głosie dziecięce tony.

Roześmiała się wraz z nim.

_ Jeszcze zdążymy nauczyć ją dobrych manier.

Kiedy chłopiec odszedł, wtuliła się w futra na łożu,

trzymając małą Izoldę przy piersi, ale sen ją odleciał. Jakże łatwo było zapomnieć, że Rhys to dopiero ośmioletni malec! Syn Owaina, równie niemiły i agresywny jak jego ojciec - ale mimo wszystko tylko dziecko, samotne w okrutnym, nieprzyjaznym świecie. Musi się postarać pozyskać jego przyjaźń. Musi spróbować wpoić mu trochę ogłady i ludzkich uczuć.

Być może uda jej się uczynić z niego w przyszłości obrońcę małej Izoldy?

Rozdział dwudziesty trzeci

Minęła sroga, lecz krótka zima. Lody stopniały. Strumienie i potoki wezbraną falą runęły do morza. Wiosna triumfalnie pokryła lasy i łąki zielenią. Wszystkie stworzenia północnych gór wpadły w szal zalotów. Lecz im bardziej zbliżało się lato, tym bardziej pogłębiała się wrogość między Walijczykami i Anglikami. Stoki wzgórz grzały się w promieniach słońca, które zdawało się podsycać ogień waśni między ich mieszkańcami. Nieuchronnie nadchodził dzień, w którym jedna ze stron rzuci drugiej wyzwanie.

Wszystko zaczęło się w kwietniu, w pierwszym dniu wypasu owiec na górskich halach. Wykrzywiony ze złości Owain wbiegł do głównej komnaty, zrzucił z głowy futrzaną czapę i pełen wściekłości zwrócił się do ojca:

- Nie zważałeś na moje ostrzeżenia! Teraz widzisz, do czego doprowadziła twoja tchórzliwa ostrożność?

Madoc zasepił czoło. Na twarzach starszych wioski, którzy

we trzech obradowali właśnie z wodzem, pojawił się wyraz strachu.

- Co się stało? - burknął starzec.

Josselyn stała właśnie przy kotle ze strawą, zbierając łyżką oczka tłuszczu pływające po powierzchni wywaru z kości i suszonych warzyw. Agatha siedziała przy ogniu, szyjąc coś w milczeniu. Słyszając gniewne głosy mężczyzn, obie ukradkiem podążyły w stronę schodów. Gniew Owaina był groźny dla wszystkich, którzy weszli mu w takiej chwili pod rękę. Madoc stawiający czoło synowi też potrafił wzbudzić grozę. Tylko Meriel pochyliła się do przodu, niecierpliwie łowiąc uchem odgłosy kłótni.

- Pasterz zabity, piętnaście owiec zniknęło bez śladu, skradzionych! Do tego zarżnęli najlepszego barana!

Madoc chwiejnie dźwignął się na nogi. - Kto się ośmielił kraść moje owce?

- Ośmielili się kraść owce twojej żony. To na Carreg Du przypuścili atak! Nie ma wątpliwości, kto jest złoczyńcą! To ci Anglicy o zakłamanych sercach zaczęli kampanię przeciw nam. Chcą nas powalić na kolana, zamienić w niewolników! Zagłodzą na śmierć ludzi z Carreg Du, a potem przyjdzie kolej na nas. □ Jego nozdrza rozdęły się w wyrazie pogardy dla starych mężczyzn, którzy potrafią tylko siedzieć przy ogniu i paplać. - Widać jasno, że gotów jesteś czekać w nieskończoność, ale ja - uderzył się pięścią w pierś - zamierzam działać!

Zapadła cisza tak głęboka, że aż dźwięczało od niej w uszach.

Wszystkie oczy zwróciły się na Madoca. Nikt nie miał złudzeń, że oto Owain rzucił ojcu wyzwanie. Josselyn

zobaczyła, jak starszy mężczyzna zaciska pięści, ale gdy przemówił, jego głos był zaskakująco spokojny.

- Co powiada Clyde? Czy prosi nas o pomoc?

Gdy Owain, rycząc, wyciągnął zza pasa sztylet, wszyscy odsunęli się na bezpieczną odległość. Potężnym ciosem wbił ostrze w deski stołu między sobą i ojcem. Nóż utkwił tak głęboko, iż nawet nie drgał od siły uderzenia. Owain zmierzył Madoca spojrzeniem pełnym furii.

- Clyde się nie ruszy, bo jest tchórzem. Ale ja zamierzam wziąć odwet! Z tobą czy bez ciebie, nie mam ochoty dłużej czekać.

Josselyn obserwowała konfrontację dwóch mężczyzn z rosnącym lękiem. Jeżeli Madoc nie zdecyduje się działać, Owain wkrótce wyrwie mu władzę z rąk. Jeszcze głębszą obawę wzbudziła w niej wieść o śmierci jednego z pasterzy z Carreg Du, zabitego z rozkazu Randulfa Fitz Hugh.

- Kto zginął? - Agatha chwyciła ją ostrzegawczo za ramię, ale Josselyn nie dała się powstrzymać. - Kto zginął, pytam? Czy znasz jego imię?

Kiedy Owain odwrócił się do niej twarzą, ujrzała w jego oczach błysk triumfu.

- Silny i mądry chłopak, prawie na tyle już dorosły, by stać się wojownikiem. - Milczał chwilę. - Nie miał najmniejszej szansy. Odcięto mu głowę jednym silnym ciosem długiego miecza.

Josselyn poczuła falę mdłości podchodzącą do gardła. Ledwie zdołała opanować drżenie warg, by wymówić pytanie:

- Jak miał na imię?

Owain wytrzymał jej spojrzenie, specjalnie zwlekając z

odpowiedzią. Rozkoszował się jej czekaniem.

- Gower, tak mi powiedzieli. Znałaś go? Gowera?

Pod Josselyn ugięły się kolana. Gower był jedynym synem dawno owdowiałej Holwen. Poczowała współczucie dla starej kobiety i nagłe pragnienie, by mocno przytulić do siebie Izoldę. Lecz wytrzymała spojrzenie Owaina; stała przed nim wyprostowana. Nie chciała, by widział jej ból, gdyż z pewnością sprawiłaby mu tym złośliwą satysfakcję. Skinęła sztywno głową.

- Wiem, o kim mówisz.

- A więc zrozumiesz, czemu zdecydowałem się na odwet na tych, którzy nie zawahali się zamordować z zimną krwią bezbronego niedorostka.

Josselyn nie ufała Owainowi za grosz, lecz w tym momencie musiała się z nim zgodzić. Czemu spotkało to Gowera? Poczciwego chłopaka, oddanego matce, jej jedynego opiekuna na stare lata?

Ten właśnie dzień zapisał się w ich pamięci jako zwiastun krwawej wiosny. Mężczyźni z Afon Bryn i Caneg Du przygotowywali się do wojny. Obowiązek tegorocznych zasiewów spadł na ramiona kobiet i chłopców nie dorosłych jeszcze do roli wojów. Napaść na Gowera wołała o zemstę. Śmierć za śmierć - spłonęła jeszcze jedna łódź Anglików, a dwóch wartowników zginęło z walijskich rąk. Co prawda osada, w której mieszkała Josselyn, była oddalona od miejsca tych wydarzeń, ale mieszkańcy codziennie otrzymywali nowiny o walkach. Któregoś dnia myśliwi obu narodowości natknęli się na siebie w lesie - zginęło trzech Anglików i dwóch Walijszyków.

Rand powiódł swoich ludzi do równie krwawych akcji

odwetowych. Wygnał Walińczyków mieszkających na ziemiach pomiędzy Rosecliffe i Carreg Du. Clyde zdołał utrzymać wioskę, choć większość kobiet i dzieci umknęła do Afon Bryn.

Ciotka Nesta została z mężem. Josselyn każdego dnia modliła się o jej bezpieczeństwo. W osadzie została również Gladys, zatrzymując przy sobie małego Davita, lecz odesłała Rhonwen i Kordulę. Josselyn nie widywała swoich dawnych ziomków tak często, jak by sobie tego życzyła, gdyż ludzie z Afon Bryn rozmieścili ich w chałupach stojących z dala od centrum wioski, a ona mieszkała w głównej rezydencji, tuż przy położonym centralnie placu wiecowym.

Nadszedł lipiec, nabrzmiały odorem pożogi i śmierci. Agatha znowu była w ciąży, choć nikt nie śmiał pisać o tym ani słowa, by nie sprowadzić klątwy na nie narodzone dziecko. Owain zniknął na długie tygodnie, pochłonięty walkami, a pod jego nieobecność Agatha odprężyła się i nabrała trochę wigoru. Utraciła nawet nieco z typowej dla niej nieśmiałości. Rhys też pojawiał się coraz częściej w domu dziadka. Jadł bez pamięci. Mógł pochłonąć wszystko, co się przed nim postawiło. Josselyn z zadowoleniem patrzyła, jak stopniowo wypełniają się zapadnięte policzki chłopca.

Izolda też rosła jak na drożdżach. Wciąż była niewielka, ale zaokrągliła się i wyglądała zdrowo. Potrafiła się już uśmiechać i nieustannie gaworzyła śpiewnym głosikiem. Josselyn zakochała się w córeczce bez pamięci. Izolda wydawała się jej skończoną doskonałością. Miała różowitką mięciutką skórę, a głowę stopniowo pokrywał jasny puszek, bardziej przypominający włosy Madoca niż

czuprynę Randa.

Rand ...

Josselyn próbowała nie myśleć o nim, lecz nie było dnia, żeby nie traciła niezliczonych godzin, zastanawiając się, kim właściwie jest ten mężczyzna. Ambitny i pozbawiony litości, uwiódł ją, po czym postanowił oddać ją bratu. Był odrażający ... był Anglikiem ... zabił Gowera! Wiedziała o tym dobrze.

Ale wiedziała też, że to nie Rand zaatakował pierwszy, lecz Owain. Rand nie zezwolił na gwałty na kobietach, podczas gdy Owain ... Nie ręczyłaby za tego drugiego, gdyby zdarzyła się ku temu okazja. Okrutnie traktował własną żonę, więc czy zachowałby się godnie wobec żon wrogów? Rand ją uwiódł, prawda - lecz czy sama mu w tym nie pomogła? Pod koniec ich znajomości wycofał się nawet z groźby wydania jej za Jaspera. W gruncie rzeczy sam nie wiedział, co by z nią uczynił, gdyby została w obozie.

Jak by zareagował na wieść, że urodziła mu córkę?

- Popatrz, jaka już jest silna!

Głos Rhysa wyrwał Josselyn z zamyślenia. Chłopiec kucnął obok kołyski Izoldy, z uśmiechem podając niemowlęciu palec, który dziewczuszka chwyciła w małą rączkę.

- Myślę, że potrafi się podciągnąć na równe nogi. Mogę spróbować? - Zerknął na Josselyn pytająco.

- Nie; skarbie. Nie sądzę, żeby Izolda była już na to gotowa.

Rhys nie zgodził się z Josselyn.

- Ma w sobie moją krew, ma siłę po ojcu, moim dziadku.

Potrafi się podnieść!

- Nie, Rhys, zostaw. Jest jeszcze za mała.

Chłopiec z uporem pociągnął Izoldę do góry. Dziecko

zamrugąło i roześmiało się w rozbawieniu. Raptem straciło równowagę i upadło na dno kołyski, z głuchym stuknięciem uderzając główką w jej brzeg.

Josselyn podniosła niemowlę, zanim jeszcze zaniósł się płaczem. Rhys odskoczył w bok, jak gdyby lękał się kary, i wtulił się w kąt izby za zasięgiem jej ręki.

- Nie powinna była się puścić - mruczał. Josselyn kołysała szlochające niemowlę. - To nie moja wina!

Nie zauważył nadchodzącej Meriel, więc nie zdążył uciec przed ręką starszej kobiety, która zdzieliła go mocno w ucho.

- Ała! - Umknął przed nią, trzymając się za bolące miejsce. □
Ty głupia stara suko!

- Boli, co? Jeśli chcesz wyrosnąć na prawdziwego mężczyznę, musisz umieć nie tylko zadawać ból, lecz także go znosić!-

krzyknęła Meriel. .

Zamachnęła się znowu, lecz chłopiec odskoczył do tyłu i wygiął się w drwiącym skłonie.

- Głupia stara suka! Wszyscy wiedzą, że kobieta nie może uderzyć mężczyzny! Czy mój dziadek niczego cię nie nauczył? - Nigdy mnie nie uderzył! - wrzasnęła Meriel głosem piskliwym ze złości.

- Więc dlaczego jęczałaś i krzyczałaś? - szydził chłopiec. □
Słyszę, jak jęczy Agatha, kiedy jest z nią Owain. Ty tak samo jęczałaś, gdy bywał u ciebie mój pradziadek, jeszcze zanim ożenił się z tą tu. - Wyciągnął rękę w kierunku Josselyn.

Młoda kobieta wciąż kołysała popłakującą Izoldę.

- Uspokójcie się natychmiast! - przywołała ich do porządku.

□I to już!

Lecz Rhys zbyt długo żył jak dzikie zwierzątko. Kąpiel i kilka łagodnych słów nie zdołały go odmienić.

- Nie jesteś moją mamą! Nie możesz mi rozkazywać! - Utkwił w jej twarzy drwiące spojrzenie; tak był podobny w tym do Owaina, że zaczęła drzeć na całym ciele. - A czemu ty nie krzyczysz, kiedy mąż wchodzi do twojego łóżka?

Nie musiała odpowiadać na to na obraźliwe pytanie, gdyż w tej chwili do izby wtargnęła Agatha, podtrzymując obiema rękami wypukły brzuch.

_ Przyjechał posłaniec od Owaina. - Spojrzała na Josselyn zawistnym wzrokiem. - Nie chce mówić z nikim, tylko z tobą.

To musiały być złe wieści. Kobiety umilkły, ciszę przerywały tylko szloch Izolda. Meriel nie czekała na Josselyn, spiesząc do drzwi. Młoda kobieta podążyła za nią nieco wolniejszym krokiem.

Przed chatą stał zaufany Owaina, Conan. Pił wodę z dzbana, a ujrawszy Josselyn, wytarł usta rękawem.

_ Madoc zachorzał. Owain przysyła po ciebie.

_ Zachorzał? Cóż mu się stało? - krzyknęła Meriel. Mężczyzna zignorował jej niecierpliwe pytanie, gapiąc się bezczelnie na Josselyn.

_ Miał atak duszności i nie może wstać. Żąda, by przyjechała do niego żona.

Izolda, jak gdyby odczuła niepokój matki, znowu zaczęła popłakiwać i jęczeć. Josselyn przycisnęła ją mocniej do piersi,

próbując zebrać myśli.

_ Nie mogę zostawić dziecka.

- Weź je ze sobą.

Josselyn nie chciała jechać, lecz obowiązek nakazywał jej usłuchać wezwania męża. Mimo to jakiś irracjonalny lęk powstrzymywał ją przed ostateczną decyzją.

_ Izolda jest zbyt mała na taką podróż.

_ To tylko dwie godziny drogi.

_ Konno. Ja muszę jechać wozem. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- On każe ci przyjechać.

_ Pojadę zamiast niej - zaproponowała Meriel. - Pojadę z tobą i spróbuję go wyleczyć. Przez wiele lat kołam jego bóle i leczyłam przypadłości. Powinam ...

_ Nie jesteś jego żoną - napomniał drwiąco posłaniec. - To jej obowiązek, nie twój.

_ Gdzież jest Madoc? - spytała Josselyn.

_ W domu twego stryja.

W domu stryja? To co innego!

- Niezwłocznie przygotuję się do podróży.

Wrócić do Carreg Du, do stryja Clyde'a i ciotki Nesty! To brzmiało jak niebiański zew - nawet w tych ponurych okolicznościach.

Opuścili Afon Bryn przed upływem godziny i jeszcze przed zmrokiem przybyli do Carreg Du. W czasie podróży Josselyn zdążyła poczuć wstyd za swoją pierwszą reakcję na wieść o chorobie męża. Dowiodła, jak mało obchodzi ją los Madoca, choć była jego żoną i miała wobec niego zobowiązania - nawet jeśli ich małżeństwo było związkiem zawartym z rozsądku, a nie z miłości. Madoc dał Izoldzie nazwisko rodowe. Nie miała powodu do narzekań.

A teraz leżał złożony słabością. Dla ich wspólnego dobra musi się nim zaopiekować, aż wróci do zdrowia.

Nesta przywitała ją z wyciągniętymi ramionami.

- Ach, cóż to za maleństwo! - wykrzyknęła, chwytając w objęcia dziecko, które patrzyło na nią szeroko otwartymi oczami.

Josselyn posłała Izoldzie uśmiech.

- Maleńka i słodka, jak dziecię wrózek.

- Nie mów takich rzeczy - skarciła ją Nesta przenikliwym szeptem. - Są wśród nas przesądni ludzie, którzy niechybnie źle by pomyśleli o dziecku, słysząc, że tak ją nazywasz.

Josselyn pogłaskała policzek Izoldy i westchnęła. Niektóre zwyczaje w jej rodzinnym kraju chyba nigdy nie ulegną zmianie. Ludzie pozostaną na zawsze kłótlivi i przesądni.

- Muszę zobaczyć męża. Przypilnujesz Izoldy?

- Oczywiście. - Nesta ułożyła sobie dziecko na rękę. - Madoc spoczywa w izbie, która niegdyś była twoją sypialnią. Nie wygląda to dobrze - dodała, zerkając na Josselyn spod rzes.

Rzeczywiście, wyglądał tak źle, że Josselyn obawiała się jego nieuchronnej śmierci. Leżał w jej dawnym panieńskim łóżu, wykąpany, owinięty w czyste prześcieradła, nieruchomy jak trup. Na jego ciele nie widać było żadnych świeżych ran. Owszem, Josselyn знаła stare, zabliznione rany, ale nie znalazła nic, co mogłoby tłumaczyć jego obecny stan.

- Złapał się za pierś i upadł - wyjaśniła ją pilnująca go kobieta. □ Kilka razy otwierał oczy, próbując coś powiedzieć, ale nie udaje mu się wymówić zrozumiałego słowa. Jak gdyby sam diabeł więził jego język - dokończyła konspiracyjnym szeptem.

Josselyn zignorowała tę ostatnią uwagę.

- Czy to się zdarzyło w bitwie?

Kobieta zawahała się, odwracając wzrok od Josselyn, lecz po

chwili spojrzała prosto w oczy dziewczyny.

_ Pojechali podpalać pola uprawne Anglików. - Znowu zniżyła głos do szeptu. - Mówią, że jedyne prawdziwe bitwy toczył ze swoim synem ... z tym Owainem. - Kąciki ust opadły jej w wyrazie wstrętu i pogardy.

Josselyn nie była zaskoczona. Nie zdziwiła się też wcale, gdy w ciągu nocy słabiutkie i nierytmiczne odgłosy bicia serca Madoca ustały na dobre.

Czuwając przy łożu umierającego, ze znużenia od czasu do czasu zapadała w drzemkę. O północy wstała, by nakarmić Izoldę, i cichym głosem przemówiła do męża, a nie widząc oznak życia, dotknęła jego policzka i poczuła, że jest zupełnie zimny. Jego dusza odeszła.

Oto więc została wdową, choć właściwie nie była żoną.

Przeniosła Izoldę do głównej sali stryjowego domu i z bijącym obawą sercem wyruszyła na poszukiwanie Owaina. Młody Walińczyk wrócił do wioski późną nocą, więc dotychczas nie miała okazji go zobaczyć. Nesta poinformowała ją, że przejął dla siebie dom wioskowego kapłana, rządząc się w nim jak we własnym. Josselyn wzięła latarnię i powędrowała kamienistą drogą ku stojącemu przed budynkiem wartownikowi. Kiedy go poprosiła, by wezwał wodza, brutalnie wepchnął ją do środka i wołając głośno Owaina zatrzęsął drzwi, zamykając ich razem wewnątrz.

Rozpamiętując potem wydarzenia tej okropnej nocy, Josselyn zawsze czuła wstyd na wspomnienie przerażenia, jakie ją ogarnęło. Jak oszalała z lęku chwyciła za klamkę drzwi, na próżno nimi potrząsając.

_ No, no! Czyż to nie moja macocha składa mi wizytę w

samym środku nocy?

Josselyn odwróciła się błyskawicznie i ujrzała Owaina w rozchełstanej bieliźnie. Za jego plecami spostrzegła niewyraźny ruch. Ktoś tam był - spod koców wyjrzała spłoszona twarz kobieca. Lęk Josselyn przeszedł w oburzenie jego niewiernością.

_ Twój ojciec zmarł. Sądziłam, że zechcesz się o tym dowiedzieć.

Uśmiechnął się złośliwie i powolnym gestem uderzył pięścią w pierś w szyderczej karykaturze smutku.

- Odszedł więc, ach, mój ojczulek ukochany!

Josselyn uświadomiła sobie, że od kilku godzin prześladowuje ją pozornie nieuzasadnione podejrzenie, iż Owain miał coś wspólnego ze śmiercią ojca.

- Ale, ale ... byłbym zapomniał! Straciłaś jednak męża! Podejź, Josselyn. - Wyciągnął ku niej dłoń. - Powinniśmy nawzajem udzielić sobie pociechy.

- Nie. Powiedz tylko wartownikowi, żeby mnie stąd wypuścił. Ktoś na ciebie czeka. - Kiwnęła ręką w stronę łóża, przypominając mu, że nie są sami.

Ponownie uśmiech zagościł na jego twarzy.

- Jak sobie życzysz. Ale, Josselyn ... - dodał, cedząc słowa □ przyjdzie jeszcze czas na ... rozmowę. O tobie. O twoim dziecku ... □ Spojrzała na niego czujnie.

- Nie mamy o czym rozmawiać. Ogarnął ją bezczelnym spojrzeniem.

Zrozumiała, że oto ma do czynienia z tym samym łajdakiem, jakim był przez całe życie, tyle że z chwilą śmierci Madoca stał się dziesięciokrotnie bardziej niebezpieczny.

- Znam całą prawdę - mruknął groźnie, zbliżając się do

Josselyn. - Zawsze ją znałem.

Cofnęła się aż do drzwi.

- Nie, nie znasz!

- Wiem dosyć, żeby zrozumieć, że dziecko jest twoim słabym punktem. Przełożysz jej dobrobyt nad wszystko inne.

Josselyn poczuła ulgę, pojąwszy, że Owain nie ma na myśli ojca jej córki. Zarazem jednak ogarnął ją przytłaczający, lodowaty lęk zmieszany z gniewem. Ten człowiek ośmielał się grozić Izoldzie!

Spojrzała mu prosto w oczy i ujrzała wzrok wypełniony tak bezbrzeżną i nieopanowaną nienawiścią, że odruchowo cofnęła się o krok. Zdobyła się jednak na to, by przemówić spokojnym głosem osoby, która kontroluje sytuację na tyle, że stać ją nawet na nutkę drwiny.

- Cóż, odkryłeś moją słabość. Kocham moje dziecko. A teraz otwórz drzwi.

Podniósł pięść. Josselyn mimowolnie drgnęła. Owain zaśmiał się i załomotał w drzwi tuż nad jej głową. Zanim wyszła, rzucił jeszcze:

- Jeśli poczujesz się samotna w pustym małżeńskim łóżu, daj mi znać.

Odeszła bez odpowiedzi. Czemu groził Izoldzie? Czy wiedział, że Madoc nie był ojcem dziecka? A jeśli tak, jaki plan uknuł ten łotr?

Izolda zostanie napiętnowana jako bękart. Bękart Anglika.

Josselyn zatrzymała się bez tchu przed drzwiami domostwa stryja, próbując bezskutecznie odzyskać panowanie nad sobą. Angielski bękart spotka się z nienawiścią wszystkich Walińczyków, szczególnie w obecnych czasach.

Lecz nie to nawet było najgorsze. Owain dał jej do zrozumienia, że potrafi wyrzucić Izoldzie krzywdę, gdyby Josselyn nie spełniła jego żądań. Zadrżała na myśl o naturze tych żądań, lecz nie mogła zapomnieć, jak straszliwa jest alternatywa. Nie wątpiła ani przez chwilę, że Owaina stać na zadanie bólu dziecku. Widziała na własne oczy siniaki na twarzy Rhonwen i ciele Rhysa. Znajdował przyjemność w dręczeniu bliźnich. Taki był przez całe życie. Dopóty Izolda będzie przebywała w zasięgu jego władzy, dopóki Josselyn nie będzie pewna bezpieczeństwa małej.

Musi znaleźć jakiś sposób, by ją ochronić! Ubierając martwe ciało Madoca, zostawiła niemowlę pod opieką Nesty. Dwóch mężczyzn przeniosło zmarłego do głównej sali, gdzie Josselyn obmyła zwłoki i owinęła je w śnieżnobiały całun. Postawiła świece u wezłowania i u stóp katafalku. Dopiero wypełniwszy te obowiązki, odnalazła Izoldę i przystawiła ją do piersi. Szukała w tym intymnym kontakcie wsparcia i pociechy. Patrząc na popłakujące niespokojne dziecko, uświadomiła sobie, jak bardzo się boi. Madoc odszedł. Teraz już nikt nie osłoni jej przed Owainem.

Już rankiem okazało się, że jej obawy nie były bezpodstawne.

Wioskowy ksiądz przyszedł do domu stryja pomodlić się nad zmarłym. Na podwórku, gdzie wystawiono ciało, zjawił się Clyde ze swymi ludźmi i Owain w otoczeniu żołdaków. W słabym świetle brzasku Josselyn z przerażeniem ujrzała zmiany, jakie w ciągu minionego roku zaszły w Carreg Du: osada bardziej przypominała obóz żołnierski niż wioskę. Jakże niewiele kobiet □ a jeszcze mniej dzieci - widziała w tłumie! Oddział Owaina niemal dorównywał liczebnością

załodze stryja.

Po jej krzyżu przebiegł dreszcz niepokoju, a w duszy zagościło złe przeczucie. Ufała, że w Carreg Du będzie bezpieczna, lecz teraz widziała, jak złudne to były nadzieje. Osada jej dzieciństwa nie mogła już zaoferować schronienia. Nieoczekiwanie ujrzała koło siebie Newlina. Bard nawet jej nie dotknął, lecz Josselyn od razu poczuła się pewniej.

- ... z ręki wroga, nie inaczej, niż gdyby zginął na polu bitwy od ciosu angielskiego oręża - przemawiał ksiądz. Ludzie z Afon Bryn zamruczeli potakująco, a kapłan zerknął w stronę Owaina. Josselyn zauważyła, że kiedy usta młodego Walińczyka drgnęły w słabym uśmiechu aprobaty, ksiądz odetchnął jak gdyby z ulgą.

Czy to Owain podyktował mu słowa kazania? Lecz czemu miałby to uczynić?

Nadal prześladowała ją myśl, że "pasierb" ma coś wspólnego ze śmiercią ojca, i to podejrzenie wzmagало jej lęk. Ten uśmiech! To westchnienie kapłana!. .. Pograżona w myśl).ach, nie od razu zorientowała się, kiedy zaczął przemawiać Owain. Wróciła do przytomności dopiero na dźwięk własnego imienia.

- ... żonę jego, Josselyn, i zabiorę jego ciało do Afon Bryn, gdzie zostanie pogrzebane z wszelkimi honorami należnymi wodzowi rodu. Za godzinę odjeżdżamy.

- Bądź ostrożna, moje dziecko - mruknął Newlin. - Nie ufaj temu człekowi.

Josselyn przełknęła z wysiłkiem ślinę.

- Nie chcę stąd odjeżdżać!

Owain posłyszał jej protest i podszedł leniwym krokiem.

- Musisz. To twój obowiązek jako żony zmarłego i matki

jego dziecka. - Wyszczерzył zęby w zadufanym i mściwym uśmiešku. - Bower i Dewey będą ci towarzyszyć - oznajmił stryj, biorąc ją pod ramię. Patrzył na Owaina, dopóki ten nie wzruszył ramionami na znak zgody.

Josselyn uświadomiła sobie nagle, że wszyscy dokoła dobrze wiedzą, do jakich podłości zdolny jest Owain, lecz boją się odwetu, który wzięłyby na Carreg Du, gdyby mieszkańcy wioski stawili mu opór w jakiegokolwiek sprawie. Próbując strząsnąć angielskie jarzmo, sprowadzili na siebie przekleństwo innej - kto wie, czy nie gorszej - niewoli.

Gdy wreszcie dotarli do Afon Bryn, Josselyn padała ze znużenia.

Od dwóch dni była nieustannie w drodze, a dzieląca je noc nie pozwoliła jej na odpoczynek. Meriel i Agatha powitały podróżnych sutym posiłkiem.

Meriel szłochała, obsługując zgłodniałych mężczyzn. Josselyn starała się ją pocieszyć, lecz stara kobieta odrzucała wszystkie próby ukojenia. Dopiero teraz Josselyn zdała sobie sprawę, że jej powinowata musiała kochać Madoca nie tylko jako kuzyna, lecz jako mężczyznę. To właśnie odgłosy ich miłosnej schadzki podsłuchał niegdyś Rhys. Lecz stary wódz nie poślubił kochanki; wziął za żonę Josselyn, by zatriumfować nad synem, aczkolwiek było to krótkotrwałe zwycięstwo. Niechybnie wyjaśniało to sekret niechęci Meriel do kobiety, która zajęła jej miejsce.

Josselyn ujrzała Rhysa tylko z daleka, i to przelotnie, gdyż obecność ojca, jak zawsze, działała na chłopca odstraszająco. Wycofał się ku opłotkom wioski i przekradał się wzdłuż nich jak przegnany z ciepłego obejścia pies, który tęskni do towarzystwa człowieka, choć boi się jego razów.

Wygnańcy z Carreg Du zgromadzili się wokół Josselyn w czasie ceremonii pogrzebowych, lecz nie mogli jej długo towarzyszyć i ochraniać. Z nadejściem nocy Josselyn musiała powrócić do obejścia, w którym objął władzę Owain.

Wreszcie się położyła. Izolda spała w kołysce obok, a Bower i Dewey udali się na spoczynek pod drzwiami jej izby. W najgłębszej ciemności nocy wyrwała ją ze snu świadomość, że nie jest sama. Serce waliło jej jak opętane.

- Być może wydam ją za mojego syna.

Josselyn poderwała się na łożu. Zawziętość w głosie Owaina odebrała jej oddech. Czy to on sam, czy też diabeł zstąpił na ziemię, by ją prześladować i dręczyć? Bardziej wyczuła, niż zobaczyła, czyjs ruch w ciemnościach. W poświacie księżyca z trudem rozróżniła zarys męskiej sylwetki trzymającej w ramionach niemowlę. Wtedy zrozumiała, że Owain jest diabłem.

Zeskoczyła z posłania. - Oddaj mi ją!

- Ciicho, bo ją obudzisz. Nie zamierzam jej skrzywdzić, Josselyn ... jeśli będziesz mi posłuszna.

Lęk ściał krew w jej żyłach i sparaliżował ruchy.

- Co masz na myśli?

Owain zachichotał obleśnie.

- Żądam od ciebie tego, czego mi odmówiłaś, odrzucając mnie jako małżonka. Daj mi to teraz jako kochankowi!

Chciała zerwać się do ucieczki, ale stojący przed nią mężczyzna trzymał jej dziecko, a Josselyn wiedziała, że prędzej umrze, niż zostawi Izoldę na jego łasce. Podeszła do niego bliżej.

- Oddaj mi córkę!

- Ładniutka dziewczuszka, podobna do matki. Będzie dobrze pasowała do Rhysa.

Nie próbował jej powstrzymać, gdy odbierała mu Izoldę, ani jej nie chwycił, gdy odsunęła się do tyłu. Wiedząc, co kryje się za słowami Owaina, Josselyn musiała jednak się upewnić ponad wszelką wątpliwość.

- Izolda to twoja siostra przyrodnia - rzekła. - Co prawda Rhys jest od niej starszy, ale i tak to niemowlę jest ciotką chłopaka. Małżeństwo między nimi jest wykluczone.

- Ta mała to angielski bękart.

Jego słowa odbijały się złowróżbnym echem od ścian mrocznej izby.

- Nie potrafisz tego udowodnić.

- Meriel potrafi!

Meriel... a więc było tak, jak obawiała się Josselyn. - Stara kobieta wiedziała o impotencji Madoca. Dziewczyna przycisnęła córkę do siebie. Słodki zapach niemowlęcia dał jej siłę, by stawić czoło złu, jakie stanowił Owain.

- Jeżeli skrzywdzisz ją w jakikolwiek sposób ...

- Teraz nie obchodzi mnie twój bachor, ale ty. Możesz całkiem tanio kupić bezpieczeństwo dziecka. Nie jesteś dziewczicą, ale jakoś ci to wybaczę. Połóż dziecko!

Lęk niemal odebrał jej zmysły, lecz rosnąca wściekłość popchnęła ją do oporu.

- Zacznę krzyczeć! Bower i Dewey zaraz przyjdą mi z pomocą! Owain zaśmiał się złowrogo, aż Josselyn zadrżała.

- Niezbyt to prawdopodobne, by mogli cokolwiek usłyszeć! Zachłysnęła się nagłym przecuciem.

- Zabiłeś ich!

- Nie, nie martw się. Są tylko pijani.

- Nie - potrząsnęła głową - żaden nie byłby tak nieostrożny. Ponownie usłyszała jego wzgardliwy śmiech.

- Chyba coś im dolano do piwa. W każdym razie nikt nie będzie nam przeszkadzał. A teraz odłóż dziecko!

Była w pułapce i wiedziała, że nie ma wyboru. Obróciła się i ułożyła Izoldę w kołysce. Niemowlę zamrugało zaspanymi oczkami.

- Wybacz, maleńka - szepnęła Josselyn, po czym ukradkiem uszczypnęła tłusciutkie udo córeczki.

Izolda zaniósła się przenikliwym płaczem skrzywdzonego dziecka. Josselyn błyskawicznie porwała ją w ramiona i odwróciła się do Owaina.

- To nieodpowiednia chwila, bym spełniła twoje lubieżne zachcianki! - zasyczała.

Owain nie dał się tak łatwo odwieść od swoich zamiarów.

Wyrwał jej dziecko i rzucił je niedbale na łożo. Mała zaniósła się głośnym wrzaskiem, lecz gdy Josselyn usiłowała po nią sięgnąć złapał ją za ramię i cisnął o ścianę izby. Bolesnie uderzyła głową o otynkowany mur. Zanim mogła się wymknąć z jego rąk, przycisnął ją do ściany całym ciężarem ciała i wykręcił ręce do tyłu.

- Mam cię, Josselyn. Mogę cię mieć, kiedy tylko zechcę i gdzie tylko zechcę. Jeśli chcesz, by twój bachor pozostał przy życiu, musisz być mi posłuszna! - Uszczypnął ją wolną ręką w pierś, potem wepchnął dłoń brutalnie między jej uda. Jedynie cienka tkanina sukni powstrzymała jego palce. - To może być dla ciebie przyjemne albo bolesne. Sama wybieraj.

- Ugryzł ją w kark tak mocno, że krzyknęła z bólu. Ja osobiście wolałbym, żeby było bolesne! - zasyczał jej wprost do ucha.

Puścił ją tak nagle, że niemal upadła. Przenikliwy krzyk Izoldy świdrował jej w uszach. Na korytarzu rozległ się głos, potem dołączył do niego następny. Podbiegając do łóżka, na którym leżało płaczące niemowlę, usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Wreszcie została sama.

Lecz Owain nie odszedł całkiem i na zawsze. Josselyn trzymała Izoldę w objęciach, kołysząc ją w jednostajnym rytmie, i czuła, że lęk przenika ją coraz głębiej i dociera do samego jądra duszy.

Musiała uciec, inaczej Owain ją zabije. Nie miała żadnych złudzeń. Lecz nie o siebie się bała. Jej życie już dawno przestało mieć dla niej jakąkolwiek wartość. Jeśli chciała żyć, to tylko dla Izoldy. Musiała zapewnić bezpieczeństwo swemu dziecku - tylko to się teraz liczyło.

Rozdział dwudziesty czwarty

Rand posuwał się powoli przez spalone pola. Ani jeden ptak nie zakwilił w martwym powietrzu, ani jedna pszczoła nie zabrzęczała skrzydełkami nad jałową pustynią, która jeszcze wczoraj była równiną złocistą od pszenicznych kłosów. I tylko zwęglone resztki wozu o brzegach ze zbitych desek i czarny pył spalonych łodyg, wypełniający bruzdy ornego pola, świadczyły o niedoszłych plonach, które strawił pożar.

Sześć miesięcy pracy w pocie czoła wypalone do gołej ziemi. Zapasy ziarna na długie miesiące nadchodzącej zimy wydane na pożarcie płomieniom.

Rand rozdał nozdrza, wciągając smugę kwaśnego zapachu spalenizny w kłębach kurzu wznieconych kopytami

wierzchowca. Powietrze stało nieruchome, tylko na horyzoncie gromadziły się ciężkie chmury. Żaden powiew wiatru nie rozproszył duchoty popołudnia. Przy następnym deszczu rzeka spłynie gęstą czernią popiołu.

Zacisnął pięści na skórzanych rzemieniach cugli. Gdyby dostał w rękę Owaina ap Madoca, nurty rzeki zabarwiłyby się czerwienią jego krwi!

W dali zagrzemiał głuchy grzmot - stosowny akompaniament do jego ponurych myśli. W głębi doliny gromada robotników pod ochroną uzbrojonych po zęby żołnierzy obcinała gałęzie nisko zwieszające się z drzew okalających nowo wykarczowane pole. Od dnia świętego Jana już trzech kopaczy padło ofiarą walijskich łuczników. Jeden umarł, a dwóch pozostałych po wyzdrowieniu odmówiło dalszej pracy na polach, co wywołało bunt innych robotników. Woleli łamać sobie plecy, dźwigając worki pełne odłamków skał z kamieniołomów przy budowie warowni, niż narażać się na podstępną strzałę z nieprzyjacielskiego łuku.

Rand obejrzał się za siebie, na Rosecliffe, gdzie, pomimo ciągłych podchodów walijskich oddziałów, mury fortecy nieprzerwanie rosły ku górze. Planował zatrzymać całą obsadę kamieniarzy i robotników na Rosecliffe przez całą zimę, lecz utrata plonów pokrzyżowała jego zamiary. Wielka szkoda! Kwatery wzniesione w cieniu murów były dostatecznie wygodne, by ludzie spędzili zimę w nie najgorszych warunkach, a i pracy znalazłoby się dosyć przy wykańczaniu stajni i wielkiej sali jadalnej przyszłego zamku. Można było gromadzić zapasy ociosanego kamienia, wycinać odpowiedniej długości dębowe belki, kuć zawiasy i kraty. Lecz skoro zabrakło pszenicy do wypieku chleba,

Rand nie mógł zapewnić wyżywienia tak licznej załodze. Będzie zmuszony odesłać większość z nich do Anglii, gdzie pozostaną aż do wiosny.

_ Na święte relikwie! - zaklął. Jeżeli sprawy będą się nadal toczyły tym torem, będzie skazany na pobyt w Walii aż do później starości. Już i tak przerwał prace przy budowie miasta poza murami zamku. Nikt nie ośmielił się sprowadzić rodziny, dopóki istnieje zagrożenie ze strony wrogo nastawionych tubylczych plemion. Odesławszy kopaczy, nie zdoła zgromadzić żywności. Nie dysponując obfitymi zapasami jada, nie może sprowadzić odpowiedniej liczby robotników na budowę. Rand tkwił w zaczarowanym kole niemożności, które wprawiała w ruch mściwa dłoń Owaina.

Południowa.. część pól nie uległa całkowitemu zniszczeniu - zameldował Osborne, zbliżając się galopem. - Ocalała czwarta część powierzchni wszystkich upraw, około półtora arszyna.

- To najdalsze od zamku pola. Będzie je trudno obronić.

Dowódca straży wzruszył ramionami.

- A więc ryby i ser. To będzie chuda zima. A już prawie nabrałem ciała po diecie odchudzającej, jaką nam zafundowałaś zeszłej zimy - zażartował.

Żaden dowcip nie mógł rozpędzić przygnębienia, które ogarnęło Randa na wieść o najnowszej klęsce. Dotychczas ograniczał się do obrony przed napaściami Walijszyków, lecz najwyraźniej powściągliwość nie popłacała. Musiał przybrać bardziej agresywną postawę.

_ Czas już dać nauczkę tym walijskim zbirom - mruknął.

- To oznacza wojnę.

Rand obrócił konia i podążył wraz z Osborne'em na Rosecliffe.

- Ci ludzie nie umieją docenić pokoju. Dopiero teraz przeniknąłem tajniki ich natury. Nawet między sobą nie umieją żyć bez walki. Wciąż muszą się z kimś bić. No, to teraz zetkną się z wrogiem straszliwszym od tych, z jakimi potykali się dotychczas.

Osborne szarpnął starannie przyciętą bródkę.

- Czy chcesz najechać wioskę?

Rand pochylił się do przodu, popędzając konia; wierzchowiec posłusznie wydłużył krok.

- Owszem, zdobędziemy Carreg Du. Zmierzę się z Owainem w bezpośredniej walce i raz na zawsze rozstrzygniemy sprawę naszego panowania.

- A co z Madokiem i Clyde'em?

- Są już starzy i gdy Owain zginie, sami wybiorą pokój.

Opór walijski osłabnie, gdy zabraknie silnego przywódcy. Tak, zdobędę Carreg Du, a może i Afon Bryn, jeśli okaże się to konieczne.

Zdobędę też Josselyn, jeżeli nieopatrznie stanie mi na drodze
□dopowiedział w myślach, ściskając łydkami konia.

Nie można było się łudzić - angielskie wojska ćwiczyły od świtu do nocy. Praktycznie nie gasł ogień na palenisku płatnerza szykującego oręż i zbroje. Nawet nocą, gdy Newlin siedział na płycie dolmenu, rozkoszując się mrokiem i mądrością zaklętą w świetle gwiazd, słyszał głucho uderzenia młotów kujących rozżarzone do czerwoności żelazo.

Bard umościł się wygodniej na twardej gładzi kamienia,

nadaremnie próbując odnaleźć nastrój do medytacji, w której pragnął się pogrążyć. Odruchowo wciągnął nozdrzami powietrze, czujny na wszelkie niezwykle zmiany w otoczeniu.

Wojna była nieuchronna, a Newlin zdawał sobie sprawę, że w porównaniu z krwawą łaźnią, jaka ich czeka, zeszłoroczne potyczki wydadzą się niewinnymi igraszkami. Newlin i tak podziwiał dotychczasową powściągliwość angielskiego wodza. Młodszy rycerze w jego drużynie, szczególnie brat przywódcy, Jasper, od dawna buntowali się przeciw narzuconej im taktyce nieagresji. Teraz z zapałem nadrobią lenistwo minionych miesięcy.

Newlin nie lubił wojny ani nawet myśli o niej, niezależnie od tego, kto bierze w niej udział i czy istnieją ważne przyczyny usprawiedliwiające rozlew krwi. Szanował ludzi honoru - zarówno mężczyzn, jak i kobiety. I dzieci, poprawił się w myślach, wspominając dzielną dziewczuszkę o imieniu Rhonwen. Lecz nie uważał za stosowne mieszać się do życia sąsiadów ani kierować ich sprawami.

Aż do tej chwili ...

Zogniskował źrenicę lewego oka na jasnej gwiazdce zawieszanej tuż nad horyzontem po zachodniej stronie nieba. Okoliczni mieszkańcy przypisywali mu wielką potęgę - lecz gdyby rzeczywiście władał nadprzyrodzonymi siłami, czyż nie zdołałby uzdrowić swoich zezowatych oczu? Ile trudu kosztowało go zawsze, zanim zdołał uzyskać wyraźny obraz przedmiotu, w który się wpatrywał!

Ponownie wyteżył wzrok, skupiając spojrzenie na gwiazdce jaśniejącej nisko nad ziemią.

Nie powinien się wtrącać w ludzkie sprawy, lecz darzył

Josselyn wielką sympatią i wiedział, że równie gorąco polubiłby jej dziecko □ jeśli maleństwu uda się przetrwać pomimo zagrożenia, jakie stanowił dlań Owain.

Bard wyciszył umysł i pogрузzył się w medytacji. Okiem wyobraźni ujrzał wizerunek niemowlęcia. W ciągu lata mała dziewczuszka urosła. Widział ją na festynie w dniu świętego Swithuna, zapamiętał różowe policzki i jasne włoski, lekkim puchem porastające główkę. W przyszłości jej warkocze pociemnieją i upodobnią się do splotów matki.

I do czupryny ojca.

Pomyślał o Randzie. Anglik nie zdawał sobie sprawy, że ma córeczkę. Czy Josselyn nie zamierzała mu o tym powiedzieć?

Nagle przyszła mu do głowy myśl, która zmaćiła spokój jego duszy i sprawiła, że gładkie czoło pokryły bruzdy troski. Josselyn bała się o los dziecka. Znowu ostrość widzenia wymknęła się spod kontroli, przesunęła do lewej źrenicy ... teraz do prawej ... Zacisnął obie powieki, aby położyć kres tym męczącym skokom. Nie, nie powinien się wtrącać. Nie zrobi tego. Ach, jakżeby pragnął znowu zaopiekować się bystrym umysłem jakiegoś dziecka, poprowadzić je po ścieżkach wiedzy! Josselyn była już dorosła, zajęta troskami dojrzałej kobiety. Rhonwen wciąż bała się barda. Ale Izolda ...

Uśmiechnął się, patrząc w milczącą ciemność nocy, i zdołał odzyskać ostrość widzenia. Znów ujrzał na horyzoncie jarzącą się silnym blaskiem gwiazdę, która zamruęała jak gdyby w odpowiedzi na nieme pytanie. Nie będzie się wtrącał, nie stanie po niczyjej stronie - lecz nawet wiekowy bard potrzebował strawy, by przeżyć gorzki chłód

zimowych miesięcy. Uczyni więc to, co uważa za konieczne, by zapewnić sobie wystarczające zapasy jada.

Usłyszał stąpienie. Po zmierzchu nikt nie odważył się wysunąć nosa spoza murów zamku Rosecliffe, a już na pewno nie w pojedynkę, ale niewidzialny przybysz był sam i stąpił śmiało.

- Witaj, Randulfie Fitz Hugh.

- Miałem nadzieję znaleźć cię tutaj, Newlinie. Przychodzę, by cię ostrzec. Ciebie i wszystkich Walińczyków zamieszkujących dolinę rzeki Gyffin. Moja cierpliwość wyczerpała się ostatecznie. - Nie zamierzam przecie uczynić nic, by cię stąd wypędzić.

- Nie ...

- Ani też wypędzać ludzi, którzy zamieszkiwali tę dziką krainę jeszcze w czasach trzech bogiń - ciągnął nieugięcie bard.

- Pragnę jedynie pozbyć się ludzi, którzy stają na przeszkodzie do osiągnięcia pokoju.

Księżyc mżył bladym światłem, w którym Newlin zdołał odczytać wyraz twarzy Anglika. To, co zobaczył, uspokoiło go. Tym uważniej skupił spojrzenie na angielskim wodzu.

- Madoc nie żyje - rzekł.

Madoc nie żyje! Rand osłupiał, słysząc zdumiewającą nowinę.

Madoc nie żyje, więc Josselyn jest wdową. Madoc nie żyje, dziecko Josselyn jest sierotą ...

Potrząsnął niecierpliwie głową. Nie chciał teraz o tym myśleć.

Prawdziwe znaczenie nowiny zawierało się w fakcie, że odtąd Owain objął przywództwo nad walijskimi oddziałami

w tej dolinie. Los Josselyn był drugorzędną sprawą.

Lecz Newlin najwyraźniej nie podzielał zdania Randa.

- Kiedyś planowałeś wydać ją za swego brata. Być może w ten sposób możesz teraz uzyskać upragniony pokój.

Rand roześmiał się gorzko.

- Nie ma mowy o pokoju, skoro tylko jedna strona naprawdę go chce. A może nawet i nie ... już nie. Śmierć Madoca popchnie Owaina do jeszcze bardziej krwiożerczych czynów.

- Nie odpowiedziałeś na moją sugestię.

Rand nie chciał na nią odpowiadać i podejrzewał, że mały człowieczek doskonale o tym wie. Co jeszcze wiedział o katuszach uczuć, jakie budziła w nim Josselyn?

_ Będę się zastanawiał nad kwestią pokoju dopiero wtedy, gdy rozwiążę kwestię wojny - oświadczył stanowczo.

Bard zachował spokój. W pobliżu rozległ się krzyk nocnego ptaka - to sowa wyruszała na polowanie.

_ Przyszedłem cię ostrzec, żebyś wiedział, co nadchodzi □ ciągnął Rand. - Walka będzie krwawa i nie skończy się, dopóki nie stawię czoła samemu Owainowi.

_ Nie opuścę tej ziemi - odpowiedział Newlin po prostu. - Nie odejdzie też większość mieszkających tu ludzi.

- Ani ja.

- Postanowiłeś więc tu pozostać?

Rand zmarszczył czoło.

_ Nie zamierzam dać się wypędzić. Wyjadę stąd dopiero wtedy, gdy nie będę już tu potrzebny.

_ Potrzebny - powtórzył bard jak echo.

Ten człowiek próbował go sprowokować! Rand skrzyżował ramiona na piersiach.

_ Przybyłem tu na rozkaz króla, aby wybudować warowną fortecę, dzięki której zdołamy zapewnić pokój na tej ziemi, dla wszystkich jej mieszkańców. Anglików i Walijszyków. Kiedy wypełnię tę misję, powrócę do Londynu.

- Lecz zostawisz brata.

Który będzie potrzebował żony ... Niewypowiedziane słowa zawisły w powietrzu. Rand zazgrzytał zębami.

_ Będzie potrzebował żony, a ja zachęcę go, by poślubił Walijkę. Jeżeli wybierze Josselyn, niech tak się stanie. Tymczasem chciałbym się dowiedzieć, jak umarł Madoc.

Bard wzruszył zdrowym ramieniem.

_ Powiadają, że miał atak piersiowy. Mówili mi, że to serce. Choć niektórzy twierdzą, że złapał się trochę niżej, tak jakby w okolicach żołądka.

- Żołądka? - powtórzył Rand. - Trucizna?

Newlin spojrzał w bok.

- Któż to wie? Był już w podeszłym wieku.

_ Któż chciałby go otruć? - Bard nie odpowiedział, więc Rand sam zaczął snuć rozważania: - Syn, który po śmierci ojca ma objąć władzę. Albo młoda żona, którą zmęczyło pożycie ze starcem. - Wierzysz w to?

Rand uciekł spojrzeniem w dal. Jakiż to diabeł podkusił go, żeby wyrazić takie przypuszczenie?

- Nie, nie wierzę. Ale czy Owain byłby do tego stopnia tchórzliwy, żeby pozbyć się ojca za pomocą trucizny?

- Czyż na angielskiej ziemi nie są znane przypadki takiego tchórzostwa?

Rand parsknął wymownie.

- W każdym kraju nie brak tchórzów. W każdej wiosce znajdziesz przynajmniej kilku.

- I wszędzie są ludzie źle poinformowani i zbłąkani. Lecz odbiegliśmy od właściwego przedmiotu twojej wizyty. Zamierzasz wypędzić lub zabić ludzi, którzy sprzeciwiają się obecności Anglików na tej ziemi. Czy przyszedłeś z czymś jeszcze?

Rand stłumił westchnienie. Nie miał żadnych innych spraw, o których chciałby rozmawiać wprost. Lecz tyle rzeczy budziło jego ciekawość! Było ich nawet więcej niż tego pierwszego dnia, gdy zszedł z Rosecliffe na spotkanie z bardem. A najważniejsze z nich było pytanie: czy Josselyn pograżyła się w żałobie po śmierci męża? Czy będzie teraz zmuszona poślubić Owaina? Czy zechce to uczynić?

- Owain ma żonę.

Rand zamrugał, jak zawsze zaskoczony przenikliwością Newlina.

- Może sobie ją mieć, lecz wkrótce tej kobiecie grozi wdowieństwo - mruknął. - Wtedy mogą się wspierać w żałobie wraz z Josselyn. Uważaj, byś się nie znalazł w samym środku walk między Rosecliffe i Carreg Du - dodał. - Życzę ci spokojnej nocy.

Anglik odszedł, niemal żałując, że postanowił odszukać Newlina.

Miał nadzieję uzyskać wsparcie w planach ofensywy przeciw buntowniczym Walijczykom. Wspinając się pod górę ścieżką wiodącą przez środek niedoszłego miasta, czuł się zagubiony i wiedział, że zamiast osiągnąć spokój, pograżył się w jeszcze większej niepewności. Josselyn nie należała już do Madoca. Była wolna.

Być może teraz, po smętnych doświadczeniach dzielenia łoża z podstarzałym mężczyzną, dziewczka nabierze chęci

poślubić kogoś młodszego i żwawszego.

Nadejdzie dzień, gdy znowu staną naprzeciw siebie i spojrzą sobie w oczy. Wtedy uzyska odpowiedź na to pytanie. W tej chwili jednak nie wiedział sam, czy chce tej odpowiedzi, czy też się jej obawia.

Anglicy przypuścili atak tuż przed brzaskiem, ryzykując wypad pomimo oznak nadchodzącego deszczu. Mądrość wojenna nakazywała w taką pogodę wystrzegać się akcji z użyciem konnych oddziałów, gdyż na śliskim i rozmokłym gruncie rumaki potykają się i bardziej zawadzają w walce niż ułatwiają zwycięstwo. Ale Randowi sprzyjało szczęście: deszcz nie spadł, a jego doborowi jezdni łatwo unieszkodliwili wartowników strzegących opłotków Carreg Du i bez przeszkód wtargnęli do osady, która, choć dobrze uzbrojona, nie miała szans w walce z konnymi rycerzami i towarzyszącym im oddziałem pieszych.

Osborne dowodził atakiem z lewej flanki, Jasper objął dowództwo natarcia z prawej, a Rand kierował drużyną, która przypuściła czołowe uderzenie w samo serce Carreg Du.

W płomieniach stanęły wnet zabudowania warzelni. Pędzony wiatrem dym pożaru wypłoszył nieliczne ukrywające się w wiosce kobiety i dzieci. Walińczycy bronili się zażarcie, lecz Anglicy bez litości likwidowali każde gniazdo oporu. Oszczędzali wszakże wszystkich, którzy rzucali broń.

Minęły trzy lata, odkąd Rand po raz ostatni wiódł żołnierzy do bitwy. Dobrze pamiętał uczucie, jakie towarzyszyło mu przed walką – podniecenie zmieszane z lękiem i zapamiętanie, jakie go ogarnęło na sygnał wzywający do

boju. Ale zapomniał już, jak szybko narasta żądza krwi, jak całkowicie potrafi opanować zmysły gorączka zabijania i przemocy.

Oto mocnym pchnięciem unieszkodliwił postawnego Walińczyka, który stanął mu na drodze. Zatrzeszczały druzgotane kości, gdy zdecydowanym szarpnięciem przekreślił ostrze tkwiące głęboko w ciele. Walczący obok tamtego woj wahał się przez chwilę, lecz przemógłszy lęk, rzucił się na Randa. Zginął w podobny sposób co jego towarzysz. Trzeci ruszył w stronę rycerza, lecz na widok ociekającego krwią miecza rzucił swój oręż na ziemię, wołając:

- Trugaredd!

Rand z trudem zmusił się, by usłuchać prośby o litość, gdyż zgiełk i woń bitwy sprawiły, że krew zagrała w jego żyłach podniecającego marsza. Przed walką postanowił wszakże ograniczyć zabijanie, więc opuścił miecz, rozbroił jeńca i oddał go Alanowi pod baczną opiekę. Potem spiął konia i ponownie rzucił się w wir boju.

Walki toczyły się jak Carreg Du długa i szeroka, lecz gdy słońce stanęło w zenicie, Anglicy świętowali zwycięstwo, choć drogo je przypłacili. Dziewięciu towarzyszy straciło życie, a jedenastu odniosło rany. Po stronie nieprzyjaciela było czternastu zabitych, a dwudziestu dwóch Walińczyków leżało rannych. Straż pilnowała sześćdziesięciu trzech jeńców. Anglicy triumfowali.

Josselyn dowiedziała się o bitwie od Nesty, która dotarła do Afon Bryn na czele niedobitków uciekających z Carreg Du. Osada zawrzała gniewem. Pozostali w Afon Bryn wojownicy przysięgali uwolnić uwięzionych towarzyszy i

położyć trupem wszystkich Anglików. Nawet Rhys i Rhonwen pogodzili się w obliczu jednoczącej ich sprawy, złączeni w nienawiści do wszystkiego co angielskie.

Podczas gdy mieszkańcy Afon Bryn zajęli się uciekinierami z sąsiedniej wioski, opatrując rany, karmiąc głodnych i zbierając zapasy dla tych, którzy błakali się w rozproszeniu po okolicy, myśli Josselyn krążyły wokół Carreg Du i wszystkich, którzy się tam w tej chwili znajdowali.

Czy Rand odniósł jakieś rany?

Właściwie powinna życzyć mu śmierci z ręki walijskiego woja, lecz nie mogła się do tego zmusić; modliła się o jego ocalenie, by któregoś dnia dowiedział się, że ma córkę. Gdy Izolda obudziła się z drzemki, cienkim, acz stanowczym głosem domagając się swojej porcji mleka, Josselyn z ulgą porzuciła dotychczasowe zajęcia i schroniła się wraz z dzieckiem w swojej izbie. Mała przyssała się do piersi, a Josselyn siedziała cichutko, wciąż nękana obawą o los Randa.

Nieco później, tuż przed zmierzchem, do wioski przybył Owain. Nie posiadał się z wściekłości. Wbiegł do głównej komnaty, trzaskając drzwiami; przeklinając, wołał o piwo i jadło. Meriel i Agatha pospieszyły, by go obsłużyć, lecz wszyscy inni w popłochu opuścili pomieszczenie. Nie minęła wszakże godzina, gdy Meriel bez pukania wtargnęła do sypialni Josselyn.

- Chce cię zobaczyć. Natychmiast. Lepiej nie każ mu czekać
□ponagliła dziewczynę ze złowróbnym chichotem.

- Czemu chce mnie widzieć?

- Z pewnością odpowie ci na to pytanie lepiej niż ja. Biegnij, dziewczyno ... aha, i weź ze sobą dziecko. - Skinęła głową,

wskazując śpiącą w kołysce Izoldę.

Wziąć Izoldę do Owaina? Josselyn poczuła, że serce zaczyna jej bić mocniej. Przysunęła się bliżej do ukochanej córeczki.

- Mała właśnie zasnęła. Nie będę jej budzić.

Meriel odstłoniła w uśmiechu długie, pożółkłe zęby.

- Dobrze, zostaw ją. Ja jej przypilnuję, a ty idź do Owaina sama. Josselyn nigdy przedtem nie obawiała się, by Meriel zdolna

była skrzywdzić Izoldę, teraz jednak poczuła niepokój. Nie widząc innego wyjścia, podniosła dziecko i podążyła do jadalnej komnaty, przygotowana na najgorsze. Mówiła sobie, że lepiej wiedzieć, co knuje Owain, niż pozostawać w niepewności - lecz w głębi serca czuła lęk, jakiego jeszcze nigdy nie przeżyła. Nikt nie potrafił przewidzieć, co uczyni Owain, a stać go było na wszystko. Josselyn zaś nie miała żadnych możliwości ucieczki spod jego władzy, przynajmniej w tej chwili. Przysięgła sobie, że gdy tylko będzie to możliwe, opuści ten przeklęty dom.

- Nie dam ci zrobić krzywdy - szepnęła, przytykając usta do mięciutkich włosków na główce Izoldy. - Obronię cię przed nim, choćbym musiała oddać cię twemu prawdziwemu ojcu.

Już na schodach usłyszała gniewny ryk Owaina:

- Czy ogłuchłaś, dziewczko? Nie słyszałaś, że każę ci ruszać się zwawo? - Słowom towarzyszyło głuche klaśnięcie i stłumiony jęk bólu. Po chwili minęła ją Agatha z twarzą zalaną łzami, które mieszały się z krwią płynącą z rozciętej wargi.

Josselyn zastygła, sparaliżowana jeszcze silniejszym lękiem.

Być może powinna była zostawić Izoldę pod opieką Meriel?

- Idź. - Stara kobieta pchnęła ją w plecy w kierunku jasno

oświetlonej komnaty. - Teraz twoja kolej!

Owain ujrzał ją stojącą u progu sali.

- Podejź - rozkazał krótko. Wbił w nią nieruchomy wzrok. Josselyn zdała sobie nagle sprawę, że czeka ją coś strasznego.

Owain siedział, milcząc, dopóki pozostali domownicy nie wyszli z pomieszczenia, a ona, przewyciężywszy strach, zbliżyła się nieco. - Mam dla ciebie zadanie - powiedział.

To musiała być jakaś pułapka, lecz Josselyn przezornie zachowała wątpliwości dla siebie. Mocniej przytuliła Izoldę.

- Jakie zadanie?

Uśmiech Owaina przypominał grymas rozwścieczonego wilka, gotowego rzucić się na zwierzęta z własnego stada.

- Jedź do Randulfa Fitz Hugh. Z pewnością nie odmówi ci spotkania. Wyprowadź go poza strzeżone granice wioski do lasu, gdzie będę mógł go zabić.

Josselyn starała się opanować drżenie całego ciała. Miałaby pomóc Owainowi zabić Randa? Potrząsnęła głową. Nigdy, przenigdy!

- Nie będzie chciał się ze mną widzieć.

- Kłamiesz! Zrobi to chętnie! - Zniżył głos, mierzając ją wymownie lubieżnym spojrzeniem. - Będzie chciał znowu wychędożyć niewiastę, która ośmieliła się go odrzucić.

Josselyn z trudem przełknęła grubiańską uwagę.

- Nie. Nie zechce ...

- Owszem, zechce! Odkąd mnie odrzuciłaś, mam nieprzepartą chęć cię wychędożyć ... i pewnego dnia dopnę swego. Czemu ten Anglik miałby być inny? Będzie miał na ciebie ochotę, choćby po to, by cię ukarać, a tymczasem ty wywiedziesz go tam, gdzie łatwo mi będzie go dopaść.

Posłużysz mi za przynętę.

Josselyn próbowała uporządkować myśli, opanować paniczny lęk i odzyskać zdolność logicznego rozumowania. Nigdy nie będzie w stanie zdradzić w ten sposób Randa, ale byłoby szaleństwem sprzeciwić się Owainowi wprost.

W gruncie rzeczy mogła wykorzystać jego plan, by obrócić go na swoją korzyść. Może uda jej się znaleźć okazję do ucieczki?

Owain musiał zwęszyć, jakie myśli chodzą jej po głowie, gdyż dopijając resztki piwa, uśmiechnął się szeroko. Otarł usta rękawem splamionym krwią, która nie mogła być jego, gdyż sam nie odniósł w walce żadnej rany.

- Moja droga Josselyn! Zapewnię sobie twoją lojalność, zatrzymując tu dziecko, dopóki nie wypełnisz misji, jaką ci powierzam.

- Nie! - krzyknęła Josselyn, wciągając gwałtownie powietrze.

Cofnęła się przejęta zgrozą.

Owain chwiejnie dźwignął się z krzesła.

_ Owszem, tak - odparował głosem podobnym do syku węża. □ Wywabisz go z wioski, to dzieciak będzie żył. Zawiedziesz mnie ... - zrobił złowieszczy krok w jej stronę - jeśli mnie zawiedziesz, ona umrze zamiast niego - dokończył jadownicie.

Josselyn oparła się plecami o zimny mur. Owain zbliżył się do niej na odległość ramienia. Wyciągnął rękę i uszczypnął policzek niemowlęcia tak mocno, że mała obudziła się ze snu. Pochylił się ku Josselyn, przekrzykując płacz dziecka.

_ Potrafię zgasić płomynek jej życia tak łatwo, jakbym zdmuchnął świeczkę. Mogę jej skrócić kark samymi palcami,

jakbym zabijał kurczaka. Wolałbym wszakże uśmiercić jej ojczulka ... pomożesz mi, Josselyn?

Zapytał ją głosem tak łagodnym i niedbałym, jakby prosił o kufel piwa, a Josselyn omal nie wybuchnęła niedowierzającym śmiechem. To jakiś koszmar, który nie mógł być prawdą!

Lecz wszystko, co się działo, było najprawdziwszą rzeczywistością. Widząc wahanie Josselyn, Owain sięgnął po Izoldę.

_ Dobrze, zrobię to! - krzyknęła, usuwając dziecko z zasięgu jego rąk.

Zaniósł się pełnym okrucieństwa śmiechem i zamiast schwycić dziewczynkę, ujął pod brodę jej matkę.

_ Ach, jakaż z ciebie dobra rodzicielka! Jeśli ci się uda, zwrócę ci dziecko całe i zdrowe, lecz jeżeli ci się nie powiedzie ... □ Wzruszył ramionami. - Wierzę jednak w twój spryt, Josselyn. Gdy Fitz Hugh zginie, wynagrodzę ci twoje starania.

Następna godzina minęła jak w koszmarnym śnie. Josselyn nie dbała o groźby wobec swojej osoby, lecz Owain grożący Izoldzie ...

Bezsilnie patrzyła, jak Meriel zabiera dziecko, a choć pozornie siedziała spokojna i opanowana, w głębi duszy krzyczała w niewysłowionej agonii bólu. Nie ufała Owainowi, nie ufała Meriel. Gdyby tylko mogła przekazać wiadomość Nescie czy komukolwiek z Carreg Du! Niestety, Owain zbyt był przebiegły, by pozwolić jej na widzenie z kimś, kto mógłby przyjść jej z pomocą•

Osobiście odprowadził ją na skraj puszczy i na pożegnanie dał jej ostatnie instrukcje. Miała udawać, że przybywa do

Randa, szukając schronienia, że zamierza pomóc mu pokonać Owaina. Opowie, że zna sekretny schron Walijczyka w lesie Wyndham, że wskaże mu go, by mógł zaatakować buntowników znienacka i ostatecznie zgnieść ich opór. Sam Owain zasadzi się w puszczy na angielskich rycerzy i sprawi im krwawą rzeź. Plan był prosty i dość łatwy, a nagroda niebagatelna, przypomniał ogłuszonej Josselyn.

Dziewczyna słuchała i potakiwała bez słowa, z wysiłkiem zachowując opanowanie.

Pokazał jej kierunek. Nie pozwolił jej wziąć szala, choć wieczór był przejmująco chłodny, a na wierzchowca wybrał okulałą chabetę, która zazwyczaj służyła jako juczne zwierzę.

- Prędzej uwierz w twoją ucieczkę, gdy przybędziesz do niego głodna i znużona. - Zaśmiał się.

- Nie rób jej krzywdy! - poprosiła zrozpaczona Josselyn. □
Zrobię wszystko, co chcesz, lecz pamiętaj, żebyś dotrzymał obietnicy. Nie skrzywdź mojego dziecka!

Zmierzch powłókł las purpurowym cieniem przywodzącym jej na myśl nabrzmiąte krwią sińce. W zabarwionej sinym blaskiem twarzy Owaina odmalowało się całe zło drzemiące w jego naturze. - Postaraj się nie dać mi powodu, bym ją krzywdził. - Uśmiechnął się chłodno w odpowiedzi.

Gdyby miała broń, zamordowałyby go z rozkoszą. Wydrapałyby mu oczy, wyrwała trzewia, otworzyła pierś i wyszarpała z niej okrutne serce. Lecz siedziała bezbronna na dychawicznej kobyle i nic nie mogła uczynić wobec potęgi zła, którego był wcieleniem. Ponagliła żałosnego wierzchowca i odjechała w głąb lasu, kierując się na północ.

Odnajdzie Randa i wymyśli jakąś wymówkę, by wywabić go tam, gdzie będzie czekał Owain.

Nie może się wahać. Nie może zacząć rozważać kwestii moralnej słuszności tego, co zamierza uczynić. Musi zrobić, co w jej mocy, by uratować dziecko, nawet jeśli oznacza to śmierć mężczyzny, którego kocha - choćby wraz z nim umarła część jej własnej istoty.

Część trzecia

"I otworzyła małe drzwi

W samiutkim środku bramy wrót;

Zza tych okutych skrzydeł, pamiętaj

Wyszła do boju armia zawzięta. "

Coleridge

Rozdział dwudziesty piąty

Josselyn natknęła się na Alana. A raczej to on odnalazł ją w chwili, gdy była już u kresu sił, gdyż wszystko sprzęgło się przeciw niej: wycieńczona chabeta okulała na drugą nogę, a dziewczyna straciła orientację w dusznym mroku leśnej gęstwiny i zaczęła się lękać, że nigdy nie odnajdzie Carreg Du. Alan trafił na zabłąkaną i zrozpaczoną Josselyn i przyprowadził ją do Jaspera. Jego oddział patrolował południowy skraj doliny poniżej wioski, posuwając się wolnym szykiem w złowieszczej ciszy puszczy, przerywanej jedynie monotonnym pluskiem kropel deszczu kapiących na

poszycie z koron drzew. Anglicy, choć znużeni całodniową walką, czerpali siłę do patrolowania puszczy z upojenia, jakim syci zmysły zwycięstwo. W gęstwinie lasu złapali trzech Walijczyków. Razem z Josselyn liczba odnalezionych nieprzyjaciół wzrosła do czterech - z tym że dziewczyna szła za nimi dobrowolnie i chętnie.

- Muszę rozmówić się z twoim bratem - oświadczyła Jasperowi.

To samo powiedziała przedtem Alanowi, który uparł się jednak, by zaprowadzić ją do swego bezpośredniego przełożonego.

- Ach, więc jednak spotykamy się znowu. - Młodzieniec zsiadł z konia i stanął przy niej.

Wzrostem dorównywał Randowi, lecz nie był tak muskularny. Zorientowała się, że jest młodszy, niż jej się wydawał wtedy, gdy go po raz pierwszy ujrzała. Młodszy i przystojniejszy, ze zmysłowymi wargami w twarzy o śmiało rzeźbionych rysach. Lecz dostrzegła w nim zarazem powierzchowność uczuć, charakterystyczną dla wieku młodzieńczego, i nadmierną arogancję.

Jeżeli się ożeni, jego oblubienica wnet się przekona, że dostał się jej trudny we współżyciu małżonek.

Ale to jej nie mogło obchodzić, szczególnie, teraz, gdy miała o wiele pilniejsze sprawy na głowie.

- Muszę natychmiast mówić z Randem.

- Ach, zwiesz go Randem? Nie mówisz o nim sir Randulf czy pan Fitz Hugh, jest dla ciebie po prostu Randem? - Uśmiechnął się kpiąco. - A cóż to cię do niego sprowadza?

Czy chcesz sprzedać jakąś informację? - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - A może oferujesz coś, co i ja chętnie bym kupił?

Odpląciła mu morderczym spojrzeniem. Nie miała czasu na próżne przekomarzania, dopóki Owain trzymał Izoldę jako gwarancję jej lojalności.

- Zapewniam cię, że twój brat nie będzie ci wdzięczny, jeśli przyczynisz się choćby do minuty zwłoki w przekazaniu moich nowin. - Nie była wcale pewna, lecz musiała zaryzykować. Zwróciła się do Alana: - Ty wiesz, że nie przyjechałabym tu, gdyby nie nagła potrzeba. Powiedz mu!

Alan najwyraźniej ociągał się z przyjęciem roli jej poplecznika, lecz po chwili wahania skrzywił twarz w niechętnym uśmiechu.

- O tak, będzie rad ją widzieć. Lecz musisz wiedzieć, dziewczko, że odnajdziesz w nim człowieka wielce zmienionego, zupełnie nie tego rycerza, którego oczarowałaś poprzedniej wiosny. Teraz na próżno byś próbowała na nim swoich sztuczek, ani na żadnym z nas!

- Mów za siebie - przerwał mu Jasper. - Ja chętnie padłbym ofiarą czarów tej wiedźmy. Co na to powiesz, moja panno? □ dodał, ściągając jej chusteczkę z głowy.

Josselyn odtrąciła śmiałą dłoń.

- Poszukaj sobie jakiejś zakonnicy, a nawet dwóch - parsknęła - a mnie powiedz tylko, gdzie mogę znaleźć Randa. Sama do niego pojedę.

Wreszcie zgodzili się ją do niego zabrać. Półżywa ze zmęczenia chabeta potykała się między ich bardziej rączymi rumakami.

Kiedy dotarli do Carreg Du, Josselyn przekonała się, że choć osada pozornie była ta sama, wszędzie widoczne były ślady wielkich zmian. To już nie była wioska, w której spędziła dzieciństwo. Pod panowaniem Owaina osada zmieniła się w zbrojny obóz. Teraz zaś Josselyn patrzyła na okupowane terytorium, opanowane przez Anglików. Zewnętrznie wszystko wyglądało tak samo, z wyjątkiem spalonej warzelni. Wśród przechodniów widziała tu i tam twarze znanych jej Walińczyków - widocznie wziętych do niewoli w czasie ostatniej walki. Byli jednak nieliczni i ginęli w tłumie Anglików, którzy kręcili się po wszystkich uliczkach. Ich obecność sprawiła, iż osada stała się Josselyn obca. Czy kiedykolwiek powrócą czasy, gdy Carreg Du była prostą walijską wioską?

Zbliżali się do domostwa, które zajmował jej stryj, zamienionego obecnie w posterunek dowództwa i kwaterę Randa. Już stojąc przed drzwiami, Josselyn zawahała się nieznacznie. Co właściwie chce mu powiedzieć? Jak zacząć? Czy Rand zaufa jej na tyle, by podążyć za nią w zasadzkę, jaką szykuje dla niego Owain?

Czy rzeczywiście potrafi zwabić go na pewną śmierć?

Stała wpatrzona w drzwi, które przekraczała tysiące razy w życiu. Tym razem przejdzie przez nie jako inna osoba - posłanka śmierci. Jeśli zaprowadzi Randa w pułapkę i wyda go na łaskę Owaina, będzie współwinna morderstwa.

A przecież musi myśleć o losie Izoldy. Głowa pękała jej z udręki, jaką sprawiały daremne próby znalezienia rozsądnego wyjścia. Co zrobić? Co począć?!

Josselyn wiedziała, że pozostaje jej tylko jedno. Pchnęła drzwi, w duszy odmawiając krótką modlitwę za Izoldę -

modlitwę, która była dla Randa wyrokiem śmierci.

Zdumiona stwierdziła, że obszerna komnata świeci pustkami.

Tylko jeden człowiek siedział w wyniosłym lordowskim krześle przed wygasłym paleniskiem. Zatopiony w rozmyślaniach Rand jak gdyby nie zauważył jej przybycia.

Kiedy wreszcie podniósł głowę, nie wydawał się zaskoczony jej widokiem. Ona, choć miała możliwość przygotować się z góry na to spotkanie, poczuła wstrząs, który nieomal ją obezwładnił. Oto stoi przed nim - przed Randem, ojcem Izoldy, swoim jedynym kochankiem. Przed mężczyzną, któremu oddała serce.

W ciągu długich dni minionego roku zdarzało się nieraz, że zaczynała wątpić w prawdziwość swych uczuć. Lecz wystarczyła jedna chwila, jeden błysk jego ciemnych oczu krzyżujących się z jej spojrzeniem, by przekonała się, że serce mówiło jej prawdę. Kochała go tak samo silnie jak niegdyś. O ile cięższe stało się jej zadanie!

Lecz patrzyły na nią twarde oczy wojownika, przypominając o innej, równie gorzkiej prawdzie. Nie kochał jej już wtedy a ponad wszelką wątpliwość nie kochał jej w tej chwili.

Przełknęła niespodziewaną gorycz rozczarowania. Przecież nie przybyła tu w poszukiwaniu miłości, lecz by zapewnić bezpieczeństwo swemu dziecku. Musi wypełnić plan obmyślony przez Owaina, zwabić Randa w jego łapy, choćby serce pękało z żalu. Nie miała innego wyjścia.

Rand nie wstał na jej powitanie. Po chwili niezręcznego milczenia Josselyn stanęła na środku izby.

- Przyjechałam ... - Głos ją zawiódł. Zaczerpnęła głęboko powietrza, próbując odzyskać zimną krew. - Przyjechałam

błagać cię o pomoc.

Z wolna, ruchem pełnym wymownej dbałości o szczegóły, złożył dłonie tak, by czubki palców stykały się pod brodą.

- Chcesz błagać mnie o pomoc? A jakiejże to pomocy może oczekiwać od angielskiego rycerza zajadła walijska buntowniczką? Chyba że przyjechałaś, by zwieść mnie, nieprzyjaciela, swoją uległością, bym popadł w fałszywą błogość zwycięstwa? Chcesz mnie odwieść od wypełnienia moich zamiarów? - Zacisnął wargi. □ Ciekaw byłem, na jaki krok zdecydujesz się po śmierci męża. Po prawdzie nie przypuszczałem, że zechcesz zwrócić się do mnie. Lecz skoro już się zjawiłaś, zacznijmy igraszki. Możesz spróbować mnie rozerwać, marzę o chwili rozrywki!

Josselyn potrząsnęła głową.

- Mylisz się, nie o to chodzi. Nic mnie nie obchodzi wojna, którą prowadzicie z Owainem ...

- Nic cię nie obchodzi? Przedtem cię obchodziła. Do tego stopnia, że zdecydowałaś się poślubić starca, by zapewnić, że do niej dojdzie!

Gorzka to była prawda - a przecież Rand nie wiedział wszystkiego.

- Nie rozumiesz ... - zaczęła, lecz jej przerwał.

- Ani nie pragnę zrozumieć. Wystarczy, że udało mi się narzucić pokój w dolinie rzeki Gyffin. A co do twej prośby o pomoc ... □ przebiegł oczami po jej sylwetce obraźliwym spojrzeniem kupca, który ocenia wartość towaru, aż cofnęła się jak uderzona - mogę ci służyć tylko na jeden sposób. Jeżeli tego pragniesz, zwlecz szaty. Jeśli co innego masz na myśli, odejdz i zostaw mnie w spokoju.

Nie miała zamiaru płakać, lecz słysząc brutalne słowa, nie

zdołała powstrzymać łez.

_ Myśl sobie o mnie, co chcesz. Możesz mnie wziąć do łóżka, jeśli tego pragniesz. Ale wysłuchaj mnie, Rand, bo przyjechałam tu, by ci pomóc.

_ Mnie? Pomóc? - Zaniósł się chłodnym, pogardliwym śmiechem, a ściany izby odbiły szyderczym echem jego wesołość. □ Jak mogłabyś mi pomóc? Twój mąż nie żyje, twoja wioska padła w walkach. Nie masz żadnej władzy, nie potrafisz mi pomóc w żaden sposób, chyba że podasz mi Owaina na tacy. Czy to właśnie masz na myśli? .

Patrzyła mu prosto w oczy, tak podobne do oczu Izoldy, że serce jej ścisnął ogromny ból. Lecz właśnie to przejmujące podobieństwo sprawiło, że znalazła w sobie siłę, by brnąć dalej.

- Tak. Mogę ci go podać na tacy.

Szare tęczęwki rycerza zwięziły się podejrzliwie. Zapadła głęboka, aż ogłuszająca cisza. Rand jej nie dowierzał, lecz wahał się, czy rzeczywiście powinien odrzucić jej słowa. Za opuszczonymi powiekami dawnego kochanka Josselyn wyczuwała wewnętrzne zmagania.

- Czemu miałbym ci uwierzyć?

_ Bo ... bo nie mam powodu, by kłamać. - Masz wszystkie powody.

_ Nie! Nie, ty nic nie rozumiesz. Owain to szaleniec ... □ Przynajmniej to było prawdą. Zbliżyła się do Randa o krok. □ Prowadzi mój lud na zatracenie. Czy rzeź, która tu się odbyła, nie jest tego najlepszym dowodem?

_ Madoc nie żyje, więc Owain przejął przywództwo nad Walińczykami. Twój stryj nie potrafi mu się przeciwstawić, a twoja wioska padła i jest teraz pod moim panowaniem. -

Skrzyżował ramiona na piersiach i mierzył ją badawczym spojrzeniem. □ A więc tkwisz w potrzasku między mną a nim, tak jak to zawsze było. Niegdyś uznałaś Owaina za mniejsze zło, a teraz wydaje się, że mnie przeznaczyłaś tę chlubną rolę. Czy trafnie ująłem twój dylemat i prześledziłem ścieżki, jakimi biegły twoje myśli?

Gardło Josselyn ścisnęło się w napływie tylu sprzecznych uczuć.

Owszem, Rand mówił prawdę, lecz jak wiele przemilczał!

To, że go kochała, a on chciał oddać ją swemu bratu ... Że mieli ze sobą dziecko ... Lecz wszystko było już przeszłością, a ona musi myśleć o chwili obecnej i o przyszłości Izoldy.

- Tak. Teraz pojmuję, że życie pod panowaniem Anglików jest lepsze niż w niewoli Owaina.

Miała nadzieję, że go przekonała, gdyż długo milczał. Wreszcie podniósł się z krzesła i podszedł do niej, ponownie mierząc ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Jak zamierzasz mi pomóc?

Kłamstwo spłynęło z języka z lekkością prawdy, lecz wypełniło usta gorzkim smakiem.

- Mogę cię zaprowadzić do kryjówki w lesie, gdzie Owain przygotowuje się do odwetu. Weź ze sobą żołnierzy i zaskocz go tam.

- Rozumiem. - Rand zaciskał pięść, rozluźniał ją i ponownie zaciskał. - A więc decydujesz się zaprowadzić nas do niego, wydać swoich pobratymców na rzeź. Czy tak mam to rozumieć?

Jego słowa napełniły ją odrazą do samej siebie. Nie zamierzała wprawdzie wydać na śmierć swoich ziomków, ale czy jej prawdziwe intencje nie były równie haniebne?

Odepchnęła od siebie nieproszone wątpliwości i skinęła głową.

- Rozumiem. - Odwrócił się i odszedł powolnym krokiem.

Josselyn zwiesiła ramiona pod ciężarem własnej podłości. Robię to tylko dla Izoldy - powtarzała sobie w duszy. Tylko dla Izoldy.

Nagle Rand zwrócił się ku niej, kręcąc powątpiewająco głową.

Przeszył ją ostrym wzrokiem, jakby potrafił obnażyć jej kłamstwa.

- Łiesz! Byłabyś zdolna wydać Owaina, lecz nie zdradzisz swoich ludzi. Nie, to nie brzmi prawdopodobnie. To Owain podsunął ci ten pomysł, prawda?

- Nie. Nie! On nie wie, że ..

- Więc gdzie masz dziecko?

- Co?

Przybliżył się jeszcze bardziej, okręcał ją jak wielki drapieżnik tropiący zwierzynę.

- Gdzie jest twoje dziecko? - spytał, gdy ponownie znalazł się z nią twarzą w twarz.

Krew uderzyła jej do głowy.

- U ciotki - skłamała pospiesznie.

- A więc twoja ciotka wie, że tu przyjechałaś. Kto jeszcze?

- Nikt. Nikt, naprawdę ... - Zająknęła się. - Wymknęłam się ...

- Owain też nie wie?

Serce skakało w piersiach jak oszalałe.

- Owain? Nieee, on ...

- Myślę, że wie o tym doskonale. Myślę też, że wziął twoją córeczkę jako zakładniczkę, żebyś musiała wiernie wypełnić jego polecenie. Inaczej nie zostawiłabyś jej samej.

Jakże pragnęła wyznać prawdę. Och, jak bardzo chciała powiedzieć mu o wszystkim! Lecz paraliżujący lęk o bezpieczeństwo dziecka związał jej język. Rand musi jej uwierzyć! Musi! Od tego zależy życie Izoldy. Desperacko szukała słów, które mogłyby go przekonać, lecz nic nie przychodziło jej na myśl.

Czuła, jak Anglik przewierca ją wzrokiem na wskroś, przesiewa słowa, szukając w jej opowieści ziarna prawdy.

- Dziecko jest z Nestą - powtórzyła, walcząc z obezwładniającym lękiem.

Rand parsknął pogardliwym chichotem.

- Owain nie jest głupcem. Wie, że w otwartej walce nie uda mu się mnie pokonać, więc obmyślił zasadzkę, w którą chce mnie zwabić. To przechyliłoby szalę na jego korzyść.

Josselyn uczyniła ruch, jak gdyby chciała odejść, lecz przygwoździł ją w miejscu stalowym chwytem za ramię.

- Powiedz mi prawdę, Josselyn, prawdę!

Bardzo tego chciała, lecz nie mogła, gdyż podpisałaby tym samym wyrok skazujący na śmierć słodkie, niewinne maleństwo. - Nie, wszystko źle zrozumiałaś. Owain wcale mnie tu nie przysłał!

Odepchnął ją od siebie z niesmakiem.

- Odejdź precz! Na sam twój widok robi mi się niedobrze.

Poczołgaj się z powrotem do swego drogiego Owaina i przekaz mu moje słowa: w walce ze mną utracił większość swoich ziem. Teraz zabiorę całą resztę i uczynię wszystko, by jego potomstwo nigdy nie odzyskało władzy nad tą krainą. Tu będą rządziły moje dzieci, dla dobra wszystkich, którzy ją zamieszkują. Moje dzieci, nie jego! Przekaz mu te słowa, Josselyn ap Caneg Du. Teraz odejdź.

Stała przed nim, drżąc bezradnie, niezdolna się ruszyć. Poniosła klęskę - ale zapłaci za to Izolda. Poczowała pieczenie łez w oczach i ich wilgoć na policzkach. Patrzyła na Randa. Jakaż musiała go przepełniać nienawiść do niej i do jej ludu! Mimo wszystko nie potrafiła zaakceptować porażki. Nigdy tego nie zrobi! Wyciągnęła do niego rękę.

- Błagam cię; Rand, musisz mi uwierzyć!

W odpowiedzi usłyszała pogardliwe prychnięcie.

- Twoje usta kłamią, twoje łzy kłamią. Kłamałaś od pierwszego razu, kiedy się spotkaliśmy.

Josselyn zachwiała się pod ciężarem okrutnego oskarżenia.

Owszem, kłamała ... ale nagle zdała sobie sprawę, że dłużej nie może tego ciągnąć. Kłamstwa ją zawiodły, a więc musi poszukać ratunku w prawdzie.

Otarła łzy wierzchem dłoni.

- Masz rację. Masz rację! - przyznała, dławiąc szloch. - Rzeczywiście kłamałam. To Owain mnie przysłał.

Sądziła, że ujrzy na jego twarzy triumf, lecz patrzył na nią pustym spojrzeniem, które nic nie wyrażało. Skrzyżował tylko ramiona i czekał. Zaczerpnęła powietrza i ciągnęła:

- Zrobiłam tak tylko dlatego, że trzyma moje dziecko. Wie, że to mój słaby punkt... - Urwała. - Wie, że to twoje dziecko.

W sali zaległa dzwoniąca echem cisza, jak w ogromnej, pociemniałej jaskini.

Wreszcie Rand ściągnął wargi i zmrużył oczy. A po chwili pokręcił przecząco głową.

- Nowe kłamstwo. Wiem, że twoja córka nie jest moim dzieckiem!

- Owszem, jest. Przysięgam!

Ujrzała dobrze jej znane nerwowe drganie podbródka.

- Kobieto, nic nie uzyskasz kłamstwami! Zapominasz, że spotkałem cię na jarmarku w dniu świętego Ebbego, kiedy jeszcze nie widać było ani śladu brzucha. Dobrze się wtedy przypatrzyłem!

Ponownie łzy napłynęły jej do oczu, lecz tym razem opanowała płacz.

- Izolda była bardzo małym noworodkiem, o mało co nie umarła zaraz po narodzinach. Nawet teraz jest jeszcze maleńka i drobniutka, ale to twoje dziecko. Twoje, Rand!

Roześmiał się głucho.

- A cóż myślisz zyskać tą żalospną opowieścią?

- Owain trzyma ją w swoich szponach! - krzyknęła zdesperowana Josselyn. - Jeżeli nie wypełnię misji, z jaką mnie tu przysłał, zabije ją!

Rand ponownie pokręcił głową, jakby odrzucając tę ewentualność.

- To puste groźby. Nie odważyłby się skrzywdzić własnej siostry!

- Ona nie jest jego siostrą, i Owain dobrze o tym wie! Wie o tym - dokończyła przerażonym szeptem.

Lecz nic nie było w stanie przekonać Randa. Nalał sobie kielich wina i jednym haustem osuszył go do dna. Odstawiając naczynie na stół, wpił w Josselyn przenikliwe oczy.

- A skąd miałby o tym wiedzieć? A może ojciec podzielił się z synem własną małżonką? Kto wie, czy to dziecko nie jest szczenięciem Owaina - dodał jadowicie.

Na samą myśl o takim bluźnierstwie zadrżała.

- Znęcaj się nade mną do woli, jeśli tego pragniesz, ale nie uczyni nic, co przypieczętuje los twego własnego dziecka

tylko dlatego, że mną pogardzasz. Madoc nie mógł... dawno utracił zdolność wypełniania męzowskich obowiązków. Owain dowiedział się o tym i wyciągnął jedyny słuszny wniosek. Dlatego nie miał skrupułów, by mnie wykorzystać, używając do tego dziecka. To twoja córka, przysięgam na własne życie!

W oczach Randa pojawił się jakiś błysk. Josselyn serce zabiło na myśl, że zdołała go przekonać, lecz słowa, które usłyszała po chwili, położyły kres nadziei.

- Nie jest moja. Nie! Nie mogę ci pomóc, chyba że poprzeczysz, do jakiego od dawna zmierzam: ostateczne rozbitcie Owaina, starcie jego armii z powierzchni ziemi. Do tego czasu musisz chronić dziecko przed jego gniewem w ten sam sposób, jaki zastosowałeś, zdaje się, wobec mnie. Obiecuj mu rozkosze cielesne, uwiedź go kobiecym wdziękiem, uspij czujność miłosnymi igraszkami. Ochronisz dziecko, poddając się jego władzy ... Przecież tego chciał od samego początku - zadrwił.

Josselyn cofnęła się o krok. I jeszcze o jeden. Jak gdyby ustępowała przed gradem ciosów. Rand nie uwierzył w swoje ojcostwo, a ona nic go nie obchodziła. Nie ruszy się w jej obronie. Czemu choćby przez mgnienie oka sądziła, że może tego oczekiwać? Wreszcie odnalazła siłę, by mu odpowiedzieć, ale nie znajdując innych słów, powtarzała w kółko:

- Ona jest twoja, Rand. Twoja ...

Zasłonił uszy i się odwrócił. Gdy ponownie napełnił kielich z cynowego dzbana, ręka mu nie zadrżała. Był taki spokojny, taki opanowany, jak gdyby w ogóle nie docierały do niego uparte zapewnienia Josselyn. Nie wierzył jej i nic

nie może tego zmienić.

W poczuciu klęski, oślepią łzami, po omacku znalazła drogę do wyjścia. Stąpała sztywnym, chwiejnym krokiem, jak gdyby grunt pod nią chwiał się i zapadał. Wiedziała od dawna, że Rand jej nienawidzi, lecz przez cały czas wierzyła w głębi duszy, że zdoła go przekonać, a wtedy zechce poznać swoje dziecko. W jakimś zakątku serca piastowała nadzieję, że Rand pospieszy z pomocą małej Izoldzie. Teraz rozumiała, jak bardzo, jak całkowicie się myliła.

Opuściła dom, w którym spędziła dzieciństwo i młodość. Niepewnym krokiem przecięła gospodarczy podwórzec. Kilku ludzi Randa powiodło za nią oczami, lecz nikt jej nie zatrzymywał, gdy przechodziła przez bramę, której strzegły podwójne warty. Zorientowała się, że wkrótce wzejdzie słońce.

W półmroku brzasku rozróżniała ciemne zarysy drzew i głęboki cień łańcucha wzgórz leżącego na wschód od wioski. Kogut pierwszym pieniem ogłosił wszem i wobec nadejście świtu.

Josselyn szła naprzód, nie dostrzegając piękna ukochanej ziemi, nie słysząc tętniącego w niej życia. Izolda przesłaniała jej wszystko i rządziła nią z całkowitą wyłącznością. Izolda! Taka maleńka, lecz tak pełna życia. Tak łatwo ją było skrzywdzić ...

Josselyn zebrała siły, by stawić czoło nowemu zmartwieniu. Musi znaleźć sposób, by ułagodzić Owaina. Niewątpliwie będzie na nią wściekły, lecz nie wolno jej dopuścić, by wyładował się na Izoldzie. Zaoferuje mu siebie - raz, dwa razy, tysiąc razy! Zrobi wszystko, by ocalić dziecko, skoro ojciec Izoldy odmówił jej w tym wsparcia.

Rand doścignął Josselyn poniżej opłotków Carreg Du, w miejscu, gdzie mokra od rosy łąka przechodziła w leśną gęstwinię. Pierwsze promienie świtu wyzłociły wierzchołki brzoź i wiązów, lecz pod drzewami zalegał jeszcze cień, w którym brodziła ciemno odziana, szczupła figurka dziewczyny. Taka bezbronna i słaba ...

Czy naprawdę kłamała?

Bił się z myślami, odkąd wyszła z izby. Czy rzeczywiście potrafiłaby skłamać w takiej sprawie?

Ściągnął cugle i patrzył, jak Josselyn mozolnie wspina się w górę stoku, zdążając pod ochronę lasu. Tak, wysłano ją, by zwabiła Randa i jego ludzi na pewną zagładę; sama się do tego przyznała. A on, jak ostatni głupiec, biegnie oto za nią tam, gdzie mogły czekać w zasadzce gromady jej współplemieńców! Być może właśnie zmierza ku pułapce wyszykowanej przez Owaina?

Przesunął baczny spojrzeniem po skraju lasu. Jego żołnierze patrolowali ten odcinek puszczy, mógł więc spodziewać się, że żaden Walińczyk nie czai się na polach i w lasach otaczających Carreg Du aż po płaskowyż Rosecliffe. Lecz nawet gdyby nieprzyjaciel krył się za krzakiem, Rand musiał doścignąć Josselyn i jeszcze raz z nią porozmawiać.

Czemu go okłamała? Jaki miałaby powód, by twierdzić, że jest ojcem jej dziecka?

Odpowiedź narzucała się sama: Josselyn bała się Owaina i chciała, żeby Rand pomógł jej pozbyć się zagrożenia, jakie stanowił dla niej i jej dziecka młody Walińczyk. Ale przecież wiedziała dobrze, że Rand nie planuje niczego innego, aczkolwiek nie dla niej, lecz dla dobra jego ludzi i wszystkich tych, którzy przedkładają pokój nad wojnę. Gdy

zwycięży, Josselyn będzie wolna od prześladowań Owaina, a wraz z nią i dziecko. Czemu więc miałyby go okłamywać z taką żarliwością w głosie? Czy nie znaczyło to czasem, że tym razem mówi prawdę?

Właśnie ta wątpliwość nie dawała mu spokoju, aż dosiadł konia i wyjechał .poza wioskę w poszukiwaniu Josselyn.

Z oczami wciąż utkwionymi w dziewczynę pognął wierzchowca.

Kiedy nagle wyprostowała plecy, domyślił się, że zorientowała się, iż jest śledzona. Rzuciła trwożliwe spojrzenie za siebie, zgarnęła spódnice i przyspieszyła kroku. Lecz Josselyn była zmęczona, a Rand jechał konno, więc powoli ją doganiał. Nie mogła mu się wymknąć! Wtem dziewczyna jeszcze raz spojrzała za siebie i się zatrzymała. Poznała ścigającego.

Rand zatrzymał wierzchowca i w milczeniu spoglądał w dół, na twarz Josselyn. Zauważył głębokie bruzdy zmęczenia na policzkach i czole i zaczerwienione od łez powieki. Mimo to stała przed nim nadal piękna dziewczyna o zmysłowych ustach i bujnym ciele. Bynajmniej nie zamierzał studiować jej piękności ani poddać się jej urokom, planował pozostać zimny i obojętny. Lecz tym razem nie wdzięk przykuł jego wzrok, lecz wyraz zrozpaczonej nadziei w oczach kobiety. Josselyn obawiała się tej nadziei, wiedząc, że może okazać się płonna, a jednocześnie resztką sił liczyła, że Rand zmieni zdanie i jej uwierzy.

Kochała swoje dziecko - to nie ulegało wątpliwości. Lecz czy rzeczywiście on był ojcem?

Westchnął. Czyżby miało to jakieś znaczenie?

- Chcę ocalić twoje dziecko z łap Owaina.

Usłyszał szmer niemal niedosłyszalny, króciutki wdech, taki jaki wydaje niemowlę chwyciwszy w usteczka pierś matki. Nie powiedziała ani słowa, nie wybuchnęła potoczystymi wyrazami wdzięczności. Położyła jedynie dłoń na strzemieniu i w tym małym geście zawarła wszystko. Wdzięczność, ufność, nadzieję.

Poczuł głębokie wzruszenie.

Przypomniał sobie przysięgę lojalności, którą jako wasal składał królowi Henrykowi, wyciągnąwszy odwróconą do góry dłoń, by lennik mógł postawić na niej stopę. W ciszy świtu, w cieniu prastarych wiązków zdało mu się, że oto teraz Josselyn składa mu niemą przysięgę wiecznej służby i lojalności.

Nie tego od niej oczekiwał.

A powinno mu to wystarczyć! Powinno być wszystkim, czego mógł od niej żądać - lojalności obywatela żyjącego pod jego panowaniem. Jeśli uczyni wyłom w plemiennej solidarności i zyska lojalność choćby kilkorga Walińczyków, będzie to krok we właściwym kierunku.

Lecz od Josselyn pragnął uzyskać więcej.

Zaklął w duszy, tłumiąc absurdalne mrzonki. Cofnąwszy nieco konia, zsiadł i podszedł do dziewczyny.

- Gdzie jest Owain?

Zacisnęła wargi.

- W Afon Bryn.

- A dziecko?

- Razem z nim, w wiosce, przynajmniej była tam, gdy odjeżdżałam. Od tego czasu mógł ją gdzieś wywieźć - dodała, patrząc na niego przerażonymi oczami.

Z wysiłkiem powściągnął chęć, by ją przytulić w geście

pocieszenia.

- Wracaj do Owaina, powiedz mu, że udało ci się mnie przekonać. Ułóż piękną bajkę z tyloma szczegółami, ile uznasz za konieczne. Gdzie jest zasadzka, w którą chce mnie schwytać?

Wyprostowała się w przyływie nowych sił. Promyk wschodzącego słońca padł na gładko ściągnięte włosy na czubku jej głowy, rzucając lśniące błyski na hebanową czerń. Ot, gra światła, którą oczy Randa mimowolnie zauważyły i zapamiętały.

_ Tuż koło rzeki, jeszcze zanim wypłynie na najniższe łąki, jest wąska przecinka prowadząca do lasu Wyndham. Tam w pewnym miejscu puszcza dochodzi do jednego brzegu rzeki, a drugi jest niedostępnym skalistym urwiskiem.

_ Owain zamierza więc czekać w lesie?

_ Nie znam wszystkich jego planów. Wiem tylko, że muszę wysłać cię tym szlakiem.

Spojrzał za jej plecy w gęstwinę puszczy.

- Kiedy?

- Jak najszybciej.

_ Niech więc będzie jutro. - Zerknął na nią przelotnie, starając się patrzeć wzrokiem obojętnym i pozbawionym wszelkich uczuć. □ Wiesz, że wielu ludzi straci życie w walce? Mam na myśli wielu twoich ziomków.

Skłoniła głowę

- Wiem.

Rand z namysłem wypuścił powietrze z płuc. Czy nie był głupcem, dając wiarę jej słowom, skoro tyle razy przedtem go okłamała? Cóż, przekona się o tym już jutro.

_ Idź. Wracaj do Owaina.

Spojrzała na niego i podeszła bliżej - za blisko.

- Rand ... - zaczęła.

_ Przestań - warknął. - Nie próbuj uzyskać nic więcej.

Nie słuchała go.

- Ona jest twoja. Zobaczysz ...

_ Nie! Z tego, co wiem, jest dzieckiem Madoca lub Owaina, lub kogokolwiek innego, ale nie moim. I nic mnie to nie obchodzi. Nie obchodzi mnie, z iloma się pokładałaś.

Kłamał, i dobrze o tym wiedział. Na samą myśl o dłoniach innego mężczyzny błędzących po jej ciele czuł, jak krew zastyga mu w żyłach. Nawet teraz, choć upłynął już z górą rok, nie potrafił opanować obłąkańczej chęci posiadania, jaką budziła w nim ta kobieta. Nie chciał tego uczucia, lecz musiał przyznać sam przed sobą, że jej nadal pożąda. I to nie tylko ciała, które mógł teraz mieć na każde żądanie, gdyż Josselyn była mu wdzięczna. Pragnął od niej czegoś więcej niż wdzięczność. Chciał, by ofiarowała mu nie tylko ciało i lojalność. Nie próbował nazwać tego, czego od niej oczekiwał, lecz nie zamierzał zaprzeczać, że snuje takie marzenia. Kiedyś go odrzuciła, przełożyła nad jego towarzystwo dobro swoich ziomków, kiedyś go zdradziła i nieomal doprowadziła do śmierci Jaspera, lecz nic nie zdołało osłabić siły pragnienia i pokonać tęsknoty.

Chciał, by go kochała!

- Wracaj do Owaina - mruknął, tłumiąc uczucia, które domagały się głosu.

Josselyn skinęła posłusznie głową i odwróciła głowę, zanim ruszyła przed siebie, chwycił ją za ramiona. Uniosła wzrok, zaskoczona nie mniej niż sam Rand tym niespodziewanym gestem. „Nie czekał, bojąc się ujrzeć w jej oczach uległość

płynącą z wdzięczności. Przycisnął wargi do jej warg, miażdżąc je w szalonym pocałunku. Nie próbowała mu się opierać, poddała się pieścizocie i odpowiedziała na nią, a to podnieciło go jeszcze bardziej. Chciał obudzić w niej instynkt, chciał, by oddawała mu pieścizoty bez chwili namysłu i wyrachowania. Chciał posmakować niekłamanej namiętności, poczuć bezwarunkową kapitulację i wiedzieć, że to nie gra, lecz rzeczywiste uczucie.

I udało mu się!

Nie obszedł się z nią łagodnie, właściwie zachował się jak brutal, lecz Josselyn odpowiadała na każdy ruch, każdą pieścizotę. Wziął ją tam, przyciśniętą do pnia starego wiązu, bez gry wstępnej i bez miłosnych przysięg. Grubiańsko. Pospiesznie. Skończyli szybko, a on oparł się na niej zdyszany, z trudem próbując odzyskać oddech - i zdrowy rozsądek. W gruncie rzeczy niczego nie osiągnął ani nie rozwiał żadnej z dręczących go wątpliwości. Udało mu się jedynie zdradzić przed. Josselyn swoją słabość.

Skąd wiedział, czy jakiś jej współplemieniec nie naciąga właśnie łuku, mierząc w jego odsłonięte plecy?

Odepchnął się od pnia i szybko rozejrzał, poprawiając szaty. Prostował na sobie kurtę i strzepywał z niej kurz, dobrze wiedząc, że czyni wszystko, by opóźnić chwilę, gdy będzie musiał znowu spojrzeć w twarz dziewczyny. Kiedy to wreszcie uczynił, zrozumiał, jaki uczynił błąd.

- Dobrze się czujesz? - spytał prawie opryskliwym głosem.

Przytaknęła.

- Powiedz Owainowi, że zbieram ludzi i uderzę na jego obóz jutro o świcie. Ja uczynię, co należy, by zlikwidować Owaina, a ty zajmij się bezpieczeństwem swego dziecka.

Ponownie skinęła głową.

- Zrobię wszystko, co konieczne. Ona jest taka mała, taka niewinna. - Josselyn bezwiednie zniżyła głos. - To jedyna niewinna istota pośród nas.

Nie wiedział, czemu czuje w sercu ukłucie zazdrości. Kochała swoje dziecko bez względu na to, kto je spłodził. Nie darzyła miłością ani męża, ani jego, Randa. Ale kochała dziecko.

- Jak ją nazwałaś?

- Izolda. Twoja córka ma na imię Izolda.

- Nazywanie jej "moją córką" jest bezcelowe - mruknął cicho.

- Zawsze będą istniały wątpliwości co do jej pochodzenia.

- Dlaczego więc zgodziłeś się nam pomóc?

- Ponieważ pragnę ciebie - odpowiedział bez osłonek, zapominając o wszystkich innych przyczynach, dla których musiał jej pomóc. Jej i Izoldzie.

Wzdrygnęła się, słysząc tak otwartą odpowiedź, lecz nie odwróciła się. Podniosła nieco podbródek i utkwiała w nim oczy płonące w bladej, lecz opanowanej twarzy.

- Będę ci uległa w każdej chwili, gdy tego zażądasz, dopóty będziesz mnie chciał... Jeśli tylko ocalisz moją córkę.

Nie odpowiedział ani słowem. Nie mógł. Widział, że sprawił jej ból nieogłędnymi słowami. Owszem, pożądał jej - ale nie chciał, by mu się oddawała z wdzięczności!

Rand nie znalazł pociechy w myśli, że jednak Owaina obawiała się bardziej niż jego. Cóż, skoro każdemu dałaby to samo, gdyby nie miała innej drogi ocalenia córki?

Poczuł ściskanie w żołądku i gorzkie pieczenie żółci w gardle.

Chwycił za lejce i jednym skokiem rzucił się na grzbiet

konia. Josselyn stała pod rozłożystymi gałęziami wiązu, potargana, w przekrzywionej odzieży, pełna obaw, przepojona wdzięcznością.

- Dzięki ci - wyszeptwała, aż musiał zamknąć oczy, nie potrafiąc znieść wymuszonej uległości.

- Nie dziękuj mi - burknął. - Nigdy mi nie dziękuj.

Jak gdyby lękał się pozostać przy niej choćby sekundę dłużej, ostro ponaglił wierzchowca w dół stoku, oddalając się od lasu, podążając pod osłonę murów Rosecliffe.

Musiał zaplanować jutrzejszą konfrontację sił. Musiał zachować spokój umysłu, przestać myśleć o tej kobiecie, skupić się na bieżących sprawach.

Uciekał przed obawą, że Izolda może być jego córką - i przed lękiem, że nią nie jest.

Rozdział dwudziesty szósty

Josselyn spiesznie przedzierała się przez tak dobrze znaną i kochaną leśną gęstwinę, która tym razem jakby zmówiła się przeciw niej: co chwila musiała wyplątywać spódnice z kolczastych krzaków tarniny, często ześlizgiwała się po stromych i wilgotnych zboczach, niekiedy boleśnie raniła nogę na skalistych ścieżkach. Podążała tą samą drogą, którą przybyła do Carreg Du - szlakiem wzdłuż rzeki. Gdzie tylko było to możliwe, usiłowała trzymać się w ukryciu drzew. Zmęczenie hamowało jej kroki, choć lęk popędzał ją naprzód.

Musiała jak najszybciej dotrzeć do Izoldy. Tęskniła do

chwili, gdy weźmie ją w ramiona i przekaże Owainowi dobre wieści.

Wszakże nie tylko obawa wypełniała jej serce. Pojawiło się w nim nowe uczucie, zbyt wątpliwe, by nazwać je spokojem - dopóki Izolda nie znajdzie się poza zasięgiem złowieszczej władzy Owaina, Josselyn nie będzie pewna przyszłości. Nie można było nazwać go też ulgą, gdyż Rand, mimo obiecanej pomocy, nie we wszystkim spełnił jej oczekiwania. Wciąż nie chciał uwierzyć, że Izolda jest jego córką - a chociaż wykazała zainteresowanie miłosnymi i gościnnymi raszkami, nie mogła się łudzić, że kiedykolwiek zechce wziąć ją za żonę.

Potknęła się na wystającym z ziemi korzeniu i rozciągnęła się jak długa, zdzierając skórę z dłoni. Pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku, leżąc tak jak upadła na wilgotnej glinie, koncentrując się na piekącym bólu. Przypomniła jej o wadze zadania, jakie miała wypełnić, pozwalając na razie zapomnieć o innych zmartwieniach. Musiała znaleźć siły, by dotrzeć do wioski, musiała przestać myśleć o Randzi'e, skoro nie była w stanie wpłynąć na jego opinie i czyny. Mogła pokładać zaufanie w słowie honoru, jakie dał - i to musiało jej wystarczyć,

Szła naprzód w szarym półmroku nawisłego chmurami porannego nieba, wychodząc naprzeciw nieznanemu, które niósł ze sobą ten deszczowy dzień. Dobiegała już do osady, gdy na plecach zabębniły rześiste krople ulewy, jak gdyby deszcz chciał ją odwieść od celu. Lecz nic nie mogło jej powstrzymać w dążeniu do odzyskania dziecka,

Pierwszy zauważył ją wartownik ukryty w pożółkłym listowiu uschłej sykomyry,

- Odsłoń twarz i stój spokojnie!

Podniosła głowę, ściągając do tyłu chustę. Burknął coś i ruchem ręki wskazał, by szła dalej. Gdy zbiegała w dół stromego stoku ledwo widoczną ścieżką wydeptaną w poszyciu lasu przez jelenie, natknęła się na Owaina, który najwyraźniej wyszedł jej na spotkanie. Zatrzymała się jak wryta, a odraza, jaką w niej budził, zapłonęła ze świeżą siłą, gdy pomyślała, że człowiek ten byłby zdolny zabić dziecko, gdyby dostrzegł w tym jakieś korzyści. Choćby przez resztę swych dni musiała cierpieć wyrzuty sumienia z powodu śmierci Walińczyków, którzy przypłacą życiem jej zdradę, śmierć tego jednego spośród nich nie przysporzy jej ani chwili udzięki.

Spojrzała mu prosto w oczy, nie próbując na wet ukryć nienawiści.

- Wykonałam twoje polecenie. Gdzie jest moje dziecko? Wyszczrzył zęby w szyderczym grymasie i błyszczącymi oczami zmierzył ją od stóp do głów.

- Ach, więc udało ci się wypełnić zadanie? To dobrze, to bardzo dobrze. - Uśmiechnął się drapieżnie. - Musiałaś dać mu się nieźle wychędożyć, skoro tak szybko zyskałaś jego zaufanie.

Josselyn ciasno objęła się ramionami, Oto, jak łatwo przyszło Owainowi zbezczęścić intymne chwile, które spędziła z Randem, Jakże nienawidziła tego człowieka!

- Gdzie Izolda? - powtórzyła.

Wskazał ręką za siebie.

- Bezpieczna. Ale powiedz mi coś więcej, moja słodka Josselyn. _ Niespodziewanie złapał ją za ramię. - Kiedy uderzy na leśną kryjówkę?

- Jutro o świcie.

- O świcie? Ach, cóż za brak wyobraźni! - Wybuchnął śmiechem. - O świcie twój angielski kochanek będzie już dawno martwy, a wraz z nim wszyscy jego ludzie.

Josselyn zeszywniała pod jego dotykiem. Bezskutecznie próbowała uwolnić rękę z żelaznego uścisku palców, przejęta lękiem na dźwięk złowieszczych słów.

- Co masz na myśli, mówiąc, że będzie już od dawna martwy?

- Dokładnie to, - Przemocą przyciągnął ją do siebie, - Czy naprawdę sądziłaś, że zaufam kobiecie, która już raz zdradziła swój lud, rozkładając nogi dla wroga? Czytam w tobie jak w otwartej księdze, gdy widzę na twoim ciele ślady jego amorów, - Potarł szorstko palcami skórę jej policzków i szyi, zaczerwienioną w miejscach, gdzie Rand wycisnął piętno swoich pocałunków,

Josselyn wykręcała się i szarpała, lecz Owain był zbyt silny.

- Nareszcie przyszła moja kolej, głupia suko. Teraz cię wezmę, Przynajmniej raz poczujesz w sobie żywotne soki Walijszyka!

Zadarł jej spódnice tak gwałtownie, że Josselyn usłyszała trzask rozdieranej tkaniny. Ludzie z jego eskorty zaśmiali się grubiańsko, Lubieżny chichot żołdaków zmroził jej krew w żyłach. Owszem, przysięgała uczynić wszystko, aby przetrwać dla dobra dziecka, lecz czuła, że nie zniesie gwałtu dokonanego na niej w obecności jego sypiących docinki i nieokrzesane komentarze ludzi, którzy tylko czekali na swoją kolej do jej ciała.

- Nie. Nie! - Z siłą zrodzoną z nienawiści wbiła mu kolano w pachwinę,

Wrzasnął i upadł na wznak, a Josselyn bez namysłu popędziła

w stronę Afon Bryn, gdzie po raz ostatni widziała córeczkę, pod niepewną ochronę ramion ciotki, stryja i ich ludzi. Oby dobry Bóg dopuścił, by jeszcze tam byli!

Od wysiłku szybkiego biegu kłuło ją już nieznośnie w boku, gdy wreszcie natknęła się na grupkę kobiet przy studni. Koło Nesty i Agathy stała Gladys i wszystkie inne znajome niewiasty, Wpadła w ramiona ciotki, nie zważając na zdumione spojrzenia reszty,

- Josselyn! Tak się martwiłam".

- Gdzie Izolda? Gdzie jest moje dziecko!

- Mała śpi w głównej komnacie, Ale...

Josselyn błyskawicznie wpadła do domu, Izolda rzeczywiście spała smacznie pośrodku izby jadalnej, lecz Josselyn nie zatrzymała się, tylko chwyciła dziecko w objęcia i mocno przycisnęła. Nigdy już nie rozstanie się z córeczką, nigdy! Ten potwór musiały ją najpierw zabić.

- Miała dobrą opiekę - zagadnęła Nesta, stając w drzwiach. □
Meriel już tego dopilnowała.

Josselyn obejrzała się na ciotkę. Nesta zupełnie nie wyczuwała złowieszczej aury tego domu!

Tuż za ciotką stała Meriel z zadufanym uśmiechem na pociągłej twarzy.

Josselyn nie miała wątpliwości, że starucha uczyni wszystko, by pomóc Owainowi odnieść zwycięstwo nad Randem, choćby nawet przyszło jej poświęcić dziecko - ostatecznie to był angielski bękart, a do tego tylko dziewczynka! Gdyby Owainowi udało się zagarnąć niepodzielną władzę nad jej ojczystą krainą, wszyscy byliby zdani na jego łaskę i niełaskę. Wtedy byłoby już za późno na opór.

Musiała w jakiś sposób wysłać wiadomość Randowi - ale

tym razem nie ośmieli się zostawić Izoldy. Nie mogła ryzykować.

- Jestem strasznie znużona - powiedziała. - Wykonałam polecenie Owaina, ale teraz muszę się przespać.

Zanim zdążyła uciec w zacisze własnej izby, usłyszała na podwórzu hałas.

- Gdzie jest ta dziwka?! - wrzeszczał Owain, wbiegając do izby. Miał purpurową z gniewu twarz i oczy nieprzytomne od obłąkańczej żądzy odwetu. Jego spojrzenie padło na Josselyn. - Jeszcze z tobą nie skończyłem!

Mocniej przycisnęła Izoldę do piersi. Owain zbliżał się do niej, w ślad za nim sunął tłumek mieszkańców Afon Bryn - kobiety, wojownicy, a wśród nich kilku ziomków z Carreg Du. Dojrzała Deweya i Tarana.

- Wypełniłam twoją wolę co do joty - odpowiedziała, starając się mówić donośnym i spokojnym głosem, by ludzie wokół usłyszeli jej słowa. - Przekazałam Anglikom wszystko, co mi kazałeś. Nie masz powodu, by ukarać mnie ani moją córeczkę.

Jego oczy błysnęły złośliwą satysfakcją.

- Zdradziłaś nas! Wzięłaś tego mężczyznę do swego łóża i wydałaś własnych współplemieńców. Powiedziałaś mu, że urządzam zasadzkę! - Rozejrzał się, badając nastroje tłumu. Nawet Rhonwen i Rhys tu byli. - Dziecko, które trzymasz w ramionach, to angielski bękart, a nie córka mojego ojca. Powiedz im, Meriel.

Stara kobieta wystąpiła naprzód.

_ To prawda. Dziecko spłodził Anglik, z którym pokładała się, zanim wyszła za Madoca. Właśnie to złamało jego biedne serce i przyczyniło się do jego śmierci.

_ Tu wcale nie chodzi o dziecko - wtrąciła Josselyn. - Chodzi o to, że nie dałam się zgwałcić Owainowi.

Wszystkie oczy zwróciły się na młodego Walińczyka. Oskarżenie o gwałt było poważną sprawą. Lecz ten uśmiechnął się tylko bezczelnie.

_ Sama mnie wodziła na pokuszenie, a teraz wpada we wściekłość, bo nie zamierzam złamać przysięgi na wierność małżeńską• □ Objął z udawaną czułością Agathę i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Spytajcie Conana i Glyna, którzy byli przy tym!

_ Dość tego - odezwał się Clyde, który dopiero teraz dołączył do zebranych. Przedarł się przez tłumek i stanął obok Josselyn. Wokół nich skupili się pozostali mężczyźni z Carreg Du.

_ Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Musimy ułożyć plan bitwy i zadbać o zwycięstwo. Na darmo tracimy siły i czas na nierozumne kłótnie.

Owain nie dał się wszakże zbić z tropu.

- Ta kobieta rzuciła na mnie poważne oskarżenie!

_ A ty zarzuciłeś jej równie poważne przewinienia. Ja zaś powiadam, że wystarczy nam wiedzieć, że nadchodzą Anglicy i że musimy się przygotować do walki. - Clyde mierzył Owaina nieustępliwym spojrzeniem.

Gdyby doszło do walki, Owain mógłby zwyciężyć, gdyż jego oddział górował liczebnością nadludźmi Clyde' a i z pewnością by ich pobił. Lecz takie starcie nie wróżyło korzyści żadnej ze stron, więc po długiej chwili napiętego milczenia nawet Owain musiał przyznać rację starszemu mężczyźnie. Pogardliwie splunął na posadzkę.

_ Zdrajczyni własnego ludu! Gdy odniesiemy ostateczne

zwycięstwo, wypędzę ją z Afon Bryn razem z angielskim bękartem!

Josselyn przeszło przez myśl, że nic a nic nie obawia się tego rodzaju groźby ze strony Owaina - wprost przeciwnie, trudno byłoby ją namówić, by kiedykolwiek chciała wrócić do tej przeklętej osady. Pragnęła powrócić do Carreg Du, móc bez przeszkód wychowywać Izoldę i żyć w pokoju.

Niestety, inny los był jej pisany. Jeśli Rand zginie, jej ojczysta dolina długo nie zazna spokoju ...

Chwyciła stryja za ramię.

- Musisz go powstrzymać!

- Kogo? Owaina? - Odtrącił jej rękę i spojrzał na nią błyszczącymi z gniewu oczami. - A więc to prawda, zaprzedałaś się nieprzyjacielowi. Dla tego Anglika wyrzekniesz się wolności swego ludu!

Po policzkach dziewczyny zaczęły spływać łzy.

- Nikomu się nie zaprzedałam i nikogo nie zdradziłam, oprócz tego, który łamie karki własnym ziomkom ...

- Czy to niemowlę rzeczywiście jest bękartem? - Clyde wskazał Izoldę, niespokojnie kręcącą się w jej ramionach.

- Owszem, Izolda jest dzieckiem Anglika, ale nie okłamałam Madoca ani nie próbowałam go oszukać. Wiedział, kto jest jej ojcem, zanim się urodziła. Pojechałam do Randa bo Owain groził, że inaczej zabije dziecko! Przekazałam Anglikowi kłamstwo, które ułożył Owain - uciekła spojrzeniem w bok - lecz on mi nie uwierzył.

Osuszyła łzy wierzchem dłoni i ponownie spojrzała stryjowi prosto w oczy.

- Wyznałam Randowi prawdę, nie widząc innego sposobu wyrwania Izoldy z łap Owaina. Rand jest jedynym

człowiekiem, który potrafi powstrzymać obłąd, w jaki popycha nas ten szale □ niec. - Kurczowo uczepiła się stryjowskiej dłoni. - Wiesz, że mam rację. Owain zabije każdego, kto wejdzie mu w drogę. Jesteśmy zbyt słabi, by mu się przeciwstawić.

Nie chciał jej słuchać, wzdragał się przełożyć odwiecznego nieprzyjaciela nad współplemieńca. Josselyn wyraźnie widziała, jakie stryj toczy ze sobą zmagania. Jego własny syn zginął, walcząc z Anglikami, a wraz z nim brat Clyde'a - ojciec Josselyn.

Lecz wiedział, że dziewczyna nie myli się co do Owaina. Odwrócił się od niej, zasłaniając oczy dłonią. Uświadomiła sobie, że stryj jest już w podeszłym wieku i zapewne śmiertelnie znudzony przedłużającą się wojną. Za młodu też nie był zapalonym wojownikiem. Ciągnęła niskim, nagłym głosem:

- Stryju, proszę cię, znasz się na ludziach, przejrzałeś naturę Owaina. Nie pozwól mu wyrznąć Anglików w pień! Kiedy odniesie ostateczne zwycięstwo, zaczniesz ...

_ Zamilcz! - Podniósł siwiejącą głowę i rzucił jej udęczone spojrzenie. - Owszem, znam Owaina i jego naturę, ale nie mogę przejść na stronę nieprzyjaciela i walczyć przeciw własnym ziomkom. Nie mogę, nie prosz mnie o to!

Odetchnął głęboko i chrapliwie.

_ Nie potrafię zawrzeć sojuszu z Anglikami - mamrotał. □ Ale ... ale nie przyłączę się do oddziału Owaina. To wszystko, co mogę zrobić.

Skinęła głową, mrugając, by przepędzić z oczu łzy. Lepsze to niż nic - pomyślała.

_ Muszę zawiadomić Randa ... - zaczęła głośno.

Podniósł ostrzegawczo dłoń.

_ Nie chcę mieć nic wspólnego z twoją zdradą. W tym musisz polegać wyłącznie na sobie samej.

Z tymi słowami wyszedł z komnaty - stary człowiek, niezdolny zaadaptować się do nowej rzeczywistości, wódz, któremu wymykała się z rąk kontrola nad zmieniającym się światem.

Josselyn nie traciła wszakże czasu na roztrząsanie stryjowskich problemów. Musiała ostrzec Randa!

To jednak okazało się niemożliwe.

Owain w ciągu godziny zebrał ludzi i wyruszył naprzeciw Anglikom. Nawet Rhys kręcił się przy wojownikach na grzbiecie kucyka, choć Owain odrzucił prośby chłopca, który chciał zaciągnąć się do oddziału. Kiedy Clyde oświadczył Owainowi, że nie ma zamiaru się do niego przyłączyć, ten nie starał się ukryć pogardy.

_ Zgodziłem się na zawarcie sojuszu z waszą wioską przez pamięć na zobowiązania, jakie zawarł mój ojciec i w imię jego czci nie odstąpię wspólnych celów, z wami czy bez was. Lecz kiedy powrócimy w chwale zwycięstwa, kiedy mężczyźni z Afon Bryn rozgromią waszych nieprzyjaciół i zapewnią wam bezpieczeństwo, nie myśl, że przyjmimy was znowu do siebie. Będziemy panować na tych wzgórzach, jak daleko sięga wzrok. □ Uderzył się pięścią w klatkę piersiową. - Jestem Owain ap Madoc! Cała Walia będzie przede mną drżała!

Jego ludzie wrzasnęli w pełnym aprobaty zachwycie. Owain wskazał następnie Josselyn; dziewczyna wytrzymała jego spojrzenie, nie okazując wzburzenia, choć w głębi duszy zadrżała z lęku. _ Zabierzemy tę kobietę i jej bękarta, by

zapewnić bezpieczeństwo kobietom i dzieciom we wiosce, która pozostaje bez ochrony.

Clyde zmarszczył czoło.

- Nie musisz tego robić. Potrafimy ich obronić.

- Mam ci wierzyć po tym, jak złamaliście dzisiaj śluby lojalności? - zadrwił Owain. - Poza tym jest winna zdrady. Pojedzie z nami, ona i jej dziecko. - Dłoń Owaina złowieszczo musnęła rękojeść miecza.

Clyde zamarł w napięciu, czując, jak jego ludzie tłoczą się tuż za jego plecami, i widząc, że poplecznicy Owaina czynią to samo. Josselyn przestraszyła się, że dojdzie do rozlewu krwi. Nie mogła znieść tej myśli:

- Pojadę! - Wystąpiła naprzód, podając Izoldę Nescie. - Pojadę, by uspokoić obawy Owaina, ale nie zabiorę dziecka. Izolda musi tu zostać.

Clyde chwycił ją za ramię.

- Czy jesteś pewna, że tego chcesz, Josselyn?

Nie, nie była pewna. Lecz wiedziała, że nie może dopuścić, by Owain wyrznął jej krewnych i powinowatych, nie mogła też pozwolić, by dostał w łapy Izoldę.

- Jestem pewna, tylko obiecaj, że nie spuścicie oka z małej. Podczas koszmarnych godzin, które potem nadeszły, tylko wspomnienie słowa danego jej przez stryja przynosiło pokrzepienie i ulgę.

Ludzie Owaina zerkali na nią podejrzliwie, lecz uważała, że pośród ciżby jest bezpieczna od zemsty Owaina. Zresztą za bardzo się spieszył, by tracić czas na rozprawę z Josselyn. Wczesnym popołudniem połowa oddziału zajęła stanowiska w gęstwinie lasu ciągnącego się wąskim pasem wzdłuż rzeki Gyffin. Druga połowa jego ludzi ukryła się wśród skał

górujących nad doliną. Anglicy musieli wybrać jedną z tych dróg.

Atmosfera była napięta. Josselyn modliła się żarliwie - najpierw o bezpieczeństwo Izoldy, potem za Randa. Sama próbowała zachować spokój i z rezygnacją przygotować się na wszystko, co ją czekało z ręki Boga. Lecz w głębi duszy snuła marzenia, że przywozi Randowi Izoldę i widzi w jego oczach zachwyt nad ich wspólnym potomkiem. Nie wiedziała, czy rzeczywiście zareagowałby w ten sposób, lecz sny na jawie przynosiły pocieszenie ..

Od morza nadciągnęły nisko zwieszane chmury, ciemne i złowróżbne. Północną stronę nieboskłonu przeciął błysk piorunu. Nad horyzontem przetoczył się posepny grzmot.

Wtem usłyszeli cienki, przenikliwy krzyk, który poderwał ich na równe nogi:

_ Mogę wam pomóc! Naprawdę potrafię walczyć! - rozległ się przejęty dziecięcy głosik.

Na wszystkich świętych, pomyślała Josselyn - to musiał być Rhys! Wymknął się jakoś z wioski i podążył w ślad za oddziałem.

Owain podniósł się z ukrycia z twarzą pocętkowaną sinymi plamkami gniewu. Rzucił jej jadowite spojrzenie, po czym napadł na chłopca, którego jego żołdacy zaciągnęli przemocą przed oblicze ojca. Rhys miotał się jak schwytyany w potrzask żbik, lecz Glyn, który trzymał go mocno za kark, popchnął chłopca tak, że ten upadł na kolana, lecz w tej samej chwili dostrzegł ojca i wściekłość na jego twarzy ustąpiła miejsca obawie.

_ Przyjechałem z pomocą ... - wymamrotał. _ Powiedziałem ci, żebyś został we wiosce! _ Ale ja chciałem walczyć u

twego boku.

_ Walczyć? Ty? - Owain zaśmiał się, patrząc jak chłopiec gramoli się z ziemi. - Wracaj do domu, chudy szczeniaku, i walcz tam z innymi dzieciakami.

- Ależ, papo ...

Ręka Owaina przecięła powietrze ruchem szybszym od błyskawicy. Rozległo się donośne plaśnięcie. Cios była tak silny, że chłopiec przewrócił się z powrotem na ziemię.

_ Mówię ci, szczeniaku, wracaj, a walkę zostaw mężczyznom! Josselyn ruszyła w stronę chłopca. Rhys zaklął brzydko i odepchnął ją od siebie. Dopiero kiedy zniknął im z oczu, Owain znowu zachichotał.

_ Ten mały ma jaja, trzeba mu przyznać. Jeszcze wyrośnie z niego tęgi wojownik.

_ Który będzie cię nienawidził - mruknęła Josselyn pod nosem.

Owain zerknął na nią przelotnie.

_ Owszem, będzie ... tak jak ja nienawidziłem mojego ojca. Tak już jest na tym świecie. Ale nikt nie powie mi, że wychowałem go na tchórza.

Rhys, popłakując, ukrył się w poszyciu lasu. Nie usłyszał przewrotnej pochwały ojca. Prawdziwy wojownik nie płacze, lecz on nie potrafił opanować szlochania. Policzek piekł go od uderzenia, w uchu mu dzwoniło. Zwarł zęby na miękkiej wyściółce ust, aż poczuł słony smak krwi.

Płacząc, przeklinał zarazem ojca i przysięgał na wszystko, że mu pokaże, jak bardzo się myli. Otarł oczy i zawrócił kucyka na północ. Jeśli zauważy Anglików, zanim tu dotrą, ojciec będzie musiał przyznać, że nadaje się na wojownika. Przekona się, że syn wart jest więcej niż ta dziewczucha, którą

urodziła Josselyn, czy też nie narodzone jeszcze niemowlę w rosnącym brzuchu Agathy.

Był przecież pierworodnym synem. Nikt nie może odebrać mu tej pozycji. Był prawowitym księciem gór północnej Walii. Nie pozwoli, by druga żona czy jej potomstwo zabrało mu dziedzictwo.

Rozdział dwudziesty siódmy

Oddział Randa podążał naprzód w pięcioosobowych grupkach.

Jechali powoli, czujni na każdy szelest, bacznie się rozglądając. Rand spodziewał się, że Walijscy zastawili gdzieś na ich szlaku pułapkę. Długo i głęboko rozmyślał nad wizytą Josselyn. Czy dziewczyna była z nim szczerą? Bardzo chciał w to uwierzyć. Początkowo próbowała go zwieść, lecz się jej nie udało i dopiero wtedy wyznała prawdę.

Ale czy знаła całą prawdę? Czy Owain nie zataił czegoś przed swoją posłanniczką?

Rand spodziewał się przybyć na miejsce, gdzie Walijscy rozbili obóz, na długo przed brzaskiem. Znając jednak naturę Owaina, obawiał się, że tamten nie wyjawiał wszystkich zamiarów Josselyn. A jeśli tak, to łatwo można się było domyślić, że Walijscy zasadzą się w dowolnym miejscu na szlaku. Rand podejrzewał, że mogą zaatakować w każdej chwili.

Dlatego rozkazał pojedynczym jeźdźcom wyruszyć na zwiady.

Późnym popołudniem ich wysiłki zostały wynagrodzone -

przeszukując wzgórze na południowym brzegu rzeki, oddziałek Jaspera natknął się i schwycił walijskiego chłopca, umorusanego dzikusa, który nie przestawał przeklinać i rzucać najokropniej szych obelg, terkocząc przy tym tak szybko po walijsku, że ani Jasper, ani Rand nie mogli nic zrozumieć.

- Jaki diabeł siedzi w tym narodzie, że już ich dziatwa rośnie taka zawzięta? - mamrotał Jasper, popychając chłopca przed oblicze starszego brata i wycierając dłonie kępą wilgotnej trawy o długich źdźbłach, która rosła w tych górach. - Najpierw krwiożercza dziewczuszka, teraz wygadany szczeniak ...

Rand przyjrzał się dziecku z głębokim namysłem.

- Wiem, co to za jeden. Czy jesteś synem Owaina ap Madoca? - spytał w ojczyściej mowie dziecka.

Chłopak śmiało wytrzymał jego spojrzenie.

- Owszem, to ja. Mój ojciec odetnie ci obie dłonie za to, jak mnie potraktowałeś - zagroził, zwracając się do Jaspera, po czym dodał pogardliwym tonem: - Zamierza uciąć wam jaja i rzucić je psom na pożarcie.

Rand uśmiechnął się szeroko.

- Strzeż się, bracie! Owainowe szczenię nam grozi! - Zwrócił się do chłopca po walijsku: - A ja zamierzam schwycić twojego ojca i go rozbroić, żeby już nikomu nie mógł grozić nożem, a na pewno żadnemu z moich ludzi.

- To ci się nie uda, zobaczysz! - krzyknął mały.

- To ty tak myślisz - rzucił Rand przewrotnie, drażniąc chłopca. - Trzeba go odesłać do domu. Nie może nam w niczym zaszkodzić.

- Poczekaj tylko! Zanim dojedziesz do następnej doliny,

ziemia zabarwi się czerwono od twojej krwi ... - Dziecko urwało w pół słowa i cofnęło się o krok. Lecz było już za późno; Rand chwycił go mocno za kark.

- Zabierz go gdzieś w bezpieczne miejsce - polecił Jasperowi.
_ Wyślij gońca, niech ostrzeże przednią straż, że lada chwila mogą natknąć się na Walińczyków.

Lecz zanim przekazał chłopca bratu, ukląkł, trzymając go za ramiona, tak że ich twarze znalazły się na tej samej wysokości. Rhys najwyraźniej zdał sobie sprawę, że się wygadał, gdyż przestał się szarpać i ponuro zgarbił ramiona, a po twarzy płynęły mu łzy.

- Gdzie jest Josselyn ap Carreg Du? - Rand potrząsnął nim lekko. - Gdzie się podziewa Josselyn z dzieckiem?

Chłopcu zadrżała bródka, lecz . mimo młodego wieku zdołał zachować wyzywającą postawę.

- Jest z moim ojcem, a ty nigdy jej nie odzyskasz. Bo sam będziesz leżał martwy!

Rand skinął na Jaspera i wyprostował się, lecz wciąż słyszał. echo cienkiego głosiku chłopca: "Jest z moim ojcem. Jest z moim ojcem!"

Czy Josselyn dobrowolnie przyłączyła się do Owaina?

A gdzie wobec tego była jej córka? Jego córka ...

Pierwszy raz poczuł równie silny lęk o dziecko, którego nigdy nie widział na oczy, a którego był ojcem - jak twierdziła Josselyn □ co o nią. Zaraz jednak napomniał się srogo, iż wyruszając do bitwy, nie może sobie pozwolić na obawy osłabiające rycerskiego ducha. Najpierw musi rozprawić się z armią Owaina, potem poszuka Josselyn i Izoldy.

Wiadomość o oczekującej ich zasadzce przekazano straży

przedniej. Oddział podzielił się na dwie grupy: jedna, licząca połowę żołnierzy, ruszyła do przodu, druga, w dwóch plutonach podążała tuż za nimi jako odwód.

Zwiadowcy przekazali umówiony znak: przenikliwy jęk pospolitej w tych okolicach mewy. Rozległ się pojedynczy żałosny skrzek, potem nastąpiła chwila ciszy i sygnał zabrzmiał ponownie. Oznaczało to: "tuż przed wami!"

Szlak wiódł w tym miejscu przez rzedniejącą gęstwinię drzew, za którą Rand dostrzegł małą polankę. Deszczowe chmury zawisły nisko na niebie, kradnąc światło dnia, aż popołudnie pomroczyło w purpurowe cienie wczesnego zmierzchu. Powiało chłodem.

Rand gestem ostrzegł swoich ludzi, przeżegnał się, poprawił niewielką tarczę zamocowaną na lewym ramieniu i spał konia. Z całej duszy modlił się: "Boże, ocal mnie dzisiaj, abym mógł poznać swoje dziecko. Daj mi przeżyć, bym odnalazł Josselyn i wyznał jej miłość. Ocal mnie, Boże, bym mógł zaprowadzić pokój na tej ziemi i zapobiec podobnej krwawej łaźni w przyszłości!"

Wtem posłyszał z lewej strony trzask gałązki. Jęknęła cięciwa łuku, strzała ze złowróżbnym świstem przecięła powietrze. Pochylił się na bok, podnosząc tarczę. Rozpamiętując potem tę chwilę, nie miał najmniej szych wątpliwości, że to Bogu zawdzięcza ocalenie.

Strzała przebiła tarczę i drasnęła go w ramię, nie czyniąc większej krzywdy. Utkwiła w pniu rosnącego za jego plecami drzewa. Na ten znak w leśnym zakątku zawrzało. Zza każdego drzewa wychynał nieprzyjaciel, wymachując obnażonymi mieczami, celując w jezdnych ciężkimi bitewnymi toporami ..

Konie rżały i padały pod ciosami, żołnierze przeklinali wniebogłosy. Zagajnik wypełnił się odorem krwi, ohydny zapachem, który zawsze budził w Randzie wstręt, lecz nieodmiennie, jak pod działaniem czarnej magii, wzniecał w nim gorączkę bitewną. Instynkt wojownika wziął górę nad rozumem i rycerz zaczął walczyć bardziej jak dzika bestia niż jak człowiek szkolony w sztuce wojny. Spiął konia i zwierzę stanęło dęba i okręciło się wokół własnej osi, trając dwóch Walińczyków. Po chwili obaj leżeli na ziemi martwi.

Josselyn nie widziała bitwy, która rozgrywała się po drugiej stronie wzgórza, lecz słyszała krzyki bólu, przekleństwa i chrapliwe rżenie umierających. Nie potrafiła odróżnić odgłosów Walińczyków od wrzasków i jęków angielskich żołnierzy. Nagle zdała sobie sprawę, że każda śmierć jest podobna. Wszyscy ludzie pożądamy w życiu tego samego: jada, władzy, miłości ... i wszyscy tak samo umierają.

Czemu więc walczą ze sobą, skoro w niczym się od siebie nie różnią? Czemu nie połączą sił, zjednoczeni wspólnymi celami?

Dziewczyna szarpała się w rzemieniach, które ją krępowały u pnia potężnego drzewa, przerażona ohydą bitewnych odgłosów. Bezowocne to były wysiłki! Owain powiedział jej, że chce, by została w pobliżu i patrzyła na śmierć kochanka. Czy Rand był tam, w środku tego zgiełku? Dobrze wiedziała, że tak.

Czy odniósł rany? A może właśnie umierał? Modliła się z całej duszy, by Bóg odwrócił zły los.

Szarpała więzy palcami, aż spłynęły krwią, nadaremnie

usiłując zamknąć uszy na przenikliwe śmiertelne okrzyki mężczyzn i zwierząt. Nagle usłyszała inny rodzaj głosów i zastygła w bezruchu. W powietrzu rozbrzmiała triumfalna wrzawa - kolejna fala konnych ruszyła do boju. Ich zawadiackie okrzyki zagłuszyły na chwilę szczęk oręża i jęki rannych.

To przybywały angielskie posiłki!

Z naprzeciwka rozległ się tętent trzeciej falangi jezdnych.

Nadjeżdżał kolejny oddział Anglików!

Nagle przepęłił ją nieznośny lęk. W duszy skierowała błagalne prośby do Randa, choć nie mógł jej słyszeć: Oszczędź moich współplemieńców, nie zabijaj ich wszystkich!

Odgłosy bitwy zaczęły przybliżać się do miejsca, w którym zostawił ją Owain. Jakiś człowiek z zakrwawioną głową wspinał się w górę stoku. Był bezbronny. Za nim pojawił się jeszcze jeden, dźwigając rannego towarzysza, potykając się na śliskich kamieniach, padając, wstając i wspinając się dalej. To uciekali wojownicy Owaina. Zostali rozgromieni.

Lecz gdzie podziewał się ich przywódca? Gdzie był Owain? Nie musiała długo czekać na odpowiedź. Z gęstwiny krzaków wychynął rumak, pędząc prosto na nią. Z ociekającego potem końskiego grzbietu zeskoczył Owain. Josselyn mimowolnie wtuliła się w pień, szamocąc się bezsilnie w rzemieniach opasujących jej ciało. Widziała krew we włosach młodego wojownika i rdzawe plamy na skórzanej kurcie. Szybko zdała sobie sprawę, że Owain nie odniósł ran, więc musiała to być krew przeciwnika. Czyżby Randa?

W jednej ręce trzymał kurczowo miecz, w drugiej ścisnął

sztylet. Oba ostrza ociekały czerwienią.

_ Ty suko! - wrzasnął na nią. - Zdradziłaś nas!

_ Nie! Nie wiedziałam o twoich planach, więc jak mogłabym je zdradzić? _ odparowała Josselyn. Nadal próbowała uwolnić dłonie, lecz nic nie osiągnęła, otarła sobie tylko boleśnie przeguby.

_ Wiedziałaś dość dużo, by własny lud wydać na zagładę. - Zbliżył się do niej z groźną miną.

Dziewczyna odwróciła głowę, by nie widzieć, jak spada śmiertelny cios.

Kocham cię, Izoldo! I ciebie, Rand!

Ale cios nie nadchodził. Zamiast w jej ciało, Owain wbił miecz głęboko w ziemię i złapał ją brutalnym gestem pod brodę.

_ Powinnaś była wybrać mnie! Wiedziałaś, że nie będzie długo trwało, zanim, przejmę władzę po ojcu.

Zamierzał ją zabić. Tylko w ten sposób mógł zakończyć sprawy między nimi. Świadomość grożącego jej losu sprawiła, że Josselyn poczuła niepojętą odwagę. Śmiało spojrzała w oczy znieawidzonemu mężczyźnie.

_ Przyspieszyłeś jego śmierć, przyznaj się!

Ujrzała na jego twarzy przelotny wyraz zaskoczenia, potem Owain roześmiał się drwiąco.

_ Powinnaś mi być wdzięczna, że uwolniłem cię od tego starucha.

_ Jak mogłeś? Jak mogłeś zabić własnego ojca?! I Gowerciągnęła w nagłym olśnieniu. - To nie Anglicy go zabili, tylko ty!

Palcami jak ze stali ścisnął jej podbródek.

- Nikt nie zdołał mi tego dowieść. Poza tym musiałem to

zrobić, żeby ludzie wreszcie zjednoczyli się do walki.

- Zabiłeś niewinnego chłopca, żeby podjudzić nas do wojny? I zabiłeś własnego ojca! - Splunęła z bezbrzeżnym wstrętem.

- Chłopak nie zginął na darmo. Udało mi się zebrać pod swoim dowództwem ludzi z obu wiosek - powiedział z rosnącą niecierpliwością. - A dzięki śmierci ojca odzyskałaś wolność i mogłem cię zdobyć.

- Przecież masz już żonę! - krzyknęła z całych sił, próbując się uwolnić z bezlitosnego uchwytu.

- A teraz będę miał jeszcze i ciebie na dodatek. - Przycisnął usta do jej warg, niepomny na jęki własnych ludzi, przebiegających obok w pospiesznym odwrocie z pola bitwy. Pocałunek był gorzką farsą - wyprany z czułości czy jakichkolwiek łagodnych uczuć, 'miał ją jedynie zranić i upokorzyć. Owainowi udało się osiągnąć cel, lecz choć Josselyn nie mogła się uchylić przed napaścią jego warg, z całej siły zacisnęła usta, aby natręt nie zdołał wsunąć w nie języka.

Oderwał się od niej z rynsztokowym przekleństwem.

- Ty oziębła dziwko! Odwracasz się od ziomka, a chętnie rozkładasz nogi dla przekłętego Anglika. Ale ja cię jeszcze rozgrzeję. Wychędożę cię na martwym ciele twojego kochasia!

Szybkim ruchem przeciął rzemienie. Poczowała piekący ból, gdy czubek noża zranił ją w kciuk, ale cóż znaczyło lekkie skaleczenie wobec faktu, że była wolna od więzów?

Nie całkiem wolna, gdyż Owain stał tuż obok i miażdżył przegub jej ręki w bezlitosnym uścisku. Odciągnął ją dalej od pola bitwy, która - sądząc po cichnących odgłosach - stopniowo dobiegała końca. Właśnie mieli wsiąść na konia,

gdy z gęstwiny wynurzył się Conan.

- Zranili Glynę, i to ciężko - wysapał. Z głębokiego cięcia na głowie płynął czerwony strumień, krwawił też z rany na udzie.

- Zostaw go! - rozkazał Owain. Wskoczył na grzbiet wierzchowca i wciągnął za sobą Josselyn, która broniła się dziko, lecz bez większego skutku. - Pospiesz się! Fitz Hugh zaraz tu będzie w pogoni za swoją dziwką, ale nie uda mu się jej dostać! Ja ją mam i odzyska ją nie prędzej, jak po moim trupie!

On nie przyjdzie - zaklinała się Josselyn, bijąc go po twarzy. Pomyślała z żalem, że Rand na pewno nie będzie ryzykował, by ją ocalić.

Owain przycisnął ją do siodła i zawrócił konia.

- Przyjdzie! Jeśli nawet nie dla ciebie, to po to, by ocalić swą dumę. I to go zgubi, bo nadzieje się na mój miecz. A kiedy już się znudzę twoim ciałem, to samo zrobię z tobą - dodał sprośnym szeptem. Ponaglił konia i ruszyli przez gęstwinę puszczy i skaliste stromizny w samo serce gór, które rysowały się poszarpaną linią na horyzoncie - gór, które od wieków służyły mieszkańcom tej krainy jako ostatnia placówka.

Nie udało się znaleźć Josselyn. Zniknął też Owain.

Rand niecierpliwym krokiem przemierzał wzdłuż i wszerz salę zebrania w Afon Bryn, siedzibie rodu Lloydów. Anglicy zdobyli osadę bez większych trudności, gdyż pozostali w niej ludzie nie bronili się zbyt zaciekle. Rand spodziewał się zastać tu oddział obrońców - Clyde' a i jego ludzi, którzy nie brali udziału w leśnej potyczce - ale okazało się, że mężczyźni z Carreg Du nie ma w wiosce. W ogóle nie stanęli

do walki. Czyżby była to zasługa Josselyn?

W Afon Bryn nie pozostał nikt poza garstką chorych i zniedołężniałych starców. Gdy Anglicy przypędzili tam jeńców wziętych w walce - smutny pochód tych, którzy nie odnieśli ran, niosących ciężko rannych i umierających towarzyszy, zamykały wozy z ciałami zabitych - mieszkańcy wioski najpierw pojedynczo, potem coraz śmielszymi grupkami zaczęli wychodzić z ukrycia na gęsto porośniętych zboczach okolicznych wzgórz.

Widząc, że Rand nie ma zamiaru dopuścić do rzezi i że nakazał, by rannych starannie opatrzone, ich żony i rodziny powoli nabierały ufności. Najpierw do wioski weszła jakaś szczególnie odważna kobieta, zaraz za nią przybiegły dwie inne, za nimi podążała gromadka zaleknionych dzieci. Do zachodu słońca ponad połowa mieszkańców wróciła do własnych domostw, by otoczyć opieką swych rannych - ale wśród nich nie było ani Josselyn, ani jej dziecka.

Na placu wiecowym pośrodku wioski rozpalono wielkie ognisko. Płomienie sięgały wysoko, liżąc, zda się, ciemną kopułę nieboskłonu, głosząc wszem i wobec klęskę nikczemnego Owaina i upadek jego rodowego gniazda. Rand nie potrafił rozkoszować się upragnionym zwycięstwem. Cóż znaczyła nędzna osada, skoro nie było w niej Josselyn? Czy znowu mu skłamała? A może właśnie w tej chwili stała w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa?

Może była już martwa?

- Na krew Chrystusa i jego rany!

Wybiegł na oślep z sali. Musiał coś przedsięwziąć, bo czuł, że zwariuje. Jego ludzie, upojeni triumfem wygranej bitwy, tańczyli dokoła olbrzymiego ognistego stosu. Piwo lało się

strumieniami, nie brakowało i wina. Walijscy przypatrywali się z boku zaleknieni i cisi. Anglicy pysznili się zwycięstwem. Dla ukoronowania dnia chwały jego ludziom brakowało tylko kobiet.

Rand też czuł potrzebę niewieściego towarzystwa, lecz myślał o bardzo konkretnej kobiecie. Kiedy więc przyprowadzono mu onieśmioną i zastraszoną dziewczynę, wykrzywił usta, odsłaniając zęby w grymasie odraży.

- Wydałem jasne rozkazy, by nie brać kobiet wbrew ich woli, nawet jeśli miałyby być przeznaczone dla mnie - skarcił brata.

- Ta pytała o ciebie - odrzekł Jasper tonem zranionej godności. - Kiedy się dowiedziała, że władam ich narzeczem, powiedziała mi, że cię szuka. Nie widzę w tym braku woli. Mówi, że nazywa się Agatha.

Rand spojrzał na dobrą postać dźwigającą w ramionach niemowlę. Sądząc po nabrzmiętym brzuchu, następne dziecko było już w drodze.

- Załatw się z nią - rzucił zniecierpliwiony. - Mam inne sprawy na głowie.

Lecz gdy Jasper posłusznie ujął kobietę pod ramię i skierował ją w inną stronę, zaczęła krzyczeć przenikliwie:

- Nie, nie! On musi wziąć dziecko. To jego córka! Weź ją! Weź ją!

Jego córka? Rand dopadł kobiety.

- Czy to dziecko Josselyn? - Widząc, że dziewczyna nie pojmuje jego mowy, powtórzył po walijsku: - Dziecko Josselyn?

Niewiasta skinęła głową i wyciągnęła do niego niemowlę.

Rand z trudem przełknął ślinę. Rozbiegane oczy zerkwały to na dziecko, to na drobną Walijkę.

- Gdzie jest Josselyn?

Po bladym policzku spłynęła łza.

- Owain ją porwał ...

- Zabiję tego łotra!

_ Nie! Proszę, błagam! Wykradłam dziecko, by ci je przynieść. Teraz ty odpłać mi za przysługę, oszczędź mojego męża!

Ponownie próbowała podać mu niemowlę, lecz Rand cofnął się niezdecydowany. Czy dziecko, które miał przed sobą, rzeczywiście było jego? Skąd mógł wziąć pewność?

Maleńka zamachała rączkami. W migotliwym świetle płomieni nie widział dokładnie jej rysów. Jeszcze raz spojrzął w oczy kobiecie, która przyniosła mu niemowlę. Dopiero teraz w pełni pojął sens jej słów. Była żoną Owaina!

- Dokąd ją zabrał?

- Musisz mi obiecać, że darujesz mu życie!

_ Darować mu życie? Z tego, co wiem, równie dobrze może mieć na rękach krew Josselyn!

Potrząsnęła głową, z jej oczu znów popłynęły łzy.

- Nie zabiłby jej, bo zawsze jej pragnął, bardziej, niż kiedykolwiek pożądał mnie. Ale to jednak mój mąż, a nie jej! Musisz jej go odebrać, żeby znowu był tylko mój. Przyniosłam ci twoje dziecko i mogę pomóc ci odnaleźć twoją kobietę, ale oszczędź mojego męża! To niesprawiedliwe, żeby ona miała was dwóch, a ja żebym została sama.

Wreszcie ustąpił i obiecał spełnić jej prośbę.

Nie mógł ryzykować życiem Josselyn. Już i tak dostatecznie

długo była w niebezpieczeństwie. Agatha zapewniała co prawda, że Owain nie skrzywdzi dziewczyny, ale Rand nie był tego tak pewien, więc obiecał darować Walińczykowi życie. Uspokojona Agatha ponownie wyciągnęła ku niemu dziecko.

Rand nigdy przedtem nie miał w ramionach niemowlęcia. Ogarnął go dziwny lęk, strach, że mimowolnie wyrządzi maleństwu krzywdę, zgniecie drobne ciało, upuści je czy przestraszy. Lecz przemógł obawy i wziął dziewczynkę na rękę. Dziewuszka ... jego córeczka.

- Izolda - szepnął. Podniosła na niego ciemne oczka w poważnej twarzyczce. Czy rzeczywiście była jego córką?

Boże jedyny, jakąż miał nadzieję, że to prawda!

Swoją reakcję uznał za całkowicie nielogiczną, ale nie mógł zaprzeczyć, że ogarnęło go osobliwe uczucie. Chciał, żeby ta kruchotka istotka była jego, jego i Josselyn.

Zostawił Izoldę w sali zebrań pod opieką dwóch wartowników i dziewczyny służebnej, a sam wyjechał pod eskortą trzech konnych i podążył w ciemność nocy, przedzierając się przez splecione gałęzie świerków, prześlizgując w głębokim cieniu prastarych dębów. Nad ich głowami polatywały sowy, nawołując się między sobą. Potencjalne ofiary drapieżców tuliły się w przerażeniu w kryjówce poszycia.

Polował na Owaina tak, jak te sowy polowały na małe gryzonie zamieszkujące te góry. Ale myszy i króliki zawsze pozostaną łowną zwierzyną, a Owain mógł przedzierzgnąć się z ofiary w polującego drapieżcę. A jeśli uda im się zapędzić go w potrzask, może trzymać ich w szachu, grożąc, że skrzywdzi Josselyn.

Powoli jechali przez mrok nocy, często przystając na krótki odpoczynek. Przejmujący chłodem świt zastał ich na odsłoniętej porębie położonej tuż pod szczytem wyniosłej góry. Poczuli słaby, lecz wyraźny zapach dymu. Ktoś obozował nieopodal.

Mimo protestów Jaspera zostawili go na straży koni. W trójkę zaczęli skradać się w górę zbocza, kryjąc się w ciernistych krzewach żarnowca. Woń dymu stawała się coraz mocniejsza.

- Jeżeli to on, to niezły z niego głupiec, skoro rozpałił ogień □ szepnął Osborne. - Chyba jest absolutnie pewny, że nikt nie odnalazł jego tropów.

- Albo to kolejna zasadzka - rzucił Rand.

Powoli dopęłzli do wierzchołka góry. Usłyszeli sapnięcie konia i zamarli w bezruchu. Wtem z pobliskiego zagajnika wytoczył się mężczyzna. Stał zaledwie o rzut kamieniem od nich, rozpiął skórzaną kurtę i zaczął oddawać mocz przy pniu drzewa. Rand rozpoznał jednego z ludzi Owaina i dał znak Osborne'owi.

Dowódca straży w mgnieniu oka dopadł mężczyznę, poderżnął mu gardło i cichutko ułożył ciało na ziemi. Walijczyk nawet nie pisnął. Tylko w pobliżu zerwał się do lotu spłoszony ptak.

Rand podkraść się bliżej obozu. Gdzie mogła podziewać się Josselyn?

- Naliczyłem pięć koni - szepnął mu do ucha Osborne. - Nie najgorszy stosunek sił.

Nagle usłyszeli przekleństwo, zaraz potem trzask gałązki i kobiecy krzyk bólu. Rand porzucił wszelką ostrożność i pobiegnął naprzód, nie bacząc na hałas. Josselyn go

potrzebowała! Biegając, wyciągnął miecz. Wpadł w krąg uciekinierów, wołając krwi.

Owain nachylał się nad Josselyn, która leżała na ziemi w podartej sukni. Na jej twarzy wyraźnie odcinała się czerwona plama w kształcie dłoni. Słyszając przeraźliwy wrzask Randa, Owain odwrócił się i chwycił za broń.

Josselyn na pierwszy krzyk nadbiegających rycerzy zaczęła w pośpiechu pełznąć jak najdalej od Owaina, nie zwracając uwagi na ostre kamienie raniące skórę rąk. Rand przyjechał za nimi, przyjechał po nią! Lecz radość szybko przeszła w śmiertelny lęk, gdy ujrzała miecze przecinające powietrze z przejmującym świstem. Boże chroń go od ciosu Owaina, mordercy opętanego żądzą krwi!

Nie wiedziała, skąd brali siłę do zaciekłego pojedynku. Żaden z nich nie spał wiele poprzedniej nocy - szczególnie Rand. Mimo znużenia walczyli z nie zwykłą zaciętością, pchnięciem odpowiadając na pchnięcie, fintą na -fintę, celując w najczulsze miejsca i arterie, każdy kierowany tylko jedną myślą - zabić przeciwnika.

Owain powoli cofnął się pod gradem ciosów Randa. Josselyn podniosła się na kolana.

Za plecami walczących toczyły się dwa inne, nie mniej zaciekle pojedynki, powietrze drgało od świstów oręża, przekleństw i stęknięć. Potem ktoś zaczął krzyczeć i upadł.

Osborne leżał na zgniecionej trawie, a jego krew ściekała po mieczu Conana. Walijczyk nie zatrzymał się nawet, lecz okręcił

na pięcie i rzucił w stronę Randa.

_ Za tobą! - krzyknęła rozpaczliwie Josselyn.

Rand o włos uniknął ciosu, który pozbawiłby go głowy.

Odskakując, poślizgnął się na wilgotnej trawie i stracił równowagę. Przechylił się do przodu, a Conan natychmiast rzucił się za nim, dźgając na oślep śmiertelno ostrzem, podczas gdy rycerz z desperacką siłą usiłował zrzucić go z pleców.

Osborne nie podnosił się z ziemi, a Alan parował razy innego przeciwnika, gdy więc Josselyn ujrzała, że Owain nadbiega z mieczem wymierzonym w Randa, bez chwili namysłu skoczyła prosto na niego, zabiła go z nóg i wczepiła mu się w kark jak ryś.

_ Suka! Zdradziecka dziwka! - wrzasnął, gdy sięgnęła paznokciami do jego oczu. Udało jej się odciągnąć go na tę chwilę, której potrzebował Rand. Niemal cudem odzyskał równowagę i odbił kolejny cios Conana.

Tymczasem Owain zrzucił Josselyn z pleców. poczuła potężne szarpnięcie i ból, jakby wyrwał jej ramię ze stawu. Zamiast

odrzucić ją na bok, ujął ją w pasie i niósł przed sobą jak tarczę, trzymając czubek sztyletu tuż przy krtani.

- Rzuć miecz! - wrzasnął do Randa. - Albo rozplątam ją na miejscu!

Rand zawahał się, na mgnienie oka skrzyżował wzrok z Josselyn.

W tej jednej krótkiej chwili przekazali sobie całą głębię uczuć. Przyjechał po nią, walczył o jej życie.

Czy ją kochał?

Pragnęła uwierzyć, że tak jest. Ale za nic w świecie nie chciała, by miłość do niej przypłacił życiem.

Trzymał miecz tuż przy szyi Conana, ale nie spuszczał wzroku z Owaina.

- Puść ją, a pozwolę ci odejść wolno. Ale jeżeli chociaż włos spadnie jej z głowy, umrzesz - wycedził nad wyraz spokojnym, cichym głosem.

Owain wybuchnął chrapliwym śmiechem. Za ich plecami trwał pojedynek Alana z trzecim uciekinierem, lecz Walińczyk stopniowo tracił siły i raz czy drugi potknął się niepewnie.

- Odwołaj swojego żołnierza - rozkazał Owain, kłując czubkiem sztyletu obnażoną skórę na szyi Josselyn, aż dziewczyna jęknęła z bólu i zaskoczenia. Z rany zaczęły kapać krople ciemnej krwi, wzbierając w małą strużkę, która spłynęła po jej szyi.

- Alan, przestań! Wstrzymaj się! - krzyknął Rand. Jego wzrok ponownie spoczął na Josselyn. Widziała, jak ciężko unosi się i opada w wysiłonym oddechu jego pierś, lecz jednocześnie poczuła promieniujący od niego spokój. Wierzyła, że nie straci głowy nawet w tych opałach, w jakich się znaleźli, i tylko dzięki temu zdołała sama zachować przytomność umysłu.

Postanowiła okazać się równie silna, przywołała więc na twarz czuły uśmiech, modląc się, by Rand odczytał z niego głębię jej miłości.

- Rzuć broń - ciągnął Owain, trzęsąc się z wściekłości. Josselyn czuła wyraźnie drżenie jego ciała. - Rzuć broń, albo zapłaci dziewczyna.

- Nie - wyszeptała Josselyn. Jeśli Rand rzuci miecz, wszyscy będą skazani na śmierć.

Lecz on nie zwrócił uwagi na jej błaganie, gdyż całą uwagę skupił na Owainie.

- Rzucę miecz w chwili, w której ją puścisz.

_ Zrób to natychmiast! - wykrzyknął Walińczyk, ponownie wbijając czubek sztyletu w jej szyję.

Rand upuścił miecz. Alan poszedł w jego ślady. Owain zbulgotał triumfalnym śmiechem.

_ Teraz mam was oboje, ciebie i twoją dziwkę• To się zapowiada nawet lepiej, niż kiedykolwiek mogłem sobie wymarzyć! Związać ich - rozkazał swoim ludziom. - Niech Anglik popatrzy sobie, jak zabawiam się z jego nałożnicą. Gdyby przeklinał, odetnijcie mu język, a jeśli zacznie się szarpać, to i ręce. - Nie przestając się śmiać, złapał Josselyn za szyję, przemocą odchylił jej głowę do tyłu i zlizzał strużkę krzepnącej krwi. - Długo czekałem na tę chwilę - zasyczał jej do ucha. - Postaraj się, żebym ją równie długo zapamiętał, suko, a może daruję ci życie.

Josselyn nie spuściła oczu z Randa. Nie miała pojęcia, skąd wzięła się jej pewność, lecz wiedziała dokładnie, co ma zrobić. Między nimi nie padło żadne słowo, lecz w jakiś dziwny sposób przeniknęła myśli Randa. Owain przyciskał ją do siebie, więc całkiem po prostu ugięła kolana, jakby w omdleniu, i osunęła się na ziemię, pociągając go za sobą. Padając, na chwilę rozluźnił uchwyt rąk na jej karku; w tej samej chwili Rand rzucił się na Conana, a Alan zaatakował swojego przeciwnika. Przez moment Josselyn sądziła, że udało jej się wyslizgnąć z objęć Owaina, lecz okazał się szybszy, chwycił ją za włosy i szarpnięciem postawił na nogi.

_ Ostrzegałem! Ostrzegałem cię! - wrzasnął. Ujrzała błysk sztyletu i sprężyła się wewnątrz w oczekiwaniu ciosu. Przez myśl przemknęła litania: Izolda, Rand ... Na dłuższą modlitwę zabrakło czasu.

Wtem tuż nad jej uchem rozległ się przenikliwy wrzask i Owain przewrócił się na nią, przygważdżając ją swym ciężarem do ziemi.

Leżeli w płataninie rąk i nóg, a Josselyn czuła, jak jego bezwładne ciało przygniata jej kości, wyciskając resztkę powietrza z płuc.

Nagle usłyszała odgłosy walki, ktoś odezwał się po angielsku.

Ciało Owaina zsunęło się lekko na bok i oczom Josselyn ukazał się widok Jaspera przytykającego do Conana ostrze miecza, podczas gdy Alan rozbrajał ostatniego Walińczyka. Rand podźwignął trupa i zepchnął go z Josselyn. W gardle Owaina tkwił sztylet wbity tak głęboko, iż wystawała tylko rękojeść. Dziewczyna zadrżała, zdjęta przerażeniem, lecz jednocześnie z olbrzymią ulgą. Jasper zdążył na czas. Rand przyciągnął ją do siebie. Zatonęła w jego ramionach, przyciskając go kurczowo, jak gdyby nigdy nie miała go puścić. Czuła ciepło obiecujących bezpieczeństwo ramion, choć sama nie potrafiła opanować dreszczy.

- Już, już. Już jest po wszystkim. Jesteś bezpieczna - szeptał z ustami zanurzonymi w jej włosach.

Podniosła głowę i ujęła jego twarz.

- I ty jesteś bezpieczny - odszepnęła. Wpatrzyła się w jego oczy, niezdolna już dłużej ukrywać uczuć. - Gdyby cokolwiek ci się stało, umarłabym. - Nagle wróciła do wciąż groźnej i niepewnej rzeczywistości: - Izolda! Muszę znaleźć Izoldę!

- Jest pod moją opieką, w bezpiecznym miejscu. - Rand czule odsunął z jej twarzy potargane włosy.

- Och, tak? Dzięki Bogu, dzięki Bogu! - powtarzała Josselyn z

głęboką, niemal bolesną ulgą

- Rand, chodź tu! Z Osbome'em jest kiepsko! - zawołał Jasper. Cała ich uwaga skupiła się na ciężko rannym dowódcy straży.

Josselyn zatamowała krwawienie sporządzonym naprędcie okładem z dzikiego hyzopu i obwiązała ranę obrąbkiem własnej tuniki. Jasper i Alan sporządzili nosze, podczas gdy Rand nie opuszczał towarzysza, ściskając jego dłoń i dodając mu otuchy.

- Trzymaj się, Osbome! Jeszcze nie przyszedł twój czas, jeszcze czeka nas wiele wspólnych walk ... - Nie umilkł ani na moment, zachęcał do wytrwania, opisywał czekające ich przygody.

Osbome nie odpowiadał, lecz powoli jego chrapliwy oddech uspokoił się. Josselyn była pewna, że ranny słyszy wszystko, co mówi jego wódz i przyjaciel.

Dopiero gdy opatrzyli rannego i ułożyli go na noszach, miała okazję ponownie zwrócić się do Randa.

- Gdzie jest Izolda? - spytała, gdy podszedł do niej, prowadząc za sobą jej wierzchowca.

- W Afon Bryn. Zająłem osadę i zostawiłem tam załogę.

- Muszę ją natychmiast widzieć!

- Ze względu na stan Osbome'a nie możemy popędzać koni.

- Wiem. - Zaczerpnęła powietrza, by się uspokoić, i baczny spojrzeniem omiotła jego twarz. Więc jednak przyjechał po nią, mimo wszystkich wątpliwości! Nadeszła stosowna chwila, by obnażyć przed nim serce. - Wiem, że musimy jechać powoli ... ale i ty wiesz, Rand, jak strasznie rwie mi się dusza do chwili, gdy wreszcie zobaczę moją córkę w ramionach jej ojca.

Nie odpowiadał, więc zagryzła dolną wargę i nerwowo założyła ręce na plecy.

_ Musisz uwierzyć, że Izolda jest twoim dzieckiem - ciągnęła żarliwie. _ Nie okłamałabym cię w takiej sprawie! Nie byłabym zdolna ...

- Wierzę ci.

Aż ją zatkało.

- Wierzysz mi?

Powoli skłonił głowę. Patrzyła w przejrzyste szare oczy, w ciemność tęczy rozświetlonych miłością.

_ Wierzę ci, ale zwrócę ci dziecko pod jednym warunkiem ...

_ Spełnię każdy twój warunek! Tylko nie odsyłaj mnie od siebie ...

Josselyn wstrzymała oddech i modliła się bezgłośnie. Wreszcie Rand odetchnął głęboko.

_ Nie potrafiłbym cię odesłać, choćby nie wiem co - rzekł powoli głosem chrapliwym ze wzruszenia. - Miniony rok ... te kilka ostatnich dni ... - Potrząsnął głową. - Kocham cię, Josselyn ap Carreg Du. Byłem głupcem, skoro tak długo nie zdawałem sobie z tego sprawy. Chcę, żebyś mnie poślubiła. pozostać mi mieć nadzieję, że nie utraciłem cię na zawsze przez swoją głupotę i dumę

_ Nigdy ci to nie groziło - wyznała głosem drżącym z nadmiaru emocji. - Zbyt silnie cię kocham!

Przystąpiła bliżej, pragnąc, by wziął ją w objęcia i mocno przytulił, lecz Rand zatrzymał dziewczynę, kładąc dłonie na jej ramionach.

_ Nie mów tego, jeżeli kieruje tobą tylko wdzięczność - zażądał szorstko.

I choć do tej pory Josselyn zdołała wysłuchać wszystkiego,

co jej mówił, z opanowaniem, te słowa sprawiły, że jej oczy wypełniły się łzami. Chciał, by go kochała dla niego samego, gdyż sam darzył ją takim uczuciem. Jakim był ślepcem i głupcem! Czy nie widział, że już od dawna darzy go bezwarunkową miłością?

Łzy w oczach wezbrały i popłynęły w dół po policzkach, lecz jednocześnie dziewczyna wybuchnęła radosnym śmiechem.

_ Kocham cię, Rand. Niczego nie pragnę bardziej niż związać się z tobą małżeństwem, choć nie wyjdę za ciebie z wdzięczności! Uwierz mi, bo zaklinam się na wszystko, że to prawda.

I obdarzyła go pocałunkiem, który przypieczętował obietnicę wspólnego życia 'aż po kres ich dni - a on nie pozostał jej dłużny.

Stali tak obok cicho rżącego rumaka, spleceni w uścisku na oczach wszystkich jego towarzyszy. Dopiero donośny męski śmiech sprawił, że oderwali się od siebie.

- Ach, więc taka ma być moja nagroda? - zażartował Jasper. - To ja jestem bohaterem dnia, więc czemu ty, mój bracie, odchodzisz z piękną panną?

Z noszy doleciał ich głos Osbome'a, słaby, lecz wyraźny:

- Jeszcze dużo się musisz nauczyć, chłopcze. Ale któregoś dnia przyjdzie i na ciebie kolej!

Rand posłał Josselyn uśmiech, w którym zawarł całą miłość tego świata.

- Owszem, nadejdzie kiedyś twoja kolej, Jasper. Mam nadzieję, że znajdziesz sobie kobietę, która będzie tak doskonałym twoim uzupełnieniem, jak Josselyn jest moim!

Z tymi słowy podźwignął dziewczynę na konia i sam

wskoczył za nią. Razem zawrócili w kierunku domu - do Izoldy, na Rosecliffe.

Epilog

"Czy udasz się za mną, dziewczeczko jak kwiat? "

John Clare

Zamek Rosecliffe w Walii maj roku pańskiego 1137

Rand podniósł Izoldę i posadził ją sobie na barkach. Radosne popiskiwanie dziecka sprawiły, że z tym większą niechęcią pomyślał o czekającym go obowiązku. Jakże będzie tęsknił za swoim ukochanym maleństwem!

Jakże bardzo brak mu będzie jego matki ...

Kołysał się na boki, aż siedząca mu na ramionach dziewczuszka zaniósła się głośnym śmiechem. Nie bała się ani trochę, wiedziała, że może zaufać ojcu, który jej nie upuści i przy którym zawsze może czuć się bezpieczna. Z Bożą pomocą postara się nie zawieść jej zaufania!

Spojrzał nad blankami murów i wypatrzył Josselyn wśród klombów niedawno założonego ogrodu kwiatowego. W ciągu ostatnich dwóch lat udało jej się przekształcić zamek Rosecliffe w prawdziwy dom. On, Rand, wznosił niedostępny bastion warowny. Lecz to ona, Josselyn, ozdobiła kamienne mury zamku arrasami i kolorowymi freskami. To ona dbała o to, by komnaty pachniały ziołami, to ona obłaskawiała surowość sprzętów poduszkami i narzutami. Przede wszystkim zaś wypełniła wszystkie zakątki Rosecliffe miłością - do niego i do ich dziecka.

Wiedział, że nie może odkładać wyprawy na południe, gdzie odbędzie się narada wszystkich lordów Marchii w sprawie następstwa tronu, do którego prawo zgłosiło jednocześnie dwoje pretendentów, Stefan i Matylda. W dniu śmierci króla Henryka kraj pogrążył się w chaosie bezkrólewia i politycznych machinacji obu frakcji. Stefan miał za sobą poparcie władcyków z pogranicznych zamków, lecz Rand wiedział, że roszczenia Matyldy i jej małoletniego syna opierają się na bardziej legalnych podstawach.

W głębi serca pragnął móc pozostać neutralnym wobec najświeższego konfliktu władzy, lecz nie mógł zaniedbać obowiązku wobec ojczyzny. Na jej wezwanie musiał opuścić zamek i rodzinę.

Dzielna Josselyn udawała bez troskę w obliczu rychłego rozstania.

Kochał ją przez to jeszcze bardziej. Wiedział, choć mu się nie zwierzyła, że jest ponownie w ciąży. Nie chcąc go dodatkowo martwić, zachowała ten sekret dla siebie.

Słodki Jezusie! Jakże kochał tę kobietę!

Jak gdyby uczucia miały skrzydła i potrafiły przebyć dzielącą ich odległość, Josselyn w tejże chwili spojrzała ku niemu i posłała mu uśmiech. Skierował się w jej stronę, a dziecko kwiliło z zachwyty na jego ramionach.

- Jasper dał znać, że eskorta już czeka - powiedziała Josselyn, gdy się zbliżył. Lecz dłużej nie mogła utrzymać pozorów praktycznej matrony, rzeczowo wyprawiającej męża z domu. Oczy zaszły jej mgłą, położyła dłoń na piersi Randa. - Obiecuj mi, że będziesz na siebie uważał, dobrze? Nie napawa mnie ufnością miejsce waszych obrad. Czemu musicie się spotykać w zamku Simona LaMonthe'a?

- Będę uważał. – Otoczył ją ramieniem, drugim nadal podtrzymując Izoldę. Pochylił się ku słodyczy podniesionych ku niemu warg.

- A ja, a ja? - dopraszała się Izolda. Klepała to jego policzek, to czubek głowy matki. - Ja też chcę!

Rodzice oderwali się od siebie ze śmiechem. Rand zdjął roześmianą córeczkę z karku i wtulił pomiędzy ich dwoje, aż cała trójka splotła się w czułym uścisku.

- Tak dobrze? - spytał Izoldę w walijskiej mowie.

- Doskonale! - odrzekło dziecko, obejmując szyje rodziców drobnymi ramionkami.

Owszem - pomyślał Rand. Byli doskonali: tworzyli kochającą się rodzinę, trójcę bliskich sobie ludzi. Nie mógł się powstrzymać, by delikatnymi palcami nie objąć wciąż płaskiego brzucha Josselyn. Widząc, jak zaskoczona otwiera szeroko oczy, wyszeptał:

- Kocham was, kocham was wszystkich.

- Więc wracaj do nas czym prędzej - odpowiedziała szeptem, wtulając się mocniej w jego objęcia.

- Tak, tatusiu! Wracaj szybko do domu!

Dom ... Rand zaczerpnął głęboko powietrza. Oto trzymał w ramionach rodzinę, a zamkowe mury dokoła zapewniały im bezpieczny dom. Trzy lata temu nie pragnął niczego oprócz szybkiego wypełnienia obowiązku i rychłego powrotu do Londynu. Teraz niechętnie opuszczał Rosecliffe, choć jego nieobecność miała trwać zaledwie dwa tygodnie. Czuł się rozdarty między pragnieniami i obowiązkiem: wymogi polityki kazały mu wyjechać, lecz zew rodziny był silniejszy, a tęsknota nieznośna. Jeszcze raz uścisnął Izoldę i Josselyn, a wraz z nią nie nazwane jeszcze dziecko rozwijające się w

głębi jej łona:

- Nie martw się ani trochę, kochana. Wrócę najszybciej, jak będę mógł. Ani chwili dłużej.

Nie tylko Josselyn obserwowała odjazd orszaku Randa - konnych jadących w pojedynczym szyku, za którymi postępował dwójkami oddział pieszych. Jeszcze jedna para oczu śledziła ich marsz przez dolinę.

Rhonwen ukrywała się w cieniu gęsto rosnącego ostrokrzewu.

Patrzyła przed siebie zamyślona i zasepiona. Być może teraz, gdy angielski mąż Josselyn odjechał, jej przyjaciółka okaże się bardziej przystępna na głos rozsądku. To przecież nie kto inny jak ona, oświadczyła Rhonwen, że kobiety mogą wziąć górę nad mężczyznami, chociaż nie są tak silne fizycznie! Muszą tylko okazać większy spryt - czyżby już o tym zapomniała? Czy angielski rycerz wymazał z jej pamięci wspomnienie tych słów? Rhonwen ciaśniej ściągnęła szal okrywający głowę, broniąc się przed przejmującym chłodem wilgotnego poranka. Być może nadszedł czas, żeby zapytać Josselyn osobiście.

Rhys ap Owain obserwował wyjazd rycerza z kryjówki położonej nieco dalej na zboczu wysokiej góry. Przycupnął wysoko w konarach rozłożystego dębu, wtulony między pnące się po grubych pniach gałązki jemiioły. Anglicy wyjechali: pan zamku i jego brat o dziewięciu palcach. Oby sprawiedliwy Bóg sprawił, że nigdy nie wrócą!

Lecz Bóg nie był sprawiedliwy. Bóg odebrał mu matkę i babkę.

To za Jego podszeptem uwierzył Josselyn, gdy mówiła, że

on, Rhys nie jest jej obojętny.

Dobrze więc! Poradzi sobie świetnie bez pomocy Boga! Czyż nie potrafił sam się utrzymać i zapewnić opiekę obłąkanej Meriel przez trzy lata, po tym jak Jasper Fitz Hugh zamordował mu ojca, Owaina ap Madoca? Żyli w nędzy, to prawda, lecz nie głodowali do tego Rhys nie dopuścił. Nikt nie mógł mu dorównać w sztuce podchodzenia dzikiej zwierzyny, nie było w całej krainie lepszego od niego myśliwego.

Rhys zawisł wzrokiem na sylwetce Jaspera Fitz Hugh. Chłopak wiedział, że jeszcze przyjdzie dzień, w którym wysledzi młodego Anglika w lesie, a wtedy ten zapłaci za zamordowanie mu ojca. Gdyby żył Owain ap Madoc, dawno już wypędziłby angielskich najeźdźców z Walii ... Teraz Rhys zamierzał pomścić ojca i ocalić swój lud.

Splunął w kierunku odległego orszaku konnych. Zabije Jaspera Fitz Hugh, zabije jego brata, sir Randa. Potem zerwie z drzewca proporzec z sylwetką czerwonego wilka i sam obejmie władzę w warowni, którą wzniesli tamci. I żaden więcej Anglik nie odważy się postawić stopy na ziemiach, na których będzie panował Rhys ap Owain.

Newlin też obserwował odjazd Randa, a jego myśli przepełniały wspomnienia pewnego dnia z dalekiej przeszłości ...

Zima jest już u schyłku - tak mówiła niegdyś Josselyn, dawno temu, jeszcze przed przybyciem Anglików. Zanim Owain stracił umiar, upojony wizją swej potęgi. Od tamtego mroźnego dnia zaszły wielkie zmiany.

" ... Gdy głązy zaczną rosnać, a drzewa przestaną. .. " -

zanucił Newlin pełnym głosem. Zdrowym okiem spojrzął w kierunku zamku Rosecliffe. Objął spojrzeniem ziemię wykarczowaną niedawno pod planowane osiedle przy murach warowni, zmierzył okiem wysokość murów, które każdego dnia rosły śmieiej w niebo.

Tak, wiele się zmieniło, lecz wiele pozostało takie, jakie dawniej bywało. Zima była u schyłku, lecz wśród gór trzeba było jeszcze długo czekać na balsamiczny powiew wiosny. Randulf Fitz Hugh był panem sprawiedliwym i dobrotliwym i zgodnie z obietnicą utrzymał pokój w dolinie, lecz Newlin wiedział, że czeka ich jeszcze wiele zamieszania i niepokoików.

Oczami duszy ujrzał postacie Rhonwen i małego dzikusa Rhysa.

Nie oni jedni zachowali w sercach nienawiść do Anglików. Potem pomyślał o Jasperze i zdał sobie sprawę, że namiętna wrogość nie jest bynajmniej jednostronna.

Trzeba było rozważyć los następnego pokolenia: dzieci zrodzonych z unii Anglii i Walii. Mała Izolda i braciszek, który wkrótce przyjdzie na świat, przetrą im drogę do prawdziwego pojednania.

Uśmiechał się, wracając do kryjówki pod głazem dolmenu. Zima rzeczywiście była już u schyłku ... być może trzeba było jeszcze trochę poczekać na wiosnę, lecz wkrótce nadejdą jej dni. Wkrótce ...

KONIEC